

Aneks do kalendarza dziennik 1970-2025



Zbigniew

ex LIBRIS



Mirotania

Joachim

Zbigniew Joachimiak

Aneks do kalendarza dziennik 1970–2025



Migotania

Gdańsk 2025

Zbigniew Joachimiak:
Aneks do kalendarza,
dziennik 1970-2025, tom I i II

© by Zbigniew Joachimiak & Fundacja Światło Literatury,
Gdańsk 2025

ISBN 978-83-973818-4-1

Redakcja:

Agata Foltyn, Katarzyna Korczak
projekt okładki FŚL

w książce wykorzystano zdjęcia z archiwum prywatnego
Autora oraz zdjęcia Jana Ledóchowskiego
na okładce: Zbigniew Joachimiak 2013 r, z archiwum autora
exlibris - autorką jest Joanna Sendłak

Skład: Martax

Druk:

Mazowieckie Centrum Poligrafii
ul.Ciurlionisa 4
05-270 Marki

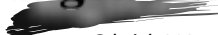


WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

Migotania


Gdańsk 2025





**Aneks do kalendarza
dziennik 1970-2025, tom 1 i 11**

Przedśłow

Jestem już wiekowym poetą*, stąd wniosek, że sporo musiałem widzieć. Byłem świadkiem nie jednej, ale kilku epok. Wszystkie wpłynęły (i nadal wpływają) na moje postrzeganie świata, postawę światopoglądową, twórczość, ale i na ocenę czasów współczesnych. Niby banalne spostrzeżenie, ale piszę je w kontrze wobec tych, którzy oceniają otaczający świat tak, jakby rozpoczął się zaledwie parę lat temu.

Pierwsza epoka: to dzieciństwo. Czas pustych w niedzielę miejskich ulic, wyjątkowych, uroczystych niedzielnych obiadów (bo z mięsem), szkolnych klas z portretem Gomułki, licznych ruin powojennych, wyciągania pocisków ze ścian (w ramach chłopięcych zabaw), słuchania całą rodziną słuchowisk radiowych, u mnie - *Matysiaków*, u innych - w Jezioranach. Słowem inne czasy, inny świat.

Ta druga epoka, zwana *gomułkowską*, albo *okresem małej stabilizacji* z widocznymi zmianami i rozwojem, która dla mnie zaznaczyła się w pamięci szkołami „tysiąclatkami”. („Tysiąc szkół na Tysiąclecie”, hasło rzucone przez Gomułkę) Chodziłem do dwóch i robiły na mnie piorunujące wrażenie nowoczesności. Żeby to zrozumieć trzeba wyobrazić sobie siermiężną szkołę, do której uczęszczałem przez pierwsze dwa lata: zespolone ławki jak z XIX wieku, stare kałamarze, brudne i zimne ubikacje, itp.). Pojawił się wtedy płyn do mycia naczyń i mydło toaletowe, pamiętam jedno nazywało się poetycko For You.

Docierały do mnie pomruki wydarzeń politycznych, by w 1968 roku objawić się wybuchem Wydarzeń Marcowych, a w moim przypadku też utratą kilku dobrych kolegów. Szczególnie żał było mi Lucka, który straszył nauczycieli szklanym okiem, kładł je na ławce, aby widzieć co dzieje się z tyłu. Lucek wyjechał do Szwecji, albo Izraela. Zniknęło też wtedy w mojej okolicy kilka sklepów delikatesowych.

Związek Radziecki cały czas był *wielki*. Majakowski i Jewtuszenko wydawali się wtedy tymi *niepokornymi*, wręcz buntownikami politycznymi. Epoka ta skończyła się dla mnie klamrą

wydarzeń grudniowych w 1970 roku w Szczecinie. Widziałem je z poziomu ulicy. Blisko.

Trzecia epoka, lata siedemdziesiąte, to okres moich studiów, inicjacji literackich i pierwszych tomików poetyckich. To okres w Polsce, w którym cały czas bulgotało politycznie i społecznie. Czas wielkiego zbliżenia do Zachodu. Pojawiły się pralki automatyczne, polskie samochody Fiat. Powstały pierwsze z prawdziwego zdarzenia organizacje opozycyjne (KOR, ROPCIO, KPN, Młoda Polska). Władza najwyraźniej romansowała ze społeczeństwem, ale też i biła (Radom).

W Gdańsku powstało prężne środowisko literackie. Wydawaliśmy swoje pismo, książki. Już nie czytaliśmy radzieckiej poezji poza Cwietajewą i Achmatową; docieraliśmy też do tekstów formalistów rosyjskich. W Polsce funkcjonowały ważne społecznie pisma, takie jak: „Polityka” i „Student”, a też „Nowy Wyraz”, (bo jednak coś władza dała młodym). Aż doszło do największej eksplozji społecznej, Wydarzeń Sierpniowych 1980 roku. Obserwowałem je ze środka Stoczni Gdańskiej im. Lenina od siedemnastego sierpnia.

Związek Radziecki cały czas warczał.

Czwarta epoka, to już czasy stanu wojennego. W „Migotaniach” ogłosiłem spore fragmenty dziennika z tamtego okresu, wspomnienia *cywila* z gdańskiej Zaspy, czyli kronika codziennych zdarzeń.

Tu się kończy pierwsza część Aneksu do kalendarza, która obejmuje dobre ponad dwadzieścia lat, a jeśli uwzględnić wtręty retrospektywne, znacznie, znacznie więcej.

Druga część Dziennika obejmuje piątą epokę, czasy, w których obecnie żyjemy; epokę, która ulega nieustannym zmianom i rozwojowi (niestety, niekiedy też regresowi). Być może dla Polski to epoka historycznie najważniejsza od kilkuset lat.

Związek Radziecki nie jest już wielki, bo go nie ma, ale nad nami kładzie się cień Rosji, tego samego wielkiego rozbójnika z XVIII i XIX wieku. Tym razem rozbójnik bije Ukrainę.

Każda z tych wymienionych epok była dla mnie na swój sposób ważna, inspirująca, dawała przestrzeń do rozwoju. Choć tak bardzo różne, wszystkie razem tworzą rzeczywistość, w której żyjemy, która nas dziś określa.

* Fragment rozmowy z Andrzejem Walterem w lipcu 2022 opublikowanej w e-Dwutygodniku Literacko-artystycznym Pisarze.pl

Jeszcze kilka słów wyjaśnienia:

*P*ragnę wyjaśnić czytelnikom, że „Aneks do kalendarza” nie jest typowym dziennikiem, a przynajmniej w jego pierwszej części. Nie jest też autobiografią.

To prawda, że elementy dziennika i autobiografii są stale obecne, ale oba podporządkowane przejrzystości narracji, a właściwie dobremu usadowieniu Aneksu w czasie i przestrzeni. Niektóre fragmenty autobiograficzne musiały być napisane (dopisane) później i jasno o tym informuję. Ten zabieg był konieczny, aby późniejsze już regularniejsze zapiski był czytelne i zrozumiałe nie tylko dla mnie, ale też i dla czytelnika. Wtręty autobiograficzne pozwalają na utrzymanie więzi pomiędzy notatkami i wydarzeniami. W żadnym wypadku jednak nie powstały w celu stworzenia kompletnej autobiografii. Choć trochę żal, bo wiem, że wiele wydarzeń, etapów mojego życia byłoby interesującą opowieścią. Jednak celem tej publikacji jest przedstawienie jak największej liczby kalendarzowych refleksji bieżących i opisów zdarzeń w trakcie ich powstawania.

Pierwsze zapisy dziennikowe były sporadyczne i nieregularne. Późniejsze, kalendarzowe, już wyraźniej ukazują zdarzenia i ich różne tło i w mniejszym stopniu wymagają wsparcia motywami autobiograficznymi.

Nigdy nie udawało mi się utrzymywać regularności w prowadzeniu dziennika, długie okresy prawie codziennych zapisków, przeplatane były - niestety - długimi pauzami, czasem wieloletnimi.

Te kilka słów wyjaśnień dotyczą szczególnie części pierwszej „Aneksu do kalendarza”. W drugiej części tekst nabrał tempa i stał się nieomal typowym dziennikiem.

Tom I

Część 1. Od Grudnia do grudnia

Grudzień 1970 roku, Szczecin.

Z perspektywy transportowego żuka, którym rozwożę gazety, widzę nocne życie w Szczecinie, a teraz w szczególności strajkującej stoczni, robotników w kaskach za bramą, którzy najpewniej pełnią wartę.

Podjeżdżamy do stoczni, rzucamy pod bramę pakę nowych gazet (ktoś dostanie ich nieco mniej). Milicji pod samą bramą nie ma. Tworzą zaporę wokół stoczni w pewnej odległości. Kontrolują samochody. Nas puścili, bo rozwożymy gazety. Wiele w nich o strajku nie ma, dla gazet ten temat nie istnieje. Coś tylko o nieodpowiedzialnych antysocjalistycznych i chuligańskich ekscesach. A strajk nazywany jest *przerwą w pracy*.

Mamy z kierowcą trochę stracha. Chociaż milicji na ulicach (przynajmniej w nocy) mało.

W dzień jest znacznie gorzej. Widzę tramwaje z ręcznie namalowanymi białą farbą hasłami „Strajk” i „Strajk trwa”. Dziwię się, że jeszcze ich nie zamazano. Gdy tramwaje przyjeżdżają na przystanek, ludzie zwykle milkną, niektórzy pokrzykują... ja też.

Czuję podniecenie, niepokój i rodzaj radości, choć nie wiem dokładnie z czego.

Gdy były Wypadki Poznańskie, miałem sześć lat i nic z tego czasu nie pamiętam. Marcowe Wydarzenia zastały mnie w liceum. W Szczecinie było o tym raczej cicho. Pamiętam, że udałem się nawet w pobliże Politechniki, ale tam też nic się nie działo. Tylko nagle studenci zaczęli nosić akademickie czapki białe i czerwone, a uczniowie granatowe. Intuicyjnie rozumiałem, że to manifestacja. Ale czego, nie byłem pewny. Czapkę nosiłem do wiosny, a potem zaległa w kącie.

Być może to jeden, jedyny raz kiedy też z dumą obnosiliśmy się z przynależnością do stanu żakowskiego i nie zdejmowaliśmy tarcz z ramienia, a przecież, jak pamiętam, zawsze trwała wojna pomiędzy uczniami i szkołą - przed wejściem do liceum stał nauczyciel, a czasami nawet dyrektor, i czujnie sprawdzał, czy mamy tarczę. A my mieliśmy różne metody na ich zdejmowanie, najpopularniejsze były na agrałki i krawieckie zatraski.

Niewiele rozumieliśmy z tamtych zdarzeń, a może lepiej powiedzieć, niewiele wiedzieliśmy o życiu, szczególnie politycznym. Łątwo jednak było wyzwolić w nas emocje i chęć działania. W 1968 roku z Mirkiem Szyszko zostaliśmy po lekcjach i na tablicy napisaliśmy: *Precz z PZPR*. Obaj czuliśmy jednak, że to szczeniactwo i nigdy potem nie wspominaliśmy tego naszego „bohaterstwa”.

Nie zdałem matury w terminie, czyli wiosną 1970 roku. Obląłem matematykę. Poprawka była jesienią. Litościwy dyrektor mojego liceum na egzaminie poprawkowym zadawał mi *trudne* pytania, takie między innymi jak co to są ułamki. W efekcie ostatecznie uzyskałem Świadectwo Dojrzałości.

Nie poszedłem na studia po maturze, postanowiłem pracować i resztę czasu poświęcać na czytanie i pisanie. Na szczęście miałem kategorię „D” w książeczce wojskowej, nie groził mi więc pobór do wojska. Wszyscy się tego bali panicznie.

Wiersze pisałem od 15 roku życia i trwam w tym pisaniu do dzisiaj.

Moja polonistka w Liceum im. Bolesława Prusa na Gumieńcach w Szczecinie, pani magister Zofia Wierzchowska, była mocno sceptyczna wobec moich pisarskich prób, a nawet wobec gazetki szkolnej, którą założyłem i która miała dumny tytuł „Trybuna Literacko Publicystyczna”. Natomiast doceniały moje wiersze dziewczyny, szczególnie, gdy były im dedykowane. Ale tak naprawdę, to tylko moja mama była z nich dumna.

Trzeba powiedzieć, że jeśli chodzi o naukę, nigdy nie byłem orłem. W szkole podstawowej zaliczyłem pierwsze poprawki (między innymi z języka rosyjskiego). Świadectwa obfitowały w oceny dostateczne, a lepsze były rzadkością. Powodem pewnie były liczne nieobecności, często wagary. W klasie szóstej opuściłem 60 dni. W szkołach średnich nie było lepiej. W Technikum Gospodarczym wytrzymałem półtora roku i nie otrzymałem promocji do następnej klasy (chciałem zostać stewardem okrętowym i miała mnie czekać kariera wilka morskiego, wyszło inaczej!). Potem krótko byłem w Technikum Mechaniczno-Energetycznym, wytrzymali ze mną jeden okres, czyli 3 miesiące, była jeszcze zawodowa szkoła samochodowa, potem jeszcze terminowałem w piekarni, by wreszcie,

już po epizodzie trzemesznieńskim, trafić do Liceum Ogólnokształcącego, gdzie też nie należałem do najwybitniejszych uczniów. W każdym miejscu wyróżniałem się tym, że miałem rekordowe negatywne oceny. I rekordowe nieobecności.

Praca w kolportażu prasy w „Ruchu” na nocnej zmianie od 22. 00 do 6.00 rano była moją drugą pracą, wcześniej pracowałem jako inwentaryzator, czyli robiłem remanenty, lub jak niektórzy mówią *remamenty*. Praca w „Ruchu” polegała na pakowaniu gazet w dziale sortowania i rozwożeniu ich do kilku punktów, ale głównie na stację kolejową do wywózki do całego województwa. Wcześniej, z kierowcą, odbieram nakład „Głosu Szczecińskiego” a rano „Kuriera Szczecińskiego” z drukarni na Wojska Polskiego.

Odpowiadał mi ten rozkład doby. Wprawdzie nie sypiałem do 3-4 w nocy, ale przynajmniej zarabiałem na życie.

Problem z zasypianiem miałem od dawna. Bywało, że nie spałem kilka dni. Raz zdarzyło się, że nie spałem przez trzy dni.

Miałem halucynacje, dziwnie drżało mi ciało i dostałem wysokiej gorączki. W odruchu rozpaczyny poszedłem do nocnej przychodni przy ulicy Mariana Buczka, gdzie przyjmował też psychiatra. Dał mi wtedy elenium i wreszcie zasnąłem. Te trzy bezsenne doby tkwią we mnie jak drzazga, jak złamana, zrosnięta kość, jak chowający się w głębi głowy potwór - lęk.

Do domu przy ulicy Gdańskiej dojeżdżam tramwajem i autobusem. Muszę przekroczyć Odrę, a potem jeszcze Parnicę (kanał), której brzegi połączone są prowizorycznym stalowym mostem z kładką dla pieszych na boku. Mijam resztki przedwojennych budowli, w tym komendę dzielnicową MO, która dumnie, choć samotnie, pozostała na gruzach dawnej zabudowy.

Mieszkam w okolicy byłego niemieckiego wysypiska śmieci, niewiele osób o tym wie, ja wiem. Z Jankiem Grycajenko wciąż wykopujemy tam różne skarby, stare kubki, widelce, piękne szkiełka. Mamy też nasz lokalny staw, nie musimy jechać daleko nad jezioro Dąbskie czy Regalicę, albo na Arkonkę, czy Głębokie żeby się wykąpać. Pod stopami czujemy resztki jakiegoś statku, barki...? Tajemnicza sprawa. Myślę, że nasz staw to odnoga,

fragment kanału tuż przy elektrowni, która jest z drugiej strony ulicy.

Mamy też z Jankiem wykopaną i dobrze ukrytą ziemiankę z niewielkimi zapasami, to na wypadek jakiegoś nieszczęścia lub wojny.

Za stawem i małym laskiem jest duża polana, gdzie każdego roku od końca lat sześćdziesiątych przyjeżdżały wozy cygańskie i rozbijały swój tabor. Niechętnie nas tam widziano. Jednak udało nam się z Jankiem zajrzeć do jednego z wozów. Byliśmy zaskoczeni porządkiem i czystością. Zobaczyliśmy wielkie religijne obrazy i kolorowe w jedwabnych powłokach pierzyny. W dzień wietrzą się na sznurach. Te błękitne robią wrażenie wielkich obłoków. Co wieczór przy ogniskach odbywają się śpiewy i tańce. Młodszy Cyganie przychodzą nad nasz staw. Chodzą nago ze stojącymi do góry kutasami, budząc po naszej stronie stawu sensację i śmiechy dziewczyn. Niestety Cyganki nie są tak śmiałe i plażują w długich barwnych spódnicach i kolorowych bluzkach. Są śliczne, niewiele rozumiem z tego co mówią między sobą, ale potrafią mówić też po polsku, tyle że trochę śmiesznie. Wydaje mi się, że kpią z nas.

Te grupy są dość liczne, po kilkanaście wozów, a do tego co najmniej taka sama liczba koni, bo wozy są - oczywiście - „napędzane” żywą siłą, bardzo zadbanymi i pięknymi zwierzętami.

Z nostalgią wspominam te letnie spotkania w cygańskich obozach ...zapach dymu z ogniska, śpiewy i cygańskie tańce. Cyganów już nie ma w tej okolicy. Spora ich grupa została zakwaterowana do mieszkań w śródmieściu. Tylko, że to już inni Cyganie. Nie ma wieczornych śpiewów i ognisk, zresztą, kto by im pozwolił tak żyć w środku miasta?

Spotykałem pojedyncze dzieci cygańskie w szkole. Zwykle po krótkim czasie przestawały chodzić do szkoły.

Zaprzyjaźniłem się z Łodzią. Podobałem się jej. Mnie bardziej podobała się jej młodsza siostra. Ich rodzina osiedliła się na stałe w rozwalającym się domu tuż przy stawie. Byłem u nich na obiedzie, jadłem krowie wymiona z kartoflami, wcale nie takie złe (te wymiona).

Cygan ma świetne życie. Wstaje o 9-10, gdy żona już poszła w miasto. Rozkłada pierzyny na trawie. Goli się, trzymając lustro na drzewie, podśpiewując. Dziewczynki przygotowują śniadanie. Po południu wraca Cyganka z łupami. Robią obiad i idą do Cyganów mieszkających na polanie.

Stary Cygan planuje wydać za mąż za mnie jedną z córek. Stara Cyganka chyba nie, bo łypie na mnie czasami złym okiem.

Cygan uparty, któregoś razu zjawił się u moich rodziców z propozycją mariażu, moi rodzice też okazali się uparci i spotkanie nie miało dalszego ciągu.

Mieszkam w naprawdę ciekawym miejscu. Po drugiej stronie ulicy jest stocznia remontowa Parnica rozłożona nad kanałem Parnickim. Nieco dalej dymiąca suto czarnym pyłem elektrownia, gdzie pracowała moja mama. Pod domem biegnie linia tramwajowa prowadząca na koniec miasta, prawie aż pod Dąbie i jezioro Dąbskie. Ale, nim się tam dotrze, trzeba minąć Regalicę, kanał - rzekę, po której pływamy kajakami, choć z pewnym lękiem, bo nurt silny i pływające po niej liczne holowniki i barki wzbudzają wysokie i gwałtowne fale. Pływamy tam, bo są to całkowicie dzikie, niezamieszkałe wyspiarskie tereny, doskonałe na biwaki, obozy, kryjówki. Dostęp do dzikich terenów jest też z łądu, ale trzeba przebić się przez przemysłowe obszary kolejowe. Tam planowałem swoją jedną z wielu ucieczek z domu.

Nasz dom to czteropiętrowa powojenna kamienica (albo po wojnie odbudowana). Szary kłoc z czerwonym spadzistym dachem. Sklep spożywczy 20 metrów od mojej klatki - ulica Gdańska 11 c. Od drugiej strony mamy długie, bo od klatki A do klatki H, wąskie podwórko. Za domem ogródki w stylu działkowym. My mieliśmy dwa - jeden mały, naprzeciw naszych okien, stał w nim kurnik z dwudziestoma kurami i podręczny warzywniak. Drugi ogród był w głębi, już na krańcu działek. Ten był spory, mama i ojciec uprawiali tam również warzywa, ale były też krzaki porzeczki, agrestu i jedna jabłoń. W głębi stała drewniana altana, był też mały zbiornik wody deszczowej. Najwięcej było kwiatów - wielkie georginie (dalie), lilie, irysy, cynie, sasanki, różaneczniki i oczywiście pomniejsze, takie jak obowiązkowe

maciejki, niezapominajki, lobelie (jasne i ciemniejsze), pomarańczowe (i smakowite kwaskowate) nasturcje. Oboje rodzice nie mieli żadnego doświadczenia w uprawianiu ogrodu (w hodowli kur też), ale najwyraźniej im się to podobało i szybko się uczyli. Ważna była altanka, tam rodzice odpoczywali w niedzielę, a na „nocnej zmianie” ja spotykałem się w niej z dziewczynami. Lecz to nie koniec okolicznych atrakcji. Za ogródkami podmokłe łąki, a na nich dziwna, półwiejska budowla, gdzie można było zobaczyć z bliska prawdziwą krowę, owce, konia. Gospodarz tego obejścia, ubrany po wiejsku, w długich kaloszach, miło się uśmiechał i uprzejmie zagadywał, a mimo to wzbudzał w nas niepokój. Ludzie mówili, że to autochton, albo pederasta, Niemiec, który nie wyjechał po wojnie, bo żał mu było zostawić obejście ze zwierzętami. Moim zdaniem był to pomyłkowo rzucony kawałek wsi z innego świata i z innych czasów. Jego gospodarstwo kończyło się tuż przy nasypie kolejowym. Dalej rozciągał się wielki świat rozjazdów pociągów towarowych. Za nim zaczynał się inny kontynent, inna cywilizacja, obcy, niebezpieczny, syczący, huczący, ruchliwy, ale jakby bez ludzi, świat.



Razem z Krzysztofem Zaborowskim wychodzimy z naszego Liceum nr.4 na Gumieńcach. Krzysztof był najwybitniejszym uczniem w klasie, z wszystkiego był dobry. Z niejasnych powodów nie podjął studiów.

we wrześniu 1970 roku

Rzuciła mnie Ela, koleżanka z klasy licealnej mojej starszej siostry, a córka dyrygenta szczecińskiej operetki. Podciąłem sobie żyły. Uratował mnie Janek, który wszedł do mnie przez okno, znalazł półprzytomnego i zawołał pogotowie ratunkowe.

Zamieszkaliśmy z Elą razem kilka miesięcy wcześniej, tuż przed końcem liceum. Jakoś to dotarło do szkoły, budząc zazdrość u chłopaków, a nawet podziw u niektórych nauczycieli, pamiętam, że pod wrażeniem był matematyk profesor Ciesielski (nie pamiętam imienia), który mi odpuszczał z tego powodu brak matematycznej wiedzy. Mogliśmy zamieszkać razem, ponieważ moja mama ciężko zachorowała i po długim pobycie w szpitalu musiała zmienić klimat. Rodzice więc wyjechali do Krępy Krajeńskiej. Starsza siostra, Hania (teraz Agata), dołączyła do nich, by pomóc w opiece nad małą Ilonką.

Mieszkanie było moje.

Elka postanowiła mnie rzucić i wyprowadzić się, bo zmieniłem zdanie co do swojej przyszłości i postanowiłem iść na studia, a ona nie wyobrażała sobie naszego życia tak, że gdy ona będzie pracować, ja będę studiować. Sama nie chciała iść na studia, choć w liceum była niezła.

To ona spowodowała, że zaraz po maturze poszedłem pracować do WSS „Społem”, jako inwentaryzator. Elżbieta (śliczna blondynka o zmysłowych zielonych oczach) już tam była zatrudniona. Uważała to za *umysłową*, dobrą pracę. Pod pewnymi względami była rzeczywiście ciekawa, trochę jak nieustanna nowa przygoda. Wyjazd wczesnym rankiem, powroty w nocy. Jazdy po całym województwie szczecińskim autobusami PKS lub koleją. Noclegi w powiatowych hotelach, nudy wieczorami, które rozwiewałem czytaniem wierszy a to Pawlikowskiej, Broniewskiego, Gałczyńskiego, Jesienina, zaleźnie jaki tomik wzięłem z sobą, ale ukrywałem to przed moją szefową, bo śmiała się z moich zainteresowań. No i co chwilę nowy sklep. Nowi sprzedawcy - a to pasmanteria, a to rzeźnia, sklep spożywczy, obuwniczy, albo tzw. *metraż*, czyli sklep z materiałami... Inwentaryzacje były niezapowiadane, a zatem niekiedy były przykrymi niespodziankami, gdy sprzedawcy nie mieli czystego sumienia. Pensję miałem raczej

niewielką, 1400 zł netto (w miarę dobre wynagrodzenie w tym czasie było między 2500 - 3000 zł), ale - co mnie z początku cieszyło, a potem niepokoiło - dochodziły różne wartościowe „podarki”, aby przymknąć oko na jakieś manko lub superatę. Wracałem do domu obładowany *prezentami*. Ostatecznie postanowiłem z tej pracy zrezygnować, bo przestraszyłem się, że skończy się ten proceder jakąś nieprzyjemną wpadką. Miałem już więzienne doświadczenie, a więc chuchałem na zimne.

Hania wyprowadziła się do Leszka na ulicę Parkową. Mieszkanie rodziny Leszka było piękne i obszerne, prawdziwie mieszczańska siedziba z pokojami w amfiladzie, połączonymi rozsuwanymi drzwiami. Dom zbudowano na początku XX wieku, w czasie wielkiej prosperity gospodarczej, jeszcze przed I Wojną Światową. Do oryginalnego mieszkania (siedem, razem ze służbówką, pokoiów) po wojnie, w ramach „sprawiedliwości społecznej”, dokwaterowywano dodatkowych lokatorów. Zajęli dwa pokoje. Wszyscy korzystali z jednej łazienki i kuchni. Ojciec Leszka był przed wojną komandorem marynarki wojennej. Był jeńcem wrześniowym. Całą okupację spędził w oflagu, niemieckim obozie jenieckim dla oficerów. Po wojnie znalazł się w Londynie. Próbował ściągnąć tam rodzinę. Nie udało się. Wrócił więc do Polski, gdzie żona, z dwójką małych dzieci, po wojennej tułaczce znalazła się w Szczecinie. Niedługo potem urodził się Leszek. W mieszkaniu, poza Leszkiem, mieszkała jego mama, starszy brat i siostra mamy, która w czasie Powstania Warszawskiego straciła narzeczonego. Na zawsze została sama, przy rodzinie. Lubiłem ten dom spokojny, ciepły, z ładnymi meblami i, jakby z innego świata, ludźmi.

Uciąć głowę w starym domu

Leszkowi Foltynowi dedykuje

Obchód rozpocząłem od wzięcia
spojrzeniem od starego do starego
miejsca

W oczy patrzaj na czas rannej świerzby,
na skrzyp skręconej sprężyny
zadrżnij - tak ulicy tej początek.

W ciszy skostniał porządek-nieporządek
skrzynia gazet milczy,
zegar cykając milczy,
mleczka milczy,
kot nieborak na podlampiu myśli.

Szary szelest nie tyka lnu podłóża
stamtąd żadna stopa nie wyjdzie - choćby tłum buntowniczy
nie chciał zmilczeć.

Nad pomnikiem starych dębów,
tuż na krześle twardoskórym
pomnik Kogoś w wazon trzeźwy
patrzy mruczając na stokrocie
węgiel w kwiatach, wapń w bielakach.

Usiądź Boże - skrzypią deski.
Nie sądzę głośno, kot z filcowym
chodzi nożem...
Utną głowę, nową głowę!

Leszka, chłopaka Hani/Agaty, też polubiłem. Zaimponował mi swoją działalnością i występami w „Teatryku na Wielkiej”.

Ten niewielki teatrzyk mieścił się zaraz na początku ulicy Wielkiej, po prawej stronie, idąc od bramy od Bramy Portowej, nieomal naprzeciwko księgarni, choć nieco niżej, schowany głęboko w drugim szeregu budynków. Mieścił ze sto miejsc na widzów, miał niewielką scenę i niewielkie kulisy, ale był wielki poprzez swój artystyczny klimat i atmosferę pracy literackiej. Działał w obszarze teatru klasycznego, wystawiał znane komedie, ale mnie bardziej fascynowało drugie oblicze teatrzyku, to kabaretowe. Twórczym, dobrym duchem spektakli kabaretowych, był Ireneusz Szmidt, animator amatorskich teatrów i poeta. Chodziłem z wielkim zapałem na premiery kabaretu, a w nich właśnie występował też Leszek Foltyn.

Aktorzy sami pisali teksty, wymyślali numery, śpiewali, wygłupiali się, łącząc nastrój sentymentalnego kabaretu z czystą literacką satyrą.

W 1971 roku teatr przestał istnieć - niestety. Nie było klimatu? Nie było funduszy? Nie było dalszej zgody na istnienie tej niewielkiej, nieco szalonej, grupy młodych artystów? Może dlatego, że w kabarecie pojawiały się też wątki satyryczne dotyczących aktualnego życia w Polsce?

Styczeń 1971

Byłem u Jurka Drechslera. Niby go znałem, bo chodziliśmy do równoległych klas w liceum, ale teraz dopiero poznaję go bliżej.

Jego dom na ulicy Małkowskiego to skład wszystkiego: antyków, starych przedwojennych ubrań, między innymi argentyńskich garniturów (ciekawe, dlaczego argentyńskich?), mebli, rzeźb, obrazów i książek.

To dobry kumpel, gdy jadę Aleją Wojska Polskiego do drukarni około 24, czeka na mnie, w swojej żeglarskiej białej kurtce ze złotymi guzikami, ze świeżym pieczywem, które kupuje w nocy w piekarni w okolicy kina Kosmos.

Zwykle spotykamy się wieczorem, jeszcze przed moją pracą, i słuchamy Hendrixa, Joplin, Rolling Stonesów (mniej słuchamy Beatlesów, Presleya i w ogóle wcześniejszego big-bitu), ale też jazzu, między innymi Milesa Davisa i trio Oscara Petersona, Armstronga i Robertę Flack, także Joe Cockera, Herbie Hancocka. Na liście do słuchania są też Paco de Lucia, Chicka Corea, Jobim. Ciekawi nas czarna muzyka Muddy Watersa, Brubecka. Orkiestrę Glenna Millera słuchamy dla relaksu i do tańca. Nasze wybory są bardzo eklektyczne, muzyka odbija aktualne nastroje i do nich ją dobieramy, a też decyduje o tych wyborach dostępność. Z tym bywa różnie. Wcześniej nie słuchałem wiele jazzu. Wiedziałem o nim tyle, ile opowiedział w swoich audycjach Lucjan Kydryński. Od pewnego czasu słuchamy muzyki z Woodstocku, Joan Baez i Melanie (to polska Góralka z pochodzenia) oraz ballad Dylana i Donovana.

Ta muzyka jest coraz bardziej dostępna. W małych sklepikach przy Wojska Polskiego można kupić najnowsze utwory muzyki zachodniej na pocztówkach albo na większych plastikowych kartach zawierających po dwa, trzy utwory. Sklepy te zniknęły po 1968 roku. Oczywiście kierunki zainteresowań muzycznych wyznaczało Radio Luxemburg, niestety nie o każdej porze dające

się słuchać. Na falach średnich najczystszy odbiór, ale tylko rano i około południa, potem zanikający, a na falach krótkich audycje są zagłuszane, może nie tak, jak Wolna Europa albo BBC, ale jednak trudno słuchać.

Docierają też do nas oryginalne longplaye. W księgarniach i w empiku na rogu Wojska Polskiego można dostać sporo jazzu (co ciekawe, w edycjach ze Związku Radzieckiego i NRD), ale zachodniej muzyki młodzieżowej niewiele. Mam jednak magnetofon tonetkę, więc sporo rzeczy można mieć na taśmach. Słuchamy też muzyki klasycznej: Bacha, Beethovena, Ravela, Czajkowskiego, ale też Pendereckiego i Lutosławskiego. Nie wiem dlaczego, ale nie słuchamy Chopina.

Mimo, że w zainteresowaniach oddaliliśmy się bardzo, wciąż przyjaźnię się z Jankiem Grycajenko. Po wyjściu z więzienia bardzo się zmienił. Stał się twardy i nieufny. Myślałem, że może będzie miał do mnie żal, że wyładował w kiciu, a ja „buszuję w zbożu”.

Do końca życia będę wdzięczny jego mamie, która załatwiła mi pierwszą maszynę do pisania, beżową Optimę. Prawdziwy kłoc, ale niezawodna.

13 luty

Dużo piszę. Jurek próbuje grać na gitarze. Chodzimy na dziewczyny. To, że praktycznie mieszkam teraz sam, bardzo ułatwia mi kontakty z kobietami. Trochę dokucza i ogranicza mnie mój nocny tryb pracy. Ale też ma swoje zalety, gdy przychodzę do domu niekiedy w łóżku znajduję niekoniecznie puste łóżko...

Przyrasta mi biblioteka. Wiernie odwiedzam księgarnię na Wielkiej, ale to nic w porównaniu z biblioteką Jurka. Jego ojciec, doktor medycyny, ma imponujący zbiór książek. Ostatnie moje lektury to Steinbeck, Camus, Kafka, Mann, Musil, ale też Ilia Erenburg i jego *Burzliwe życie Lejzorka Rojstzwańca* - nasz lekturowy przebój. Poezja - to Jesienin.

Jurek jest z pochodzenia Żydem, ale skrzętnie to ukrywa.

Trochę to dziwne, ponieważ mama Jurka niedawno zmarła i miała pogrzeb w obrządku żydowskim. W domu jest też wiele śladów kultury żydowskiej. Ponieważ jednak jest mi to obojętne, nie mówię, że wiem.

Częściej spotykamy się u mnie, bo mam całe mieszkanie do swojej dyspozycji. Trzy pokoje z kuchnią i łazienką, z ciepłą wodą z gazowego junkersa (który mnie kiedyś o mało co nie zastruł na śmierć). Niestety, ogrzewanie jest piecowe, czyli muszę pilnować, aby nie wyziębić mieszkania, no i trzeba nosić węgiel z piwnicy (który, właśnie się kończy). Ale rozpalenie w piecu zajmuje mi dwie, trzy minuty, potem tylko czekać aż się nagrzej i piec, i pokój.

Od 3 tygodni mam psa, krótkowłosego wyżła. Niestety jest chyba psychicznie chory i ma kilkugodzinne ataki agresji (a może lęku?), wtedy trzymam go zamkniętego w najmniejszym pokoju, co jest kłopotliwym rozwiązaniem, bo tam mam telefon. Jak pies ma szajbę, nie mam telefonu. Na szczęście po kilku godzinach pies robi się bardzo miły i towarzyski, a ja mogę znowu dzwonić lub odbierać telefony. Pies jest bez imienia. Mówię do niego *Pies* i chyba nie ma o to pretensji.

5 kwietnia

Opróżniłem dom z mebli. Jeden pokój jest teraz moją szafą ubraniową, a biorąc pod uwagę, że mój dobytek „szafowy”, to dwie zmiany bielizny pościelowej, parę gatek, skarpety, 3 swetry, kurtka i płaszcz, 3 pary spodni, dwie marynarki, kilka koszul i podkoszulków, to moja szafa jest ogromna. Zimą tam nie palę w piecu - oszczędność!

W drugim pokoju mam sypialnię i bawialnię. Tam królem sprzętów jest wielki materac na podłodze, a reszta rzeczy, w tym radio, adapter i magnetofon, stoją na podłodze. No i oczywiście książki, których zrobiło się kilka metrów. Mam też tam sporej wielkości pień, który służy mi jako podręczny stolik. Krzesel i foteli brak.

W kuchni zachował się stół i 3 krzesła. Za szafkę służy mi podokienna spiżarka. Jest też węglowy piec kuchenny, dzięki któremu można ogrzać kuchnię. Jest też gazowy 2 palnikowy.

Okna pomalowałem farbą plakatową na różne wzory i kolory. Praktyczne, nie trzeba prać zasłon lub firan. A z zewnątrz wygląda świetnie. I tajemniczo.

Od czasu zakończenia liceum noszę długie włosy i zapuściłem sobie brodę. W pracy raczej to tolerują, ale na ulicach bywa różnie, szczególnie, gdy dołożyć do tego jaskrawo kolorowe ubrania i różne czapeczki. Właśnie dostałem od marynarza na ulicy fez turecki, bordowo-żółty, bo mieszkanie naprzeciwko stoczni remontowej w pobliżu portu ma swoje zalety - spotykam mnóstwo marynarzy z całego świata.

Jurek z uwielbieniem zakłada na włosy siatki plastikowe od cebuli. Taki hippisowski wystrój podoba się dziewczynom, budzi jednak niekiedy agresję na ulicy. Ale bywa też odwrotnie. Wczoraj, wracając do domu, spotkalismy podchmielonych gości, którzy bardzo serdecznie nas potraktowali i ni stąd ni zowąd wyciągnęli spod pazuchy długą połędwicę wołową i nam sprezentowali (Mania zrobiła pyszny obiad).

Ciekawe! Gdy wystawiłem meble przed dom, zniknęły błyskawicznie. Kilka było bardzo fajnych, np. podręczna szafka na różne bibeloty i przedmioty biurowe - wysoka na prawie 130 cm, a zamykana długą żaluzją. Trochę mi jej żal, bo trzymałem tam drobniaki, które lubią być zamykane, np. moje rękopisy, pióra, a też rachunki i korespondencja.

Wciąż koresponduję z Jolą Budnicką, a właściwie obiema Jolami, bo też Tomankiewicz (moimi byłymi dziewczynami z czasów licealnych).

Z Jolą Tomankiewicz to taka zawstydzająca historia. Podprowadziłem jej z domu arszenik. Prawdę mówiąc, nie wiem dlaczego? Tak na wszelki wypadek, gdybym chciał tym razem być bardziej skuteczny? Zorientowano się i ojciec Joli zjawił się u nas z wielkim niepokojem. Oddałem „zgubę” i było mi wstyd do tego stopnia, że przestałem się spotykać z Jolą.

Dostałem zachęcającą odpowiedź z „Życia Literackiego”. Poprosili, żebym przysłał im więcej wierszy.

Zdarzyła nam się też przykra rzecz - dwie dziewczyny ze smutku, że nie chcemy się z nimi ożenić, napiły się siluksu i wylądowały w szpitalu. Wyjdą z tego. Może nieco podtrute, ale mądrzejsze, mam taką nadzieję.

U mnie w domu czuję się świetnie. Jestem wolny. Ale lubię klimat mieszkania na Małkowskiego, w którym jest zawsze bałagan, jakiś niedokończony remont, nieoczekiwane nowe przedmioty i przede wszystkim krzątająca się cicho po domu Mania, która mieszka tam i pilnuje (bezsukutecznie) porządku i czystości. Jest dobrym duchem dla Jurka i Marka (jego brata), a też kolegów. Zawsze wita nas gorącą świeżą herbatą.

List od Nowakowskiego. Na szczęście nie podpisał się „tata”. Niewiele o nim wiem, oprócz tego, że pochodził z Wielenia nad



Henryk Nowakowski ok.1953 roku, jeszcze jako oficer. Wojskową karierę zakończył w dramatycznych okolicznościach, został skazany za zdradę tajemnic wojskowych, wydany ze służby i odsiedział kilka lat. Prawda o tej zdradzie była jednak nieco groteskowa. Podobno naopowiadał jakichś głupot swojej kochance, a jak ją porzucił, ona na niego zrobiła donos.

Notecią. Dwa albo trzy razy byłem tam na wakacjach u babci. Babcia mieszka niedaleko banku na pierwszym piętrze. W mieszkaniu jest taki pokój, który wzbudza we mnie i ciekawość i lęk. Pokój należał kiedyś do wujka Leona, który przedwcześnie zmarł. W nigdy nie oświetlonym pokoju pachnie tytoniem, stoi szerokie biurko, kanapa, zagraczony stolik, fotel. Pokój wygląda tak, jakby parę dni temu właściciel wyjechał, pozostawiając bałagan i nikt go nie posprzątał. Wchodziłem tam w tajemni-

cy przed babcią. Miałem wtedy z sześć, siedem lat, może dlatego nikt mi nie powiedział, co się właściwie stało z właścicielem pokoju. Teraz już się nie dowiem, bo jak?

W Wieleniu Noteć jest płytka, choć dość wartka.

Nowakowski pracuje w Szczecińskim Urzędzie Morskim, z wykształcenia jest prawnikiem.

22 kwietnia 1971

Spotkałem się na Gdańskiej z moimi najlepszymi znajomymi z liceum. Była Ela Maksjan, Mirek Szyszko, Elżbieta Wierzbowicz (wszyscy są studentami medycyny) i jeszcze paru innymi ludźmi. Ale nie było nikogo z moich nowych znajomych i przyjaciół. I tak miało być.

Urządziłem słuchanie Pendereckiego. Koncert ze świecami, gorącą mocną herbatą i czerwonym grzanym winem, którego zresztą nie piłem. W jakimś sensie była to kontynuacja wieczorów neofilomackich z liceum, choć inne w stylu i z innych powodów. Wszyscy siedzieli na podłodze wokół pieńka, na którym leżała czarna batystowa chusta przecięta sporych rozmiarów siekierą. Przeczytałem też im kilka wierszy. Po raz pierwszy w tym gronie opowiadaliśmy sobie, co kto robił i gdzie był w grudniu 1970 roku.

Pewnie chciałem im coś powiedzieć? Ta chusta... Na pewno, że czas nas rozdziela nieodwołalnie. Tak jak ten topór, chustę batystową wbijając się w nowy, twardy i obcy, nieznany świat.

Po spotkaniu naszkicowałem dość długi wiersz pod tytułem *Świece w deszczu*, wymaga jednak jeszcze sporo pracy.

Teraz dopiero skojarzyła mi się muzyka Pendereckiego z losami mojej mamy, która, jako młoda dziewczyna, przechodziła bardzo blisko Majdanka i widziała samochodowe transporty Żydów dowożonych do obozu.

Gdy była w szpitalu mieliśmy wiele czasu na rozmowy. Opowiadała mi, że znalazła dwa, albo trzy razy listy wyrzucane z transportów z prośbą, aby dostarczyć do rodzin. Oczywiście, mama je wysłała, ale nie dostała nigdy odpowiedzi lub potwierdzenia, że korespondencja dotarła. Jeden z listów był do Francji.

Rodzina mamy wcześniej mieszkała na Pomorzu, konkretnie w okolicach Chełmna i Wąbrzeźna, gdzieś tam mieli mleczarnię i dobrze im się wiodło, dopóki nie zmarł ojciec mamy, Józef Kudła. Wtedy wszystko się pokomplikowało, a już zupełnie, gdy weszli Niemcy, którzy ich wysiedlili. Cała rodzin trafiła w lubelskie. Na szczęście nikt nie został aresztowany, zgarnięty z łapanek (ale mówię tylko o najbliższych).

Mama w momencie wybuchu wojny miała 12 lat. Okupacja nie była dobrym czasem na kształcenie, ale ona była uparta i choć nie było to łatwe, podjęła naukę i w 1944 roku ukończyła tamtejszą szkołę handlową (dla Polaków dostępne były tylko szkoły zawodowe).

Idąc na lekcje musiała przechodzić codziennie obok obozu koncentracyjnego na Majdanku (Majdanek to dzielnica Lublina). Nie było to bezpieczne, łatwo mogła sama tam wylądować. Na szczęście, jako ładna młoda kobieta, budziła raczej sympatię, a nie agresję wśród strażników obozu, którymi byli - poza Niemcami - Ukraińcy i Białorusini, a nawet Włosi.

Koniec kwietnia 1971

Postanowiłem zdecydowanie, że podejmę studia. Ośmiogodzinna praca nie pozwala mi na zajmowanie się sobą i swoim rozwojem duchowym i intelektualnym. Nie mam dość czasu na czytanie. Na pisanie. A teraz piszę dużo.

Aby uciec od nielubianego przez nas Szczecina, namówiłem do studiowania też Jurka i Bernadetę. A tym bardziej, że zarówno Bernadetta, jak i jej siostra, Krysia, zdecydowanie nie chcą, aby zakończyć edukację na maturze. Witek (syn profesora Żuka, znanego ortopedy), który jest trzecim elementem naszej małej „hippisowskiej” grupki, studiuje już na politechnice i zachęca nas do studiów również.

Nie wiem dokładnie, co się kryje za tą naszą niechęcią do Szczecina. Może ogólny klimat obcości. Jakoś identyfikujemy się z tym miejscem, ale mamy poczucie, że miasto nie identyfikuje się z nami. Jest jakaś przepaść pomiędzy naszym życiem i oficjalnym życiem Szczecina. Ludzie są obcy sobie. Agresywni. Brak uniwersytetu pewnie ma wpływ na księżycowe (odbite) życie in-

telektualne i artystyczne. Klub 13 Muz to jedyne znaczące centrum sztuki i kultury. Może coś się dzieje w klubach studenckich, ale też chyba nie za wiele, skoro piszę *może*. Reszta to sztampa: domy, pałace i kluby kultury bez życia.

Zamek Piastowski to teoretycznie drugie centrum. Nie mogę się nadziwić, że jest tam wspaniała sala teatralna, a nie ma w niej teatru.

W mieście są dwa teatry - Polski i Współczesny. Jest też teatr dla dzieci Pleciuga. Dziwne miasto ten Szczecin. Stare miasto wcale nie jest stare. Pomniki przywiezione ze wschodniej Polski. Wszędzie słychać, że Szczecin wreszcie powrócił do Polski, ale przecież tu nie ma jednego śladu polskości. Wszędzie znajdujemy niemieckie książki, nawet we własnych domach. Nie spotkasz tu ani jednego Niemca (a jeśli są, to dobrze się ukrywają), są za to niemieckie pozostałości (nawet na wysypisku, w pobliżu którego mieszkam), choćby pieniądze, które niespodziewanie wysypały się ze starej ponemieckiej szafki w naszej łazience. Kto je tam ukrył?

Miasto wydaje się zdrtwiałe po wydarzeniach grudniowych 1970 roku. Jest w nim jakiś bolesny smutek. I dlatego wybieramy się do Raciborza. Tam jest Studium Nauczycielskie. Ja chcę iść na polonistykę, Jurek i Bernadeta na kierunek muzyczny. Studiuje tam już moja kuzynka, Kinga. Pisze, że Racibórz jest ładnym miastem. Choć to też kocioł: Czechów, Polaków i Niemców.

Ale wcześniej przed nami lato w Krępie. Mamy magnetofon tonetkę, sporo nagrań, płyt, urządzamy sobie własny woodstock w dolinie Płociczny, rzeczki płynącej za wzgórzem z drugiej strony jeziora w Krępie. Witek przywiózł ze Szwecji adapter na baterie i na dodatek stereofoniczny, dźwięk w dolinie jest wspaniały. Słuchamy też muzyki z magnetofonu w stodole (w niej śpimy latem, gdy przyjeżdża cała nasza grupa), co wkurza mojego ojca, który nie może zrozumieć, jak można słuchać czegoś takiego, jak Hendrix.

Szkoda, że Jolinki nie będzie z nami w Raciborzu.

Jestem teraz z Jolą Rajz. Poznałem ja poprzez swoją wcześniejszą dziewczynę. No, może to za dużo powiedziane, że była

to moja dziewczyna, choć spotykałem się z nią często. Kiedy przytrafił mi się atak nadnerczy zadzwoniła po poradę do swojej koleżanki, której ojciec jest lekarzem, a właściwie felczerem. Czyli prawie lekarzem. No i tak poznałem moją obecną miłość. Jola jest wspaniała. Piękna. Mądra. Ma cudowne piersi i jest bardzo zgrabna. Jest w niej coś tajemniczego. Nazywam ją Gandi-ka. Studiuje w Poznaniu rusycystykę. Jej rodzina pochodzi chyba z Wołynia, mama jest Rosjanką, a tata polskim Żydem, ma na imię Wolf.



Powyżej: 1971 rok. W domu u Wojtka, wtedy namiętnie paliłem fajkę i czytałem swoje wiersze, gdy tylko ktoś mi na to pozwolił.

Maj 1971 roku

Od kilku już dobrych lat wszelkie uroczystości pochodowe organizowane są na Alei Wyzwolenia. I tym razem pochód szedł jak zwykle od strony Niebuszewa. Był czerwony, kolorowy, liczny, a jednak tym razem stało się coś niezwykłego. Na czele grupy stoczniowców pojawili się (głównie młodzi) ludzie w czarnych ubiorach i czarnych rękawiczkach. Nieśli tablice z napisami, też na czarno, przypominającymi ofiary Wydarzeń Grudniowych 1970 roku w Szczecinie. Domagali się ukarania winnych za ofiary Grudnia.

Ciekawa była reakcja przedstawicieli władzy. To znaczy była

żadna. Nie odnieśli się do tej „czarnej manifestacji”, tak jakby jej nie widzieli, mimo że widzieli ją wszyscy. Wcześniej oficjele (przywódcy partyjni) radośnie machali do pochodu i pomiędzy sobą komentowali aktualne zdarzenia, teraz znieruchomieli, przestali się uśmiechać i zamilkli.

Nie było żadnej interwencji milicji, przynajmniej na pochodzie. Nie wiem, gdzie odeszli manifestanci i czy ponieśli jakieś konsekwencje swej odwagi. Oczywiście w gazetach o tym nie napisano. Ale po mieście przeszedł dreszcz.

Od lat nie chodziłem na pochody pierwszomajowe. Nasz dyrektor w liceum nie specjalnie egzekwował ten nasz *obywatelski obowiązek* i... *przywilej*. Na pochód zasadniczo szła reprezentacyjna ekipa, ale niezbyt liczna. A jednak w tym roku poszedłem pod trybunę, choć nikt na mnie nie naciskał.

6 maja

Psa oddałem osobie, która ma ogromny wybieg, tam mój wyżeł będzie czuł się lepiej, a może nawet ustabilizuje się psychicznie. Ale już mam nowego. To rasowy maltańczyk, szlachetnej rasy, ale zupełnie nieszlachetnych obyczajów. Nazwałem go Dziadek. Miał być Dziad, bo lubi się szwendać, zwiedzać śmietniki i ponad wszystko być ubrudzonym w błocie. Jest bardzo towarzyski, zdyscyplinowany i inteligentny. Ma długą, białą sierść, po kąpieli imponującą! Ma tego świadomość, bo zaraz po myciu i czesaniu wdzięczy się jak panna na wydaniu. Ale, niestety, gdy zobaczy kałużę, natychmiast musi w nią wejść.

Koleguje się z bokserem, Baszą, psem Jurka. Próbuje go zdominować, na co Basza łaskawie zezwala. Basza ma zresztą zupełnie inne obsesje niż walkę z takim kurdupelem jak Dziadek. Basza nienawidzi koni i, jak tylko zobaczy jakiegoś, wpada w bitewny szal, a że po Szczecinie jeździ dużo wozów konnych, to i okazji do wojen sporo.

Oba psy stanowią niezłą i zwracającą na siebie uwagę parę. Mój maltańczyk po kąpieli i w czerwonej wstążce i Basza z pomalowanymi na czerwono jądrami (to pomysł Jurka) budzą ogólną uciechę. Wiedzą o tym (mówię o psach).



Zasypana śniegiem stacja kolejowa w Krępie Krajeńskiej

Dojechałem w nocy do Krępy parowozem

Dorwała mnie chandra i zaraz po pracy postanowiłem pojechać do Krępy, a że nie miałem dostatecznie dużo pieniędzy żeby kupić bilet na pociąg, pojechałem autostopem. Najpierw do Starogardu Szczecińskiego, potem w kierunku Wałcza. Nie miałem szczęścia, bo gdy dojechałem do Kalisza Pomorskiego, spóźniłem się na ostatni pociąg do Krępy (miałem plan dwie stacje z Kalisza jechać na gapę). Stałem na stacji dość długo, aż nadjechał pociąg towarowy. Wybłagałem maszynistów, aby mnie podrzucili do Krępy. Zgodzili się pod warunkiem, że będę wrzucał węgiel do paleniska, a w samej Krępie nie zatrzymają się, tylko zwolnią i będę musiał wyskoczyć z lokomotywy. Tak się też stało.

Do domu dotarłem przed trzecią rano. Rodzice - jak zwykle - ucieszyli się. Tylko trochę byli zdziwieni, że dotarłem o tej porze i wymorusany jak nie wiem co...

Już lato. Noce w Szczecinie są gorące

Byłem w Bramie Hołdu Pruskiego na spotkaniu autorskim z pisarzem Janem Pachlowskim. Często tam zaglądam, bo spokojnie można poczytać i wypić kawę lub herbatę, wziąć z wiesz-



Helena Raszka, portret do tomiku

ka gazety i je przejrzeć. Pachlowski to prozaik. Ale też bardzo ceniona postać w Szczecinie. Opowiadał o latach, gdy pływał na dalekomorskich statkach rybackich. Jest w nim rodzaj spokoju, którego mu zazdroszczę.

Czytam wciąż wiersze liryczne Broniewskiego *Ulica Miła, Przypływ...* W szkole nam wciskano rewolucyjnego Broniewskiego, chociaż nasza profesorka, pani Zofia Wierzchowska, sygnalizowała, że ten inny, liryczny Broniewski, jest bardziej wartościowy. Szczególnie wiersze poświęcone córce, a też te

wojenne. Wpadł mi też w rękę nowy tom wierszy szczecińskiej poetki, Heleny Raszki, zatytułowany *Liczba pojedyncza*. To zupełnie inna poezja. Fascynująca. Znacznie lepsza od Marcinkowskiej (też ze Szczecina, znam jej córkę).

Czerwiec 1971

Poznałem ciekawych ludzi, hippisów. Mieszkają w komunie w niewielkim mieszkaniu w śródmieściu. Trzy dziewczyny i pięciu chłopaków. Wszyscy długowłosi i kolorowo ubrani. Pochodzą z różnych miejsc w Polsce. Mieszkanie jest własnością bardzo pięknej dziewczyny. Marek gra na gitarze, wszyscy śpiewają. Słuchamy razem muzyki, tu mamy wspólne upodobania - Joplin, Hendrix, Dylan. Znajomy Jolinki, niejaki Mike, przysłał jej nową płytę Baez, *One Day at a Time*. Wsłuchujemy się w nią, tym bardziej, że to bieżąca muzyka amerykańska.

Moi hippisi odwiedzili mnie w nocy na Gdańskiej. Było sympatycznie, choć wiele nie rozmawialiśmy, głównie słuchaliśmy muzyki zarówno z płyt jak i wykonywanej przez Marka na gitarze. Zrobiłem kanapki. Nie piliśmy alkoholu, ale za to oni brali różne prochy, między innymi tak zwane *pestki* (chyba truxal) i mówili

też coś o wachaniu, ale nie skorzystałem. Mieli morfinę, też nie skorzystałem. Może nadmiernie byłem ostrożny, a może po prostu zbyt tchórzliwy?

W sumie my też tworzymy kolorową grupę. Bernadeta, Jolinka, Witek, Gienek - młodszy brat Bernadety, Jurek, a też z pewnością oddali Iwonka, dziwna i śliczna istotka, burczący Marek (brat Jurka). Wszyscy to piękne osoby. Lubimy być ze sobą, palić fajki (dr Maxa), opowiadać o ostatnio przeczytanych książkach, robić kanapki, wędrować nocą po Szczecinie, a że też tworzymy pary, to również kochamy się. I oczywiście wspólnie jeździmy do Krępy.

Krępa Krajeńska

Pod koniec lat sześćdziesiątych, po długiej chorobie mamy, rodzice postanowili zrealizować swoje wielkie marzenie i przeprowadzili się do lasu. Ojciec, jako księgowy, nie miał problemów ze znalezieniem pracy. Ostatecznie, choć nie bez przeszkód, wyładowali w Krępie Krajeńskiej, pięknej leśnej osadzie, leżącej około 120 kilometrów od Szczecina.

Cały mój ostatni rok licealny dzieliłem między szkołę i szpital. Mama przyjechała do Krępy zdrowa. Do surowego budynku, bez ogrodu, choć z przylegającą ziemią i budynkami gospodarczymi.

Już po roku miejsce to obrosło dwoma ogrodami. Jeden przed budynkiem domu mieszkalnego, kwiatowy, drugi, z tyłu, za wszystkimi zabudowaniami, warzywny i z drzewami owocowymi. Dalej było niewielkie pole i las. Ten dom pod lasem stał się moim nowym ważnym miejscem na ziemi, choć nigdy tu nie zamieszkałem na stałe.

Był też azylem dla moich przyjaciół, którzy niekiedy tłumnie zjawiali się mniej lub bardziej spodziewanie. Jeździliśmy tam chętnie, ja jeszcze z moją licealną miłością, Jolą Budnicką, a potem z Bernadetą, Jolą Rajz, Witkiem i Jurkiem, a niekiedy jeszcze innymi znajomymi. Rodzice bardzo chętnie przyjmowali te wizyty, choć musieli też nas karmić, bo grupa nasza była wesoła, ale goła i ledwo starczało nam na pociąg.

Jeździliśmy tam spontanicznie, decyzje podejmowaliśmy w jednej chwili, ale najczęściej wieczorem, co powodowało, że

dojeżdżaliśmy na miejsce w nocy, albo już nad ranem. Wykończeniu. Niedospani. Pomimo to szczęśliwi, że znowu w Krępie. Spaliśmy w stodole, którą ojciec wyposażył w suche, miło pachnące siano.

Siedzimy do późna w nocy albo i do rana. Rozmawiamy o wszystkim. O życiu, o książkach. A z nami często mama, która lubi młodych ludzi i jest przez nich lubiana. Palimy papierosy lub fajki, pijemy mnóstwo herbaty. Nie pijemy kawy, kawa jest droga i mało dostępna. Zresztą nie chcemy ojca, wielkiego kawosza, pozbawiać jego kawowych zapasów.

W Szczecinie trudno dostać dobrą herbatę, np. Junan, zwykle jest Ulung albo Gruzińska, ale tutaj, w samej Krępie, albo w Tucznie lub Wałczu, dobrej herbaty jest w bród, trafia się nawet herbata angielska (Twinning's i Lipton), albo mniej znane gatunki herbaty cejlońskiej. Palimy polski tytoń fajkowy. Przedni i Najprzedniejszy, czasami Neptuna, a czasami - jak się trafi - Amphorę, którą można dostać w małych sklepikach delikatesowych. Amphora to jest coś. Gdy ją palić na początku Krępy, to czuć ją na końcu osady. Rodzice palą najtańsze chyba papierosy, Płaskie (zupełnie nie płaskie!), to te z długim, papierowym, ustnikiem. Nie zawsze są dostępne, a więc kupują w dużych ilościach na zapas. Jeśli nie ma Płaskich, kupują Nysy, niby takie same, ale chyba gorsze. To ja już wolę Sporty albo Extra Mocne, ale oczywiście najlepsze są Rarytasy. Najgorsze papierosy to Żeglarze, chyba robione z przegniłych liści tytoniowych. Pojawiają się też bardzo aromatyczne i jeszcze bardziej mocne papierosy kubańskie Partagasy i Ligerosy. Palimy nieomal wszyscy. Najlepiej jednak palić fajkę, bo to sam tytoń i nawet ten polski, Najprzedniejszy, jest przyjemnie aromatyczny i niezbyt mocny. Mamy też własne patenty na ulepszanie tytoniu, np. wkładamy do plastikowej torebeczki tytoń z suszonymi śliwkami, po dwóch, trzech dniach przechodzi aromatem i smakiem owocu.

Wyjazd do Raciborza, październik 1971

Właściwie nie wiem, dlaczego właśnie do Raciborza. Może dlatego, że moja kuzynka Kinga tam studiuje i jest niezwykle miłą osobą.

Jedziemy ekipą: Bernadetta, Jurek i ja. Każdy z nas ze sporym bagażem, bo mamy tam być do świąt, czyli prawie trzy miesiące. Jedziemy zakopconym, zatłoczonym, nocnym pociągiem osobowym trasy Szczecin - Przemyśl, z przesiadką we Wrocławiu, skąd, już lokalnym pociągiem, do Raciborza. Znam tę trasę, jeździłem nią już wcześniej. Pociąg zawsze jest przepełniony, brudne wagony, skład zatrzymuje się w każdej pipidowie.

Ponury komunikat, który nas jednak rozbawił. Zmieniając pociąg we Wrocławiu mieliśmy pół godziny czekania na dworcu. W pewnym momencie usłyszeliśmy komunikat: *Uwaga, Uwaga! Specjalny pociąg do Oświęcimia jest podstawiany na peron 4, wszystkie miejsca są zarezerwowane.*

Zrobiło nam się przez moment dziwnie.

Podróż nas nie rozczarowała. Cały czas na korytarzu, a nawet przez chwilę w cuchnącej ubikacji. Ale dojechaliliśmy. Po drodze, już bliżej Raciborza, poculiśmy, że jesteśmy na Śląsku. Kobiety w czarnych strojach mówią ze sobą z dziwnym akcentem, po śląsku. My zwracamy uwagę naszymi ubraniami, które odbijają kolorami od otaczających nas szaro - buro - czarnych ubrań współpasażerów.

Zostaliśmy zakwaterowani w domach studenckich. Bernadetta tuż koło Studium Nauczycielskiego, ja z Jurkiem sporo dalej, za Odrą. Jutro opiszę nasze wrażenia, bo dzisiaj jestem już wykończony.

Zajęcia zaczynają się dopiero pojutrze. Mamy zatem czas na rozejrzenie się po okolicy.

Zabudowania uczelni rozległe i nowoczesne, powstały już po wojnie i stanowią małe miasteczko. Jest w nim wszystko, poza basenem pływackim, (a powinien być, bo jest tu też kierunek wychowania fizycznego) i sklepami. Gdy trzeba coś kupić, musimy iść poza szkołę.

Jest sala teatralna, klub studencki, specjalistyczne pomieszczenia sportowe, stołówka, a przy niej duży, nowoczesny, akademik. Z tym akademikiem jest dziwnie. Dwa trzypiętrowe skrzydła nie mają ze sobą połączenia na piętrach. Jest tylko wspólne lobby na parterze, kontrolowane przez portiera lub portierkę. Najwyraźniej

intencją projektanta było oddanie do użytku po lewej skrzydła dla studentek, a po prawej stronie dla studentów. Taki zresztą jest obecnie standard w znanych mi akademikach. **Nie dla koedukacji**, ale tutaj, w Raciborzu płcie nawet nie mogą mieszkać przy wspólnej ścianie i dlatego część żeńska, lewa jest zamieszkała przez studentki, a część prawa jest całkowicie nieużytkowana i stoi pusta. Panowie studenci dostali starą ruderę na ul. Opackiej, za ośrodkiem akademickim z dziadowskimi urządzeniami higienicznymi, z sześćco- i więcej osobowymi pokojami, ale jest jeden plus: nie ma portiera.

Poznałem kilka ciekawych osób. Między innymi Marylę, która wydaje się podobnym do nas wyrzutkiem z wielkiego miasta (z Katowic). Na kierunku wychowania fizycznego jest sporo ładnych dziewcząt. Bardzo mnie zauroczyła Ola Solecka. Byłem z nią na długim spacerze. Pochodzi z Oleśnicy i trochę mi opowiedziała o życiu w tym rejonie Polski. O małomiasteczkowych obyczajach, ograniczeniach i nudzie.

Maryla natomiast zaznajomiła mnie z najbliższą knajpą piwną (jest wielką miłośniczką tego napoju) i miałem okazję poznać, co to znaczy pomieszanie kultur. W barze, przy piwie, rozmawia się tutaj i po polsku, i po niemiecku, i po czesku.

Mamy rowerek składany, a więc sporo jeździmy po okolicy i poznajemy otoczenie, od miasta począwszy do wiejskiego przedmieścia, niezwykle pięknego i tajemniczego.

Nasz składak też robi tu karierę. A może nie składak, tylko kapelusz i kolorowe ubranie?

Odra tu znacznie skromniejsza niż w Szczecinie, ale chodzimy tam i pozwalamy się unieść nostalgii. Nawet wysłaliśmy w butelce wiadomość, żeby Szczecin się wypchał.

A jednak brakuje nam naszych szczecińskich tras, ciepłych nocy, dziewczyn, co *uwielbiają* silux.

Kinga zaprowadziła mnie do nieużywanej wieży ciśnień. Potężna budowla z tarasem widokowym na samej górze. Widok z niej nieziemski, ale jednocześnie widać, że Racibórz to nie jest wielkie miasto.

Koniec października.

Na zajęciach jest zupełnie ciekawie, mam na myśli te z literatury, które prowadzi dr Henzel. Niewielkiego wzrostu, wielkiego umysłu i bardzo pogodnej osobowości. Rozpoczął zajęcia od dokonania summy współczesnej polskiej literatury. A potem od takiej obserwacji: wszystko, co kiedyś zdarzyło się w literaturze polskiej, od średniowiecza do nowoczesnej literatury XIX i XX wieku, zapisało się w najnowszej, współczesnej literaturze i w naszym literackim, codziennym języku. Tu jednak literacki język i potoczny, to zdecydowanie różne światy.

Na gramatyce opisowej zrobiłem sensację, pisząc bezbłędnie ćwiczenie z zakresu fonetycznego zapisu tekstu. Mnie to za bardzo nie dziwi, przyjechałem z miasta, w którym mało kto ma jakieś naleciałości regionalne i raczej mówi się czystą polszczyzną, a na pewno tak jest w moim domu rodzinnym. Tutaj, w Raciborzu, na tym konkretnym Studium Nauczycielskim, każdy mówi z jakimiś naleciałościami, zwykle z silnym akcentem śląskim, niemieckim lub czeskim. A ćwiczenie polegało na napisaniu tekstu tak, jak się go słyszy. Moi koledzy studenci słyszą zupełnie inaczej.

Wczoraj byłem w niewielkiej piekarni, kupiłem pół chleba i bułki, a pani do mnie: *zwei und fünfzig*. Zamurowało mnie, ale chlebuś był bardzo dobry. Bułki też.

W akademiku wykroiłem sobie własny pokój. Z chłopakami obok mam dobre relacje. Podobnie na roku. Zdaje mi się, że jesteśmy tu (nasza trójka) traktowani jako egzotyczne egzemplarze, ale szczęśliwie łączy się to, na ogół z koleżeńskim i pozytywnym podejściem. Może tylko ci z wychowania fizycznego są trochę zdystansowani. Ola Solecka nie. Spotykam się z nią dość często.

Pobyt tutaj uświadomił mi po raz pierwszy jak różna jest Polska.

Wiadomo, dzieli się na wiejską i miejską. W Szczecinie zauważalna była obecność ludności napływowej ze wschodu, bardziej z Ukrainy niż z Litwy.

Ogólnie też wiadomo, że są Ślązacy, Górale, Kaszubi, Pomorzanie (moja rodzina to Pomorzacy), ale dopiero tu zauważyłem, jak bliskość różnych kultur tworzy rodzaj chaosu, różne emocje, zderzenia..., Czyba nie wrogości? Na pewno jednak są antagonyzmy i różnice mentalne. Widać to wśród studentów z mojego roku.

Bardzo mnie męczy mój złamany nos. Nie mogę swobodnie oddychać. Zdecydowałem się na zabieg u laryngologa. Wyprostował mi go (a wcześniej musiał go złamać), bolało i wciąż boli. Po zdjęciu opatrunków ma przestać.

Nie sądziłem, że to będzie tak brutalny zabieg. Potężny chirurg-laryngolog posadził mnie na fotelu podobnym do dentystycznego, ścisnął kolanami, chwycił za dłuto i bum, chrum, bum chrum, bolało jak nie wiem... Potem wsadził mi w nos ogromne ilości sznurkowych tamponów i kazał przyjść za kilka dni.

Zabieg zrobiłem w miejskiej przychodni. Wreszcie koniec z kropelkami do nosa. Oddycham normalnie.

3 listopada

Dzisiaj rozpocząłem pracę przy wystawieniu *Ocalonego*, wg Różewicza. Pomysł dramaturgiczny jest prosty - na bazie wiersza *Ocalony* i korzystając z innych tekstów autora, ale też dopisując własne kwestie, chcemy stworzyć „*ocalonego naszych czasów*”. Ale nie wiem, co z tego wyjdzie, bo jestem na początku drogi reżyserskiej, a moi „aktorzy” bardzo początkujący nie tylko aktorsko, ale i poetycko... Jedyne Maryla łapie o co chodzi. Mamy próby czytane, a właściwie dyskutowane, za to w sali teatralnej i z pełnym teatralnym osprzętem.

Ta zabawa sama w sobie jest już warta przyjechania do Raciborza. W Szczecinie nie miałbym takich możliwości. Te moje zajęcia spotykają się z aprobatą tutejszej kadry nauczycielskiej. Henzel powiedział, że pomysł wystawienia *Ocalonego* jest świetny, choć jest ciekaw, jak to zrealizuję. Ja też.

Jurek został wybrany na kierownika klubu studenckiego. Klub ma sporo sprzętu muzycznego, magnetofony, a co ważniejsze stereofoniczny adapter i naprawdę sporo płyt. Są też wzmacniacze

i duże głośniki. Wkrótce rozpoczynają się wieczory jazzowe, a ja poprowadzę wieczór polskiej muzyki klasycznej połączony z czytaniem poezji. Na pewno poczytam swoje wiersze. Kilka dziewczyn z mojego roku też przyznało się do pisania poezji.

Odwiedzają nas w klubie dość tajemniczy panowie. Właściwie już nie są tajemniczy, bo wprost powiedzieli nam, że są tu na służbie. Kiedyś już spotykałem takich gości, gdy założyłem Klub NeoFilomatów w liceum.

Wstąpiliśmy do Zrzeszenia Studentów Polskich. Ja jestem szefem kultury w Radzie Wydziałowej. To pomaga w załatwianiu wielu spraw. Swoją drogą te korzystne dla nas wybory w Zrzeszeniu poszły zaskakująco pozytywnie dla nas. Spodziewaliśmy się, że starsi studenci dadzą odpór, ale nie. Może to wynikać z różnic mentalnych i z krótkiego cyklu studiów - szybko zaczyna się myśleć o tym, co będzie po skończeniu Studium. Czas studencki to krótki epizod.

12 listopada

Wreszcie mam dużo czasu na czytanie. Wziąłem sobie z biblioteki Lewina, Woroszyńskiego, dziwnego Białoszewskiego, Markiewicza i Rilkego!

Odkryłem Grochowiaka. W jego pomyśle turpizmu jest wielka siła poetycka. Dobrze z niego korzystając można osiągnąć mocne efekty zbliżone do ekspresjonizmu (a właściwie, czy to nie jest ekspresjonizm?). Szczerze mówiąc, dawno odkryłem, że zderzenie brzydoty i czystego piękna paradoksalnie daje lepsze efekty poetyckie (artystyczne), niż wygładzone obrazowanie i spokojny język. A jak dodać do tego wzburzenia językowe, łamanie jego codziennych reguł i zwyczajów, to metoda ta jest po prostu rewelacyjna.

Martwa natura

Nad zielonym ogrodem
w ciemnej toni
przy oknie, w ramie stała
starucha
bez nosa
bez ucha
i z plastrem na oku.

W ramie okiennej,
bez ruchu
kręcąc tylko nożykiem,
starucha
spuszczała obierki jabłka.

W ciemnej toni
wkuta w stare mieszkanie
zaropiała,
brudna ropucha
zgrzybiałymi rękoma
spuszczała korale różańca.

Jak w obrazie zbrodniarza -
kobieta w oknie,
nóż przy okaleczonej gębie
wkrawa się w owoc,
który nim zje
zwiędnie.

Nawiasem: zauważyłem, że tutaj, w Raciborzu, wiele starych ludzi siedzi w oknach i z tej perspektywy obserwują świat, ulicę, ludzi. Są trochę dziwni. Trochę straszni. Takie osoby, jak ta kobieta z mojego - powyżej - wiersza.

Niedziela

Mam dużo czasu na czytanie, bo okazuje się, że moje trójczyny z liceum dają mi jednak solidną podstawę edukacyjną w porówna-

niu do średniej wiedzy innych tutaj studentów. Literatura polska wykładana jest tu na poziomie *Zarysu dziejów literatury polskiej* Juliusza Kleinera, czyli jednak bardzo powierzchownie, lub lepiej powiedzieć skrótowo.

W liceum Kleiner nie był mile widziany. Należało opierać się w wypracowaniach wiedzą podręcznikową i lekcyjną. Tutaj moje „nadmiarowe” lektury i własne studia nad literaturą zaowocowały i jestem najlepszym studentem na roku. Mam tylko kłopot z językiem rosyjskim. Lektor postanowił mnie nauczyć języka bezwzględna metodą - na każdych zajęciach odpytuje mnie i w ten sposób zmusza do zwiększonej pracy. Ale czy można nauczyć się języka, nie mając motywacji?

27 grudnia

Wylali mnie ze Studium Nauczycielskiego.

Luty 1972

Bezpowrotnie straciłem mieszkanie w Szczecinie na Gdańskiej. Ponieważ było czynszowe, więc gdy rodzice musieli się stąd wymeldować, bo zamieszkali gdzie indziej, a ja wyjechałem jesienią ze Szczecina, mieszkanie wróciło do miasta.



Most kolejowy nad Płociczną 1 km za Krępą

Ale zyskaliśmy Krępę, która jest piękna. Nawet bardzo piękna, ale zostać tu na zawsze...? Dostałem pracę na miejscu, w sklepie spożywczym. W zapleśniałej wiejskiej chacie, gdzie buszują polne myszy i robactwo. Sklepiarz, a właściwie *pan sklepowy* w takiej miejscowości, to gość. Mówią do mnie *panie kierowniku*.

Zrobiłem manko w niecałe dwa miesiące. Nie wiem, jak to się stało, bo przecież nie podkradałem pieniędzy ani towaru?

Jest prawdziwa zima.

Brałem udział w wypalaniu przerębów (przecinek) - robi się wielkie, na dwa, trzy metry ogniska z pozostawionych po wyrębie gałęzi i to kilka naraz. Mróz, śnieg, a ja czuję się jak w gorącym piekle, otumaniony wysiłkiem i intensywnymi zapachami. Takie wypalanie trwa cały dzień, a zatem wracam do domu w nocy wykończony.

Któregoś dnia leśniczy mieszkający za płotem zapytał, czy chcę przez kilka dni popracować przy ocenie stanu zdrowotnego lasu. Jasne.

Z bólem, bo z bólem, następnego dnia wstałem z samego rana i ruszyliśmy w stronę Sitna. A potem odbiliśmy w stronę Jeziorek. Nie wiem, czym kierował się leśniczy przy wyborze drzew, ale tym wybranym należało naciąć korę, odchylić ją i zliczyć wszystkie kryjące się pod nią owady i ich formy przetrwalnikowe. Było to swoiste odkrywanie skarbów. W ciągu dnia, przez dobrych kilka godzin zbadał się w ten sposób mnóstwo drzew.

Zrobiliśmy też sobie niewielkie ognisko i był czas na śniadanie.

Zimą w lesie jest cisza. A na pewno większa niż latem. Zimą, nocą, słyszeć jak pociąg rusza w Białym Zdroju i w Jeziorkach, to na trasie Kalisz Pomorski - Tuczno, potem do Piły. A poza tym gło-
wa aż boli od tej ciszy.

Ojciec zbudował mi pokój na poddaszu, mogę się tam skupić na pisaniu i słuchaniu muzyki. I myśleniu.

Ojciec chciałby, abym tu pozostał i robi wszystko, żeby mnie do tego zachęcić (łącznie z szukaniem dla mnie innej, lepszej pracy i wolnych panienek). Mama jednak wie, że nie jest to miejsce dla mnie na zawsze.

Marzec 1972

Brakuje mi Joli, choć nie powiem, oglądam się za dziewczynami (za mną też się oglądają, między innymi córka miejscowego prezesa ważnej firmy z Tuczna, oho, ho! Mógłbym się ożenić i zostać bogatym mężem, a żona byłaby całkiem, całkiem).

Jurek i Bernadeta też daleko. W styczniu, po feriach, pojechali do Raciborza. Zobaczymy się na feriach wielkanocnych. Już niedługo.

Artykuł w „Studencie”

Nie wiem w jaki sposób sprawa mojego wyrzucenia z Raciborza nabrała rozgłosu. W „Studencie” ukazał się artykuł Stanisława Jankowskiego, pod wiele znaczącym tytułem „Wszystko chciał powywracać”.



Kawalek kopii artykułu

W tym samym numerze bardzo ciekawy tekst Ryszarda Krynickiego o młodej poezji polskiej:

Marzec 1972

Odkrywam, czym jest życie na odludziu, poza miastem. Przeraza jednostaj-



ność. Jedyne, co ratuje moje samopoczucie, to ciągle wałęsanie się po lesie i okolicach pieszo, albo jeżdżąc rowerem, lub motorowerem, czy dezelowaną wufemką. Jeżdżę też po okolicy naszym „ciapkiem”, czyli niewielkim odkrytym traktorem.

Przyroda jest tu fascynująca. Są dzikie zwierzęta, których nigdy bym nie zobaczył w mieście (chyba, że w zoo), ale aby wypatrzeć je trzeba skupienia, niespieszenia się, odchodów. Zdara się jednak, że o świcie ze schodków naszego domu można zobaczyć na skraju pola sarny, dziki, fantastyczne rogacze, nie wspominając o zającach i pomniejszych zwierzynie, na przykład o kunach. A z głębi lasu dobiegają charakterystyczne dźwięki rykowiska.

Marzec cd.

Blisko naszego domu, pod bramą, zobaczyłem nieruchomego zająca. Podeszedłem, a on nic. Nie rusza się. Pogląskałem go. A on nic. Jezus Maria! Nie żyje!... Żyje, bo jest ciepły. Pomyślałem, że może chory, albo coś. Postanowiłem, że pójde do leśniczego po pomoc. Po kilku krokach obejrzałem się, a ten „chory” zając zmykał co sił w nogach w pole.

Nie wiedziałem, że one, gdy się przestraszą, nieruchomieją, a potem się śmieją z miastowych.

Racibórz, ciąg dalszy

Myślałem, że już mogę zapomnieć o tej „przygodzie”. Ale nie, zostałem zaproszony do telewizji w Warszawie, gdzie miałem być jednym z bohaterów reportażu.

Pojechałem. Audycję nagrano i... nigdy nie została wyemitowana. Powiedziano mi, że zadziałały *czynniki*. A na boku: długie ręce egzekutywy z Raciborza.

Dostałem zwrot kosztów podróży, nocleg w hotelu Warszawa, a nawet rodzaj honorarium, które nazwali delegacją, a które stanowiło wcale nie małą kwotę, bo 600 złotych.

Marzec 1972

Tak więc, zdecydowałem. Pojechałem za Jolą i ze stanowczym postanowieniem dostania się ponownie na studia. Tym razem

w Gdańsku. Polonistyka daje szansę na poczytanie sobie i porządne, systematyczne przyjrzenie się literaturze. Mama dała mi pościel, sporo jedzenia, zapakowałem się w torbę i pojechałem... Przez Wałcz, Piłę, Starogard do Wrzeszcza.

Znalazłem się w nowym miejscu do życia. Na jak długo? Nigdy nie pomyślałem, że właśnie wyląduję w Gdańsku, a powinienem, bo *nomen omen* mieszkalem kilka dobrych lat na ulicy Gdańskiej.

Jeszcze zima 1972, już w Gdańsku

Jola studiuje filologię rosyjską (przeniosła się z Poznania do Gdańska na ten sam kierunek). Po wyrzuceniu mnie ze Studium Nauczycielskiego w Raciborzu jasne było, że nie będę chciał zamieszkać w Krępie na stałe. Całe życie mieszkalem w mieście, w Szczecinie. Co ja bym robił na wsi, a właściwie w miejscowości mniejszej niż wieś, bo w osadzie leśnej. Ledwie parę domów, sklep ze wszystkim, budynek nadleśnictwa, a półtora kilometra dalej wąska ścieżka do stacji kolejowej.

W Gdańsku czekała na mnie Jola. Mieszkała w akademiku w Brzeźnie, sto metrów od morza. Dla mnie znalazła stancję. Było to miejsce tak sterylne i estetycznie wychłodzone, że aż mnie sparaliżowało. Zostawiłem swoją torbę wraz z pościelą i powiedziałem, że przyjdę później. Nie przyszedłem.

Znaleźliśmy coś znacznie przyjemniejszego. Pokój na poddaszu we Wrzeszczu, przy ulicy Dubois 48. I zamieszkaliśmy tam razem. Nic lepszego nie mogło mnie wtedy spotkać.

Było ciężko. Nie mieliśmy pieniędzy. Rodzice podsyłali mi po kilkaset złotych. Jola dostawała niewielkie wsparcie od swojej mamy. Miała też stypendium. Moje pieniądze wystarczały za ledwie na pokrycie wynajmu stancji (u Pani Ewy, Polki, córki gdańskich, polskich autochtonów). Trzeba było jednak coś jeść. Radość była wielka, gdy przychodziła paczka żywnościowa z Krępy, a w niej pierogi, dużo pierogów, z mięsem i ruskich. Była też kiełbasa z dziczyzny, słoiki z marynowanymi grzybami i innymi domowymi produktami.

Ale za co kupić ubrania i książki?

Od czasu do czasu udawało mi się załapać na zrzucanie lu-

dziom węgla do piwnicy, a że był to sezon zimowy, wystarczyło tylko pokręcić się wokoło. Pieniądze relatywnie były spore, bo za dwie godziny dostawałem 50, a jak węgla było więcej i 100 złotych. Za pokój płaciliśmy 500 złotych. Czasami, zamiast pieniędzy, dostawałem jedzenie. Też dobrze.

Dubois to dobre miejsce. Wszędzie blisko, na placu Komorowskiego antykwariat, dwieście metrów dalej bar mleczny. Do tramwaju 4 minuty. Grzaliśmy nasz pokoik dużym piecem kaflowym, było przytulnie. Nieustannie się kochaliśmy. Sporo pisałem wierszy. Tam napisałem też niewielkie prozy, między innym opowiadanko *Organki* i jeszcze drugie pod tytułem *Lot*.

Marzec 1972

List od Nowakowskiego przyszedł już pod mój nowy adres. Wspomina, że obejrzał program Ekran Młodych, w którym była o mnie mowa. List był bardzo nadęty. Chwali się w nim, że też pisuje od czasu do czasu w „7-mym Głosie Tygodnia”, „Tygodniku Morskim” i że miał felietony w radiu oraz, że nawet zdarzyło się mu publikować w „Kulturze”. Ma też w przygotowaniu zbiór opowiadań.

Październik 1972

Mieszkaliśmy na Dubois parę miesięcy. Trochę mi dokuczał brak towarzystwa. Zaprzyjaźniłem się zatem ze znajomymi Joli, głównie z akademika w Brzeźnie. Nasza miłość rozkwitła.

Spokojnie przygotowywałem się do egzaminów wstępnych na właśnie powstający Uniwersytet Gdański, na polonistykę. W sumie to przyjemne zajęcie. Po raz drugi przyjrzałem się literaturze, którą poznawałem jeszcze w liceum. Mogłem też poczytać nowe dla mnie rzeczy: Prousta, Brooka o teatrze, Sartre’a, Camusa, Hemingway, Steinbecka, Tomasza Manna, trochę filozofii, Pascala i Bacona, a też Descartesa.

O matko, ile jeszcze jest do przeczytania! Odkryłem, że niektórzy autorzy „licealni” są znacznie ciekawszy, niż mi się wydawała parę lat wcześniej. Myślę o Orzeszkowej *Meir Ezofowicz*, ze świetnymi ilustracjami Andriollego, szczególnie wzmacniającymi nastrój. Znakomita powieść. I w ogóle odkrywam, że wiele powieści warto poczytać ze względu na to, że opisują

inną zupełnie rzeczywistość. Realizm może być wartością samą w sobie.

Poważną sprawą było przygotowanie się do egzaminu z języka rosyjskiego, ale tu miałem wsparcie, Jolę. Przecież studiuję rusycystykę, a na dodatek jej mama przysłała materiały do egzaminów, bo też jest rusycystką. Zdałem egzaminy zupełnie dobrze, poza historią. Z historii dostałem tylko dobrą ocenę, bo nie wybrnąłem z pytania o układ radziecko-niemiecki Ribbentrop - Mołotow. Kluczyłem. Wiedziałem mniej więcej, nie sprostalem. *Zasłużyłem* tylko na czwórkę. Prawdę mówiąc nie jestem pewny, czego ode mnie oczekiwano? Czy prawdy o tym Układzie, czy oficjalnej wersji? A niby skąd ja miałem wiedzieć, jaka jest prawda? Efekt był taki, że zdałem egzaminy, ale zabrakło mi punktów, aby mnie przyjąć na Uniwersytet.

Poszedłem odebrać papiery, a tam sympatyczna młoda pani poradziła mi, abym pojechał do Oliwy, do Wyższej Szkoły Nauczycielskiej, tam poszukał doktora Bachórza i spróbował się u niego przyjąć (egzamin na uczelnię miałem wszak zdany zupełnie dobrze). Tak zrobiłem.

Doktora Józefa Bachórza spotkałem na korytarzu.

Nie wyglądał na kierownika polonistyki, ubrany w czarny dość luźny garnitur, w czarnych trzewikach... ale z uśmiechem na twarzy. Zaprosił mnie do swojego gabinetu. Odbyliśmy szczerą rozmowę, również na temat incydentu raciborskiego i wcześniejszych moich życiowych perypetii. To była dla mnie ważna rozmowa. Czulem, że słucha mnie ktoś, kto wierzy moim słowom. Nie byłem jednak pewny, co z tej rozmowy wyniknie.

Doktor Józef Bachórz mógł mnie potraktować tak, jak potraktowano mnie w Raciborzu. Z tamtejszej szkoły nauczycielskiej zostałem relegowany, ponieważ byłem obciążony wyrokiem sądowym, czyli byłem karany. A według władz Studium Nauczycielskiego nauczyciel nie może być karany. Przynajmniej tak poinformowano mnie w piśmie, które otrzymałem podczas świątecznego pobytu w Krępie.

Zabrakło im odwagi, aby mnie poinformować o swojej decy-



Ul. Sienkiewicza 5a

zji osobiście, gdy byłem jeszcze w Raciborzu. Problem polegał jednak na tym, że po ukończeniu studium mój wyrok byłby już wymazany z rejestrów, a zatem zależało im raczej na usunięciu mnie za wszelką cenę i każdy pretekst był dobry. Było w tym też drugie dno... być może esbeckie? Pamiętam tych dziwnych facetów w bardzo nietwarzowych garniturach, którzy nas nachodzili w klubie i innych miejscach.

No cóż, w młodości nie byłem świętoszkiem. Jeszcze przed liceum wylądowałem w więzieniu dla młodych przestępców, co prawda w ramach tzw. sankcji, czyli bez wyroku skazującego, ale jednak... siedziałem. Uniewinniono mnie potem, w moim jednak odczuciu na wyrok zasłużyłem. Byłem wtedy zwykłym chuliganem. I basta.

Nim zamieszkaliśmy na ulicy Śląskiej, w samym centrum Szczecina, mieszkaliśmy przy ul. Sienkiewicza. Mało ludzi, dużo zieleni. W ścianach były ślady po strzelaninie wojennej a nawet kule. Było to jednak idealne miejsce do życia.

Szczecin był bardzo zaniedbany społecznie. Śródmieście jedną siecią kryminalistów, ludzie byli biedni, milicja nie panowała nad podziemnym światkiem złodziei, bandytów i młodzieżowych band. Rodzice moi nie mieli o tym pojęcia, a przynajmniej do czasu... Ich świat był światem ciężkiej pracy i wiązania końca z końcem. Moja siostra, Hania, wymyśliła wtedy piosenkę: *Dzisiaj będą jajka, jutro będą jajka i pojutrze będą jajka, taka nasza to jest bajka*. Tak było, chlebuś z margaryną, kielbaska jeden cienki plasterek na kromkę (przesuwałem go zębami, aby był na dłużej) i nieustannie jajka...

Zaraz po podstawówce chodziłem do różnych szkół średnich, a to uczyłem się na stewarda okrętowego, a to na mechanika lub energetyka, ale nigdzie nie zagrzewałem miejsca. W końcu wylądowałem w piekarni, gdzie terminowałem jako uczeń piekarski. Praca zaczynała się późnym wieczorem, a właściwie nocą. Kończyła o 7-8 rano (wtedy wychodziły ostatnie wypieki). Rano, po pracy, albo wczesnym przedpołudniem, chodziłem do znanych wtedy kawiarni, w których toczyło się życie szczecińskiego półświatka, szczególnie młodzieżowego. Były trzy takie miejsca w Szczecinie, *Dolek* na rogu Wojska Polskiego i Jagiellońskiej, tuż pod tamtejszym niewielkim hotelem, jakieś dwieście metrów dalej przy Bogusława znajdowała się ponura, ciemna kawiarnia *Riffi*. I jeszcze jedno miejsce, też w sumie mordownia, tuż przy Placu Zgody, blisko Małkowskiego. Tam spotykałem się z zaprzyjaźnionymi, zwykle starszymi ode mnie, osobistościami tego światka.

Szczególnie upodobał mnie sobie Maks (Pawłow). Jego wielodzietna rodzina pochodziła z Ukrainy. Byłem kiedyś u nich. Jeśli mój dom nie był bogaty, to u Maksa bieda aż piszczała. Mieszkanie było brudne i zaniedbane. Ale nie to było ważne. Ważne było, kim była ta rodzina. Ojciec w więzieniu, matka złodziejka i paserka... Bałem się ich, ale jednocześnie mnie fascynowali. Maks uczył mnie bandyterki. Wprowadzał mnie w trudne sytuacje bójek ulicznych i kazał sobie dawać radę, jednocześnie mnie ubezpieczał. To były podniecające chwile. I straszne.

Ktoregoś dnia umówiłem się z nim w *Dolku*, ale z jakichś powodów nie przyszedłem. Następnego dnia dowiedziałem się, że Maks

zabił sklepikarkę ze sklepu. Dobrze ją znałem. Byłem w szoku. Przecież mogłem być z nim i nie miałbym nic do powiedzenia, bo Maks nie znosił sprzeciwu. Mogłem być z nim w tym sklepie....

To była mocna nauczka. Zacząłem się odsuwać od tego środowiska. Ale nie zupełnie zdążyłem. Za udział w bijatyce wyładowałem w Trzemesznie, w schronisku dla nieletnich - starym pruskim więzieniu, gdzie na spacerunku były resztki instalacji ... szubienicznej.

W jednej celi siedziałem z ojcobójcą, w innych celach byli gwałciciele, skazani za pobicia i inne bandyckie wyczyny. Drobnych złodziejasków tam nie było. Nie zsyłało się tu niewinnych młodzieńców, choć przecież wciąż chłopców, bo najstarszy, jakiego tam poznałem, miał 17 lat. Ja wciąż miałem 15.

Ojciec wyciągnął mnie z tego piekielka. Po raz pierwszy też potraktował mnie poważnie i na dworcu postawił piwo.

Jeszcze w Trzemesznie zafascynowała mnie poezja. Czytałem w celi wiersze na głos: Broniewskiego, Gałczyńskiego, Asnyka... Poezji wierny jestem do dzisiaj.

Potem jeszcze zostałem wrobiony we włamanie, przez kolegów, a dokładniej Janka Grycajenko, mojego prawdziwego przyjaciela z tamtych czasów i z ulicy Gdańskiej. Tym razem zostałem skazany w zawieszeniu, ale jednak skazany. O ile przy pierwszym zderzeniu z prawem byłem w sumie winny (choć mnie uniewinniono), to tym razem zostałem ukarany, mimo że nie miałem z tą sprawą nic wspólnego. To też była (i jest) dla mnie nauczka: sprawiedliwość, Pani Sprawiedliwość bywa mocno niedowidząca.

Opowiedziałem o tym wszystkim (choć nie tak rozwlekłe) doktorowi Józefowi Bachórzowi. Mógł mnie nie przyjąć na uczelnię, a jednak przyjął. To też jest lekcja.

Mogłem więc pojechać z moją ukochaną Jolą do Krępy na zasłużone wakacje z perspektywą realizacji planów życiowych w Gdańsku, bo zostałem przyjęty na studia. Po drodze załatwiłem sobie miejsce w akademiku przy ulicy Polanki. Nie było to takie łatwe, ale bardzo nie chciałem mieszkać w wieloosobowym

pokoju w akademiku przy Leningradzkiej, gdzie początkowo mnie skierowano.

Jola też wystąpiła o przydział w tym samym domu studenckim i od jesieni mieliśmy zamieszkać w „piątce” na Polanki.

30 października 1972

Zostałem studentem. Posiadaczem indeksu nr. 10485 Wyższej Szkoły Nauczycielskiej na kierunku filologia polska. To moja druga uczelnia. Wcześniej mnie relegowano ze Studium Nauczycielskiego w Raciborzu, gdzie udało mi się uczęszczać na zajęcia przez cały jeden semestr. Dobrze, że się skończyło, bo klimat tego miejsca był zabójczo nudny i szary.

Wcześniej

Nim pojawiła się Krępa, była ulica Sienkiewicza, a potem, nim jeszcze przenieśliśmy się na ul. Gdańską, mieszkaliśmy dość krótko w samym śródmieściu przy Śląskiej.

Na Śląską przeprowadziliśmy, gdy miałem 10 lat. To była przeprowadzka w zupełnie inny świat. Z dzielnicy niewielkich domów, parków, ogrodów, otwartej przestrzeni znaleźliśmy się w samym centrum pruskiego miasta. Ciasno zabudowane domy i ciemne na ogół podwórka.

Po Szczecinie można wędrować ulicami, albo skrótaami, przez podwórka, przez całe wielkie kwartały. Te wewnętrzne wędrowki były ograniczone tylko przez główne ulice, ale i te można było szybko przeskoczyć i znaleźć się wewnątrz następnego kwartału...

Od mojej szkoły dzielił mnie tylko jeden przeskok przez ulicę.

W nowym mieszkaniu mieliśmy zyskać na przestrzeni i faktycznie były tam cztery wielkie pokoje. Na Pogodnie mieliśmy dwa. Zamieszkaliśmy na parterze, co powodowało, że zawsze było ciemnawo, jedynie pokoje od ulicy otrzymywały trochę więcej światła słonecznego. Bardzo charakterystyczne były wtedy zasłony większości okien - żółte, intensywnie żółte, aż pod złoty kolor, miały chyba rozświetlać wnętrza?

Nie było łazienki, a tylko zimna, bez żadnego ogrzewania, ubikacja, do której wchodziło się po trzech schodkach w końcu dużej kuchni. Ale i tak to komfortowa sytuacja, bo ci, którzy

mieszkali w oficynach, korzystali ze wspólnych ubikacji na półpiętrach.

Kuchnia duża, z oknem na ciemne podwórko, ale za to z tajemniczą, pachnącą spiżarnią i dodatkowym chłodnym pomieszczeniem pod parapetem, gdzie trzymało się garnki i inny sprzęt kuchenny. Na Pomorzu, ogólnie, na te różne naczynia mówiło się *statki*. Na mnie robiła spore wrażenie szczególnie ta spiżarnia wielkości małego pokoiku. Spiżarnie w tamtych czasach skutecznie spełniały funkcje lodówki.

Mieszkanie było w kształcie litery U z krótszą pierwszą częścią. Z okna w kuchni rozpościerał się widok na okno najmniejszego, najdalszego pokoju. Trzeba było głośno krzyczeć, aby usłyszeć się na końcu mieszkania lub otworzyć okno i krzyknąć w podwórko by być słyszonym w ostatnim pokoju.

Ojciec był domorosłym majsterkowiczem i założył nam wewnętrzną sieć telefoniczną.

Była atrakcją tylko przez pierwsze dni, potem jednak woleliśmy krzyczeć przez pokoje. W mieszkaniu było coś jeszcze, z czym nigdy potem się nie spotkałem - w dwóch pokojach były wyjścia kablowe do głośników radiowych. Po podłączeniu odbierały program pierwszy Polskiego Radia. Był to patent niemiecki, bo naziści dbali o dostęp do propagandy dla swoich obywateli. Radio w latach 30. i 40. było podstawowym, poza gazetą, medium. Te głośniki były też naszym (Hani i moim) wybawieniem przed mordęgą słuchania „Matysiaków” i mało dla nas zabawnego „Podwieczorku przy Mikrofonie”. Rodzice nie opuszczali ani jednego odcinka tych radiowych seriali. W tym czasie mogliśmy sobie słuchać innych audycji z głośników, albo czytać. Telewizji nie było. A radioodbiornik tylko jeden w całym mieszkaniu. Był to taki moment mojego życia, w którym odkrywałem magię czytania (pożarłem chyba całego Szklarskiego, Sienkiewicza, Fiedlera i Andersena (przerażały mnie jego opowieści). Nie pamiętam skąd brałem książki, pewnie dostawałem od mamy.

Dokuczał nam brak łazienki, bo na Sienkiewicza mieliśmy nowoczesną z ciepłą wodą, podobnie nowoczesny był system

ogrzewania (centralne ogrzewanie). Tu, na Śląskiej, kąpiele były w balii.

Ten brak łazienki szybko stał się dla mnie pretekstem do ciekawszych sytuacji i przeżyć. Skrótami, przez niewielki park, chodziliśmy do miejskiej łaźni przy Placu Orła Białego. Budynek z piękną secesyjną fasadą, z setkami kabin kąpielowych na trzech piętrach, a na dodatek z basenem. Lubilem te wyprawy rodzinne, a potem już samodzielne. Była to dla mnie okazja nie tylko do porządnej kąpieli (wybierałem kabinę prysznicową), ale też do pierwszych ekscytujących doznań zmysłowych. Można tam było podglądać innych, z czego skwapliwie korzystałem, wzbogacając swoją wiedzę o anatomii kobiecej. Częścią tych wypraw, szczególnie zimą, było oczekiwanie, aż się wyschnie w dużym, przestronnym lobby, będącym znakomitym miejscem do spotkań towarzyskich i pogaduszek.

Łaźnia była bardzo popularna. Spotykałem tam kolegów i koleżanki ze szkoły. Centrum Szczecina, urbanistycznie piękne i w dziewiętnastowiecznym sensie nowoczesne, było jednak zapóźnione cywilizacyjnie, pozbawione systemów instalacji higienicznych. Brak domowych łazienek i toalet dokuczał.

Te zapóźnienia cywilizacyjne nadrabiano w budownictwie szkolnym. To był czas „Tysiąca szkół na Tysiąclecie”. Najpierw, jeszcze na Pogodnie, chodziłem do koszmarnie brzydkiej i zniszczonej, ze śladami wojny, niewielkiej szkoły podstawowej nr 27. Zintegrowane przedwojenne ławki, pisało się piórem (długopisy zostały dopuszczone do szkół znacznie później). W każdej ławce kałamarz systematycznie napełniany z wielkiej butli.

Potem trafiłem do nowoczesnej i dużej szkoły podstawowej nr 43, a następnie, już mieszkając na ulicy Śląskiej, do szkoły im. Janusza Korczaka przy Obrońców Stalingradu. To była niewielka szkołka, ale bardzo ładna i miła dla 11 latka, a plusem był bar mleczny na najbliższym rogu ulicy. Często zaglądałem tam na kaszę mannę z wiśniowym sokiem.

Tak, przeprowadzka na Śląską to był ważny etap mojego życia.

Doznawałem tam pierwszych seksualnych ekscytacji. Pierwszy raz się upiłem. Przywędrowali tam Polacy z różnych regio-

nów Polski. Spotkałem się z biednym środowiskiem polskich przesiedleńców z terenów lwowskich i, w mniejszym stopniu, wileńskich. Mieszkało wielu Ukraińców.

Na *Ziemiach Odzyskanych* (termin ten używany był do końca czasów gomułkowskich) szukano lepszego życia. Nigdy nie spotkałem w Szczecinie niemieckich autochtonów. A musieli tam być, choćby nieliczni.

W śródmieściu było mnóstwo band i grup chuligańskich. W sześćdziesiątych latach najsłynniejsza była banda *Stefanów*. Była też dziewczęca banda *Czerwonych Podkolanówek*.

Poznałem to środowisko dobrze, ale nieco później. Gdy zamieszkałem na Śląskiej miałem ledwie 12 lat, co nie przeszkadzało mi przyjaźnić się ze starszymi kolegami z sąsiednich podwórek i pić z nimi wódkę. Zapamiętałem orzechówkę. Właśnie nią po raz pierwszy się upiłem. Od tego czasu nabrałem wstrętu do alkoholu i nie piłem wódki do 25. roku życia. Czasem tylko, towarzysko, czerwone wino.

Ulica Śląska prostopadle dochodziła do Wojska Polskiego, gdzie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych obchodzono wszelkie, wielkie polityczne rocznice. Mogę powiedzieć, że byłem jedną z „ofiar” tamtejszego systemu propagandowego, bo któregoś roku skończyłem na pogotowiu, gdzie zszyto mi głowę po upadku z wielkiej drewnianej trybuny podczas obchodów pierwszomajowych. Nie wiem, może powinienem się zgłosić do IPN i ubiegać o odszkodowanie, jako ofiara systemu?

W roku 1962 podczas parady wojskowej niedaleko od mojego domu, na al. Piastów, doszło do tragicznego wydarzenia.

Rosyjski czołg wypadł z trasy na której były liczne tłumy i wjechał w ludzi zabijając kilkoro dzieci. Nigdy nie ustalono ilu naprawdę było ofiar. Oczywiście, sprawę natychmiast zatuszowano i tylko ci, którzy byli w pobliżu, mogli zobaczyć tę masakrę. Inni nie widzieli. Ja widziałem. A jednak, gdzieś w kronikach pozostałych po zmianie systemu politycznego w Polsce, znalazłem notatkę o tym wydarzeniu.

Wiosna 1972, Wioska Jeziorki, Rzeczycza z malowanym domem

Gdy się jedzie wiejskimi i nieutwardzonymi drogami z Krępy Krajeńskiej do Tucza (miejscowość ta ma czternastowieczne pochodzenie, a przynajmniej w tym czasie powstała tam średniowieczna warownia), po drodze mija się wieś Jeziorki i Rzeczycę. Dawniej były tu PGR-y, ale padły i nie widać już po nich śladów.

Na wiejskich ulicach tylko kaczki w przydrożnych zielonkawych stawach i kury rozpaczliwie przebiegające drogę, przestraszone moim motocyklem (WFM). Są stare, ceglane w pruskim stylu domy i zabudowania. Kilka jest nowszych, ale to wyjątki. Gdźieniegdzie zardzewiałe siewniki, pługi i nawet kombajn. Czasami, o? jakieś zabłąkane dziecko. Bose w długiej koszulce, skąd ono tu się wzięło?

Można sądzić, że nie ma tu w ogóle mieszkańców, gdyby nie zielone przydomowe ogrody i wychylające się ponad parkanami żółte, wysokie, ciekawskie słoneczniki. I lokalny sklep ze wszystkim. Zamknięty. Przed sklepem też pusto..., u nas w Krępie zawsze pod sklepem jest kilku drwali, albo pilarzy pociągających piwo.

Całkowity szok, gdy wjeżdża się do Rzeczycy. Na skraju wsi stoi niewielki dom pomalowany w kwiaty i portrety ludzkie. Nie tylko na ścianach, ale i na płocie, i budynkach gospodarczych. Kwiaty, tęcza, słońce, i nawet kawałek nocnego nieba z gwiazdami. Po niebieskim trawniku na ścianie biega pies, może to jest koń? Drzewa obfitują w owoce. Na tym samym drzewie są gruszki, jabłka i pomarańcze. Na niebie też widać pędzący samochód.

Czy tam ktoś mieszka? Musi, bo skąd by się wzięły te malunki, eksplozje kolorów? Ale to może być tylko ktoś z innego świata i tylko od czasu do czasu odwiedza tę zapomnianą wieś ...

Krępa Krajeńska to mała osada.

Naprawdę mała. Policzyłem dokładnie - 9 domów. Największy budynek to nadleśnictwo. Nasz dom, bliźniak, stoi na skraju osady w kierunku jeziora Sitno i wioski Jelenie.

Mamy tu też jezioro, bez nazwy. Leży w polodowcowej niecce, do której dopływa niewielki strumień, również bez nazwy.

Idąc do jeziora, spotykamy niewielki parterowy domek z obszernym wejściem do piwnicy. Podobno była tu kiedyś kuźnia. Mieszka w nim dziwny jegomość, miejscowy inteligent, niejaki Pan Siwek. Pracuje w nadleśnictwie.

Idąc od stacji kolejowej w stronę osady, około dwa kilometry, jest pierwszy dom, najwyraźniej zbudowany jeszcze przed wojną, bliźniak. Za nim, jakieś pięćset metrów, na rozdrożu, stoi dom gajowego. Budynek typowo pruski w stylu, z czerwonej cegły, surowy, kryty czerwoną dachówką. W prawo od niego, w stronę Korytnicy, stoją współczesne czworaki, czyli piętrowe, kryte eternitem, budynki zbudowane niedawno. Usytuowane są tak blisko jeden przy drugim, że mieszkańcy mogą zaglądać sobie przez okna.

Kilkaset metrów dalej, już na końcu osady, stoi dom leśniczego.

Pomiędzy domem gajowego a nadleśnictwem znajduje się najważniejsze chyba miejsce - sklep spożywczy ze wszystkim, co potrzebne w takim miejscu. Głównie jednak z alkoholem - piwem i winem (ale wódki nie ma). To nowy sklep. Duma nadleśnictwa, nowoczesny, z dużymi szklanymi witrynami, i obszernym zapleczem, również mieszkalnym (gdybym się zdecydował w swoim czasie, mogłoby to być moje miejsce pracy i zamieszkania).

Chleb tu się kupuje dwa razy w tygodniu, a dowożony jest z Tucza (miejscowość z pięknie odrestaurowanym już po wojnie barokowym zamkiem, gdzie mieści się Dom Pracy Twórczej Architekta SARP. Tak więc, chleb jest tu dostępny dwa razy w tygodniu, a alkohol codziennie. Bez piwa ani rusz. Od rana, do wieczora. A w nocy też, tylko trzeba zastukać do domu sklepowej.

Za sklepem w stronę naszego jeziora odkryłem reszki dawnych zabudowań. Z szerokimi i długimi schodami prowadzącymi wprost do jeziora. Wszystko wskazuje na to, że było to duże gospodarstwo z prawdopodobnie wielkim domem mieszkalnym i zabudowaniami gospodarczymi. Kuźnia najpewniej pochodziła również z tamtych czasów.

Są też widoczne zarysy dawnych budowli idąc w stronę jeziora z naszego domu. Gdyby nie zostały zburzone pewnie by zasłaniały nam drogę do jeziora.

Musiały się tu toczyć ciężkie walki w czasie drugiej wojny światowej. Dowodzą tego zniszczone do zera budynki w Krępie,

ale też w Jeleniach i okolicy Sitna. To przecież jeszcze teren tzw. Wału Pomorskiego (do Wałcza stąd jest blisko 30 kilometrów).

Resztki dawnych gospodarstw odkryłem też w pobliżu Sitna. Są tam pozostałości zdziczałego sadu. Miejscomi często jeżdżą w te okolice na śliwki, wiśnie, jabłka i gruszki. Zastanawiające, że drzewa wciąż owocują. Miałem tam dziwne i przyjemne uczucie, że jestem w rajskim ogrodzie. Nie ma ludzi! Ale mnóstwo ptaków, a gdy usiądzie się na starym powalonym drzewie i cierpliwie poczeka - można zobaczyć żerujące sarny.

W sumie te obserwacje nieco mnie dołują, bo uciekałem od tego naszego *odzyskanego*, niemieckiego Szczecina i wpadłem na resztki niemieckiej (pruskiej) wsi. Podobno Krępa nazywała się kiedyś Krampf.

Październik 1972, Gdańsk

Mieszkamy teraz w tym samym akademiku i za darmo. Oboje mamy też stypendium, Jola naukowe i socjalne, a ja tylko socjalne, (bo za naukę nie mogę dostać w pierwszym semestrze). Mamy też tanie wyżywienie w studenckiej stołówce, kilkaset metrów od akademika, w drodze na Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Gdańskiego. To wielki, nowoczesny, piętrowy budynek z dużą salą jadalną, prześwietlony słonecznym światłem.

Jesteśmy szczęśliwi. Kocham Jolę. Jest bardzo seksowna. Miałbym ochotę coś więcej napisać na ten temat, ale nie mam doświadczenia w opisach erotycznych. I dobrze.

Listopad 1972

Czytam wiersze Wirpszy i poetki szczecińskiej, Marcinkiewicz (jej córkę poznałem w LO).

Zakolegowałem się ze Staszkiem Rośkiem. Też z polonistyki na WSN. Ma długie włosy, okrągłe ciemne okulary. Stylizuje się na Johna Lennona. Mieszka naprzeciwko WSN, na Krzywoustego. Ma zacięcie graficzne i zainteresowania teatralne. To widać w jego pokoju urządzonym na czarno i biało, a na półkach stoją szkła wypełnione kolorowymi płynami. Rozmawiamy o teatrze Petera Brooka, a też teatrze japońskim No. Mało wiem na ten

temat, za mało czytałem. Staszek chyba chciałby założyć swój teatr, tu wiedziałem o co chodzi, bo miałem swoje przemyślenia po próbach teatralnych z Raciborza. Było o czym pogadać. Moje wiersze zrobiły na nim wrażenie... ale tylko trochę.

Popołudnia zajęła mi Ewa G. Fascynująca i tajemnicza dziewczyna. Też z WSN i z filologii polskiej, ale z wyższego roku. Rozmawiamy w pobliskiej kawiarence jak polonista z polonistką, ale jest też między nami fascynacja erotyczna. Czuję to od niej. Ubiera się na czarno i szaro. Ma straszliwie zielone oczy. Właściwie nie pamiętam o czym konkretnie rozmawiamy...

Od Staszka dowiaduję się o innych młodych poetach w Gdańsku. Jest ich tu podobno wielu.

Grudzień 1972

Przypominałem sobie dziś jak siedzieliśmy w grudniu 1970 roku z Mirkiem i Elżbietą (Maksjan) w jej domu, naprzeciwko kościoła św. Piotra i Pawła i komendy MO.

II wersja wiersza z 1970-71 roku:

To pamięć

umykamy gdy jej zbraknie
lub zbruknieje. Ta pamięć
parzy. Tak pamiętaj, ten cień
zastygł sen-obraz
nie z twojej pamięci?
Pochodzi z Kraju Zaciśniętej
dłoni, z pięści zaciśniętej na kamieniu
po której spływa posoka nie z twojego snu?
Umykamy, kiedyś jej zbraknie lub zbruknieje.
Tak parzy bruk.
Tak parzy pamięć.
(to nie jest wiersz realistyczny)

Mój „grudzień 1970”.

Strajk wybuchł nagle. Bez ostrzeżeń. Nie pamiętam dokładnie, dlaczego pierwszego dnia strajku byłem w mieście, a nie w domu,

choć po nocnej zmianie powinienem być w łóżku do co najmniej do drugiej po południu. Może dlatego, że umówiłem się z Jurkiem, który zaczął pracować w Muzeum Narodowym naprzeciwko Komitetu PZPR? A może dlatego, że wyczuwało się jakieś podniecenie w mieście... gotowość...

Bardzo niewyraźnie, ale promieniowały wciąż wydarzenia marcowe, które w Szczecinie minęły praktycznie bez ekscesów, choć pamiętano ten epizod historii, jako fałszywy i niesprawiedliwy. Nie traktowano go jako sukcesu władzy PRL. Była pamięć o sąsiadach, kolegach z pracy, którzy nagle zniknęli z horyzontu. Ja zauważyłem, że zniknęły sklepiki, a też ten najbliższy, kolonialny przy ulicy Wojska Polskiego, tuż u wejścia do Śląskiej. Zniknęły też moje ulubione sklepy z muzyką zachodnią na dużych i małych pocztówkach. Nie ma miejsc, gdzie kupowałem swoje ulubione w latach 60` buty ze ściętymi czubami *bitelsówki* (nie „bitlesówki”), koszule z okrągłymi kołnierzykami i marynarki z czerwonym podbiciem.

Pod Komitetem zebrało się mnóstwo ludzi.

W pobliżu Placu Lotników luksusowe sklepy były już obrabowane. Wciąż widać było ludzi niosących najwyraźniej skradzione przedmioty.

Nie wiem dlaczego, postanowiłem pójść pod stocznnię im. Adolfa Warskiego. A może po prostu chciałem odwiedzić Agatę, bo ul. Parkowa była na tej trasie. Nie doszedłem, bo wcześniej spotkałem w okolicach jej domu pochod stoczniowców. Szli w kierunku centrum, nieśli narodowe sztandary, jakieś hasła, na pewno związane z podwyżką cen mięsa i żywności. Wykrzykiwali hasła na temat zniesienia podwyżek. Byli w swoich roboczych ubraniach i w kaskach. Niektórzy mieli w rękach kije. Szli szybko, żwawym krokiem. Od razu pomyślałem, że są wkurwieni i że idą pod Komitet...

Wiedziałem o podwyżkach cen mięsa, ale jakoś mnie to nie obchodziło. Mieszkałem sam, zarabiałem mało, tak czy owak rzadko kupowałem mięso i wędliny. Z ok. 1300 zł, które wypłacał mi „Ruch”, w której to firmie byłem zatrudniony, utrzymywałem

się bez kłopotów, nie piłem alkoholu, na chleb, ser, pomidory, makaron, ziemniaki itp. wystarczało. Prąd nie był drogi. Czysztani, bo miejski. Telefon grosze. Na ubrania nie starczało za bardzo, ale też nie miałem wielkich potrzeb. Nie czułem się zamożny, lecz nie czułem się biedny. Wierzyłem w przyszłość i tę moją również.

Do manifestacji stoczniowców dołączało wielu ludzi, a milicji prawie nie widziałem. Jeżeli byli, to miałem wrażenie, że się ukrywają i są przestraszeni. Ten brak milicji był uderzający, bo przecież blisko był Komitet Wojewódzki PZPR i Komenda Wojewódzka MO.

Gdy tłum pod komitetem zaczął krzyczeć,

rzucić kamieniami w okna, emocje się rozkręciły. Widać było grupę szturmującą wejście do komitetu, po dłuższej chwili na górnych piętrach budynku pojawił się ogień. Wcześniej z okien, poleciały stery papierów, co bardzo rozradowało tłum na dole. Myślano, że są to tajne dokumenty. Ludzie mówili, że podpalono archiwum komitetu wojewódzkiego i UB.

Spotkałem Jurka Drechslera, który spieszył do Muzeum w pobliżu Klubu 13 Muz. Twierdził, że trzeba chronić budynki, w których są cenne dla kultury dobra.

Walki trwały już kilka godzin, ludzie postanowili też zdobyć pobliską Komendę Milicji, ale tutaj nie było łatwo. Milicja się ostrzeliwała z okien. Raczej z krótkiej broni, bo nie było słychać serii.

Naprzeciwko mieszkała Ela Maksjan, poszedłem do niej. Był tam już Mirek Szyszko, mój najbliższy przyjaciel licealny. Wiedziałem, że jego mama pracuje w Komendzie Wojewódzkiej MO, wtedy nie wiedziałem, że w Służbie Bezpieczeństwa.

To, że Mirek boi się o mamę było widać, choć jak zawsze chojrakował. Postanowiliśmy zejść na dół zobaczyć, co się dzieje z poziomym tłumem. Gdy wyszliśmy tuż za róg domu Eli, w pobliżu domu carycy Katarzyny Wielkiej (gdy była jeszcze tylko księżniczką), coś mnie szarpnęło za włosy. Mirek zbladł i zdecydowanie zawrócił. Potem mi powiedział, że to była kula.

Pojawiła się milicja w hełmach. Te hełmy przypominały ka-

ski motocyklowe milicji drogowej, ale to nie była milicja drogowa. Jakieś nieznana formacja. Było ich bardzo dużo. Mnóstwo, mnóstwo samochodów, głównie nysek i gazików z oznaczeniem MO. Padały strzały nie tylko z okien Komendy Wojewódzkiej... Nie widziałem jednak zabitych lub rannych. Po dobrej godzinie, prawie cały teren - od Placu Żołnierza do Zamku i Kościoła św. Piotra i Pawła - został oczyszczony. Teraz z okna widzieliśmy zakrwawionych ludzi, było ich wielu. Tłum wycofywał się w stronę parku, a z drugiej strony w dół ul. Wyszaka do Odry, i do centrum w kierunku Bramy Portowej, a także w stronę śródmieścia w kierunku Obrońców Stalingradu (mógłby być tam Jurek, bo to najkrótsza droga do Małkowskiego, gdzie mieszkał). Grupy milicjantów z długimi pałami bili ludzi... Te długie pały widziałem po raz pierwszy. Tuż pod oknem Elki dorwali młodego chłopaka z dziewczyną, ją oszczędzili, a chłopaka otoczyła grupa pięciu mundurowych i tłukli go przez kilka minut.

Siedzieliśmy jeszcze kilka godzin razem. Prawie w ciszy. Bo to wszystko nas przerosło. Mama Eli dzielnie przygotowywała nam picie i jedzenie. Tata Eli z ponurą miną od czasu do czasu mówił do nie wiadomo kogo, *a nie mówiłem, wiedziałem...*

Dobrze po 22.00 postanowiłem wyjść i iść do pracy. Bałem się, ale uznałem, że idąc przez stare miasto, w stronę Bramy Portowej i mając takie alibi jak praca, krzywda mi się nie stanie. Rzeczywiście, spotkałem tylko jeden patrol, który mnie bez problemów przepuścił, dokładnie jednak odpytując dokąd idę, gdzie jest ta moja praca i co to jest za firma. W dowodzie miałem pieczętkę z miejsca zatrudnienia.

Parę dni potem spotkałem Mirka. Powiedział, że mamy nie było tego dnia w komendzie.

2 lipiec 1973

A zatem zostałem wychowawcą małych dziewczynek. Jestem na kolonii z Jolą. Każdy z nas ma swoją grupę. Ja niespodziewanie dostałem dwunastoletnie dziewczynki. Zgodziłem się na tę grupę pod warunkiem, że pomagać mi będzie Jola. Bo ja wiem, czy jest we mnie jakiś instynkt pedagogiczny?

Przyjechał Marek Drechsler na swoim starym poniemieckim motocyklu i dał mi się przejechać. Na pierwszym skrzyżowaniu o mało nie wpadłem pod ciężarowego starą.

Spacer gdy rano ran...

Z przyczyny zupełnie nie tej, którą możemy
wziąć z nas
nie z zamierzenia
nie z zamyślnego działania
nie z otwartej przed tobą lewej dłoni
lecz
z miasta tego, które wstało przed nami
w przeciągłym ruchu
z miasta w niebieskim całunie poranka
z granicy podkrążonych oczu
spalonych ust
zmęczonych dłoni
z miasta sennego omamu
idziemy w parze nic a nic
nie zdumieni

Sen zamyka okute ołowianym wahadłem
oczy
ale prorocy nawet nie zapamiętają wszystkiego
bo ran..

Myślibórz 24 lipca 73`

Byłem w Berlinie u Christine Gorek

Christine poznałem całkowicie przypadkiem na ulicy. Jakoś wpadliśmy sobie w oko. Wymieniliśmy adresy, a skończyło się na jej wizycie w Krępie.

Niesamowite! Od pewnego czasu są połącznienia na granicy polskiej i enerdowskiej. Do Dedeeru (jak teraz mówią) w ramach wymiany przygranicznej można ze Szczecina pojechać bez paszportu i wizy, a tylko na podstawie specjalnej pieczętki w dowodzie osobistym.

Podobnie jest na granicy czzechosłowackiej, dzięki temu po raz

pierwszy przekroczyłem polską granicę. Przywiozłem z Czechosłowacji mnóstwo orzeszków, tam były bardzo tanie i różnego rodzaju.

Kupiłem sobie trochę marek i ruszyłem do Niemiec. NRD przypomina nasze Pomorze.

A Berlin zupełnie jak ...Szczecin. Ten sam rodzaj architektury i urbanistyki.

Bez większych kłopotów trafiłem do mieszkania Christine, które mieściło się z piętnaście minut spacerem od dworca kolejowego. Sporo małych sklepików po drodze. Niezbyt wielu ludzi na ulicach. Ale czuje się większą zamożność.

Nad Alexanderplatz góruje imponująca wieża telewizyjna. Odwiedziłem przy pomocy Christine kilka miejsc, gdzie można było kupić longplaye i trafiłem na Errolla Garnera, Louisa Armstronga, Milesa Davisa. Sprzedawczynie w sklepach miłe do czasu, aż się nie odezwałem po polsku. Najwyraźniej nie mamy tu dobrego wzięcia, a zatem, na wszelki wypadek, odzywałem się tylko po angielsku. Kupiłem jeszcze parę drobiazgów na prezenty (różne egzotyczne słodycze) i w sumie z ulgą wróciłem do domu. Taki miałem plan - jedna noc w Berlinie i powrót.

To był mój pierwszy pobyt za granicą, nie licząc krótkiej przygranicznej wizyty w Czechosłowacji. Trochę dziwne doświadczenie, bo wszystko prawie takie samo, tylko ludzie mówią po niemiecku, trochę inne zapachy, trochę więcej towarów w sklepie. Ludzie smutni. Potwierdza to Christine, która mówiła, że lubi Polaków, bo są radosni, otwarci, spontaniczni i swobodni (nie miałem i nie mam takiego wrażenia ,wydaje mi się, że jesteśmy zbyt spięci, nadęci i sztuczni).

Fur Christine Gorek in DDR

czy słyszysz jak śpiewa wieczny
słownik Keatsa?

- po drodze pędzą złotowłosi jeźdźcy
pościg goni czarną noc pamięci
konie z pianą w chrapach
niosą słowa dziecku

- czarna Moabitka pieści w siodle syna
syn czerwone wino pije
czerwone wino płynie w żyłach
żywiąc stare pieśni

czy słyszysz jak woła
śpiewak Owidiusza?

- w wielkim niepokoju płynie stare źródło
rudy jeździec przed młodszą składa ukłon
pamięć bierze w darze miecze
ptak zawisł w powietrzu

- tętent oskrzydłonych karych
niesie wieść o dziecku
pościg trwa w przestrzeni
w czasie kona słowik

czy słyszysz jak Szekspir
przywołuje ptaka?

- rudzi wojownicy do zamków swych spieszą
historia umiera czarna Moabitka
dziecko swoje czesze witać będzie siebie
słyszać coraz lepiej serce coraz cichsze

- sen minął złotowłosi w kasztelach
noc w poranek przeszła coraz lepiej
słyszać pieśń chorego Keatsa
poeta umiera ptak wciąż pozostaje

Christine - słyszysz - ptak ten zawsze śpiewa

Grudzień 1973

Zaliczyłem trzeci semestr. Trochę męczą mnie niektóre zajęcia: teoria wychowania, ekonomia polityczna socjalizmu, pedagogika, literatura dla dzieci i młodzieży, teoria nauczania. Ciekawe są zajęcia z psychologii, gramatyka, zajęcia z literatury z dr

Ireną Kadulską, a też literatura współczesna z Jerzym Keilingiem i teoria literatury z dr Małgorzatą Czermińską. W tych zajęciach powiewa klimatem uniwersyteckim. Pozostałe zajęcia to po prostu szkółka średnio wyższa.

Spotykam w Gdańsku wielu ciekawych ludzi. Tu naprawdę jest środowisko młodych poetów. Chodzę na spotkania z nimi. Czytamy wspólnie własne wiersze i kawałki prozy. Bardzo popularny jest Rafał Wojaczek. Ja podpowiadam im *Barbarzyńcę w ogrodzie*. Poznałem pięknego poetę Jurka Kamrowskiego.

Widzę, że tu pamięta się o wypadkach grudniowych. Moje wiersze „grudniowe” są zbyt ...ezopowe. Nie wiem, czy to dobrze. Inni piszą wyraźniej (na przykład Waldek Ziemnicki). Moje wiersze kryją się za sytuacjami duchowymi, za metaforami i językowymi wybuchami. Nie odwołują się bezpośrednio do sytuacji, do rzeczywistości, a tym bardziej politycznej. Inaczej nie potrafię. Chcę być szczery i pisać poprzez uczucia.

Poznałem też Antka Pawlaka i jego kumpli, Mariana Terleckiego, Marka Bieńkowskiego i Olka Jurewicza, który jest na wyższym roku, niż ja. Gratulowałem mu wyróżnienia na w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim o Laur „Czerwonej Róży” za wiersz *Mój ojciec*.

Mieliśmy bardzo udane spotkanie w Klubie TPD przy Świętego Ducha. Prawdopodobnie niedługo będzie drugie. Były też poetki! Wcześniej nie spotkałem poetek. Mają w sobie coś! Otacza je szczególny nimb i wydają mi się bardziej seksowne i niż zwykle dziewczyny.

- O czym ty, chłopie myślisz? Czy na pewno głową?

Na spotkaniu w Klubie TPD na Św. Ducha, czytaliśmy utwory związane z Grudniem. Atmosfera była gorąca. I poważna. Po raz pierwszy mogłem też mówić o swoich przeżyciach w Szczecinie. Nikt tutaj nie wiedział jak przebiegały faktycznie te szczecińskie wydarzenia. Chętnie mnie słuchano.

Niektóre z moich wierszy były wyraźnie inne niż te, które czytali moi koledzy. Podobały się: *Jazda wozem drabiniastym*, *Uprawianie dziada*, *Świece w deszczu*, wiersze o Sydonii, czy wiersz *Pytanie prorokom*.

Agata, Leszek, Jurek Drechsler w Gdańsku. Niezła szczecińska ekipa. Wszyscy pod opieką doktora Józefa Bachórze, dobrego ducha.

29 stycznia 1974

Decyzją rektora zostałem przeniesiony z WSN na Uniwersytet Gdański, też na filologię polską. Tracę na tym rok. Ale jakoś mnie to nie martwi. Muszę też uzupełnić zaliczenia z lektoratu angielskiego i łacińskiego, polityki kulturalnej PRL, a też z literatury polskiej po 1918 roku. To raczej nie będzie problemem. Uwierzył mnie ten WSN z banalnego powodu. Niejaka pani dr Bródka, prowadząca zajęcia z dydaktyki, uparła się mnie przekonać, że myślenie pierwotnie ma charakter werbalny, a ja uparłem się, że obrazowy. Doszło do obsesyjnego konfliktu, wiedziałem, że nie dostanę u niej zaliczenia, chyba że się ukorzę i przyznam, że jednak, myślenie jest werbalne. Nie wytrzymałem tego napięcia i poprosiłem rektora o przeniesienie na Uniwersytet, na niepedagogiczny kierunek, aby nie wracać do dydaktyki i nie spotkać znowu *osóbki-bródki*. Oczywiście, w podaniu o przeniesienie nie podałem rzeczywistego powodu, ale nakręciłem coś o moim konflikcie duchowym związanym z nauczaniem.

Zresztą na WSN byłem już podpadnięty, bo razem z Agatą ..., ale po kolei.

Agata, moja kochana starsza siostra, wraz z Leszkiem, też przybyli do Gdańska i studiują filologię polską. Mieszkają w akademiku na Leningradzkiej, co nie przeszkadza nam tu *rodzinnie* się zorganizować i doprowadzić do strajku.

Wymyśliliśmy, że będzie to strajk siedzący. Zaplanowaliśmy, że usiadziemy na korytarzu i przerwiemy zajęcia, czekając na władze, aby podjąć negocjacje w sprawie dla nas istotnej, a mianowicie możliwości kontynuowania studiów po ukończeniu WSN, bo póki co nie ma możliwości uzyskania stopnia magisterskiego. Mielśmy rację, szczególnie dlatego, że właśnie wprowadzono obowiązek dyplomu magisterskiego dla pełnoprawnych nauczyciel. Czyli na starcie będziemy niedokształceni, a jednocześnie nie było jak kontynuować studiów w trybie stacjonarnym. Strajk udał

się średnio, bo tylko część studentów nas poparła, większość nie chciała ryzykować i się angażować.

Nie była to sprawa polityczna, naprawdę chodziło nam tylko o otwarcie kanału do studiów magisterskich, chcieliśmy możliwości pełnego wyższego wykształcenia, a nie tylko zawodowego.



Manifestacja 1 majowa 1973 roku - po prawej w głębi dr Józef Bachórz (w jasnym garniturze), po lewej w głębi ja (w jasnym płaszczu) i Agata, przygotowujemy się do wykrzyczenia naszych żądań w sprawie WSN. Naszym przygotowaniom przygląda się dr Anna Martuszczeńska (obok mnie po lewej).

Sprawa, jak widać, dość banalna, ale poznaliśmy siłę słowa *strajk, okupacja, protest*.

Następnego dnia Agata, Leszek i ja zostaliśmy wezwani do Komendy Wojewódzkiej MO na przesłuchanie przez Służbę Bezpieczeństwa. Najwidoczniej zostaliśmy uznani za prowodyrów wydarzeń w Oliwie. I słusznie.

Przesłuchiwali nas osobno, najdłużej Leszka. Najkrócej Agatę. Czekaliśmy razem na Leszka w pokoju w akademiku na Leningradzkiej, którego okno wychodziło na imponujący, choć ponury, pruski budynek Komendy Wojewódzkiej, gdzie była też siedziba Służby Bezpieczeństwa. Leszek wrócił bardzo, bardzo zmęczony, rozumiałem go, sam ledwie godzinę temu stamtąd wyszedłem.

Samo wejście do budynku robiło wrażenie - duży hol, z klatką

posterunkowego, na ścianie wielki herb Gdańska, polskie barwy i wiele elementów patriotycznych. Coś o socjalizmie... Przyszedł po mnie ponury gość w cywili z wąsami i zaprowadził na chyba trzecie piętro. Trudno było się zorientować, bo szliśmy bardzo pokrętną trasą i w dół i w górę. Ściany brudne, dawno niemalowane...

Funkcjonariusz w cywili wpuścił mnie do małego pomieszczenia z niewielkim brudnym oknem. Zdezelowane biurko, dwa krzesła, czajnik z grzałką, herbata Ulung, w słoiku cukier z jakimś grudkami.

Pan wyszedł i wrócił po chwili z plikiem papierów. Zapytał grzecznie, czy chcę herbaty, ale szklanki były tak brudne, że podziękowałem również grzecznie.

No i się zaczęło odpytywanie. A dlaczego zrobiliśmy tę *awanturę*? O co nam *naprawdę* szło? Starał się omijać słowo *strajk*, ja w swej naiwności wręcz przeciwnie. W końcu zdenerwował się i zaczął krzyczeć: *a po co zaraz strajk, przecież macie swoje władze uczelniane, podstawową organizację partyjną, Związek Studentów...* A ja mu na to, że właśnie strajk zorganizowała organizacja studencka, aktualnie już nawet *socjalistyczna*, bo to było tuż po przekształceniu ZSP w SZSP. A Agata była w Radzie Wydziałowej.

Dopytywał, kto nam to doradzał? I tak wokoło po kilka razy. Chciał mnie złapać na jakimś krętactwie, kłamstwie, a ja wciąż i wciąż mówiłem mu prawdę.

Pytał o Agatę i Leszka. Nie widziałem w naszej działalności cokolwiek niestosownego. Przez sześć godzin opowiadałem to samo. Chyba go w końcu uspokoiłem i przekonałem, że strajk nasz nie był politycznie nastawioną manifestacją. Rozpogodził się, stał się nawet miły. Powiedział, że *jestem - jak widzi - bardzo inteligentny a zatem chce mi wyjaśnić, że on pracuje w kontrwywiadzie i nie jest ubekiem i nie ze zwykłej milicji, i że to bardzo ważne, bo wokół jest wiele elementów wywrotowych, a trzeba bronić ojczyznę przed wrogami. I on uważa, że byłbym bardzo dobrym współpracownikiem i w przyszłości oficerem kontrwywiadu, bo jestem odpowiedzialny i zaangażowany społecznie*. Przestraszyłem się, ale spokojnie mu odpowiedziałem, że tak, to bardzo ciekawa praca i trzeba mieć wyjątkowe zdolności do jej wykonywania i dodałem, że *aż*

tak inteligentny nie jestem jak pan, a poza tym jestem zakręcony jako poeta i znany z gadulstwa. To ostatnie chyba go przekonało, że może lepiej mnie nie namawiać..

Dodał, a właściwie się pochwalił, że jest porucznikiem i będzie awansował. Tak poznałem pana Wąsalę.

Nie był to mój pierwszy kontakt z SB.

Pierwszy był jeszcze w liceum, gdzie redagowałem pisemko ściennie „Trybuna Literacko – Publicystyczna”. Wcześniej założyłem tam Organizację Neofilomatów, której głównym celem był duchowy rozwój jej członków, a też wspólne czytanie naszych własnych tekstów poetyckich.

Wtedy, nagle zrobił się hałas. Szkołę odwiedzili tajemniczy panowie i zainteresowali się tą moją „organizacją”.

Zostałem wezwany do gabinetu dyrektora, gdzie dokładnie mnie wypytano o szczegóły działalności Neofilomatów i czy to musi być „organizacja”, a nie można by nazwać to jakoś inaczej? Na przykład *klub*. Zgodziłem się, że może to być *Klub* Neofilomatów.

Dopytywano skąd pomysł na Neo Filomatów? Bo przecież w szkole działa koło ZMS i oni mnie tutaj oficjalnie zapraszają do organizacji miejskiej ZMS, gdzie na pewno znajdę miejsce na swoją działalność.

Zostało na Klubie Neo Filomatów, a zetemesowcem nie zostałem.

Nigdy nie dowiedziałem się od kogo ci panowie mieli informacje o tej mojej „wywrotowej” *organizacji*. Mógł być to jakiś uczeń, albo nauczyciel. Ale szkoła nie zdawała się szczególnie upartyjniona, a przewodniczącą szkolnej Organizacji Partyjnej była profesor Roszakowa (od geografii), która bardzo sekundowała mi w moich literackich wyczynach. Myślę, że raczej była to bardziej, lub mniej, świadoma robota ucznia, który gdzieś się pochwalił (może rodzicom), że coś takiego istnieje w liceum.

Po czasie zorientowałem się, jednak, że ta wizyta przyniosła pewien zaskakujący skutek. Dyrektor liceum, pan profesor Jasiński, zdecydowanie od tamtego czasu mnie faworyzował. Był mi życzliwy, a wręcz przyjazny, choć na milcząco i tylko z dyskretnym uśmiechem. Nasz klub nieoczekiwanie dostał wszystko, co tylko nasza szkoła mogła zapewnić: czas w soboty po południu

na spotkania, fundusz na ciastka, świece, dostęp do gramofonu i szkolnych płyt. Budziło to zdziwienie wśród nauczycieli, bo dyrektor znany był z twardej ręki i wszystkie *skarby* szkolne trzymał pod kluczem. Nie łatwo było dostać jego zgodę na używanie szkoły i jej własności na cele inne niż dydaktyczne. Jedyne odstępstwa od nauki to wycieczki klasowe i na wykopki.

Wykopki były zresztą fajne, trochę trzeba było się napracować, ale wieczorami paliliśmy ognisko, był czas na wygłupy, podryw i rozmowy. Nie przeszkadzało nam, że mieszkaliśmy w kiepskich warunkach w wielkiej sali, z łazienką bez ciepłej wody, a i sienniki nie były zbyt wygodne, choć pięknie pachniały świeżą słomą.

Drugi kontakt z *tajemniczymi* agentami miałem w Raciborzu.

To niewielkie miasto i uczelnia nauczycielska była też niewielka. Studentami - jak się zorientowaliśmy - byli głównie mieszkańcy okolicznych dolnośląskich, małych, miasteczek i wsi. Bardzo sympatyczni ludzie, ale mocno konserwatywni, że tak to określe.

Okazało się, że nasza trzyosobowa grupka ze Szczecina była odebrana jak najazd Hunów z dużego miasta, czyli hippisów! I na dodatek nie wiadomo, dlaczego postanowiliśmy tu przyjechać.

Jeździliśmy na składakach, mieliśmy długie włosy, ubieraliśmy się kolorowo i ku wielkiemu zdziwieniu nie piliśmy alkoholu. Jurek godzinami grywał na gitarze, ja założyłem teatrzyk. Opanowaliśmy klub uczelniany i zrobiło się koło nas tłoczno. Słuchaliśmy „dziwnej” muzyki - a to Hendrixa, a to Joplin, a to Baez, na dodatek organizowaliśmy sesje płytowe z jazzem. Niepokój budziło też to, że słuchamy współczesną muzykę klasyczną (jak to powiedział kierownik akademika, „ten Penderecki to skrzypienie i hałasy, tylko stuknięty może tego słuchać”). Studenci ze Śląska lubili nas, dziewczyny podkochiwały się w nas. Na dodatek byliśmy bardzo dobrymi studentami. Mieliśmy średnią ponad normę dolnośląską, a przynajmniej raciborską. Lubiani byliśmy jednak nie przez wszystkich.

Zaczęli się koło nas kręcić dziwni panowie...

Choć od początku podejrzewaliśmy, że są ubekami, to przez jakiś czas udawaliśmy głupich, ale wreszcie zapytaliśmy ich wprost, kim są. A oni, cóż, byli szczerzy i powiedzieli, że są na ...służbie.

Niby byli nieszkodliwi, ale nigdzie bez nich nie mogliśmy się

ruszyć. Nawet wtedy, gdy z koleżanką Marylą z wyższego rocznika, (która lubiła popić piwo) poszedłem do takiego czesko-niemiecko -polskiego baru, choć lepiej powiedzieć miejscowej międzynarodowej mordowni. Nawet tam ich mieliśmy na plecach.

Może mieli zadanie *chronić* nas? Tak sobie żartowaliśmy.

Dla mnie się to szybko skończyło, bo wylali mnie z SN jeszcze przed końcem sesji. Władze studium podały poważny powód: ten hippis był karany. Ale skąd te władze o tym wiedziały?

Teraz w Gdańsku nie bałem się esbeków. Nie docierało do mnie, że SB to groźna instytucja i wszechmocna. Wyróżniała się od innych organizacji tym, że ci faceci zawsze sporo wiedzieli.

Niespodziewanie dostałem niepokojący sygnał:

Zadzwonił do mnie Mirek Szyszko, aby powtórzyć, co pilnie radzi mi jego mama (jest pracownikiem SB), a mianowicie w żadnym wypadku nie podpisywać żadnych zobowiązań, jakichkolwiek papierów, dokumentów, oświadczeń(..). Teraz myślę, że ten telefon był ważny, choć wtedy go nie doceniłem. Mirek musiał znaleźć numer telefonu do mojego akademika na Polanki. Wcześniej do mnie tu nie dzwonił. Też trochę mnie zdziwiło.

Skąd Mirek wiedział o sprawie? Od mamy, to jasne. Ale skąd ona wiedziała? Wygląda na to, że ostro nas prześwietlali, całą szczecińską grupę z WSN.

Gdy będę w Szczecinie może spotkam mamę Mirka i zapytam..., ale czy cokolwiek mi powie? Pewnie nie. To bardzo doświadczona pracownica aparatu bezpieczeństwa. Mirek mówił, że jego ojciec, też ubek, zginął w rozgrywkach wewnętrznych UB jeszcze w latach pięćdziesiątych (...).

Tak czy owak, to moje kolejne spotkanie (już trzecie) ze Służbą Bezpieczeństwa było groźniejsze niż pierwsze, a tym bardziej, niż to raciborskie.

1974, marzec

Zostałem nagrodzony na uniwersyteckim Konkursie Jednego Wiersza o Nagrodę Kandelabra. Ucieszyło mnie to bardzo, bo prze-

wodniczącym jury konkursu był ceniony poeta, Zbigniew Herbert. Poza tym w jury była dr Małgorzata Czermińska z Uniwersytetu Gdańskiego. Pierwszą nagrodę dostał Maciej Kraiński, pozujący nieco zabawnie na szlachcica, ale wiersze pisze dobre, fakt.

Zbigniew Herbert miał spotkanie autorskie. Bardzo ciekawa, nieco sarkastyczna osoba, czytał wyraźnie, ale nie aktorsko, rozmowa z nim była pouczająca. Przyszło mnóstwo ludzi, co mnie zaskoczyło. Pełna duża sala wykładowa.

Maj 1974

Opublikowałem w Miesięczniku Kulturalnym „Litery” opowiadanie *Organki* i to jest mój debiut prasowy. Będzie też publikacja poetycka w „Tygodniku Morskim”, a konkretnie wiersz:

Dobry omen

na krzyk miała KOBIEȚA
na imię miała MĄDROŚĆ
tak niezmiennie jak sen od dzieciństwa
w oczach miała medalik
- biorę na świadków wniebowziętych,
że dla mnie to była dobra
przepowiednia

To będzie mój prasowy **poetycki** debiut i nie jestem zadowolony, że właśnie ten wiersz ktoś wybrał spośród innych, bo sam, bez kontekstu innych wierszy, wydaje się dość miałki, nijaki, dopiero w zestawieniu nabierał mocy.

Jest nauczka, żeby albo nie pozwalać innym wybierać moich wierszy do publikacji, albo nie dawać takich, które same, bez kontekstu innych wierszy, się nie bronią. Ogólnie jednak, dobrze. Mam debiut za sobą, zauważono mnie - choć razem z innymi młodymi poetami - w oficjalnej gazecie.

P.S. Ma być wydrukowane moje opowiadanie *Lot*. Napisałem je jeszcze przy Dubois, gdzie mieszkalem z Jolą. Jest to reminiscencja mojego pobytu w Raciborzu. Była tam na uboczu, wielka porzucona wieża ciśnię. Często chodziłem tam z Olą Solecką. Kochałem się w niej. Miejsce to było bardzo romantyczne i pobudzające wyobraźnię.

Cieszę się, że razem ze mną opowiadaniem zadebiutował też kolega ze studiów, Andrzej Nowakowski.

Przyznanie mi nagrody w *Kandelabrze* spowodowało zainteresowanie mną i moją poezją.

Ukazała się też publikacja w „Tygodniku Morskim”, wkładka pod tytułem *Układ*. Są tam wiersze poetów młodych i trochę starszych.

Mieszkam teraz akademiku w Oliwie, popularnie na Polankach. Ale Polankami nazywało się kiedyś też Przymorze, nim zaczęto budować tam nowe osiedla mieszkaniowe - ten cały teren od nieczynnego już lotniska na Zaspie do Oliwy. Tamtędy mam najkrótszą drogę do morza (od przystanku kolejki Przymorze, kiedyś Polanki, jakieś 20 minut marszem do plaży). Lepsza trasa, choć dłuższa jest tramwajem na Brzeźno, a stamtąd 3 minuty do brzegu.

Szczerze? Byłem tam jeden raz na samym początku mojego pobytu w Gdańsku. Teraz bardziej pociąga mnie poznawanie starych miejsc w mieście, a szczególnie w Oliwie. Zresztą, wolę kontakt z lasem niż morzem. Jestem człowiekiem puszczy a nie wilkiem morskim.

Ze zdziwieniem i wzruszeniem zorientowałem się, że okna mojego pokoju w akademiku wychodzą na szpital, w którym w 1948 roku moja mama urodziła moją siostrę Hanię/Agatę.

Teraz też uświadomiłem sobie, że romans mojej mamy z Gdańskiem musiał być dłuższy niż sądziłem. Mieszkała w Gdańska na Nachtigall Strasse (?) zaraz po wojnie. Potem wyjechała do Elbląga, gdzie w 1950 roku urodziła mnie.

Mama opowiadała, że ten pierwszy pobyt w Gdańsku był dość straszny, bo w mieście było wciąż wielu uzbrojonych żołnierzy niemieckich i nieprzyjaznych autochtonów, nie wspominając o dzikich hordach żołnierzy radzieckich. Osiemnastoletnia dziewczyna dawała sobie jednak nieźle radę dzięki zresztą opiece starszych i dobrze uzbrojonych kolegów.

Przyjechała tu wraz z pierwszym kontyngentem polskiej milicji. Gdzieś tam w Dolnym Mieście mieli swój komisariat.

Ulica Polanki jest niesamowita.

Droga z akademików do Uniwersytetu prowadzi przez taką niby uliczkę, Macierzy Szkolnej.

Zaintrygował mnie ogród za płotem.

Liście krzewów całkowicie mi nieznane. Zauważyłem mimożę, róże na półtora metra, chyba jakieś fikusy, dziwne kolorowe trawy, jakieś rośliny dracenowate, ogromne magnolie, głóg, kalina, wielkie krzewy różanecznika, niebieskie hortensje... Stały tam też w równych grządkach gladiole, irysy, astry, cały równo ustawiony oddział tulipanów, fuksji, rezedy, a także moje ulubione pomarańczowe nasturcje (znakomity dodatek do sałatek warzywnych).

Ogród był zwykle pusty poza jednym niewysokim, brodatym i długowłosym, w średnim wieku człowiekiem, który systematycznie i cierpliwie wszystko obrabiał. Nie był rozmowny, ale kiedyś udało mi się namówić go na pogaduszki. Ostro zaciął z niemieckiego. Chętnie mówił o roślinach, ogrodzie, o uprawie i nie bardzo miał chęć poruszać inne tematy.

Nie był to jego ogród. On tylko tam pracował. Ustaliłem, że zatrudniał go stary Gdańszczanin, który mieszkał tu jeszcze przed wojną.

Mieściła się tu też podobno *Gospoda pod Białym Jagnięciem*, zajmowała budynek w stylu kurortowym, z obszernymi werandami i oszklonymi pomieszczeniami. Na piętrze był niewielki burdel, który miał wzięcie wśród najętniejszych mieszkańców Danzigu/Gdańska. Teraz to wszystko jest niby własnością miasta, ale jednak niezupełnie. Opiekunem jest człowiek, który tu mieszka i zajmuje cały parter. Jest w stałym kontakcie z niemieckim właścicielem, który nawet zasila go drobnymi kwotami.

Dzięki uprzejmości tego opiekuna udało mi się wejść na posesję i częściowo do ogrodu. To tajemnicze miejsce, ale sypie się i rozpada. Jak zresztą wiele innych budynków przy ulicy Polanki.

Epitafium dla ulicy Polanki nie nazwanej imieniem Artura Schopenhauera

U wejścia do kraju,
na portierze krainy środka, tuż za zaprzeczeniem
mórz,

za wzgórzami leży ulica nie nazwana imieniem
filozofa.

To jest ulica.

Na samym początku wyrwany ząb boleje.

Był tam dąb jak dom,

stary, spróchniały

- wyrwany ból - zawyla ziemia

- upadł dąb - zawalił dom.

Filozof pamiętał go.

A dalej trochę za brukwią rynsztoka

ogród nie botaniczny tam zieleni

trąd rajcuje i pnie się wąż,

a nieboskłonki ku szczytom prawie już.

Fryzjer Broniewski na piętrze pierwszym

odrapany napis trzyma TU

- wyłamane zęby płotu to zielsko tną

- na bacność staje drewniany tłum

- na lewo patrz, na prawo patrz, idzie czworobok:

buty jak But,

głowy jak Głowa, ruchy jak Ruch.

Idzie zielony tłum.

Naprzeciw dwie głowy łyse

- krata na rzęsie - Dzieci Błędu

- w schronisku - schron w kratkach

a napis brzmi Wzbroniony Wstęp.

To ta przecznica a z nią dzielnica ...

Białych przechodniów z czarnymi plastrami

miodu na oczach - Słodka, słodka ciemności na tej ulicy,

gdzie za wojskiem schronisko

dla popełnionych potomków.

Przechodnie nadzwyczaj cierpliwi - krawężnik

to interesujący próg - więc

laską powoli, powoli, dokładnie

zmierz - a teraz krok, już bliżej

domu filozofa, który wyjechał
w czas
i nie oglądał zamachu na godność ślepców,
na nie wart Nibelungów tryumf.
A dom jest biały od białej brzozy
lat stu i od zielonego stawu gęstego sytością.
Okna szerokie - stąd perspektywa
wzięła wzór.
Widać szpitalne znaki.

To następny krok.
Pawilony, pawilony dla tych na wyjściu,
dla tych na przyjeździe, dla tych na zejściu.
Sztab czerwono krzyży ranem wymyka się
spod okutych wrót.
Okna adeptów kamienia filozoficznego
w wytrzeszczu: był zgon? był zgon?

W portierze kraju, tuż za pasmem wzgórz
śni się ostatkiem sił ulica,
która kończy się co dziś.
Jeszcze na niej nie wierzy tłum,
że tą ulicą - snu snów -
nie przejdzie jutro żaden z nich.
Że czarna gładka powłoka
błota jesienne zamknie
i jeszcze poprawią i ten i obok dom
i filozof umilknie,
jak poeta z Nie Tej Ulicy

- - -

Nie zależało mi w wierszu na realistycznym opisie ulicy. Raczej chciałem zapisać jej nieuchwytną a oczywistą wieczność. Jej paradoksalność. Metafizycznego ducha. Pomieszanie *tu* i *teraz* z tym *tam* i *kiedyś*. Zderzenia piękna i rozpadu, dyskusję pomiędzy wiecznością i chwilowością.

Sam ciąg miejsc jest uderzający: szpital, akademiki studenckie,

ogród przy dawnym burdelu, dom zakonny, osiedle niewidomych, schronisko dla nieletnich przestępców, jednostka wojskowa, ogród klasycystyczny, dom Schopenhauerów, małe sklepiki, antykwariat, rynek, widok na opactwo cysterskie i ogród botaniczny.

Udało mi się uchwycić ducha tego miejsca na tyle, że wiersz znajduje słuchaczy nawet w odległych miejscach Polski.

Czerwiec 1974

Obecnie jestem na specjalizacji teatrologicznej.

Cóż, trzeba się zainteresować bliżej teatrem, szczególnie, że łączy się to z wyjazdami do teatrów w całej Polsce.

Jeszcze w Szczecinie nie unikałem teatru, choć wołałem chodzić do filharmonii (pamiętam szczególnie koncert muzyki kameralnej z Bachem i Pachelbelem w wykonaniu gościnnie występującego zespołu muzyki kameralnej z Berlina). Odwiedziny w Teatrze Polskim lub Współczesnym były dla mnie rozrywką, ale nie budziły we mnie większych emocji, teraz przyjdzie popatrzeć mi na teatr od strony historycznej, teoretycznej i jak on jest zrobiony.

W Gdańsku główną sceną jest Teatr Wybrzeże. Sopocka scena jest znacznie mniejsza, ale ma swój klimat starego, secesyjnego teatru idealnego na kabaret lub wodewile.

Chodziłem do teatru, ale nie byłem specjalnie nastawiony *teatrologicznie*. Choć na SN w Raciborzu założyłem studencki teatr, ale był to bardziej teatr poetycki, niż dramatyczny.

Wtedy, odkryłem tam Różewicza. Do dzisiaj mogę recytować *Ocalonego*. Od Różewicza nauczyłem się, że wiersz może być prosty i jednocześnie dramatyczny, skromny w środki stylistyczne, a bardzo artystyczny i literacki. Taki właśnie wiersz czytałem na moim spotkaniu autorskim. Jest zupełnie inny niż moje *dziadowanie*, *walenie* w *grube dupy*, stylizacje językowe i tajemnicze kobiety, Amazonki.

Okazja do pytania

Czarny człowiek
na czarnym bicyklu
w czerni nocy

to okazja do pytania

przed sobą cienka struna
nieustannie gra
tyś muzykiem

grasz
noc to czarna substancja
która się nadziewa
na srebrną strunę

stanąłeś

noc to czarna substancja
która zalewa wszystko
co jest milczeniem

człowiek na bicyklu
boi się ciemności

ruszył pędem
coraz szybciej
ucieka

kroi noc
to okazja do pytania

tak dobrze
jest brak końca i bez końca
kołysze
chcę się dalej być

więc dalej równo
to warunek by był spokój
prosto przed siebie
wzrok tępy
nie myśl że się ruszasz\

graj

człowiek na czarnym bicyklu
w czerni nocy

to dowód że przepływa obok
bóg i jego pies nieskończoność

To właśnie ten wiersz został nagrodzony przez Zbigniewa Herberta na konkursie poetyckim Uniwersytetu Gdańskiego *Kandelabr*. Powstał jako reminiscencja moich długich rowerowych wypraw. Zawsze zaczynających się i kończących na ulicy Polanki. To mistyczna ulica. Sam fakt, że mieszkał tu Artur Schopenhauer już wiele mówi.

Właściwie wolę chodzić po tej ulicy niż jeździć. Gdy się nią chodzi to wciąż się coś nowego odkrywa. Na przykład - wstrząsnęło mną - nagle zniknięcie całego dziewiętnastowiecznego budynku. Wystarczyło ledwie kilka dni i został tylko wysprzątany pusty plac. Nikt nigdy nie domyśli się, że było tu miejsce, gdzie mieszkali i umierali ludzie, gdzie rodziły się dzieci, że stał tu kiedyś piękny dom z ogrodem, a potem ten dom niszczał, zapadał się i w końcu zmurszał, a ostatecznie po prostu zniknął.

Pamiętam, że w bramie wejściowej były secesyjne witraże. Czy ktoś jeszcze o tym będzie wiedział?

30 czerwca 1974, w Gdańsku.

W czasach licealnych przyjaźnie zawiązywaliśmy w zabawie, w radości i pierwszych wspólnych zachwytach nad odkrywanym, poznawanym ledwie światem. Teraz, dorośli już, zawiązujemy je często w smutku, w ciągłej afirmacji, że świat jest takim, jakim jest. Zaczyna nas przegryzać minimalizm.

Przyjaźń umacnia się w toku wspólnych walk z naturą, kulturą, w trakcie ciągłej przebudowy świata, a raczej jego wyobrażenia. Przyjaźń staje się wspólnotą zawiązywaną w trakcie załatwiania spraw na serio.

Przyjaźń może być wspólnotą walki i oporu, a też - co oczywiste - dochodzenia do wspólnych celów. Jednak może też być związkiem pragmatycznym. A może nawet utylitarnym. Już nie w zabawie, nie w radości. Czasami to przyjaźń na śmierć. A czasami na życie.

O czym myślę konkretnie? O przyjaźni z Jurkiem i Mirkiem.

Bardzo jednak wątpię, czy rzeczywista przyjaźń jest możliwa między kobietą i mężczyzną. Nigdy nie doświadczyłem przyjaźni od i do kobiety w czystej postaci. Zawsze wpłatał się jakiś rodzaj erotyzmu. Nawet, gdy spotykałem starsze kobiety, mimowolnie je uwodziłem, choć gdyby ktoś mnie spytał, czy to robię, wyparłbym się i nie byłoby to kłamstwo.

Ale może w erotycznych związkach jest też miejsce na przyjacielskość?

Erotyzm to potężna siła. Wszystko może zbudować, wszystko może zburzyć.

Erotyzm jest tak potężny, że nawet przełamując wierność, powoduje, że niewierność jest niezauważalna.

Jestem wierny i jestem niewierny, erotyzm wszystko godzi.

30 czerwca 1974

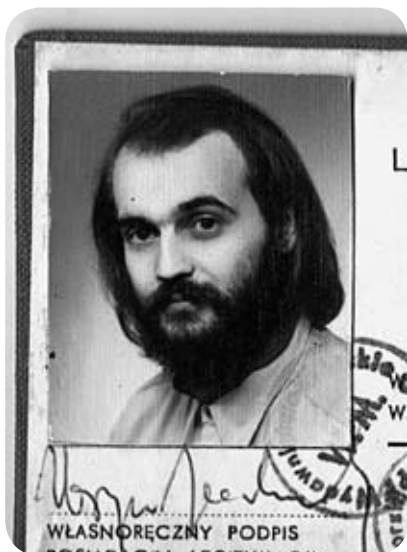
To dziwne, że powieść ta jest traktowana jako współczesna, choć ma już blisko 40 lat. *Absalomie, Absalomie!* Williama Faulknera, opublikowana po raz pierwszy w 1936 roku. Rozgrywająca się przed, w trakcie i po wojnie secesyjnej. Jest to dramatyczna opowieść o trzech rodzinach z amerykańskiego Południa. Pozwoliła Faulknerowi zdobyć Literacką Nagrodę Nobla.

A propos nobla, mam na biurku wiersze Tagore.

Ale co to jest literatura współczesna? Od kiedy zaczyna się współczesna, a kiedy już nią nie jest i staje się historią literatury? Wiem, co mówią na ten temat podręczniki, ale ja zastanawiam się, co to oznacza z psychologicznego punktu widzenia? Bo współczesny utwór literacki czym innym może być dla młodego człowieka i dla człowieka dojrzałego. A nauka o literaturze dla jednych może być opowieścią o dawnych czasach, dla innych literatura nawet najstarsza bywa współczesną, bo wczoraj odkrytą.

Sierpień 1974

byłaby to fajna publikacja w „Nowym Wyrazie”, gdyby nie dedykacja polityczna: *Budowniczym Portu Północnego*.



Ciekawy jestem, czy naprawdę dedykację tę wymyślili sami poeci? Jest tam arkusz poetycki Olka Jurewicza, raczej wątpię by on był zwolennikiem, a tym bardziej autorem tej dedykacji.

Pod pretekstem budowy Portu Północnego można uruchomić w Gdańsku różną działalność, można nawet stworzyć nowe pismo literackie albo kulturalne.

Miesięcznik Kulturalny „Liter” MKL powstał na gruzach, albo, jak kto woli, jako kontynu-

acja wcześniejszych „Liter”. To nowe pismo jest bardziej luksusowe, ma kolorowe ilustracje, lakierowaną okładkę, jednym słowem widać, że są na to pieniądze. W redakcji między innymi Bolesław Fac (chyba najbardziej popularny gdański poeta obecnie).

* * *

Do Joli

Zegar nakręcony. Herbata zaparzona.
Buty postawione koło drzwi wyjściowych,
a może wejściowych, nie umiem ustalić.
Papierosy na stole. Światło przyciemnione.
Szczotka do zębów niedbale w umywalce.
Puls bije ospale.
Kroki odchodzą, świt coraz bliżej.
Kochana, chodź do mnie,
czeka na nas dobre tysiącletnie łóżko.

lato 1974

Przeczytałem *Niepokoje młodego wychowanka Torlessa*, Musila. Dobrze. To dobrze. Potrzebna książka. Napisałem wiersz. Długi wiersz do powieści (wyrzuciłam przecinek) pod tytułem *Śmierć młodego Torlessa*. Ale go zagadałem oto fragment:

(...)

Staął pośród siebie złotem ustrojony
w dłoniach trzymał karabin obłędu
w ustach gryzł przysięgę.

Staął pośród mitu
do zenitu sięgnął.

(...) Ze snu jeszcze krzyczał,
skamieniał o poranku

(...)

- - -

Wrzesień 1974

Podjęcie decyzji.

Słowo jedno mnoży się przez już dziewięć. Dziewięć zacznie przypadek. A między przypadkiem a słowem jest zawartość. Zawartość jest tylko między. Co jest przed dziewiątką się nie liczy. Choć też było mnożone, choć inną liczbą. Liczby, więc też nie są najważniejsze.

Październik, listopad 1974

Antek Pawlak, Marek Bieńkowski, Olek Jurewicz i Stanisław Esden - Tempski (popularnie Esden) zawiązali grupę *Muzeum Samowiedzy*. Wcześniej publikowali jako grupa pokoleniowa w „Literach”, a teraz też w „Merkuriuszu”. Odgrają się, że chodzi im o stworzenie *frontu ponad codziennościami stylu*.

Dość niejasna deklaracja. Ale fakt, poetycko, stylistycznie są dość spójni.

Gratulacje dla Marka Bieńkowskiego za I Nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim o Laur Czerwonej Róży. Jest zresztą jedynym wyróżnionym autorem z Gdańska w tym roku.

Nie dotarło do mnie jeszcze, kto otrzymał nagrody honorowe, to znaczy: *Pelerynę* za najlepszy debiut poetycki, *Pióro* za pisarstwo krytyczne, a za całokształt twórczości *Pierścień*. Jest też przyznawana nagroda dla pisarza z Pomorza - *Koga Gdańska*. Za tłumaczenia poetyckie przyznaje się statuetkę *Pegaza*.

Październik 1974

Byliśmy w Teatrze Wybrzeże za kulisami. To duży, choć nie wygląda tak z zewnątrz, teatr. Sam zespół aktorski to ponad 60 osób. Do tego biura, warsztaty, krawcowe, fryzjerki, obsługa techniczna. Bar pracowniczy, bardzo mały, za to wyposażony w alkohol.

To nowoczesny teatr, z dużym zapleczem i co najważniejsze, z obrotową sceną, która daje ogromne możliwości inscenizacyjne. Powstał na miejscu starego dziewiętnastowiecznego teatru, który został mocno zniszczony w czasie wojny. Nowy budynek jest obszerniejszy i nowocześniejszy w kształcie.

Spotkał się dyrektora Antoniego Biliczaka. Ja pokłóciłem się z gwiazdą teatru, Stanisławem Michalskim, który dość obcesowo mnie potraktował z powodu kapelusza i fajki. Choć kapelusz miałem naprawdę stylowy.

Październik 1974

Zaprzyjaźniłem się z Jarkiem Dąbrowskim. To dziennikarz. Píše dla „Studenta”. Właściwie to on mnie odnalazł. Zainteresowały go przyczyny, dla których wyrzucili mnie z raciborskiego SN. Był na ten temat duży tekst Jankowskiego właśnie w „Studencie”. Jarek pracuje w oddziale gdańskim „Studenta”.

A „Żak” to wielki klub studencki na Hucisku. Wszystko tam jest - i sala teatralna, i kawiarnia, pracownie artystyczne, a na górze pomieszczenia ZSP i Oddział Dwutygodnika Student. Tu się odbywają Spotkania Jesienne.

Jest to też główna baza Neptunaliów (tak nazywają się w Gdańsku Juwenalia), a w ramach tego wszystkiego Czerwona Róża, najpopularniejszy chyba konkurs poetycki w Polsce. I chyba najstarszy. W zeszłym roku wyróżnienie otrzymał na konkursie Olek Jurewicz.

Ole jest znany z różnych ekstrawagancji, np. z publicznego sikania do doniczek kwiatowych w akademiku. Znany jest też z tego, że koniecznie musi pisać wiersze na schodach w akademiku, w którym wcale nie mieszka.

Któregoś dnia wpada do mojego pokoju kolega i dramatycznie krzyczy: Olek popełnia samobójstwo, podcina sobie żyły (na tych samych schodach, gdzie pisał wiersze). Przejąłem się bardzo, ale

Jarek chwyta mnie za rękę i mówi spokojnie, spokojnie... To już trzeci raz w tym tygodniu. Cóż, Jarek znał lepiej Ola. Pół godziny potem pokazuje się w drzwiach głowa Ola ...*macie fajki?*

Jarek to lekki dziwak. Ma dziewczynę Joasię i kota Kazika , który zdaje się być utajnionym żbikiem (wielki ponad wszelką miarę). Specjalizacją Jarka są wszelkiego rodzaju afery. Głównie o nich pisze, co specjalnie nie ułatwia mu życia dziennikarskiego. Mam w nim też sekundanta dla mojej twórczości poetyckiej.

Spotykamy się teraz - Jola, Joasia, Jarek i ja - dość często na kolacyjkach i czerwonym winie. Najczęściej u nas w akademiku. Egri Bikaver, Cabernet, dla preferujących białe wino Tokaj.

Przed nami wyjazdy do teatrów.

Jedziemy do Łodzi, do Wrocławia do Teatru Grotowskiego z Cieślakiem w *Apocalypsis Cum Figuris*, do Warszawy na Mrożka, a też do Teatru Starego w Krakowie (chyba na Dulską), może uda się też do Słowackiego. Jeździmy całą grupą teatrologiczną z Janem Ciechowiczem i Miłosławą Bukowską (to ta sama, która spowodowała, że po egzaminach wstępnych na Uniwersytet nie odjechałem do domu z kwitkiem).

Same podróże to już coś. Szczególnie, że jeździmy pociągami osobowymi niemiłosiernie zapchanymi. I zwykle w nocy, aby w dzień zwiedzać muzea i miasto.

Zaprzyjaźniłem się z Aldoną Mrozowską, ale też zbliżyłem się do innych osób, w tym Adzika Zawistowskiego i Anki Czekałowicz. Nie wychodzi mi znajomość (a szkoda) ze Zbyszkiem Majchrowskim, super inteligentnym człowiekiem. W pierwszych miesiącach, na zajęciach na uniwersytecie nieustannie prowadziłem z nim spór, w sumie o nic ważnego, tak dla zasady, bo miło się spierać. Ale Zbyszek brał to chyba zbyt serio.

Styczeń 1975

z datą 1974 roku i ukazuje się moja pierwsza, tak zwana, publikacja zwarta, czyli arkusz poetycki: *Dedykacje*, wydane w Oficynie Borosa.

W arkuszu jest 16 wierszy i plakat z kompozycją Roberta

Knutha. Wstęp Jarka Dąbrowskiego. Opracowanie graficzne całości Roberta Knutha.

To pierwszy tom z serii, która ma się sukcesywnie ukazywać. Każdy arkusz opracowany przez innego grafika, a skład robiony jest w drukarence PWSSP, w Zbrojowni.

Następne arkusze będą Antka Pawlaka, Anki Czekanowicz, Jurka Kamrowskiego, Andrzeja Dorniaka, Adzika Zawistowskiego ... To na pewno, ale kto jeszcze? Zobaczymy, na razie nie wiadomo nawet czy ukaże się drugi arkusz.

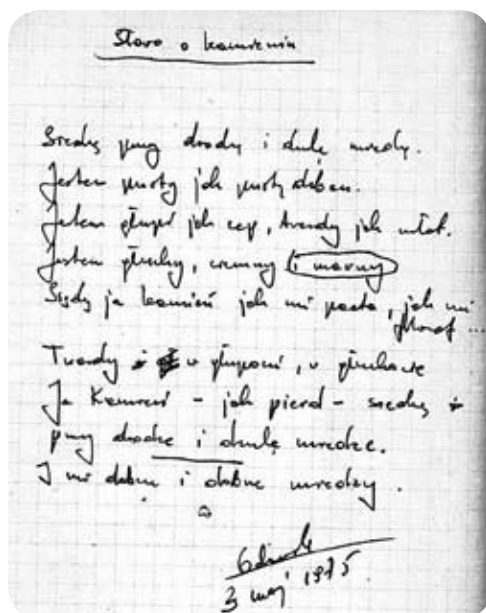
Słowo o Grzegorzu Borosie:

Mieszka przy ulicy Partyzantów. Student PWSSP w Gdańsku. Człowiek niespożytej energii. Animator performanców. Wymyślił Białą Lokomotywę, zamierza też pomalować ponury, szary wiadukt wiodący do stoczni na kolor żółty. Wymyślił poetycką serię tworzoną w parach: poeta wraz z grafikiem lub malarzem. Nie jestem pewny, ale zdaje się, że projekt ten ma też dydaktyczny

wymiar, bowiem studenci mają szansę na ćwiczenie ręcznego składu tekstu typograficznego i projektu wydawniczego. Grzegorz realizuje swoje niebanalne pomysły a nie tylko o nich opowiada. Jestem bardzo zadowolony, że jestem częścią jego działalności wydawniczej.

Arkusz został starannie zaprojektowany przez Roberta. Okładka najwyraźniej odwołuje się do moich wierszy z motywem ziemi i dziada. Motyw ten rozwijany jest na pergaminowych wklejkach w środku

arkusza, które mają poprzez swoją przezroczystość dynamizować widziane przez nie wiersze. Bardzo mi się to podoba. Okładka



Rękopis wiersza Słowo o kamieniu

niedużo mniej - jest zielona i zderza tytuł z motywem graficznym ziemio-dziada.

Odbiór ogólnie jest bardzo pozytywny i wszyscy mówią, że to bardzo ciekawe typograficzne i graficzne rozwiązanie.

Wiersze też się podobają, przy czym moi czytelnicy wyraźnie dzielą się na miłośników wierszy, nazwę je, społecznych i tych, gdzie rozpuszczam mroczną dość wyobraźnię i metaforę. Czyli jedni są zwolennikami *Okazji do pytania* i *Atletom polskim*, a część opowiada się po stronie językowych ekspresji, takich jak w *Uprawianiu dziada*. Są też niestety wiersze chybione...

Wiem, że jestem na początku mojej drogi poetyckiej. Trzeba będzie coś wybrać, pójść wyraźnie w jakąś stronę?

Ciągnie mnie metaforyczność, dzikie obrazy, rozpusta językowa, ale przecież już wiem, że ograniczam w ten sposób komunikowalność wierszy i gdy przychodzi mi pisać o takich sprawach jak Wydarzenia Grudniowe, to taki język gmatwa przekaz. Pewnym wyjściem jest eksperyment z wierszem *Atletom polskim*, ale ile można napisać tak formalistycznie koncepcyjnych wierszy żeby nie wpaść w powtarzalność, we własny epigonizm?

Myszę, że płacę za słabe przygotowanie do współczesnej poezji i ogólnie literatury współczesnej. Nie miałem dobrych przewodników ani w liceum, ani w życiu. Moimi wychowawcami byli rodzice księgowi, ulica, więzienie dla małaolatów... Sam wszystko odkrywam, a to powoduje chaos niezmierny, bo jak łączyć moje lektury np. Bacona, Pascala, Musila, Gałczyńskiego i Broniewskiego - istny galimatias.

Studia powinny mi pomóc. I nowe kontakty literackie. Gdy przyglądam się wierszom Pawlaka i Zawistowskiego, Czekanowicz, to w ich poezji widzę porządek i wiele umiejętności literackich, jasność języka i stylistyki, Trochę im zazdroszczę.

Zastanawiam się jak doszło do publikacji *Dedykacji*?

Jestem w Gdańsku bardzo krótko. Jestem nowy. Może dlatego, że moje wiersze są wyraźne, zastanawiają, ale przede wszystkim chyba nie najgorzej wypadają na tle twórczości innych poetów gdańskich. Może jednak pewien chaos, ekstrawagancja wyobraźni



i języka ostatecznie owocują.

Może jednak za bardzo biłem się w piersi w akapicie powyżej.

Nie do przecenienia jest też fakt, że dostałem nagrodę od Zbigniewa Herberta na konkursie *Kandelabr*. Procentują też intensywne spotkania środowiskowe, znajomości innych poetów i w ogóle młodych twórców z Trójmiasta.

A to miasto wrze. Tu się nieustannie coś dzieje, czuję się przez to nieco zagubiony, szczególnie po doświadczeniu marazmu w Szczecinie.

Kwiecień 1975,

no, nie wiem, co myśleć o tym. Ten mój wiersz, *Atletoł polskim*, ukazał się w „Literaturze” i „Nowym Wyrazie”. W obu przypadkach na eksponowanym miejscu. W „Nowym Wyrazie” jest zresztą więcej moich tekstów. Ten wiersz robi wrażenie... ale chyba tak pisać dalej nie chcę.

Atletoł polskim

jeżeli kogoś obchodzi

jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi

jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy

jeżeli kogoś obchodzi historia ludzi
o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem

jeżeli kogoś obchodzi historia

ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano

jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano
by zdążyć na pociąg do pracy

jeżeli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano
by zdążyć na pociąg
którym wrócą do domu gdy nie będzie już dnia
jeśli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego wstawania o piątej rano
by zdążyć na pociąg do pracy
którym wrócą do domu gdy nie będzie już dnia
i pozostanie jedynie możliwość jak najszybciej się położyć
by zdążyć na pociąg do pracy

jeśli kogoś obchodzi historia
ludzi o jednej twarzy
szarej obsypanej popiołem
ćwierćwiekowego rygoru wstawania o piątej rano
by zdążyć na pociąg
którym wrócą do domu gdy nie będzie już dnia
i pozostanie jedynie możliwość jak najszybciej się położyć
by zdążyć na pociąg do pracy
którym wrócą do domu gdy nie będzie już dnia
i pozostanie jedynie.

Wiersz powstał jako rezultat moich peregrynacji z Gdańska do Krępy Krajeńskiej, zawsze w osobowych (na tych trasach



Miłoslawa Bukowska.

nie ma pospiesznych), śmierdzących węglowym pyłem pociągach, z przystankami, co kilka lub kilkanaście kilometrów.

Pasażerowie to ludzie, którzy dojeżdżają rano do pracy, by po całym dniu wrócić do domu, w którym najczęściej jest jeszcze sporo do zrobienia. Ci ludzie to małorolni rolnicy. Zasypiają w pociągu ze zmęczenia... są szarzy i wymęczeni. Ponury obraz.

Ważną inspiracją były też podróże ze Szczecina do Krępy, których odbyłem setki, szczególnie na

trasie Stargard Szczeciński - Kalisz Pomorski. Tam w pociągach podobnie wymęczeni ludzie. Myślę, że tak jest na wszystkich trasach Polski powiatowej i wiejskiej. Chociaż, gdy byłem na Dolnym Śląsku ludzie wyglądali jakby mniej wyczerpani.

Wiersz do „Literatury” wysłałem pocztą. Przyjął go poeta *Orientacji*, Krzysztof Gąsiorowski. W „Nowym Wyrazie” zadziałała Miłka Bukowska, która tam moje wiersze dostarczyła, a promotorem w tym tytule był Krzysztof Karasek, o którym mówi się, że to spóźniony poeta *Orientacji*, bardziej już *Nowej Fali*.

Kwiecień 1975

Rada Wydziałowa na Uniwersytecie Gdańskim. Na gościnne występy przyjechali Krzysztof Kolberger i Daniel Olbrychski (była też Maryla Rodowicz, nieoficjalna narzeczoną Olbrychskiego). Na zdjęciu poniżej Kolberger. Namawiałem go, aby przeczytał w auli też mój wiersz z arkusza *Dedykacje*, ale powiedział, że musiałby się przygotować. Szkoda.

Przy tej okazji poznałem świetnego pianistę Cezarego Owerkowicza. Pianista, zauważony na Festiwalu Chopinowskim, tutaj występował w roli akompaniatora. Super gość.



Krzysztof Kolberger i ja w salce Rady Wydziału Humanistycznego UG. 1975 rok.

19 kwietnia 1975

Zostałem wybrany do zarządu Koła Młodych ZLP, jako sekretarz. Kazik Nowosielski jest przewodniczącym. Koło liczy piętnaście osób.

7 maja

Jest drugi arkusz wydany u Borosa, tym razem Jurka Kamrowskiego, pod tytułem *Przybliżenie*. Dostałem egzemplarz z numerem 7, to chyba nieźle.

Opracował graficznie Jerzy Janiszewski - liternictwo w konwencji awangardowej, ale wielki plakat jest ekspresjonistyczny. Wstęp krytyczny napisał Staszek Rosiek, jak zwykle bez wartościowania, tak jakby krytyk za główne zadanie miał obowiązki *anatomiczne*, a w mniejszym *fizjologiczne*. A zatem pisze jak to jest zrobione, a mało jak to działa i co działa. Cały Staszek!

Uważam, że to udane przedsięwzięcie.

Jurek napisał mi w dedykacji „*Zbigniewowi Joachimiakowi - poecie gdzieś tam z akademika*”. Podkreśla tym naszą osobność (bo on jest ze Starego Gdańska), a też chyba wytyka mi (całkiem niesłusznie) akademickość.

Początkowo miałem wrażenie, że wiersze mają jakby dopisane tytuły i niekoniecznie powstały wraz z wierszem. Ale teraz widzę, że to ma sens. Lubię wiersze Kamrowskiego, choć są mocno nostalgiczne.

Skąd u tak młodego poety tyle smutku?

Maj 1975

Atletem polskim dostał nagrodę na konkursie poetyckim „Nowego Medyka” i „Młodej Sztuki” w Warszawie. Znowu zadziałała czarodziejka Miłka Bukowska. W Warszawie nawet nie byłem, to ona zgłosiła tekst do konkursu jednego wiersza.

Maj - czerwiec

Cała seria spotkań autorskich organizowanych przez Koło Młodych ZLP: Jurka Kamrowskiego, Krzysztofa Karaska, Michała Sprusińskiego, Staszka Gostkowskiego.

Staszek Gostkowski, to poeta starszy ode mnie o dwa lata, też polonista z Uniwersytetu Gdańskiego. Pochodzi chyba z Kościerzyny. Lubi wypić nie mniej niż Olek Jurewicz. Nie czuje się związany z naszym ruchem poetyckim, z żadną z grup gdańskich, a już szczególnie nie z poetami Wspólności.

To bardzo dobry poeta. Dramatyczny. Ostry. Doceniono go i w 1973 roku ukazał się arkusz poetycki Gostkowskiego *Poświęcenie uczciwości* (suplement do „Nowego Wyrazu” nr 8). W kolejnym roku wydał we Wrocławiu arkusz *Razem* (wyd. Klub Młodzieży Pracującej w Piwnicy Świdnickiej. W roku 1974 ukazał się, nakładem Wydawnictwa Morskiego w Gdańsku, debiutancki tom poezji Gostkowskiego *Nie chowajcie mnie żyjącego*, za który otrzymał nagrodę *Wiatr od Morza* (nagroda miesięcznika „Litera” i Klubu Studentów Wybrzeża „Żak”). To trudny człowiek w kontaktach, ale czy poeta musi być miły?

Zorganizowaliśmy też mini sesję krytyczną w kawiarni „Li-

terackiej” poświęconą *Sklepom mięsnym* Adama Zagajewskiego. Wystąpienia miał między innym Antek Pawlak i Marian Terlecki.

Zaraz potem wieczór autorski Kazimierza Nowosielskiego.

Czerwiec wciąż jeszcze. Na uczelni okres zaliczeń.

Stefan Chwin nie popisał się i choć zaliczył mi zajęcia z Literatury po 1918, to wpisał mi ocenę *dobrą*... to już lepiej byłoby samo *zaliczam*. Zdałem też pozytywnie egzamin z Romantyzmu i z gramatyki historycznej (rewelacja, dostałem najwyższą ocenę, ale to zasługa Aldony Mrozowskiej, która pomagała mi w przygotowaniach do egzaminu). Inna sprawa, że gramatyka opisowa, językoznawstwo, gramatyka historyczna a nawet SCS to fascynujące dziedziny, choć niespecjalnie odbiło się to na moich wynikach zaliczeniowych.

W ramach fascynacji językowych, przy pomocy Joli, poczytałem *Słowo o Polku Igorowie*, kapitalny językowo tekst z XII wieku, epos wcześniejszy niż jakiekolwiek polskie teksty. Przydały mi się ćwiczenia z SCS-u.

Z Jolą tłumaczyliśmy też wiersze Achmatowej.

Lipiec 1975

Jestem lekko w szoku. Widziałem stare zdjęcia Krępy.

Ojciec poznał ludzi, którzy mieszkali tam do 1945 roku. Krępa była przed wojną obszerną wsią z wielkim dworskim pałacem, który stał dokładnie tam, gdzie podejrzewałem, czyli na skarpie nad jeziorem.

Wieś nazywała się *Crampe* (a nie Krampf, jak mi mówiono) i jej historia sięga piętnastego wieku. Właścicielami tych ziem były rodziny o znanych nazwiskach, takie jak von Wedel (pierwsi odnotowani właściciele), a też von Gerlach. Ostatnimi niemieckimi właścicielami byli von Holstowie. I właśnie potomka tej rodziny poznał ojciec. Kawał chłopca, sympatyczny gość. Gdy przyjechał odwiedzić Krępe miał jakieś 60 lat, a zatem teoretycznie mógł być członkiem hitlerowskich organizacji, ale tego ojciec nie ustalił i nawet nie wiem, czy dochodził tego.

Krępa na starych zdjęciach nie przypomina obecnej leśnej

miejsowości, były to dobrze zagospodarowane obszary rolnicze. Moje wrażenie, że jestem na zapleczu puszczy drawskiej, mylne. To były stare, dobrze zagospodarowane, wiejskie tereny od wieków, aż do Tuczna łącznie.

I jeszcze jedna ciekawa informacja - ta mała stacyjka, która też wydaje się na końcu świata, istnieje od 1880 roku i jest na szlaku starej pruskiej linii kolejowej. A jezioro też nie miało nazwy, było tak jak dzisiaj *Jezioro w Krępie* (bez Krajeńskiej)

Już październik

Dyskutowaliśmy o arkuszu poetyckim Marka Bieńkowskiego, który ukazał się w „Debiutach Poetyckich” ’74. Tydzień później spotkanie autorskie z Andrzejem Krzysztofem Waśkiewiczem, wydawcą „Debiutów”.

W edycji ’74 odnotowano również moją obecność i wydanie *Dedykacji*.

28 października

Jest wreszcie trzeci arkusz w serii Borosa. Tym razem fantastycznie zaprojektowany zbiór wierszy Antka Pawlaka przez Krystynę, (czyli Krychę) Janiszewską.

Oczywiście, zorganizowaliśmy spotkanie z autorami.

Projekt graficzny jest naprawdę niebanalny, okładka w czerwieni, imitująca mur z napisami, składana poczwórną, plus plakat.

A plakat wydrukowano na gazetowej stronie, chyba „Głosu Wybrzeża”, przedstawia eksplodującą głowę Antka niczym wulkan, albo, jak kto woli, bomba. A treści gazetowe jak najbardziej znaczące: „Posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR”, „Urlopy nie osłabiają pracy”, „Turcja zapowiada zamknięcie baz wojskowych USA”. Ważne wiadomości!

Wiersze znakomite, ale to mnie nie zaskakuje, bo pamiętam jego wiersze ze spotkań autorskich. Choć Antek pisze zupełnie inaczej niż ja, to chętnie czytam jego teksty. To nie jest niedzielny poeta. Będzie o nim jeszcze głośno. A arkusz pod tytułem *Czynny całą dobę*, na pewno wielu zauważy.

Ukazały się „Litteraria”, razem z moim udziałem w redakcji.

4 listopada

W Kole Młodych zorganizowaliśmy dyskusję nad książką Juliana Kornhausera, *Kilka chwil*. Wystąpienia mieli Olek Jurewicz, Zbyszek Majchrowski i Jarosław Dąbrowski (dziennikarz „Studenta”). Najbardziej sensowne było wystąpienie Zbyszka, bo merytoryczne, bez ideologii i publicystyki. A z kolei, biorąc pod uwagę aspekt publicystyczny, to najciekawiej wypadł Jarek. A Olek Jurewicz? Cóż lepiej niech pisze wiersze.

5 listopada

Spotkania jesienne w „Żaku”.

Rozstrzygnięto Turniej Poetycki o nagrodę *Czerwonej róży*. Było bardzo ciekawe jury: Urszula Koziół, Bohdan Drozdowski (naczelný „Poezji”), Krzysztof Gąsiorowski, a od nas z Gdańska, Jacek Kotlica. Jedno z wyróżnień przypadło Antkowi Pawlakowi, nagroda główna Tadeuszowi Olszańskiemu.

Cała impreza została włączona w Dni Literatury, zorganizowane przez Koło Młodych, w czasie Spotkań Jesiennych. Seminaryjne wystąpienie pod tytułem *Poeta i powinność* miał Waldek Ziemnicki.

Jeszcze w listopadzie wieczór autorski Olka Jurewicza.

W grudniu

Koło Młodych zorganizowało spotkania autorskie Waldkowi Ziemnickiemu, Andrzejowi Nowakowskiemu (prozaikowi, mojemu koledze z roku). W tej serii spotkań i ja miałem okazję zaprezentować się z najnowszymi wierszami.

Grudzień 1975

Razem z Adzikim Zawistowskim pojechaliśmy do Waldka Ziemnickiego. Waldek mieszkał gdzieś na Stogach, ale od czasu swojego nowego romansu mieszka ze swoją kobietą nielegalnie w tak zwanym pustostanie, w Brzeźnie, w pięknym 3 pokojowym mieszkaniu, w XIX wiecznej kamienicy w stylu kurortowym.

Waldek jest świetnym poetą, niezłym erudyta, choć potrafi

zagadać wszystkich na śmierć. Niemniej nie przeszkodziło nam to by napisać program grupy poetyckiej, którą chcemy założyć. Stało się na nazwie Wspólność. Nazwa wyszła od Waldka, choć nie podobała mi się pod względem literackim.

Trzech polonistów napisał manifest artystyczny i chyba jest mocno, zbyt mocno polonistyczny. Będziemy nad nim pracować i rozwijać go.

Założenie grupy literackiej i sformułowanie programu jest działaniem taktycznym. Doszliśmy do wniosku, że jako grupa zyskamy większą uwagę czytelniczą, środowiskową, a też redakcji pism i wydawnictw literackich.

Założenie grupy to jedno i łatwe, ale napisanie programu to drugie i wcale nieproste.

Czujemy, że stanowimy nowe pokolenie poetyckie, że wiele spraw nas łączy, ale nie jest proste określić tę naszą wspólnotę i na czym polega więź artystyczna. Brakuje nam krytycznych analiz naszej twórczości. Może dlatego bardziej w programie skupiliśmy się nad sytuacyjnym aspektem grupy, bo łatwiej powiedzieć czego nie chcemy, wobec czego się dystansujemy i czego chcemy unikać w naszych wierszach.

Już tylko patrząc na nas trzech, widać jak różna jest poezja Adzika i Waldka - jeden może być kojarzony z tradycją czechowiczowską, a drugi z klasycystyczną i ja, w swoim niezdecydowaniu pomiędzy poszukiwaniami językowymi i formalnym a skłonnościami do barokowej metaforyki, nie stanowimy jakiejś wyraźnej



Waldek Ziemiński

wspólnoty stylistycznej. Jednocześnie czujemy, że jest coś wspólnego w naszych wierszach.

Łączy nas niezgoda na uproszczoną wizję poezji tak zwanej nowofalowej, choć przecież i oni są bardzo różni pomiędzy sobą. Bo właściwie jaka jest wspólnota poetycka pomiędzy Piątkowskim, Zagajewskim, Stabro, Kornhauserem lub Barańczakiem. W sferze manifestów wielka, a w wierszach raczej niewielka. Ich manifesty robią



Z Jolą przed Wydziałem Humanistycznym

wrażenie, wiersze (szczególnie Zagajewskiego) mniejsze. Ich sukcesy prasowe, zainteresowanie nimi jest pochodną politycznych aspektów ich działalności.

Koniec roku 1975

To był bardzo ożywiony rok pod względem wydawniczym, organizacyjnym i spotkaniowym. Poza literackimi pracami jednocześnie studiuję filologię polską na kierunku teatrologicznym, co nie jest bez znaczenia, bo grupa, z którą studiuję, wciąż jeździ na różne wyprawy teatralne.

Czerwona książeczka Mao

Zawsze fascynowało mnie, co to jest ta Czerwona książeczka Mao.

Legendarna, ale kto ją widział? Kto czytał? Postanowiłem to nadrobić i udałem się do Chińskiego Konsulatu przy ulicy Grunwaldzkiej, a może już alei Zwycięstwa we Wrzeszczu.

To piękny budynek właśnie w chińskim stylu, niedaleko Gdańskiego Radia, a jeszcze sporo przed Operą. Za niezbyt wysokim płotem nigdy nie widziałem żadnego ruchu, a obserwowałem ten budynek, gdy jeszcze mieszkalem przy Dubois. Przy niewielkiej bramce do placówki dzwonek elektryczny.

Zadzwoniłem. I znowu zadzwoniłem. I nic. A więc jeszcze raz zadzwoniłem. Wreszcie, po dłuższym czasie, wyszła niewielka kobieta w półeuropejskim i w półchińskim stroju. Nie mogłem zdecydować, czy to urzędniczka, czy np. sprzątaczką. Powiedziała coś najpewniej po chińsku, bo nic nie rozumiałem. Z uporem powtarzałem *Czerwona książeczka* po polsku, po angielsku i po rosyjsku. Chyba ten ostatni język był najbardziej zrozumiały. Pokazała palcem ziemię i wróciła do budynku. Po chwili wyszła z ... *Czerwoną książeczką* wielkości książki do nabożeństwa. Podziękowałem nisko się kłaniając.

Zdobyłem ją! Zdobyłem!

Była po chińsku.

Wieczne Amazonki doczekały się publikacji zwartej.

Arkusz poetycki pod tym tytułem wyszedł jako dodatek do *Debiutów 1975*, w redakcji AKW i Jurka Leszina.

Rzecz wyszła w ekspresowym tempie i w ekspresowym tempie zrobił mi oprawę graficzną Staszek Rosiek. Przygotował też exlibris. Nakład taki sam jak antologia *Debiuty*, czyli 800 egzemplarzy, to znacznie, znacznie więcej niż nakład *Dedykacji*.

Styczeń 1976

Poeeci z Muzeum Samowiedzy mają talent do tytułów.

Arkusz Antka *Czynny całą dobę* nawiązywał do popularnego nowofalowego toposu sklepu samoobsługowego (przyznam, że w jednym z wierszy poszedłem też tym tropem, mam na myśli *I anatemę wyszydzą oświeceni*).

Nowy tytuł Marka Bieńkowskiego, wydany w serii Borosa, jest równie atrakcyjnie nazwany, *Po długiej nieobecności ciągle ten sam*. Jak zwykle fetowaliśmy tę okazję spotkaniem autorskim, właśnie tym razem Marka.

5 luty 1976

Kontynuujemy kontakty międzyśrodowiskowe. Tym razem zaprosiliśmy poetę szczecińskiego, Stanisława Zajączka, który wydał świetny tom *Ja i mój kumpel Meegeren*. Autora przedstawił i rozpoczął dyskusję Staszek Rosiek, wielki admirator tej poezji.

Marzec, kwiecień

Spotkania autorskie Krzysztofa Kamila Stolz, którego *Szpital* odbiły się sporym echem. Celebrowaliśmy też wydanie arkuśa poetyckiego *Skrajem lasu*, Andrzeja Grzyba, wydany przez „Pomeranię”. Napisałem nawet recenzję tego tomiku, bo jakoś bliskie mi są tropy rustykalne, a Grzyb jest dobrym przykładem tego nurtu poezji.

To mi uzmysławia, że wciąż drzemią we mnie różne ciągoty poetyckie, że jest grupa wierszy w duchu ciemnego baroku, są wiersze, które w dużym stopniu są autoteliczne, są wiersze lingwistyczne, a też, nazwę je, społeczne. Trochę przeszkadza mi ta nieźborność stylowa.

A w cyklu *Rozmowy* można było posłuchać Ani Czekanowicz w gdańskim radiu.

6 kwietnia 1976

SZSP przy okazji Dni Uczelni UG zorganizowało wieczór poetycki *W kręgu poetów Uniwersytetu Gdańskiego*. Cały tłum: Marek Bieńkowski, Anna Czekanowicz, Stanisław Esden-Temp-ski, Ewa Mazur, Bożena Ptak, Adzik Zawistowski, Waldek Ziemi-nicki i jeszcze wielu ...

Zabrakło kilku poetów z uniwersytetu, takich jak Kazimierz Nowosielski i Stanisław Dąbrowski (zresztą docent).

Na Legnickie Dni Poezji (9-10 kwietnia) pojechali Marek Bieńkowski Marian Terlecki. Wzięli nasz manifest *Wspólność* i go tam odczytali. Zrobiła się burza. Takiej reakcji się nie spodziewa-liliśmy. Napisano już o tym manifeście w „Studencie” i w kilku innych miejscach. Zwykle krytycznie. Cóż.

Nadal intensywnie działamy w Kawiarni Literackiej (oczywi-ście, nie mówimy w *Kawiarni Literackiej*, a tylko *Literackiej*). Choć tym razem organizacyjnie Koło Młodych wsparł „Nowy Medyk”.

Przedstawiliśmy arkuś poetycki Waldka Ziemińskiego z serii *Pokolenie, które wstępuje*. Na spotkaniu był wydawca, Jurek Le-szin. Przy tej okazji odczytano trzy omówienia krytyczne. Wygło-sili je Anka Czekanowicz, Adzik Zawistowski i Staszek Rosiek.

Zaraz potem Jurek Kamrowski i ja udaliśmy się do Szczecina na spotkania autorskie. Mieszkaliśmy w cudownej willi ZLP na Pogodnie.

W tym czasie w radio gdańskim można było posłuchać audy-cji poetyckiej z moimi wierszami.

12-14 maja 1976

Jesteśmy gośćmi na Toruńskim Sympozjum Poetyckim. W pierwszym dniu przedstawiliśmy trzy referaty.

Staszek Rosiek wygłosił tekst pod tytułem „Z punktu widzenia

gracza”, Waldek Ziemnicki „Poeta i powinność”, a ja przeczytałem tekst pod tytułem „O polifoniczności książki poetyckiej”.

Przedstawiliśmy też założenia programowe grupy Wspólność. Na konkursie jednego wiersza nagrodę dostał Olek Jurewicz. A grupa Wspólność przyznała swoją nagrodę Katarzynie Boruń z Warszawy (Grupa Moloch).

Nocleg mieliśmy w akademiku, pokoje czteroosobowe i z pluskami.

Ale zasadniczo było miło i merytorycznie, szczególnie, że również zostaliśmy zaproszeni na kolację do Janusza Kryszaka, poety Orientacji, znawcy współczesnej literatury emigracyjnej i sympatycznego gościa.

Spotkanie z nim było bardzo ciekawe, bo nikt z nas nie posiadał porównywalnej wiedzy o emigracji londyńskiej, paryskiej, a tym bardziej amerykańskiej. Pod tym względem Janusz był dla nas alfą i omegą, a tym bardziej, że szeroko i chętnie dzielił się z nami swoją wiedzą.

Trochę nam było wstyd, że tak mało wiemy

i tylko parę nazwisk potrafiliśmy wyliczyć (i to też tylko dzięki radiowym audycjom literackim Wolnej Europy i BBC). Zналиśmy twórczość poetycką (a przynajmniej ja) Bolesława Taborskiego, ponieważ niedawno ukazał się dość obszerny tom jego wierszy.

Pozналиśmy też osobiście Krzysztoszka, poetę i krytyka, z którym mieliśmy wcześniej kontakt korespondencyjny. Był najwyraźniej współorganizatorem Toruńskiego Sympozjum.

Spotkania autorskie pozwoliły nam uzyskać honoraria, które nie były może wielkie, ale jednak...

Zauważyłem, że grupa Wspólność to już znana firma i wzbudza spore zainteresowanie. Spotkaliśmy się z pozytywnym stosunkiem organizatorów i gości oraz widzów Sympozjum. Kontrastowało to ze sceptycznym stosunkiem naszych innych kolegów z Gdańska.

Jeszcze w maju

zorganizowaliśmy spotkanie z poetą i krytykiem, Jackiem Łukasiewiczem oraz Zbigniewem Brzozowskim, prozaikiem ze Szczecina.

25 maja gościliśmy w Gdańsku grupę Moloch, reprezentowaną przez Katarzynę Boruń i Waldka Gaińskiego. Vis a vis usiadła grupa Wspólność w składzie Anka, Adzik i ja.

27-29 maja

odbywały się Gdańskie Dni Poezji. Można było spotkać się z przedstawicielami redakcji „Poezji”, „Nowego Wyrazu” i „*Literatury na Świecie*”.

Poznałem Elżbietę Wojnowską, która miała tutaj swój recital. Zaprzyjaźniłem się z nią. Po koncercie wymęczona i raczej w złym nastroju przyjechała do mnie na Dywizjonu, gdzie odpoczęła i nabrała lepszego samopoczucia.

Elżbiecie bardzo podobał się wiersz *Atletom Polskim*. Postanowiłem go jej zadedykować, a właściwie podarować.

Na tym samym koncercie śpiewali też Elżbieta Adamiak i Tadeusz Karmazyn. Elę Adamiak poznałem już wcześniej w jednym ze studenckich klubów w Gdańsku, konkretnie Politechniki Gdańskiej, na Wyspiańskiego.

Jeszcze w maju w Wydawnictwie Morskim dyskutowano o żywym almanachu. Nie sadowię, że to dobry pomysł, bo wszelkie pomysły w rodzaj „zamiast”, a w tym przypadku prawdziwej publikacji, nigdy się nie sprawdza. Podejrzewam, że wydawnictwo w ten sposób chce się wykpić z obowiązków wydawniczych wobec środowiska młodoliterackiego.

Czy Wydawnictwo rzeczywiście czynnie promuje nową poezję gdańską? Nie jestem pewny.

W dziale Literatury Pięknej pracuje pani Wanda Przybysławska, bardzo miła i życzliwa osoba. Lubię z nią rozmawiać w jej niewielkim pokoiczku na drugim piętrze w siedzibie WM, na rogu Grobli i Szerokiej. Piszę dla niej tak zwane recenzje wewnętrzne.

W pewnym sensie umiejscowienie wydawnictwa jest metaforyczne - na rogu, na rozdrożu. Lecz nie przekłada się to na nowe tomy poetyckie. Mam wrażenie, że w Wydawnictwie panuje raczej podejście konserwatywne. I jeśli np. Kaziu Nowosielski (poeta tzw. chłopski) jest tam doceniany, to już wiersze Anki, Adzika

i, nie wspominając, mojej osoby, nie za bardzo.

Dyskutowano mętnie o idei żywego almanachu, ale nic z tego nie wynikało poza dobrym samopoczuciem organizatorów, a może ma być to rodzaj remedium na brak prawdziwych książek?

Mam wrażenie, a może podejrzenie, że WM działa pod presją zdarzeń w środowisku literackim w Gdańsku, a niekoniecznie dlatego, że te zdarzenia docenia. Nie bez znaczenia jest życzliwe podejście do środowiska miejscowych władz administracyjnych i politycznych, (choć nigdy nie wiadomo, co się kryje za intencjami tych drugich).

Jako czynny działacz Koła Młodych przy gdańskim ZLP zapraszany jestem na różne spędy środowiskowe z władzami miasta. Na nich padają różne i najróżniejsze obietnice. A to, że myśli się o piśmie literackim, że koniecznie trzeba wydawać książki w naszym, gdańskim wydawnictwie, że trzeba wspierać młodych pisarzy, że trzeba polepszyć ich sytuację mieszkaniową (między innymi Kazimierzowi Nowosielskiemu), stypendialne, etc. etc. To dobry klimat. Myślę, że może oddziaływać na miejsce młodych pisarzy w lokalnej polityce kulturalnej, w tym dla młodych pisarzy.

Ten dobry *klimat* politycznych władz nie przekłada się na jakąś wyraźną i zauważalną akcję werbunkową. Tylko nieliczni pisarze wstępują do PZPR. Rozmawiałem na temat jego członkostwa w partii z Krzysztofem Kamilem Stolzem, zapierał się, że to ma sens dla niego, bo uważa się za pisarza lewicowego, a partia daje mu szansę na wpływanie na rzeczywistość społeczną, polityczną i kulturalną. Hmm.

Z mojego punktu widzenia jest zupełnie inaczej. Myślę, że poeta, który wchodzi w działalność partyjną, a nawet administracyjną (czyli do takiej czy innej władzy) ogranicza swoją... poetyckość, swój instynkt wolności, gasi go. I nie ma to znaczenia w jakich strukturach władz działa i pod jakimi sztandarami. Gdyby dzisiaj powstała Polska Partia Pisarzy Kulturalnych i Niezależnych, to i tak uważałbym, że działalność poetów w takiej strukturze byłaby samobójcza dla ducha poetyckości i... wolności. Trochę inaczej może być z prozaikami, bo pisarstwo proza-

torskie jest bliższe działalności stricte społecznej, a przynajmniej w niektórych jego wymiarach i gatunkach. Na przykład reportaż, to może być czysta polityczna działalność i instynkt prozatorski na tym nie traci. Ale poeta, który staje się działaczem politycznym, a nawet, gdy staje się członkiem administracji państwowej, traci na poetyckości a w rezultacie na talencie.

Czerwiec

W „Poezji” (nr.9, 130) ukazał się ważny dla mnie mój wiersz *Może sen*.

To jego fragment:

jeśli umierać ma człowiek
a w jego miejsce rodzić się poeta
to nie chcę pisać
wierszy

Fragment ten nie jest szczególnie poetycki, ale ważne jest przesłanie.

Mam nadzieję, że zawsze o tym będę pamiętał. Choć wcale nie jestem pewny, jak to się ma do moich uwag powyżej. Może bywa taki krytyczny moment w życiu, gdy wybierając poetyckość traci się na człowieczeństwie, a wybierając człowieczeństwo, traci się na poetyckości.

3 czerwca 1976

Długo oczekiwany arkusz poetycki Anki Czekanowicz pod tytułem *Ktoś kogo nie ma* ukazał się wreszcie w *Oficy nie Borosa*.

Tomik wydany jest na grubym, kartonowym papierze. Autorami opracowania typograficznego są Ryszard Grodnicki i Edward Drozdowski. Pomysł ich opiera się na dwóch filarach: na awangardowej w stylu i obróbce czcionce oraz na grafikach, również bardzo mocno przetworzonych, nieomal do kontry. Na plakacie jest para nagich dzieci.

Mój ulubiony wiersz to *Dulle Griet*.

Na tym zakończyła się pierwsza seria arkuszy, było ich razem pięć. W kolejności: mój, Jurka Kamrowskiego, Antka Pawlaka, Marka Bieńkowskiego i Anki Czekanowicz.

Wydarzenia radomskie. Groźne pomruki. Nie wszystko dociera do nas w oficjalnych przekazach. To co wiemy, wiemy głównie dzięki Wolnej Europie i BBC. Nie chce mi się wierzyć, że to możliwe, te ścieżki zdrowia, pobicia, aresztowania. A tu u nas ładna pogoda, spokój, dobre samopoczucie, jak miło! Za miło?

Czerwiec 1976

Ukazał się arkusz - plakat poetycki *Próba koncentracji*, a w nim wiersze: Ewy Mazur, Zdzisława Malinowskiego, Jurka Kamrowskiego, Adzika Zawistowskiego, moje, Eugeniusza Kuppera, Bożeny Ptak, Andrzeja Grzyba, Anki Czekanowicz, Ludwika Topp i Waldka Chylińskiego (tego od poezji śpiewanej).



Trzcianka 1976. Lipiec

Gościłem na interdyscyplinarnej plenerowej imprezie młodych (i nieco starszych) artystów z całej Polski. Były improwizacje jazzowe, plenery rzeźbiarskie, wieczory poetyckie i wykłady z estetyki. Po raz pierwszy spotkałem tylu innych twórców niż pisarze. Poznałem artystów i teoretyków sztuki spod znaku Galerii EL. Poznałem rzeźbiarzy (Rembieliński zaprosił mnie do swojej pracowni w Koszalińskim), malarzy i malarki. Zaprzyjaźniłem się Marią Kruską z Torunia, dostałem od niej ołówkowy autoportret. Był też ceniony przeze mnie Ireneusz Szmit, którego poznałem jeszcze w Szczecinie w Teatryku na Wielkiej. Był Staszek Gostkowski, który miał straszny żal do mnie, że wygrałem konkurs jednego wiersza, a on zajął drugie miejsce, bo ...uwiodłem jurorkę. Cały Staszek! Wieczory jazzowe będę pamiętał długo.

lipiec

Ze Staszkiem Rośkiem byliśmy kilka dni na artystycznym obozie młodzieżowym.

Cholera! Przyszło nam spać w namiotach. Na szczęście każdy miał swój osobisty, a w nim grube, miękkie materace.

Staszek miał wystąpienie krytyczne, a ja spotkanie poetyckie, gdzie czytałem swoje wiersze.

Można by uznać ten wyjazd za stracony czas, gdyby nie to, że poznaliśmy Zbigniewa Zapasiewicza, który też miał tam swoją chałturę. Fascynujący aktor, ale też interesujący człowiek. Długo sobie z nim rozmawialiśmy, opowiadał nam o nie znanym nam świecie teatru i aktorów.

To bardzo oczytany facet i interesujące były jego uwagi i dywagacje odnoszące się do literatury. Pod jednym względem nie byliśmy partnerami dla Zapasiewicza, ani ja, ani Staszek nie pijemy alkoholu. Staszek jest amatorem czystej i gorącej wody, a ja mocnej herbaty. Trochę wyszliśmy na dziwaków przed Zapasiewiczem.

Wrzesień 1976

Manifest Wspólność został opublikowany w „Poezji” i w ten sposób grupa weszła w obieg ogólnopolskiej świadomości literackiej.

Mogliśmy lepiej napisać ten manifest, ale mleko się rozlało. Mają do nas pretensje, że publikujemy w „Poezji”, że to reżimowe pismo, że rządzą w nim sami partyjni pisarze. Ale kto nam opublikuje nasze wystąpienia? „Student”, który (akceptowany politycznie), nie garnie się, aby wspierać nasze działania, a Zagajewski (kierownik działu literackiego dwutygodnika) nie tylko odmówił publikacji naszego manifestu, ale również naszych wierszy. A przecież jak dobrze się wczytać w manifest Wspólności, to wyraźnie widać nasz brak aprobaty do aktualnej rzeczywistości, co przecież było podstawą manifestów Nowej Fali.

Gdy pisaliśmy szkic programu w domu Waldka Ziemińskiego było nas trzech: Waldek, Adzik i ja. Wkrótce dołączyła do nas Anka Czekanowicz, mieliśmy też nadzieję, że dołączy Staszek Rosiek, ale on wybrał drogę komentatora, a nie twórcy. Zaproponowaliśmy skutecznie podpisanie naszego manifestu jeszcze: Jurkowi Kamrowskiemu (podpisał, dystansując się nieco, bo był przywiązany do swojego pomysłu grupy Poetariat), Selimowi Chazbijewiczowi, Andrzejowi Grzybowi, Piotrowi (Pawłowi)

Kawieckiemu (filozof), Jackowi Kominkowi (poecie robotnikowi), Andrzejowi Nowakowskiemu (prozaik), Bożenie Ptak. Potem dołączyli jeszcze inni, m. innymi Bronisław Tusk (rzeźbiarz gdański).

POWSTAŁ KOR

Echa wydarzeń czerwcowych wciąż się roznoszą szeroko. Kościół stanowczo potępił reakcje władz na protest robotniczy.

Powstał KOR - Komitet Obrony Robotników. Jak podaje Wolna Europa, KOR bardzo skutecznie pomaga ofiarom. To dzielni ludzie. Wielu działaczy KOR-u to pisarze, którzy jeżdżą do Radomia i wspomagają represjonowanych robotników. Organizują pomoc nie tylko socjalną, ale też prawną.

Czuję się bezradny, bo tak mało wiem.

Na wydziale humanistycznym pojawiły się ulotki powielaczone pisane na maszynie.

Świat nieprzedstawiony wzbudził w nas wiele wątpliwości, ale i zainspirował do dyskusji. Książka wydana została w 1974 roku, ale wiele czasu trzeba było, aby weszła w obieg społeczny i wywołała dyskusję. Do mnie dotarła niedawno.

Nie mamy wątpliwości, co do intencji politycznych książki. Ale trudno nam się pogodzić z poetykami Nowej Fali, a dotyczy to przede wszystkim wierszy Adama Zagajewskiego i Juliana Kornhausera.

Postulaty nawołujące do realizmu w poezji są też nie do przyjęcia.

Wiersze Barańczaka są dla mnie za lingwistyczne, za doraźne... Choć za Barańczakiem przemawia poczucie humoru i błyskotliwa inteligencja, o którą w poezji jest niezwykle trudno.

Krynicki też umyka naszym, moim, wątpliwościom. Ale też umyka prostym nowofalowym poetyckim receptom.

W pewny sensie Nowa Fala jest dla mnie zagadkowa, bo wszyscy kojarzą ją z Zagajewskim i Kornhauserem, ale przecież oni wszyscy są z ruchów i poetyk *poorientacyjnych*, z grupy Teraz. A tam poeci zupełnie nie tacy, jak Zagajewski i Kornhauser.

Swoją drogą słowo *rzeczywistość* robi wielką karierę.

Arkusze Generacji a też inne

Wróciłem właśnie z Warszawy, gdzie nocowałem u Jurka Leszina. Wszyscy wiedzą, że Leszin to dobry duch młodych poetów, że wywodzi się z Orientacji, że razem z Andrzejem Krzysztofem Waśkiewiczem stanowią niezwykle inspirujący tandem, i że wydają arkusze poetyckie najnowszej poezji, *Debiuty*, antologie corocznych debiutów.

Mówiono mi, że Jurek dużo pije, nie zauważyłem tego, może pauzował?. W domu Jurek był bardzo przyjazny, długo rozmawialiśmy, wiele wspominał. Była na tyle dobra atmosfera, że zapytałem go skąd wziął się jego pseudonim *Leszin* (bo przecież jako poeta podpisuje się Jerzy Koperski). Wyznał, że jako początkujący i naiwny działacz ZSP, a też początkujący wydawca, był zafascynowany osobą Lenina, i któregoś razu podpisał się jako Jerzy Lenin. Pech (teraz lepiej powiedzieć szczęście), że błędnie wydrukowano jego podpis i wyszło Jerzy Leszin. Ze śmiechem tłumaczył, że pochodzi ze wsi a *my na wsi* bardzo wierzyliśmy w komunizm. Teraz już w Lenina nie wierzy, ale ma dobry pseudonim.

Nie wszyscy wiedzą, że Leszin i AKW (tak potocznie się mówi o Andrzejku Waśkiewicz) wydali wcześniej niezwykle serię poetycką *Generacje*. Krąg odbiorców musiał być wąski i nie wszyscy autorzy byli ulubieńcami władz, więc tomiki w tej serii miały bardzo niskie nakłady. Za to były niezwykle dopieszczone edytorsko - papier czerpany, starannie zaprojektowane obwoluty, zdjęcia autorów w postaci wklejek, exlibrisy, przekładania bibułek, nietypowe, wyszukane czcionki w wierszach.

Mogłem te cudenka wydawnicze zobaczyć u Leszina w domu, a nawet część dostałem w prezencie.

Było pięć serii. A autorzy? Jeden w drugiego niezwykli. Wydali w serii swoje wiersze: Zbigniew Bieńkowski, Wit Jaworski, Tadeusz Witkiewicz, Stanisław Grochowiak, Marian Ośniałowski, Tadeusz Peiper, Wiktor Woroszyński, Miła Elin, Tytus Czyżewski, Lech Piwowar, Yeży Yankowski, Włodzimierz Paźniewski, Zdzisław Jaskuła, Tomasz Hołuj. Jarosław Iwaszkiewicz, Andrzej K. Waśkiewicz, Marian Grześczak, a też Jerzy Koperski, (czyli Jurek Leszin).



Z Anką Czekanowicz na spacerze w Górach Oliwskich

A to nie są wszystkie arkusze, tylko te, które udało mi się dostać od Jurka podczas wizyty u niego.

Przy okazji poznałem jego miłą żonę i ich ukochaną córeczkę, o której Jurek nieustannie opowiada. Mieszkają w typowym wielkim gierkowskim bloku, mają trzy pokoje, jeden z nich to gabinet Leszina zapchany w głównej mierze jego wydawnictwami.

Po tej wizycie nasunęła mi się pewna refleksja dotycząca stosunków w tak zwanych środowiskach literackich.

Wiadomo powszechnie, że Nowa Fala i jej poeci niezbyt pochlebnie wyrażają się o swoich poprzednikach, a w tym szczególnie o Orientacji. Tym bardziej mnie zaskoczyło, że Lurek Leszin wydawał tych poetów na samym początku ich drogi i w dużym stopniu dzięki jego życzliwości zaistnieli w świadomości literacko-społecznej.

To u Jurka wyszedł manifest-arkusz poetycki grupy Teraz (z udziałem Jerzego Piątkowskiego, Stanisława Stabro, Juliana Kornhausera, Adama Zagajewskiego, Jerzego Kronholda i Wita Jaworskiego).

Chyba pierwszy swój tomik *Jednym tchem* wydał Stanisław Barańczak również u Jurka.

Podobnie tu wyszedł Krzysztof Karasek, kojarzony z Nową Falą, choć nie z grupą Teraz.

U Jurka ukazały się też wiersze Jarosława Markiewicza.

A w *Debiutach 1973* znajdujemy informacje o Stanisławie Stabro, Zdzisławie Jaskule i Włodzimierzu Paźniewskim.

Wyliczając te wydawnictwa łatwo zauważyć, że Leszin i AKW, choć zajmowali się - oczywiście - popularyzowaniem własnej formacji, to działali znacznie szerzej na rzecz wielu pokoleń, środowisk i grup twórczych. Sąsiedztwo Iwaszkiewicza, Waśkiewicza, Barańczaka, Czuchnowskiego, Ważyka, Paźniewskiego, Jaskuły (wymieniam tylko przykładowo) wskazuje, że redaktorzy tych wydawnictw mieli szerokie horyzonty i wieloraką wrażliwość poetycką.

Moje doświadczenia z formacją Nowej Fali nie były takie miłe. Pisałem już wcześniej, że dla Wspólności w „Studencie” Adam Zagajewski nie chciał znaleźć miejsca.

Może gdyby było inaczej, to miejscem naszego zaistnienia byłby właśnie „Student”, a nie „Poezja”.

Nie wiem na ile świadomie powtarzamy wzór postępowania Leszina i Waśkiewicza w naszym środowisku i z chęcią publikujemy w „Litterariach” poetów niekoniecznie nam bliskich poetycko i światopoglądowo.

Przy wyraźnych własnych poglądach zachowujemy otwartość wobec innych.

Nasz stosunek do otaczającego świata jest określony dyskusją, a nie likwidacją. To ma na myśli Zawistowski, gdy postulując polifoniczność poezji, to ma na myśli Ziemiński, protestując przeciw likwidatorskim cechom niektórych środowisk. A ja się z nimi zgadzam, bo gdy świat nas otaczający nacechowuje się doktrynerstwem, ideologicznym przymusem, zarówno politycznym jak i kulturalnym, czy wręcz literackim, to ten świat staje się gorszy.

21-25 września 1976

To termin w jakim odbywa się całkowicie nowa nasza impreza,

to znaczy I spotkania Młodych Pisarzy Polski Północnej. Organizatorem jest Koło Młodych ZLP. To znaczy my. Korzystamy z lokalu udostępnionego nam przez ZSMP i stołówki w Ośrodku w Wieżycy (Kaszuby). Mieliśmy pewne wątpliwości, czy skorzystać z tej uprzejmości, ale ZSMP nie domaga się od nas żadnych form współpracy, a tym bardziej ideologicznych. Żadnych. Nie uczestniczą w nim zetesempowcy w żadnym wymiarze i formule (choć pewnie w swoich sprawozdaniach odnosują, że taka impreza odbyła się pod ich egidą i zapiszą sobie organizacyjny plus).

Wieżyca.

Piękne miejsce. Niewielki budynek wbity w stok sporej góry o tej samej nazwie jak miejscowość, z widokiem na wijącą się szosę i na następną górę. Do pobliskiego wiejskiego sklepu, a też knajpy, jest ledwie 25 minut spacerem. Tak więc chętnie korzystamy z tych okoliczności i zaopatrujemy się tam w piwo, inne napoje i inne sprawunki. Po mocniejsze alkohole trzeba się wybrać dalej.

Standard ośrodka jest mocno średni, ale za to jesteśmy sami, bez przypadkowych i niepożądanych gości. A może nawet bez ukrytych person, które będą uprzejmie donosić, co i kto mówił, i jakie są nastroje wśród młodych pisarzy? Wszyscy się znamy. Zasadniczo wszyscy sobie wierzymy, choć niekoniecznie lubimy. Nazwa Spotkań wynikała z naszych dłuższych już kontaktów ze środowiskami Polski północnej, od Szczecina, po Gdańsk i przez Toruń, Olsztyn do Białegostoku.

W trakcie spotkań odbywają się wieczory poetyckie, ale przede wszystkim różne wystąpienia krytyczne. W tym roku wiodącym tekstem krytycznym jest wystąpienie Stefana Chwina, pod tytułem „Sytuacja etyczna debiutu”. Poza Stefanem czyta swój referat zatytułowany „Liryka-etyka-estetyka” Józef A. Grochowina. Janusz Termer (*Nowy Wyrzaz*) przedstawia ciekawy tekst o *Krytyce literackiej w świetle praktyki prasowej w ostatnich latach*.

Problem etyczności debiutanta rozwija też Tadeusz Mocarski w tekście „Młoda poezja wobec etyki”.

Ryszard Tarwacki przedstawia tekst „Pisarza światopogląd”. Piotr Kuncewicz mówi o powołaniu pisarza. Marian Terlecki wygłasza tekst „Opozycja intelektualna” (wydarzenia radomskie

muszą już mieć echo w tekstach). Leszek Szaruga wygłasza referat „Moralność, powinność, służba”.

Ewidentnie zarysował się zakres najpoważniejszych problemów młodej literatury z podkreśleniem zagadnień etyki.

W tle *Świat nieprzedstawiony*. Nie zgadzając się z wieloma tezami Zagajewskiego i Kornhausera, to jednak nie sposób nie zauważyć, że wstrząsnęły one środowiskiem literackim młodych i nie tylko młodych pisarzy. To na tyle ważna książka, że pomimo iż ukazała się w 1974 roku, to do dzisiaj toczy się wokół niej dyskusja.

To, że problem etyczności młodego pisarza zdominował problematykę seminarium nie dziwi, bo od dłuższego już czasu trwa dyskusja wywołana przez Nową Falę i ich literackie wystąpienia.

Moim zdaniem dyskusja idzie w jedną stronę, może zbyt jednostronnie, ale czy nasze pokolenia (szeroko rozumiane), doświadczone Marcem, Grudniem, a teraz Wydarzeniami Radomskimi, i bardzo ożywione podziemnym życiem politycznym, rozwojem załączków opozycyjnej prasy, może uniknąć dyskusji o aspekcie moralnym literatury, jej udziałem lub brakiem udziału w aktualnych wydarzeniach społecznych lub - co najmniej - na wyrażaniu lub milczeniu wobec nich?

Książka Zagajewskiego i Kornhausera nabrała po Radomiu nowego życia, nowej aktualności. Nasłuchujemy i zastanawiamy się nad życiem w naszej rzeczywistości historyczno-politycznej, jaka ona naprawdę jest? Słuchamy Wolnej Europy, BBC, Głosu Ameryki (nie znam takich, którzy tego nie robią).

Moim - również osobistym - pytaniem jest, jak dalece współczesna poezja powinna/musi podejmować tematy polityczne. Jak dalece powinniśmy wchodzić w dialog z obecną władzą, właśnie jako pisarze. Czym ten dialog miałby być - opozycyjną manifestacją, czy sporem ideowym? Mamy mocną tradycję angażowania się literatury, od romantyzmu począwszy, a może nawet należy sięgnąć dalej, bo do Kochanowskiego, czy Reja, którzy nie bali się wchodzić w dyskusje polityczno-moralne. A czy Krasicki nie był poetą społecznie zaangażowanym? Był, był! Choć był też z elit władzy.

Czy w tej sytuacji dziwić może aktualny dyskurs, którego przykładem może być nasze Seminarium w Wieżycy?

20.10.1976

Skończył mi się urlop zdrowotny na uczelni. Wracam do zajęć akademickich. Było dobrze, ale, niestety, wchodzę do nowej grupy, młodszej, a wielu moich przyjaciół jest teraz na wyższym roku.

Październik 1976

4-go tego miesiąca odbyła się premiera drugiej serii *Arkuszy Borosa*. Zainaugurował tę serię Esden-Tempski, jego arkusz, długi, nieco dla mnie niezrozumiały, ale w stylu Esdena - *Ten przebój Beatlesów nigdy nie będzie kobietą*. Mam wrażenie, że poza dobrą frazą, tytuł nic nie znaczy, albo mniej, niż wydaje się przy pierwszym rzucie okiem. Bardziej z serii tytułów z muzykami podobał mi się jurewiczowski - *Epoka Beatlesów jeszcze trwa*. Ten tytuł znaczy, ma klarowne przesłanie, treść. I dużo obiecuje.

Listopad 1976

Rozstrzygnięto Ogólnopolski Konkurs Poetycki o Laur „Czerwonej róży”. Dostałem wyróżnienie za wiersz ...*i na tym straganie*. Wiersz dobry.

Przewodniczącym jury był nie byle, kto, bo Adam Ważyk. Nieczęsto staję do konkursów, ale satysfakcję mam tym większą, że jestem wyróżniany przez znaczące osobistości współczesnego życia literackiego. Ważyk jest szczególnie dla mnie ważnym poetą, bo zainspirował mnie do pewnej filozofii poezji, która podkreśla pierwszeństwo człowieka w poecie, a nie literata.

A poza tym Ważyk bardzo mnie wzrusza, gdy jako stary, doświadczony poeta wyznaje, że właściwie to on nie umie pisać wierszy i że gdy zaczyna kolejny, czuje się bezradny, jakby pisał po raz pierwszy.

Cd. listopad

Koło Młodych ZLP okazuje się bardzo efektowną i efektywną platformą do organizowania różnych wydarzeń literackich. A tym bardziej to zaskakujące, że nie dysponujemy najmniejszym nawet

budżetem, wszystko opiera się na dobrej woli i wspólnych zainteresowaniach.

Odbyło się zebranie zarządu KM, a ja zostałem wybrany na przewodniczącego. Cieszy mnie, że w zarządzie KM jest też Anka Czekanowicz i Adzik Zawistowski. Spoza naszego kręgu jest też w zarządzie Ania Janko (poetka, córka Teresy Ferenc i Zbigniewa Jankowskiego) i Kazik Nowosielski.

W tym miesiącu ukazał się nowy numer „Litterariów”.

Moim zdaniem całkowicie interesujący. Publikuje swoje wiersze Stanisław Zajączek i Anka Janko. W specjalnym arkuszu poetyckim drukujemy 13 wierszy Bożeny Ptak. Znalazły się tu również materiały ze Spotkań Młodych Pisarzy Polski Północnej w Wieżycy, z tekstem Stefana Chwina na czele. Publikują też autorzy pozauniwersyteccy, Antek Pawlak i Marian Terlecki. Chociaż Antek to też akademik, studiuje przecież na ATK w Warszawie. Są teksty pod pseudonimem, między innymi Antoniego Celiniaka (Władysława Zawistowskiego).

Grudzień 1976

Zrobiła się afery po audycji poetyckiej poświęconej Grudniowi 1970 w radiu studenckim SAR. Może *afery* to zbyt wielkie słowo, ale echo poszło mocne.

Wiersze przeczytaliśmy - ja i Waldek Ziemnicki (on dobrze recytuje!). Wyreżyserował audycję Andrzej Dziedzic (studiuje na Politechnice, albo na jakimś wydziale nauk ścisłych na UG), który prowadzi radio na Polankach.

Zaskakuje mnie jak mocna jest pamięć wydarzeń grudniowych pośród studentów. Po audycji wiele osób mnie zaczepiało i składało gratulacje.

Jest jeszcze jeden dziwny aspekt tego wydarzenia. Bo była też inna audycja, w której nas, czyli mnie, Jarka Dąbrowskiego, Agatę, Leszka i Jolę wskazano jako grupę Żydów.

Nagle stałem się osobą rozpoznawalną, niejakiem Żydem, *naszym polankowym Żydem*. Zasadniczo mnie to rozbawiło, ale pomyślałem zaraz o Jolinie, jak ona się czuje? Pewnie jeszcze

pamięta rok 1968, gdy w Szczecinie wiele jej znajomych musiało wyjechać z Polski. Ale zachowała się dzielnie i nie dała po sobie poznać, że ją to jakoś dotknęło. Ona naprawdę jest wspaniała.

Sprawa stała się na tyle bulwersująca, że zajął się tym prorektor UG, ale zdecydował nie *rozdmuchiwać* problemu i nie wdrożył żadnego postępowania. Ciekawa postawa.

20 grudnia

Adzik, a właściwie Władysław Zawistowski, otrzymał Medal im. Stanisława Grochowiaka za tomik poetycki *Czyli ja*.

Maczałem w tym palce, bo byłem w jury rozpatrującym tegoroczne propozycje. Tom jest rzeczywiście świetny. Forsował kandydaturę szczególnie Jurek Leszin i Andrzej Waśkiewicz. I słusznie.

Zawistowski wyrasta na bardzo wyraźnego, odrębnego poetę, ma ogromną kulturę języka i nie brakuje mu sprawności w stosowaniu zróżnicowanych środków stylistycznych. Ma świetną metaforę, a w przeciwieństwie np. do poetów Orientacji, jego metafory nie są hermetyczne i działają nie tylko w obszarze wiersza, czy nawet linijki wiersza, ale mają oddech na przestrzeni całego tomiku.

Jego wiersze tworzą wysoce zorganizowany zbiór tekstów, które wzajemnie się komunikują. Jego wiersze są *polifoniczne*, a ta polifoniczność być może jest jedną z najbardziej oryginalnych cech poetów Wspólności, choć może nie wszystkich, ale na pewno ta kategoria jest sprawdzona w przypadku wierszy Anki Czekanowicz, moich, Waldka Ziernickiego i Jurka H. Kamrowskiego (warto pamiętać, że mamy w Gdańsku dwóch Jerzych Henryków Kamrowskich, obaj poeci, a jeden z nich też jest malarzem. „Mój „Jurek mieszka na poddaszu Św. Ducha i jest tylko poetą).

Luty 1977

Odwiedził nas poeta Nowej Fali, Jerzy Piątkowski.

Jego wiersze są zaskakująco *nienowofalowe*, w każdym razie nie w sensie ogólnie pojmowanym (czyli nie są *gazetowymi* komunikatami). Są bardzo poetyckie, wręcz oniryczne, mało w nich polityki i problemów społecznych.

Piątkowski bardzo odstaje od tekstów Zagajewskiego lub Kornhausera, Stabro i Krynickiego. Jego *świat przedstawiony* z całą pewnością jest rzeczywistością, ale poetycką, nie potoczną.

Właściwie nie rozumiem, jak on się znalazł w Grupie Teraz, w Nowej Fali? To poeta czarodziej, a nie moralista i profesor. Zaczarował nas wszystkich. Nie często bywa, że po prezentacji wierszy w trakcie spotkania autorskiego ta chwila *po* jest ciszą, słuchacze jakby nie chcieli przerywać seansu. Tak się czasami zdarza na znakomitych seansach filmowych - po ostatniej klatce widownia zamiera, aby dopiero po dłuższej chwili powoli, powoli rozbudzić się owacją i klaskaniem.

Tak było na spotkaniu z Piątkowskim. Potrzebowaliśmy dłuższej chwili, by wydostać się z jego poetyckiego świata.

Tydzień później wieczór autorski miał Leszek Szaruga (syn Witolda Wirpszy). Była to doskonała okazja by go wreszcie poznać. Pamiętałem, że wiersze ojca zrobiły na mnie wielkie wrażenie, gdy jeszcze byłem licealistą. Przeczytał nam fragment jeszcze nie drukowanej nowej powieści. Średnia. Ale przeczytał też kilka wierszy, świetne!

15 marca

W atmosferze lekko sensacyjnej, w Literackiej, z inicjatywy Koła Młodych naszego Oddziału, odbyło się spotkanie ze Stanisławem Barańczakiem.

Słuchaczami byli młodzi pisarze. Zjawilo się też kilku nieco starszych, w tym krytycy, jak na przykład Małgorzata Czermińska. Spotkanie okazało się sensacyjne, bo wiadomo, że Barańczak ma stanowczy *zapis* cenzorski i jest nietolerowany przez władze.

Zwykle noclegi dla naszych gości załatwialiśmy oficjalnie i przy pomocy różnych instytucji kulturalnych. Tym razem takie rozwiązanie nie wchodziło w grę. Ale daliśmy sobie radę inaczej - Barańczak spał w moim pokoju akademickim (mam jednoosobowy), a ja spałem w pokoju kolegi. Honoraria i rozlicznie podróży załatwiliśmy na inną osobę.

Barańczak okazał się bardzo sympatyczną, komunikatywną osobą, bez zadzierania nosa (w przeciwieństwie do Zagajewskiego).

Rozmawialiśmy z nim do późnej nocy w moim pokoju. Wypiliśmy po kieliszku i rozmowa była po prostu o wszystkim.

W marcu Anka i Adzik pojechali do Wrocławia na zaproszenie tamtejszego Klubu PAX.

4 kwietnia

Anka i ja byliśmy na spotkaniach autorskich w Warszawie, na zaproszenie tamtejszego Koła Młodych ZLP.

15 kwietnia członkowie Koła Młodych ZLP dostali zaproszenie na spotkanie z I Sekretarzem KW PZPR w Gdańsku, Tadeuszem Fiszbachem. Spotkanie odbyło się w Muzeum Hymnu Narodowego w Będominie, w pięknym, odrestaurowanym dworoku, należącym w latach 1740-1785 do rodziny Wybickich. Tam urodził się Józef Wybicki.

Bo ja wiem, czy coś z tego wynikło? Fiszbach robił wszystko, by skrócić dystans, choć bez spoufalania się. Podejmował trudne tematy, np. o zależności Polski od Związku Radzieckiego. Nie próbował nawet mówić o jakiejś „socjalistycznej przyjaźni między narodami”.

Katyń jest dla niego jednoznaczny - mordu dokonali Rosjanie. Podkreślał determinizm geopolityczny i historyczny. Widział zależność Polski jako niefortunny spadek po jeszcze bardziej niefortunnych wydarzeniach historycznych - krótkiej historii II Rzeczypospolitej, okupacji niemieckiej i utrzymywaniu się dominacji Związku Radzieckiego na wyzwanych terenach. Mówił o mało fortunnej polskiej sytuacji na tle pojałtańskiego układu politycznego w Europie Zachodniej i Ameryce. De facto zdradzie Polski przez aliantów.

Pewne rzeczy robiły mocne wrażenie na słuchaczach, np., gdy mówił najzwyczajniej i bez egzaltacji o mordach radzieckich nie próbując udawać, że ich nie było i tłumaczyć je niczym poza siłą i bezwzględnością systemu radzieckiego. Nieco rozbroił tym agresywne (choć skrywane) emocje słuchaczy.

Refleksja: Myślę, że większość z nas miała papierowe wy-

obrażenie o działaczach PZPR, jak o tępych, twardogłowych osobnikach znanych głównie z telewizji lub propagandowych dzienników lub po prostu z obiegowych opinii. A rzeczywistość może być zupełnie inna. Może nie lepsza, a wręcz gorsza. Bo jeśli polscy politycy mają taką świadomość historyczną i polityczną, jak np. Fiszbach, to tym straszniejsza wydaje się oficjalna propaganda głosząca miłość do Związku Radzieckiego i socjalizmu, bo jest nie tylko wbrew interesowi Polski, to jeszcze jest po prostu zwykłym kłamstwem.

Lecz jest w tym spotkaniu z Fiszbachem jakaś nadzieja, że może kiedyś, w odpowiednich warunkach, opór do zmian społecznych i politycznych w Polsce nie będzie aż tak mocny, jak można by się spodziewać na podstawie gazetowych deklaracji PZPR.

Sporo mówi fakt, że obecna władza zasadniczo toleruje opozycję polityczną w Polsce, choć słowo toleruje jest na wyrost. No, ale przynajmniej jej nie likwiduje w stylu stalinowskim lub gomułkowskim.

Koniec kwietnia

Do końca kwietnia mieliśmy jeszcze dwa ciekawe spotkania w Literackiej.

Pierwsze z wrocławskim poetą Januszem Styczniem. Przyjechał w aurze niezwykłości i nie zawiódł nas swoimi wierszami, choć jako osoba wydał się nieco dziwny, by nie powiedzieć dziwaczny i nie z tego świata.

Przy tej okazji próbowałem ustalić, (co jest teraz dość modne) przynależność pokoleniową Janusza Stycznia. On sam stanowczo odzegnał się od jakichkolwiek związków z jakimkolwiek ugrupowaniem poetyckim. I chyba ma rację.

To osobny, inny poeta od wszystkich. W naszym pokoleniu poetów i poetek urodzonych w latach pięćdziesiątych porównywalne miejsce zajmuje Urszula Małgorzata Benka (poniekąd w naszym „litteraryjnym” i „wspólnościowym” kręgu bardzo cenniona). Sprawdziałem Stycznia w wydawnictwach Orientacji, bo wydawało mi się, że tam najbardziej by pasował. Ale nie, nie ma go tam, na przykład w słynnej antologii *Wnętrze Świata*.

Wnętrze świata,

Antologię Poetycką Kręgu Orientacji opublikowano w 1972 roku. Wyszarpałem ją od Leszina. Imponujący zbiór wydany pod auspicjami Zrzeszenia Studentów Polskich, zawiera mnóstwo nazwisk. Pokazuje jak rozległe było/jest to środowisko literackie. Jest zróżnicowane geograficznie, artystycznie, biograficznie.

Są tu wiersze Macieja Bordowicza, Wojciech Burtowego, Mietka Czychowskiego (od nas z Gdańska), Krzysztofa Gąsiorowskiego, Krystyny Godlewskiej (cenionej bardzo w Warszawie), Jerzego Górzańskiego, Andrzeja Jastrzębca-Kozłowskiego, Zbyszka Jerzyny (bardzo serdecznego wobec młodszych od niego poetów), Bohdana Justynowicza (też pochodzącego z naszych terenów), Jerzego Koperskiego (Leszina), Jacka Kotlicy z Gdańska, zajmującego się też krytyką sztuki, Erwina Kruka z Olsztyna, Ryszarda Krynickiego (choć teraz identyfikowany jest z Nową Falą). Mieczysława Machnickiego, Mieczysława Orskiego (Wrocławianina), szalonego Wincentego Różańskiego z Wielkopolski, Edmunda Puzdrowskiego od nas, świetnej poetki Barbary Sadowskiej, już obecnie kultowego Jerzego Stachury, Janusza Żernickiego z Grudziądza... I wielu innych. Ale nawet ten niepełny spis autorów pokazuje jak trudno jest identyfikować poetów *Orientacji*. Są bardzo różni.

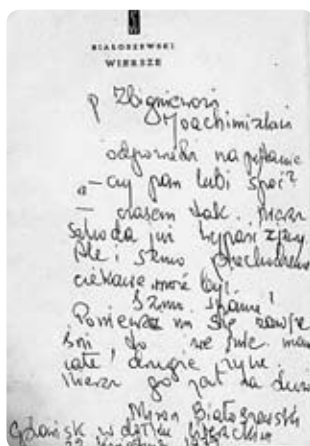
Na spotkanie z Mironem Białoszewskim

przyszło mnóstwo ludzi Literacka pękała w szwach, pomimo że wcześniej Białoszewski miał też spotkanie na Uniwersytecie.

20 maja 1977 roku

Mam żal do Staszka R.

Niby jest z nami (poetami Wspólności), a jednak cały czas różnymi sposobami się od nas dystansuje. Jego eseje krytyczne są bardzo ciekawe, ale są to bardzo konceptualne teksty. Konceptualne w tym sensie, że najpierw powstaje koncept, a potem dostosowuje się do



Dostałem od Białoszewskiego ciekawy i symptomatyczny wpis do jego książki:

niego egzemplifikacje. A może to swoisty *ideologizm* krytyczny? Pisze się o innych z intencją dydaktyczną. Sam nie wiem.

Czy on w ogóle czytuje nasze wiersze? Bo jeśli zarzuca nam indyferentyzm, brak wrażliwości na problemy społeczne i polityczne, to o czym są wiersze Anki, o damskich pierdołach? A moje wiersze *Atletem polskim*, *Pytanie prorokom*, *cykl o ulicy Polanki*. To ciemna metafizyka, a nawet jeśli tak to odczuwa, to co? Za wiersze metafizyczne należy wykreślać z historii literatury?

Staszku, dałeś się uwieść - wartość ma nie tylko poezja z gazetową dykcją, a sensy społeczne niosą wiersze innych stylów równie dobrze, jeśli nie lepiej. Dykcja Nowej Fali szybko przeminie jako norma, jako wzór poetycki. Założysz się?

Ktoś powiedział (na jakimś z seminariów, może nawet na jednym z naszych w Wieżycy), że z krytykami, a przynajmniej z niektórymi, jest pewien problem psychoanalityczny. Piszą krytykę w zastępstwie pisania literatury. Często nie mają odwagi zmierzenia się z żywiołem literackim, np. poezjowaniem i aby to jakoś skompensować, piszą często mocno krytyczne teksty o innych autorach.

Niektórzy wychodzą z tej psychologicznej pułapki i ostatecznie podejmują grę pisarską. Może tak będzie ze Staszkiem? I też ze Stefanem, bo teraz wydaje się, że oni stanowią swoisty tandem, co samo nie jest przecież złe, szkoda, że obrócili się przeciwko nam.

Ale udaje nam się pracować razem. Już czwarty numer „Literariów” redagujemy razem. Cały faktyczny i aktualny zespół redakcyjny to (w alfabetycznej kolejności): Stefan Chwin, Ania Czekanowicz, Zbigniew Joachimiak, Zbigniew Majchrowski, Aldona Mrozowska, Staszek Rosiek, Adzik Zawistowski, a też Włodek Cegłowski, Ludwika Topp oraz Bogusław Żyłko (świetny tłumacz Łotmana).

Nie wiem, co historia powie o naszej pracy, o próbie stworzenia prawdziwego literackiego pisma przez nowe, dopiero wchodzące w życie literackie i uniwersyteckie pokolenie, ale czuję, że dobrze.

Warto powiedzieć, że liderem pisma jest Staszek, lecz nie zrobiłby wiele, gdybyśmy razem - i Anka, i ja, i Stefan, Adzik, a też Waldek Ziemnicki i Boguś Żyłko - nie tworzyli sprawnej, wzajemnie się inspirującej maszyny.

Co ciekawe, jeszcze w poprzednim numerze Stefan Chwin (razem z Józefem Bachórzem) był opiekunem i konsultantem „Litterariów” z ramienia Uniwersytetu. Tym razem Stefan jest członkiem redakcji, moim zdaniem to odważna decyzja biorąc pod uwagę hierarchiczne skłonności na uniwersytetach polskich.

Maj 1977 .

Osoby:

Lothar Herbst to przykład poety, osoby nie skażonej złymi emocjami do swoich (i nie swoich) kolegów po piórze. Założyciel, legendarnych już, „Zeszytów literackich” Agory. Ma właściwość skupiania wokół siebie młodych, początkujących pisarzy. Ceniony we Wrocławiu. Zwolennik Nowej Fali, choć biografia chyba bardziej go plasuje w Orientacji.

Jest poetą, niestety - w mojej opinii - niezbyt udanym. Jego wiersze silnie nacechowane stylistyką nowofalową są jednak mało zborne i odkrywcze. Pomimo tych swoich skłonności literackich, poezja Lothara ma podstawową wartość, nazwać ją można etyczną, bo zawsze zajmuje się ważnymi moralnymi problemami i używa ją (poezję), aby zmanifestować po której jest stronie.

Bardzo komplementuje wiersze Anki i Adzika, a też moje, w związku z czym zaprosił mnie do wydania arkusza poetyckiego w Agorze. Przygotowałem mu zbiór wierszy pod tytułem *Lęk*.

Jest też dobrym znajomym cenionej przeze mnie wrocławskiej poetki, Marianny Bocian.

Jest bardzo wysoki, ma miły głos.

Osoby:

Anka, piękna kobieta o wielkim ładunku erotyzmu, fantastyczna poetka. Wszyscy ją kochamy.

Adzik, nasz młody Czechowicz, wielkiej elokwencji, o bujnej wspaniałej fryzurze. Zawsze lekko pochylony do przodu, bo po-



Lothar Herbst w Wieżycy, na Seminarium.

pycha go niewidoczny dla wszystkich wiatr poezji.

Staszek, osobnik o osobowości zwarto szczelinowej z tendencją do poglądów zwarto wybuchowych. Po- zornie najbardziej rzeczowy, a w sa- mej rzeczy wulkan emocji, pełen nie- spełnionych talentów, cichych planów, wierny przyjaźniom, niewierny ich sł- bym wersjom.

Stefan, wszyscy wiedzą, że jeśli Stefan nawet nic nie mówi to i tak wie. Studenci się go boją, ale zdaje się on również nieco lęka się studentów. Spi- żowy profil.

Ludwika, Ludwiczka, szprycha z Kaszub, bardzo wnikliwa - ona nam wszystko powie.

Józef Bachórz, profesor, który, gdy mu student powiada, że *Pan Tadeusz* to utwór poświęcony ekologii, przyznaje, że to moż- liwe i stara się tezę rozwinąć, bo to człowiek-profesor, który rozu- mie, że literatura jest dla studentów, a nie studenci dla literatury.

(A przykład z ekologicznym wymiarem *Pana Tadeusza* po- chodzi z ćwiczeń, zajęć akademickich, które doświadczyłem na UG).

Mam 27 lat.

Jestem studentem polonistyki. Mieszkam w kopcu studenc- kim. Głowa w głowę.

Koń zagląda przez okno. Marian jest siwkim od Pani Lusi. Straszy studentki nad ranem i podżera studentom zapasy zacho- mikowane na oknach.

Żyję od paru lat. Urodziłem się niedawno. Wciąż mam sze- roko otwarte oczy ze zdziwienia. Mój płód zakrzyczał w grud- niu 1970 roku w Szczecinie, gdy stalowa osa przeleciała mi koło

głowy. Biliśmy brawo w rytm pałek na plecach tych, którzy nie zdążyli uciec.

Postanowiłem wtedy pisać nie do druku. Ale to się nie udało. Bo gwałtownie nabiegłą ślinę trzeba wypłukać. Gruczoły śliniaki nie przestaną działać. Może w tej operacji ciągłego wypływania nie zwyrodnieję, nie zwariuję, nie spudłuję, nie rozłożę się w trupa.

Mirek Szyszko powiedział: *ta kula nie była dla ciebie, jak widzisz.*

W pobliżu płacze dziecko, którym opiekuje się młoda dziewczyna. Ludzie dopiero dorośli. Jest ich wokół kilka tysięcy. Trochę dalej kilkaset tysięcy. Jeszcze dalej kilka milionów, kilkanaście.

Nazywam się. Mieszkam. Wszystko, co naprawdę posiadam, jest po drugiej stronie. Druga strona - obecnie - jest dziewiątką. I rozwija się w nieskończoność liniową, nie tam w byle jaką mobiuskę.

Nigdy nie stanę po drugiej stronie.

Nie dla psa kiełbasa.

Nie dla linijki gwiazdy.

Nie dla kury góry.

Moja liczba ma szansę osiągnąć rząd tysięcy, no, powiedzmy milionów. Ale nie więcej.

Mój świat nie jest światem liczb. Rozpoczyna się przypomnianiem przypominania Kocia Lietajewa, a kończy się tutaj i w tej chwili. Kończy się. Lecz jak widać istnieję w nieskończonej liczbie zakończeń. A jak nie widać, to nie istnieję. Trudna jest chwila liczb. Posiadam też liczbę zwaną ciasną obręczą, niechęcią, zmęczeniem, rezygnacją.

Na ulicach buzuje.

Wszędzie dostępne są podziemne gazetki. Byłem na kilku wykładach podziemnych. Poznałem Leszka Moczulskiego (w domu Mileny M., niedaleko akademika).

W okolicy Wydziału Humanistycznego spotykam Bogdana Borusewicza w tenisówkach i bardziej eleganckiego Wyszковского, nie wspominając o Młodopolakach, np. Magdzie M(odzelewskiej), która, nawiasem mówiąc, bardzo mnie pociąga. Podzi-

wiam ich, ale czuję, że są bardzo zamknięci (może nieufni).

Teraz na Wydziale Humanistycznym sporo się dzieje. Wciąż nowe ulotki, plakaty, mityngi (nawet z udziałem prorektora), otwarte spotkania ze studentami i działaczami opozycyjnych organizacji. Są też i inne osoby.

Blisko Wydziału Humanistycznego widuję niejakiego Wąsalę, funkcjonariusza esbecji, tego, który mnie przesłuchiwał w 1973 roku po strajku na WSN. Któregoś dnia zaczęłam go, zwracając się ironicznie: „dzień dobry panie poruczniku”, ale nie spieszył się i odpowiedział dumnie, teraz jestem kapitanem.

Gdańsk. Polska. Europa. Świat, Kosmos, Bóg.

Albo ja jestem bogiem, albo istnieje cokolwiek poza mną. To taki mały anty-zakład à la Pascal. Jednak, jeśli nie wypowiem innej liczby ponad dziewięć. Poniżej są tylko liczby byłe.

23 maja 1977

Z Urzędu Wojewódzkiego dostałam list - dyplom gratulacyjny za działalność literacką i organizacyjną. Podpisane przez Dyrektora Wydziału Kultury, Jerzego Kiedrowskiego. Nie wiem dokładnie, co zostało docenione. Ale rozumiem, że miejscowe władze postrzegają (czy aby na pewno doceniają?) naszą aktywność literacką w ramach „Litterariów”, Koła Młodych ZLP i innych grupowych działań.

19.06.1977, Gdańsk

Głódówka. Od słowa do rzeczy jest przepaść.

Przepaścią jest przestrzeń i czas. Może jeszcze wymiar mitologiczny. Świat nie jest jedną rzeczą. Świat nią będzie.

Głódówka. Nie zjadłem dawno ani jednej prawdy. Prawd nie ma. Jest dno. Dno jest w miarę pewne. Ja jestem na dnie? Czy ja jestem na dnie? Ja i moja fizjologia? Fizjologia cierpi na ducha. Ja nie jestem duchem. Ja jestem nawiedzony, a raczej nawiedzany. Bardzo rzadko.

Teraz kręci mi się w głowie.

Głódówka. To nie duchowi się kręci w głowie. To proch, tableta, chemia plus fizjologia, plus głód.

Nie jadłem od 24 godzin, a może już dwa dni?

Była u mnie Aldonka z dobrą wiadomością, jeszcze przed otrzymaniem dyplomu dostała pracę u profesora Kaszyńskiego. Ma pracować na razie na etacie technicznym przy *Leksykonie* teatralnym w Trójmieście. Ma u Baduszkowej przygotowywać hasła biograficzne teatru w Gdyni.

STUDIUM WOJSKOWE
UNIWERSYTETU GDAŃSKIEGO

Gdańsk, dnia ..6.06.1977...

Z A Ś W I A D C Z E N I E Nr ..3272/77...

Stwierdzam, że Ob. ...*Lechmiński Wojciech s. Aldonka*.....
urodzony/a/ ...*14.05.1950*..... w ...*Elbląg*..... pow ..*Elbląg*.....
odbył/a/ szkolenie obronne studentów na kierunku ...*000140 - Obrona*.....
..... w okresie od ...*1.10.76*..... do ...*6.06.77*.....
w ilości godzin 180 i uzyskał/a/ na egzaminie końcowym z tego
szkolenia ocenę ...*dobrą*.....

Zaświadczenie niniejsze upoważnia do uzyskania uprawnień
instruktora obrony cywilnej.

 Kierownik Studium Wojskowego
.....
Międzywydz. Zakład Nowych Technik Nauczania Sekcja
Pomocy Naukowych zam128/77.nakł.2000,matr.1

Zaświadczenie ze Studium Wojskowego UG. Od teraz mogę być instruktorem obrony cywilnej. Ha!

Zdobyłem je z niemalym trudem, bo musiałem powtarzać kurs, poprawka została zaliczona.

Osoby

Lubię Bożenę Ptak. Sopocianka. Najchudsza poetka świata (no, może poza Marianną Bocian). Dała się zauważyć ciekawymi wierszami, które publikowaliśmy w *Litterariach*. Członek grupy Wspólność, choć teraz się od niej dystansuje. Znana jest z tego, że wszystko wie o wszystkich i można liczyć, że szeroko się tą wiedzą podzieli.

Wrzesień 1977

Wypuściliśmy nowy numer „Litterariów”. Zawiera między innymi wiersze Ryszarda Krynickiego, Marka Bieńkowskiego i Janusza Stycznia. Eseje: Staszka pod tytułem *Dzielić- łączyć*,

Eugeniusza Sterny-Wachowiaka *Czy poezja powinna być maszynką do mielenia mięsa*, Stefana Chwina *Kilka pytań w sprawie życia prywatnego*. Prezentujemy grupy poetyckie: Moloch, Parkan, a też tłumaczenia z Łotmana Bogusia Żyłko. A w ramach arkusza, tym razem prozatorskiego, Haliny Kuźmy (Szczecinianki, studiującej skandynawistykę w Gdańsku, pod tytułem *Zapis*.

Listopad 1977

Poprawka na Czerwonej Róży. Tym razem otrzymałem nagrodę pierwszą, za wiersze: *I anatemę wyszydzą oświeceni*, *Nauuczony*, *I coś tobie ze znużenia płynącej prawdy* oraz *Właśnie*. To najważniejszy konkurs poetycki obecnie w Polsce.

Mam szczęście do wielkich poetów! Moja pierwsza konkurso-
wa nagroda była od Zbigniewa Herberta, potem była od Adama
Ważyka, a teraz od Krzysztofa Gąsiorowskiego. Nagradzali mnie
poeci z różnych pokoleń i szkół poetyckich.

Postanowiłem już więcej nie uczestniczyć w konkursach poetyckich. Nie chcę pisać dla lub pod konkursy, nie o to mi chodzi, aby się ścigać. Chciałem się sprawdzić i się sprawdziłem.

To miłe, że w jakiejś antologii konkursu Czerwonej Róży, moje nazwisko stanie obok ważnych poetów powojennych: Mariana Grześczaka, Ernesta Brylla, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Krzysztofa Karaska, Romana Śliwonika, naszego gdańskiego Mietka Czychowskiego, Adama Zagajewskiego, Milczewskiego-Bruno, Stanisława Stabro, a też obok poetów mojego pokolenia Marka Bienkowskiego, Antka Pawlaka, Leszka Szarugi. Dobrze jednak pamiętać, że na liście laureatów Czerwonej Róży jest wielu zapomnianych... a może nawet słusznie.

Zaskoczenie: Informacja o tym, że wygrałem tegoroczny konkurs była podana w głównym Dzienniku Telewizyjnym. Rodzice są bardzo dumni, a i też w Krępie stałem się ważną postacią. Podobno nawet jelenie tego poranka głośniejszy ryczały, nie wspominając o kogutach, które aż zachrypiły.



Na pierwszym planie Ania Czekanowicz, w środku Kazimierz Brakoniecki, bywalec. A w głębi Adzik Zawistowski. Brakoniecki to zaprzyjaźniony z nami poeta olsztyński

Teraz mam dwie statuetki Czerwonej Róży (a właściwie rodzice w Krępie na głównej półce z książkami, tuż obok telewizora). Szczerze mówiąc są dość okropne: na opalonym sześcianie kawałku drewna (sosny) przyczepiona jest metaloplastyczna, mosiężna róża. Nie mam dobrego aparatu fotograficznego, a szkoda, bo warto byłoby to szkaradziejstwo sfotografować.

Kwiecień 1978

Pierwszy raz byłem w Białymstoku. To zupełnie inne miasto od tych tutaj na Pomorzu i w Polsce centralnej. Brak kompletny wpływów pruskiej architektury. Czy to najbardziej polskie miasto jakie widziałem? Dobrze tam się czułem, choć dawała o sobie znać prowincjonalność miejsca, mniejszy ruch na ulicach, większe przestrzenie uliczne. Ale dojazd był uciążliwy, niby niedaleko z Gdańska, a zajęło nam to całą noc.

Przyjechaliśmy z Anią Czekanowicz na zaproszenie Janusza Taranienko, tutejszego poety. Bardzo ujmujący i starający się człowiek. Mieliśmy spotkanie autorskie. Anka czytała swoje nowe, świetne wiersze. Czytaliśmy też nowe teksty z książki wspólnej,

Chwil spełnianie w dekadencji (pierwotnie zbiór ten miał tytuł *Pełni róż obłędu*, który pochodzi od tytułu mojego wiersza napisanego wcześniej i zadedykowanego Stefanowi Chwinowi).

Wracamy zaraz po spotkaniu, druga noc w plecy w ponurym pociągu.

Chwil spełnianie w dekadencji

Od lutego piszę z Anią nowy tom poetycki. Uzbierało się już sporo wierszy. Pomysł jest taki, aby wydać książkę pod oboma naszymi nazwiskami, ale nie wskazywać, kto jaki wiersz napisał.



W Białymstoku, od lewej Zbigniew Joachimiak, Anna Czekanowicz oraz Janusz Taranienko.

Idea książki urodziła się jako efekt bardzo bliskiej współpracy literackiej. Często nowopowstałe wiersze natychmiast sobie pokazywaliśmy, potem powstawały kolejne, najwyraźniej jako odpowiedź na wiersze wcześniejsze.

Spontanicznie rodzą się tematy, zresztą wciąż zmienne i wariantowe. Z grubsza - erotyka, ciało, dialog.

Dość często wpadamy w wątki autoteliczne, czy wręcz autotelmatyczne. Rozwijamy dialogowe formy wiersza zarówno w obrębie pojedynczego tekstu, jak i pomiędzy tekstami.

Kiedy pytają nas dlaczego wybraliśmy taką dziwną formę

tomu poetyckiego, robimy tajemnicze miny i unikamy odpowiedzi, bo nie jest ona prosta. Nawet teraz, gdy piszę te słowa.

Najprawdziwszą chyba odpowiedzią byłoby (gdyby to było w ogóle możliwe) opowiedzenie naszej wzajemnej relacji intelektualnej i emocjonalnej. Poczuliśmy, że w tych naszych poetyckich rozmowach spełniamy swoje *dekadencyjne*, indywidualne potrzeby wyrażania się, a jednocześnie rozumiemy (intuicyjnie), że te indywidualne potrzeby najlepiej wyrażamy wspólnie działając, wspólnie pisząc. To trochę paradoksalne, ale tak jest.

Podkreślamy, gdy pytają, że ta książka jest tylko pewnym etapem. Po jej napisaniu czeka nas nieodwołalnie dalsza osobna, indywidualna droga twórcza. Zresztą w tej chwili też piszę rzeczy, które są poza *Chwilą spełniania w dekadencji*.

W kwietniu 1978,

ale z datą 1977 roku, wyszedł nowy numer „Litterariów”. Duży, obszerny. Owocują nasze kontakty z różnymi środowiskami w Polsce. Są wiersze Marianny Bocian i Lothara Herbsta. Szkice o młodej literaturze publikują Jerzy Ossowski, Stefan Chwin. Jest też trójgłos Czekanowicz-Joachimiak-Zawistowski pod tytułem: *Kilka tez na temat światopoglądu estetycznego młodego pokolenia*. Włodzimierz Cegłowski próbuje rehabilitować kicz, a Zawistowski pisze o kryminałach. W suplemencie wiersze Grzegorza Musiała, *Skandale*.



Maj 1978

Byłem na recitalu piosenki poetyckiej Elżbiety Wojnowskiej pod tytułem: „Szary Człowiek”. W jakimś sensie recital jest zadedykowany mnie, bo Elżbieta na początku wykonuje recitativo z moim wierszem *Atletom polskim*. Bardzo się wzruszyłem, bo to wspaniały recital i wcale nie dlatego, że użyty jest mój tekst. Elżbieta jest dramatyczną piosenkarką, może lepiej powiedzieć pieśniarką i na pewno ustawić ją można w rzędzie z Ewą Demarczyk.

Ale ja jestem już gdzie indziej poetycko, a zatem postanowiłem oddać ten wiersz Elżbiecie. Teraz ona jest jego właścicielką.

12 maja 1978

Adzik i Ludwika wzięli dzisiaj ślub. W Urzędzie Stanu Cywilnego byli wszyscy, którzy powinni się pojawić, A nawet więcej. Czyli był tłum.



Wieźyca - Seminarium, 1978, na zdjęciu: Jan Ledóchowski, Staszek Rosiek, Zbigniew Joachimiak, Aldona Mrozowska, poniżej Adzik Zawistowski i Stefan Chwin. Było też dużo innych osób, których na zdjęciu tutaj akurat nie ma. Między innymi Romek Chojnacki, świetny poeta, wylansowany przez Leszina.

Spotkałem się z Grzegorzem M. u Janka Ledóchowskiego. Jank robił mu zdjęcia do jego nowej książki, a ja pracowałem z nim nad jego tekstami. Niewiele było pracy, bo Grzegorz jest bardzo uważny i redakcyjnie skrupulatny. Ale przyjemnie było pogadać i z nim i z Jankiem. Obaj są wyrazistymi osobowościami.

Osoby:

Grzegorz jest z Bydgoszczy, tam studiuje na akademii medycznej, ale dzięki Ance mocno przylgnął do naszego gdańskiego, wspólnościowego i litteraryjnego kręgu. Pieknie inteligentny i utalentowany literacko facet. Anka dyskretnie powiedziała mi, że Grzegorz jest homoseksualistą. Niespecjalnie daje się to zauważać, może poza tym, że jest bardzo ekspresyjny w zachowaniach.

Zresztą, co ja wiem o ich zachowaniach, z dwa razy w życiu miałem kontakty z tego typu ludźmi.

Na Placu Zgody w Szczecinie była kawiarnia, w której się spotykali i faktycznie byli tam prawie sami mężczyźni, krzykliwi i barwnie ubrani. Jako piętnastolatka intensywnie podrywał mnie facet, który niczym się nie wyróżniał, oprócz - oczywiście - tego, że się mną uparcie interesował. Był elegancki, dobrze wychowany, mówił nienaganną polszczyzną, chyba był studentem, ale nie dowiedziałem się tego, bo wobec mojego chłodu zniechęcił się do mnie...

Oczywiście, krążyło mnóstwo legend, barwnych opowieści o homoseksualistach, w latach sześćdziesiątych mówiono o nich zwykle i pogardliwie „pedały”.

Grzegorz jakoś nie mieści mi się w tych legendach.

Czerwiec 1978

Dostałem kilka nowych zdjęć od Janka Ledóchowskiego, między nimi moje z Anią Czekanowicz. Jesteśmy blisko. Widać, że jest między nami więź. Gdy myślę o niej, moje serce się rozgrzewa.



Okolice Bolesławca 1978r, zdjęcie w pewnym sensie jest metaforą naszej duchowej sytuacji. Nazwałem je „Wychodzenie z mroku”. Na zdjęciu od lewej: Adzik Zawistowski, Ludwika Topp, Zbigniew Joachimiak, Krystyna Chwin i Stefan Chwin.



Bolesławiec: Krystyna Chwin i Ludwika Topp, dwie piękne kobiety-poetki, które były na wyprawie dolnośląskiej.

Spaliśmy w jakichś szpetnych, wielkich, szkolnych salach, na okropnie niewygodnych łózkach. Mieliśmy spotkania autorskie, a po nich wędrówki po zabytkach.

Anka jest kimś naprawdę wyjątkowym. Dobrze i szybko się porozumiewamy. Dla wielu stanowimy tandem. Jest to dziwny tandem... Bardzo kocham Anię, ale przecież inaczej niż wszystkie inne kobiety w moim życiu. Jest w niej seks, wiele seksu, ale to nie on mnie przyciąga.

Z nią rozumiem znacznie lepiej, co to jest miłość, ale nie miłość z nią. Przytulamy się, nieskrępowanie dotykamy, ale *realizacje* erotyczne każde z nas prowadzi osobno. Ona ma swoje romanse, ja swoje.

Jest w naszej relacji coś androgenicznego. Ania jest dla mnie bardzo sensualna, ale też - i może nawet ponad wszystko - eteryczna. Dzięki tej wyjątkowej i dziwnej nieco relacji moje pojmowanie miłości znacznie się poszerzyło. Pewnie kiedyś się rozejdziemy, dlatego dzisiaj dziękuję, Aniu, za te doznania.

Wszyscy wychodzimy z mroku anonimowości w obszary - niekiedy oślepiające - środowiskowego rozpoznania. Za nami mrok poszukiwań, przed nami światło dokonań, do których dążymy

Byliśmy też w Lwówku Śląskim.

Dolny Śląsk zrobił na nas wielkie wrażenie, przede wszystkim swoją niebywale piękną architekturą i wielością zachowanych zabytków. Wiedzieliśmy o tym, ale co zobaczyć, to zobaczyć i przeżyć.

Warto tam jeździć z powodów również historycznych. Jest to potężny kawał polskiej historii i to tej prawdziwej, a nie propagandowej.

Mam chyba uraz na tym tle, bo, gdy mieszkałem w Szczecinie, wkładano mi do głowy tyle głupot o związkach miasta z Polską, że do dzisiaj trudno mi to ogarnąć. Książę Bogusław miał tyle związków z Polską, ile dyktowała ówczesna historia i jego polityka - był księciem pomorskim, nie polskim. Na Dolnym Śląsku było niby podobnie, ale książęta śląscy naprawdę wpisywali się w historię Polski, a nie tylko lokalną. Nie jestem pewny, ale chyba większość z nich czuła się Polakami (choć ta narodowa identyfikacja znaczyła coś zupełnie innego niż ta od XIX wieku).

Potem się zmieniło. Polska słabła, zachodni sąsiedzi się wzmacniali. I to widać, miasta i miasteczka ulegały estetycznym i architektonicznym wpływom niemieckim i pruskim. Ale na urodzie zyskały.

Przyszła pocztą od Leszina

Antologia *Generacje 1972-1977*. Podsumowanie tej bardzo ekskluzywnej serii. Wynika z niej, że wszystkich autorów było trzydzieścioro, łącznie z Jerzym Koperskim, Adamem Ważykiem, Andrzejem Babińskim, Michałem Hermanem. Książka zawiera, poza wierszami, zdjęcia autorów, zdjęcia ze spotkań z nimi, a też zdjęcia wszystkich okładek.

Wrzesień 1978

Wróciłem z Krępy. Nażarty poziomkami. Wracam do rytmów i załamań. Przebrnąłem. Chyba dzięki fizjologii.

T.A., która kochała, kochała do zatury moich i swoich zmysłów. Jej przywiedle upojne piersi jak reladorm.

Ania Cz. zdecydowanie wie więcej niż wie.

Telefony do.

Potem Adzik. A potem Alfa (wymyślone imię dla tandetnej zmyłki). Od niej wiem, że już kochać potrafię tylko puste miejsce po sobie. Ponoć ona jest tym miejscem. Ho, ho, jak dobrze nam się szło. Dlatego mówię, mówię, że ją kocham. Wciąż na zielono.

Złoty stożek, a może Oczy Ariadny? To mógłby być tytuł dla całego cyklu

Erotyki. Realizuję pisarski plan. Napisałem już dziewięć części. Szkiców mam znacznie więcej. Na chłodno. Trochę jak plecionki z drutu. Z definicji gatunku. A jednak dwa na pewno dobre. Na zielone oczy.

W sumie mam ich nie mało.

Astma.

Nie mogę dojść na trzecie piętro, gdzie mieszkam w DS-ie i dyszę jak napalony na sukę pies. Dietki, obiadki jak skarpetki. Godzina 1.30. Jeszcze listy. A może już reladorm?

Ledwie wyszedłem z wrzodów żołądka, a już dopadła mnie dyshawica. A propos żołądka... ile cierpliwości wykazała Pani Helena Zawistowska, to tylko ja i ona wiemy. Ale pomogła.

A może też słynny Harris, u którego też byłem, choć bez wiary, ale z ciekawości. Te setki, a właściwie tysiące ludzi, seanse przebiegające jak taśmowa produkcja, z tym, że tutaj nie ludzie są elementami produkowanymi, a ich zdrowie.

Dostać się do Harrisa nie trudno, ale potem trzeba odczekać w tych wielkich kolejkach. Gdy już dochodzisz do niego łapią cię z dwóch stron za ramiona, doprowadzają do Harrisa, a w tym samym czasie trzecia osoba czyta z kartki rozpoznanie (po angielsku), które wcześniej trzeba zdobyć od lekarza. Harris, zgodnie z informacją lekarską, dotyka odpowiedniego miejsca ciała przez 2-5 sekund. Następnie przejmuje cię następna para i przepycha do wyjścia, aby nie blokować „produkcji”.

Dwa razy pracowałem przy Harrisie i przy okazji dwa razy mnie dotykał, w okolicy żołądka i klatki piersiowej, sekundę, może dwie, trzy.

Pracując dla Harrisa spotykałem wielu znajomych, między innym znanego poetę S.C, ale też wielu innych.

Na wszystkie problemy jest pociecha - są książki.

Jan Paweł II - 17 października 1978

Mamy polskiego papieża, to kardynał Karol Wojtyła.

Usłyszałem o tym idąc do Janka Ledóchowskiego. Z okien okolicznych domów na Chrzanowskiego słyszałem okrzyki. Ludzie się głośno radowali. Jeszcze tego wieczoru spotkaliśmy się w niewielkim gronie w domu Ani Czekanowicz. Byliśmy poruszeni wszyscy.

Partia teraz będzie w kłopotcie. I dobrze. A Polska przeżyje szok. Nie chodzę do kościoła, nie jestem członkiem tej organizacji, ale właśnie dostaliśmy zastrzyk energii i motywacji. To nie może się nie odbić na naszej rzeczywistości.

Uświadomiłem sobie teraz, że żyję w środowisku, które nie specjalnie manifestuje swoje życie religijne. Właściwie nie wiem, czy do kościoła chodzi Anka, Adzik, Staszek, Aldona, moi koledzy z Grupy Wspólność, a też kumple ze studiów. Ale wiem o katolickim środowisku akademickim. Mają swoje miejsce na Mickiewicza, na rogu Karola Marksa, naprzeciwko Farmacji.

Może środowiska religijne to w sumie podobne zjawiska jak partyjne - wewnętrzne, wsobne, owszem, ujawniające się w niedzielne msze, ale nieprzenikające w inne obszary życia. W tym aspekcie PZPR jest skrajnie jednak odmienna, bo nastawiona i realizująca się we wszystkich aspektach życia, od cenzorów poukrywanych, w wydawnictwach, po podstawowe organizacje partyjne we wszystkich możliwych instytucjach.

To potężny wpływ na rządzenie państwem, choćby poprzez nomenklaturę.

Polski papież na pewno pobudzi do żwawszego działania opozycję demokratyczną, mam na myśli KOR, ROPCiO, Młodą Polskę.

Ja sam nie chodzę do kościoła od lat. Zostałem spłoszony, gdy byłem młodzieńcem. Kościół Serca Jezusowego w Szczecinie był tajemniczy i mroczny. Lekcje religii były w salce w wieży. Potem chodziłem do kościoła tylko aby przeżyć nastrój kościelny, ciszę, klimat skupienia.

Chyba przestałem już wierzyć w katolickiego lub precyzyjniej - osobowego Boga - definitywnie. Choć jakoś istnieje we mnie potrzeba poszukiwań, albo odwoływanie się do Boga. Fakt, w wierszach mi się pojawia, a to jest w pewnym sensie najwyższy dowód, że Jego poszukiwanie jest wciąż dla mnie sensowne.

Warto niekiedy być pyskatym.

=====

W sześćdziesiątą rocznicę odzyskania Niepodległości,
dnia 11 listopada 1978 roku o godz. 18.00 w Kościele Najświętszej
Marii Panny w Gdańsku odbędzie się uroczysta Msza Święta w intencji
wszystkich uczestników walk o Niepodległość naszej Ojczyzny.
Po Mszy złożenie kwiatów pod pomnikiem króla Jana III Sobieskiego.

Gdańska Grupa RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA

=====

Ulotka kolportowana w Uniwersytecie Gdańskim. Życie opozycji politycznej i demokratycznej jest coraz intensywniejsze. Ślady aktywności są częste i widoczne. Wiem sporo na bieżąco, bo spotykam się z EM, która mieszka tu niedaleko na Wita Stwosza i jest działaczką ROPCIO.



jury XIX "Czerwonej Róży"
Gdańsk 1978

Listopad 1978 w KSW Żak
Obrazy jury Czerwonej Róży. Też w nich uczestniczyłem. Przewodniczącym konkursu był Zbigniew Bienkowski, a poza nim Tadeusz Nyczek, Jurek Leszin, Andrzej K. Waśkiewicz i Adzik Zawistowski (sekretarz jury).

W jakimś stopniu przyczyniłem się, że ostatecznie Aldonie przyznali mieszkanie z puli wojewody z tytułu tzw. Niebieskiego Dyplomu. Wojewoda zwlekał, a ja w trakcie publicznych spotkań kilka razy zgłaszałem problem, jako niezadowolony. Skoro zapraszają mnie na te spędy dla działaczy kultury, to wykorzystałem sytuację.

Był też inny poważniejszy problem z którym należało się uporać. Musiałem poskarżyć się na działalność SB, której funkcjonariusz nachodził Aldonę z propozycją współpracy. Aldona od dłuższego czasu była rozdygotana, bo te wizyty nie były specjalnie subtelne. Miłka nie pomogła, poszedłem więc do Komitetu Wojewódzkiego i złożyłem skargę na nachodzenie przez SB młodych pisarzy. Rozmawiałem z Sekretarzem Demichowiczem. Obiecał interwencję.

I pomógł. Koleś przestał nachodzić Aldonę.

2 luty 1979

Numer mojego indeksu 10485.

Trochę to trwało, ale właśnie zakończyłem studia na Uniwersytecie Gdańskim.

Nie będzie więcej egzaminów i zaliczeń. Trochę nastraja mnie to nostalgicznie, ale prawda jest taka, że od kilku lat już zajmuję się innymi sprawami. Dużo piszę, wydaję, redaguję.

Życie społeczne mam całkowicie satysfakcjonujące, chociaż kończę ten etap życia bez jakiejś wyraźnej perspektywy na dobrą (interesującą) pracę, która zapewni mi bezpieczny byt. Anka Czekanowicz po studiach dostała fuchę w Operze Bałtyckiej, gdzie jest kierownikiem literackim (czy ona zna się na muzyce operowej nie wiem, ale na pewno da sobie tam radę).

Adzik od dłuższego już czasu bryluje w Teatrze Wybrzeże, jako kierownik literacki. I dobrze, może to spowodowało, że został też dramaturgiem, jedynym pośród nas.

Żegniam uczelnię z poczuciem zdobycia kilku świetnych przyjaźni i znajomości.

Nie zapomnę Henia Szabałę, a też z tego kręgu znajomościowego, czyli kręgu młodych *gniewnych* naukowców z Domu Asystenc-

Od trzech dni nic nie jadłem Wszystko się skończyło Został ryż i mleko które jeszcze donoszą codziennie Ugotowałem sobie ryż na sypko i zmieszałem z mlekiem lecz bezmyślnie dodałem sfermentowanych powideł... No i się zupa zwarzyła Jeszcze mam na dwa dni papierosy Oraz trzydzieści złotych które trzymam na ową chwilę gdy skończy się palenie... Nie muszę głodować Czuję że żołądek się buntuje Ścisła Żle sypiam Bardziej jeszcze buntuje się moje wewnętrzne bezżołądkowe „ja” Nie chce kontaktów z ludźmi choć może właśnie dlatego że tak bardzo ich potrzebuje Nie chce korzystać z wieloletniej uprzejmości przyjaciół którzy zawsze chętnie pokrzepią słowem i jedzeniem Moja dusza stała się dumna Ambitna Lekceważy nawet mój żołądek Zanurzona we wszechświecie głęboko tak głęboko że nie słyszy „ehnących błon śluzowych mojego ciała staje się – poza tym że ambitna też coraz bardziej milcząca Nie To zupełnie inaczej Najpierw zapadło milczenie potem dopiero obudziła się ambicja połączona z nadzieją że może uda się milczeniem wzbudzić świat w jakiś rezonans Moja dusza zmęczyła się nieustannym gadulstwem i zniekształconym głosem odbijających się po świecie jej własnych myśli

Fragment mojej prozy *Głód*

kiego na Macierzy Szkolnej: Bogusia Żyłko, Pawła Piotra Kawieckiego, Donalda Tuska, który był częstym gościem w tym towarzystwie, podobnie jak Zygmunt Matracki i wielu, wielu innych.

Pawła Kawieckiego znałem wcześniej z czasów powstawania Wspólności, teraz, mając go bliżej, bo prawie przez okno z akademika, poznałem go lepiej i głównie jako filozofa.

Te mocno zakrapiane spotkania w Domu Asystenckim miały dla mnie dodatkowy wymiar, mogłem spotykać się i rozmawiać z ludźmi o innym profilu edukacyjnym, często byli to fizycy (Jurk Wojtkowiak), filozofowie (Szabała i Golichowski), matematycy, choć nie brakowało humanistów.

29 luty 1979

Teraz dopiero lepiej poznałem Stefana, nie wiem jak on, ale ja go polubiłem, choć zupełnie nie na gruncie akademickim.

Poznałem prozaika Jana Drzeżdżona, który pisze trudną, ale jedyną w swoim stylu prozę.

Poznałem osobiście profesor Marię Janion. Ale moim nieustającym idolem jest profesor Józef Bachórz. Od niego się zaczęło i na nim się kończy, bo to jego wpis jest jako ostatni w moim indeksie.

Polubiliśmy się z Zygmuntem Matrackim, Miłką Bukowską, Andrzejem Żurowskim.

Nie polubiłem się z Kazimierzem Nowosielskim, choć nie wiem, dlaczego. Może on, jako poeta, nie mógł zaakceptować mojej rozchwianej poetycko osobowości?

Nie zaprzyjaźniłem się, ale polubiłem i doceniałem zajęcia z dr Małgorzatą Czerwińska i dr Anną Martuszewską.

Ostatecznie polubiłem mgr. Jana Ciechowicza, który prowadził wobec mnie różne podchody i wojny na zajęciach teatrologicznych. *Pan magister* miał słabość do Anki, ale dość dziwnie to objawiał, bo niekiedy wyglądało to jak nauczycielskie szykany.

17 maja 1979 roku zmarł Ryszard Milczewski-Bruno

Razem z Jurkiem Leższinem odwieźliśmy jego ciało do domu.

Byliśmy razem na seminarium literackim w Nowej Wsi Szlacheckiej. Była piękna, słoneczna pogoda, zapowiadała się bardzo dobra impreza, ciekawe wystąpienia krytyczna i poetyckie. Ale wszystko się zakończyło nim nawet się zakwaterowaliśmy. Janusz Żernicki płakał.



Nowy transport posągów, wiersze młodych poetów gdańskich, Wyd. Morskie 1977 (data oczywiście odbiega mocno od prawdziwego terminu ukazania się książki).

19 maja 1979

Ponownie dostałem list gratulacyjny od wojewódzkich władz kultury. Tym razem podpisany przez dyrektora Macieja Krzyża-

nowskiego. Uzasadnienie: „za rzetelną owocną pracę w rozwoju i upowszechnianiu kultury naszego województwa”. Hmm. Byłoby milej, gdyby zaoferował mi jakieś sensowne zatrudnienie.

Antologia jest swoistą kontynuacją wydawnictw Borosa. Tyle, że tym razem wydana przez profesjonalne wydawnictwo.

Duch i autorzy ci sami. Autorem oprawy graficznej książki jest Robert Knuth, ten sam, który opracował mój arkusz *Dedykacje* w 1974 roku. Tom zawiera wiersze 24 autorów, wszystkich z Arkuszy Borosa. Wstęp napisał ulubieniec Wydawnictwa Morskiego, Kazimierz Nowosielski, notę o grafikach sporządził mistrz Grzegorz Boros, a szkic o środowisku literackim przygotował Staszek Rosiek.

Poza tym w antologii jest dość dokładna bibliografia zamieszczonych poetów, a również kronika środowiska przygotowana przez Andrzeja Filipowicza i Staszka Rośka. Na końcu antologii znajdujemy kilkanaście prac graficznych Roberta Knutha.

W całości antologii czuje się ducha i wrażliwość na szczegóły edytorskie Staszka Rośka.

Wyboru autorów dokonali Kazik Nowosielski, Staszek Rosiek i ja. Ale ani Kazimierz, ani ja nie dokonywaliśmy wyboru swoich wierszy, to wynikało z zasady fair play, jaką postanowiliśmy zachować. Konsekwencją jest jednak fakt, że nie jestem zadowolony z wyboru moich wierszy, zbyt jednostronnego, najwyraźniej wynikającego z upodobań Kazika.

Antologia zrobiła duże wrażenie w Gdańsku, ale też została zauważona w Polsce. Bo uderzenie 24 autorami jest dość mocne, głównie dlatego, że wiele tu doskonałych wierszy. Pokazuje też różnicowanie środowiska, stylów i podejścia do poezji. Tę różność podkreśla indywidualne potraktowanie graficzne każdego autora. Raz to wychodzi lepiej, raz gorzej, ale jako zasada w antologii dobrze się sprawdza.

Czerwiec 1979

Dawno nie pisałem, ale to ważna sprawa, warta odnotowania: Papież przyjeżdża do Polski. Poprzedniemu się nie udało. Dowiedziałem się o tym niedawno.



W domu u Anki Czekanowicz, 1979r. U Ani w domu spotykaliśmy się bardzo często. U niej redagowaliśmy „Litteraria”. U niej planowaliśmy wiele przedsięwzięć, a też u niej spędziliśmy wiele ludycznych i alkoholowych wieczorów.

Jarre M. J. dnia 27 czerwca 1979 r.

Czas nieprzejdany. Czas obojętny. Szczelina się zacieśnia.

Przez zwarte czerwone usta przebijają się jeszcze jakieś dźwięki. To moje słowa?

Słowa, z których przebija się jeden temat, śmierć. A przecież „ta” śmierć to nie obsesja literacka, ani jakaś tam inna, to jedyny problem do przezwyciężenia, jedyny wart nieustannej uwagi, cierpliwości, skupienia i docenienia. A przynajmniej dopóki widzi się ją ze środka życia.

Póki co, jedno tylko zwycięstwo: mam usta, które wciąż wypowiadają (słowa i wojnę) sobie na podwalinę, sobie na podwalinę tematu. Śmierci, która jest.

Michael Jean Jarre, sentymentalny elektronik świata. Podtrzymuje pękniętą błonę zarastającą usta. Trzeba gromu moogu (mooga?), aby wypłynęła krzta śliny. Syntezatora i syntezy. Trzeba białka, energii, siły. Płyne przeze mnie prąd dźwięków Jarre’a. Wstrząsa śniętym mózgiem, dźwiękami spoza świata natury. A jest naturą. Mózg kipi. Brzmi jak syntezator Jarre’a. Składa mu hołd. Na chwilę. Oskrzela jednak jutro rano mi nie odpuszczają. Astma.

**Wciąż czerwiec, gorący, parny, prawie białe noce, 1979,
Gdańsk**

x x x

Kobiet moich nie budź. Żony mojej nie zawracaj,
dzieciom nie przywrócisz uciętego losu. Obudzę się sam.
Krew staje, zakrzepła wolę i siłę.
Matka mi umiera (jeszcze o tym nie wie).
Ojciec umiera (jeszcze o tym nie wie).
Ja żyję (i wiedzieć o tym nie chcę).
Słodko ulegać witalności poranków.
Ach, słodko coś powiedzieć o wschodzie słońca
(w konkretnym miejscu, na plaży na Zaspie, w tym
konkretnym czasie XX wieku, w tym konkretnym widzeniu,
tego konkretnego Zbigniewa Joachimiaka), jak słodko
wspomnieć o słodkiej rosie porannej, którą mam na ustach
nabrzmiałych z wysiłku, gdy biegnę przez tę złotą plażę.

Chciałbym wypowiedzieć tę sielankę i rozmaszać ją po całym
swoim ciele, jak brudny pot, cuchnące ciecze i fizjologiczne
soki, umazać się cały - usta, policzki, twarz całą, oczy i jądra
i penisa,
i całe błyskawicznie więdnące ciało. Chciałbym
soczyście splunąć tą sielanką.
Potem biec i przebiec trasę do końca.
Sielanka.

- A przecież krew płynie mi w żyłach skoro piszę to, co teraz
piszę.

Dość. Spokojnie. Trzeba wyrównać oddech. Potem
przedmuchać pierwszą z brzegu pannicę. Przeczytać kolejną
książkę. Jutro zadbać o pieniądze na pojutrze. Bez miłości.
Bez dobroci. Bez uśmiechu.
Dziewczynka z mojego akademika liczy: ene due like fake,
torba borba ósme smake. To dość logiczny plan na
najbliższe lata.

Po *Dedykacjach* i *Wiecznych Amazonkach*, to mój pierwszy



Mam do powiedzenia. Wydawnictwo Morskie, 1978, późniony tom.

pełnowymiarowy tom wierszy.

Było trudno, recenzenci wewnętrzni (między innymi Julian Rogoziński) byli mi niechętni, ale może to moja wina, bo nie stworzyłem zwartej kompozycyjnie propozycji. Po recenzenckich uwagach mocno przekomponowałem tom. Skupiłem się maksymalnie na uspokojeniu stylistycznym i teraz zbiór jest dobry, a jednocześnie

śnie porządkuje różne nurty moich poszukiwań poetyckich.

Wsparła mnie w recenzji wewnętrznej dr Małgorzata Czermińska, a też Krzysztof Nowicki z Bydgoszczy (poeta, krytyk, redaktor „Faktów”). Jestem im wdzięczny, bo potrzebowałem psychicznie tej książki, aby, być może, zamknąć pewne wątki i ścieżki, którymi podążałem. Mam na myśli wątek *Ulicy Polanki*, a może cały dział *Melodia* albo... .

Może też w przyszłości powinienem odchodzić od wątków autotelicznych?

Jest żywy odzew na tomik. Jest ciekawa recenzja Jerzego Suchanka (ze Śląska, nie znam go osobiście), ale jeszcze bardziej cieszą reakcje czytelnice, dostaję listy z wyrazami podziwu. Mam wrażenie, że częściej tom przypada do gustu czytelnikom niż facetom.

Nie bez znaczenie był *efekt uboczny* wydania książki, honorarium w wysokości kilku przeciętnych pensji. Kupiłem rodzicom lodówkę.

Czerwiec 1979

W piątym numerze „Punktu” ogłosiłem definitywne rozwiązanie grupy Wspólność, bo czas, gdy działaliśmy jako grupa, mi-



Grupa Wspólność na Seminarium *Wieżycy* 1978', od lewej od góry: Grzegorz Musiał, Anka Czekanowicz, Zbigniew Joachimiak, od dołu od lewej: Adzik Zawistowski, Jurek H. Kamrowski, Waldek J. Ziemnicki

nał. Nadal istnieją mocne koleżeńskie, przyjacielskie, środowiskowe związki, ale już każdy z nas idzie swoją drogą i na swoją odpowiedzialność. Poza tym, w tym oryginalnym składzie, grupa już dawno faktycznie nie istniała. Może nawet nigdy nie istniała poza momentem, gdy ogłaszaliśmy manifesty, gdy wspólnie wyjeżdżaliśmy na spotkania lub przygotowywaliśmy wspólne publikacje.

Grupa artystyczna, czy jak w naszym przypadku literacka, to fenomen chwili, błysku, wspólnej chwilowej egzaltacji. To krótki czas wzajemnej intensywnej inspiracji. I najwyraźniej potrzebnej identyfikacji.

Połączył nas programowo krytyczny stosunek do Nowej Fali i wielu ich programowych założeń, ale pozostanie po nas i dla następców kilka ważnych spraw, choćby to nie były szczególnie odkrywczе postulaty: podkreślenie wartości indywidualności i jej nadrzędny stosunek w życiu i twórczości, podkreślenie wagi prywatności w poezji, i wreszcie - co najmniej i najsłabiej wyartykułowaliśmy- sprawa

polifoniczności w poezji, a z tym łączy się rozumienie, że sztuka i poezja są obszarami tajemnicy.

W pewnym sensie węższa grupa nadal istnieje, ale już nie demonstracyjnie, nie formalnie. Anka, Adzik, ja, Staszek, Stefan, Ludwika, Grzegorz, Aldona nadal jesteśmy w jakimś związku, ale wielu z dawnej grupy Wspólność manifestacyjnie się już od niej odżegnuje.

To wszystko upewnia mnie, że oficjalne rozwiązanie grupy jest potrzebne nie tylko formalnie, ale też w sensie estetycznym - dobrze się pożegnać elegancko z jakimś etapem życia.

Listopada 1979

Należy walczyć o miłość. Miłość jest obowiązkiem. Ale miłość jest pracą. Pamiętam moje zszokowanie Norwidem, gdy spotkałem się z jego pojmowaniem pracy. Dzisiaj bardziej, lepiej, a może dopiero zaczynam rozumieć ową szczególną norwidowską pracę, która brzmi mi w uszach jak słowo piękno, jak słowo utopia, jak dramat ludzki.

Pojemne są pojęcia Norwida.

Rośnie we mnie bunt. Bunt przeciwko fałszowi, który otacza nas na co dzień, który zagłusza, nie pozwala bronić się przed żywiołem mnogości. Nie mówię, o jakimś pojedynczym ludzkim kłamstwie. To bardziej tajemnicze kłamstwo, bardziej ponure i groźne. To otaczająca mnie prawda „gęby”, to prawda środka, sumy, to prawda barw tęczy wymieszanej w tyglu – szarość, zabijająca szarość. Ani tygiel, ani szarość nie ma nic wspólnego z barwą.

Obowiązek, o którym wyżej wspomniałem, to o tyle konieczność, o ile musi być wyborem. Wyborem wynikającym z kultu pracy duchowej, rozumianej po norwidowsku. Oto droga do jasności... tak to ujmuję, aby niejasne wytłumaczyć niejasnym.

(...)

Jak trwać w rozpaczy? Nie można się jej przed sobą wstydić. Można i może trzeba ją nazywać. Można w niej też milczeć. Ale nie milczymy, bo nie potrafimy znosić milczenia. Bo staje się zanurzonym w nim krzykiem. Nieartykułowanym wrzaskiem.

A my nie jesteśmy Marsjaszami. Jeśli nawet udaje nam się przez chwilę utrzymać czysty ton lutni, to z przekleństw greckich

bogów lutnia będzie nam odebrana. Pewnie, dlatego jesteśmy pełni lęku. Nie potrafimy kontemplować naszej muzyki rozpacz. Zatem pędzimy przed siebie, a raczej uciekamy przed lękami, wciąż w lęku pozostawiając siebie. Aż któregoś dnia spostrzegamy, że nas już prawie nie ma. Że zostaliśmy gdzieś w tyle, za sobą, że jesteśmy już tylko pędem, ucieczką samą. Może to wtedy zaczyna się śmierć? A może wtedy właśnie dopiero mamy szansę na opamiętanie?

Cd. O miłości.

Aby opowiedzieć swoją miłość należy opowiedzieć siebie. W literaturze należy napisać biografię.

Ostatni swój tomik, który złożyłem w wydawnictwie, opatrzony jest wstępem, w którym piszę o tym, że wierszy w zbiorze nie potrafię traktować jak utwory literackie, a raczej istnieją we mnie – no, może nie jako fakty biograficzne lub egzystencjalne, ale swoiste sztuczne twory, kryształy, minerały przeżyć. Że nie wierzę, nie wierzę, iż można nauczyć się miłości...

Tam, w tym zbiorze, wystarczyło zawiesić głos w odpowiedniej chwili, by nie odpowiedzieć na pytanie, co wobec niemożności nauczania się miłości można uczynić. Gdy stoję wobec konkretnej osoby, mojej kobiety, głosu zawiesić nie mogę. Nie mogę zatopić się w bezradności.

Ja nikt, szary człowiek, ziarnko piasku szukam światła,

by zmienić się, zabłysnąć przez chwilę odpowiadając słońcu, odpowiadając jasności światłem (to co, że cudzym, to co, że użyczonym?).

Słońcem jesteś ty, słońcem jestem ja. A może jedno z nas? Staramy się jaśnieć i w tej ciągłej pracy, wytrwałym trudzie posiadamy miłość.

Słowacki powiedziałby

ciało mnie cieszy najbardziej
Słowacki powiedziałby Światło
które wtłoczył w nas duch świata

a to co nazywamy marzeniem to ból

Światło które zastygło na przekór
swojej naturze unoszenia

jesteśmy więc ciałem, które się żarzy
niezależnie od naszej woli
będącej tylko świadomością światła
młodzi ciałem unosimy się naturą
starością wspinamy się po gorących stopniach
umarli żyjemy na przepełnionych schodach

ciało mnie cieszy najbardziej
na krawędzi umierania
wtedy jest najbliżej natury

która jak powiedziałby Słowacki
jest najbliżej światła
i choć już płonie
jak mroczna księga

nie gasimy jej
bo wiedzie do jasności
do najwyższej instancji

Boga, który oddycha w nas
popiół
oddając w nasze ręce

Miłość to praca. To budowanie siebie. A siebie zbudować można tylko wobec kogoś. Buduję wobec Ciebie, moja kobieto, moja dziewczyno, wobec parzącego słońca. Od Ciebie się odbijam, błyszcze i połyskuje promieniami. A ty? Skąd masz to światło? Może ode mnie.

W nieskończonym łańcuchu istnień ludzkich nieważne jest, kto od kogo bierze to światło. Ważniejsze jest, kto je daje, a potem dopiero, kto przyjmuje. Sztuką jest przyjmować, bo pozwala rozwinąć się dawcy światła, dawcy miłości. Nie zawsze to wiem, że jestem *K I M Ś*. Nie zawsze czuję w sobie to światło (odbite od Ciebie), muszę mrużyć oczy. Zamykać, lecz natychmiast tęsknię

za odrzuconą jasnością. Więc wracam do niej pospiesznie. Jak ten Żyd **Wieczny** Tułacz. Jak ta dziewczyna z *Dziadów*. Która lat trzy jeszcze błąkać się musi nim dotknie porowatej ziemi.



Rękopis wiersz Słowacki powiedziałby

Wszyscy jesteście narażeni na żywioł fałszu. Kondycja ludzka jest nieuniknienie dwoista, duchowa i materialna, zwierzęca i boska, pojedyncza i mnoga. Nieustannie zawieszeni w dwoistości poruszamy się pomiędzy ekstremami i tworzymy góry fałszu.

Mówimy tam, a już jesteśmy tu. Wędrujemy po kuli. Po kuli. I nie potrafimy odróżnić kuli swoich osobowości. Podglądamy, czy inni też... Choć gdy znikają nam z oczu natychmiast podejrzewamy, że im się udało. Zaczynamy zazdrościć. Zaczynamy nienawidzić.

I wtedy on wyłania się znowu. Ten Żyd Wieczny Tułacz. Zmęczony, spragniony, ale my jeszcze nie obudziliśmy współczucia i odprowadzamy wędrowca. Odchodzi. Za późno orientujemy się, że to niesprawiedliwe, że działaliśmy z zazdrości i nikczemności. Ale On jest już daleko.

Odkłada się w jego pamięci kolejny złóg żalu. A w nas poczucie skruchy. Idziemy dalej po swoich planetach.

Co jest w tych wędrowcach poza nienawiścią? I czy to jest na pewno nienawiść?

Mówisz, że jednak to jest miłość, pomimo czynów nienawiści. Jest tylko miłość. Gdy jej brakuje, pęka planeta i zaczyna tu i ostatecznie koniec, zaczyna się śmierć. Śmierć, która trwa w czasie, w kosmosie cierpienia, grozie niczego, gdzie niczego nie ubywa i niczego nie przybywa. Jest chłód.

Wrzesień 1979

Byłem z Grażynką, *Białymi Skarpetkami* (tak ją nazywałem



prześmiewczo i ciepło), w Krępie. Przedstawiłem ją, jako moją przyszlą żonę. Rodzice jak zwykle byli bardzo gościnni.

Grażyna też jest polonistką, ale jest młodsza ode mnie o sześć lat. Jest prześliczna i przemiła. Ślub ma być jesienią. Ale właściwie, po co?

Październik 1979

Dzisiaj miała miejsce premiera jego sztuki *Wieloryb*

Wielkie wydarzenie dla nas, ale przede wszystkim dla Adzika Zawistowskiego. Premiera odbyła się w Teatrze Kameralnym w Sopocie. Adzik potwierdził, że jest utalentowanym pisarzem, a w tym konkretnym przypadku dramatopisarzem.

Potem odbyło się przyjęcie w Klubie Aktora w Gdańsku, na Mariackiej. Adzik pośród nas jest jedynym, który porywa się na pisanie dramatów, ale fakt, ma potężną inspirację, bo pracuje w Teatrze Wybrzeże, jako kierownik literacki, zresztą pod egidą Stulka Hebanowskiego.

Swoją drogą Stanisław Hebanowski ma świetny kontakt z młodymi twórcami i jest też dobrym duchem młodych pisarzy związanych z Kołem Młodych ZLP.

Na spotkaniu popremierowym było mnóstwo ciekawych ludzi, wspomnę tylko z kręgu literackiego: Krystyna Chwin i - oczywiście - Stefan, Zbyszek Majchrowski (mile uśmiechnięty), Ludwiczka Topp (też, oczywiście!), Ania Boczkowska, moja Grażynka, Aldona Mrozowska, Anka Czekanowicz, Włodek Cegłowski i wielu, wielu innych. Był też cały komplet aktorów, głównie młodszego pokolenia.

Listopad 1979

Właśnie wróciłem z obrad jury konkursu Czerwonej Róży.



Krzysztof Źmijewski (prezes Żaka), Zbigniew Joachimiak, Krzysztof Gąsiorowski, Tadeusz Śliwiak, Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, Krzysztof Nowicki, Jerzy Leszin, Adzik Zawistowski

Ciekawe grono. Poznałem Krzysztofa Nowickiego, poetę i redaktora z Bydgoszczy. Poza tym był Krzysztof Gąsiorowski, para nierozłączek Leszin - Waśkiewicz, bardzo sympatyczny Tadeusz Śliwiak (znałem go dotychczas z korespondencji, publikował chętnie i często moje wiersze w „Życiu Literackim”), Adzik Zawistowski (sekretarz jury). Pracowaliśmy bez konfliktów i raczej nasze wybory były obiektywne.

Październik 1979

Mam wyrzuty sumienia, bo jednak zrezygnowałem ze ślubu i to dzień przed uroczystością. To była wielka przykrość dla Grażyny, ale - myślę - że to była właściwa decyzja. Oczywiście, nie chciałem kończyć naszej erotycznej relacji, ale dotknąłem ją zbyt boleśnie i zerwała ze mną. To dla mnie przykre, ale ją doskonale rozumiem.

Żal mi jednak, że ją tracę. Nie byłem gotowy na rolę męża, niedawno zakończyłem swój związek małżeński z Jolą. Ale tamto małżeństwo było zupełnie inne - szalone, zakręcone i ...młodzieńcze. To był kawał czasu!

Z Jolą byłem od dwudziestego roku życia. Po Elżbiecie pierwszy poważny związek. Bardzo sobie pomogliśmy w życiu, a na



Grażyna K., zdjęcie zrobione w pokoju akademickim, gdzie mieszkalem jeszcze w 1979 roku

pewno Jola mnie. Przy Joli czułem się znacznie mniej samotny, a samotność, to moje dominujące odczuwanie świata i życia.

Moje uczucie do Grażyny jest głębokie, może, gdyby zdawała sobie sprawę jak głębokie, nie zerwałaby ze mną.

Zastanawiam się, co było prawdziwą przyczyną wycofania się ze ślubu, może moje tchórzostwo? Oczekiwania Grażyny były bardzo ... konkretne: porządne tradycyjne małżeństwo. A ja? Cóż, nie jestem gotowy na taką normalizację życia, na takie *porządne* życie. Okazuje się, teraz to wiem, że sama miłość to za mało, aby podjąć wyzwanie by-

cia na zawsze z kimś, kogo się kocha.

Jeśli się kogoś kocha naprawdę, czy można narażać tę umiłowaną osobę na ryzyko katastrofy. Pewnie zawsze jest takie ryzyko, ale gdy się już na początku drogi podejrzewa, że to będzie klęska, to lepiej zwinąć się w sobie i w samotności, popłakać i odejść.

Brakuje mi Grażyny. A jaka ona jest?

Jaka ona jest?

Jest najdelikatniejszym zapachem herbaty, jest światłem, które pierwsze przebija się o wschodzie, jest łyżką miodu, gdy wszystko smakuje gorzko, a to wszystko wiadome i jest oczywiste.

Ale jest też spojrzeniem, które patrzy na mnie od środka. Jest piosenką, której nie umiesz zaśpiewać, a ona to robi całą swoją osobą. Jest krokiem, którego ty nie umiesz postawić, Jest długim marszem i cierpliwym dotykiem, gdy wszystko cię boli, a skóra pęka od napięcia.

Wodą jest, gdy wychodzisz z pustynnego żaru
i żarem, gdy zbyt długo marzłeś w zimnym deszczu.
Uśmiechem jest tego, co dopiero nadejdzie,
delikatnym poruszeniem powietrza, jest może
i może jest,
jest może na pewno.

Jest blisko tak, że nie ma między nami powietrza,
ani nawet
skóry, a może nawet nie ma ciała,
które tak ukochały moje dłonie,
tego jasnego, prześwieczonego marzeniem ciała.

Są być może słowa, ale te słowa są jak *może są*,
choć dają się uchwycić jak chwyta się występu skalnego
gdy spadasz, spadasz z góry.

Ona jest jak już jej nie ma.
A nie ma jej jak wciąż by tu była.
Jak ona jest?
Jest jak?

27.02.1980

Nie chce mi się kontynuować tego dziennika.

Nie chce mi się w ogóle pisać. Nie znajduję w tym pasji. Jeśli piszę, to dlatego, że chcę zarobić na honorarium. Jestem cienko żyjącym poetą. Piszę dla kasy? Czy to cynizm? Na pewno nie pisarstwo. Czy gdybym miał środki na życie, przestałbym pisać? Jednak nie. Może nie pisałbym tekstów komercyjnych, usługowych, zamówionych. Pisałbym, bo jest w tym jakiś narkotyk, ta chwila po napisaniu, gdy tekst się odrywa ode mnie, zaczyna być już czymś obcym, niewłasnym, gdy czytam z ciekawością, co dalej. Ale dotyczy to przede wszystkim wierszy.

Nim jednak ten tekst powstanie, stoję wobec ściany niemożności, potrzeby przełamania inercji... Wiem, że trzeba się po prostu rzucić w ten niepowstały jeszcze tekst, ale włosy jeżą mi się na rękach, czasami nawet mam gęsią skórę, lęk, przemożny lęk, by to wreszcie zrobić.

I to chyba nazywa się bólem pisania i to budzi moją niechęć pisania. Czy jest objawem lenistwa? Ale to lenistwo jest niekiedy aż fizyczne, czuję je ciałem.

To poczucie braku sensu pisania, to protest przeciwko bólowi pisania, który jest bólem fizycznym brzucha, oddychania.

Nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy jak fizyczne jest pisanie wierszy, że jest czuciem ciała, wcale nie wiele innym, niż seksualne doznania. Ale w tym przypadku zadowolenie jest rzadkie. A orgazm jeszcze rzadszy. Ale to jest oczywiste, nawet pisząc, czuję się skazany na ciało.

Olek Jurewicz



Oto mój sąsiad. Aleksander Jurewicz

Gdy jest trzeźwy jest powściągliwy i refleksyjny, w sumie smutny. Jak wypije nabiera wigoru, jest odważny, krzykliwy i łatwo wydaje sądy. Właściwie nie wiem, dlaczego przychodzi do mnie, bo często (szczególnie po alkoholu) manifestuje niechęć do mnie. Ma żale. Pretensje.

Prawdopodobnie o naszą *wspólnościową* i wydawniczą działalność, a przecież nie zapominamy o nim, zapraszamy do wspólnych przedsięwzięć i publikacji. Mieszka teraz niedaleko, na Startowej.

Byłem w domu u Stulka Hebanowskiego (Stanisława Hebanowskiego). Atmosfera mocno cyganeryjna. Drzwi otwarte dla przyjaciół. Cały dom dostępny dla gości poza gabinetem Stulka i pokojami w tylnej części mieszkania.

Dużo ciekawych ludzi. Aktorów, pisarzy i pieśniarzy. Marek Grechuta mile się uśmiechający, ale raczej nieobecny, zasadniczo stojący cały czas w jednym miejscu w rodzaju katatonii.

Poznałem Iłę Hebanowską. Drobną, ru-



Stanisław Hebanowski
po premierze *Wieloryba*,
Adzika Zawistowskiego

chliwa, trochę złośliwa, ale wzbudziła we mnie sympatię. A i ja w niej chyba też. Odwiedziła mnie następnego dnia. Przyszła ze swoim dwiema córkami. I... z flaszką dużego alkoholu. Było miło, dziewczynkom napuściliśmy wody do wanny, bardzo je to ucieszyło. Ale ja Itę rozczarowałem, bo nie chciałem pić alkoholu o tak wczesnej porze. A może ona też, ale pomyślała, że ja chcę?

Niestety, Ita zaraz wyjeżdża do Warszawy. Nie dowiem się o niej więcej... szybko.

Osoby:

Stulek. Czyli Stanisław Hebanowski, wybitny reżyser, człowiek teatru, tłumacz, między innym z greki i francuskiego. Człowiek niezwyklej i codziennej życzliwości. Bardzo lubiany i doceniany. Wzbudza szacunek w środowisku szeroko rozumianym artystycznym, ale i o dziwo w kręgach władzy. Jest dyrektorem artystycznym w Teatrze Wybrzeże. Czuję się bardzo zaszczycony, że mogę z nim rozmawiać, posłuchać, a w końcu być jego gościem w domu.

Czerwiec 1980

Bożko Bożkow przysłał mi antologię polskiej poezji współczesnej wydaną w Sofii w tym roku. Na bułgarski przetłumaczono w niej dwadzieścioro trojga polskich poetów, między innymi Brylla, Poświatowską, Kijonkę, Gąsiorowskiego, Barana... Z moich wierszy są *Tancerka*, *Siedmioletnia matka*, i jeszcze dwa.

24.05.1980

Krytyk pisze o poezji onirycznej! Ale chyba trzeba być ostrożnym, aby uwierzyć w taką rozprawę. Język wizji, nocy przekładać na język pojęć i dnia, to musi zabijać oniryczny tekst poetycki, tekst „objawiony”, będący olśnieniem. Wprowadzającym w osłupienie.

Gdyby to robił jeszcze krytyk-filozof, a zatem człowiek-konstruktor, to może byłby w tym jakiś sens, bo opisywany tekst byłby gruntem dla przewodu filozoficznego, a wiersz byłby kategorią filozoficzną.

Lecz, gdy czyni to krytyk-działacz, krytyk-sumienie-społeczne, „głos sprawiedliwości i prawdy” tak, jak to czyni na przykład

Staszek Rosiek lub Stefan Chwin, to noc pozostaje nocą i nic się nie wyjaśnia .

Obraz oniryczny jest chaosem, wizją, fantazją. Skąd u nich ten ciąg do moralizatorstwa? Czy to jakieś kompleksy?

Krytyk współczesny (od Sandauera, poprzez Waśkiewicza aż do Staszka Rośka) pozostaje zanurzony w mimesis po uszy! I uszy ich obchodzą najbardziej.

Kwestionują oczywistość w imię rzeczywistości, która objawia się im jako aksjomat, tak bardzo, że staje się kategorią krytyczną, nie zaś ontologiczną.

Ich prawda o literaturze to: większość ma rację... I piszą o imponderabiliach, nazywając to rzeczywistością, herezją lub, co najwyżej, spekulacją. Zdaje się im, mają takie mocne przeświadczenie (nie tyle, że wiedzą, a ile są przeświadczeni, że wiedzą), że w świecie równe sobie są części: to, co jest i to, czego nie ma; Że nie ma podstaw (a tym bardziej, gdy się nie ma wyraźnego dowodu ontologicznego na człowieka), aby preferować jedną z tych części. Nie chcą pamiętać, albo pomyśleć, że punkt widzenia którykolwiek z tych części kwestionuje drugą. Zanurzenie w połowę świata realnego skazuje krytyka na porządek, w którym jest zanurzony. Gdy pojawia się szansa na „wypłynięcie”, gdy dociera do niego fragment okrętu ze świata nierzeczywistego, jakiś łożek masztu, deska, koło ratunkowe, mówią: *oto jest produkt szaleńców, czyż mamy uważać, że to jest dowód na ich świat? Czyż nie są głupcami, czyż nie należy ich zgładzić, wszak burzą przejrzystość naszych wód.*

do onirystów

Przyjaciele moi oniryści szaleńcy wizjonerzy
oto przychodzą do nas mędracy
wytlumaczą nam nasze błędy głupotę i szaleństwo

Oświecą nas delikatnymi skalpelami otworzą
nam czaszki
dobrotliwymi słowami nauczą nas kłamstw
w kanały uszu wleją nam ciepły gips
żrenice nasze czarne przemalują na niebiesko

Modlitwy nasze rozkleją w gazetach
pozszywają popękane skóry
mądrości nauczają w zamian miłości

Otworzą ciało i zaświecą lampą do środka
zobaczą kości mięśni ścięgna
a pomiędzy zobaczą pustkę

Oto, Przyjaciele,
oto Urthono
przychodzą do nas mędracy

Otwórzcie kanały ścieki krany rurociągi
bo idą do nas mędracy wreszcie nas osądzić
i wolności wytłumaczą
błąd

Przyniosą nam prawdę i mądrość
oświecą nas
do ostatniego

Nawet tym którym nigdy nie pękły usta
rozetną skórę by nieśli sławę mądrości
nie miłości

Drżycie Przyjaciele, bo jeszcze nie jesteście oświeceni

Po napisaniu tego wszystkiego wyżej uświadomiłem sobie, że moi koledzy po Pokoleniu, „Litterariach” i innych wydarzeniach, nigdy nie pobrudzili się analizą, interpretacją wierszy w rodzaju tych zawartych w zbiorze *Wieczne Amazonki*. Co prawda potrafili pochwalić również tajemnicze wiersze Urszuli Małgorzaty Benki, czy wizyjnego Janusza Stycznia, ale czy oni rozumieją te teksty? Czy w ogóle jakoś do nich docierają? Chyba nie, bo to wiersze spoza ich wyobraźni i wrażliwości.

Problem w tym, że owi Wielcy Krytycy roszczą sobie prawo do rozdawania cenzurek i ustalania rankingów, do dyktowania w końcu powinności pisarskich i poetyckich.

Maj 1980

Byłem w Krakowie na wojażach poetyckich, spotkałem się tam z Andrzejem Kaliszewskim, ale głównym powodem wyprawy były spotkania autorskie. Średnio udane. Kraków jest dla mnie obcym miejscem.

Oślawiony Klub Pod Jaszczurami nie zrobił na mnie wrażenia.

No, może spodobał mi się klimat kawiarni w stylu wiedeńskim w Rynku, w pobliżu Sukiennic. Niewielkie stoliki, gięte secesyjne krzesła i bardzo smaczne śniadanie wiedeńskie (jajka w koszulkach).



Zbigniew Brzozowski, prozaik
szczeciński

Poznałem tam w Krakowie grupę Amerykanów, którzy studiowali język polski na kursie wiosenno-letnim Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jestem umówiony z Maureen, która ma być wkrótce w Gdańsku.

Dziewczyna o irlandzkiej urodzie pięknie śpiewa i sama akompaniuje sobie na gitarze. Postaram się zorganizować jej koncert w „Żaku”.

To nie pierwsza moja wizyta w Krakowie, byliśmy tam już wcześniej, jako grupa Wspólność, i dostałem wtedy nagrodę w konkursie jednego wiersza O Jaszczurowy Laur. Ale nie pamiętam za jaki tekst.

Tu mieszkam, czerwiec 1980

Od kiedy mieszkam na Zaspie, moje poczucie związku z miastem bardzo wzrosło. Może dlatego, że z perspektywy mieszkania na dziesiątym piętrze widok na morze czerwonych dachów Wrzeszcza, a dalej na stocznię i Gdańsk, zapiera dech.

Ile razy patrzę na miasto, szczególnie nad ranem, już po wschodzie słońca, po prostu wzruszam się. Czuję tam życie, ruch, sny, marzenia.

A jak wyostrzę wzrok, to po lewej mojej stronie widać też Zatokę Gdańską.

Bo widok na morze też mam.

Wrzeszcz nad ranem

tu mieszkam
oto czerwcową noc pomiędzy
krzykiem oliwskich łabędzi
i gregoriańskim chórem Gdańska

oto ulica Grunwaldzka
idzie na jarmarczny plac
strzec architektury
Aldony, Dubois i Kilińskiego

idzie ulicą prostytutka i stary pies
stoi już mleko, melina - supersam
(Politechniczna 102A) za pół litra
sto siedemdziesiąt stoi
sami swoi - nie, milicji nikt tu się nie boi

taksówką po ulicy wszerez
Jan L., ten z Chopina - cześć
pijany nocą Wrzeszcz
bije blaszany bębenek

śpi poetka Anna Cz. z ulicy Wrocławskiej
śpi, bo ona nie z Wrzeszcza lecz z Gdańska

śni się jej krew choć dzielnica
śpi nie słyszeć wzburzonego tętna

dzielnica niby śpiąca
nocą z dnia kpi
śni dzień pijany nocą Wrzeszcz
w dzień zastyga

tu mieszkam
i pilnuję nocnego państwa

Czerwiec 1980

Pojechałem z Lisą i Maureen do Krępy.

Pierwszą poznałem Maureen. Córka żołnierza amerykańskiego z Hawajów. Ale ostatecznie zostałem z Lisą.

Dość trudno komunikować się w języku, który znasz tylko z lekcji szkolnych. A jednak komunikacja jest udana.

Dziewczynom podoba się nasza leśna osada.

Szwendamy się po lesie. Jemy poziomki prosto z lasu. I drinkujemy. Lisa zagląda mi głęboko w oczy. Ja chodzę po lesie w ciężkim zielonym płaszczu i w hełmie hitlerowskim.

Hełm jest w jednym miejscu roztrzaskany, ciekawe, czy od strzału, czy ze starości. O co mi chodzi? Szczylskie szpanerstwo. Już kiedyś użyłem go niecznie, gdy odwiedzili mnie znajomi z NRD, wtedy w środku hełm pomalowałem na czerwono i położyłem w widocznym miejscu.

A rodzice, na wakacyjnej wymianie, są w Gdańsku na Zaspie. Czy też dobrze się bawią?

Alicja powraca

Co jest z drugiej strony lustra?

Z drugiej strony lustra stoi ona,

jeszcze pamięta, że Tam

kto w lewo sięga dotyka na prawo.

Kto daje krok wstecz jeszcze j e s t.

Lecz idąc do przodu przed matową

ścianą staje.

Z drugiej strony

stoi postarzała pani Alicja,

uśmiecha się niepewnie, bo pamięta,

że stało przed nią lustro,

że starczyło zdecydowanie weń wejść.

Pęka zwierciadło, odsłania pustkę.

Dłoń Alicji wysuwa się spod gruzu szkła, sięga w głąb.

Oto ciemna, ślepa zamknięta sala.

Pośrodku niej

wisi ręka młodej dziewczynki,
bez śladu krwi.

(sala się zapada, szkło wraca do ram,
koniec wizji, kończy się film)

Z drugiej strony puste lustro lśni.

Krępa Krajeńska, 12 lipca 1980 roku



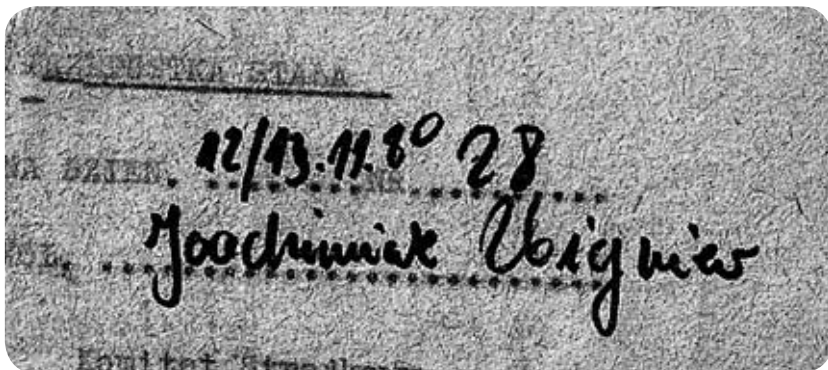
Aldona Mrozowska, częsty i mile widziany gość na Dywizjonu. Zawsze jej zazdrościliśmy inteligencji, a właściwie umiejętności szybkiego poznawania. Jest naszym prymusem, do dzisiaj. Aldonka nauczyła mnie gramatyki historycznej i w ogóle historii języka, a skutek jest taki, że do dzisiaj język fascynuje mnie jako fenomen historyczny.



Autorem wielu zdjęć w tym okresie naszej działalności był i jest Janek Ledóchowski. Janek po prawej.

17 sierpnia

Byłem pod bramą Stoczni. Strajk. Strajk? Strajk.



Moja pierwsza przepustka do Stoczni, którą polecił wydać ledwie ustanowiony Komitet strajkowy

Dziwnie ciężki nastrój w mieście. Wszędzie w mieście na ścianach napisy: „Strajk”. Milicji nie widać. Ale nie można mieć złudzeń, tajniaków jest pełno i są wszędzie.

Spotkałem pod stoczną Marka Bieńkowskiego. Weszliśmy na teren Stoczni.

Wracając do domu mieliśmy stracha, ale chyba nikt nas nie śledził.

19 sierpnia 1980

Lisa strasznie się boi. Ale właściwie, czego? Z mojego okna widać dźwigi stoczniowe i całą Stocznę.

Mam już stałą przepustkę, mogę tam wchodzić bez problemu. Pod Stoczną co chwilę przyjeżdżają samochody, a to z chlebem, a to z wędlinami, owocami... Strajk nie będzie głodny!

A nie łatwo dojechać, bo pod bramami setki, setki ludzi, tłumy, to już chyba liczyć trzeba w tysiące.

Są dwa miejsca, gdzie zbiera się tłum. Pod bramą tuż przy przystanku kolejki Stoczni i pod główną bramą - tu jest więcej miejsca, a zatem więcej ludzi.

Ważna jest jednak też ta mniejsza brama, bo to, co tam się dzieje jest wyraźnym sygnałem, wyraźną informacją dla osób przejeżdżających kolejkami i pociągami.

Udało nam się z Markiem Bieńkowskim zmontować list poparcia

dla stoczniowców. Wałęsa dał nam kasę na taksówkę, bo ani ja, ani Marek - oczywiście - własnych samochodów nie mamy. A trasa - długa oś od Gdyni Obłuże (tam mieszka Waldek Ziemnicki) do Pruszcza, przez Gdańsk i dzielnice.

Starsi koledzy z ZLP nie palili się do wspólnej akcji.

Stanęło więc na liście poparcia strajku przez młodych pisarzy, a konkretnie zgrupowanych w Kole Młodych Pisarzy przy ZLP. Ale nie wszyscy podpisali. Niektórzy się bali. I ci, niektórzy, bardzo mnie zadziwili.

21 sierpnia 1980

Codziennie jestem w Stoczni.

Atmosfera strachu minęła. Teraz jest podniecenie, oczekiwanie ważnych zdarzeń.

STRAJKOWY BIULETYN INFORMACYJNY
Gdańsk dn. 24. 08 1980 r.
KOMUNIKAT
MIĘDZYZAKŁADOWEGO KOMITETU STRAJKOWEGO
Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego odbyło posiedzenie z udziałem zespołu ekspertów. Przedmiotem dyskusji były sprawy ruchu związkowego, którymi zajmuje się pkt i - czy żądań strajkujących załóg. Zespół ekspertów przedstawił szczerą odpowiedź na pytanie, w jaki sposób stworzyć dowó, niezależne związki zawodowe oraz jakie powinny być spełnione gwarancje narzecz subsekcja Samorządnych Związków Zawodowych, jak i ich funkcjonowania. Po dyskusji - dodatkowych - wyjątkowych ekspertów, Prezydium MKS zwróciło się do zespołu ekspertów z prośbą o przygotowanie następnego analizy i materiałów.
SKŁAD KOMISJI EKSPERTÓW PRZY MIĘDZYZAKŁADOWYM KOMITECIE STRAJKOWYM W GDANSKU

Przewodniczący:	redaktor	Tadeusz	Manowiecki
Członkowie:	doc.	Bronisław	Geremek
	dr hab.	Jadwiga	Staniszko
	doc.	Tadeusz	Kowalik
	dr	Waldemar	Kotzyński
	red	Andrzej	Wielowiejski
	dr	Bohdan	Cywiński

Wyżej wymienione osoby reprezentują następujące specjalności: prawo i nauki polityczne, ekonomiczne, socjologiczne i politykę społeczną. Komisja pozostaje w stałym kontakcie z innymi specjalistami w całym kraju.

Międzyzakładowy Komitet Strajkowy
Wolne Drukarnie Biuletynu Strajkowego
(Druk biuletynu)

Gdańsk, dnia 25 sierpnia 1980 r.

Ulotka Biuletynu strajkowego

W mieście wszędzie oznaki poparcia. Na murach napisy „Strajk trwa”. Są chłopaki i dziewczyny z Młodej Polski (Magda Modzelewska). Jest Borusewicz. Krzysiek Wysocki. Na terenie Stoczni spotkało się sporo osób z naszego środowiska literackiego. Jest Adzik Zawistowski, Esden-Tempski, Marek Bieńkowski, Antek Pawlak, Marian Terlecki i sporo z ZLP, między innymi Lech Bądkowski i Bolesław Fac.

Przyjechali tak zwani doradcy z Warszawy (Mazowiecki na pewno tak, Kuroń na pewno nie, bo siedzi).

Wałęsa na temat Wolnych Związków Zawodowych mówi więcej i teraz bardziej składnie, bo pierwszy mój kontakt z nim nie był zachęcający intelektualnie.

Coraz głośniejsze stawia się warunki polityczne.

4 września 1980

Po zwycięstwie?

Byłem w siedzibie Solidarności na Marchlewskiego.

Młyn straszny. Chaos. Uciekłem stamtąd. Nie nadaję się do takich organizacji (a raczej dezorganizacji).

Byłem u Wałęsy w pokoju. Mnóstwo pieniędzy w kartonach. Mnóstwo kartonów i darów.

U mnie w domu spotkaliśmy się w gronie: Staszek Rosiek, Marek Bieńkowski, Darek Filar i ja. Chcemy wydawać pismo. Czemu nie. Ma być w nowym duchu. Mamy zapomnieć „Literaria”, jest czas rewolucji.

Lisa robiła nam herbatki. I była bardzo przejęta.

Romans z Lisą robi się coraz poważniejszy.

20 września

Nie chce mi się pisać dziennika. Czuję, że powinienem. Ale bardziej mnie teraz zajmuje Lisa. Chce być ze mną na stałe.

Chyba jestem rozgorączkowany. Na pewno jestem chory.

Ona jest 10 lat młodsza. A ja nie wiem, czy jestem gotowy do nowego związku i pamiętam jak skończył się mój romans z Grażyną.

Od dłuższego czasu czuję się uwięziony. Uwięziony w przymusie, w oczekiwaniach od innych jak powinienem pisać.

Mam wrażenie, że utraciłem wolność poetycką. Powietrze wokół mnie się zagęściło, a korytarz, którym mam się przebijać do czytelnika, to język realizmu, obowiązku etycznego posłannictwa, misji społecznej... To nie jest mój język i świat.

Czy, jeśli nawet nie mam wyjścia i muszę żyć w tym świecie, bo inne światy są po prostu dla mnie niedostępne, to czy muszę pisać dla tego właśnie świata?



Przepustka do Stoczni w czasie Sierpnia, którą wystawił Wałęsa, gdy udaliśmy się po podpisy pod petycją popierającą Strajk.

Brakuje mi świata moich *Neofitek*, *Christin Gorek*, *Siedmio-letnich matek*, *Elżbiet Straszyńskich*, *Zuzann*, *Mariann B.*

Za każdą z tych poetyckich postaci stała równie poetycka rzeczywista osoba. Ale ich rzeczywistość nie kłóciła się z moja poetyką ... Niekiedy nie mogła, bo ledwie znałem osobę. Na przykład *Elżbieta Straszyńska* urodziła się z Elżbiety Mędrys,



Lisa w ciąży, obok Aldona Mrozowska i Mariusz Parczyński (był przyjacielem domu w tym czasie). Na kolanach Lisy kotka, Lizunia, która uwielbiała chodzić po barierce loggii na dziesiątym piętrze i któregoś razu spadła. O dziwo nic jej się nie stało i nadal polowała na ptaki na balkonie.

pieśniarki operowej, którą poznałem jeszcze w liceum, Elżbieta chodziła do klasy wyższej, razem z moja siostrą. Zawsze ją miałem w swoich zakamarkach duszy i pamięci. A potem raz, jedyny raz, szalona wyprawa do Łodzi. Łatwo zgadnąć kiedy, bo w tytule wiersza jest data.

Moja *Neofitka*, to wiele lat trwająca miłość bez związku, a zawsze z obustronną gotowością do wszystkiego, do każdego szaleństwa. W końcu ucichła, bo posterowałem na obce jej Morza Sargassowe.

Brakuje mi ich. Z nimi świat był prawdziwszy i pełniejszy.

One odkrywały mi warstwy rzeczywistości, której nie zobaczy się zbyt mocno otwartymi oczami. One umiały sklejać to, co nieuchwytnie, z tym, co jest twarde i mocne, jak granit. Ich świat nie był racjonalny, ale pięknie pachniał. Dziwne w nim panowały prawa fizyki.

Zaskoczony czuję, że byłem z nimi po prostu dobry. Ich obecność nie przeszkadzała mi w romansach, w miłościach, w małżeństwach i związkach. One były poza tym światem, choć bez nich mój świat uległby dawno kolapsowi.

Gdy pisałem niezdarne wiersze o ulicy Polanki, O Seminarium Duchownym w Oliwie, czy mieszkaniu Leszka w Szczecinie, to pisałem o prawdziwym świecie, choć może nie realnym (realistycznym?). Wiersze o wątkach ziemi, dziadów, duchów dróg rozstajnych sięgały głębiej, niż te wiersze z ostatnich lat, gdy próbowałem ogarnąć rozumem ten mój instynktowny kierunek poetycki.

Czuję się osaczony, ale nie winny.

Czuję się osaczony przez mędrców pokroju Rośka i innych krytyków mojego pokolenia. Ale oskarżam nie ich, oni też starają się najlepiej, jak mogą, ogarnąć swój świat.

Czuję całym sobą, że pochłania mnie (i ich) ten prostacki polityczny świat. To ten świat, każe mi (i im) odczuwać *tyrtejskie* obowiązki.

Nawet mój *Atletoł polskim* wkurza mnie, że jest tak żałośnie sentymentalny i dydaktyczny.

Poezja musi być czymś więcej niż sprawą do załatwienia.

Październik 1980

Byłem w Szczecinie kilka dni. Byłem *na* strajku w Akademii Medycznej PAM.



Przepustka strajkowa Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie. Na następnym ujęciu - w trakcie strajku okupacyjnego oraz logo Strajków Sierpniowych w Szczecinie.



W Szczecinie wymyślili inny znak Solidarności, też ciekawy.



Grudzień 1980

Wydaliśmy w „Punkcie”, w trybie mocno pospiesznym, naszą dokumentację *Wydarzeń Sierpniowych*. Nakład rozchodzi się błyskawicznie.

Wszystkim nam zależało, aby wydać ten numer, bo kto wie jak długo potrwa ta nasza *nowa* wolność.

Żyjemy w jakiejś gorączce. W pośpiechu. W niepokoju .

W pracę nad tym *sierpniowym* numerem bardzo zaangażował się Staszek Rosiek. Z dobrym skutkiem. Trzeba też podkreślić istotny udział redaktora naczelnego, Edward Mazurkiewicza. Jako szef oficyny mógłby bez problemu utrudnić wydanie tego specyficznego przecież wydawnictwa. Myślę, że wiedział, że ryzykuje utratą stanowiska. W porządku gość, umiał się dobrze i odważnie wypowiedzieć.

Nie wszyscy moi znajomi to potrafili. Historia pokaże, czy to ryzyko się opłaci.

Przy okazji oglądałem zdjęcia ze Stoczni z tamtych czasów. Poczułem wzruszenie, gdy zobaczyłem nas w grupie (Adzik, Ludwika, Krzysztof Wyszkowski, Maciek Kraiński, Piotr Dyk i wielu innych), siedzących w sali BHP na podłodze, w oczekiwaniu, co przyniesie chwila, nowy dzień, nowy czas... Zwykle siadywałem na parapecie okna, była lepsza widoczność na całą salę.

Będzie wojna

Małgorzacie Czerwińskiej

wojna już jest
wojnę trzeba spostrzec
swedenborg powiedział koniec świata
nastąpił już dawno
i nawet jeśli się boimy
jeśli bardzo nie chcemy
nie odmieni to tego
co już się stało

wojna już jest
to nie znaczy że powinniśmy śmiało
Spojrzyć jej w twarz
powinniśmy się jej bać
my i wrogowie
ludzie dobrej i złej woli

bo wojna zgniecie wszystko
nawet zło

wojna już jest
wcale nie trzeba czekać
aż poleje się krew
tak jak granica jest tylko umową
tak jak tajemnicza jest granica
życia i śmierci
tak jest wojna
nasza wojna

wojna już jest
trzeba powiedzieć to tym którzy
ją wywołali
trzeba powiedzieć to tym którzy
powinni się bronić
trzeba powiedzieć to tym którzy
będą nieuchronnie ofiarami

może to pierwszy krok do zakończenia wojny

tak, to będzie początek końca wojny

10 kwietnia

Jola Rajz wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych już chyba dwa lata temu, a ja związałem się z Lisą Storie. Ale utrzymuję ciepłe relacje z Jolą.

Czerwiec 1981

Licytacje. PIW. To ciekawa książka, ale słowo *ciekawa* może być też rozumiane ironicznie, zależy, o jakim aspekcie książki się mówi.



Już kultowy numer „Punktu”
nr.12

Zasadniczo fakt, że wydawnictwo postanowiło oddać kilkaset stron książki tak zwanym młodym

krytykom jest chwalebny, bez dyskusji, choć warto skonstatować, że niejako bez łaski, bo PIW jest wielkim państwowym wydawnictwem i ma parę podstawowych obowiązków, między innymi śledzić, co w najnowszej literaturze i krytyce piszczy.

Ironia przydaje się, gdy zaczynamy czytać książkę, dojdę do tego za chwilę. Bez zarzutu można napisać o *technologii* krytyki stosowanej przez autorów. Pióra Chwina, Rutkowskiego, Pysiaka, Bugajskiego i większości autorów nie skrzypią. Czyta się ich teksty z poczuciem, że piszą o ważnych sprawach i - że tak to określe - nie nadużywają pozycji krytyka wobec literatury. Wzorem może być sprawnie i mądrze napisany tekst Zbyszka Majchrowskiego. Jak każdy krytyczny tekst, tak i te tutaj, w *Licytacji*, są ukrytymi mniej lub bardziej polemikami lub do nich zachęcają. To jest mocne w tej antologii.

Uderza jednak jednostronność wywoływanych *duchów*. Zasadniczo książka jest apologią Nowej Fali i na niej się skupia. Autorzy, tacy jak np. Rafał Wojaczek, niezbyt spójnie egzystują ze skorowidzem nazwisk występujących najczęściej.

Proza omawiana jest bardzo rzeczowo. Poezja, niestety, nieco mniej.

Czas na ironię?

Tekst Staszka Rośka jest druzgocącą krytyką poetów *ponowofalowych*, opiera się na analizie działalności grup poetyckich połowy lat siedemdziesiątych. Mam jednak wrażenie, że krytykę wycelował szczególnie, (choć starał się to ukryć) wobec swoich kolegów i przyjaciół z „Litterariów” i Wspólności. Ma prawo. Ja jednak nie potrafię pogodzić się z wieloma jego tezami.

Zaatakował nas za działania grupowe, twierdząc, że **odcinały** nas one *od sytuacji społecznej, która oczekuje aktywności aksjologicznej*. Nie wiem, jakim prawem tak ocenił nasze działania, nasze życie, bo nigdy nie czułem się odcięty *od sytuacji społecznych*.

Może Staszek miał na myśli to, że powinniśmy byli iść drogą kontestacji na wzór Nowej Fali, lub może po prostu sugerował, że powinniśmy byli podjąć działania polityczne na wzór Młodej Polski? Nie rozumiem, dlaczego **sam** nie podejmował takich działań?

Staszek kompletnie nie rozumiał (w swoim wywodzie), że *identyfikacja grupowa* dla poetów, pisarzy, nowych pokoleń jest niekiedy koniecznym etapem, aby się rozejść i spotykać już na gruncie wartości prezentowanych w autorskich tekstach. Tak się przecież stało.

Nasza *identyfikacja grupowa* szła dwoma nurtami, z jednej strony przez związki emocjonalno-duchowe i intelektualne w „Litterariach” (i w tym nurcie Staszek istniał z nami), a z drugiej strony przez działania grupowe w ramach grupy Wspólność.

Od 1977 roku nie działaliśmy już zintegrowani w grupie. Tworzyliśmy - każdy z nas - na swoje konto, na swoją odpowiedzialność, (choć były też szczególne wyjątki - nasz tom wierszy, wspólnie napisany przez Ankę Czekanowicz i przeze mnie, *Pełni róż obłędu*, w roboczej nazwie *Chwil spełnianie w dekadencji*).

Ale *Wspólność* też była **naszym** działaniem, to, że nie podpisałeś się, Staszku, pod manifestem, to był twój wybór, ale też przejaw lęku. Byłeś z nami, gdy wymyślaliśmy wspólne wyjazdy na spotkania literackie, np. do Poznania, gdy programowaliśmy kolejne numery „Litterariów”, czy dyskutowaliśmy na Seminarium Literackim w Wieżycy. Zapomniałeś?

Tworzyliśmy grupę... niekoniecznie przez duże G. Ale Ty postanowiłeś w swoim tekście nagle o tym wszystkim zapomnieć i zaczęłeś o nas pisać jak o *onych*, z tych grup literackich, a to Wspólności, Gremium, Molochu ...Oj, Stachu, to nie fair.

Tu czas na ironię: Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, Ty, wielki krytyk działań grupowo-sytuacyjnych, że sam umieściłeś się w takim kontekście. O czym się mówi w słowie wstępnym do książki *Licytacja*? Ano o tym, że Ty i grupa krytyków założyliście **grupę sytuacyjną**. Oto fragment wstępu: „W toku wstępnej rozmowy zebrani doszli do przekonania, że nie łączy ich wykrystalizowana wspólnota poglądów, gotowi są jednak **do wyłonienia zespołu, komitetu samorządowego, który na zasadzie równych praw umożliwi każdemu uczestnikowi zaprezentowanie się od jak najlepszej strony!**”

Czy nie przypomina Ci to fragmentu manifestu Wspólności?

Przystąpiłeś do grupy sytuacyjnej i czy, w związku z tym, powinienem Cię oskarżać o „bezgłos”?

Można pisać sensownie, bez *ideologicznych* oskarżeń nowej poezji. Tekst Jasia Sochonia jest tu dobrym przykładem. Nie znaczy to, że się z jego decyzjami w pełni zgadzam, o nie. Ale to, że podjął się przeczytania wierszy autorów, o których pisze, to wielka zaleta jego rozmyślań. To świadczy o wysokiej **etyczności** jego krytyki. Jego rozważania, nakierowane na język w nowej, poezji są bardzo sensowne i chyba dające się potwierdzić w lekturze ostatnio ukazujących się tomików.

Jeszcze raz, Staszku: W twoim tekście nie ma ani kawałka wiersza, cytatu poetyckiego pokazującego ten nasz *bezgłos*. Ale, po co zajmować głowę wierszami?

23 listopada 1981

O godzinie 18.25 urodziła się moja córka.

Nie ma jeszcze imienia. Mamy pomysły, ale jeszcze nie podjęliśmy ostatecznej decyzji. Na pewno będą to imiona po naszych rodzicach.

Urodziła się w Szpitalu przy ulicy Świerczewskiego w Gdańsku. Poród był znośny, jak twierdzi Lisa.

Aby nas wspomóc zaraz przyjechała moja mama. Nie prosiłem jej o to, robi to z własnej inicjatywy, przywiózł ją ojciec.

Lisa i ja debiutujemy w roli rodziców noworodka. Jestem nieźle zakręcony, a co dopiero Lisa. Ale pierożki pieluchy dzielnie. Pomagają nam też Radkowie - Krystyna i Marek, mają już podrośniętą córkę.

Marek jest malarzem, synem sopockiego malarza, który już nie żyje. Malarstwo ojca jest dziwaczne, ale Marek maluje pogodnie. Choć ironicznie.

Czytam Benjamin Spocka, *Baby and child care*, ponoć najlepszy poradnik dla rodziców w fazie wychowywania niemowląt. Mam już pediatrę dla córeczki, a dodatkowo zabezpieczona jest przez zaprzyjaźnionego z nami internistę, Zbyszka Rywelskiego.

Damy sobie radę.

Sybilka. Nasz córka będzie nosić imiona: Sybil, Janina.

17 grudnia 1981

W groteskowych warunkach stanu wojennego ożeniłem się dzisiaj z Lisą, czyli z Elisabeth Susan Storie (urodzoną w Cincinnati 1960 roku). Świadkiem był Marek Radke (malarz). Ubrani byliśmy zgoła nieślubnie. Lisa w dżinsach a ja w pożyczonej od Arka Kajzera czarnej welurowej marynarce.

Ślub odbył się w przyspieszonym trybie, bo jednak bardzo się boimy stanu wojennego. Trzeba było napisać prośbę do Urzędu o przyspieszenie. Lisa, ledwie po porodzie, nie miała w co się ubrać, ja zresztą też. Wszystko odbywało się w tak szybkim tempie, że nawet nie mieliśmy drugiego świadka, ostatecznie zaofiarował się nim być pracownik Urzędu Stanu Cywilnego. Uroczystość weselna... No cóż, była niezwykle skromna, a jaka miała być, gdy w drugim pokoju krzyczy 3 tygodniowa córeczka. Lisa po porodzie osłabiona, a wokoło w mieście strach, horror i chaos, który nazywa się stanem wojennym.

Część 2. Mamy STAN WOJENNY

16 grudnia 1981

Bałem się, ale rozniosłem ulotki. Część ich sam przepisałem. Co za ironia, przepisywanie na maszynie to teraz czyn heroiczny, patriotyczny!

Co mam powiedzieć? Boję się. Strach. Lęk. Przekraczanie jednego i drugiego. Bać się i ocalać. To jest to, co można i chyba trzeba czynić codziennie. Bać się mądrze. Każde kolejne uderzenie drzwi windy musi budzić lęk, ale nie może przerwać wewnętrznego spokoju, który jestem winien mojemu dziecku, przewijając i zmieniając pieluchy.

Trzeba się bać, a jednocześnie podejmować decyzje zgodne z „godnością pokojową”. Bać się, a jednak iść do Stoczni, na pocztę, pojechać do Gdańska po zakupy, itd.

Czy przyjdą, czy zastukają butami w podłogę, a potem w drzwi? Otworzę. Oni pytają, a ja odpowiem. Że ja, to ja. Prawie jak Jahwe powiem o sobie, że ja, to ja. Może się dowiem, że w imię prawa muszę (kropka).

Boję się. Ale wciąż wiem, że złamać człowieka, to nie taka prosta sprawa.

Żołnierze, milicja, czołgi. Godzina milicyjna. Czarne gazety, Czarne sądy. Stan wojenny. To wszystko w zasięgu oczu, uszu i myśli.

Prawdopodobnie Bożena Ptak internowana. Do Borusewicza strzelano. Fac uciekł ze Stoczni w trakcie interwencji ZOMO. Rulewski zbiegł z hotelu Heweliusz. PAN wyprowadzony z akademii. Andrzej G. (rozmawiałem z nim parę tygodni temu) zamknięty. Żołnierz w czołgu, podobny do Irka, męża mojej siostry, Ilony.

Rodzice przed ogłoszeniem stanu wojennego przyjechali do mnie na Zaspę. W niedzielę 13-ego natychmiast wyjechali. Gwałtownie. Spakowali się w parę minut. Co im się przypomniało?

Ich sprawność ucieczki była imponująca, to pokolenie II wojny światowej, widać, że ewakuację mają w genach.

Nie wiem z kim jest ta WOJNA?

A po jakiej ja jestem stronie?

Lisa? Lisa to osoba, która, pomimo wielkiego lęku i poczucia niebezpieczeństwa, jest TU. Ze mną. Ona boi się, że ją zabiją. Choć może uciec od tego „hałaganu” (to jej słowo określające bałagan i hałas), bo ma paszport amerykański. Na razie obywateli amerykańskich władza stanu wojennego nie rusza.

Ponoć Bożenie P. rozrąbali drzwi, ale sąsiedzi nie pozwolili jej aresztować. A jednak następnego dnia przepadła... uciekła, schowała się, czy jednak ją dorwali?

Błady z emocji żołnierz uśmiecha się. Co chce mi powiedzieć? Nie wiem. Samoloty nad Gdańskiem. Słychać jadące czołgi. Jadą skoty. Jadą bojowe formacje. To jest wojna, naprawdę? Gazy łzawiące czuć w całym Gdańsku, na szczęście na Zaspę (i na moje 10 piętro) nie docierają.

Sybilka ma nowe wypryski na buzi. Uczę się ją przewijać. Kocham ją. Jesteśmy wszyscy w domu, w domu! Sybilka, Lisa, ja. Czy długo?

17.XII.1981

Kopalnia Wujek – siedmiu zabitych górników i wielu pobitych. Wczoraj w Gdańsku poturbowano 350 osób. Centrum zadymione. W urzędach ludzie płaczą. Ulice pozamykane. Śnieg. Dużo śniegu. Mróz. Komunikacja działa na wyrwyki.

Godzina 14.00, Wrzeszcz. Ekipa ratownicza naprawia neon Loterii Państwowej. Ważna sprawa.

Listy i paczki roznoszą żołnierze.

A jednak strzelają! Słychać detonacje. Nad Gdańskiem ciemno, wyłączyli światło, trwają aresztowania. Bożena się odnalazła. Wolna Europa i BBC wydają się niedoinformowane.

Telewizja Polska: „*Próbowal* organizować strajk...”, czytać trzeba tam BYŁ strajk. Jak wiele jest tych strajkujących miast i zakładów? Cała opozycja demokratyczna aresztowana. Dobierają się też do pisarzy.

Kończy się jedzenie. Nie robiliśmy zapasów, a teraz, praktycznie, pustki w lodówce i kuchni. Mamy trochę kartofli, mąki kukurydzianej (dzięki zapobiegliwości mojej amerykańskiej żony, która lubi wypieki kukurydziane), ze dwa kilogramy. Jest też pół kostki margaryny.

Jutro trzeba coś zdobyć (słowa charakterystyczne dla naszych czasów to „zdobyc”, „załatwić”, nie „kupić”, bo to słowo zostało niemal wyparte z codziennego słownika).

W trybie przyspieszonym wziąłem ślub z Lisą. Sybilka jest teraz zupełnie moja. Ma też moje nazwisko.

W USC nastrój prawdziwie wojenny. Śluby przyspieszone, bez krawatów, gali i radosnej swobody. Ale za to urzędniczka bardzo serdeczna. Dobrze rozumie stan emocjonalny i duchowy swoich petentów. Pani zastępca miała łzy w oczach, gdy wreszcie udało się nam stanąć na ślubnym kobiercu. Teraz wojna nas nie rozdzieli. Drugi świadek był z urzędu. Fotograf też.

Godzina milicyjna od 20.00. W TV rupiecie z filmoteki archiwalnej.

Przez miasto ciągnie ciężka kolumna pojazdów. Słyszę to, a raczej czuję, bo drży cały dom.

To wszystko jest jak rodzaj *déjà-vu*. Jesienią pojechaliśmy do Krakowa, gdzie Lisa miała pozałatwiać swoje sprawy na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wtedy bardzo silne były pogłoski o wejściu Rosjan do Polski. Wieczorem pojechaliśmy na stare miasto, bo chcieliśmy coś zjeść na Rynku i nagle nas zamurowało: wołało, wszędzie stały wojskowe pojazdy, czołgi, samochody ciężarowe z przyczepionymi do nich działami. Zesztywniałem na chwilę. Lisa zbladła, co było widać nawet w wieczornym świetle. Przyjrzałem się jednak dokładnie i zobaczyłem, że na pojazdach są swastyki... I olśniło mnie, to sceneria do filmu. I tak było.

Teraz , gdy widzę te skoty, budy, a nawet czołgi, żałuję, że nie jest to film...

Dzień szósty

To nie koszmarny sen.

Ten sam głos spikerki mówiącej jeszcze parę dni temu o odnowie, dzisiaj, z takim samym spokojem, mówi o aresztowaniach. A ci przystojni młodzi lektorzy Dziennika Telewizyjnego nagle w wojskowych mundurach.

Upodlenie ludzi z dnia na dzień wzrasta. W gazetach oświadczenia regionalnych przywódców Solidarności o - „lojalności wobec władzy stanu wojennego” i prawa (no, chyba raczej bezprawia).

Cały dzień straciłem na poszukiwaniu choinki na Boże Narodzenie, a też chleba. Udało się zdobyć chleb. I za to dziękować trzeba szczęściu, bo chyba nie władzy. Korespondencja dochodzi, ale listów nie wkłada się do skrzynek, tylko rzuca się na skrzynki lub obok, a to oznacza, że listonosze nie pracują. Mam nadzieję, że moje przesyłki nie giną pomimo tego bałaganu.

Dzisiaj, w sobotę, nastroje trochę przycichły, ale w poniedziałek na nowo wszystko wybuchnie. Gdańsku nie stoi, chyba tylko Rafineria. Stocznie, zajęte przez wojsko i milicję, nie będą pracowały, zgodnie z dekretem wojennym, do świąt. Nie sprzedaje się alkoholu. Ale też niewiele można kupić czegokolwiek, są buraki, marchew, czasami jabłka (po 70 zł za kilogram), to jednak nie nowość, przed Stanem Wojennym też było cienko w sklepach.

Do redakcji „Punktu” przyszła paczka ze stemplem „Nie podlega ocenzeniu”. A zatem są obszary życia, których WRON nie kontroluje, albo po prostu się nie boi i lekceważy.

Lecz o zabitych w kopalni Wujek w oficjalnych mediach ani mru-mru. Ludzie za to są jacyś jakby lepsi. Jak to w biedzie. Mówią sobie dziękuję, proszę, dzień dobry, znacząco się uśmiechają.

Na święta większość rodzin będzie rozdzielona. Jako taką wolność poruszania się po kraju mają tylko ludzie po sześćdzie-

siątym roku życia. I jest to podobno akt dobrej woli WRON. Godzina milicyjna od dzisiaj od 23.00 do 6.00, ale nie w Gdańsku, u nas wciąż od 20.00. Co to znaczy? Tak mało wiem, choć nie jestem odcięty od ludzi, ale ludzie mało wiedzą. A nawet ci, którzy zawsze byli dobrze poinformowani, jak Milena M., która daje mi ulotki do roznoszenia, nic nie wiedzą w samej rzeczy. Rozgłoszenie zachodnie też nie grzeszą nadmiarem wiedzy, a już zupełnie o realiach codziennego życia. Kanały komunikacyjne z Polski zostały skutecznie przymknięte. Mam na myśli te nieoficjalne, z drugiego obiegu.

Zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego, w poniedziałek, byłem w Stocznii z nadzieją, że zobaczę siłę, moc i zdeterminowanie. Nic z tego. W pomieszczeniach biurowych niewielu ludzi, w ogóle na terenie Stocznii nie ma tłoku. Nie powtórzył się fenomen bram i sali BHP z sierpnia 1980 roku. Teraz wszyscy pogubieni, żadnej organizacji ani żadnych prężnych przywódców. No tak, przecież większość internowana. To też zupełnie nie przypomina Grudnia 1970 roku, a przynajmniej tego w Szczecinie, gdzie wtedy mieszkałem.

Wczoraj byłem na manifestacji pod Komendą Wojewódzką MO i Prokuraturą. Nie stałem długo, ale w tym czasie przyjechało kilkadziesiąt samochodów, z których wyprowadzono co najmniej kilkuset młodych ludzi. Aresztantów odprowadza milicja z długą bronią. W tramwaju ktoś powiedział, że to są wyłapani młodzi stoczniojcy.

To dzieje się naprawdę.

Ludzie podejmują samoobronne inicjatywy. Tworzy się listy aresztowanych, porównuje doniesienia z innych stron Polski. Widać chęć dokonania oceny z jak wielkim wydarzeniem mamy do czynienia.

Jutro niedziela, dzień przyczajenia się obu stron.

Niedziela, 20 XII 1981

Zasnąłem nad ranem i spałem do 15.00. Nie chciałem się obudzić.

Wieczorem słucham radia. Głos Ameryki informował o wysadzeniu wejścia do jednej z kopalń. W wersji TASS grupa ekstremistów

z Solidarności trzyma siłą ponad 1000 górników (ciekawe, czy to czytać, że tylu strajkuje w kopalni, kopalniach?).

Jutro pojedę do Gdańska (kolejki kursują). Po Zaspie w czasie godzin milicyjnych można chodzić bez przeszkód, ani śladu patroli. W miejskich „sypialniach” nie kontroluje się ulic.

Poniedziałek

Wszyscy jesteśmy chorzy. Gorączkujemy, kichamy, kaszлемy. Na szczęście to tylko przeziębienie, nawet nie grypa. Rano wstaję i wyruszam zdobyć coś do jedzenia.

Dzisiaj mieliśmy kolegium „Punktu”. Miny raczej niewyraźne. Postanowiliśmy pracować, składać numer, nie zmieniać planów. Czy dadzą nam funkcjonować dalej?

W mieście zrobiło się trochę mniej gęsto. Prawie nie widać wojska, a też niewiele jest milicji. Nastrój grozy jednak wisi. W okolicy dworca w Gdańsku nie sposób przejść bez płaczu, w powietrzu wciąż czuć gaz łzawiący.

Ambasador Spasowski „dokonał dezercji”. Ciekawe, co to znaczy? Nie miałem czasu posłuchać Wolnej Europy, BBC albo Głosu Ameryki. Dementowano też sprawę kopalni Ziemowit.

A w ogóle to jest „coraz lepiej”: Wałęsa „ma świetne warunki internowania”, a jeśli będziemy (my, tzn. społeczeństwo) zdyscyplinowani, to i stan wojenny będzie znośniejszy, przyjaciele z Niemieckiej Republiki Demokratycznej wysłali nam pomoc żywnościową, a ze Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich idą odżywki dla niemowląt.

Ale, jak na razie, po 20.00 musimy siedzieć w domach, a na święta kupić sobie marchew, buraki i kiszoną kapustę, cukru nie ma, mąki nie ma, owoców nie ma... itd.

Jak sobie dają radę rodzice w Krępie? Może właśnie na wsi jest nieco bardziej znośnie, bo mają trochę swojego. Wierzę, że tak jest.

Intensywnie odwiedzają nas okoliczni znajomi, ale i też ci nieco dalsi. Rośnie histeria i zmęczenie. Nadal nie ma listów (żołnierze

przestali je roznosić) ani paczek. Telegramów nie można wysyłać. Międzydzielcowe telefony wyłączone (są głuche). Miejscowe na podsłuchu. Plotki i doniesienia mieszają się w jeden pełen grozy szepc: Małcużyński internowany, Kulikow przyjechał i powiedział, rodziny internowanych represjonowane, do XY wyłamano drzwi i zostawiono w domu samą pięcioletnią córkę, podobno utworzono obozy dla internowanych w zaprzyjaźnionych krajach, Rafinera padła (w sobotę!). Kontrwywiad Solidarności działa... I w tym pełnym grozy szepcie trzeba żyć z dnia na dzień.

Ta machina jest perfekcyjnie zorganizowana. A my mamy coraz mniej sił. Dzisiaj, po dwóch godzinach stania w kolejce, udało się kupić ćwiartkę śmietany dla mojej domowej wegetarianki, czyli Lisy. Choinki na święta nie będzie, bo nie ma.

NIE MA, to też ulubiony/nieulubiony zwrot Polaków w obecnej sytuacji.

Nie mam też żadnych wiadomości od rodziców, Ilonki i innych moich spoza Gdańska. Jak oni znoszą brak informacji o mnie i ode mnie?

Święta! Święta! Tym razem każdy osobno. Bez choinki, bez świeczek na choince, bez sztucznych ogni, bez mięsa i pełnego stołu. Może będzie choć światło, bo jak na razie codziennie wieczorami są wyłączenia na 2-3 godziny.

Piszę ten dziennik z nienawiścią, bo intensywność, tych codziennych szykan budzi we mnie gwałtowne emocje.

Stan wojenny to stan trwały, dzień po dniu, godzina po godzinie, minuta po minucie. Trudno się od niego uwolnić. Naznacza wszystko. Nawet zdobywanie jedzenia – trzeba godzinami krążyć tramwajami lub autobusami po mieście, bo gdzieś podobno jest coś do kupienia, albo coś „rzucili”.

Nieliczni mają samochody, np. Adzik, i to pomaga w codzienności, ale przecież benzyna też prawie nie do zdobycia.

Wszędzie smród gazów. Słysząc eksplozje. Lisa prawie w ogóle nie wychodzi z domu. Porusza się na osi dwóch mieszkań znajomych na Zaspie.

Ale pędzimy bimber! Okazało się, że to wcale nie takie trudne. Rysiek Duszyński, stoczniowiec, mnie nauczył.

W Polskim Radiu gadają tak, jak pokazują w telewizji: polityka, propaganda, polityka, propaganda, kłamstwa, kombinowanie, ogłupianie. Rozgłośnie zachodnie wciąż niewiele wiedzą. Podobno sporo protestów we Francji.

Udało mi się kupić pierwszy tom *Transgresji*,

to seria antropologiczna pod redakcją Marii Janion. W książce mnóstwo znajomych i świetnych autorów. Głównie związanych z konwersatoriami i seminariami Marii Janion na UG. Jest też mój wiersz *Pełni róż obłędu*. Dobre towarzystwo, jestem obok Fromma, duma mnie rozpiera!

Gdy przeglądałem książkę, udało mi się przez chwilę wyrwać z tego napięcia, które mnie zżera od iluś już dni. Książka jest kapitalna, ma świetne ilustracje (dobierał je Staszek Rosiek). On zawsze miał zamiłowanie do różnych ikonograficznych form wypowiedzi. Chyba nie planował być polonistą, pamiętam, gdy poznałem go w 1974 roku na WSN w Oliwie, był niespełnionym kandydatem na plastyka, ale też teatrologa (rozmawialiśmy sporo o Peterze Brooku). Ciekawe, czy seria *Transgresje* wytrzyma próbę historii i czasu, czy nadal będzie się ukazywać? Raczej czarno to widzę.

Tom pierwszy *Transgresji* jest po prostu wspaniały, ale teraz konkurencją intelektualną jest „Trybuna Ludu”, „Żołnierz Wolności” (uuu!). Nawet Konopnickiej krasnoludki są wybitnymi intelektualistami.

Sybilka skończyła dzisiaj cztery tygodnie. Ma niezły wjazd w życie! Uśmiecha się coraz częściej, reaguje na tembr i ton głosu. A mnie aż zatyka ze strachu, jaki byłbym bezradny, gdyby zachorowała, albo Lisa straciła pokarm. Groza. Trzeba teraz modlić się za polskie dzieci i to całym sercem. Potrzebują wsparcia losu.

Jestem zmęczony. W ciągu dnia nie ma czasu na normalne życie. Wieczorami pranie pieluch (w resztkach proszku *Cypisek*, lub po prostu gotowanie w mydlinach), gotowanie, kombinowanie

na następny dzień. Kapuśniak, kartoflanka, ziemniaki gotowane, ziemniaki smażone, kluski lane, kluski ziemniaczane. O! będzie jajecznica, zupa pomidorowa z makaronem, zupa pomidorowa z ryżem, kasza manna, kasza gryczana, placki ziemniaczane, racuchy z dżemem, z miodem (sztucznym), ogórkowa. Z zapasów Lisy będzie ciasto kukurydziane, a też marchewkowe.

Zaspa nocą wygląda jak bezludne, opuszczone miasto. Ciemne okna. Nic nie jeździ po ulicach, ani śladu przechodniów. Całun śniegu pokrywa wszystkie nieliczne ślady ludzkich kroków. Cały czas śnieży. Jest pięknie! I tak będzie do rana. Do końca godziny milicyjnej. Chyba, że... ktoś, wbrew porządkowi, na przekór i bez celu, postanowi podeptać ten biały żałobny welon.

Gdańsk 27.XII. 1981

Ich słowa

Jeśli nawet umieramy,
jeśli głodujemy,
jeśli nocą nasłuchujemy,
czy przychodzą wyważyć nam serca?
Jeśli nawet biją nas.

Jeśli przychodzą i rozbijają nam drzwi,
jeśli ich twarze przykryte są pleksiglasem,
jeśli nawet mają bardzo ostre kule,
jeśli nawet są one przeciwko nam.

Jeśli nawet widzimy ich uśmiech,
nawet jeśli są panami naszych ciał,
jeśli boją się bardziej niż my,
jeśli nawet już nas zabili.

To nie mają nic ponad
puste słowa.

I rozumieją już, że nie ma nic straszniejszego
niż te właśnie ich
puste słowa.

Minęły dwa tygodnie tej nocy. Naszej polskiej wojny.

Dostałem wreszcie informację od rodziców. Wysłali telegram, ale im zwrócono. Telegram o treści bardzo niebezpiecznej „Dojechalimy do domu bez kłopotów”.

Informację, list przywiózł brat ojca, wujek, który ma ponad 65 lat i tylko tacy starzy ludzie mogą podróżować po kraju. Rodzice spędzili Wigilię i Boże Narodzenie absolutnie sami. Po raz pierwszy w życiu. Musiało to być bardzo smutne i przejmujące przeżycie, sami w domu na skraju lasu, naokoło śnieg, szczekania psów, w telewizji jazgot kłamstwa, odcięcie od wszelkich wiarygodnych informacji. Raz na pięć godzin słysząc przejeżdżający pociąg... A może ktoś dojedzie?

Im wolno poruszać się w granicach gminy. Do Wałcza mogą pojechać. Ojciec na pewno słucha Wolnej Europy, ale tam tyle wysłucha, ile ja tutaj, a więc niewiele.

Od przedświątecznych dni na ulicach pojawiły się watahy ZOMO, milicji i wojska – w patrolach, po wiele osób. Wcześniej byli tylko w strategicznych punktach miast. Teraz są wszędzie. Chłopcy mają dobre humory i raczej nie boją się nikogo, a na pewno nie polskiego ludu.

Musiałem pójść na komisariat milicji (szukałem kontaktu z pogotowiem grzewczym, a telefony wciąż nie działają, kaloryfery u nas nie grzeją dobrze już od 9 dni), najbliższy posterunek jest przy ulicy Białej.

Widziałem tam scenę, której nie zapomnę nigdy. Wszedł jakiś zdeterminowany człowiek i prosił o rozmowę z komendantem komisariatu. Reakcja zebranych milicjantów jak z dobrego filmu okupacyjnego: najpierw rechot, potem: „wpierdol nie dostałeś jeszcze?” A potem podetknięto facetowi pałą pod brodę i zepchnięto do kąta. Lali pałami, kopali, wyzywali. Chwile potem wzięli go do sąsiedniego pokoju i już tylko słyszałem, słyszałem, słyszałem... Choć nie chciałem tego słyszeć.

Z komisariatu chciałem uciec natychmiast, kląć, że jestem durniem, pchając się w paszczę zła, pomiędzy nakręconych nienawiścią ludzi. Ale stałem się grzecznutki, i, o dziwo, to zadziałało,

połączyli mnie z pogotowiem hydrauliczno-grzewczym. Sybilka ma teraz ciepło.

Nie dostałem ani jednego listu napisanego w czasie stanu wojennego. Ograniczając ruch pocztowy trafili we wrażliwy punkt.

Ostatnio zasłyszany ponury dowcip: „Nie będzie kłopotów opałowych, w Polsce, rośnie wydobyte górników węgla kamiennego.”

Tymczasem nic nie wiadomo o akcji w Ziemowicie. Stoczniom przesunięto czas wznowienia pracy do 4 stycznia – „z powodów organizacyjnych i braku materiałów”.

Poniedziałek 28. XII, 1981

Obrazek z ulicy: idzie grupa 15-18 milicjanto-zomo-ormo-wojskowych. Nagle słysząc: „z drogi!!!” Zaskoczeni funkcjonariusze rozstępują się nieco stropieni, ale jeden z nich bystro się odzywa: „kultura wymaga, aby powiedzieć przepraszam”. Przechodzień, nie oglądając się nawet, odpowiada: „tylko do Polaków mówię przepraszam”. Gość mi zaimponował.

Wreszcie grzeją w kaloryferach bez przerw.

Od jutra nie mamy pieniędzy. Liczę, że może jakieś zaległe honorarium wpadnie.

Poszerzono nam wolność. Od teraz możemy wysyłać telegramy. Oczywiście, ocenzurowane, ale tylko pomiędzy miastami wojewódzkimi. Zastanawiam się skąd to ograniczenie, może nie mają dość cenzorów w małych i mniejszych miejscowościach.

W Piaście górnicy wyszli z kopalni.

Pierwsze wyroki sądowe (nie tylko cywilne, ale i wojskowe) za organizację strajków (od 6 miesięcy do kilku lat).

„USA doprowadziły Polskę do kryzysu, ale tylko kraje socjalistyczne nam pomagają”. Jakiś komentarz?

Coś wybuchło dzisiaj w Gdańsku, słysząc było aż we Wrzeszczu i na Zaspie.

Wielka radość, przyszedł list do Lisy z USA z pieczętką „Nie ocenizowano”. A jednak kogoś się boją. Leczą ta pieczętka... skąd tyle kurtuazji?

Boli mnie żołądek, Lisa wciąż ma pokarm. Sybilka zasypia tylko przy dźwięku odkurzacza. Mało płacze, cudna dziewczynka.

PS. W radiu: „przyszły paczki z Bułgarii w ramach pomocy zaprzyjaźnionemu społeczeństwu”. Wyc tylko.

11 grudnia

Zostałem oficjalnie (etatowo, wcześniej miałem umowy-zleczenia) zatrudniony w Wydawnictwie Morskim, w redakcji „Punktu”, bo do teraz moja praca w piśmie była na zasadzie zlecenia-umowy. Dostałem nawet legitymację (nr. 22). Przyda się, bo dotychczas byłem „niebieskim ptakiem”, a to w naszej ojczyźnie ludowej bardzo podejrzany status, co milicja nie raz okazywała mi podczas moich miejskich peregrynacji. Poważnie jednak: cieszę się, że wzmocnił się mój status redaktora w „Punkcie”. Choć przecież wiem, że to jest raczej łabędzi śpiew tej redakcji i powinienem docenić, że Mazurkiewicz dał mi to formalne wsparcie.

Grudzień, ostatni dzień roku 1981. Zimno

Ale w domach pełen zapal sylwestrowy. Każdy jakoś chce zorganizować parę wesołych chwil.

Z jedzeniem krucho, ale sytuacja alkoholowa została przez smutne społeczeństwo opanowana. Okazało się, że zapasy cukru w domach są przepastne, a to oznacza, że pędzimy, pędzimy, pędzimy..., a właściwie bardzo, bardzo powoli, kropła za kropelką. Na ulicach, gdy idzie się bliżej domów, zapach bimbru dociera tu i tam.

Przeżyłem komiczną chwilę grozy. Próbowałem zeszłej nocy swoich wyrobów... zrobiłem się wesoły i gościnny. I w tym bimbrowidzie, nagle, bez wyraźnego powodu, otworzyłem szeroko drzwi na korytarz, wołając: „proszę, proszę, może koledzy z ZOMO chcą też się napić?”

Głupie i straszne, bo rzeczywiście za drzwiami stało trzech mundurowych chłopaków. Na szczęście to byli żołnierze. Bardzo się zmieszali i szybko odeszli. A ja wytrzeźwiałem.

2 stycznia 1982

WRON-a dała nam na Sylwestra wolność. Zawieszono, (ale nie odwołano) na tę noc godzinę milicyjną.

Parę dni później

Ich przewaga jest taka, że są nie tylko profesjonalnymi żołnierzami, ale również mentalnymi. Potrafią zabijać. Zdecydowali kiedyś, że może będzie trzeba zabijać. To jest ich przewaga.

My, cywile tego nie potrafimy, niezależnie od tego, jak wielka jest nasza racja i wściekłość. Byłem zaskoczony, a może nawet lekko rozczarowany brakiem czynnego oporu ludzi. Teraz rozumiem, że taka była zbiorowa decyzja, lub może lepiej powiedzieć mądrość, taki jest duch tego społeczeństwa – pokojowy. Niektórzy mówią, że to nasza słowiańska cecha wzięła górę, skłonność do pokojowych rozwiązań. Ja jednak myślę, że ta „mądrość”, to po prostu wyciągnięcie właściwych wniosków z historii, nie tylko obecnej, najnowszej, ale też i starszej, nawet powstaniowej.

Walka z silniejszym przeciwnikiem musi być dobrze przygotowana, a taktyka i strategia dopasowana precyzyjnie do warunków. Inaczej dochodzi do rzezi, klęski i dramatu.

Z czym mamy iść na zomowców i wojsko? Ze sztchetami, gwoździami, kamieniami? Podobno były przygotowane do wersji aktywnego oporu w niektórych co bardziej ostrych zakładach pracy, ale, na szczęście, nie doszło do walk. Wystarczy ofiar w Wujku, wystarczy, ofiar na ulicach, komisariatach... Przyjdzie właściwy czas i znajdą się właściwe środki, aby odkręcić ten ślepy zaulek historii.

Nie rozumiałem logiki biernego oporu (ja, niby zawodowy humanista) i jego wysokiego moralnego sensu: „nie można na zło odpowiadać złem. Za żadną cenę nie wolno używać broni Złego”.

Przypominają mi się, z całą jaskrawością, dylematy polskiego romantyzmu i ... wampiryzmu.

Cierpienia Wallenroda i Konrada osuwały ich w zło, a potem w piekło. Rozmawialiśmy o tym w „Punkcie”, w numerze 13 albo 14. Próbowałem tam przesunąć sens wampiryzmu poza kategorię moralną. Dzisiaj bym tego nie uczynił. Polskie społeczeństwo wie, czego chce. Wie, czego nie chce. Nie chce być przedmiotem polityki, chce być podmiotem. Nie chce być instrumentem ideologii, frazeologii... Nie chce być sowieckie, *radzieckie* (nawet jeśli w jakimś stopniu mentalnie zostało zsowietyzowane).

Nie chce być zachodnie w takich przejawach jak terroryzm, anarchizm, lewackość, ale też skrajna prawicowość. Polskie społeczeństwo miota się w swojej naiwnej moralności, pomiędzy miałą i groteskową codziennością, a histeryczną (a niekiedy heroiczną) intensywną potrzebą wolności. Za wolność wszystko!

W historii (np. sarmackiej, źle się to skończyło), dlatego tym razem wolność? ...tak, ale nie za cenę sprzeniewierzenia się podstawowym wartościom.

8 stycznia 1982

A oto inny wojenny obrazek rodzajowy: Sylwester. Noc. Trzech facetów po zażyciu wojennego bimbru. Jeden doktor medycyny, drugi poeta, trzeci sędzia sądu wojewódzkiego. Pierwszy rozrywa guziki przy płaszczu, by wydobyć puszkę, postanowił coś namalować na ścianie klatki schodowej wielkiego bloku (oczywiście to „coś” to sprzeciw), drugi wyciąga pędzel, trzeci chichocze: „oj, oj, w mojej klatce, w mojej klatce?”

Akcja się kończy. Dnia następnego okazuje się, malowali lakierem b e z b a r n y m.

Jest w tej grotesce nauka, może nawet spora, by nie powiedzieć wielka.

Ale.

Jestem osobą „uchylającą się od pracy” (wszak w PRL nie ma bezrobotnych), bo właśnie zlikwidowano mi „Punkt”, pismo, w którym pracowałem. Już nie pracuję. Nie byłem długo *robotny*. Zawieszono działalność wielu innych pism i gazet. W tym też trójmiejski „Czas”.

„Punkt” został bardzo źle oceniony przez tzw. *czynniki* i WRONE za numer 12, będący swoistą i pierwszą monografią

Sierpnia 1980. A już wręcz do wściekłości doprowadził towarzyszy wiersz (z 14 numeru) Antka Pawlaka o Dzierżyńskim, który „lubił las, bo tyle tam drzew do wieszania.”

Nie odmówię sobie przyjemności zacytowania wiersza w całości (mam nadzieję, Antku, że nie masz nic przeciwko?):

Antoni Pawlak

Feliks Dzierżyński chce wyjechać na wieś

Zostawić za sobą Moskwę
choć na chwilę, z dala od
głodu, akt, komisarzy
i pocących się od strachu wrogów
zanurzyć się w ciszy
położyć dłoń na głowie syna
wyciągnąć się na mchu
powiedzieć spójrz Jaśku
jak tu pięknie
jak tu cicho
ile tu drzew
do wieszania

Prawda jest taka, że prowadząc w „Punkcie” dział poezji, byłem mało odpowiedzialny i zadecydowałem o wydrukowaniu tego wiersza. Nie spisałem się! Czyli sprawiedliwość jest: było przestępstwo, jest kara.

Mariusz Wilk jest na wolności, ale na wszelki wypadek, co noc śpi gdzie indziej. Ukrywa się też Heniu Szabała, filozof z UG. Zygmunta Matrackiego wzięli do wojska i teraz podobno musi chodzić z patrolami ORMO i ZOMO.

Wciąż można znaleźć ulotki w różnych dziwnych miejscach. Przetrwało też sporo napisów na murach i publicznych ścianach, niektóre jeszcze z czasów sierpniowych strajków, ale też te późniejsze.

Większość jednak zamalowano, a jeden z nich na wejściu do tunelu na Zaspie „KOR – Żydzi” trwa nienaruszony. Hmm.

.9 stycznia 1982

Dostałem od Joli przesyłkę, a w paczce nowojorska reedycja „Punktu” i „Przegląd”, a i woda kolońska „Wild Savage”. Jest też list wraz dziesięcioma dolarami. Oj, przydadzą się. Mleko formula, puszka dla Sybilki jest w peweksie po dolarze. Będzie na 10 puszek.

Przesyłka Joli wzruszyła mnie, coś zostało z tych dawnych czasów, gdy mieliśmy po nieco więcej niż dwadzieścia lat i byliśmy bez pamięci zakochani w sobie.

Wszystko trzeba upolować. Nawet kartki na dają gwarancji, że coś uda się zdobyć. Trzeba krążyć po mieście, sprawdzać różne miejsca. Wracam z jabłkami, to sukces. Wracam z jajkami, to jeszcze większy sukces. Mięso trafia się z kartek też od czasu do czasu i w pewnym sensie nie jest z tym źle, bo Lisa jest wegetarianką, a więc trzy kartki mięsne mamy na dwie osoby. Ale myślę, że bez porządnej pełnowartościowej dostawy białka dla organizmu, Lisa długo nie pociągnie.

Trzymając nas przy życiu niewielkie zasoby dolarów Lisy otrzymywane w kwartalnych transzach (a przelicznik jest piorunujący, więc bywa, że jesteśmy jak wielkie paniska i stać nas na to, o czym inni tylko mogą pomarzyć (np. dobrą, czerwoną Sangrię z Pewexu).

A tymczasem nasze dzieci tutaj uśmiechają się, ziewają, są głodne, niecierpliwe, zadowolone i wcale nie chcą brać poprawki w swym życiu na stan wojenny.

Nasze dzieci

One

nasze dzieci,

dziś bezradne potomstwa krew z krwi naszej ponad

naszą krew

powstaną z dzieciństwa

silne i okrutne.

I pójdą

Pójdą nasze kości,

przemaszerują nasze potomstwa

przez noc krwi i gwałtu i przemocy,
staną się stałą i pociskiem i słowem.;;
I umrą w marszu i w trwodze
I pozostawiają

dzieci swoje,
krew z krwi ponad naszą krew,
które wstaną z dzieciństwa.
I staną się stałą i pociskiem
I będą ocalone
naszym słowem,
potem i znojem
codziennym uporem

15 stycznia 1982

Stałem w oknie patrząc na czerwone dachy Wrzeszcza i odległe dźwigi Stocznii. Karmiłem mewy i zauważyłem, że te ptaki już nie krzyczą, tylko kraczą.

Kra, kra..

Znowu poszerzono wolność, można odpiąć jeden guzik więcej w płaszczu, można też wysłać telegram, jeśli masz zaświadczenie, że umierasz.

Tradycyjnie już frontami utarczek ulicznych są okolice kościoła św. Brygidy, Targ Drzewny i Węglowy, dworzec kolejowy.

Miastem pędzą a to kolumny czołgów, a to wielkie budy pełne ZOMO, a też nowej formacji ORMO (z tego, co mi wiadomo, w mundury quasi milicyjne wsadzają żołnierzy).

Gonia, legitymują a czasami od razu biją. Kra, kra...

Zmęczenie. Zmęczenie, ot, co bije z ludzkich twarzy. Nie wiemy jak długo można znosić to bezprawie, zakłamanie i głupotę. Głupotę chyba najtrudniej. Głupotę propagandy telewizyjnej najbardziej. Czy oni naprawdę uważają, że jesteśmy tak naiwni, by wierzyć, że gospodarka została zniszczona przez Stany Zjednoczone i zachodnie kraje? I że pomogą nam tylko Rosjanie, Energowcy i Bułgarzy.

Wyczerpujące są te wymysły organizacyjne, jak np. kartki. Najpierw były tylko kartki na mięso. Ale można było je realizować tylko w wybranym sklepie. Potem to zmieniono i mogłeś kupować gdzie chcesz i kiedy chcesz, potem kazano nam rejestrować kartki na wykup konkretnego dnia (czasami i godzinę) i trzeba było wykupić wszystko z miesięcznego przydziału na raz, teraz nadal pozostawiono rejestrację, ale wykupić kartki trzeba w dniu rejestracji. Kra, kra..

Sybilka ma już 4 kilogramy i jest zdrowa.

To wszystko skończy się bardzo źle. W co się przerodzi to żmudne ucieranie ludzi na miazgę? Poza mordęgą codzienną coraz trudniej znosić ciągle zniewagi i obrazy aparatu wojennego.

Dzieci dostają w enerdowskich paczkach suchary, zużytą odzież, bzdety i bibeloty. Mamy obiecaną pomoc z Rumunii i Libii. Groteska.

Przedstawiciele rządu oświadczają, że nie boją się głodu. Czy chcą nam powiedzieć, że mają jakiś plan dla społeczeństwa, czy raczej, że dla nich jedzenia starczy?

Mówią, że rośnie produkcja, ciekawe jak to możliwe skoro tyle zakładów było pozamykanych po wprowadzeniu stanu wojennego.

Ceny wciąż rosną. Nawet telewizja jakaś taka cherlawa. Propaganda bez ognia. Dzienniki krótkie, coraz krótsze, filmy stare i starsze.

Dzieci na podwórkach bawią się w gazy łzawiące. Życie towarzyskie wypełnia się w domach, prywatnych mieszkaniach, tam dyskusję są gorące i ostre. Z tego, co mi wiadomo, moi koledzy pisarze są sparaliżowani i nic nie piszą. Aktywność ludzka wypala się na woli przetrwania. Często fizycznego przetrwania.

18 stycznia 1982

Jak wiele incypitów tego dziennika i ten rozpoczyna się podobnie i rozwija w linię skargi? Ale chcę być też ironiczny, bo dobra

ironia dodaje nam sił, a pragnę wierzyć, że siły odbiera im.

Żyjemy w świecie szaleńców: Hitlerów, Breżniewów, Jaru-zelskich. Wszyscy oni rozumują podobnie: „to my lepiej wiemy, a nie oni, lud nasz. My ich nauczymy, bo wiemy, jaka jest racja, a jest po naszej stronie. I w imię tej racji mamy prawo zrobić wszystko. Jesteśmy przedstawicielami narodu, który nas wybiera i kocha. Zmusimy ich do przyjęcia tego, co jest dla nich dobre, nawet, gdy tak nie uważają.”

To jest trochę sytuacja ze szpitala psychiatrycznego, z jednej strony mądry (i silny) doktor, a z drugiej pacjent (głupi albo wariat). Tylko, że jak powiedział Samuel Coleridge: „To, co w polityce zaczyna się lękiem, kończy się szaleństwem”. Bywa, że szaleństwem mordowania, bywa, że niesprawiedliwością, okrucieństwem, wszechobecnym świństwem i przemocą.

A Polska cała może już być takim szpitalem psychiatrycznym.

Jechałem dzisiaj z Markiem Radke jego zastawą i niespodziewanie wpadliśmy w łapankę. Nagle wszędzie budy milicyjne, skoty z oznaczeniami MO, ale też wojskowe z oznaczeniem LWP, mnóstwo żołnierzy i zomowców. Jakaś większa akcja. Kogoś ewidentnie szukali. Sprawdzali wszystkich, dokładnie bagażniki i wnętrza samochodów. A my mieliśmy bibułę, niewiele tego, ale jednak.

Podszedł do nas funkcjonariusz i pyta groźnie, co mamy, a następnie, nie czekając na odpowiedź, każe otwierać bagażnik. Marek błady otwiera, a zomowiec wybucha śmiechem. Wieźliśmy z tyłu duże lustro. Ono nas uratowało ...

Kilometr dalej, już na Zaspie, całkowity spokój, ani śladu pa-troli. A my trochę śmieszni, trochę mokrzy.

20 stycznia 1982

Jeszcze jedna sytuacja (opowiedziana, bo nie mogłem być przy tym).

Rzecz dzieje się w szkole podstawowej, klasy szóste i siód-me. „No dzieci, teraz czasy są trudne, ale musimy w nich żyć.

I właśnie, dlatego teraz ważne jest abyście oglądali Dziennik Telewizyjny. Wasi rodzice nie zawsze wszystko *rozumieją* właściwie i wy musicie pomóc w zrozumieniu obecnej sytuacji. Sklepy są puste, ale przecież wiecie, że dzieci mają lepiej, a nie gorzej, że w jednych domach jest dużo rzeczy, a w innych mniej. Mówcie o tym. A sklepy będą pełniejsze...” Oto fragment pogadanki pedagoga w mundurze wojskowym w ramach projektu „Debata o stanie wojennym”.

23 stycznia 1982

Jutro sobota. Wolna sobota. Choć teraz w moim przypadku to ironicznie brzmi, bo przecież nie mam pracy. Ale fakt, że cały dzień jestem zabiegany.

Ta wolna sobota będzie wolna od biegania po mieście. Będzie rodzinna. Będzie mieszczańska, spokojna i pełna nadziei. Będą rodzinne rozmowy, zabawy z dzieckiem, słuchanie muzyki, obiad, a nawet podwieczorek ze słodyczami, bo trwać teraz, to nie tylko nie dać się zgnieść przemocy, wojsku i milicji, WRON-ie, to przede wszystkim niezgoda na zabicie podstawowych wartości, odruchów, takich jak rodzinność, kultura i uczciwość. To codzienne ocalanie przed zmęczeniem. Bo właśnie zmęczenie jest naszym największym wrogiem i sojusznikiem stanu wojennego. Nie strach, nie lęk, nie zagrożenia. Zmęczenie to sprzymierzeniec tych, którzy wprowadzili nam tu wojnę.

Dlatego tak znaczące są wysiłki ocalające nasze poczucie osobności, wyłączności, a takie poczucie można odzyskiwać tylko w rodzinie, przy książce, własnej pracy umysłowej, w miłości, codziennym, godnym, życiu domowym.

Tu u nas, w nowym Zaścianku Centrum Świata,

wszystkie teorie socjologiczne, utopie społeczne, mętne ideologie biorą w łeb. Tu w Polsce kończy się obłąkane dziedzictwo dwudziestego wieku i jego komunistyczna utopia. Pozostają tylko nagie pytania.

Nie można się zatem dziwić, że wracamy do rodziny, do kościoła, do metafizyki, bo tylko tam trwają kategoryczne wartości, wciąż w miarę jeszcze oczywiste. Prawdziwe.

Wszystko poza jest dekadencją, albo groteską, albo snem pełnym generałów – wizjonerów, obłąkanych kontrrewolucjonistów, durnych charyzmatyków, neurotyków.

Słyszałem dzisiaj komentarz zachodniej rozgłośni na temat zarzutów, jakie stawia się Polskiemu Kościołowi, że politykuje, że jest kunktatorski i zbyt ostrożny. Komentator, broniący postawy Kościoła, argumentował, że ma on w odwodzie potężny ruch: pielgrzymkę do Częstochowy. Że niby, co? Miliony ruszą pielgrzymką przeciwko stanowi wojennemu? Naiwność.

Zachód niewiele rozumie, zresztą i my nie wszystko rozumiemy. Ale świat zachodni nie pojmuje jednej rzeczy na pewno: przemocy. Bo przemoc rozumie w pełni tylko ten, którego ta przemoc dotyczy. Ten ból bez odczuwania go jest niezrozumiały.

Przemocy należy się bać i przeciwdziałać w porę, bo gdy już jest, paraliżuje. Przemoc jest milcząca, zatem nie bardzo można się z nią dogadać. A na dodatek ta niemowa jest głucha.

Słyszałem, że ma być kolejna fala aresztowań. W Gdańsku do 190 osób. Są już podobno listy proskrypcyjne. Mówi się, że chodzi o „drugi garnitur” solidarnościowych działaczy. Ludzi kultury mają oszczędzać, chcą ich przekonywać do współpracy.

Łatwo na nas wpływać, większość redakcji nie pracuje, pisma polikwidowane, wydawnictwa uśpione.

Z telewizji gdańskiej odpadło 12 osób. To dużo, albo mało, zależy jak na spojrzeć. Bo tylko 12 osób nie zyskało akceptacji WRONY? Bo aż 12 osób wywalono pracy?

Radosne wiadomości!

Odwiedził nas kolega mojej siostry ze Szczecina. Agata ma się dobrze, choć brak pieniędzy i jedzenia coraz bardziej zagląda im w oczy. Michał już chodzi.

Nie mam wiadomości od młodszej siostry, Ilony.

Ja daję sobie radę psychicznie tylko dlatego, że mam Sybilkę i Lisę. Ta pierwsza coraz większa i wciąż pogodna. Lisa zaskakująco mądra, choć pewnie więcej czuje niż rozumie. Ale jak Amerykanka ma rozumieć rzeczywistość takiego kraju jak Polska, a tym

bardziej stan wojenny. Marshall Law? Jest takie pojęcie w języku angielskim, ale tu jest rzeczywistość.

Ta młoda kobieta, moja Lisa, jest niesamowita w tym, jak daje sobie radę z tym tak obcym jej porządkiem, z tym jej „hałaganiem”. Gdy przyjechała do mnie z Cincinnati nie mogła wiedzieć na jakie naraża się niebezpieczeństwa. Będę wdzięczny za jej dzielność i opiekę nad naszym dzieckiem do końca życia.

Na Zaspie nowy napis: „Wrona orła nie pokona”. Marek Radke namalował świetny obraz: Na granicznej barierce w paski biało-czerwone siedzi czarna wrona i łypie ironicznym okiem na widza. Wszystko utrzymane w ciemnych, czerwono-granatowo-czarnych barwach.

Śniło mi się, że kradłem. Ciekawe, co to oznacza?

Czas mi się wyślizguje.

Zaskakuje mnie, że minęły już prawie dwa miesiące, bo czas wydłuża się niemiłosiernie. Chwilami zapominam, co było wczoraj. Co myślałem? Co robiłem? Piszę, więc dziennik trochę w akcie mnemotechnicznym, choć wcale nie jestem pewny, czy warto ten czas zapamiętywać.

Boję się, że zapominam rzeczy istotne, że nie będę już tym kimś sprzed wojny. Z pewnością zagubiła mi się ta, tak hodowana przez mnie, naiwność. Już nie napiszę tak wolnego od rzeczywistości wiersza, jak pisałem przed wojną. Czy w ogóle jeszcze będę pisał wiersze?

25 stycznia 1982

Na zdjęciu oficjalna zgoda WRONY na mój wyjazd z Gdańska do Szczecina.

27 stycznia 1982

Jutro jadę Szczecina. Mama w szpitalu, ma mieć pilnie operację. Krytyczne zwężenie tętnicy w okolicy biodra.



Telegram o konieczności wykonania operacji dostałem w sobotę, ale pojechać będę mógł dopiero w środę, bo i na wyjazd nawet w takich okolicznościach jest wymagana zgoda reżimu, miejscowych władz stanu wojennego.

Podróż była koszmarna, bo gdy dojechałem kolejką do Gdyni, gdzie miałem pociąg do Szczecina, to okazało się, że się spóźniłem i muszę jechać następnym, który będzie za 8 godzin. Niestety, była już godzina milicyjna, i nie mogłem wrócić do domu (wolno mi być poza domem w godzinach milicyjnych pod warunkiem, że mam aktualny bilet i jestem na dworcu), musiałem poczekać do rana na dworcu w Gdyni. A potem jeszcze prawie 10 godzin jazdy do Szczecina.

Dojechałem ledwie żywy ze zmęczenia.

Powtarzam datę, bo data bardzo smutna, 27 stycznia 1982. Dzisiaj Sejm zaakceptował stan wojenny.

A byli tacy, którzy wierzyli, że Sejm nie przyjmie tej uchwały.

Jutro ostatnie kolegium „Punktu”, wiem, że ostatnie, mimo że niby jest tylko zawieszony. Koniec fikcji. Koniec pisma. Koniec planów.

Ocet kosztuje 43 złote.
Deska do prasowania 1700.
Galaretki owocowe 17 zł.
Telewizor kolorowy 120 tysięcy.

10 lutego 1982

Mamy ponownie godzinę milicyjną od 20.00. Gdy byłem w szpitalu u mojej mamy w Szczecinie, w Gdańsku doszło do dużej manifestacji ulicznej. Mówiono o 5, 10 tysiącach ludzi, głównie młodych i studentach.



Lisa Storie-Joachim i nasza „wojenna córka”, Sybilka

Gdańsk jest traktowany szczególnie. Szczególnie ostro.

Akcja zapalania świeczek w oknach udaje się bardzo. Wi-
działem jak w nieomal wszystkich oknach bloków na Zaspie
paliły się ogniki świec.

15 luty 1982

Lisa ma zapalenie piersi. Koniec pokarmu dla Sybilki.

Mniejsze racje żywności na kartkach, wieloletnie wyroki.
Znajomi się ukrywają.

Nie mam czasu dla siebie. Powrót do *normalności*: godzina mi-
licyjna trwa już *tylko* 7 godzin, można telefonować (ale rozmowy
zaczynają się komunikatem, że są kontrolowane (cenzurowane).
Ta wolność telefonowania to wielka ulga, można się wreszcie
komunikować, a to, co niecenzuralne, zawsze łatwo ukryć lub
zaszyfrować. Na ulicach po trzech miesiącach nie ma już czoł-
gów. Tylko zomowcy wszędzie. Obserwują. Obserwują, czy te
„poluźnienia” ludowi nie uderzyły do głowy.

18 luty 1982

Czas pustoszy wszystko i wszystkich. Najbardziej dotyczy to
naszych umysłów.

Stan wojenny bierze w panowanie nasze myśli i sposób myśle-
nia. To, co nienormalne, wydaje nam się zwykłe. To, co zwykłe,
jest nienormalne. Drobne zmiany w reżimie wojennym traktujemy
jak wielkie zdobycze wolności i ulgę. Za chwilę gotowi będziemy
chwalić WRON-ę za to, że taka *ludzka*, że tylko bije, a nie zabija.
Że tylko trochę głodujemy.

Najboleśniejsze zwycięstwa Rzymu to te w nas, w naszych
duszach, wnętrzach.

Zaczynam pisać. Może będzie to tom poświęcony właśnie
stanowi wojennemu, *Naszej wojnie*. To nic, że chwilami zajmo-
wanie się zadaniami humanistycznymi, pisarskimi, wydaje się
nieomal śmieszne i komiczne... ale to jest moja najcichsza i naj-
bardziej osobista wojna z reżimem.

To prawda, że wiele tych humanistycznych idei i zagadnień,
przemyśleń, nabiera pewnej jednokierunkowości, jednokoloro-

wości, a obszarem specjalnie wyróżniającym staje się interpretacja wspólnotowych przeżyć. Coraz mocniej akcentują się społeczne wymiary problemów.

Poezja parnasistowska, akademicka, estetyczna, itd. staje się błaha. Wiem, że tak nie powinno być, że sztuka nie może być tylko w służbie idei społecznej. Czytam moje przedwojenne wiersze, są dla mnie dzisiaj nieistotne. Mam nadzieję, że tylko dzisiaj, że wróci Światło, które zatoneło w mroku stanu wojennego. Jest jednak pewien łącznik pomiędzy czasem przed i obecnie, wojennym.

Wtedy i dzisiaj czuję, że najistotniejszy jest pojedynczy człowiek, każdy z nas w swojej komórce istnienia, w swoich miłościach i lękach.

Napisałem niewiele wierszy. Przebija z nich doraźność. Nie jestem zadowolony. Wiersze może zyskują na dramatyczności, ale tracą na głębi. Czuję, że mój oddech jest zbyt szybki i płytki.

Wygląda na to, że jestem historycznie heroiczny historycznie!

Trzy dni temu w TV wystąpił Krzysztof Gąsiorowski.

Poruszyło mnie to i zareplikowałem (nieco chaotycznie) wierszem

Niesprawiedliwa czy odcięta ręka Cendrarsa

Nie ma mądrości

Sprawiedliwszej od niesprawiedliwości

Najbardziej zawile ścieżki myśli

Nie zwrócą ręki Cendrarsowi

Nawet samotność mędrca

Nie usprawiedliwia jego wobec ludzi obojętności

Gruzy Imperium Rzymskiego

Uczą tylko, że przemoc, wszelka przemoc

Wiedzie do upadku

Znaleziony po latach hełm

Odśłania puste
Wnętrze przemocy

Chyłkiem malowane nocą hasła
Rano już zamalowane jednolitą farbą
Wciąż znaczą
Świat ociemniałych nigdy
Nie może tłumaczyć świata oślepiionych
Racji nie wytłumaczy się
Prawem spadania jabłka Newtona

A ręka Cendrarsa,
gdy dotknąć ją czule
nie niesprawiedliwa jest
ale odcięta

1 marzec 1982

Trudno zrozumieć miasto nocą, gdy spoglądam ze swojego dziesiątego piętra na lśniące wilgocią dachy Wrzeszcza, pulsują spokojem. Tak jakby nie było na ulicach tych ponurych mundurowych patroli.

Mówią tym samym językiem co ty, ale jakże są inni ze swoimi pałami i karabinami. I bezwolnością.

Ogarniam czułością wspomnienie miasta, lokalnych pijaczków, prostytutki i dziwaków. Teraz tam chyba nie potrzebujące przepustek tylko psy i koty. Zazdroszczę im. Nie ma mojego słodkiego miasta, nie ma dancingu Pod Kominkiem, Wariatki z Wrzeszcza, Pani Isi, która ma zawsze otwartą metę z Żołądkową Gorzką.

Już nie jesteś moim miastem?
Jesteś już tylko kupą kamieni?

Gdzie się włóczy Jan Ledóchowski, Arek Kajzer, Olek Jurewicz, Oskarek od Grassa, duch Schopenhauera?

Kaszubki nie wyruszą dzisiaj na targ.

Miastu założono na przeguby rąk kajdanki. Godzina milicyjna jest.

Oskar śpi. Nie krzyczy. Szyby nie pękają w pancernych oknach pojazdów. Dlaczego nie wybucha poranek, dlaczego wybuchają kamienie?

Może tylko śnić?

Kamienne miasto

Zamknięto kamieniom usta,
zamknięto ustom kamienie,
ukamienowano otwarte usta.

Wykluto roślinom oczy,
wykluto rośliny oczom,
wyrwany wzrok pustką patrzy.

Związano rzeczom ręce,
związano rękom rzeczy,
choćby te rzeczy to miłości gesty.

Zapchano uszy piaskom,
zapchano piaskiem uszy,
zasypały się nasze czasy.

Ubrano ciszę w czapkę,
czapkę ubrano w ciszę,
lecz kto tam krzyczy?

Zabrano wodę powodzi,
zabrano ludzi ludziom,
zabrano czasy czasom.

A wiersz wciąż się pisze,
a w nocy wciąż budzimy się z krzykiem,
a rano spokojnie dopisujemy nową cyfrę.

8 marca 1982

Wiadomość z ostatniej chwili - jak podaje Polskie Radio,

Przywódca Republiki Kongo, Generał wyraził poparcie dla dziejowej misji Generała Jaruzelskiego.

Uff.

26 marca 1982

Muszę załatwić wizy i Lisie, i Sybilce, bo się już kończą.

Zmarła babcia, mama mojej mamy. Smutna okazja do spotkania, ale radosna, bo pierwszy raz w stanie wojennym spotykam się tak szeroko z całą rodziną. A więc trzeba smutku, aby była radość?

Wracalem samochodem przez Bydgoszcz. Trzy razy zatrzymywano nas na zaporach drogowych obsadzonych przez wojsko. Chłopcy pachnieli (słowo raczej nieadekwatne, ale niech będzie) wódką i mieli sporo wigoru, ale w sumie życzliwi, choć zasugerowano mi, że podobny jestem do poszukiwanego Lisa i obejrzało moje dokumenty dokładnie.

W Warszawie życie podziemne wrze. Ale nie tutaj. To miasto zostało ogłuszone. Czasami tylko ludność się budzi i zjawia pod kościołem w kilkadziesiąt tysięcy, ale to raczej tylko wielkie manifestacje obecności, a nie jakieś aktywne protesty.

Sennie czasami tylko spada „z nieba” deszcz ulotek, albo zaszleszczą pod stopami w korytarzach publicznych budynków.

Kolejki w sklepach krótsze, bo nie ma pieniędzy. Ogórki po czterysta, sałata 25 zł za sztukę, Fromage 50g, 36 zł, chudy twaróg 65 zł, rzeszowska 350 zł, kawa po 3500, piwo 25 zł, gorzałka 380 za pół litra. Radio, które kosztowało 16 tysięcy, teraz już jest za dwa razy tyle (a radia są pożądane bardziej niż telewizory, toż to nasze okna, chyba lepiej powiedzieć ucho na świat).

Tak, jest coraz lepiej, a przynajmniej tak napisano w gazecie za 10 zł.

Zmęczenie Heroda

Nie ma czułości dla dzieciątek,
gdy Herod w imię Rzymu
zarządza porządek.

Na nic utajone moralne kajania kata,
gdy ojciec naucza, że dla ocalenia innych
musi zabić brata.

Na nic ten stalowy porządek
pojazdów, suk, czołgów,
gdy i tak zwycięża szeptany obrządek.

Jest czas, jest
niedostępne dno oka,
jest nikomu niepojęta wolność snu
pokazująca pozorność założonego pęta.
I jest śmiertelne zmęczenie
wstającego od stołu Heroda

31 marca 1982

Bezgłos

Z miesiąca na miesiąc żyjemy, choć zniewoleni.
Z ciała do ciała przekazujemy zmęczenie,
z rąk do rąk podajemy nieme uściski nadziei,
od upadku do upadku wstajemy coraz pewniejsi.

Od goryczy do goryczy buntowniczo śmiejemy się na głos.
Od słowa do słowa piszemy optymistyczne wiersze,
od milczenia do milczenia głośno wykrzykujemy niezgodę.
Między nami a nimi coraz pewniejsza klęska.

Tylko upiór niewoli – racja stalowej obręczy na gardłach
zamyka się sama w zaklętym kole obłędu,
w uporze oszalałej z pragnienia władzy,
nie od do, ale w ciągłym rozpaczliwym staczaniu

na pochyłej równi, na której końcu stoi twarda ściana
Niemoty, ślepej na dyktatora próby rozmowy,
któremu nawet oko lufy rewolweru wymierzonego we
własne usta
jest ślepe, bezżrenicze i bezgłośnie uchyla się od strzału.

Komentarz:

Rozpocząłem ten zapis od wiersza, bo szukałem jakiegoś wspólnego mianownika dla obu stron. Bo jest wspólny mianownik. I tamta strona może go widzi, albo dopiero zobaczy. Mianownikiem obu stron jest godność, uczciwość i czystość serca.

Życie teraz stale miesza banał codzienności i patos, wielkie sprawy z małymi, wiersze ze sklepami mięsnymi, krzyk z szepczeniem. To chyba nie tylko moja perspektywa. Nie ma co jej zmieniać, jest właściwa dzisiaj.

Przyzwyczajam się do tego. Przyzwyczajam się do siebie. Chwilami tandetnie patetycznego, niespodziewanie statusiałego.

Dziecko i wojna. Miłość i głód. Bimber i los. Strach i pragmatyzm. Akceptuję te skrajności egzystencji, bo tylko tak mogę być efektywny, skuteczny i bronić SWOJEGO, czyli mojego dziecka, żony, siebie. Stan wojenny postawił mnie w sytuacji pojedynku: Oni – ja. Muszę wygrać.

A ta wojna coraz bardziej jest wyblakła, nedorobiona.

Zło w każdym momencie można wyłączyć,
ale póki co, nie wyłączają. I upadlają nas. Odbierają, lub próbują odbierać godność. Chcą nas poniżyć. Ich słudzy, ZOMO, milicja, wojsko, działacze partyjni i dziennikarze.

Ci ostatni są jak diabły niskiego szczebla, małe, złe cwaniaki z chytrymi pyszczkami. Ale, niestety, gryzą. Skąd te pomioty wyłażą, gdy tylko pojawi zapotrzebowanie na podłość i kręactwo? Każda zdrada, każde kłamstwo pokaże, że są na to chętni dziennikarze mętni (wyszedł tandetny rym, ale oni, ci z tej propagandowej klikki na taki zasługują).

Zło jest jednak planowane przez innych.

Ci, którzy wymyślili nam kontrolę korespondencji, telefonów, ograniczenia w komunikacji telegraficznej, konieczność ubiegania się o zgodę na wykonanie podstawowych czynności życiowych, ci są prawdziwymi Sługami Zła. Myślę, że oni nawet cierpią, że cierpią nawet teraz, ale będą cierpieć jeszcze bardziej.

A nasze poczucie godności będzie wzrastać.

Kiedy pytam po raz kolejny, co to jest za wojna, to wiem, że w mniejszym stopniu operacja militarna, i polityczna, a bardziej batalia o panowanie - z jednej strony, a z drugiej - o godność.

To prawda, że WRON-a zorganizowała stan wojenny, ale wojnę wypowiedzieliśmy my, bo my musimy bronić naszego sensu życia, lub sensów życia, gdy im zagrażają nieudacznicy stanu wojennego.

Wojna z 13 grudnia już się zakończyła. Teraz trwa walka i wojna przeciwko okupantowi, najeźdźcy naszych dusz i zaborcy naszego poczucia godności..

Wojny już nie ma (II)

Wojna jeszcze trwa

Nie, wojny już nie ma,
trzeba tylko spostrzec gruzy pośród blag,
trzeba zobaczyć w czasie, który
jeszcze stary obraz trzyma,
kruszące ramy i zwiędłe tło.

Trzeba zobaczyć krach
pięści, która nie ducha w szponach trzyma
i w ślepym tańcu uderzeń
- jak papierowy ogień – kona.

Wojny już nie ma,
choć trwają jeszcze defilady.
Trzeba tylko usłyszeć
zdławiony szept pośród krzyku
I podłości zdrady.

Trzeba podnieść głowę,
oderwać wzrok od wizerunku wroga,
trzeba spojrzeć na ręce swoje i cudze,
jak szybko zawiązują się w życia wieńce

Nie, wojny już nie ma,
trzeba tylko spostrzec na tanku

rdzę i na mundurze pleśń
i zacząć normalnie żyć,
i przechodzić pomimo wojennego porządku

19 kwietnia 1982

Przez dwa dni nie było godziny policyjnej (a tfu: milicyjnej).

Uczciłem to i pojechałem taksówką do Anki Czekanowicz. Okazało się jednak, że źle policzyłem czas, gdy dojechałem, już było po „odpuście” i znowu była godzina milicyjna.

Ale wypilem herbatę. Porozmawiałem i wziąłem od niej sul-faguanidynę i ruszyłem z powrotem. Brakowało mi Anki, brakuje mi innych weteranów naszego młodzieńczego życia literackiego. Anka świetnie mnie inspirowała do pisania wierszy. W końcu napisaliśmy wspólnie tom poetycki z motywami Androgyne, Mefistofelesa, ogólnie rzecz opisując, mocno modernistyczny.

Ostatecznie tytuł tego naszego tomu wierszy będzie brzmiał: *Pełni róż obłędu*. Tak zasugerowała profesor Maria Janion, a my się zgodziliśmy z jej sugestią. Nawiasem, to jest też jeden z tytułów mojego wiersza w zbiorze.

Drugą radością ostatnich dni była książka Faulknera, *Lights In August*. Wielka, pochłaniająca, lektura. Oderwała mnie od codzienności. Znowu mogłem zanurzyć się w istotność, bo rzeczywistość stanu wojennego na miano istotności słabo zasługuje.

Uderzył mnie ogromnie fragment... Otóż w pewnym momencie do jednego z bohaterów przychodzą obcy ludzie i proszą go, aby się przyznał za kogoś innego, obcego, do winy za zabójstwo. To jednak nie chrześcijańskość tego pomysłu mnie zachwyciła, a wręcz odwrotnie, to pogańska, grecka (?) wrażliwość na Fatum, na los i na absurd.

To mnie dotknęło tak (tak dotknęło, jak dotyka się palcem), że usłyszałem stan własnej duszy i umysłu.

Cały Faulkner opisuje bohaterów, a sięga do dusz czytelników. I tym razem palec Faulknera wlażył we mnie głęboko. Niestety, książka się skończyła. Umarła.

Znowu czuję mur swojego losu i bytu, a też ciała. Ale i niezależność własnej duszy, jej niepodległość.

Zmysły mnie denerwują.

Nie mogę nad nimi zapanować. Śmierdzi mi wojną naokoło, jakaś egzema wojenna gryzie delikatnie skórę na brzuchu, błony śluzowe szeleszczą, kąciki ust uciekają jeszcze bardziej w kąt. Ręka pisze ten dziennik, ale jej nie kontroluję za bardzo. Co chwilę chce odbić od wersu, od linii, wyrazu.

Ta gra ciała i umysłu wymęcza.

Jestem głodny, ale jeszcze bardziej chciałbym dobrej herbaty.

26 kwietnia 1982

Jest cholernie zimna noc. Lisa i Sybilka śpią. Parę dni temu mieliśmy atrakcje i radość, bo nadawała niezależna rozgłośnia radiowa. Krótka, bo krótka, ale nadawała.

W Gdańsku w Stoczni cichy strajk. Ludzie chodzą z wpiętymi w klapy opornikami.

Cicho, cicho, aż huczy w głowie.

Kończy mi się ten notatnik.

Nie było jeszcze o miłości? Wiem niewiele, ale tego, że kochać warto, jestem pewny. Miłość to chyba najtrudniejszy, bo wyrafinowany, stan pożądania życia. Tak właśnie zawsze czułem miłość. Jako pożądanie życia. Kochać trzeba tak, aby nic nie wykluczać. Można namiętnie, można spokojnie, ale niewykluczająco. Inaczej nie mówimy o miłości, ale o egoizmie.

Tak kocham dzisiaj w tym świecie niepokoju stanu wojennego. To prawda, że jest to nieuporządkowane uczucie, nieco szalone.

Miłość do dziecka wiele porządkuje. Kocham Lisę i to bardzo, ale w tej miłości jest poszukiwanie, w miłości do Sybilki jest odnajdywanie.

Dziecko, jak nikt, uświadamia, że miłość to nie posiadanie. Uświadamia, że nieustannie jesteśmy na początku i na końcu życia.

Obecność Sybilki to trzymanie mnie w ryzach normalności.

Uciekliśmy z Gdańska z wielką radością - 20 czerwiec 1982, Krępa Krajeńska

No, to jestem w Krępie, to znaczy Lisa, Sybilka i ja.

Może nawet nie chodzi o Gdańsk, ale codzienną stresogenną

rzeczywistość, od codziennego bombardowania kłamstwem, głupstwem i ... grozą.

Mimo że jesteście już tu kilka dobrych dni, czuję się wciąż rozbity. Jem znowu codzienne tablety nasenne. Wstaję zły i zmęczony. Staram się wtopić w Krępe, w jej naturę, zajmując się drobnymi czynnościami gospodarczymi.

Czytam Zuckmayera, Krzysztonia (*Pannę radosną*), trochę zaglądam do wierszy (też swoich). Mało piszę. Pisanie dziennika to przełamywanie bezgłosu.

Z perspektywy kilku miesięcy wiem, że napisałem kilka ważnych i dobrych wierszy, leżą w zeszycie.

Wiem, że ukazał się wiersz/wiersze w Nowym Jorku, to działanie Joli. Niespodzianka, ucieszyłem się. Będę szukał drogi wysyłki do nowojorskiego „Dziennika”, ale to nie jest łatwe, bo sporo papieru. Poczta nie wysła. Cenzura czuwa.

Przyjechaliśmy do Krępy całą rodziną, nawet z kotem, który znakomicie się tutaj znalazł. Choć wcale nie od razu i długimi etapami. Gdy go wyjąłem z koszyka w domu rodziców miał wielkie i okrągłe oczy i przez chwilę stał na przykurczonych łapach, potem wolnym krokiem zaczął obchodzić pokój, potem drugi... Przez noc zdobył całe mieszkanie. Gdy w dzień odkrył, że za otwartymi całym dzień drzwiami jest wielki świat pełen dźwięków i ruchu, głównie siedział na schodkach, ale już następnego dnia zdobył pierwsze krzewy, ławki, przydomową altankę i zaczął się załatwiać poza domem. Tu ważna korekta, ten ON, ten kot, to kotka, to ONA, *Lisunia*, szylkretowa duża kocica z dzwonkiem na szyi. Po tygodniu ten On, kot, kotka Lisunia, śmigała po polu kartoflanym i ogrodzie. Zaczęły się pojawiać na schodach złowione polne myszki. Krępa została zdobyta.

Sybilka w wiejskim powietrzu bardzo dobrze się poczuła i nabrała apetytu. Lisa też jakby wygląda zdrowiej. Mnie zżera stres i wiadać to na mojej twarzy (nie wspomnę o żołądku). Dobrze się czuje tutaj, ale brakuje mi swojego miejsca, pokój na górze, który zwykle był mój, teraz zajmuje Sybilka. Ja nocami siedzę na dole.

W telewizji pokazują: wojnę falklandzką, Izrael, Libię, Iran, Irak.

Myślę, że ten wiersz, który poszedł w Nowym Jorku ma szerszy sens, niż tylko skojarzenie ze stanem wojennym.

Czytam *Motory*. I ponownie Witkacego.

wojna jeszcze trwa

Coraz częściej myślę o wyjeździe do Stanów Zjednoczonych. Nie chcę, aby Sybilka żyła w takich warunkach. Lisa też nie zrobiła niczego takiego, aby znosić paranoję stanu wojennego. A zatem może powinienem się zdecydować, przyjąć ofertę emigracji i pojechać na rok, albo dwa.

Szumi gotująca się woda na herbatę. Wziąłem dwa reladormy, na pewno zasnę. Jutro pojedę do Wałcza, kupię pół litra, chyba zasługujemy tutaj na kieliszek wódki. Mam kartki na nią.

Z Sybilką wciąż mam bardziej roślinny kontakt niż werbalny. Ale gdyby jej się coś stało, serce by mi pękło. Bardzo ją kocham, nieustannie się o nią boję. Czasami to lęk ponad siły i dlatego myślę o drugim dziecku, choć to nielogiczne.

Z tak małym dzieckiem kontakt jest podobny do kontaktu z kotem. Ona domaga się uwagi, cierpliwości, a sama niewiele daje w odpowiedzi. Choć daje swoim istnieniem więcej niż otrzymałem w całym swoim życiu.

Wczoraj napisałem dwa wiersze.

Sybilka kończy siedem miesięcy. Nowo napisanych wierszy nawet nie przeczytałem, niech sobie poleżą, niech się... uleżą.

Zobaczyłem dzisiaj oczy diabła.

Nie były straszne, ale świeciły zupełnie niehumanie. Czekają. Ja też. Potem znikły.

Czy ja je widziałem, czy zmyślam sobie? Nie wiem. Siedzę przy stole i piję wódkę, ale chyba za mało, bo wciąż nie obejmuję tego, co się zdarzyło.

Ciekaw jestem, czy Blake widział piekło? Czy tylko posługiwał się taką metaforą? Wymyślał? Czy kłamał?

Podobały mi się te oczy diabła. Może dlatego, że nie wyglądały groźnie. Nie boję się piekła, a jeśli jednak, to tylko gdyby życie w piekle nie było bardzo odległe od ziemskiego.

Od ziemskiego? Czy to oznacza, że życie na ziemi jest jakimś piekłem, czy piekło jest podobne do życia ziemskiego?

Dzisiaj zrobiłem Lisie RTG, nie ma zmian gruźliczych, ale jest „nieodporna” – nie wiem, co to ma oznaczać.

25 czerwiec 1982

Jutro jadę do Gdańska. Po kartki i pieniądze, bo przyszły honoraria (przedwojenne!). Chcę też побыć trochę w samotności, bo tylko tak odpoczywam. A samotności teraz mam stanowczo za mało, choć przyjmuję to z pokorą.

Przyjechała Ilonka z Irkiem. To poprawiło nastrój tutaj. Moja młodsza siostra to już zupełnie kobieta, choć brakuje jej „ukoronowania” małżeństwa. Ale czy to jest najlepszy czas dla niej na urodzenie dziecka?

Dostałem cudowny list od Marianny Bocian. To wspaniała i dość trudna poetka z Wrocławia. Kapitałnie łączy wszelkie wymiary czasu. Chora, zmęczona, ale myśli precyzyjnie i totalnie.

Dzisiaj piszę trochę z jej powodu, przez jej zaklinanie: „Pisz, pisz, z bólem, po trochę, ale pisz”. Ten imperatyw wydaje się dzisiaj bardzo ważny, bo jak ocalić od zapomnienia dzisiejsze czasy?

Marianna dołączyła też wiersz. Chciałbym się zrewanżować, ale jakim wierszem? Może tym, który jest jeszcze nie napisany?

26 czerwca, 1982, Krępa Krajeńska

Do Gdańska jednak dzisiaj nie pojechałem, pojadę jutro. Nie mogłem się zebrać i wsiąść do pociągu.

Siedzę teraz ze słuchawkami na uszach i słucham... ABBY, ciekawy wybór, bo zwykle słucham nieco bardziej skomplikowanej muzyki, niezależnie czy to rockowej, czy muzyki klasycznej.

Stan wojenny i Sybilka zmieniły mnie bardzo. Nie wszystko mi się podoba. Intensywność kontaktu z Sybilką stępiła we mnie kontakt z wymiarem ... kosmicznym. Wsiąłem w domowe i rodzinne sprawy i świat mi się zmniejszył. Nawet wymiar erotyczny jest mniej mocny, rzadziej się kochamy z Lisą.

Przyblakł we mnie ba-
chiczny instynkt. Nawet
upijam się na mniej wesoło,
i czynię to rzadziej. Kilka de-
finiujących mnie cech gdzieś
się pogubiło. A jednocześnie
pojawily się nowe cechy,
umiejętności, np. zaangażo-
wanie w obowiązki ojcow-
skie, rodzinne, domowe.
Odczuwam te zmiany jednak
jako zubożenie mojej osoby.



Kartki na benzynę. Życie kartkowe jest
bogate: mamy kartki na mięso, cukier,
alkohol, czekoladę, kawę, pieluchy, proszek
do prania, mydło toaletowe, itd., i czego tylko
sobie zażyczyć. Żyć nie umierać!

Tępieję. Łapie mnie inercja. Indolencja. A też nerwowość, którą
pamiętam z początku mojego pobytu w Gdańsku, w 1973 roku.
Tyle, że wtedy byłem szalonym młodzianem. Teraz może jestem
dobry. Lepszy (w sensie dobrego stosunku do innego człowieka).
To za mało.

Mam wrażenie, że odmówił mi pomocy i Diabeł i Bóg. Ten
pierwszy, czarny Anioł, był mi zawsze wierny, teraz lekceważy,
omija, nie zauważa. Ten drugi, choć czasami się pojawiał, to teraz
całkowicie się uhipostazował i istnieje we mnie tylko jako pewna
wiedza, jako pamięć. A ja potrzebuję z nimi bezpośrednich kon-
taktów.

Sybilka krzyczy, muszę iść.

1 września 1982, Gdańsk Za oknem słyszę strzelaninę.

Jest po północy. Przez cały dzień aż do tej chwili trwały mani-
festacje, a potem bójki uliczne. Były gazy i armatki wodne, pałki,
podpalenia i potężne detonacje (może salwy z armat czołgowych).
Aż do Zaspy dotarł smród gazów łzawiących, w domu musieliśmy
zamknąć okna, bo szczypało w oczy, chociaż mieszkamy na 10
piętrze.

Z loggi mamy widok na całą wschodnią część miasta. Od Sto-
gów do Wrzeszcza widać było rakiety i dymy. Podpalono kilka sa-
mochodów milicyjnych.

Jest chwila po północy, a właśnie znowu usłyszałem potężny
strzał. Na manifestacjach jest sporo ludzi. We Wrzeszczu ok. 17.00

było chyba z piętnaście tysięcy. W Gdańsku pewnie więcej. Tłum z Wrzeszcza jednak nie mógł połączyć się z manifestacją w Gdańsku, rozdzielał ich kordon ZOMO i milicji.

Byliśmy samochodem na Kartuskiej, zatrzymał nas wojskowy oddział i powiedziano nam, że dalej nie pojedziemy. Spytałem, co mam robić, przecież mieszkam w Gdańsku (znowu słysząc kilka strzałów), a w samochodzie mam 9 miesięczne dziecko? Żołnierz odpowiedział mi, niech pan spyta Jaruzelskiego, a nie mnie (chyba jednak nie był wielkim miłośnikiem generała). Zawróciliśmy i ruszyliśmy przez obwodnicę do Wrzeszcza i tak dojechaliśmy szczęśliwie do domu na Zaspie.

W telewizji akurat był Dziennik Telewizyjny. Przy hałasie strzałów i detonacji dowiedzieliśmy się, że „w Gdańsku mała grupka rozwydrzonych i nieodpowiedzialnych ekstremistów i elementów antyspołecznych próbowała, ale... ale już jest spokój, bo władze bezpieczeństwa uniemożliwiły rozwój tej prowokacji.. A w Stoczni zwodowano nowy statek dla armatora radzieckiego”.

Słuchaliśmy tego i śmialiśmy się serdecznie, a jednocześnie rozpaczliwie, bo byliśmy świadkami cynicznego kłamstwa - z jednej strony widzieliśmy kłamiącego telewizyjnego spikera, a z drugiej mieliśmy za oknem dymy nad miastem i strzały.

7 września

Do domu co chwilę ktoś wpadał i wypadał, wiadomo, z moich okien jest szeroka perspektywa na miasto. Był Olek Jurewicz, była Aldona Mrozowska i Radkowie, i Rywelscy.

Dawno nie widziałem tak napchanego sprzętem wojskowym i milicyjnym miasta. Skoty, armatki wodne, suki, tajniackie wozy - wszędzie, co krok i bardzo liczne. Aż trudno wyobrazić sobie, że z drugiej strony stają ludzie uzbrojeni tylko w odwagę, krzyki, flagi i ewentualnie kamienie.

Czułem wstyd.

Wstyd właśnie, bo przynależąc do tego narodu, do tego społeczeństwa, jestem odpowiedzialny w części za to, co czyni ta władza, na którą jakoś się zgadzaliśmy, z którą w jakimś stopniu się utożsamialiśmy i pozwoliliśmy im trwać w zakłamaniu, w niesprawiedliwości.

Pobyt w Krępie był odświeżający i regenerujący, ale terapeutyczna moc wyjazdu szybko przestała działać. Napisałem tam kilka wierszy, ale nie to było najważniejsze. To, co w Krępie było cudowne, to **ludzki** tryb życia, normalny, spojony z naturą, lasem, pogodą, rytmem dnia. Wiedzieliśmy, że jest stan wojenny, ale ptakom to nie przeszkadzało, krowy sąsiadów nadal domagały się, aby je wydoić, kury nie protestowały i znosiły jajka, a nad ranem słychać było godowe krzyki jeleni.

Z lasu nie wystąpiły uzbrojone w kły i wielkie pancerne rogi oddziały ZOMO, czyli **Zwierzęce Oddziały Milicji Opresyjnej**.

Słuchaliśmy z wyższością dzienników telewizyjnych, ale raczej nie całe i nie do końca uważnie

TU jest zupełnie inaczej - codziennie doświadczana przemoc, niema siła, bezradność, determinacja - każdy, jak może, pcha swój wózek do przodu. Wózek jest ciężki i czarny.

Ludzie w antykwariacie wyprzedają księgozbiory, bo bieda. Wyszło przy okazji, że przeciętny Polak nie ma wielkich oszczędności, ale też skąd je ma mieć? skoro od lat żyjemy w peerelewskim świecie. A właściwie trzeba powiedzieć - w **biednym i biedniejącym** społeczeństwie. Ciulanie kartek żywnościowych, pilnowanie dni, co, kiedy można wykupić, oto codzienność naszej wojny.

Zauważyłem, że żołnierze na ulicach są bardziej wściekli na Jaruzelskiego niż na tzw. ekstremistów.

Aldonka jakaś taka blada. Zbyszek Rywelski bez emocji. Spotykamy się w domach. W kupie rażniej? Bo ja wiem? Jesteśmy w kleszczach nastroju zagubienia. Nie w sensie, że tracimy orientację, gdzie jest racja, ale nie wiemy, jak żyć i jak ocalać nasze dzieci, rodziców, przyjaciół.

17 września 1982

Mój stół z książkami: Miłosz, *Ziemia Ulro* i *Dolina Issy*, *Odmięcy*, drugi tom *Transgresji*, Heine, *Motory* Zegadłowicza, Eliot (wiersze)... To pokazuje, jaki bałagan panuje w moich poszukiwaniach lekturowych.

Aha! Są jeszcze bibuły, zresztą niekoniecznie polityczne, bo

właśnie literackie. Mam pierwszy tom *Wezwania*, z kwietnia tego roku.

Poza tym próbuję czyścić i przepisywać własne wiersze ze stanu wojennego. Raczej nie wyłania się z tych papierów jakaś konsekwentna całość. Wyłania się rozpad świata!

Lektura *Wezwania* mną wstrząsnęła. Jakby wlała we mnie gorącą krew. Zachciało mi się ponownie pisać. Czytałem do samego rana.

Inną zupełnie lekturą są z rzadka otrzymywane listy.

Gdy przychodzą, zawsze czuję się nieco zaskoczony.

Korespondencja wymarła, bo kto chce pisać do cenzorów? Na wszystkie listy jednak natychmiast odpisuję, ale mam poczucie, że tym już nic nie zmienię.

Pamiętam czasy, gdy każdy list przyprawiał mnie o drżenie, bo kontakt przez list był nieomal dotykem. To minęło. Dzisiejsze listy przychodzą jakby z innej epoki, z epoki, gdy spełnialiśmy się intensywnie wewnątrznie. Teraz intensywność też nas dotyka gdy siedzimy w norach, dziuplach, enklawach. Przedtem to były wielkie podróże. Wyruszając, nikt nie myślał o zamknięciu drzwi, teraz właśnie zamykanie drzwi jest najważniejsze.

18 września 1982

Wpadam w obłąd.

19 września 1982

Prochy. Wewnętrzna dyscyplina, spokój za wszelką cenę. Codzienna praca i w taki sposób jakoś mogę przetrwać. Trochę się prostuję. Trochę lżej. Ale na jak długo? Jak długo można żyć w nawale nieokiełznanej wyobraźni? *WSZYSTKO JEST MOŻLIWE* - jakież to może być piękne, ale jakie to może być zabójcze i wyczerpujące.

Są rejony życia duchowo niedotykalne. Może to należy powiedzieć inaczej: Są rejony życia, które, jeśli się dotknie, powodują cierpienie i obłąd. Kto wchodzi w te ciemne rejony niech nie dziwi się, że traci kontrolę. Kto tam przekroczy ciemność zostaje nagro-



Jurek Drechsler i Zbigniew Żakiewicz, a w tle plakat fotograficzny Czesława Miłosza, który wisi na drzwiach w moim mieszkaniu na Dywizjonu.



Małgorzata Czermińska i Krystyna Chwin u mnie na Dywizjonu. Ciekawa jest ich mowa ciała. Obie są najwyraźniej zdystansowane wobec tego, czego nie widać na zdjęciu, ciekawe, co tam się dzieje?

dzony światłością, ale czy warto? Czy się podoła powrotowi?

Znajduję sens **nie**pisania - zwalnia się tempo destrukcji, dezintegracji, rozjątrzenia, powstrzymuje gangrenę.

Tak, nie pisać! To prawie nakaz chwili. Spróbuję się podporządkować. Aby działać substytutynnie będę tylko przepisowywał, poprawiał, korygował stare teksty. Zajęcia prawie jak gra w warcaby (nie



Od lewej - Selim Chazbijewicz, Arek Kajzer, Stanisław Esden-Tempski



Ludka Dziedzic, Waldek Chyliński, Zbigniew Joachimiak

szachy), nie pozostawiają wolnej wyobraźni, ale zajmują umysł, czysty umysł.

Przygotowuję się do wyjazdu. Należy to rozumieć jako pracę duchową, a nie praktyczną, bowiem nic praktycznego jeszcze

nie uczyniłem. Ale pokorny wobec własnych błędów zapewne wkrótce coś jednak uczynię.

Ostatnie dni mają jednak dla mnie pewien korzystny sens.

Działam, myślę w paradygmacie wariantowym. Idę, piszę, czynię tak, że wszystkie te działania mogę wykorzystać dla różnych celów i potrzeb.

Ale, czy czasem nie jest to oznaka rozchwiania (dezintegracji)? A kiedy przyjdzie integracja, Maestro Kępiński?

23 września 1982

Trochę pracuję.

Dzisiaj skończyłem przepisywanie malutkiej książeczki poetyckiej pod tytułem : *Nasza wojna* (13.XII.1981 - 18.IX.1982). Dla MBBLd, wysiłkiem autora, we wrześniu 1982.

Ostatecznie, czemu nie, mogę tu rozszyfrować dedykację: dla *My Best Beloved*.

Ten samizdat ma zaledwie 25 wierszy. Najpewniej nie oddaje całego czasu dni wojennych, ledwie to, co jest „czasem społecznym”. Mało w nich mojego „czasu osobistego”, a niby jestem poetą *prywatnościowym*, hmm.

Słyszę jednym uchem w radiu dziennik. Znowu wyroki: za wyrwanie płyty chodnikowej - 3 lata, za wzywanie do niepodporządkowywania się stanowi wojennemu - 4 lata. Uch!

listopad 1982,

Tuż przed moim wyjazdem do USA. U mnie w domu pożegnalne party. Było ogromnie dużo gości. Nawet nie spróbuję wymienić kilku, bo przez 24 godziny przewinęło się przez Dywizjonu 303, 5a/32 co najmniej 50 osób.

To, że ja byłem „nakręcony” to zrozumiałe, bo przede mną wielki skok dosłownie i w przenośni. Ale dlaczego goście byli też podekscytowani? Bo wszyscy czuliśmy jak ryzykowny jest ten wyjazd?

Wiele osób jest przekonanych, że to wyjazd na zawsze i na nic moje zaprzeczenia i zapewnienia, że wrócę, jak tylko będzie to możliwe (cokolwiek by to miało oznaczać).

Przybyło sporo osób, których nie widziałem od dłuższego cza-

su i niekoniecznie byłem z nimi w bliskich przyjacielskich związkach. Kilka osób powiedziało mi, że mój wyjazd, to nie tylko moja prywatna sprawa, bo będzie duża wyrwa w życiu środowiska, gdy zniknę. Miłe i wzruszające słowa.

Było dużo alkoholu, było dużo wzruszeń,
Dużo smutku.

Wyjeżdżam do Stanów Zjednoczonych.

Jakoś mnie nie boli status emigranta, bo wiem, że wrócę.

KONIEC TOMU 1

Tom II

Dziennik 1983-2025

Mój numer karty Social Security 269-80-0791.
To najważniejszy numer dla mnie na jakiś czas. Dzięki niemu jestem oficjalnym rezydentem w USA.

Mieszkam na bardzo spokojnej i cichej Chickasow Street w Cincinnati, w Ohio. Nasza trójka zajmuje 3 pokojowe mieszkanie, Sybilka ma sypialnię od ulicy, my, idąc amfiladą, w drugim pokoju w głębi, przed kuchnią i łazienką.

Niestety, nie mam pracy i dorabiam przy remontach domów. Wpadłem w pewnym sensie z deszczu pod rynną - w Polsce nie miałem pracy i tutaj nie mam, społecznie jednak straciłem. Bezrobotny emigrant! To nie brzmi dumnie.

Chociaż, jako przybysz z Polski ogarniętej stanem wojennym, spotykam się z dużą życzliwością i zainteresowaniem.

Oswajam się nie tylko z moją nową sytuacją społeczną, ale również otaczającym mnie materialnym światem. Uczę się, oczywiście, języka, ale też nazw dobrze znanych przedmiotów. Specyficznych nazw sklepów i innych niż w Polsce „brandów”.

Wszystko jest podobne, ale nieco inne. Od kranów, spłuczek, zatyczek i wtyczek, kontaktów, klamek, zamków, po pieluchy, wędliny, piwo (ale! ale, łatwo jest dostępny polski Okocim i Żywiec), domową chemię i narzędzia. Trochę czuję się jak dziecko poznające ciekawy i barwny świat.

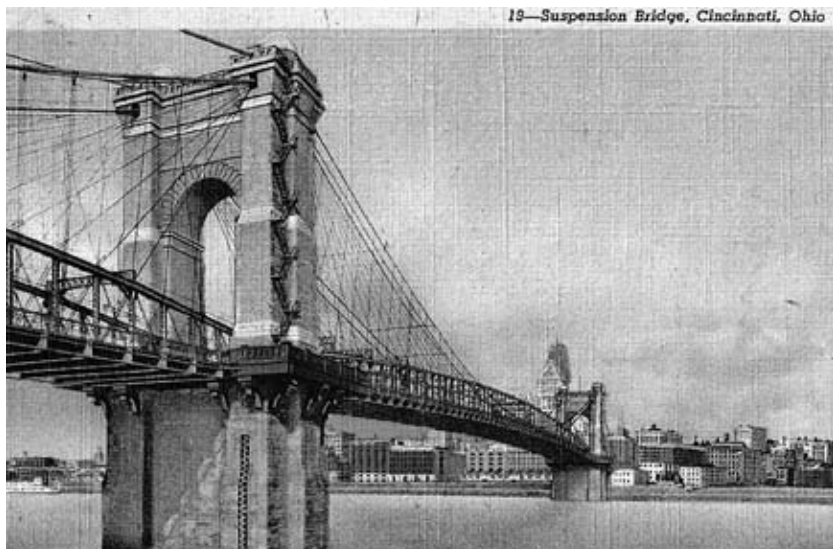
Marzec 1983, Cincinnati

Na Chickasaw przyjechała ekipa telewizyjna i zrobiono ze mną wywiad. Niedługo. Parę minut, ale pokazano go w prime time tu-tejszej telewizji.

Interesował ich stan wojenny w Polsce, ale także rola papieża w obecnej sytuacji. Przedstawiono mnie jako polskiego poetę i redaktora pisma.

Ciekawe skąd wiedzieli, że tu jestem?

Dowiedziałem się przy okazji, że niedaleko, w Lexington, w Kentucky, jest dość spora grupa nowej polskiej emigracji.



15 kwietnia

W Cincinnati Polaków jest mało. Według Sybil, (mamy Lisy), mieszka tu nie więcej niż pięćdziesięcioro moich rodaków, głównie to emigranci powojenni i pomarcowi z 1968 roku.

Z tego pomarcowego rzutu poznałem Sławka Świerczka, który też mieszka na Cliftonie. A przez niego Andrzeja, który jest podobno wziętym dyrygentem w Savannah. Oczywiście, zgodnie z polskim *obyczajem*, upiliśmy się.

Cincinnati położone jest na 7 wzgórzach. Clifton jest jednym z nich. Sławek z okna ma widok na Kentucky. I to ma pewien związek z naszym upiciem się.

Bo w Cincinnati alkohol jest mocno ograniczany, mają tu dość rygorystyczne prawo. Po alkohol i wyroby tytoniowe jeździ się przez rzekę Ohio, do Kentucky, tam jest taniej i większy wybór. Kentakijczycy postawili po swojej stronie rzeki gigantyczną neonową butelkę whisky, ma ona przyciągać sztywniaków z Ohio. Sławek, mówi, że jest jedną z ofiar tej reklamy... wciąż go kusi ta butla. Więc i teraz pojechaliliśmy razem po ...Nie, nie! Nie po whisky czy bourbona, ale po Wyborową.

Wkrótce ma się odbyć jakaś impreza polonijna i jestem na nią zaproszony.

Impreza się odbyła i była nijaka.

Ale miałem okazję poznać różnych ludzi, na ogół po sześćdziesiątce, głównie ze *starej emigracji*. Część wyjechała z Polski po 1968 roku, oczywiście, to Polacy żydowskiego pochodzenia. Ale już nie całkiem Polacy, bo bardzo dumni ze swoich amerykańskich paszportów. Wysłuchałem wielu rad i sugestii, jak zrobić karierę w Stanach. O Polskę nie pytali.

Polska wciąż jest obecna w newsach, to dziwne widzieć swój kraj i to, co się w nim dzieje, na ekranie telewizji amerykańskiej, na dodatek lokalnej. Z zagranicznych tematów (a jest ich niewiele) sprawa palestyńska i właśnie polska są najczęściej komentowane.

Poznałem Sławka Grunberga.

Z Nowego Jorku przyjechał do Cincinnati, bo tutaj otrzymał na University of Cincinnati posadę profesora i ma prowadzić zajęcia z zakresu filmoznawstwa. Sam jest reżyserem filmowym, głównie produkcji dokumentalnych.

Przed emigracją do Stanów Zjednoczonych Sławek ukończył studia filmowe w Polsce. Wiem, że robił dokument o bohaterach Sierpnia z 1980 roku, a konkretnie o Annie Walentynowicz. Już zorganizował tutaj przegląd filmów Polańskiego, ale też francuskiej Nowej Fali. Teraz robi film o facecie, który zbiera wojenne pojazdy, w tym czołgi.

Z Lisą byliśmy na dwóch seansach filmowych zorganizowanych przez Sławka. (Sybilką zaopiekowała się Jenny, młodsza siostra Lisy). Sławek pokazał między innymi słynny *Duel*, w wersji pierwotnej, niejako szkolnej. Poza tym można było obejrzeć wczesnego Polańskiego, w tym *Dwóch ludzi z szafą*.

Lisa pracuje w Highland Cofee House. Dobrze, że ma pracę, bo ja wciąż bez stałego dochodu, a mamy przecież dziecko. Miejsce jest w dość obskurnej części na obrzeżu Clifftonu, w „czarnej” dzielnicy, raczej niebezpiecznej. Muszę jednak chyba przyznać, że tu, w tym miejscu, to ja jestem „czarny”, a ci ciemnoskórzy ludzie są biali, bo u siebie.

Nie jest łatwo.

Dobrze, że wziąłem trochę książek ze sobą. Po całym angielskojęzycznym dniu, wieczorem, siadam do czytania z ulgą i przyjemnością.

Mieszkamy w kampusie uniwersyteckim w Cliftonie, a zatem nic dziwnego, że dosłownie w 5 minut, na McMillan znalazłem spory antykwariat w starym stylu. Witryna niewielka, jakieś 10 metrów, głęboka na 30 metrów, a w niej mnóstwo książek. I uwaga! Spore półki w języku polskim. Kupiłem Hermana Hessego po polsku, Przybyszewskiego (wydanie przedwojenne) i parę jeszcze innych książek. Z drugiej strony jest ciekawy sklep? agencja?, miejsce spotkań lokalnych maoistów. Raczej dość pustawe, ale fakt, jest.

Może to nie jest rozsądne, że czytam po polsku, powinienem czytać po angielsku, aby poprawić swoją biegłość/niebiegłość w angielskim.

Jutro idę uzyskać amerykańskie prawo jazdy. Na razie jeżdżę na międzynarodowym. Prawo jazdy ma tu rangę dowodu osobistego, a *dowód osobisty*, który można nazwać (ID (Identifical Card)), jest tu całkowicie egzotyczny.

Okazało się, że muszę zdawać egzamin z zasad jazdy samochodem. Nie uznali mojego prawa międzynarodowego, które jest zresztą w języku polskim, francuskim i rosyjskim.

Przypomniało mi to obyczaje językowe w polskich pociągach, gdzie wiele napisów w wagonach PKP jest po niemiecku, rosyjsku i francusku. Do języka angielskiego miano awersję zgodnie *internacjonalistycznym* poglądem, że językiem międzynarodowym jest rosyjski.

Miałem możliwość złożenia egzaminu po polsku, ale tłumaczenie było tak okropne, że poprosiłem ostatecznie o test w języku angielskim. Zdałem bez kłopotu. Trochę bałem się jazdy, szczególnie na autostradzie, ale dałem radę. Mam teraz podstawowe ID, bo prawo jazdy jest tutaj jak dowód osobisty, paszport jest raczej rzadkością w życiu codziennym.

Byłem w banku założyć sobie konto. Poszło gładko, musiałem

podać tylko numer Social Security. Jak rozumiem, jest to amerykański odpowiednik polskiego ZUS-u.

Dostałem też kartę Jeanie i teraz mogę pobierać pieniądze nawet w nocy w automacie. Można też dokonywać wpłaty. I robi się to na wysokim poziomie zaufania - po prostu pobiera się kopertę, wkłada pieniądze, przy pomocy karty uruchamia procedurę, a następnie wrzuca się kopertę do automatu. Bank nie przelicza w tym momencie pieniędzy, sprawdza potem, a jak się nie zgadza, trzeba złożyć wyjaśnienia.

Cały czas staram się oswoić to nowe i obce dla mnie miejsce. Doksztalcam się z języka i chodzę na prywatne zajęcia językowe do starszej pani, która ma pod swoją opieką całą menażerię narodową - od Finów, Pakistańczyków, Palestyńczyków, Chińczyków, Francuzów, aż po Polaków, których w tym momencie jestem tu jedynym przedstawicielem.

Staram się zrozumieć ten świat. Nie tylko oglądam tutejsze wiadomości, ale czytam też prasę literacką, a konkretnie Poetry Review i dodatki literackie do prasy lokalnej.

Pisać o „mojej” Ameryce?

Ale o czym pisać? O tym jak emigrant ze stanowojennej Polski wpadł w ponure ekonomicznie czasy Reagana, w miasto bez wyrazu, w amerykańską szarość i gonitwę za *jobem*? O Cincinnati na siedmiu wzgórzach, na skraju Kentucky...

Przyleciałem do Nowego Jorku przez Bukareszt. A Bukareszt okazał się jeszcze bardziej ponury niż zimowa stanowojenna Polska. Miałem dobrą czekanią w ich „luksusowym” hotelu, który przypominał mi przydworcowe hotele warszawskie. Koszmarne łóżko... Wyszedłem na miasto. Niedoświetlone. Ludzie mówią w kompletnie niezrozumiałym dla mnie języku. W pobliżu kilka historycznych XIX wiecznych, secesyjnych pięknych budowli. W sklepach bieda, jak w Gdańsku. Ale trafiłem na ulicy na dziewczynę, która sprzedawała bardzo apetyczne bułeczki. Kupiłem trzy. Były nawet niedrogie. W hotelu okazało się jednak, że pieczywo jest całkowicie czerstwe, całkowicie! Twarde, jak

kamienie... czy to taki rumuński zwyczaj, czy to taka rumuńska bieda. Byłem głodny aż do przelotu samolotem.

W Nowym Jorku czekała na mnie Lisa. Odprawa trwała dość długo, ale ostatecznie miałem porządne emigracyjne papiery, porządną amerykańską wizę (Resident Alien), to też w końcu, po 2 godzinach, znalazłem się po Drugiej Stronie Świata, albo jak kto woli w Nowym Świecie.

Z portu lotniczego Kennedygo autobusem dostałem się na mniejsze lotnisko, dla lotów lokalnych. Po trzech godzinach byliśmy w Cincinnati, a właściwie najpierw na lotnisku jeszcze po stronie Kentucky. Powietrze pachniało tu zupełnie inaczej. Inaczej niż w Gdańsku. Inaczej niż w Warszawie. Inaczej niż w Bukareszcie, a nawet inaczej niż w Nowym Jorku.

Lecz naprawę zupełnie inny zapach miało Cincinnati i mieszkanie, które wynajęła Lisa dla nas na ulicy Chickasaw. I wcale nie dlatego, że w pobliżu mieszkały w zewnętrznej klatce małpy. Dom stał pod wzgórzem, wręcz do niego przylepiony, może pachniały tak drzewa, a może rzeka Ohio, która była za tym drugim wzgórzem?

Przy okazji, Chickasaw to nazwa plemion indiańskich, tych mniej walecznych, którzy dość szybko poddali się białym porządkom.

Chickasaw Street

Długa perspektywa z nagłym zeskokiem o kilkaset metrów

w dół miasta. A na początku zapach małp.

Tak się Chickasaw Street zaczyna.

Niewielkie kapucynki krzyczą i smrodzą,
gnijące banany czernieją a wszystko ogarnia
aromatyczny bez.

Zapach bzu to tylko ulicy początek,
bo już niżej panoszą się słupy podmurszałych domów
niewielkich jednopiętrowych drewnianych budowli –
w których, o porze kolacji, z każdego kąta
roznosi się zapach grzanek, szynki i sera.

W moim mieszkaniu na piętrze pierwszym, zaraz
przy wejściu,
pachnie Sybilka mlekiem i kremem *Johnson & Johnson*.
A półki przyciągnięte ze sklepu metalowego wciąż
nie mogą uzgodnić, jak mają pachnieć książki z Polski:
oliwą *Hardweres Store 'u*, czy piaskiem z wrzeszczańskiej
Zaspy.

Przez ścianę przebija się drobnymi skokami zapach chili.
Sąsiedzi – afroamerykańska rodzina – od rana
przygotowują ingrediencje.

W mojej kuchni też szal: rozlało się kwaśne kalifornijskie
wino,
herbata roznosi się we wszystkie strony, dzisiaj będą ruskie
pierogi,
na ogniu przygotowuje się farsz z podpiekaną cebulą.

Nie mogę odgadnąć czym pachnie wykładzina.
Bo pachnie.

Może to wszystko, co zostało z pobytu poprzednich
lokatorów.

Pójdę teraz w dół ulicy, bliżej *downtown*, tam rosną
porzeczki.

A i pokrzywy. Mieszka tam też rodzina skunksów, na
które jest tylko jedna rada:
dużo, dużo aromatycznego soku z pomidorów.

Jest lato. Leniwe powietrze donosi do moich okien krzyk
małp.

I zapach ich sierści. I jeszcze coś, co mnie niepokoi: może
to rzeka Ohio?

Może to rzeka życia miasta. Całego stanu. Całej krainy.

Tu na skraju indiańskiej ulicy pachnie całym tym
światem,

Który drgać będzie do końca mojej skóry. W zapachu.

Początek nie był może najgorszy, bo obiecujące były zapachy.

Najgłębszą pamięć znajduję w gwałtownych erupcjach zapa-
chów. Nawet nowe zapachy są tylko przypomnieniem innych,

dawnych. Wszystko, co było rzeczywiste, pozostawiło zapach.

Większość zapachów to przyjemne zapachy. Niektóre są obrzydliwe. Może to te, które są w gruncie rzeczy zapachami śmierci. Ale nawet te, które potocznie uchodzą za okropne, tak naprawdę cieszą. Pamiętam zapachy wszystkich domów, w których mieszkałem. Pamiętam nawet te, w których byłem tylko przez chwilę. Gdzie działo się coś ważnego.

Pamiętam zapachy korytarzy, kuchni, łóżek, pościeli, kobiet i ich piersi, zwierząt. Zapachy niektórych ulic, a nawet całych miast. Clifton, w Cincinnati w Ohio, ma zupełnie inny zapach niż na przykład Wrzeszcz w Gdańsku. Ale nawet bliskie Cincinnati Newport w Kentucky miało odmienną paletę aromatów.

Zapachy, choć tak sensualne, potrafią obudzić się w świadomości zupełnie niezmysłowo - po prostu jak mocne, twarde wspomnienie. Nie czujemy (nosem) wydobywającego się z otchłani przeszłości zapachu, a jednak bardzo dobrze go rozpoznajemy, pamiętamy.

Zapach to mnemotechnika. Działa w świadomości i podświadomości. W sferze rozumu i instynktu. Zapachy podejmują za nas decyzje. Działają w mojej ludzkiej i zwierzęcej stronie. Może dzięki zapachowi wiem to, co wiedzą tylko moje komórki.

Jest jeszcze jedna rzecz, która mnie tu uderza - gwałtowne, ale relatywnie krótkotrwałe burze deszczowe połączone z nieprzerwywanymi się wyładowaniami elektrycznymi, niebo potrafi jaśnieć od błyskawic po wiele minut. Trochę to straszne.

Sybilka nie miała nawet dwóch lat i nie widziała mnie od chwili wyjazdu z Polski dobrych parę miesięcy, przyjęła mnie nieufnie, ale trwało to krótko.

Była też rodzina Lisy. Miła, grzeczna ale z dystansem. Po tem zrozumiałem, pojawił się gość z Czerwonej Europy, w koszmarnej znoszonym ubraniu, z długą brodą, po prostu uciekinier z dzikiego świata. Pojawił się w porządnym niemiecko-włoskim amerykańskim mieście, gdzie ostatnia wojna, która tu była, to wojna secesyjna. Te inne, światowe i pomniejsze, owszem były, ale gdzieś daleko. A on, ten uciekinier niechlujny, bez grosza, bez jobu (to ostatnie było najgorsze)... Może pachniałem wojną?

Trudno być nikim w tak wielkim kraju?

Jednym z podstawowych pytań przy zawieraniu znajomości jest, *skąd pochodzisz?* A odpowiedź nie musi oznaczać z jakiego kraju, bo może to być pytanie o stan, region, część US. Równie egzotyczne (tutaj w Cinti) jest pochodzenie z Utah jak i z Wietnamu.

Cincinnati do miasta emigrantów włoskich i niemieckich.

Przejeżdżam często koło Stettinius Street (następna za Dana Ave.). Zapytałem kiedyś, skąd ta nazwa? Człowiek zgadywał, że pochodzi od nazwy miasta, a gdy chciałem wiedzieć, gdzie to miasto jest teraz i czy wie, co znaczy Szczecin (brzmienie już jest zabójcze dla amerykańskiego ucha), nie wiedział.

Spotkałem gościa pracującego w cukierni-piekarni, który nazywał się *Szczecinski*, nie wiedział od czego pochodzi jego nazwisko i nie potrafił też poprawnie wypowiedzieć.

Są w Cincinnati dzielnice bogatsze, na przykład Hyde Park, pruskie i angielskie, widać to w architekturze, i biedniejsze, (po drugiej stronie stanowej `75), włoskie dzielnice. Downtown jest niewielki, jego pobocza są opuszczone i zaniedbane a zamieszkałe głównie przez czarnoskórych.

Fascynujący jest wielki i nieużywany dworzec kolejowy widoczny ze wzgórza na którym mieszkam za Maple Wood Ave.

W tym miejscu Stanów podróżuje się głównie samochodem, albo autobusami Greyhounda. Lokalny, miejski transport istnieje, lecz jest bardzo dysfunkcyjny. Spodobał mi się sposób opłaty za przejazd - wchodzi się od przodu i do przezroczystej skrzyni wrzuca odpowiednią kwotę pod okiem kierowcy. Proste i skuteczne.

Uzmysławiam sobie, że los postawił mnie w długim łańcuchu losów emigranckich, choć Polaków nigdy tu wielu nie było.

Mój przyjazd nic tu nie zmienił, nic tu nie drgnęło, nawet najmniejsza cząstka powietrza.

W czasach niewolnictwa poprzez Cincinnati biegł trakt uciekinierów z niewolniczego Południa. Tu, na granicy Ohio, była

granica podłości i wolności. Z drugiej strony rzeki lać można było czarnych bez ograniczeń. W pobliżu rzeki jest muzeum, stacja gdzie zatrzymywali się uciekinierzy, niewolnicy z Południa.

Granica ta nadal jest żywa, choć już w zupełnie innym aspekcie.

Ohio, to bogata Północ (choć jest na Wschodzie, ale to inna zupełnie sprawa), a Kentucky, tuż za rzeką, to biedny stan, słynący z burbona, bimbru, aromatycznego tytoniu, większej niż w Ohio wolności ekonomicznej i obyczajowej.

W statecznym i dość nudnym Cincinnati są piękne, neogotyckie, kościoły, a w Newport czy Covington za rzeką kluby go-go, tania wódka i ślady po dawnej prosperity, gdy hulały tam domy gry i kasyna.

Newport

Po raz pierwszy w życiu chciałem być
policjantem,
a było to w Newport w stanie Kentucky.
Za Ohio,
ta mała dystynkcja znaczy, że byłem już na
Południu.
Gdy tak szedł Dziesiątą ulicą z rewolwerem
niezapiętym
w kaburze prawa, choćby skórzanej, ale jednak
chciałem,
a było to już po paru miesiącach zmywania naczyń
u Frischa
(każdy bank zaakceptuje payroll check
tego gastronomo),
niosłem z sobą Blue Ribbon Pabs olimpijskie
piwo.
Tego zrozumieć nie można, gdy się raz nie wyjechało
z Kraju,
bardzo chciałem być tym człowiekiem, który za
noszenie
pistoletu może w każdej chwili wyjechać do innego
kraju
na przykład do mojego,

gdzie kabura wcale nie oznacza wolności
a raczej lęk.
Szedłem z kolegą, który kupił czołg, gąsienice zmienić
musiał na gumowe,
aby nie niszczyć dróg asfaltowych podatników
(kolega ma już paszport i może do Kanady),
gdy spotkaliśmy go idącego środkiem ulicy:
był Biały
a może Czarny (mundur skrywał skórę)
i nagle pijany traffic oprzytomniał a znaki
stopu
nabrały kolorów czerwieni, który oznacza tutaj uwagę.
Szedłem
więc z tą olimpijską butelką bluesa
i poczułem,
że chcę być policjantem,
po latach
nauki nienawiści wobec każdej policji
chciałem
poczuć na biodrze kaburę pełną
słońca,
otwarty nagi pistolet.

Oni pojechali do Las Vegas, wyparli ich
Purytanie
ze Wschodu, koniecznie chcieli
przykryć
kabury, pizdeczki, sutki i te wszystkie
drogocenne
życia sprawy, których przykryć naprawdę nie można
jak śmierci
i właściwie nie wiem dlaczego w ramach resocjalizacji
urodzin i pogrzebów nie uznano za
pornografię.
Pośród nich, ostatnich gamblersów Kentucky,
chciałem
zostać policjantem, ich umundurowanym aniołem,
który strzeże

wielkiej bramy małej pornografii na przydrożnej lampie śmierci.

Być chciałem policjantem w pobliżu Monmouth Street,
gogo dancers
lękiem
być chciałem, dziewczyn które za jednego dolara
robią deal -
daj tego jednego to się odczepię
bezinteresownie.

Najgorsze nie czułem wstydu.

19.06.1983

W George Town, Stancroft Farm.

Babcia i dziadek Lisy ze strony matki to zamożni ludzie, tzw. rentierzy, żyją z posiadanych „starych” pieniędzy. Niestety, ta za-
możność nie dotyczy Lisy. Zostaliśmy zaproszeni do rodzinnej
posiadłości wiejskiej Stancroft Farm, gdzie, w pewnym odda-
leniu od głównego budynku, wybudowano domek dla gości ze
wszelkimi - oczywiście - wygodami.

Mówi się o tym miejscu *farma*, bo Andrews (dziadek) ma takie
hobby i hoduje wyszukaną rasę krów szkockich Belted Galloway.
Hobby babci to antyki, którymi lubi się chwalić. Te jej *antyki* nie
zrobiły jednak na mnie wielkiego wrażenia, bo to w większości
rustykalne XIX wieczne meble amerykańskie oraz obrazy i por-
celana (głównie angielska i amerykańska). Wszystkie jej zbiory
to głównie amerykana.

Ale to zrodziło we mnie refleksję, że naprawdę jestem nie tyl-
ko w innym kraju, ale świecie, zrozumiałem, co znaczy pojęcie
Nowy Świat.

Nie wszystko takie piękne w rodzinie Lisy. Poznałem jej ojca, Mr.
Storie, który pochodzi z Appalachów. Dziwna postać. Chudy, pobu-
dzony ruchowo, nie patrzy w oczy. Lisa powiedział krótko: bierze.

Ten świat robi wrażenie nie tylko przez swoją odmienność, ale
i wielkość.

Poczułem, że jestem w imperium i że ten świat też musi kiedyś upaść. Napisałem nawet wiersz w tym duchu i zadedykowałem go Staszкови Rośkowi, zresztą z nieco ironicznego powodu, bo uświadomiłem sobie, że te nasze polskie, lokalne literackie spory z amerykańskiej perspektywy są bardzo ... egzotyczne i mało ważne.

Wiersz zatytułowany jest *do S.R.* (tak jak wielu poetów antycznych dedykowało swoje utwory wprost do adresata w tytule) i rozpoczyna się symptomatycznie: „piszę przyjacielu do ciebie z Rzymu”.

Nie będę go tu cytował w całości, bo z pewnością go kiedyś opublikuję. Napisałem go tak, jak się czuję, podwójnie splątany z dzisiaj i z wczoraj, z moimi wielkimi osobistymi sprawami i przytłaczającym mnie wielkim imperium: Jedna linijka z mojego polskie świata, a druga z *tu i teraz* w Ameryce, (czyli *Rzymie*).

20 czerwca w Stancroft Farm

Od domku, gdzie mieszkamy, jest 30 metrów do wartkiego strumienia, niewielkiej rzeczki, która jest żółta. Nigdy nie widziałem takiej. Rzeki w Polsce są również mało przezroczyste, ale mają ciemny, szaro-brunatny- zielony odcień.

Wokoło gęste lasy, ani śladu ludzkiej obecności a w nich mnóstwo grzybów (nie znam się na nich, więc nie zbieram) i jeszcze więcej jagód i poziomek. Te, mimo protestów miejscowych, zbieram i o zgrozo! zjadam.

Tutaj mało kto zbiera leśne runo, jagody i inne owoce leśne kupuje się w Krogerze (lokalna sieć wielkich sklepów), który sprowadza je na przykład z Polski, może z lasów wokół Krępy?

Jest tu pięknie. Ptaki śpiewają zupełnie jak w Krępie.

%

W George Town, to jest trochę
dalej niż sięga moja uwaga
nie czuję się wcale mniej obco

ani komary wielkości ważek
ani humidy 96 stopni w skali
nie wytrącają mnie z czujności

Newsy są wciąż Wiadomościami
air-condition wiatrakiem
a Gdańsk bliżej niż New York

What are your nation? Polish?
pytają zatrwożeni
czy aby nie wpadli na radykalistę

Piszę te słowa w
największej Prowincji świata
rozdzielony od reszty

wielką taflą szyby,
którą cierpliwie
niosę wszędzie, gdzie
wiedzie mnie los

- - -

Rozbijanie przestrzeni, pod takim tytułem mam zamiar napisać serię wierszy, albo może pod tytułem *Ameryko, Ameryko?*

Nie wiem skąd przekonanie Amerykanów, że ja chcę tutaj mieszkać na zawsze? Właściwie wiem. Uważają, że to najlepsze miejsce na świecie.

1983, Nowy Jork

Jestem drugi raz w NY. Tym razem mam więcej czasu na obejrzenie miasta. To kultowe miasto w USA, ale mnie wydało się brudne i nadmiernie zatłoczone.

Obskurne metro. Centrum Manhattanu i owszem, wysokie, ale czy mi się podobało?

Byłem też w kilku mieszkaniach Polaków tu żyjących - ich domy, niestety, nie budzą zachwyty i zazdrości.

Zupełnie inaczej było pierwszego dnia, bo w Scardale byliśmy z Lisą gośćmi komandora Bajaka, którego syn, Frank (zresztą dziennikarz Associated Press, poznałem go w Polsce w czasie Sierpnia), brał ślub z piękną Argentyńką o znakomitym polskim nazwisku, Michałowska (nie zna polskiego).

Ich dom, na przedmieściu Nowego Jorku, bardzo obszerny,

z wydzielonymi częściami dla gości, bardzo piękny i z wszelkimi oznakami zamożności.

W domu kultywuje się język polski.

Poznałem tam prawie stuletnią kobietę, która, choć od prawie 80 lat jest w Stanach Zjednoczonych, nie nauczyła się języka angielskiego, a za to zachowała oryginalną wymowę i słownictwo XIX wiecznej polszczyzny. Coś szokującego! Powinienem był ją nagrać, bo jej język jest prawdziwym zabytkiem lingwistycznym.

Dostałem zaszczytu odczytania fragmentu Biblii na ślubie, co mnie nieco zestresowało, ponieważ nie znałem tego zwyczaju w Polsce.

X X X

Czas tu się rozwinął do ptasich rozmiarów
ostry dziób stwardniał i pióra spłwiały
odporny na wiatr deszcze i zawieje

Z perspektywy czasu nawet gdy kołuje
ludzie są jak mrówki (a mrówki są tu duże)
nie słyszy się ich głosów, gdy zwołują ptaki

Starczy, że są, tak ptasi czas istnieje,
widzi funkcje swą w mrówczym zabieganiu
nie musi słyszeć głosów

Od czasu do czasu, dla pewności,
chwyta w szpony zamroczoną mrówkę,
która się ze zbyt dużych szponów wymyka

I spada w mrówczym tylko sensie
szybko, lecz od dołu widzę powoli,
jak zwiędły liść klonu

Nie wiadomo nawet, czy się zabija,
czy nie za lekka na takie doświadczenie,
choć wszyscy dookoła mówią,
że ludzie tu też umierają

- - -

Niestety, w Cincinnati nie układa mi się dobrze.

Po kilku miesiącach różnych dorywczych prac mam teraz coś stałego, a mianowicie zostałem managerem nocnej zmiany w Millilo's Pizza. Wcześniej pracowałem w Prime'in Wine, restauracji, gdzie poza zmywaniem naczyń byłem degustatorem polskich dań, wiadomo polish sousage, bigos (o tak!) oraz *pierogis* i mało co nie zostałem kucharzem na stałe. Ale Millilo's Pizza, czyli Jim płacił mi lepiej i miałem pół godziny samochodem z domu.

Niespodziewanie moje niewielkie młodzieńcze doświadczenie pracy w piekarni teraz się przydało. Nie zarabiam wiele, ale wystarczająco, abyśmy spokojnie dawali sobie radę, a jeszcze na dodatek coś niecoś wysyłam do domu.

Miałem propozycję ,niestety, słabo płatnej pracy w Nowym Jorku. Miałem też umówione wstępne spotkanie w Utah, gdzie chciano nas (czyli też Lisę) zatrudnić jako wychowawców w swoim rodzinnym domu dziecka Boys Town. Oferowali dom do dyspozycji, samochód rodzinny, pensję 3000 dolarów, pokrywali koszt wyżywienia. Do opieki było dwanaścioro wychowanków. Niestety, Lisa nie podjęła żadnego z tych wyzwań, a ja przecież nie pojechałbym bez nich.

Miałem też szokującą propozycję wyjazdu na zachodnie wybrzeże, w pobliże San Francisco, do Monterey, ale gdy okazało się, że miałem uczyć języka polskiego w szkole szpiegów, to zrezygnowałem.

Zatem, na razie, jestem pizza-maker.

W domu z Lisą wciąż spory o nie wiadomo co.

Spostrzegam coraz wyraźniej, że mocno labilne nastroje Lisy, to coś więcej niż żeńskie fochy. A może teraz, gdy już jestem całkowicie nikim tutaj, przestałem być dla niej atrakcyjny. A może jednak te 10 lat różnicy między nami ma znaczenie?

Byliśmy w poradni rodzinnej, ale to nie pomogło. Lisa w czasie spotkania z psycholożkami zrobiła awanturę i wyszła trzaskając drzwiami. Obraziła się, bo pani *counselor* poradziła jej z troską, aby skontaktowała się z psychiatrą.

Zaczyna się jesień 1983

Przeprowadzamy się do Kentucky, do Newport.

Wynajęliśmy dom wspólnie ze znajomymi Lisy (Marta Mills jest przyjaciółką Lisy ze szkoły średniej). Mamy do dyspozycji cały wielki 3 piętrowy dom, z obszerną piwnicą i garażem oraz z tzw. yardem, gdzie na trawie może szaleć Sybilka. A ja raz w tygodniu strzygę trawę.

Tak, potwierdziła się legenda, że pieniądze w Ameryce leżą na ulicy.

Mamy dwa samochody, bo pracujemy w różnych godzinach, a publiczny transport tu mizerny.

Pierwszy, to Nova Chevy, rocznik 1968, czerwona duża limuzyna, którą kupiliśmy jeszcze na Cliftonie, na początku pobytu i to w dość zabawnych i szczęśliwych okolicznościach. Otóż, idąc nocą do Krogera na zakupy spożywcze, zobaczyliśmy leżące na ulicy 5 dolarów, ucieszyliśmy się bardzo. Ale, patrzymy, tu znowu coś zielonego na chodniku, tym razem były to dwie dziesiątki. Zaczęliśmy z Lisą rozglądać się i w sumie znaleźliśmy blisko 400 dolarów. Następnego dnia kupiliśmy samochód.

Drugi samochód mam od niedawna, to bardzo dynamiczny Volkswagen Combi. Wcześniej, przez moment, miałem niesamowitego Ramblera z 1958 roku, z grubą niemal czołgową blachą i bez śladu rdzy.

Niestety, pod górkę to on już nie dawał rady, więc go sprzedałem.

Podoba mi się tu, w Kentucky. Co krok mały sklepik spożywczy, ludzie nie zrezygnowali tu jeszcze z chodzenia po ulicach, są mili, kontaktowi, wyraźnie mniej zamożni niż szpanerskie towarzystwo studenckie z Cliftonu i ci z dzielnicy, gdzie mieszka mama Lisy i gdzie mieszkała wcześniej Marta.

W Ohio ludzie mówią do siebie *hello* (wyraźnie podwójne „l”) a w Kentucky *hi*.

I jest tu chyba bezpieczniej, nie wiem, czy dlatego, że jest tutaj mniej czarnoskórych? Lisa mówi, że więcej tu ludzi, którzy biorą i heroinę, i kokainę, grzybki, nie mówiąc o marihuanie.



Z córką w Cincinnati na Grace Ave., na schodach w domu Sybil Ortego, babci Sybilki.

Jakieś 50 metrów od domu mam mały sklepik, gdzie kupuję codzienne artykuły spożywcze. Podjechałem kiedyś do tego sklepu i, nie wyłączając silnika, zrobiłem zakupy. Poszedłem do domu, zapominając o samochodzie. Rano budzi mnie policja i pyta, czy zostawiłem samochód pod sklepem. Jakoś nikt nie chciał ukraść mi samochodu. Ale mandat za pozostawienie silnika na chodzie musiałem zapłacić.

W Kentucky mieszkaliśmy całą jesień, ale wracamy do Cincinnati. Wynajęliśmy 3 pokojowe, (czyli two bedrooms) mieszkanie, znowu na Cliftonie, ale dalej od uniwersyteckiego kampusu, na Burnet Ave.

Pomiędzy Lisą a mną jest coraz gorzej.
Ja nadal pracuję jak wół roboczy.

Sybilka w przedszkolu Montessorii.

Często ją rano odprowadzam i te poranne godziny są świetne, by nie powiedzieć najlepszy czas jaki tu mieszkam. Siedzimy w kuchni, jemy śniadanie razem z Mają (białą kocicą), rozmawiamy. Widzę, jak moją córeczka się rozwija. Widzę też jak przechodzi na angielski. Któregoś razu zapytałem, czy chce mle-

ka, spojrzała na mnie przeciągle i po chwili odpowiedziała: *no mleka, milk*.

Bywa, że wcześniej, nim obudzę Sybilkę, siedzę sam, w milczeniu, w ciszy i mam czas na przemyślenia. Po raz pierwszy w życiu lubię tę ranną porę. Napisałem sporo w tych chwilach, zarówno notatek *do pamięci*, jak i wierszy. To też dobry czas na pisanie listów.

Cieszę się, że blisko mieszka Sławek Grunberg. Mam wsparcie i ewentualnie do kogo się odezwać po polsku.

Kilka dni było tak źle, że przemieszkowałem kątem u niego.

Ale bywają weselsze momenty.

Okazuje się, że B.B. King pochodzi z Cincinnati i często tu gra. Poszedłem na jego koncert, imprezkę jazzową, gdzie był głównym bohaterem. Zagrał w klubie studenckim na



Sławek Grunberg

Cliftonie w pobliżu Highland Cofee House (tam, gdzie pracuje Lisa). To już czarna dzielnica, ale przemieszana z infrastrukturą uniwersytecką. Tu jest jeszcze bezpiecznie. Nie mniej zorientowałem się, że prawie wszyscy, których spotykam mają jakąś broń. Sławek Świerczek ma karabin.

Czasem odbywa się jakaś polska popijawa u Sławka, albo zdarza się niespodziewana wizyta, niezapowiedziany gość i wtedy Lisa mobilizuje się i znowu jest czarująca i błyszczy inteligencją. Tak było, gdy przyjechała z Californii Catherine Keyes, koleżanka Lisy jeszcze z Krakowa. Bywała też u nas na Dywizjonu.

Catherine uważa, że powinienem jak najszybciej wrócić do Polski. Popatrzyła mi w oczy i powiedziała: *Sbishek, ić do domu. Ić*.

Czasami wpada Jenny, czasami Sybil, ale rodzina nie mobilizuje już Lisy. Unikają też rozmowy ze mną na jej temat.

Grudzień 1983

Wracam do Polski. Muszę, nie wytrzymam dłużej tej beznadziejnej sytuacji.

Znowu w Polsce

Sierpień 1984

Andrzej Waśkiewicz w tekście pod tytułem „Fenomen Gdański” (wokół społecznych uwarunkowań strategii „wchodzenia na rynek”), wyraził taki oto pogląd: „Fenomen gdański nie powstałby, gdyby po roku 1976 roku nie zaistniała gwałtowna potrzeba promocji młodych, dla których mocą najwyższych instancji stwarzano cały system preferencji.”

Cenię wielce krytykę Andrzeja i różne analizy, ale w tym przypadku poszedł nieco za daleko, albo za głęboko.

Wszystko można *ex post* przyporządkować do wszystkiego. Zasadniczo czerwiec może być powodem lipca. Tylko jaki jest sens takiej konkluzji dla wyjaśnienia historycznych zdarzeń. No, można stosować tego rodzaju chwyt po to tylko, by coś zasugerować, czy wręcz zainsynuować.

W latach 1973-1974, gdy z kolegami zaczęliśmy swoją przygodę literacką w Gdańsku, nie zauważyłem, aby tzw. *najwyższe instancje* jakoś się podniecały naszym istnieniem. Spotykaliśmy się nieomal w stylu undergroundowym, np. w nierzucającej się w oczy salce Towarzystwa Przyjaciół Dzieci na Świętego Ducha (w 1973 roku przy okazji naszych „zaduszek grudniowych”). Kolegia redakcyjne „Litterariów”, w których uczestniczyłem od chyba 1975 roku, odbywały się domach prywatnych, najczęściej u Anki Czekanowicz, czasami w salkach Wydziału Humanistycznego UG. Najbardziej oficjalnym miejscem była kawiarenka Literacka na Mariackiej, gdzie mieścił się Gdański Oddział ZLP (ale tamten ZLP był raczej mało miło postrzegany przez władze). Oczywiście, jakoś w końcu się przebiliśmy do świadomości społecznej, pomagali nam ludzie dobrej woli, w tym starsi od nas - Miłka Bukowska, Józef Bachórz, Małgorzata Czerwińska. W latach 1975-77 jeździliśmy po klubach studenckich i środowiskowych, ale nie przypominam sobie, aby ktoś nam dawał delegacje, diety, itp. Gdy już zaistnieliśmy, byliśmy wciągani w gry

władzy. Jasne. Zaprosił nas nawet kiedyś I Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku. Ale pisma nam nie dał. Wręcz przeciwnie. W tym czasie podejmowano inicjatywę, aby nagrodzić „Litteraria”, niestety, najwyższe instancje zdecydowanie utracąły ten *glupi* pomysł. Czasami grywaliśmy z władzą na granicy zachowań etycznych. Np. SZMP udzielał nam swojego obiektu w Wieżycy na seminaria literackie. Ich udział sprowadzał się jednak tylko do pokrywania kosztów, byli praktycznie nieobecni. Nie wiem, co wypisywali w swoich sprawozdaniach, ale my przez 3 lata zapraszaliśmy najlepszych krytyków i poetów i nie z tylko naszego pokolenia, by prowadzić spory, prezentacje, czytać znakomite krytyczne teksty i dawać okazję poetom, by mogli czytać swoje wiersze i bez zahamowań krytykować władzę i otaczający nas świat. Chyba nie była to „pachnąca” kolaboracją polityczną impreza, skoro przybywali do nas znani opozycjoniści z tamtych czasów, np. Chojecki. (twórca podziemnego ruchu wydawniczego), a też będący na zapisie Pawlak, Herbst, Szaruga...

Swoją pierwszą książkę, a właściwie arkusz poetycki z plakatem (autorem opracowania graficznego był Robert Knuth), wydałem w ramach ćwiczeń typograficznych gdańskiej uczelni artystycznej, PWSSP. Na pierwszy profesjonalny tom wierszy musiałem długo czekać w Wydawnictwie Morskim (też pod kontrolą „wyższych instancji”). Po ukończeniu studiów przez lata błąkałem się bez - jak to powiadasz, Andrzeju - roboty.

Pewnie te „wyższe instancje” wpisywały naszą działalność jako swój dorobek (to, co im odpowiadało), ale robiły to bez naszego udziału i wiedzy. A gdybyśmy nawet o tym wiedzieli, to co? Mielіśmy przestać pisać, działać?

Mogłem Ci, Andrzeju, opowiedzieć „jak to było”. Nie musiałeś tworzyć pseudosocjologicznej koncepcji tworzenia się gdańskiego środowiska literackiego w latach 70` przy znaczącym udziale „czynnیکów wyższych”. Choć może musiałeś, jeśli mimowolnie kopiowałeś dzieje swojego pokolenia literackiego, pokolenia Orientacji... A przecież i u Was był Stachura, Bruno-Milczewski i wielu innych poetów, o których nigdy nie

powiedziałbyś, że byli tworem tamtejszych komunistycznych władz i ich manipulacji, choć z pewnością byli dziećmi swoich czasów. Lecz może się mylę, może lipiec jest konsekwencją czerwca.

Grudzień 1984,

to data wydania mojego tomu *Ja Sobowtór*.

Podczas gdy byłem w Cincinnati dojrzałem w wydawnictwie mój bardzo obszerny tom wierszy, ponad 4 arkusze wydawnicze. Niespodziewanie wiersze te spotkały się z wielką życzliwością nowej szefowej Wydawnictwa Morskiego, Krystyny Schielmann (bardzo pięknej i erotycznej kobiety). Wcześniejsze kierownictwo wydawnictwa nie specjalnie mnie rozpieszczało, pewnie w ogóle by mnie nie zauważali, gdybym nie miał dość silnej pozycji środowiskowej.

Tom jest obszerny, bo był przygotowywany jeszcze przed moim wyjazdem/emigracją do USA i zdawałem sobie sprawę, że długo mnie tutaj w Polsce nie będzie. Prawie 100 wierszy, sporo za dużo, bo jeśli istnieje coś takiego jak właściwa objętość tomu



Z Misią F.

poetyckiego, to powinno być ich około 60. Jeśli jest więcej, czytelnicy dużej części tekstów nie przyswajają.

Znalazły się w tomie teksty z mojego samizdatowego zbioru wierszy *Nasza wojna*. Są też wiersze nagrodzone na „Czerwonej Róży”. Jest seria zatytułowana *Osoby, z Witkacym, Jean Genetem, Keith Jarretem, Leonardem Cohenem i innymi*.

Zobaczmy, jak książka zostanie przyjęta, choć nie jest to czas specjalnie korzystny dla poezji. Wciąż dominuje w umysłach stan wojenny. Szare kolory. Podjazdowe wojny społeczeństwa z partią.

Większość wierszy była pisana w latach siedemdziesiątych, zupełnie innych historycznie czasach, w innej mentalnie epoce. Te sześć wierszy ze stanu wojennego nie decydują o klimacie, kolorystyce, perspektywie zbioru. Ale może już nigdy nie wrócą tamte czasy. A jakie będą?

Tom graficznie opracowała Krystyna Radke. Ona i Marek to bolesne dla mnie doświadczenie przyjacielskiej zdrady. Chętnie wytarłbym ich z mojej pamięci.

20 czerwca 1985

Ukazał się zbiór prac krytycznych pod tytułem *W stronę wiersza*, *Interpretacje poezji najnowszej*.

Książka ma być nie tylko źródłem informacji o najnowszej poezji, ale też swoistym manifestem nowego pokolenia krytyków, którzy chcą pokazać, jak powinno się pisać o współczesnej poezji. Myślę, że w znacznym stopniu książka realizuje swoje zadania, jednak z pewnym zastrzeżeniem, krytycy w tym przypadku sprawdzają się w analizie pojedynczego tekstu poetyckiego, przy próbach generalizowania, różnie bywa z jakością tych prac.

Omawia się tutaj teksty autorów: Anki Czekanowicz, Urszuli Małgorzaty Benki, Dominika Opolskiego, Olka Jurewicza, Stanisława Zajączka,



Andrzeja Kaliszewskiego, Adzika Zawistowskiego, mój, Kazimierza Brakonieckiego, Romana Chojnackiego, Grzegorza Musiała, Esdena Tempskiego, i Antka Pawlaka.

Autorami interpretacji są: Włodek Cegłowski, Staszek Rosiek, Ludwika Topp, Tadeusz Komendant, Jan Sochoń, Zbyszek Majchrowski, Stefan Chwin, Aldona Mrozowska, Joanna Gwizdalska, Tadeusz Nyczek, Tadeusz Skutnik. Pierwsza liga młodej krytyki.

O moim wierszu „modlitwa” napisała Ludwika Topp.

modlitwa

Joli Rajz

bądź łaskaw
bądź łaskaw dla miłości własnej
i miłosny dla łaskawości własnej
i sobie bądź wierny wierny bądź
łaskawy najmiłośniej
miłuj swą wiarę w łaskawość
miłuj siebie w woli pełnej
w miłości wiary doświadczaj
doświadczenia łaski w miłości...
i bądź pełen
i bądź pełen
i bądź pełen
i bądź syty

aż przyjdzie czarny głodny wilk

Tytuł szkicu wielce znaczący: *Don Juan i jego pies*. Interpretacja obejmuje wiele moich wierszy i jest bardzo erudycyjna. Muszę się zgodzić z wieloma intuicjami autorki. Ludwika zapowiada się mocno: „jestem tu, czytam was, będę o was pisać”.



Z Pawłem Huelle na Dywizjonu Marzec 1986

Oddział A (fragment dialogu)

Dla MF

- Więc zrób po prostu odjazd

- lecz ja stąd nie wyjdę na
urlop ani na przepustkę
wolę oddział zamknięty
tu nie ma klamek

– lecz jak już wyjdiesz zobaczysz

- z tamtej strony też nie
ma klamek które by otworzyły
ci drzwi do miasta do przyjaciół
wszystkie drzwi otwarte
a za nimi pustka

– więc zrób ten odjazd

- jeśli musisz pojedź do Las Vegas
albo do własnego domu
albo do wymiętych książek
które sypią się popiołem
do swojej własnej kliniki
– lecz jak już wyjdiesz

- nie dziw się miękkim uściskom dłoni
rękom bez kości uśmiechom
bez radości
jednak spróbuj tam zostać
nim zrobisz ten odjazd

odjazd to u nas znaczy

- - -

Myszka jest pod opieką Marka Drechslera. Mam nadzieję, że szybko z tego wyjdzie. Poczekam cierpliwie.

26 kwietnia 1986, katastrofa w Czarnobylu.

przyszły dni chwały dla płynu lugola, czyli „wodnego roztworu jodku potasu i pierwiastkowego jodu używanego w celu zablokowania wchłaniania radioaktywnego izotopu jodu-131, kumulującego się w tarczycy i mogącego doprowadzić do rozwoju nowotworu tego narządu”. Brzmi groźnie i jest groźnie.

Gdy to wszystko się tam wywaliło byłem w Szczecinie. A w nocy, gdy przeszła chmura nad Polską, była piękna, ciepła noc i w związku z tym spacerowałem po moich starych ulubionych zakątkach szczecińskich od Parkowej, przez podzamcze i stare miasto, przez Długą aż do Małkowskiego, a potem na Wyzwolenia i na powrót na Parkową. Powietrze było czyste, pachnące... Ale jednak zdecydowałem się na łyk lugola.

15 października 1987

Mam już wizę do Niemiec. Nie specjalnie chce mi się jechać, ale tak zaplanowałem z Maćkiem Dejczerem. Mamy zarobić na porządne samochody. Na razie dużo gadamy o scenariuszu,



Na Tygodniu Poetyckim Stolicy. Od lewej Janusz Kryszak, Misia i ja.

o chłopcach, którzy prysnęli z Polski do Szwecji, schowani pod tirem. Maciek często do mnie wpada, popijamy whisky...

Ma ładną żonę, Bożenkę (też polonistkę, razem studiowaliśmy) i dwie córki. Mieszka na Zaspie, blisko Aldony.

Ostatecznie nie pojechałem na saksy. Maciek był na mnie

wściekły, bo powiedziałem, że nie jadę w ostatniej chwili.

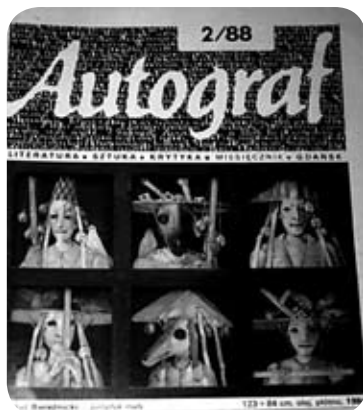
Pocieszam się, że nie przeszkodziło mu to zarobić i wrócić volkswagenem garbusem. O takim marzył. No cóż, ja muszę pogodzić się z moim rozpadającym się „maluchem”.

Lipiec 1988

Przechodziłem dzisiaj przez tory tramwajowe idąc do Zbyszka Rywelskiego, który mieszka przy Żwirki i Wigury. Kiedyś tą trasą chodziłem częściej i to nocami. Gdy wróciłem ze Stanów Zjednoczonych, adres na Burzyńskiego był nieaktualny. Aldona Mrozowska wyemigrowała do Kanady i wyszła za mąż za Janka Ledóchowskiego, którego tutaj teraz nam brakuje (kto będzie nam robił zdjęcia?). Tą trasą przemykałem się przez wiele lat, nawet w stanie wojennym, była wystarczająco na uboczu, żeby można było tamtędy bezpiecznie chodzić w nocy. Bo do Aldony mogłem wpaść późno, chociaż ona nie spała, jak ja, do południa (ona to skowronek, a ja raczej sowa). Brakuje mi jej, brakuje mi jej bliskiej obecności, kogoś nieustannie mi życzliwego.

Aldona Mrozowska. to ważna osoba z naszego towarzystwa. Nie miała ambicji literackich, ale miała umiejętności pisarskie i niepoślednie krytyczne. Pisała różne rzeczy do naszych wydawnictw, choćby do „Litterariów” i „Punktu”. Była zawsze prymuską. Na zajęciach wodziła oczami za innym prymusem naszej teatrologicznej grupy, za Zbyszkiem Majchrowskim. Zawsze dobrze przygotowana do rozmów, do zajęć, bardzo inteligentna. To ona mnie wyciągnęła ze studenckich kłopotów i nauczyła gramatyki historycznej, którą dzięki niej zaliczyłem ostatecznie na bardzo dobry. Po zakończeniu studiów zatrudniła się w Bibliotece Wojewódzkiej. Była osobą samotną, ale otwartą, niekiedy wręcz wyzwoloną.

Chodziliśmy razem na imprezy do Adzików, do Limonów, do Basi Rozenko, na różne *parties*, majówki, dalsze i bliższe wyprawy.





Redakcja „Autografu”, od lewej: Zbigniew Joachimiak, Wojsław (Sławek) Brydak, Władysław (Adzik) Zawistowski, Krystyna Chwin (Lars), Andrzej Krzysztof Waśkiewicz (AKW, redaktor naczelny), Jacek Kotlica, Wojtek Bonisławski, Tadeusz Rogowicz (szef GTPS, wydawca pisma)

Cierpiała z powodu swojej samotności. Wiem, domyślałam się, że choć miała różne przygody erotyczne, brakowało jej własnego faceta, chłopaka, mężczyzny.

Pochodziła z Gdyni. Rodzice zbudowali w latach trzydziestych dom w Orłowie w stylu art déco, z pięknym ogrodem, gdzie kwitły szaleńczo gladiole i piwonie... Piwonie niezwykle, nigdy potem takich wielkich, rozbestwionych, nie widziałem! Aldona wewnątrznie była właśnie taką piwonią. Jaka jest teraz?

Lato 1988

Razem - David Malcolm, jego żona Cheryl (pseudonim poetycki Georgia Scott) i ja, mieliśmy wydać antologię najnowszej poezji polskiej. Pracowaliśmy nad wyborem i tłumaczeniami ponad 2 lata. Niestety, nasz wydawca, szczecińska oficyna Glob, się rozsypała. Ostatecznie szczątkowy efekt naszej pracy ukazał się w skromnym piśmie nowojorskim „Passaic Review”. Szkoda naszego wysiłku, bo wybór był panoramiczny i dobrze przemyślany.

Wiersze Georgii Scott tłumaczyłem na polski. To poezja w dobrej, feministycznej, tradycji amerykańskiej (Cheryl pochodzi z Bostonu).



Z Cheryl Malcom, czyli Georgią Scott

W Globie padł też wybór mojej poezji erotycznej, choć zdążyli mi wypłacić honorarium zaliczkowe, co było nie bez znaczenia przy moich skromnych przychodach.

25 maja 1990

Mam już wznowioną wizę do Stanów zjednoczonych, wyjeżdżam wkrótce. Zobaczę Sybilkę.

27 maja 1990

Jestem bliżej. Czy jestem bliżej Elis? Czy Elis to moja córka Sybilka żyjąca w Cincinnati, w stanie Ohio? Czy doganiam swój los, czy po raz któryś doświadczam tylko jego dotknięcia?

Od czterech dni jestem w Olivet (Michigan).

23 maja, o godzinie 11,45 z Warszawy odlot. Duży samolot Airbus 320. Miło. Czysto. Wygodnie. Lot nad Polską (chyba nie nad Gdańskiem), Bałtykiem, Szwecją, Norwegią...

wcześniej:

nie mogłem wiedzieć, że spotkanie z Niną, Norweżką, to zapowiedź przelotu nad jej krajem. Tak, bardzo bałem się tej kobiety, ale

dlaczego się bałem, nie wiem. To wystarczyło by napisać wiersz „Śmierć Amazonki”.

Lot nad przepięknym fiordami

- dzięki ci pilocie, że obniżyłeś lot, abym mógł się zachwycić płataniną zatok, zatoczek, a potem jeszcze Islandią! Zadzwońiłbym do niej. Żałowałem, że nie ma dostępnego telefonu w samolocie. Nad Grenlandią samolot zakołował i zobaczyłem też ogromne obszary niezamieszkałe przez nikogo, kamienne, górzyste, pustynie, jakby z innego, nieziemskiego świata. Ile tu miejsca, ile zimna, pustki, oniemiałych gór bez życia.... Zrobiło mi się smutno, przykro, właściwie nie wiem dlaczego. Ale zaraz już był wielki ocean Bury. Parę godzin. Johnny Walker uspił mnie na godzinę. Jest Nowa Funlandia. Kanada. Nowy Jork. Może powinienem już pisać New York? Długa kolejka na granicy. Nieporozumienie z Immigration Office. Przyczepili się do mojej Resident Alien Card. Ale odpuścili. Na szczęście zdążyłem na mniejszy już samolot do Detroit. Ciasny. Obok dwoje ludzi, mili. Pytają skąd jestem. Bezsensownie odpowiadam, że z Warszawy, a przecież jestem z Gdańska. Oni są z Detroit. Podają jedzenie. Ręce mi drżą. Nie daję sobie rady z surówką. Jestem spięty, spocony, ale najedzony.

Jestem na miejscu. To zupełnie inne lotnisko niż New York, albo Chicago. Mniejsze. W holu czeka na mnie David Malcolm. Przez chwilę jestem jeszcze w służbie języka polskiego, bo David mówi świetnie po polsku.

Jedziemy dwie godziny samochodem, widoki nie specjalnie mnie zaskakują, może tylko polsko brzmiące nazwy małych miejscowości. Odpoczywam. Rozmawiamy o wszystkim i o niczym, tak jakbyśmy się widzieli wczoraj, a przecież już chyba z rok, jak David i Cheryl są USA.

Olivet

to mała, schludna miejscowość, jedna ulica, jeden college (tu pracują Malcolmowie), właściwie to wieś.

Ich mieszkanie to parterowy, lepszej klasy barak mieszkalny, oczywiście w amerykańskim stylu i budowa i wyposażenie.

Piwo, piwo, kolacja, dobranoc.

28 maja

Dzwonię do Elis. Nie mogę przyjechać zaraz... Wyjeżdżając z Polski byłem umówiony z Lisą, że zatrzymam się u niej w domu. Ale nie wygląda to teraz obiecująco.

cd. Olivet

Dużo rozmawiamy. Cheryl i David są bardzo troskliwi. To wspaniali przyjaciele. Zawsze czuję się zaskoczony i zażenowany, gdy spotyka mnie „niezasłużona” życzliwość i serdeczność. Teraz też tak jest.

Olivet to miejscowość jakby żywcem wyjęta z celuloidu. Wygląda jak nieprawdziwa. Jak można żyć w takim „wymyślonym” miejscu?

Mam dobry nastrój, bo ładna pogoda, a przyszłość bardzo oczekiwana. Czekam na znaki z Cinti.

Wycieczka do Charlotte i Lansing. Stolica MI jest wielkości może Kartuz, ale dumna ze swojego statusu kapitolu stanu i z parowych organów umieszczonych na wielkim kołowym pojeździe, a też z wielkiego, białego niedźwiedzia, stojącego przed muzeum. Byliśmy też w innych, pomniejszych, miasteczkach, wszystkie większe od Olivet. Wszędzie pachnie pieniędzmi i klimatyzacją (*airconditionery* naprawdę mają swój zapach).

Witają się tutaj słowem „hi” albo „Ello”. Od czasu do czasu mówimy po polsku, czuję, że kończy mi się ta bańka językowa, a więc skwapliwie korzystam póki jest możliwość.

Odwiedzamy ich znajomych, tam spotykam Hannah. Patrzę na nią jak na Elis, moją córkę. Ona to zauważa i spogląda na mnie z ciekawością. Jak prawdziwa już kobieta. A ma 9 lat. Czy Sybilka jest też tak kobieca? Czy jest jak Elis, która nad wszystkim panuje? Chyba tak, bo gdy rozmawiałem z nią przez telefon, kazała mi się uspokoić i nie denerwować. Mówiła jak dorosła kobieta. Żegnam Hannah ze szczególnym wyróżnieniem i chcę jej coś zostawić, ale co? Próbuję ją oczarować. Patrzę na nią tak, jakby tylko ona była na świecie w tym momencie. Zapominam moje inne oczarowania - Ninę, Paulinę, Lisę, Zuzannę, Grażynę, Jolę, nawet Sybilkę (choć z jej powodu to czynię).

Słysząc żaby, albo cykady, ale raczej cykady, David ani Cheryl nie potrafią tego wyjaśnić.

Coraz bliżej do Elis, coraz bliżej do Sybilki.

Olivet, 29 maja, wtorek

W czwartek wyjeżdżamy do Cinti.

Niestety, nie będę mógł się zatrzymać w domu Lisy. Powody niejasne. Wiem tyle, że muszę sobie sam poradzić. Niestety, nie ma już w Cincinnati moich starych przyjaciół, Sławka Grunberga, nadal robi karierę filmową gdzieś w okolicach New Yorku. Nie ma też, zasiedziałego w USA, drugiego Sławka, Świerczka, który byłby bardziej pożyteczny. Na szczęście mam telefon do jego rodziny, emigracji jeszcze z 1968 roku. Krzysztof Mystkowski na pewno może mi pomóc, ma swoją firmę, obszerny dom. Pamiętam go jako bardzo życzliwą mi osobę, jakkolwiek krytyczną z powodu moich zainteresowań literackich.

Dzisiaj jednak jeszcze jestem zaproszony na spotkanie towarzyskie do pobliskiej miejscowości Marshall na uroczystą kolację ze mną w roli głównej. Właściciel restauracji to niejaki pan Schuler, spokrewniony z lokalną osobowością literacką.

Wcześniej jeszcze poznałem szefową Davida, będącą odpowiedzialnikiem dziekana Wydziału Humanistycznego z jego Collegu w Olivet. I to właśnie ona, czyli profesor Linda, jest animatorem tego spotkania. Zaskakujące dla mnie jednak było zupełnie co innego, otóż ona i jej koleżanka (szefowa Wydziału Muzycznego) grają dla klienteli w tej restauracji w swojej mini kameralnej orkiestrze.. Tutaj nie jest wstydem granie „do kotleta”. Panuje większy luz i ludzie odslaniają się publicznie ze swoimi upodobaniami znacznie łatwiej i chętniej.

Linda zaprosiła mnie też jesienią na spotkanie autorskie na jej uczelni.

Czuję się coraz lepiej. Powoli odpływa ode mnie Europa.

Moje dobre samopoczucie to w dużej mierze zasługa nieustannej serdeczności Cheryl i Davida i ich znajomych, sąsiadów, którzy posiadają ogromnego kota, z usuniętymi pazurami, wylegującego się przed domem na łańcuchu.

Jest mi tutaj dobrze, ale dokucza brak własnego miejsca, bo

mieszkanie Malcolmów jest małe.

1 czerwiec 1990

Dotarłem do Cincinnati. Nie wchodzi w grę zatrzymanie się w domu Lisy. Wszystkie jej zachęty do spotkania są już nieaktualne. Szkoda. Smutne. Kłopotliwe.

Jestem już tutaj blisko tydzień. W żaden sposób nie udaje mi się porozumieć z Lisą, a to utrudnia kontakt z Sybilką.

Sybilka jest chuda i - mam takie wrażenie - lekko zaniedbana, Jest nerwowa i kapryśna. Ukrywa swoje uczucia, a na zewnątrz odgrywa cały teatr, którego nauczyła się przede wszystkim od Lisy. Ma śliczne oczy i piękny uśmiech. Ma dobry słuch i talent taneczny, chodzi na zajęcia baletowe.

Widziałem ją podczas lekcji, ćwiczeń baletowych. Jest jedyną jasnoskórą uczennicą. Nazywają ją „białą księżniczką”.

Mimo starań z mojej, a też jej strony, nasze relacje są bardzo usztywnione.

To złe relacje z Lisą rzutują na wszystko. Mieszkalem przez dwa dni „ratunkowo” w Kentucky, w Covington u Jenny, siostry Lisy. Jej rodzina zachowuje się wobec mnie fair, choć niespecjalnie pomaga. Sybilkę spotkałem pierwszy raz u babci, Sybil, która mieszka w Hyde Park, na jednym ze wzgórz Cincinnati.

Widząc, co się dzieje (lub co się nie dzieje), staram się być bardzo oszczędny i panować nad wydatkami. Nie zawiódł mnie Krzysztof Mystkowski i pozwolił mieszkać u siebie, aż się sam nie urządzę. Bardzo w porządku gość, tym bardziej, że dla niego jestem raczej pocieszną figurą: poeta, pisarz jakiś, bez zawodu, *jobu*, a też kasy. Popracowałem kilka dni w jego firmie. Krzysztof jest elektrykiem-montażystą. Hmm, cóż, akurat w tym względzie mam „ogromne” doświadczenie i umiejętności. Te parę dolarów, które zarobiłem u niego, bardzo się przydadzą.

Pilnie muszę kupić samochód. W Cincinnati transport publiczny jest tragiczny, a pracy nie znajdę tuż pod nosem, to pewne.

Jutro też chcę wynająć własny kąpielownię.

Kontakt z Lisą? Brak, poza rozmową o rozwodzie.

Inni ludzie mili, ale z dystansem.
Dobry nastrój siada...

25 czerwca

Pracuję w słynnej fabryce mydła „Jurgens”, a właściwie słynnego mydła o tej nazwie. To już w części fabrycznej downtown, niedaleko ode mnie. Stoję na końcu linii produkcyjnej i zbieram z taśmociągu wielkie kartonowe paki z właśnie wyprodukowanym mydłem i ustawiam je gotowe do transportu. Pewnie przetrzucam sporo ton dziennie. Na pewno sporo. Gdy wróciłem do domu ledwie stałem. Zrobiłem sobie godzinny masaż kąpielowy. Jutro muszę być gotowy do roboty.

Kupiłem starą sportową toyotę (która prawie nie ma hamulców, startuje z trzeciego biegu, bo jedynka i dwójka nie wchodzi).

Mieszkam na Auburn Ave. w jednopokojowym apartamencie, ponurym, ale dobrze skomunikowanym, na trasie autobusu szkolnego Sybilki. Znowu na Cliftonie.

Panuję nad rzeczywistością, ale jest ciężko.

Zastanawiam się na czym budować optymizm?

Staram się robić coś pożytecznego. Trochę piszę, trochę tłumaczę Anne Sexton. Brakuje mi starych znajomości, brakuje obu Sławków. Dyrygent pojechał chyba do Virginii. Marta Mills też wyjechała.

Nowe znajomości? Żadne sensowne. Poznałem studentkę z UC, ale, jak piękna, tak głupiutka. Nic z tego nie wynikło. Zresztą nie mam wiele czasu, dużo pracuję, głównie na nocnych zmianach. Cały wolny czas podporządkowuję spotkaniom z Sybilką.

Spędziła ze mną jedną noc i cały wolny dzień. Nie wspomina o krótkich innych spotkaniach.

Anne Sexton

Powiedział poeta do psychoanalityka

Słowa to moja sprawa. Słowa są jak etykiety,
lub monety, są jak rojące się pszczoły.

Przyznaję, że tylko wobec istoty rzeczy czuję się niepewna,
słowa odpięte od suchych skrzydeł,

od żółtych oczu nieżywych pszczoł na strychu
służą tylko do liczenia.

Wciąż muszę zapominać, że słowo może wywołać inne,
które mogłabym powiedzieć...
ale nie powiedziałam.

Zwagać na moje słowa to pana sprawa, Ale ja
na nic nie przystanę. Staram się jak umiem, na przykład
gdy wygłaszając pochwałę klekoczącej maszyny grającej
tej nocy w Newadzie, opowiadam jak magiczna pula
wyrzuciła trzy dzwonki na szczęśliwym ekranie.
Lecz jeśli pan chce powiedzieć, że to coś nie jest
tym czym jest,
to robi mi się niedobrze, pamiętając, że moje ręce
poczuły się
zabawnie i idiotycznie nasycone tymi wszystkimi
pełnymi wiary pieniędzmi.

Minął rok jak jestem w Cincinnati.

Niewiele pisałem. Bo o czym? O utrudnieniach w widzeniu
się z Sybilką? O zero kontaktach z Lisą? O ciężkiej pracy, aby
trwać? Na szczęście większość czasu już nie pracowałem w Jur-
gensie. Wróciłem do moich umiejętności piekarniczych. Jeden
job w „Pomodoris Pizza” na MacMillan, a druga praca (na nocną
zmianę) w piekarni-cukierni Virginia Bakery też jeszcze w okoli-
cy Cliftonu. Beznadziejna sytuacja. Przekłęte nudne miasto.

Fatalny mój los, że tutaj muszę walczyć o spotkania z Sybilką
i trwać.

W Polsce.

**Miriam, po raz drugi była
w Gdańsku.** Spotkaliśmy się i po-
szliśmy do Parku Oliwskiego. Po-
tem byliśmy na obiedzie. Poznałem
jej męża. Długo rozmawialiśmy
o wszystkim. Mieszka teraz w Tel
Avivie. Tam też jest obawa o co-
dzienne bezpieczeństwo i przyszłość.



Miriam Akavia.

20 listopada 1990

Przyszedł list od mojej wiernej czytelniczki Katarzyny R(u-ty) z wyrazami podziwu dla tomiku *Pułapka*. Nie pierwszy tego rodzaju list. Nie pierwszy od kobiety (której nie znam), ale przecież właśnie w znacznej mierze książka ta została napisana dla i z myślą o kobietach.

Listopad 1990

Pułapka, tytuł tomu, który wyszedł niedawno w Wydawnictwie Morskim. Zainspirowała mnie Kasia Bogucka - Krenz. Kiedyś, w latach studenckich, podkochawałem się w niej, a i ona spoglądała na mnie życzliwym okiem. Teraz spotkałem ją po latach. Ma też plecak pełen doświadczeń. Jest już kimś innym, ma dwoje dzieci, męża, dobrze jej się powodzi, a jednak...

A jednak zobaczyłem ją w pułapce. W pułapce dobrego życia i jakby już do końca zaprojektowaną. Wcale nie wydawała mi się spokojna i zadowolona, szczęśliwa, choć nic nie mogła zarzucić swojemu losowi. Akceptowała swoje życie. Tak powstały wiersze o pułapce kobiety dojrzałej i spełnionej. Szczęśliwej i uwikłanej. Nie przypadkiem w tomie umieściłem też wiersze (w mojej adaptacji językowej) Anne Sexton.

W Kasi miałem dobrego czytelnika tych tekstów, dlatego poprosiłem ją, aby zaprojektowała okładkę, według mojego pomysłu – okno, z którego **na zewnątrz** wywiewa firanka. Zrobiła projekt doskonały, szkoda, że w słabym druku, efekt został mocno przez to osłabiony. W ten sposób stała się jeszcze bardziej współautorką tej książki.

Powinienem dodać, że Katarzyna Bogucka - Krenz

jest też poetką i artystką plastyczką. Pochodzi z domu pisarskiego, mama (niespecjalnie mnie akceptowała, gdy pojawiałem się u nich w domu na Grunwaldzkiej, w pobliżu Konsulatu Chiń-



Katarzyna Bogucka - Krenz,
2001 r.. Piękna i uduchowiona.

skiego), pisała książki i była świetną tłumaczką Lorki. Ojciec zasłynął jako żeglarz światowych oceanów. Siostra, Ewa Ślaska, osiadła w Berlinie i też jest pisarką. Katarzyna jest czytana, wrażliwa. Była piękna i nadal taka jest. Gdyby mi pozwoliła, może bym za nią poszedł na kraniec świata ... Od zawsze czuję, że jest wewnętrznie szalona. Że jest ujarzmioną Erynią. Ale wiem, że jej szaleństwo nigdy się nie uwolni..

A od Kasi Boguckiej - Krenz dostałem niespodziewany telegram: „Nowy transport gołębi oczekuje”. Nie zaskoczyłem o co chodzi, a szło o gołąbki z mięsem, które przygotowała z myślą o mnie.

Waldek Chyliński (ten od poezji śpiewanej).

Ma świetną żonę. Spotykamy się teraz często. Zatrudnił mnie w „Rudym Kocie”, ale nie wyszło i znowu nie mam pracy. Ale nadal spotykamy się u niego na Przymorzu, albo miewamy upojne noce na Dywizjonu, gdzie bywa gwarnie i kobieco. Waldziu lubi wypić, ale bez przesady. Jesteśmy *szwagrami*,

jak powiada jeszcze jeden miłośnik nocnych spotkań, Jurek Wojtkowiak, który też mnie często odwiedza.

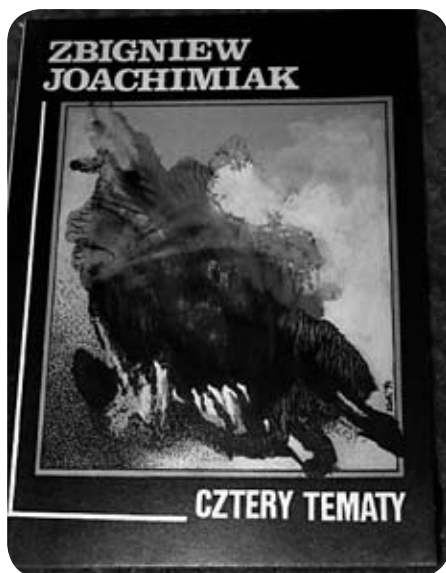


Nie udało się wydać naszej polskiej antologii w Globie w Szczecinie, udało się w Wiedniu.

5 kwietnia 1992

Książd profesor Janusz Pasierb napisał do mnie i pozytywnie skomentował wiersz *Jezus - książę z Czterech tematów*. Ucieszyło mnie to, ale z drugiej strony zaskoczyło, bo poza tym wierszem reszta tekstów wydaje się bardzo ... pogańska.

Pochwalił mój tom wierszy *Cztery tematy* Marian Kisiel. Dorota Sobieniecka, która zrobiła ze mną wywiad, wypytywała, czy wierzę w los. Odpowiedziałem, że „poezja jest miejscem, gdzie



Cztery tematy, Firet, 1991 r. jakie tematy? miłość, śmierć, słowo, Bóg.

uciekam od przypadków. Gdy piszę, panuję nad swoim światem. Może się zdarzyć, że zapanuję też nad cudzym.” Poezja jest porządkowaniem, a nie zmienianiem świata.

czerwiec 1992

To było wzruszające. W domu u Anki Czekanowicz, po latach, w zupełnie innych warunkach społecznych i politycznych, spotkaliśmy się ze Stanisławem Barańczakiem. Stanisław, wyluzowany, i, jak zawsze, otwarty i życzliwy wszystkim.

Było sporo ludzi na spotkaniu. Między innymi Adzik, Ludwika, Stefan, Małgosia Czermińska (często bywała u mnie, ale u Anki nie).



Elżbieta Wojnowska u mnie w domu na Dywizjonu.

9 maja 1996

Jest jak zwykle późna już noc, gdy piszę ostatnie słowa dnia. Zaraz zgaszę światło i będę próbował zasnąć. Nie wiem, czy to pisanie przed samym snem to neurotyczny nawyk, czy po prostu potrzeba zamknięcia dnia. Ta uwaga nie ma głębszego sensu, ani nawet przesłania. To czyste myśło-pisanie, ruch ręki, chwila wyężenia wzroku. Nic więcej? Może jednak coś w tym jest ważnego? Zwolnienie, czynność bez pośpiechu i bez napięcia. Pisząc te przedsenne słowa wracam do dawnego, prawie

zapomnianego stanu, gdy nie czułem uciekającego czasu, a śmierć wydawała mi się abstrakcją mnie nie dotyczącą. Czuję się...młodszy, pisząc te nieważne zdania do nikogo, nawet nie do siebie. I głębiej oddycham. A więc jednak neurasteniczny nawyk?



10 maja 1996

To jest melancholia?

Kończąc czterdzieści sześć lat. Wiele razy stawałem wobec poczucia i myśli, że poniosłem klęskę. Nie wiem, czy poniosłem, gdy myślę o tych wszystkich wspaniałych, różnorodnych przeżyciach, których doświadczyłem przez lata...

A jednak, jeśli wcześniej poczucie przegranej bywało gwałtowne, krótkie i intensywne, można powiedzieć „namiętne chwila”, to teraz dosięga mnie w zupełnie innej formie. Mniej gwałtownej, ale jednocześnie pomieszanej ze zdumieniem, że oto owa klęska to już nie tylko poryw uczucia, ale że jest to nudny i melancholijny stan stały. Można powiedzieć żałośnie stały.

Pytam siebie, gdzie jestem? I czy gdzieś zmierzam jeszcze poza śmiercią, no i oczywiście, do jakich małych codziennych celów? Te małe cele raczej nie zawróciły mi w głowie, ale dokuca mi brak celu głównego, tak, jakbym utracił jego świadomość. Nie potrafię ocenić, czy jest poza moimi możliwościami, poza zasięgiem...

Czy umiem jeszcze walczyć o ważne sprawy, naprawdę ważne? Wiedząc, że ich nie wywalczę? Kiedyś - tak przynajmniej mi się wydaje - nieistotna była realność celu, prowadziło mnie raczej samo pragnienie ich realizacji. Dzisiaj tak nie jest? I ta wątpliwość jest odczuwana przeze mnie jako klęska.

Wciąż jednak drzemią we mnie pokłady uczuć, miłości i namiętności.

Gdańsk 25 czerwca 1996r

Kropla

Agnieszce B.

Jest złoty czerwiec. Za oknem
lśni na liściu złota kropla.

Wyschnie czy spadnie, pytają między sobą kwiaty dalii,
Ale nie za głośno,
aby kropla wybrała swobodnie.

Ja pomiędzy kwiatami milczę,
bo wiem jak krótki jest żywot
tej małej wilgotnej kapki – łzy.

Niech lśni,
niech cały sen jej się wyśni.



Adzik Zawistowski, Jerzy Limon
i Zbigniew Joachimiak - premiera
powieści *Wieloryb* Jurka Limona.



Jan Ciechowicz i Miłka Bukowska
w Postolowie, 1998 r.

Kwiecień 1998

Jurek Limon napisał powieść pod tytułem *Wieloryb*. To bardzo nietypowe i przewrotne dzieło literackie. Ma formę dokumentu (dokumentów, ale fikcyjnych), spiętych też fikcyjną osobą, Heleną Szymańską. Jestem ciekaw, czy ten niezwykle, błyskotliwy i erudycyjny projekt literacki będzie doceniony przez czytelników i krytykę. Ja jestem zadowolony, że książka wyszła w Tower Pressie, którym kieruję.



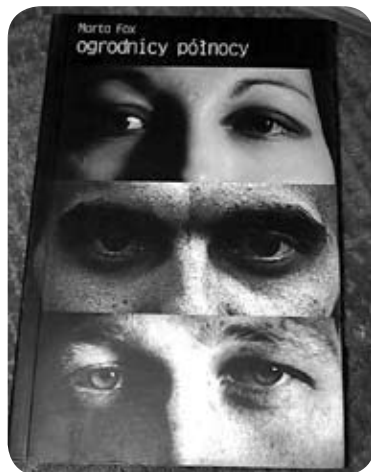
Jacek Kotlica, niedoceniony (obecnie) poeta gdański

11 maja 1998

Na polu golfowym w Postołowie odbyła się premiera mojego nowego tomu wierszy *Pestki, koral, słowa do nawlekania*.

Dziękuję Adzikowi, bo to on zorganizował tę uroczystość. Pogoda dopisała, tak więc mogliśmy się nacieszyć słońcem i pięknym widokiem pola. Było wielu wspnianych gości. Wiersze z tomiku przeczytali Janek Nowicki, Jerzy Radziwiłowicz i Krzysztof Gordon (świetny aktor gdański). Aktorzy przeczytali wiersze ze zrozumieniem, co nie jest takie częste. Byli

też krytycy z Warszawy, był chór Schola Cantorum Gedanensis w niewielkim składzie, ale wielkim głosem. Dostałem też przy tej okazji fantastyczną rzeźbę-maskę Kazika Kalkowskiego. To był prawdziwy Piknik Poetycki!



Okladka książki Marty Fox (Misia F.) *Ogrodnicy północy*

Książka niewielka, mój ulubiony rozmiar - 60 stron, ale starannie wydana w Bydgoszczy przez Instytut Wydawniczy Świadectwo, pod redakcją Jurka Suchanka (a skoro on był redaktorem, to koniecznie musiał mi poprawiać teksty).

Skromna czerwona okładka z motywem zanikających we mgle torów.

Listopad 1998

Niedługo po Pikniku Poetyckim, o książce ukazało się dużo informacji w lokalnej prasie codziennej. Serdecznie i prywatnie napisał do mnie Józef Bachórz. Zaskoczony zostałem też listem od Zbigniewa Jankowskiego, który nigdy wcześniej nie był wobec mnie nadto wylewny. A Janek Nowicki ciepło pisał o spotkaniu w Gdańsku w swoim krakowskim felietonie, w Przekroju. Na Śląsku napisała o moim tomie Anna Węgrzyniakowa. W Akancie ukazała się recenzja autorstwa Zbigniewa Rudzińskiego.



Książka jest niezwykła.

To monografia trójki autorów Wspólności.

Marta Fox zredagowała ją z wielką znajomością przedmiotu, starannie i, trzeba powiedzieć, z miłością do autorów.

Bohaterami książki są (wymieniam alfabetycznie): Anka Czekanowicz, ja i Adzik Zawistowski, ale w istocie przedmiotem prezentacji jest pewien fenomen poetycki, który powstał wokół nas i naszej poezji. Nie zabrakło wątków biograficznych.

Marta umieściła w książce wszystkie nasze najważniejsze programowe teksty, z manifestem Wspólności, włącznie. Są też obszernie zacytowane wypowiedzi o autorach i Wspólności samej Marty Fox, ale też Ludwika Topp i prof. Marii Janion, Mariana Kisiele, Jana Sochonia (trochę brakuje wypowiedzi Stanisława Rośka, hmm). Istotne są też nasze wypowiedzi w sprawie kształtu literatury polskiej lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Każdy autor przedstawiony jest zdjęciowym portretem, notą bibliograficzną oraz wierszem innego poety, dedykowanym omawianemu w rozdziale autorowi.

Anka dostała wiersz ode mnie, pod tytułem *Mają głos budzący niepokój*.

Z każdym autorem przeprowadzona jest rozmowa. Z Czeka-
nowicz rozmawia Ludwika Topp. Następnie Marta Fox cytuje
wypowiedzi krytyczne o poezji Anki, między innymi Bożeny Bu-
dzińskiej, prof. Marii Janion, Zbyszka Majchrowskiego, Marty
Fox i Mariana Kisiela. Całość autorskiego bloku zamykają wiersze,
jest ich blisko 20.

Podobnie zbudowana jest część o mnie. Wiersz, dedykowany
mnie, napisał Władysław Zawistowski. Rozmowę przeprowadzi-
ła Marta Fox, a autorami tekstów krytycznych są: Andrzej Kali-
szewski, Janusz Taranienko, Jurek Suchanek, Bożena Kowsze-
wicz, Jaś Sochoń oraz Marta Fox. Moich wierszy również jest
sporo, bo dziewiętnaście.

Adzikowi, czyli Władysławowi Zawistowskiemu, swój wiersz
zadedykował Jan Sochoń, on też napisał wstępną notę krytyczną.
Jest obszerna rozmowa z autorem i miejsce dla jego własnych
autoprezentacji. Piszą o Zawistowskim między innymi: Andrzej
Kaliszewski, Andrzej Zawada, Marian Stala, Włodek Cegłowski,
Eugeniusz Sterna-Wachowiak, Andrzej K. Waśkiewicz i Marian
Kisiel. Poeta prezentuje 16 wierszy .

Książkę zamyka rozmowa Marty Fox z Marianem Kisiel
na temat całej formacji poetyckiej reprezentowanej przez trójkę
zamieszczonych tu poetów. Znajdujemy mnóstwo wiadomości
o życiu autorów (też osobistym), wiele unikatowych zdjęć oraz
noty biograficzne Marty Fox i Mariana Kisiela. Graficznie opra-
cował książkę Tomasz Bogusławski z użyciem fotografii Janka
Ledóchowskiego.

A tytuł wymyśliłem ja.

14 marca 2000

Wiersz *Modlitwa do Zuzanny* ukazał się w dość egzotycznym
zbiorze pod tytułem *Antologia Polskiej Poezji o Miłości Rodzin-
nej*. Pisząc ten wiersz nie widziałem go jako egzemplum poezji
miłości rodzinnej, wręcz przeciwnie, pisałem go do mojej miło-
ści, pięknej kobiety, do kochanki. Cóż, siła poezji jest niekiedy
zaskakująca. Ten wiersz też zauważył wcześniej ksiądz Janusz
Pasierb.

W tomie *Między niebem a ziemią*, który się właśnie ukazał,



Czerwiec 2000, na zdjęciu od lewej: Zbigniew Joachimiak, Ludwik Stomma i Jan Nowicki (na premierze tomu Pestki, korale, słowa do nawlekania).

Jan Nowicki zarzucił mi, że nie piszę „swoich pięknych wierszy”. Dobrze, na *piękne wiersze* się zgadzam, ale dlaczego niby ich nie piszę?

- Janku, ja piszę, wciąż piszę...!

A swoją drogą książka Nowickiego świetna, powiem szczerze, nie sądziłem, że aktor (nawet wybitny) może tak dobrze pisać. Pomysł jest przedni: Jan pisze listy do swojego (zmarłego już) przyjaciela, czyli Piotra Skrzyneckiego. Bardzo to krakowskie w duchu, w treści i stylistyce, a udana oprawa graficzna również wytrzymuje ten styl. Gdy dodać, że książkę towarzyszy płyta CD z piosenką napisaną i wykonaną przez Jana Nowickiego, to widać jak starannie przemyślana i wydana jest ta pozycja, (zresztą w moim wydawnictwie Tower Press).

Muszę dodać koniecznie, że opracował i przyniósł książkę do wydawnictwa Adzik.

Antek Pawlak powrócił do Gdańska z Warszawy.

Spotkałem się z nim już na ulicy Wróblewskiego we Wrzeszczu (z Dywizjonu pożegnałem się nieodwołalnie z nutą nostal-



Antoni Pawlak

gii), w moim nowym domu, który wcześniej zajmował Krzysztof Staliński, syn prof. Janusza Stalińskiego. Cała uliczka przypomina uliczkę dla krasnoludków lub innych malutkich stworzeń. To szeregowce trochę w stylu angielskim postawione przez masonerię w czasie, gdy budowano Politechnikę Gdańską. Przeznaczone były, jak mi powiedziano, dla ubogich rodzin robotniczych tutaj zatrudnionych. I fakt, mieszkania niby piętrowe, ale malusieńkie do granic możliwości, bez piwnic, z małymi ogródkami. A jednak udało mi się zaadoptować to mieszkanko do standardów XXI wiecznych. - Mam ponad sto metrów mieszkalnej powierzchni, dwie łazienki, 3 sypialnie, kominek, niewielki ogród zimowy i piękną brzozę za oknem, co zrobiło wrażenie nawet na wybitnym przecież architekcie, mężu Kasi Krenz, który przejechał specjalnie obejrzeć to moje cudo aranżacyjne.

A zatem z Antkiem popijaliśmy whisky przy kominku

i rozmawialiśmy o wszystkim. Nie zmienił się wiele, ale jest w nim jakiś rodzaj onieśmielającego smutku.

Zawsze pisał świetne wiersze. Na początku drogi literackiej byliśmy w odmiennych „obozach”. On, wraz Marianem Terleckim, Markiem Bieńkowskim i Esdenem – Tempskim, założyli grupę Muzea Samowiedzy (1974, 1975), w tym samym czasie ja współtworzyłem Grupę Wspólność. Pamiętam, że zawsze była między nami więź i wspólny podziw dla własnych wierszy.

Nie pytałem dlaczego porzucił Warszawę. Zatrudniłem go w Tower Pressie, bo dorabiał w miejscowej prasie, na kiepskich warunkach, a przecież ma rodzinę na utrzymaniu. I ma wiele atrakcyjnych kwalifikacji!

Zamieszkałem na Wróblewskiego, choć początkowo szukałem obszerniejszego mieszkania lub domu. Chciałem, aby rodzice przeprowadzili się tu, do Gdańska, ale

zdecydowanie odmówili. Agnieszka też nie spieszy się rewolucją rodzinną, więc wybrałem wariant na jedną, dwie osoby, z możliwością nieskrępowanego przyjmowania gości. Na razie sprawdza się.

Czerwiec 2002



Zbyszek Majchrowski z żoną Joasią na premierze książki *Migotania, przejaśnienia, czerwone tunele*.

Może to nadto długi tytuł, ale taki ostatecznie pozostał: *Migotania, przejaśnienia, czerwone tunele*. To wybór wierszy z całej mojej twórczości poetyckiej. Poprosiłem Ludwikę Topp, aby pomogła mi dokonać wyboru wierszy,

bo nie jestem pewny, czy potrafię zachować właściwy dystans do własnych tekstów poetyckich.

Wiersze są dla mnie tak osobistą rzeczą i łączą się z tak nieliterackimi kontekstami, że chcąc podjąć się zadania czysto literackiego, pomoc Ludwiki była nieodzowna.

Premiera książki odbyła się w klubie artystycznym w Sopocie.

Z tej okazji wydaliśmy z Adzikiem i Antkiem, (który pracuje od niedawna w moim wydawnictwie) jednodniówkę „*Migotania, przejaśnienia*”. Jeśli odpali, będziemy wydawać ją częściej, oto winieta:



Było mnóstwo znakomitych autorów i ważnych postaci dla kultury w Gdańsku, a właściwie w Trójmieście. Przyjechało kilka osób z Polski: Ania Janko, Marta Fox, był Jurek Limon, Andrzej



Olek Jurewicz i Ludwika Topp na promocji książki *Migotania, przejaśnienia...*



Bożena Ptak i Marta Fox

Żurowski, Bożena Ptak, Zbigniew Majchrowski, Anka Czekanowicz, Aldona Mrozowska, Jaś Ciechowicz, zawsze bardzo cieszący mnie swoją obecnością, Józef Bachórz (już dawno profesor),



Marzec 2003 notka prasowa o nagrodzie m. innymi dla mojej książki *Migotania, przejaśnienia, czerwone tunele*

dawno niewidziany Andrzej Grzyb (chyba jest burmistrzem w Czarnej Wodzie, przez którą tyle razy przejeżdżałem w drodze najpierw do Krępy, a potem do Piły), byli młodzi pisarze, między innym Adam Majewski. Byli Waldek i Asia Chylińscy, zawitał Maciej Kraiński, Wacek Maksymowicz, Romek Warszawski, Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, Staszek

Rosiek, byli malarze, plastycy, był autor słynnych masek ceramicznych Kazimierz Kalkowski, dziennikarze... i wiele innych czasem nieznanych mi osób.

Jesień 2002

Wróciłem na Dubois!

Tymczasem jednak Agnieszka zmieniła zdanie i postanowiła



Agnieszka Beszczyńska-
Joachim

15 lipca 2005

moi ojcowie

miałem dwóch ojców.
obaj wyprowadzili mnie do życia
jeden ojciec mnie porzucił
a drugi otoczył mnie skrzydłami do końca

patrzę wstecz i dzisiaj - jakie jest moje życie?
i widzę, że jestem jak mój pierwszy ojciec
- całe życie gonię za swoimi rękoma,
próbuję wyprzedzić swój cień,
wywracam oczy chcąc zajrzeć do swojej głowy

a jednak jestem też jak ten drugi ojciec,
wierny swojej publiczności, nawet
gdy jest jej coraz mniej,
coraz mniej dźwięczę, tracę głos jak on,
gdy wycięli mu struny z gardła

zawsze miałem dobrą publiczność
matkę, ojca i tego drugiego, choć już nie wiedziałem,

zamieszkać ze mną wraz dziećmi.
Dobrze. Ale dom na Wróblewskie-
go za mały. Musiałem go sprzedać
i kupiłem obszerny, jednopiętrowy
dom z ogrodem przy ulicy Dubois
59. Dobrze 250 metrów!

Pod numerem 48 mieszkałem
przez pierwsze miesiące mojego
pobytu w Gdańsku. Pętla losu nie
chce mnie puścić, krąży od Oliwy,
przez Zaspę do Wrzeszcza. Ciekawe,
czy to koniec moich lokalowych
peregrinacji?

kto jest pierwszy, kto jest przed i potem,
bo byli jak powietrze niezawodnie i zawsze
trzymali mnie za rękę

moją publicznością jest też moja jedyna córka
oraz ten ja, który we mnie zawsze drzemie
a nigdy nie zasypia

czuję, że mojej publiczności wokół jest coraz mniej
a coraz więcej po tej stronie, gdzie chciałem zajrzeć
wywracając boleśnie gałki oczu,
po wewnętrznej stronie mojej skóry,
pod krzyczącym milczeniem moich dwóch ojców

może tak być musi
może bezgłos to po prostu droga od mojej publiczności,
idę za kulisy, publiczność opuszcza widownię

niepokoi mnie tylko ilu ojców ma moja córka

- - -

30 marca 2007



Jedno z ostatnich zdjęć autorstwa Sybilki. Pójdzie w jej albumie, który powinien niedługo się ukazać.

TVP Kultura: pojawia się jakiś nieznany mi facet, który leży na czymś, a na pierwszym planie buty. Przedstawia się: „wszyscy w tym kraju wiedzą, kim jestem”. Niestety, ja nie wiem. Potem mówi o Coltrainie i Davisie. Nie bardzo wiem, co, bo mówi niewyraźnie. Szkoda, bo to byli naprawdę dobrzy muzycy.

Aha, jeszcze wcześniej ktoś przedstawiał go jako ofiarę PRL-u, który musiał śpiewać na ulicy. Bum.

Późnym wieczorem

Boli mnie przez cały dzień bark.
Charakterystyczne, bo często tak jest

po długim czytaniu. Muszę przyjmować jakąś niezdrową pozycję lub się spinać, usztywniać.

16 czerwca 2008

W TVN „Skaner polityczny”. Ponownie występuje redaktor „Faktu”, chyba najbardziej ściekowego dziennika wydawanego w Polsce. Gazety, której zasadą jest epatować, pluć i działać na najniższe emocje. Słowem brukowiec. Ale to nie przeszkadza ani redaktorowi „Faktu”, ani „Skanera...”, aby reprezentant tej gazety występował w roli autorytetu komentującego życie polityczne i społeczne (czasami nawet kulturalne) w Polsce i na świecie. A zatem można zaglądać do majtek rano, a wieczorem nauczać społeczeństwo, że tak nie wypada. Pytanie: kto tu się ośmiesza – redaktor „Faktu”, czy redaktor „Skanera...”?

Już rok 2011

Muszę odnotować: Wyszła moja nowa książka poetycka - *Sezon lotów trwa*. 91 stron, 47 wierszy. Napisali o niej między innymi. Maria Jentys (krytyczka), Teresa Rudowicz (poetka młodszego pokolenia), Andrzej Wołoszewicz (filozof), Artur Liskowacki (prozaik szczeciński), Tomasz Sobieraj (wydawca, poeta, krytyk), Janusz Kobierski (ksiądz, poeta), Leszek Żuliński (poeta, krytyk) ... Wymieniam ich, bo każdy z tych autorów, to inny punkt widzenia i styl pisarski.



Listopad 2012

Ukazał się album fotograficzny Sybilki Storie (Joachimia) *A tourist in your world*. Fantastyczne zdjęcia. Zyskał bardzo pozytywne opinie w środowisku fotograficznym. Kompetentny wstęp napisał Jurek Suchanek.



26.08.2013

Gdybym wiedział, że Gdańsk to najzimniejsze latem miasto w Polsce, chyba bym nie zdecydował się zapuszczać tu korzeni.

Teraz już za późno, aby zmieniać miejsce, za bardzo lubię nasz ogród, nasz zbyt duży dom. Co mnie jeszcze tutaj trzyma? Chyba nie ludzie. Spotkałem ich, ale niewielu przetrwało próbę czasu znajomości. O tym kiedyś warto więcej napisać.

Jest koniec sierpnia. Chłodno. Nocami zimno. W ogrodzie już pachnie jesienią. Z drzew opadają liście. Ale dla begonii, pelargonii, hortensji to szczyt wegetacji.

Jutro poniedziałek.

Zaczynam składać numer 3/2013 „Migotań”. Trzeba zrobić przegląd materiałów. Będzie brakować eseistyki, ale inne działy już się same układają. Chciałem pokazać moje zdjęcia, ale przysłał mi swoje Sławek Brydak. Profesjonalne, choć nieco nudne, mają jednak swój wyrazisty styl.

Sybilka milczy.

W antykwariacie kryzys. Muszę coś wymyślić, aby ustabilizować tę rynkową nędzę.



Na premierze książki *Sezon lotów trwa*

Dobrze, że czuję się fizycznie nieźle. Martwię się jednak Agnieszka. Ten wirus jest niezwykle uparty. Gdyby jednak popatrzeć na jej mamę, to pewne, że mnie przeżyje. Mama Hania ma dziewięćdziesiąt lat i zero sklerozy.

Gapa cała w guzach. Wiem, że niedługo pożyje. Nie sądziłem, że mogę tak się przywiązać do psa. Ale czy Gapa to na pewno tylko pies?

W domu wieczory też już zimne. Wczoraj podgrzewałem swój gabinet.

Muszę wysłać książki Anny Frajlich Leszkowi Żulińskiemu i Marianowi Kisielowi. Prawdopodobnie będą dwie recenzje z jej ostatniej książki. Co siekło Wołosewicza, że tak się nad tą książką pastwił? Nie mogłem zaakceptować tej jego recenzji? Coś dziwnego jest w tej jego niechęci, mam nadzieję, że nie zwykły antysemityzm... Może jakaś osobista historia, może został przez Annę Frajlich jakoś ugryziony.

27.08. 2013



Mój portret wykonany przez Zbigniewa Kresowatego

Wpadł z facebooka do mojej pamięci Stanisław Piskor. Pozdrowiłem go i zaprosiłem do współpracy w gazecie. Odpisał, że jeśli: „masz ochotę na ryzyko, także towarzyskie (jak znam poglądy paru kolegów i koleżanek z SPP, z Twojego środowiska) - jestem gotów Ci kawałek posłać”. Nie bardzo wiem, o co chodzi i chyba nie bardzo chcę wiedzieć. Mam nadzieję, że to, co przyśle będzie ciekawe. Z mojego kąta coraz trudniej się zorientować w środowiskowych preferencjach. Kto jest (powinien być) *wyklęty*. Ilu tych „wyklętych” jest w moim otoczeniu. Niektórzy mają pretensje do Leszka Żulińskiego (i słusznie), do Kryszaka (i słusznie) ... Ale nie widzę powodu, aby zamykać im literacką twarz. A właściwie to nawet byłoby ciekawe dla migotaniowych czytelników, gdyby zechcieli napisać o tych swoich zaszłościach.

28.08.

Tevalka 1.

Kobieta w telewizji ma zakryte piersi w bardzo małej części. Pytanie, co jest przedmiotem do skrycia? Sutki.

Wszystko poza można pokazywać publicznie bez obawy o nieobyczajność, na przykład całe piersi bez sutków. Pytanie: czy można pokazywać same sutki? Tak.

Więc grzeszne jest pokazywanie razem piersi z sutkami, a jeśli jedna pierś pokazana jest bez sutka, a drugiej widać tylko sutek?

A męskie piersi wraz z sutkami nie są grzeszne?

A jakby pokazać pierś faceta grubasa z sutkami bez faceta, czy to jest już nieobyczajne?

Muszę zapytać kiedyś mojego przyjaciela, księdza Jasia Sochonia. Ale właściwie, dlaczego ksiądz miałby być tu kompetentny?

To wszystko jest dla mnie za trudne!

Tevalka 2.

Wiadomość telewizyjna: Cegła spadła na głowę kobiecie. Uratowano jej życie szybką operacją neurologiczną. Po kilku dniach kobieta mówi, że był to prawdziwy cud, że to Pan Jezus ocalił jej życie. Czy na pewno!

Pytanie: kto zrzucił cegłę? I po co jej grzebali koło głowy lekarze?

Kiedyś opowiem o tym więcej:

Ślucham z pewnym współczuciem Wałęsy,

który nieustannie broni się przed zarzutami o współpracę z ubecją.

Facet, który miał naprawdę wiele odwagi w 1980 roku, gdy stawał się twarzą tamtego wielkiego buntu społecznego. Według nawiedzonych historyków, polityków i komentatorów aktualnej polityki, Wałęsa zrobił ten cały przewrót na zamówienie komunistycznych działaczy peerelowskich (no i towarzyszy radzieckich). Pomijam, na ile to byli komunistyczni działacze, a na ile peerelowscy, to jest jednak pewna różnica.

Współczuję Wałęsie i zaraz przypomina mi się moje własne

przeżycie: chyba to był 18 a może 19 sierpnia. Weszliśmy do Stoczni w kilka osób i wpadliśmy na pomysł, że możemy napisać list popierający strajk, my, jako „młodzi pisarze”. Pomysł „kupił” również Marek Bieńkowski, wówczas szef Koła Młodych ZLP (w poprzedniej kadencji ja byłem przewodniczącym). Poszliśmy więc do Wałęsy zapytać, czy mógłby załatwić nam jakiś transport, bo przejechać Trójmiasto od Pruszcza do dalekich dzielnic Gdyni, to nie była łatwa rzecz, liczył się też czas, a my wtedy o samochodach własnych mogliśmy tylko pomarzyć.

Wałęsa zdecydowanie poparł pomysł, ale zamiast samochodu dał nam kasę na taksówkę (była to spora kwota). I ruszyliśmy w miasto!

Większość kolegów podpisała list popierający bez zastanowienia, choć niekiedy z lękiem, ale w jednym miejscu nam odmówiono, a pisarz nawet nie zechciał wyjść do nas, zostawiając swoją decyzję (o niepodpisywaniu) do przekazania osobie z rodziny. Co *osoba z rodziny* uczyniła, robiąc różne dziwne miny, zjechaliśmy z ich X piętra z poczuciem zawodu.

Wkrótce potem, jak już Sierpień zwyciężył, dowiedziałem się z *bardzo dobrych źródeł*, dlaczego ta osoba nie podpisała apelu: otóż, dlatego, że uznała, iż ja jestem agentem bezpieczeństwa i dokonuję prowokacji. Nie wykluczam, że do dzisiaj tak o mnie mówi.

Osoba, która wtedy nie podpisała apelu wspierającego strajkujących stoczniowców dzisiaj bardzo chętnie występuje w różnych mediach w roli autorytetu moralnego i nadal śmiało rozdaje opinie o innych. **Bum**. Ale, tak się składa, że w zasadzie zgadzam się z tymi jego obecnymi publicznymi enuncjacjami. Bo przecież to mądry facet. Myśliciel. Prozaik. Eseista.

Obsesje prowokacji i wtyczek ubeckich były powszechne, choć niekiedy te obsesje wykorzystywano instrumentalnie. Jeszcze w dniach trwającego strajku postanowiliśmy w niewielkim gronie stworzyć i wydawać pismo literackie, oczywiście, jak najbardziej rewolucyjne i w nowym opozycyjnym stylu. W zespole był Darek Filar, Staszek Rosiek, Marek Bieńkowski, Marian Terlecki i ja. Może jeszcze ktoś? Nie jestem pewny. Pismo

chyba nazywało się „Naprzód”, albo „Naprzeciw”, albo jakoś tak (nie pamiętam, bo ukazało się chyba półtora numeru, ok. 30 stron w formacie A-5). Pierwsze zebranie redakcyjne odbyło się w moim mieszkaniu na Dywizjonu 303, ale już drugie, z jakichś niejasnych powodów, u Staszka Rośka na Brzeźnie. Na trzecie kolegium nie zostałem zaproszony.

Po latach dowiedziałem się, że Marian Terlecki wyeliminował mnie z redakcji, twierdząc, że jestem *wtyczką*. Dzisiaj to wesołe, ale wtedy?

Parę lat później okazało się, że to właśnie Marian Terlecki współpracował ze Służbą Bezpieczeństwa jeszcze przed czasem strajkowym. Pozyskano go dla SB, gdy pracował w Telewizji Polskiej, najprawdopodobniej w drodze szantażu, bo chłał niemożebnie i pewnie wplątał się w jakąś kabałę.

Odwiedził mnie w antykwariacie Piotr Muldner-Nieckowski.
No to sobie pogadaliśmy! Głównie o środowisku i SPP i ZLP.

A to dowód jego obecności:



5 września 2013

Nie wiem dlaczego, ale od czasu do czasu dopada mnie re-

fleksja nad bezmiarem piekła, jakie urządzili światu chciałem powiedzieć Niemcy, ale to nie byłoby precyzyjne, trzeba powiedzieć: niemieccy naziści, bo to jednak chodzi o pewien format człowieka-faszysty. Wpadam wtedy w zadziwienie, potem w złość... Zadziwiać musi fakt jak nieomal cały naród, duży naród, z gigantycznym dorobkiem kulturowym, Niemcy, mogli wpaść w taki amok nienawiści i okrucieństwa. I jak to się stało, że naród, który wybrał zło i który nigdy nie poniósł adekwatnej kary, dzisiaj tworzy rdzeń zjednoczonej Europy, jest jej ekonomiczną mocą, jest jej napędem ekonomicznym.

Ironia historii nie ma granic, gdy pomyśleć, że to oni, Niemcy dzisiaj wpuszczają emigrantów i dają im ochronę, a narody, ofiary nazizmu, budują mury przed uciekającymi przed wojną matkami z dziećmi.

Ale to nie tylko wielki naród niemiecki uwielbiał nacjonalizm i faszyzm. Kto pamięta dzisiaj, że mała Słowacja, już po rozbiórce Czechosłowacji, buzowała od faszyzmu w erze rozkwitu hitleryzmu i II wojny światowej? Kto pamięta, jak ten niebogaty kraj był rozrzutny, gdy płacił niemieckiej maszyni faszystowskiej za unicestwienie ludzi, po 500 marek za każdego Żyda zabranego z Bratysławy do obozu koncentracyjnego.

Łatwo zapomnieć, że i w Polsce popularny był faszyzm,

antysemityzm, ławkowe getta, nasze własne obozy koncentracyjne (Bereza Kartuska), Kult Wodza...

Nie wiem jak do tej hekatombi mogło dojść, choć z drugiej strony wiem, gdy widzę pewne zachowania, charaktery, ideologie, które dzisiaj zyskują na znaczeniu. Gdy widzę zapiekłości ludzkie, ideologizm, jako metodę interpretacji świata, jak widzę „misjonarzy”, ludzi uważających, że skoro mają rację, to upoważnia ich to do zmuszania innych do tej racji.

Chciałbym być obiektywny, może nie jestem, ale widzę, że tak się dzieje najczęściej w zachowaniach pravicowych, religijnych, w Kościele polskim, a na świecie w Islamie, wśród dziennikarzy typu Terlikowski, w stylach zachowań nuworyszy...

To banalne, wiem, a piszę o tym dlatego, bo nie chciałem,



Sybilka Storie-Joachimciak. Jaka ona jest piękna!

aby moje milczenie w tych sprawach mogło być kiedykolwiek i przez kogokolwiek potraktowane jako akceptacja tych zjawisk. Chcę jakoś się wytłumaczyć z gwałtownych moich zachowań, gdy protestuję przeciwko tym profaszystowskim zjawiskom.

Sybilka milczy. Zaszyla się na mnie.

Nie tylko na mnie, ale na mnie też. Ja też zaszywam się. Zaszywam się, bo to jakaś metoda na przetrwanie do pojutra.

Zastanawia mnie to, że Sybilka tak łatwo rezygnuje z sukcesu, który

jest w jej zasięgu. Robi niesamowite zdjęcia i prawie ich nie lanuje. Pokazuje te fotografie, ale raczej to jest sposób mówienia, kontaktowania się doraźnego... Ona tylko żyje doraźnie. Tylko doraźnie?

ma wiele ramion

delikatnych i ruchliwych.

Dotykają wciąż i wciąż na nowo, od początku od samego Początku, od dotkliwości i tliwości aż do bólu, od nowa do bólu, do starego nowego bólu

aż ramiona się załamują ręce wykręcają.

Nie kończy się ten marsz ramion do nowego nowego...

nowego, aż staje się nie do zniesienia,

do płaczu do do do.

Delikatne palce oblaskawiają wszystko wokół, płaczą nitki, rozmazują łzy

sięgają do dalekich oczu, rozmazują tusz, przekrwione
białka,
pieszczą czas, całują okna ciała, obrazy, czasami
zawieszają się na
odbiciach czarnobiałych, odbicia uciekają od kolorów,
pogryzionych palców, resztek paznokci.
W końcu zaplątują się w szepeczące węże - warkocze.
Zwijają się szepty, zapadają w ciszę, ciszę
na chwałę mroku.
Aby się na nowo wyzwolić i dotykać na nowo ruchliwymi,
kruchymi ramionami na chwałę
przebłysków jasności, migotań, dni, które mają nadejść
by pójść znowu do nikąd.
Jej ruchome ramiona nie mają kości,
mają tylko krew, spazmy
I sam dotyk nagich opuszków, palców bez naskórka.

- - -

W antykwariacie horror. Nie ma klientów. Z czego ja mam
żyć? Nie ma sprzedaży.

Zauważyłem jak bardzo trudno oderwać się od własnej geografii.

Niby wiele razy się przeprowadzałem, ale ostatecznie poza
dalekim amerykańskim wypadem, cały czas się kręcę w odle-
głości kilku kilometrów. Po przyjeździe do Gdańska w 1973
roku cały czas mieszkam w promieniu trzech kilometrów. Za-
cząłem na Dubois, potem było kilka lat w akademikach w Oli-
wie na Polanki, potem Zaspas – Dywizjonu 303, następnie Wró-
blewskiego we Wrzeszczu i znowu jestem na Dubois, gdzie
może już zostanę. Do wszystkich tych adresów można dotrzeć
w 15 minut.

Oto wszystkie moje ulice na których mieszkałem:

Szczecin - Sienkiewicza, Śląska, Gdańska; Gdańsk - Dubois,
Polanki - Macierzy Szkolnej, Dywizjonu 303, Wróblewskiego,
Dubois, ale jeszcze były w Cincinnati: Chickasaw St. Burnett

Ave., Auburn Ave. a też Overview St. w Newport, Kentucky. Do nich jest nieco dalej z Gdańska, ale i te amerykańskie adresy były w krótkim promieniu 3 mil.

W takie zimne, jesienne dni jak dzisiaj tęsknię do ciepłych poranków w Cincinnati, a jeszcze bardziej do tamtejszych gorących wieczorów, gdy cykady zagłuszały wszystkie inne hałasy miasta.

wrzesień 2013

Już od 11 lat mieszkam w nowym domu na Dubois. Z Agnieszką od 2002 r.



Nasz dom na Dubois 59, już po remoncie.

16.09.2013

Tematy, przemyślenia...

- dlaczego czytam fantastykę, a szczególnie fantastykę naukową? Wytlumaczenie, że to bajki dla dorosłych chłopców to za mało.
- ile było przyjaźni? A w tym temat JD, historia chłopców spotykających się na Małkowskiego.
- dlaczego warto pisać dziennik. Albo nie warto?
- skąd myśli o samobójstwie i jednocześnie wręcz przeciwnie, fascynacja życiem?

- a też fascynacja starością, słabnąca, gdy sam staję się stary, hmm.

- Krzysztof Gąsiorowski żegna mnie na Okęciu, gdy odlatuję do Cincinnati.

- Krzysztof idzie ścieżką wzdłuż jeziora i popierduje (a ja nie wiem jak się zachować), Krzysztof mówi „odczepcie się” i umiera kilka lat **przed** śmiercią, ze dwa lata najmniej...

To na potem.

17 września

Dzisiaj rocznica agresji radzieckiej na Polskę.

Abstrakcja. Historia.

A jednak kawałek mojej osobistej pamięci sięga w te zaprószone, biedne, zagruzowane czasy. Kule na ścianie domu w dzieciństwie, to była rzeczywistość. Nie dziury, ale kule, można je czasami było wygrzebać ze ściany.

Zamykam powoli numer 3/2013 „Migotań”.

Agata okazuje się cennym nabytkiem, czyta, redagując teksty, i ma do nich... stosunek. Muszę przyznać przed sobą, że nie chce mi się czytać wszystkich tekstów, które napływają do redakcji. Czasami ufam, bo dobry autor, czasami zawierzam, że Karolina przeczyta tekst.

Poezję raczej kontroluję. Podobnie eseistykę. Ta ostatnia jest dla mnie najważniejsza, bez niej „Migotania” nie mają wartości.

Ale prozy nie chce mi się czytać. Poza wyjątkami.

Dzienniki zawsze czytam.

Wychodzi na to, że nudzi mnie literatura „literacka”.

Czytanie dzienników jest intrygujące, trochę jak podglądactwo.

Nawet gdy w nich nie ma wartkiej akcji. Gdy dowiaduję się na przykład, że tam, że u nich, że oni, że siedzieli na przykład przy prostokątnym stole. Te banalne informacje bardziej mnie fascynują, niż intelektualizm z pogranicza grafomaństwa takiego

na przykład jak u „mojego” autora Ciepielewskiego (przysłał mi go z rekomendacją Artur Liskowacki).

A fragment dziennika Anny Frajlich jest świetny, choć wydaje się, że nie ma w nim nic nadzwyczajnego, po prostu dzień po dniu, zwykłe spotkania, zwykłe kłopoty. A więc jednak w tym coś jest!

Wracając do Agaty i czytania tekstów. Zaproponuję jej wejście do redakcji. Może sprawi jej to przyjemność, a ja zyskam większe poczucie bezpieczeństwa, że w gazecie nie pojawią się przeoczone głupoty.

Aha! Miałem to zapamiętać:

Czego mi brakuje z dawnych czasów?

- ulic na których nie ma samochodów, popołudni niedzielnych, gdy ludzie siedzą w domu, a po ulicach przemykają tylko nieliczni przechodnie.

Tak było na Sienkiewicza – cała ulica bez jednego samochodu, lampy gazowe i mnóstwo dziur w asfalcie.

Brakuje mi też bardzo gwiazdzistego nieba. Pamiętam, że kiedyś gwiazdy były widoczne i to bardzo. Rozświeślały niebo tysiącami migotań. Dzisiaj niebo jest zajaśnione miejskimi światłami. Próbowałem zobaczyć więcej gwiazd, siedząc wieczorem w ogrodzie. Owszem, po pewnym czasie widać było ich nieco więcej, ale to daleko do tego, co widziałem na niebie w Krępie (Krajeńskiej).

Brakuje mi też ciszy. To moja wina. Zawsze coś obok brzęczy, albo radio, albo płyta, albo telewizor. Zastanawiam się, kiedy zaczęło się to uzależnienie od dźwięku? Bo to jest uzależnienie, wszak włączam te *hałas*y z własnego wyboru. Chyba zaczęło się to w latach siedemdziesiątych i był to szlachetny początek... Słuchałem muzyki. A od kiedy muzyka stała się hałasem? Nie wiem. Od chwili, gdy włączałem ją i przestawałem słuchać.

Byłoby atrakcyjnie wierzyć w życie po życiu. Prawie jak wierzyć w Boga, który wszystko za nas załatwi.

Albo, na przykład, gdyby móc powiedzieć coś do osoby, która już odeszła, a ona by to usłyszała. Miałbym dużo do powiedzenia...

Sybilka napisała, że nie przyjedzie do Gdańska

by tu zamieszkać. Że mnie kocha, że jej tu było dobrze... ale uważa, że Europa, to nie miejsce dla niej. Napisała to dość zgrabnie.

Ale ja wiem swoje. Poddała się. Nie chce wysiłku. Nie chce nowego. Nie chce zdobywać świata. Pogodziła się, a może znalazła nawet w tym zadowolenie, że świat wokół niej, w Cincinnati jest prosty: job, krąg płytkich znajomości, proste ludyczne odreagowania... I nikt nie kontroluje jej zachowań, jej ekscesów, alkoholu, może nadal prochów... Raczej nawet na pewno, mimo że zapiera się, że już nie bierze. Napisała też, że zawiesiła na razie fotografowanie.

Boże! Dokąd Ona idzie?

Gdy przestaję się o nią martwić, gdy przestaję się o nią bać, wtedy złoścę się, że jest tak fantastyczną fotografką i marnuje talent, to swoje niesamowite oko... Nie podejmuje wyzwania, nie przyjmie zaproszenia na wystawę do Bashi Maryanskiej (Basia to żona Marka Bieńkowskiego) na Manhattanie. Jest to dla niej albo zbyt trudne mentalnie, albo nie jest atrakcyjne. Nie wiem.

Powinna mieć dobrą opiekę psychologiczną. Nie pozwoli jednak, bym jej to zorganizował. Nikomu nie pozwoli.

22.09

Przysłała informacja o Warszawskiej Jesieni Poezji. Zadeklarowałem kiedyś, że pojadę i teraz wypada dotrzymać słowa. Czuję się niepewnie. Bo nie jeżdżę już na spotkania literackie od lat. Teraz też nie wiem dlaczego to robię? Chyba dlatego, że miałem miły kontakt z Markiem Wawrzkiwiczem. Nie znam jeszcze dokładnej daty, ale to chyba w październiku.

28.09. 2013

Sobota. Słońce. Deszcz. Słońce, Deszcz.

Ani Czekanowicz zaproponowałem publikację w postaci plakatu z jednym wierszem i zdjęciem. Odpisała, że „podjęła decy-

zję” już nie publikować. Ciekawe! *Podjęła decyzję*. Może to po prostu była grzeczna odmowa? Nie wiem.

Ale jakoś tak się rymuje z postawą Antka Pawlaka, który niedawno mi napisał, że wypisuje się ze wszystkich organizacji, w tym SPP.

Pytanie jest takie: czy praca na ważnych stanowiskach administracyjnych pozwala na pracę twórczą? Mam wrażenie, że oni oboje zapamiętali się w tym oddaniu dla „władzy”, dla swego pracodawcy, Adamowicza, prezydenta miasta. Dla misji? Ale jaka to misja?

Antek przestał pisać swoje świetne felietony. Gdzieś usłyszałem, że nie chce już pisać wierszy. Nie wierzę.

Anka od dawno wprawdzie nie ujawniała się jako czynna poetka, ale przecież chyba się nie wypiera tej części swojej działalności w życiu. Nie wiem, czy była dobrą poetką, bo trudno oceniać kogoś, kto pisał w takiej bliskości ze mną, ale była wyraźna, zauważalna... Ciekaw jestem czy zostanie w pamięci ludzi jako urzędniczka, czy jako poetka. Obstawiam to drugie.

Może dramatyzuję. Może przychodzi czas i naturalnie przestaje się czynić coś, co kiedyś było ważne. Ja też niezwykle mało piszę. Ale mam „Migotania”...

Podnoszę głowę do góry

Jestem w sposób jedyny możliwy.

Wpadam i wypadam z roli. Gram ukochaną córkę,
Czasami dziecko, kobietę fatalną, bywa, że jestem artystką.

Jestem też czasami otchłanią, ogniem, piekłem.

Jestem otwartymi w krzyku ustami.

Chodzę równym krokiem, albo kuleję.

Podnoszę głowę do góry i chcę aby moje łzy zamarzły
pod zimnym dotykiem nocnego nieba i gwiazd.

Moje wybory to nawet nie tasowanie kart.

Karty służą jedynie do wróżb, a nie stanowienia
o moim niecodziennym i codziennym życiu.

Karty dają złudzenie wyboru.

Ale ja żyję tylko na tej jednej kruchej ścieżce.
Mojej ścieżce.
Widzę, że spadł śnieg.
Na poboczach nie widać znaków drogowych ani świateł.

Niosę w sobie moją drogę. Rozwija się przede mną,
ode mnie.
Zawsze jest trzy kroki przede mną. Nie widzę jej z tyłu,
za mną,
mojej drogi z mojej drogi.
Chwilami kusi mnie aby wejść pod rzęsiste światła
sąsiedniej ulicy.
Pod jarzeniowe światła mijanych teatrów i kin.
Może nawet momentami udaje mi się to,
tak myślę, gdy patrzę na zdjęcie z albumu, fotografie
u znajomych.
Wciąż jednak wracam na stary trakt.
Mówią, że to źle, że trzeba pokonywać, przekraczać ...
Ale ja czuję, że tak jest właściwie i tak powinno być.
I przestaję na chwilę obgryzać paznokcie.
Szron osiada na poboczach.
Wiem, tak ma być.

29.09

Ślawek Grunberg dzisiaj napisał:

„Nie wiedziałem, że to ty wydajesz „Migotania”, o którym to wydawnictwie mówiono w Columbia University na spotkaniu kilka dni temu”.

Zastanawiam się, kto mówił i co, może to ma coś wspólnego ze słowami poniżej, które napisała Anna Frajlich:

„Ze dwa tygodnie temu dostałam dwa numery „Migotań” i sporą część już przeczytałam zważywszy, że pracuję dość ciężko: dwa lektoraty i seminarium. Uważam, że Twoje „Migotania” są naprawdę dobre. Pierwszy raz dostałam „Blizę”, przeczytałam coś niecoś, są tam impresje Heńka Grynberga o mojej książce, ale Twoje „Migotania” bardziej do mnie przemawiają. Wiesz jak lubię Szarugę i Liskowackiego, ponadto masz dużo ciekawych rzeczy autorów, których nie znam”.

Dobry dzień dla „Migotań” w Nowym Jorku.

Anna napisała wiele więcej miłych słów. Cieszę się, że ta korespondencyjna przyjaźń się rozwija. Choć jestem nieco zaskoczony, bo przecież tkan-ka korespondencji jest dość partykularna i wąska, to tylko kontakty redakcji z autorką. A jednak pomiędzy konkre-tami dotyczącymi publikacji, nowych tekstów, coś ciepłego się zrodziło. Na pewno z mo-jej strony.



Anna Frajlich

Jest to możliwe dzięki również dzisiejszym szybkim instrumen-tom komunikacyjnym, mam na myśli oczywiście internet, który pozwala na błyskawiczną odpowiedź, szybkie reakcje, ujawniają-ce i zawierające więcej emocji, w opozycji do długich i przemy-ślanych listów papierowych. Choć tych drugich jednak żał.

Kiedy napisałem ostatni prawdziwy list? Chyba z 15 lat temu. Niesamowite.

03.10.

Maniakalnie, wieczorem, codziennie myślę o Sybilce. Dla mnie to mała dziewczynka, a w istocie przecież dorosła kobie-ta, zaplątana w swoją egzystencję i zupełnie oderwana od losów ojca, czyli mnie. Jestem jej, co najwyżej, niedziela, wakacjami od zwykłych dni. Może nawet jakimś oddechem. Ale, gdy wyrównu-je oddech, wraca do swojego świata.

I tak musi być.

O wyjeździe do Warszawy na Jesień Poezji myślę z coraz większą paniką. Ciekawe, czy ostatecznie wyjadę? Możliwe, że w ostatniej chwili się wycofam. Tak jak ze wszystkich w ostat-nich latach wyjazdów literackich.

Dzisiaj niedziela, dzisiaj święto.

Dzisiaj siedzimy razem, ja wtulona w ciebie.

Dotykasz mnie, tato, czuję jakbym sama głaskała swoje ramię.

Jestem z twojego ciała. A odrębna. Inny wszechświat.

Przenika mnie twoja krew. Przenika twoja pamięć.

Przenika pamięć komórkowa. Pamięć codzienna. Pamięć przekleństwa.

Jak długo jeszcze trwać będzie dzień dzisiejszy?

Jak długo utrzymasz mnie na uwięzi swej troski?

Czujesz? W środku pękają mi kości. Twoje kości. Moje kości.

Kruszą mi się włosy. Już krzyczę, ty tego nie słyszysz.

Dotykaj mnie, tato.

Tak trwa ta nieskończona chwila, ta powtarzana chwila,
ta rymowana

chwila, która może zakończyć się tylko odjazdem w górę,
w niebo, w mróz

czarnego nieba, pustego ryczącego kosmosu.

Tam jesteś,

bo tam ciebie nie ma.

Dlatego trzymaj mnie, moją twoją rękę. Twoim moim ciałem.

Twoim moim strachem.

Wiesz. Na pewno odchodzę.

I ty.

Zmierzcha się niedziela,

minęła już wczoraj.

- - -

Gdańsk 2013

Jaś Sochoń.

W Fundacji (Światło Literatury) wydałem książkę: Jan Sochoń, *Wizerunek*

Jaś kiedyś był moim przyjacielem i bardzo intensywnie pisywaliśmy do siebie.

Tworzył bardzo dużo wierszy, ale też uprawiał krytykę. Pisał nawet o moich wierszach, ale to było jeszcze w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Janek był bardzo ciepły, rozmowny, wtedy studiował polonistykę w Białymstoku (pochodził z Wasilkowa) i chyba już częściowo w Warszawie.

Był przez nas lubiany, a zatem chętnie go gościliśmy w Gdańsku. Często bywał u mnie, Adzika, a też u Anki Cz. (zresztą nie tylko on, bo u niej bywało wielu fantastycznych poetów, pisarzy, krytyków).

Dom Anki był swoistym salonem literackim - jej małe poddasze było bardzo pojemne, jeśli chodzi o gości. Janek uczestniczył w naszych imprezach literackich, w tym na seminariach w Wieżycy. Był to czas, kiedy bardzo mocno identyfikował się z gdańskim środowiskiem wspólnościowym, a potem nowoprywatnościowym. Miał tysiąc zalet i jedną kłopotliwą wadę - pisał mnóstwo złych wierszy. Ostatecznie poszedł do warszawskiego seminarium i tam zaczął się jego odwrót od gdańskich przyjaciół. Warszawka, to warszawka.

Zmieniło go też powołanie... Wcześniej dyskutował, rozmawiał, słuchał, teraz zaczął nauczać, niestety nie tylko w kościele i wiernych.

Ta okropna cecha polskiego kościoła i jego polskich urzędników, poczucie wyższości nad „cywilami” dotknęło również Janka. *Ksiądz* Jan Sochoń stał się inną już osobą, nie tym dawnym, ciepłym, rozumiejącym przyjacielem. Niemniej jednak pozostaliśmy w kontakcie do dzisiaj, zachowując wszelkie pozory przyjaźni.

Przez jakiś czas pracował w parafii księdza Jerzego Popiełuszki. Potem pracował nad materiałami pisemnymi w procesie beatyfikacji księdza. Wiem, że jest to dla niego powód do dumy. I może słusznie. Nigdy nie miałem okazji mu powiedzieć, że byłem też anonimowym autorem (może pierwszej) biograficznej książki o Popiełuszcze.

Jasiu był u mnie w zeszłym roku, ale krótko, wypiliśmy trochę

czerwonego wina, poopowiadaliśmy sobie różne rzeczy, choć chyba nie te najważniejsze. Nie było klimatu.

Bardzo sobie cenię jego eseje, które nadsyła mi do „Migotań”.

Są to teksty filozoficzne, wyraźnie nacechowane teologicznie. Zasadniczo spełniają chłodne i obiektywne kryteria rozprawy naukowej, obracają się wokół historii i krytyki filozofii, zawsze wiadomo jednak, że to nie „cywil” je napisał.

Dzięki jego tekstom udaje mi się manifestować w gazecie otwartość na różne skrzydła światopoglądowe. Dzięki Janku!

Dla rzetelności opowieści muszę dodać, że jeszcze jeden książdż jest moim stałym autorem, też poeta, Janusz Kobierski.

Wracając jednak do jego książki, która wyszła u mnie. To znacznie lepsze teksty, niż te, które pamiętam z naszych dawnych kontaktów.

Jaś opanował warsztat niekiedy w najwyższym stopniu, i wciąż mnie zaskakuje swą tęsknotą do miłości, niespełnionej, jej poszukiwaniem. Teraz jego wyznania miłości są ukierunkowane do Boga, i wierzę, że tak jest, tylko dlatego wciąż mam poczucie, że głód miłości u Janka jest nie tylko teologiczny?

Książka jest dobra, starałem się, aby wyglądała też pięknie.

Jedna rzecz, Janku, nie musisz wydawać dwóch tomików rocznie, a i pisać nie musisz tysięcy wierszy.

06.10. 2013

Nie mogę nie zacytować fragmentu listu do mnie od Anny Frajlich:

(...) „muszę też Ci powiedzieć, że to, co Ty zamieszczasz w „Migotaniach” na temat literatury rosyjskiej, to ogromna Twoja zasługa, patriotyczna zasługa. Jest w Polsce tendencja z pobudek politycznych negować ogromny wkład literatury rosyjskiej do kultury światowej. „Migotania” tę lukę uzupełniają. Czytam te teksty, podkreślam i podziwiam Ciebie i Twoich autorów.”

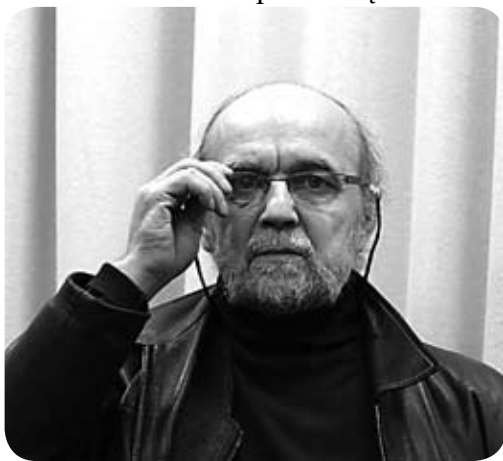
Faktycznie, dość systematycznie pojawiają się u mnie teksty

dotyczące literatury rosyjskiej. Jestem wychowankiem Uniwersytetu Gdańskiego, gdzie doceniano kulturę i literaturę rosyjską. Jak to dzisiaj jest na uniwersytetach, nie wiem.

Druga okoliczność, dlaczego tyle poświęcam Rosjanom miejsca, jest bardziej jeszcze banalna: po prostu znam kilku świetnych znawców literatury rosyjskiej, by wspomnieć tylko Bogusława Żyłko (najwybitniejszy chyba znawca formalizmu rosyjskiego, a też literatury pierwszej połowy XX wieku w sowieckiej Rosji). Jest też Leszek Szaruga, Krystyna Śmiechowicz (tłumaczka), Mirka Suchanek (żona Jurka Suchanka, świetnego poety) i wielu innych...

„Migotania” stoją siłą swoich autorów, jeśli jest to pismo znaczące, to tylko dlatego, że piszą w nim znakomici pisarze, literaturoznawcy, krytycy.

Jola nie była żoną Sławka, był to długotrwały związek i może szkoda, że małżeństwo Sławka rozpadło się znacznie później, gdy Jola wróciła już do Polski i nie ukończyła studiów doktoranckich na uniwersytecie w Urbanie. Gdyby przetrwali jako para, Jola byłaby phd, mieszkałyby w Stanach Zjednoczonych i nie doszłoby do - moim zdaniem - katastrofального związku z Jurkiem D., który życiowo jest wyłącznie pijawką.



2013 r., jestem w moim antykwariacie

Historyjka z mojego punktu widzenia była dość zabawna. Gdy przyjechałem do Cincinnati, miejscowe przyjazne dusze (amerykańskie, nie polonijne, bo tam de facto nie było środowiska polskiego, tylko nieliczne Żydów polskiego pochodzenia), zapowiadały mi, że wkrótce przybędzie ciekawy człowiek i to Polak... I przyjechał. Sławek Grunberg. Umówiliśmy się i, jak to bywa przy alkoholu, Sławek opowiadał mi o bardzo sympatycznej kobiecie,

z którą romansuje, a która go wkrótce odwiedzi. Cóż, odwiedziła. Okazało się, że to moja była żona, Jola, z którą wcześniej się rozstałem i rozwiódłem.

Życie! Z Jolą Rajz byłem z 8-9 lat, potem, gdy związek nasz się rozpadał, postanowiliśmy wziąć ślub, ale to tylko przyspieszyło nasze pełne rozejście.

Cięcia

Stoisz na brzegu morza, to może być zatoka.
Odkręcasz się do tyłu,
jesteś żyletką - przecinasz równo świat, tę plażę
na dwie połowy – żółty piasek odchyła się na boki
w ironicznym wilgotnym uśmiechu.
Z jednej strony widzę ciebie.
Z drugiej – być może - da się mnie zobaczyć.
Mrużysz oczy, tniesz całą powierzchnię.
Teraz tniesz tętniące mrokiem chmury.
Chmury są kamienne.

Przez cięcia przedostają się fioletowe przebłyski,
potem zmieniają się w purpurę, a potem gwałtownie
wszystko
się wyciemnia.
Się.
Każde cięcie, to krok od.
Każdy błysk żyletki pogłębia ciemność i chłód.

Stoisz na brzegu.
Żyjesz na brzegu.
Na brzegu,
na skraju,
jesteś ostrzem żyletki.

Nawet nie o milimetr obok

Ile razy można odchodzić?
Ile razy, pytasz się siebie.
Ja też pytam.

Idziesz krok za krokiem do przodu,
wychodzisz na tańce w mieście,
wyjeżdżasz na sesje fotograficzne,
odwiedzasz bliskich. Mówisz przyjaciółom witajcie...
A odchodzisz.

Widzę tego młodzieńca jak wpatruje się
w ciebie, gotuje się do długiego spaceru,
nie wie, że już odeszłaś
z innym bez tego innego.
Zbierasz ubrania, zakładasz słuchawki, słyszę gwizd
zamka błyskawicznego torby podróżnej,
gdy nieskończenie długo
zamyka ostatni Twój pobyt tutaj.

Mówisz zaraz przyjdę
i odchodzisz.
Zaraz już będzie na zawsze?
- pytasz się siebie,
za siebie?

(Bo można odchodzić
nieskończenie wiele razy
I wciąż tkwić w sobie, nawet o milimetr
nie obok).

Penny line

Ta ścieżka jest zwykła. Jak każda inna.
Na początku ledwie widoczna. Drepcze do przodu.
Na ogół do przodu, czasami zawija się i cofa.
Widzę zielone drzewa wokoło.
Są też nigdy nie poznane wielkie brunatne głązy.
Niektórzy widzą czarny regularny prostopadłościan, jest
jakby
z boku, może trochę w górze, a może całkiem gdzieś
w oddali i w dole.
Nie chłonie światła, mówią, ale jeśli jest widoczny
jednak je emanuje,

może to Bóg, pytają? Nie wiem.
Raczej nie, ścieżka nie ma śladów nadzwyczajnych
ingerencji.
Wije się. Prowadzi prosto. Lub nie, różnie bywa.
Czasami rozwijają się fantastyczne krajobrazy.
Chwilami wszystko
ciemnieje.
Skąd ten black out i dlaczego?
Właściwie nieważne, bo potem się wyjaśnia.

Słyszać różne głosy. Piękne. Straszne.
Miło idąc ścieżką rozmawiać.
Ścieżka staje się powoli drogą. No, może dróżką.
Ale z perspektywy środka może wydawać się wielką
autostradą.
Wielopasmową autostradą, bo równolegle zauważam
inne poruszenia, pędy, pojazdy, biegaczy, niektórzy to
ludzie, na przykład
wielcy aktorzy - odgrywają akty znanych sztuk.
Tak się przynajmniej wydaje, gdy idę tą ścieżką.

Przyglądam się swoim stopom. Krok po kroku. Jednak
do przodu.
Krok po kroku wydeptują przestrzeń. Te stopy.
Krok po kroku - ta przestrzeń - staje się drogą, ścieżką.

Chwilami przystaję.
Przystaje też ścieżka.
I w pewnym momencie widzę, że ty, córko moja,
idziesz przede mną.
Wydeptujesz moją ścieżkę.
Swoją moją drogę.

Idź moja kochana,
bo jesteś moim krokiem przede mną,
staniesz, moja ścieżka się zakończy
i tak zginie ślad po mnie na ziemi.

18 października

Jak to było, gdy pisało się listy, aby powiedzieć coś ważnego bliskim? Listy, nie wiadomości email, nie esemesy.

20/10/2013

A więc nie pojechałem na Warszawską Jesień Poezji. Trochę szkoda, bo miałem nadzieję zobaczyć się z kilkoma osobami. Była Misia, czyli pisarka Marta Fox, chciałem pogadać z Markiem Wawrzkiewiczem, byli moi autorzy z Migotań. Dlaczego nie pojechałem...?

Robi się prawdziwa jesień. Szaro i byle jak.
Gapa cała w guzach.

Dobra wiadomość: Maria Jentys w domu. Pisze, że już po ostatniej operacji, tym razem udanej. To mi przypomina, że muszę wziąć się za pozyskanie pieniędzy na jej książkę o Drzeżdżonie.

1. 11.2013

Rozmowa we „Frazie” Adam Bienias: Kiedy w liście poprosiłem Pana o kilka wspomnień związanych z Nową Prywatnością napisał Pan niezwykle znaczące słowa, które teraz zacytuję:” W młynie powstawania i zatracania się zjawisk literackich, lata siedemdziesiąte wydają się z dzisiejszej perspektywy młodych autorów jako mało ciekawe i nieistotne. Może słusznie? Ale może jednak nie, gdy pomyśleć, jak przechodziły kolejne fale pokoleń i co po sobie pozostawiały. Mało kto zdaje sobie sprawę, że w latach siedemdziesiątych prowadziliśmy bardzo poważny spór o sposób pisania, o prawa poetyckie do osobistej ekspresji nie obciążonej tyrteizmem, społecznym obowiązkiem Nowej Fali, a jednocześnie uwolnione od metaforyzmu i szczególnej metafizyki Orientacji. Dzisiaj widzę jasno, że przynajmniej dla mnie, najważniejszą sprawą w tamtych młodzieńczych czasach było prawo do wolności w pisaniu, do realizacji takiej poezji, jaka była mi najbliższa, bez definiowania jej stylu i rodzaju”....

W szkole a nawet na studiach o „Nowej Prywatności” nauczono mnie niewiele. Wiedziałem tyle, że w latach osiemdziesiątych krystalizuje się poezja twórców, którzy na ogół debiutowali jeszcze w latach siedemdziesiątych. Podkreślano, że niektórzy krytycy skłonni byli nawet mówić o formacji pokoleniowej, której wyznacznikami były między innymi: podobna data urodzenia (połowa lat pięćdziesiątych), a także fakt debiutu w okresie istnienia niezależnego ruchu wydawniczego (druga połowa lat siedemdziesiątych). Chciałbym zapytać o Pana wspomnienia dotyczące Gdańska lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. W latach siedemdziesiątych był Pan jednym z założycieli grupy poetyckiej Wspólność i liderów ruchu poetyckiego Nowej Prywatności. Redagował Pan związane ze Wspólnością zeszyty literackie „Literaria”, później również pismo gdańskich środowisk twórczych „Punkt”, zeszyty artystyczne „Integracje” i miesięcznik literacki „Autograf”...

Zbigniew Joachimiak: Dobrze. Spróbuję odpowiedzieć na Pana pytania. To może nie najgorszy sposób, aby na chwilę ożywić to, co definitywnie jest już minione. Muszę jednak wyznać, że robię to z niezupełnie dla mnie zrozumiałą niechęcią. Nie wobec Pana, oczywiście. Wywoływanie duchów jest wysiłkiem próżnym, a spójne przywołanie tamtych czasów jest zadaniem ponad moją wiarę. Jeszcze jako student polonistyki twierdziłem, że historia literatury jest niemożliwa. Coś w tym było na rzeczy. Może dlatego nigdy nie pożeglowałem w stronę akademizmu. Może dlatego w życiu, w mojej aktywności duchowej, jestem przede wszystkim poetą, a nie badaczem, krytykiem, historykiem literatury. Wydaje się, że poezja może znacznie więcej. Może nawet przekraczać czas.

A więc, gdy teraz mnie Pan pyta, jak to było, to przecież, choć byłem świadkiem tamtych czasów, czuję się niepewny co się naprawdę stało, co się działo, jak naprawdę było, a już zupełnie czuję się bezradny, gdy mam odpowiadać na pytania: dlaczego?

To długie zastrzeżenie przed podjęciem odpowiedzi na Pańskie pytanie jest o tyle konieczne, że chcę wyrazić inną ogólną uwagę: wszystko, co piszę tutaj, jest o tyle prawdą, o ile sam w to wierzę. Czy inni mogą podzielić moją wiarę i moją o tamtych czasach opowieść? Nie. Ale mogą posłuchać, co mam w tej sprawie do

przypomnienia. Mogą posłuchać tak, jak słucha się wiersza. Za każdym znaczeniem stoi wiele innych znaczeń. Każde słowo ma kilka cech. A każde wspomnienie jest tylko kolejnym odbiciem w nieskończonym ciągu luster.

Kiedy pojawiło się określenie Nowa Prywatność, szybko je zaakceptowałem, bowiem otwierało to wiele perspektyw, było wrotami do szerokiego projektu antropologiczno-kulturowego na użytek literacki, w którym człowiek nie jest jednoznaczny, jego życie jest mieniącą się, ruchliwą, wstęgą, a twórczość jest czymś znacznie więcej niż zadaniem, literaturą, pracą, sposobem komunikacji, zarabkowaniem, stylem życia... Człowiek *nowoprywatnościowy* jest całością, nie jest rozczłonkowany na funkcje i osoby. Gdy powstawał ten projekt, był dla mnie szansą na ucieczkę przed sprasowaniem kulturowym, przed uniformizacją, unifikacją, definizacją. Literatura prywatnościowa miała dawać szansę na pełnię, lub raczej na nieskończoną liczbę pełni wyrażanych każdym autorem i jego twórczością. Dlatego nieważne były zagadnienia stylu, poetyki i zadania, jakie stawia się literaturze, bo wszystkie te elementy były do wzięcia według własnych potrzeb. Tyle jest literatur, ilu jest twórców. I tak jest dobrze. Właściwie.

Niemniej jednak, gdy w latach siedemdziesiątych szukaliśmy samych siebie, własnej tożsamości w tym wcale nienudnym i niełatwym świecie kultury, nie zawsze wiedzieliśmy, czego szukamy. Gdańsk był dobrym miejscem, bo panował w nim klimat relatywnie nieskostniały. Funkcjonowały miejscowe, nieformalne i formalne grupy twórcze, środowiska artystyczne, miejscowe koterie i towarzystwa, były gazety, pisma, w których sporo miejsca poświęcano literaturze, mam na myśli MJL „Literary”, a też „Tygodnik Morski”, w którym debiutowałem w 1974 roku.

Zastane układy, oczywiście, stały się dla nas pierwszym punktem odniesienia i sprzeciwu, ale – jak dzisiaj to widzę – działały raczej na nas katalitycznie, a nie niszcząco. Bardzo łatwo przychodziło nam debiutować w miejscowej prasie. Dość wcześnie zaczęliśmy wydawać swoje książki.

Ale to nie wystarczało, szybko pojawiła się potrzeba posiadania własnych „instytucji”, nie wystarczało nam uczestnictwo

w istniejących tytułach, czy wydawnictwach. Dlatego szybko doszło do zawiązania różnych sojuszy, które realizowały wspólne, już nasze własne, projekty.

Na bazie jednego z takich sojuszy, w tym przypadku pomiędzy młodymi pisarzami i studentami artystami z Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, powstało wydawnictwo poetyckie, tzw. Arkusze Borosa, które wydało, jak na tamte czasy, niezwykle rewolucyjne w formie tomy poetyckie (na tle profesjonalnych książek ze skromną szatą graficzną). Tu zadebiutował, tzw. drukiem zwartym, między innymi Zawistowski, Pawlak, niżej podpisany, Czekanowicz, Kamrowski, Dorniak i.... Nie pamiętam już wszystkich autorów, ale seria miała 12 edycji.

Uniwersytet Gdański umożliwił nam wydawanie (bez nadmiernie czulej opieki) własnego pisma, „Litteraria”.

Szybko zrozumieliśmy, że aby skutecznie istnieć publicznie, musimy się lepiej organizować. Powstawały więc szybko grupy poetyckie. Organizowaliśmy seminaria. Konkursy. Jasne było, że nie powinniśmy zamykać się w naturalnych gettach środowiskowych, czy to uniwersyteckich, czy artystowskich. Rozumieliśmy (albo tak to ja pamiętam), że, aby być usłyszonym, musimy wyrwać się z regionalności i lokalności. Byłem rzecznikiem i jednocześnie animatorem związków pomiędzy różnymi grupami literackimi w Polsce. Przyjaźniliśmy się i spotykaliśmy z takimi grupami jak MY z Krakowa, Moloch z Warszawy, Centrum Literackie „Jaszczury”, Od Nowa z Poznania, a nawet poprzez przyjaźń z Jerzym Piątkowskim z grupą Teraz. Zawiażywaliśmy przyjazne relacje ze środowiskami tzw. młodoliterackim z Wrocławia, Poznania, Szczecina, Lublina. Ostro podróżowaliśmy. Jeździliśmy do nich, a oni do nas. Sami stworzyliśmy grupę poetycką o długiej, ale precyzyjnej, ukazującej jasno nasze intencje nazwie: Grupa Sytuacyjna Poetów i Artystów „Wspólność”.

Może to banalnie wszystko wygląda z dzisiejszego punktu widzenia, gdy nie ma większego problemu z opublikowaniem swoich wierszy na przykład w internecie lub jednym z wielu pism papierowych, które ukazują się nieomal w każdym bardziej kulturalnym miasteczku, gdy wydanie książki debiutanckiej to ra-

czej kwestia znalezienia finansowania, a nie wydawcy.

Wtedy było jednak nieco trudniej. Nie było internetu, ale była cenzura. Były wydawnictwa, ale głównie państwowe (ho, ho i nawet suto płaćli honoraria), a papier był limitowany.

Pod wieloma względami było też lepiej.

Istniała realna i wysokonakładowa sieć pism literackich. Druk w nich umożliwiał rzeczywiste dotarcie do szerokiego czytelnika i był realną weryfikacją twórczości. Niski nakład tomiku poetyckiego wynosił 1000 wobec dzisiejszych 200-300 egzemplarzy. Dodać trzeba, że istniejąca sieć księgarni w całej Polsce gwarantowała głęboką dystrybucję naszych książek, po prostu docierały nieomal wszędzie.

Najważniejsza jednak dla nas – pewnie i dzisiaj tak jest – była materia duchowa, w której żyliśmy i się rozwijaliśmy. A więc lektury, dzieła sztuki (w tym teatr), programy artystyczne, autorzy i ich książki. Materia w wymiarze uniwersalnym i polskim. A więc z jednej strony zaczytywaliśmy się realizmie magicznym, wciąż jeszcze panowali pisarze egzystencjalni, odkrywaliśmy Sylvię Plath, Geneta, Wojaczka, słuchaliśmy Beatlesów, Pink Floyd i Cohena, a z drugiej przeżywaliśmy Barańczaka, ekscytowaliśmy się *Sklepami mięsnymi* Zagajewskiego, premierami teatralnymi u Dejmka i Hebanowskiego, z trzeciej strony odkrywaliśmy, że rówieśnicy również piszą fantastyczne wiersze.

Nie bez znaczenia, że wielu z nas studiowało na Uniwersytecie Gdańskim, a wtedy było to jedno z niewielu miejsc, gdzie stykaliśmy się z nowoczesną myślą humanistyczną. U mnie na wydziale polonistycznym UG szalała i zarażała niepoprawnym myśleniem (czyli nie całkowicie lansowanym przez oficjalną kulturę) nie do przecenienia profesor Maria Janion.

To, co udało nam się osiągnąć w czasie kilku zaledwie lat w Gdańsku - stworzyć poczytne i cenione studyjne pismo „Litteraria”, serię poetycką Borosa, seminaria w Wieżycy, poświęcone w dużym stopniu najnowszemu, młodoliterackim zjawiskom literackim, ukonstytuować co najmniej trzy grupy poetyckie, stworzyć sieć powiązań z innymi środowiskami młodych pisarzy, otrzymać

kilka znaczących nagród literackich, spowodowało, że nagle zaczęto mówić o *boomie poetyckim* w Gdańsku. Myślę, że było w tym określeniu, jak na dzisiejsze standardy, dużo przesady.

Może pod jednym względem jest w tym trochę racji: wielu wtedy debiutujących poetów demonstrowało naprawdę wielki talent, a jednocześnie odrębność. Większość z nas dzielił sposób pisania a łączył poziom tekstów. Takie indywidualności, jak Anna Czekałowicz, Aleksander Jurewicz, Władysław Zawistowski, Jerzy H. Kamrowski, Waldemar J. Ziemnicki, Antoni Pawlak, Kazimierz Nowosielski, niżej podpisany, a też zaprzyjaźnieni Grzegorz Musiał z Bydgoszczy, Piotr Kawiecki z Kociewia, czy Andrzej Grzyb z Kaszub, w tę kompozycję autorów można też włączyć Jerzego Limona, który jakkolwiek studiował wtedy w Poznaniu, to szybko wrócił do „trójmiejskiej” macierzy. Oni wszyscy nie mogli stworzyć typowej programowej wspólnoty literackiej, zbyt wiele ich dzieliło w sferze warsztatu, ale też światopoglądu i wrażliwości estetycznej. Może dlatego zaczęliśmy się zastanawiać, czy i jeśli tak, to co jednak może nas łączyć. Projekt Nowej Prywatności odpowiedział na wiele naszych oczekiwań.

Paradoksem tamtej zróżnicowanej środowiskowej, literackiej „wspólnoty” było to, że największą jedność zyskała kilka lat później, w akcie zgodności etycznej, czymś zgoła nie programowym, w wydarzeniu historycznym, po którym nieomal całkowicie ta wspólnota się rozpadła. Pozostała tylko dość zagubiona konstelacja pojedynczych pisarzy. Gdy siedemnastego sierpnia 1980 roku znalazłem się w Stoczni Gdańskiej spotkałem tam Marka Bieńkowskiego i Władysława Zawistowskiego, Antoniego Pawlaka, Bożeną Ptak, Esdena Tempskiego i wielu innych kolegów poetów. Napisaliśmy wtedy, jako pisarze stowarzyszeni w Kole Młodych ZLP, jedyny prawdziwy programowy, choć krótki, manifest. Nie był to manifest artystyczny. Był to list popierający stoczniovców i ich polityczne żądania, był to pierwszy dokument tego typu napisany przez intelektualistów i ogłoszony w trakcie tego strajku. Dodam, że choć może to też brzmi niezbyt imponująco, zebraliśmy i przekazaliśmy około pięćset złotych na fundusz wspierający robotników. Dla nas, cienkich młodych poetów, było to sporo kasy. Dopiero dwudziestego pierwszego sierpnia wsparli strajk

nasi starsi koledzy, pisarze z ZLP, ale też nie jednomyślnie. Piszę „też”, bo z kronikarskiego obowiązku powinienem jednak przyznać, że kilku młodych pisarzy i krytyków zlekło się i nie chciało podpisać naszej rezolucji odczytanej w Sali BHP w Stocznii.

Ale to wszystko działo się kilka lat później. W latach siedemdziesiątych wydawało się nam, że to my zdobywamy świat. Nasze książki budziły naprawdę zainteresowanie.

A.B.: Można zatem powiedzieć, że Gdańsk był wówczas głównym ośrodkiem polskiej poezji? Jakie inne ośrodki działały w tym czasie i czy kontaktowaliście się między sobą? Ciekawi mnie też czy działaliście wówczas jako grupa przyjaciół, czy może bardziej ludzi, którzy chcą zmian zarówno w poezji, jak i w życiu?

Z.J.: Rzeczywiście były chwile, gdy miałem uczucie, że centrum nowej, młodej poezji, znajdowało się w Gdańsku. Mieliliśmy tu kilka ciekawych, jak to teraz się określa, instytucji kultury, a więc przede wszystkim powstał głodny nowych idei Uniwersytet Gdański z bardzo inteligentną młodą generacją pracowników naukowych, bardzo przyjaznych nowym zjawiskom literackim i intelektualnym.

Poznałem wówczas młodego badacza literatury, późniejszego prozaika, Stefana Chwina, który, chyba nie przesadzę, dość mocno identyfikował się ze środowiskiem literackim Gdańska, a przynajmniej częścią akademicką w której też znaczącymi postaciami byli Zbigniew Żakiewicz i Jan Drzeżdżon. Działał legendarny Klub Studentów Wybrzeża „Żak”, gdzie przez cały rok miały miejsce fantastyczne wydarzenia. Tu rozdawano kultowe nagrody na Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim o Laur Czerwonej Róży. Główna nagroda była za zestaw wierszy. Przyznawano również nagrody literackie za całokształt twórczości, za debiut, za działalność translatorską, a też, nieregularnie, w innych kategoriach. Ranga konkursu była na tyle wielka, że moja mama dowiedziała się o tym, że otrzymałem Czerwoną Różę z dziennika telewizyjnego. Czerwona Róża była odpowiednikiem dzisiejszej „Nike”, mogą o tym poświadczyć nazwiska laureatów: Marian Grześczak, Ernest Bryll,

Edward Balcerzan, Krzysztof Gąsiorowski, Krzysztof Karasek, Adam Zagajewski... A z moich rówieśników: Aleksander Jurewicz, Antoni Pawlak, Leszek Szaruga, ja byłem dwukrotnie nagrodzony... i wielu innych wybitnych autorów (przy okazji nadziwić się nie mogę dlaczego dzisiejszy Gdańsk odżegnał się od tej poetyckiej tradycji).

Co roku odbywały się Spotkania Jesienne, poświęcone kulturze studenckiej, wtedy miała ona wielkie znaczenie, bo nie poddawała się rygorom kultury oficjalnej.

Wydarzeń literackich nie brakowało, było ich ogromnie wiele, łącznie z współorganizowanymi przeze mnie Seminariami Literackimi w Wieżycy na Kaszubach.

To, co działo się w Gdańsku, było obserwowane w całej Polsce. I doceniane. Grupy poetycka Wspólność, czy Muzeum Samowiedzy (Pawlak, Bieńkowski, Jurewicz, Terlecki) dokładały swoje cegiełki do tego fermentu. Na teksty w „Litterariach” odpowiadało w ogólnopolskich pismach literackich, takich, jak: „Student”, „Poezja” czy „Nowy Wyraz”, „Kultura”, „Życie Literackie”. Były też zauważane przez tzw. pisma opinii, choćby przez „Politykę”. A nawet pisma (czy dzisiaj istnieją?) satyryczne, takie jak „Szpilki” lub „Przekrój”.

Nasza działalność budziła jednak nie tylko podziw, znacznie częściej ją krytykowano. Spierano się z nami bez pardonu. Nie było chyba bardziej „wykrytkowanej” grupy poetyckiej niż Wspólność. Ale tak, byliśmy w centrum uwagi, nie tylko cenzury (bo ta bardzo uważnie nam się przyglądała, a też „udoskonalała” nasze teksty), lecz również innych środowisk literackich.

A.B.: Każda formacja próbuje stworzyć swój program. Jakie były Wasze najważniejsze cele i co z tego udało się zrealizować... W kilku wystąpieniach programowych Nowej Prywatności podkreślana była chęć tworzenia poezji osobistej, wyrastającej z intymnych doświadczeń, wsłuchanie się nie tylko w ducha czasu, ale i w głos wewnętrzny. Poezji będącej dialogiem z przesłaniami tradycji, otwartej na różne inspiracje poetyckie i kulturowe...

Z.J.: Swoistą próbą programową były „Litteraria”, pismo tworzone przez zespół zmieniający się i stale poszerzający. Skład redakcji: Anna Czekanowicz, Stefan Chwin, Zbigniew Joachimiak, Zbigniew Majchrowski, Aldona Mrozowska, Stanisław Rosiek, Władysław Zawistowski, gwarantował wysoki poziom akademicki i jednocześnie zaangażowanie w aktualne wydarzenia w świecie tzw. młodoliterackim.

Tu drukowaliśmy swoje ważne teksty programowe. Tu ukazał się, dla przykładu, wspólny materiał Anny Czekanowicz, Adzika Zawistowskiego i mój pod tytułem „Kilka tez na temat: Światopogląd estetyczny młodego pokolenia”. Tu miał miejsce pierwodruk bardzo istotnego tekstu dla diagnozy młodej literatury, szkic Stefana Chwina „Etyka i forma”.

Zderaliśmy formy dyskursywne ze swoim wierszami, ale również zaprzyjaźnionych poetów, na przykład Lothara Herbsta i Marianny Bocian, czy Stanisława Zajączka ze Szczecina.

To był okres krystalizacji idei grupy poetyckiej Wspólność. „Litteraria” przede wszystkim oddziaływać miały na środowiska akademickie. Grupa poetycka Wspólność działać miała w środowiskach literackich i przebijać się do świadomości w prasie literackiej. Te „kompetencje” oczywiście traktowane były luźno i wielokrotnie Wspólność miała swoje manifestacje w ośrodkach akademickich, a „Litteraria” w klubach pisarskich.

Sama nazwa grupy była swoistym programem: *Grupa sytuacyjna Poetów i Artystów „Wspólność”*. Podkreślenie sytuacyjności, a jednocześnie wspólności, wyjaśniało programowy paradoks grupy: bycia razem a osobno, bo od samego początku wiedzieliśmy, że nie łączy nas i że nie chcemy, aby nas łączyła wspólnota estetyczna, a nawet etyczna (bardzo wtedy dyskutowane kryterium literatury). Byliśmy razem nie dlatego, że byliśmy do siebie podobni, chcieliśmy być ze sobą, bo jesteśmy niepodobni.

Lubiliśmy odmienność w literaturze, a skutkowało to tym, że bardzo chętnie zaprzyjaźnialiśmy się z poetami o różnych stylach, z różnych pokoleń i różnych środowisk. Wśród poetów Wspólności byli poeci akademicy, przedstawiciele typowej cyganerii, poeci malarze i rzeźbiarze, a również naturszczycy i poeci robotnicy.

To wtedy podejmowaliśmy dyskurs z Nową Falą, która

zresztą wcale nie była tak jednorodnym zjawiskiem, jak wielu dzisiaj uważa. Dla nas polemicznym polem była głównie jej tyrtejskość, postulat bardziej, lub mniej, skrywany o konieczności angażowania się literatury w problematykę społeczno-polityczną. Od razu dopowiem, że nie kwestionowaliśmy wartości takiej literatury, mieliśmy świadomość, że jest potrzebna i konieczna. Przedmiotem naszego sprzeciwu był postulat etyczny, aby zaniechać innego rodzaju poezji.

Nie akceptowaliśmy postulatu, żeby piętnować, deprecjonować poezją za to, że nie podejmuje się misji społecznej. Można bardzo, bardzo skrótowo to ująć tak - broniliśmy Harasymowicza przed Barańczakiem, jednocześnie broniąc Barańczaka przed realnym życiem i polityką. Uważaliśmy, że można pisać wiersze o zajączkach, ale **nie** wolno karać poetów za to, że angażują się politycznie. To niby dzisiaj oczywistości, ale wtedy tak nie było. Życie w Polsce bardzo się skomplikowało.

Lata siedemdziesiąte to wydarzenia polityczne, bunt społeczny, ale też powstawanie nieomal jawnej i oficjalnej opozycji demokratycznej. Nie chcieliśmy dać się zmiażdżyć tym wielkim procesom społecznym. Zauważaliśmy paradoks poezji politycznie zaangażowanej - angażując się w politykę, poezja zostaje przez nią zjadana, tracąc na swej poetyckości, zyskując na wymowie społecznej i może też popularności.

Historia ostatecznie potwierdziła naszą w tym względzie intuicję. Wielkie powstanie społeczne, jakim był Sierpień '1980 zdusił literaturę, nie powstały ani w tym czasie, ani później, wielkie dzieła, nie wyłoniły się nowe nurty literackie. Nie będę próbował tego oceniać, bo nie ma żadnej wątpliwości: życie jest najwyższą wartością i dobrze, że w tych trudnych czasach wszystkie ręce poszły na pokład i ostatecznie ta rewolucja zwyciężyła.

Czas na literaturę przyszedł później.

Dzisiaj! Dzisiaj można pisać w pełnej wolności tworzenia.

A.B.: Jerzy Suchanek w liście do mnie podkreślił, że sporo ciekawych rzeczy działo się także poza Nową Prywatnością, wśród „pozostałych” roczników pięćdziesiątych. Dodał, że nie można oglądać czy to Nowej Prywatności, czy w ogóle roczników pięć-

dziesiątych, poza dolegliwym kontekstem epoki. Epoki, w której nie tylko „pierwszy obieg” podlegał szeroko rozumianej cenzurze, ale - jak się coraz więcej na ten temat dowiadujemy - również „drugi obieg” był przez wielu jego dysponentów limitowany. Jednym udostępniano szerokie łamy, innych pomijano...

Z.J.: Drogi Jurek Suchanek ujawnił w tej wypowiedzi swój kompleks, swoje poczucie, że nie był włączony w procesy literackie tamtych lat.

Jest w błędzie, sam mu pisałem wstęp do jego chyba pierwszej publikacji zwartej.

Nowa Prywatność to termin zrodzony w zderzeniu nowej poezji lat siedemdziesiątych z umysłem myślicielki, profesor Marii Janion. Nie po raz pierwszy wykazała się genialną intuicją. Profesor Janion zbyt wiele zresztą tej sprawie czasu nie poświęciła, ale termin został bardzo skwapliwie podjęty przez krytykę i analityków zjawisk literackich. Bo był... bardzo niewyraźny, ogólny, ale z ogromnym potencjałem, dawał nowe możliwości interpretacyjne. Aby nie rozpisywać się nadmiernie powiem, że dla mnie był on przede wszystkim pewnym wskazaniem, jak czytać współczesną poezję, a z drugiej strony był postulatem etycznym dla poezji, która nigdy, przenigdy nie powinna odrywać się od swojego osobistego (prywatnościowego) planu.

Nie był to termin wykreowany na potrzeby poetów grupy Wspólność (choć walenie się do tego przyczyniła), ani żadnej innej, ale połączył poezję i poetów z pozornie skonfliktowanych grup i pokoleń. Dawał się zastosować do Anki Czekanowicz i do Jerzego Piątkowskiego, do Stanisława Stabro i Władysława Zawistowskiego. Jurek Suchanek też był poetą nowoprywatnościowym, gdyby zastosować do niego to narzędzie.

A gdyby nawet uprościć to wszystko jeszcze bardziej i stworzyć opozycję: nowofalowy – nowoprywatnościowy, to w żaden sposób Suchanek nie był *dzieckiem* Zagajewskiego.



Jerzy Suchanek

Pokolenie poetów z lat siedemdziesiątych, urodzonych w latach pięćdziesiątych, było niezwykle zróżnicowane, prawie tak, jak dzisiaj (tu ślę uśmiech do młodych poetów z łamów mojego pisma „Migotania”!). Jurek Suchanek jest i był jednym z ważniejszych poetów wtedy debiutujących.

Drogi Jerzy Suchanku, byłeś w samym środku tego cyrku, teatru, życia literackiego. Chcesz, czy nie, będziesz pieczętowany nowoprywatnością, **bo to kategoria interpretacyjna, a nie programowa.**

I jeszcze jedno, Jurku... zjawisko limitowania dostępu do publikacji, również tzw. drugiego obiegu, było faktem. Sam kiedyś niezwykle dramatycznie tego doświadczyłem, choć nieco później, nie w latach siedemdziesiątych, ale w czasie Sierpnia, gdy zaangażowałem się w tworzenie nieoficjalnego pisma „Naprzeciw”, udzielając zresztą mojego mieszkania do prac jego kolegium, a potem okazało się, że nie ma mnie w stopce redakcyjnej. Ale to jest aspekt zupełnie innego tematu, mechanizmu tworzenia się kadr i elit instytucji rewolucyjnych i postrewolucyjnych. W ramach plotkarstwa dodam, że argumentem, aby mnie wyeliminować z redakcji „Naprzeciw” był pogląd o moim niepewnym...kręgosłupie ideowym. Potem, już w stanie wojennym, okazało się, że *Robespierrem*, który mnie wykosił z redakcji, był agent SB (chichot, pomruki, kurtyna się opuszcza).

A.B.: Z czego zatem wynikało zarówno artystyczne zróżnicowanie Pana formacji, jak i niejasne drogi późniejszego rozwoju? Magdalena Rabizo-Birek stwierdza, że pisarzom, urodzonym w latach pięćdziesiątych XX wieku, przypadło debiutować w najgorszym z możliwych dla polskiej kultury czasów – stanu wojennego, ale i tuż po spektakularnym pokoleniu '68, inaczej zwanym Nową Falą. Okazało się, że te próby wyodrębnienia się od nieco starszych, sławnych kolegów, nie bardzo się powiodły. Niektórzy zostali uznani za ich epigonów, albo byli przyjmowani za pisarzy „zamiast”. Był to też czas, gdy wielu pisarzy starszych, a wśród nich najgłośniejsi przedstawiciele Nowej Fali (Barańczak, Krynicki, Zagajewski), znaleźli się, z powodu swego politycznego zaangażowania, na indeksie, na tak zwanym *zapisie*... Pamięta

Pan jakieś polemiki, spory z nowofalowcami, czy to może mity naszej historii literatury...

Z.J.: Z czego wynikało to różnicowanie? Bo ja wiem? Mam chyba dwie niewykluczające się odpowiedzi, choć może nieco bardziej banalne, niż można oczekiwać.

Po pierwsze, chcieliśmy być różni, o czym pisałem wyżej.

Nie zawsze tak jest, bo często wybory postaw, działalności, idą w stronę unifikacji, jedności, podobieństwa. My akurat w tym względzie byliśmy przekorni. Potrzeba jedności, unifikacji ujawnia się najbardziej, gdy dochodzi do głosu instynkt rewolucjonisty. Rewolty wymagają jedności, podobieństwa w intelekcie i mentalności. Najwyraźniej - i to jest pewne - poeci mojego pokolenia nie byli rewolucjonistami w swej większości, choć i tacy byli, lub uważali, że są takimi. Raczej była nam bliższa postawa intelektualistyczna, często akademicka, a na obrzeżach różne wersje cyganerii i postaw poetów „przeklętych”.

Drugą przyczyną naszej różnorodności może być fakt, że zaczęliśmy tworzyć w kraju, w którym poszerzyły się znacznie obszary wolności. W latach siedemdziesiątych prawie (podkreślam: prawie) bez przeszkód docierały do nas nowinki filozoficzne, najnowsza światowa literatura, idee i osiągnięcia twórcze. Doktrynerstwo marksistowskie było już w całkowitym odwrocie i w pogardzie. Jasne, ta wolność wciąż była ograniczana i limitowana zależnie od miejsca, gdzie żyliśmy i od momentu, w którym wchodziliśmy w życie intelektualne. Na początku lat siedemdziesiątych było jeszcze dość ponuro, ale już w drugiej połowie trudno mówić o szarzyźnie i nijakości peerelowskiej. W sklepach było wprawdzie jeszcze nijako, ale w głowach już całkiem kolorowo i atrakcyjnie.

Odpowiedzią (to już trzecią!) na pytanie dlaczego takie różnicowanie było możliwe, była sytuacja w kulturze uniwersalnej. Otóż wchodziliśmy w zjawisko postmodernizmu, choć terminu tego wówczas raczej nie używano w odniesieniu do zjawisk polskich.

Magdalena Rabizo-Birek myli się zasadniczo w jednej kwestii: poeci urodzeni w latach pięćdziesiątych, w większości debiutowali w latach siedemdziesiątych, a więc w czasach przed-sierpniowych i to właśnie zaważyło na ich fatalizmie. Prawdą

jednak jest, że zasadniczą osią sporu pokoleniowego były kwestie związane z Nową Falą. Spieraliśmy się z nimi. Fakt. Ostro niekiedy. I natychmiast wpadliśmy w pułapkę. Mówiliśmy, wolno pisać o „zajęczkach”, nie ma w tym nic zdrożnego i w ten sposób natychmiast narażaliśmy się na zarzut, że pisanie o „zajęczkach” jest naszym postulatem pokoleniowym i programowym.

Krytyka tamtych czasów nie była specjalnie subtelna. Sporo było krytyków poddających się pokusom ideologizowania. Rosiek, Mentzel, a i też Chwin, a z innej strony Urbankowski, Drozdowski, Waśkiewicz, chętnie dopasowywali swoją krytykę do swoich własnych postulatów krytycznoliterackich. Rzadkie były postawy krytyków, takich jak np. Ludwika Topp lub Jan Sochoń, którzy czytali współczesną poezję, a nie ją programowali.

Konieczność chciano nas konfliktować. Było to na rękę tamtejszej władzy, która nie bardzo kochała Nową Falę i chętnie promowała działania przeciwnowofalowe. Nikt specjalnie nie próbował rozumieć, że nasza nowoprywatnościowa poezja w głębszym sensie była bardziej niebezpieczna dla reżimu, bo, stawiając na indywidualizm, osobność, prywatność, odrywała literaturę od służby społecznej, która zawsze jest jakąś służką polityki i manipulacji społecznej.

Naszemu dyskursowi z Nową Falą nie zawsze służyli też sami poeci Nowej Fali. Adam Zagajewski już wtedy był *prawie noblistą* i miał w głębokiej pogardzie jakichś tam wyrostków poetyckich z Gdańska. Antek Pawlak był dla niego epigonem samego wielkiego Adama, a moje wiersze odrzucał ze „Studenta” ze wstrętem z nie do końca znanych mi powodów. Jasne, drukowaliśmy w „Studencie”, ale nie dlatego, że umożliwił nam to wówczas szef działu poezji „Studenta”, Zagajewski, ale raczej pomimo jego niechęci. Decydował o tym Naczelný dwutygodnika.

Wracając do Magdaleny Rabizo-Birek, uważam, że przyszło nam debiutować i tworzyć w niezwykle ciekawych czasach, trudnych, zabójczych niekiedy dla kariery pisarza. Nasze spory ideowe były prawdziwe, żywe, twórcze i potrzebne. Nawet jeśli wówczas przegrywaliśmy spór z Nową Falą, to gdy popatrzeć ma to z dzisiejszej perspektywy, może była to nasza „pyrrusowa

klęska”, a zwycięstwo przyszło w 25 lat później (lecz czy *pyrrusowe*?)

i trwa do dzisiaj w zróżnicowaniu, bogactwie literatury, poezji.

Myślę, że nasza koncepcja poezji, jako głębokiego intelektualnego przesłania, wspartego ma prawdziwym osobistym, prywatnościowym fundamencie, ostatecznie zwyciężyła, bo nie mogło być inaczej. Taka przecież jest dzisiejsza poezja.

Zupełnie co innego spowodowało, że moje pokolenie zostało naznaczone piętnem straconego. Zmiotła nas zawierucha dziejowa. Sierpień był młotem, który na wiele lat spowodował rodzaj niemoty w literaturze. Ogrom przełomu uczynił, że nie powstawały znaczące dzieła literackie, a te, które napisano, nie wytrzymywały porównania z wagą wydarzeń historycznych. Znane książki, czy to Huellego, Chwina, czy Masłowskiej, nie specjalnie „zaciążyły” przemianami, które dopiero co zaszły - mogły powstać równie dobrze w 1975 roku. A poza tym powstawały już później, w czasie, gdy literatura wstawała z kłęczek tyrejskich

Nas lata rewolucji sierpniowej wyeliminowały z pierwszoplanowego istnienia w świadomości społecznej, tak jak i całą kulturę. To nie było i nie jest łatwe, bo wielu z nas nigdy nie przestało tworzyć i pisać, powstawały nowe tomy poetyckie i nowe wiersze, ale znaleźliśmy się już w lamusie.

Czy te nowe tomy miały/mają sens kulturowy, kulturotwórczy? Dla przemian społecznych politycznych nie, ale, być może, dla wąsko pojmowanej kultury nie są stracone.

Pytał Pan, Adamie, o nasze polemiki z poprzednikami, a szczególnie z Nową Falą. Pisałem o tym już nieco wyżej, ale jeszcze raz chcę napisać, że tak, prowadziliśmy spór, ale nie w takim stylu, jak to czynił wobec nas Adam Zagajewski. Z innymi nowofalowcami i dawnymi członkami grupy teraz nie mieliśmy złych relacji.

Pisaliśmy teksty odnoszące się do różnych manifestacji Nowej Fali (przede wszystkim do tekstów-manifestów Stanisława Barańczaka), wobec ich wierszy (głównie Adama Zagajewskiego), polemizowaliśmy z ich tezami, poglądami i postulatami. Ale oni nigdy nie byli naszymi wrogami, nawet ideowymi, chcieliśmy ra-

czej twórczo ich wykorzystywać i podejmować te ich zdobycze intelektualne, które wydawały się nam atrakcyjne.

Taki dialog musiał nieść też elementy krytyczne i, jak już wyżej pisałem, odnosiły się one głównie do zawężenia roli literatury do narzędzia oddziaływania społecznego, do zawężenia planu antropologicznego, do postulatycznych treści programowych Nowej Fali, dotyczących estetyki, czy „technik” pisarskich, tych, które ograniczały wybory artystyczne pisarza.

Lecz przecież to nie przeszkadzało nam przyjaźnić się z poetami Nowej Fali. Spotykaliśmy się ze Stanisławem Barańczakiem i Lotharem Herbstem. Zapraszaliśmy do współpracy Stabro i Piątkowskiego, drukowaliśmy ich, gdy tylko dali nam swoje teksty. Zapraszaliśmy na nasze seminaria i imprezy, dawaliśmy im swoje nagrody literackie, a de facto prowadząc polemiki promowaliśmy ich. Nawet w najgorszych czasach, gdy wielu z nich miało zapisy cenzorskie (ograniczenia publikacji, wyjaśniam tym, co nie wie-dza, co oznacza ten termin), szliśmy z nimi pod prąd władzy i zapraszaliśmy ich do siebie, często udzielając miejsc noclegowych, czy organizując nieoficjalne spotkania w naszych mieszkaniach.

A.B.: Poezja roczników pięćdziesiątych jest słabo opisana. Zdaje się, że jedyną książką, będącą swoistym *résumé* dorobku Nowej Prywatności są *Ogrodnicy północy* Marty Fox. Dlaczego pokolenia Współczesności, Nowej Fali, Brulionu, a nawet *roczniki siedemdziesiąte*, są wciąż opisywane, interpretowane, a Nowa Prywatność nie. Wiadomo, że była, wiadomo, kto wówczas tworzył, jednak brakuje książek i głosów dotyczących tego tematu. Pan uważa podobnie a może jest inaczej?

Z.J.: Tak, poezja roczników pięćdziesiątych nie jest wystarczająco opisana. Tak jest i trzeba się z tym pogodzić. Było trochę książek, które opisywały zjawiska literackie tego czasu i mojego pokolenia. Była książka *Bez autorytetu* Stefana Chwina i Stanisław Rośka, praca zbiorowa *W stronę wiersza Interpretacje poezji najnowszej*, pod redakcją Ludwiki Topp, książka Marty Fox *Ogrodnicy północy*, jest zbiór esejów Zbigniewa Chojnowskiego *Ruiny przeciwko wizji*. Ale nie jest to imponująca biblioteka.

Tylko jakoś to bardzo mnie nie martwi. Gdzieś w tym rozgar-

diaszu przedrzemy się do historii literatury, jesteśmy i będziemy w podręcznikach literatury, choć może nieco głębiej i bardziej dyskretnie. A zresztą, czy o to chodzi?

Literatura to nie gra w sprawiedliwość.

Popularność, zainteresowanie, niekoniecznie jest pochodną wartości literackich. Dobrze napisana książka nie jest gwarancją, że będzie zauważona i doceniona. W dzisiejszym kapitalistycznym świecie już wiemy dobrze, że zawsze jest potrzebny jakiś PR, jakaś promocja, a też pewna doza szczęścia, zwana dobrym zbiegiem okoliczności.

Nowa Fala dostała PR od peerelowskich dygnitarzy kultury, jaki tylko można sobie wymarzyć. Na początku ich wypromowano w obiegu oficjalnym, a potem, gdy, przestali być grzecznymi chłopcami, zrobiono im promocję poprzez ograniczenia. Najpierw dostali pismo „Student”, debiuty, książki, a potem ... zapis cenzorski. Patrząc na to z pozycji PR-owca, czy można było sobie wymyślić lepszy mechanizm zainteresowania? Zakazane owoce zawsze smakują i budzą zainteresowanie, choć, oczywiście, mocno upraszczam sprawę. Gorycz odrzucenia, ograniczenia obecności, zapisy cenzorskie musiały mocno boleć. Ale, obiektywnie i bez emocji patrząc, jasne jest, że zderzenia, konflikt polityczny jest (był) niezłym motorem promocyjnym. PRL miał swoiste mechanizmy promocji, często był to mechanizm negatywny i dawał odwrócony efekt. Potwierdził to w rozmowie ze mną Stanisław Barańczak, który w żaden sposób nie robił wrażenia rozgoryczonego.

Gruba kreska...

Jesteśmy w dzisiaj i tylko od pracowitości, talentu, pieniędzy, aktywności i inwencji zależy, kto przebija się powszechnej świadomości odbiorczej. Masłowska bez „Gazety Wyborczej” byłaby co najwyżej tyle znana, co Jan Drzeżdżon, Jarosław Rymkiewicz nie wyszedłby z opłotków IBL-owskich znawców literatury, gdyby nie zaszalał wraz z PiS-em. Do najwybitniejszych poetów dzisiejszych czasów aspirują twórcy rocka, a nie pisarze, bo to oni są bohaterami wieczorów z TV.

A.B.: Wśród poetów zaproszonych przeze mnie do zaprezentowanej w tym numerze „Frazy” „Galerii poetów z roczników pięćdziesiątych” znaleźli się ci związani z Nową Prywatnością, jak Pan, Jerzy Suchanek, Grzegorz Musiał, Kazimierz Brakoniecki, Władysław Zawistowski, Aleksander Jurewicz, Andrzej Kaliszewski, Anna Czekanowicz, Urszula Benka, Marta Fox, Antoni Pawlak, ale i ci spoza „gdańskich okolic”, jak: Krzysztof Lisowski, Zofia Zarębiana, Bronisław Maj, Katarzyna Turaj-Kalińska (to poeci reprezentujący środowisko krakowskie), Anna Nasiłowska, Jan Polkowski, Grzegorz Strumyk, Kamil Sipowicz, Jan Tulik, Krystyna Lenkowska. Czy to Pana zdaniem twórcy, dla których można znaleźć jakiś wspólny mianownik? A może łączy ich jedynie podobna data urodzenia? Może dla „roczników pięćdziesiątych” nadałby Pan jakąś zupełnie inną nazwę? Ciekawi mnie też dlaczego, Pana zdaniem, wiele osób odeszło od uprawiania poezji, lub uprawia ją jedynie okazjonalnie?

Z.J.: Podoba mi się ta lista, choć ze dwie trzy osoby (nie więcej) są mi zupełnie nieznane. Większość tych poetów najzwyczajniej lubię czytać. A bywa, że publikuję w „Migotaniach”. Nie sądzę, by można ich od nowa połączyć jakąś inną nazwą. Są już po tamtej stronie lustra. Już ich inaczej odbijać się chyba nie da. Jasne, każdy z nich może napisać jeszcze jakąś książkę, która zupełnie zmieni jego odbiór krytyczny i społeczny.

Naszym wspólnym mianownikiem były czasy, w których żyliśmy, czasy gwałtownych i bezprecedensowych przemian społecznych, politycznych i cywilizacyjnych. Jesteśmy dziećmi rozpiętymi między XIX a XXI wiekiem. Mamy te przemiany w kościach, w obolałych kręgosłupach, w cywilizacyjnych chorobach zaburzeń świadomości. Trwamy przy naszych maszynach do pisania, a jednocześnie klikamy w klawiatury komputerów. Jeszcze pamiętamy jak wyglądała prawdziwa korespondencja listowa, a już śmigamy po internecie. Niektórzy jeszcze potrafią pisać ręcznie.

Pamiętamy puste ulice z nielicznymi pojedynczymi samochodami, a jednocześnie już wielu z nas nie wie, jak wygląda prawdziwe gwiazdziste niebo, bo umieramy w gigantopoliach,

ścigając się po wirtualnych infostradach widocznych z kosmosu.

Jesteśmy ludźmi starego typu. Idą Nowi. Ale zmartwić muszę tych o dwadzieścia, trzydzieści lat młodszych ode mnie poetów. Wy też jesteście już dinozaurami. Was nie ma ani o trochę więcej, niż poetów nowofalowych lub nowoprywatnościowych. A jednak Nowych Ludzi i Nowych Poetów coś zawsze będzie łączyć z nami – ich poczucie osobności i ucieczka **od** unifikacji.

A.B.: Jeśli zestawimy kontrastujące ze sobą poetyki, na przykład Antoniego Pawlaka i Pańską, to okaże się, że wymyślony przez Karola Maliszewskiego dla lansowania brulionistów i nowonurtowców (od czasopisma „Nowy Nurt”), podział na barbarzyńców i klasycystów nie był niczym nowym, funkcjonował już wcześniej, w obrębie kolejnych pokoleń, i chyba zaczęło się to już w międzywojniu... Zgadza się Pan z tym?

Z.J.: Nie podniecał mnie nigdy ten podział klasycyści - romantycy (barbarzyńcy), a tym bardziej brulioniści - nowonurtowcy.

Można być rewolucjonistą, można być klasycystą, byle dodać do tego coś naprawdę własnego, by choć o milimetr posunąć się dalej.

Drugi rodzaj podziału jeszcze mniej mnie inspiruje. Można dzielić pisarzy na Gdańszczan i Poznaniaków, na jeżdżących tramwajem i tych, co wolą chodzić pieszo, czy też publikujących w „Brulionie” lub „Nowym Nurcie”, ale to podział czysto porządkujący i nic poza tym. Czasami te podziały wręcz prowadzą na manowce, bo co z tego, że poetyki Antka Pawlaka i moja są bardzo odmienne, gdy te głębsze pokłady naszego poezjowania wcale nie są aż takie sobie obce. Antoni i ja czytamy z zainteresowaniem swoje wiersze do dzisiaj, bo wciąż prowadzimy ze sobą i z innymi polemikę. I głośno, najgłośniej, jak możemy, **myślimy**, bo pisanie poezji jest właśnie bardzo głośnym myśleniem, a potem mówieniem!

Wcale nie odczuwam poezji Pawlaka za obcą, odległą. Mówimy o tych samych w gruncie rzeczy sprawach, bo w istocie poezja ile ma prawdziwych tematów? Niewiele (miłość, śmierć, słowo, bóg? natura?, inne tematy to pochodne).

Język Pawlaka jest dla mnie zrozumiały. Myślę, że mój dla niego również.

A.B.: Jako redaktor naczelny kwartalnika „Migotania,” obserwuje Pan z pewnością to, jak przez lata zmieniała się twórczość poetycka (tematyka, stylistyka, język tych utworów), ale i rozumienie poezji. Jak oceniłby Pan współczesną poezję polską, ale też, co Pana zdaniem zostało po Nowej Prywatności?

Z.J.: Nie mogło mi się zdarzyć nic wspanialszego, niż wydawanie własnego pisma literackiego. Jest to nieustanna okazja do bardzo głębokiego kontaktu z innym ludźmi o wyjątkowych umysłowościach, o wybitnych wrażliwościach, znakomitych talentach. Gdyby przeliczyć każdy numer „Migotań” na godziny pracy umysłowo-duchowej, jaką przeznaczyli moi autorzy na swoje teksty, to można powiedzieć, że każdy numer to parę lat myślenia i pracy intelektualnej. Dostaję to w pigule do stu stron pisma raz na kwartał. W ten sposób moje życie znacznie przyspieszyło i się wydłużyło. Jestem chyba już bardzo stary!

Wiersze, które dostaję, są niekiedy fantastyczne, ich poziom literacki bardzo wysoki. Młodzi pisarze teraz znacznie szybciej dojrzewają warsztatowo. Umysłowo też.

Nie ma dominujących stylów, języków. Rozumienie poezji jest nieskończenie szerokie. Ich wolność pisarska, umysłowa jest imponująca. Pewnie zabrzmi to nieco szokująco dla niektórych, ale właśnie ta ich wolność w literaturze jest - z mojego punktu widzenia - dziedzictwem nieskutecznych, słabo opisanych poetów Nowej Prywatności. Do takiego stanu wolności poezja Nowej Prywatności dążyła i o taką niepodległość literatury postulowała.

Ostatnich kilka zdań:

Chętnie z wieloma własnymi opiniami bym podyskutował.

Wszystko, co tu napisałem, Panie Adamie, jest ogromnym uproszczeniem, skrótem.. Tak, jak napisałem na początku, nie bardzo wierzę w historię literatury, a ta rozmowa z całą pewnością dotyczy spraw już byłych, odległych, historycznych.

Jako świadek piszę o wielu sprawach z wielkim przekonaniem, jako obserwator z dystansu mam wobec wielu wydarzeń stosunek niepewny, wątpliwy.

To jest tylko wyłącznie moja wersja zdarzeń i tylko moja interpretacja, i tylko z mojego punktu widzenia. Jeśli już szukać, gdzie jest

więcej prawdy, to wskazałbym jako najbardziej wiarygodne źródło moje wiersze. Taki jest los poety, najlepiej wyraża się w poezji.

04/11/2013

Jednak coś z Marią niedobrze, bo wysłałem jej nową gazetę i nie zareagowała. Zwykle szybko odpowiada i cieszy się. Teraz ma dodatkowy powód, bo zrobiłem jej ładną prezentację w postaci plakatu poetyckiego. Poza tym numer chyba niezły. A jednak nie odpowiedziała.

Sybilka wraca. Po długim czasie milczenia próbowała się skontaktować przez skypa. Nie miałem energii, aby podjąć rozmowę. Gdy czuję się psychicznie zmęczony, nie lubię rozmawiać (mówić) z nią, chyba dlatego, że jednak w obcym dla mnie języku. Nigdy angielski nie będzie - nawet w małej części – moim językiem. Zawsze w nim skazany jestem na uproszczenia, trywialność. Chyba Kott, albo jakiś inny z naszych wielkich emigrantów, narzekał, że słyszy świat wokół jako hałas, męczące angielskie brzęczenie, że nigdy nie nawykł do obcości tego języka. Rozumiem go. Tak więc, nie podjąłem rozmowy, bo czuję się zmęczony.

Bo jesień? Bo w antykwariacie ciężko? Bo z Agnieszką jakoś tak daleko?

Bogdan Zdrojewski

to w porządku gość, jak się okazało z mojej perspektywy.

Nie spodziewałem się, że kiedyś pochwalę ministra kultury, bo tradycja w Polsce jest taka, że ministrowie kultury to słabi ministrowie politycznie, ale też słabi merytorycznie.

Odmówiono mi w ministerstwie finansowania „Migotań”. Bardzo mnie to rozczarowało i zasmuciło. Zebrałem więc kilka numerów, dodałem pismo do samego Pana Ministra, a w piśmie napisałem, co myślę o tym, że „Migotania” pozostawiono bez państwowej pomocy. No i dobrze, pomyślałem, chociaż wygarnąłem, co tym sędzę. I wysłałem...

Byłem na zakupach, między półką z chemią domową, a produktami dla zwierząt, zadzwonił telefon. Okazało się, że był to sekretariat Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Bogdana Zdrojewskiego. Odbylem rozmowę, w której Minister zapewnił

mnie, że on też uważa, że niedobrze się stało, ale poszuka środków finansowych poza systemem grantowym. Przy tej okazji bardzo pochwalił pismo i wygląda na to, że rzeczywiście przejrzał nadesłane numery, bo odwoływał się do konkretnych tekstów.

No cóż, zostałem fanem ministra.

Dość szybko po rozmowie dostałem oficjalne powiadomienie o przyznaniu środków finansowych na dalsze wydawanie „Migotań”.

14 grudnia 2013

Maria jest już zdrowa. Wszystko wskazuje, że wydam z nią książkę o Drzeżdżonie.

Zbliżają się święta. Nie czuję żadnego podniecenia. Chyba po raz pierwszy. Dotarło do mnie, że już wszystko za mną. Że nic się nie odrodzi we mnie z tego, co już odeszło.

Zima jest niezimowa. Ptaki mają co jeść.

Kończy się rok 2013.

Nie był zły. Ale rozmywa się w mojej pamięci. Cóрка była i nie była. Wypieram ją na co dzień z pamięci, bo budzi niepokój, stałe poruszenie. Chyba już nie zdefiniuję jej obecności. Jest. Nie ma. Myślę, że podobnie czuje ona.

Agnieszka miała dobry rok. Jest pełna energii. Uczy się angielskiego. Cieszę się, że ma wreszcie wyraziście dobry okres życia zawodowego, a też nieco lepszy finansowo. Gdy wydaje pieniądze na głupstwa, nawet nie staram się tego komentować, jeśli sprawia jej to radość, czemu nie? Ważne jest też to, że pomimo wieloletniego już noszenia w sobie wirusa C, fizycznie czuje się chyba nie najgorzej.

Oboje się starzejemy, oboje jesteście w dekadencji. Nie chciałbym, aby ona odchodziła pierwsza. Może to egoizm, ale wolałbym, abym to ja był pierwszy po tamtej stronie. I pewnie tak będzie.

Wciąż poruszam się na krótkiej smyczy. Mieszkam na ulicy, na której po raz pierwszy zamieszkałem, gdy zjawiłem się w Gdańsku ledwie po liceum. Tu, z Jolą, wynajęliśmy pierwsze nasze wspólne mieszkanie.

Pod numerem chyba 48 ćwiczyliśmy dorosłe życie, chociaż ono zbyt dorosłe nie było. Pamiętam, że nie miałem wielu ubrań. Jola przerabiała mi z różnych starych, często damskich. Jestem wciąż kilkadziesiąt metrów dalej, pod numerem 59, mam tu dom i ogród. Zakątek, w którym mieści się całe mnóstwo wspomnień, ale niezbyt intensywnie je uprawiam, chyba lepiej wychodzi mi uprawianie ogrodu.

Moja córka jest starsza o 10 lat od tamtego młodego człowieka, który pojawił się na ulicy Dubois po raz pierwszy, byłaby dla mnie wtedy za *stara*...

**Więc, jak daleko posunął się mój czas? Prawie go nie ma.
Nie posunął się. On się zjada.**

Czuję się zniechęcony do pisania dziennika. Pisanie jest zbyt wolną czynnością, pomijając, że zbyt linearną. W pisaniu łatwo się zapaść w głąb, w detal, we wstęp... Nie jestem pisarzem. Znacznie milej mi się myśli. Więc jestem *myślarzem*. Nie myślicielem, bo myśliciel to taki, który przemyśliwuje rzecz dokładnie, aby dojść do jakichś ostatecznych swoich konkluzji. Takiego zadania pisarz nie musi sobie stawiać.

Pisanie wierszy ma znacznie większy sens. Tekst poetycki ma tak wiele wymiarów, że nawet, gdy jest krótki wypowiada się kompletnie. Właśnie wielowymiarowość jest najważniejszą cechą poezji, nawet jeśli to brzmi banalnie. Tekst poetycki naprawdę nasycza. Wypełnia jak woda, wpłza nawet w małe szczeliny, jest doskonałym - w topologicznym sensie - okręgiem, wszechświatem. Nie zostawia pustych miejsc.

16 grudnia 2013

... kontynuując: Pisanie dziennika to nieustanna gra ze szczególną cenzurą. Z autocenzurą. Nie chodzi mi o to, że człowiek jest zawsze do jakiegoś stopnia zakłamanym. Jasne, są rzeczy, których nie chcemy ujawniać innym. To jest oczywiste. I w świadomości stworzonym dzienniku można na tym doskonale zapanować, czyli pisać zaplanowane treści.

Jednak jest też inna autocenzura... Wynikająca z natury myślenia. Myśli toczą się chaotycznie, tylko do pewnego stopnia są

kontrolowane i biegną, gdzie niekoniecznie sobie życzymy.

Większość myśli jest wolna, aż tak, że w znacznym stopniu nie traktujemy ich jak swoje. To są tylko wolne elektrony myślowe, które w procesie porządkowania, powracania do nich, powtarzania, stają się prawdziwymi naszymi myślami. I te myśli nie budzą mojego niepokoju. Są już oswojone. Nawet, gdy są nieuczesane, krnąbrne.

Autocenzura budzi się, gdy staram się uchwycić tę mgłę myślową, te pre-myśli, bo w nich naprawdę można znaleźć niesamowite i niecenzuralne treści.

Dostałem kolejny bardzo miły list od Anny Frajlich, chwali „Migotania” i gani bałagan redakcyjny. Będę musiał posłać te uwagi Agacie, bo przecież „awansowała” na szefa od redakcji tekstów.

Zamyka się nowy numer, będzie sporo filozofii, tekst Jerzego Perzanowskiego (profesor UJ, przyrodni brat Agnieszki), Cezarego Sikorskiego, Andrzeja Wołosewicza. Będą też trzy ciekawe rozmowy, jedna z Arturem Liskowackim, druga z Bogusławą Latawiec (zrobi się afera, bo wydrukuję rozmowę bez jej autoryzacji!), a też rozmowa z Kasią Korczak o jej projekcie wrzeszczańskim. Będzie trochę dobrej poezji, jak zwykle. Grafika Piaseckiego.

Andrzej Nowakowski przyniósł mi swoją książkę.

Zacząłem czytać i, choć to czysto historyczna powieść, zainteresowała mnie bardzo. To Andrzeja książkowy debiut. Późny. Ale ma rękę, jest pisarzem!

Ilona milczy. Agata trzyma kontakt. Sybilka buszuje po facebooku i od czasu do czasu daje mi znaki.

Podsmażałem dzisiaj ziemniaki dla Agnieszki.

Przypomniał mi się Jaś Grycajenko.

Kolega, przyjaciel jeszcze ze szkoły podstawowej. To rodzina rosyjska, ojciec wrócił do swojej ojczyzny w latach sześćdziesiątych i pozostawił żonę, Janka i jego brata, Pawła.

Mamę Janka ciepło wspominam. Od niej dostałem jedną z pierwszych moich maszyn do pisania. Z Jasiem, jak to w chłopięcych czasach, przeżyliśmy mnóstwo przygód i inicjacji. Ale

moją po latach serdeczność wzbudza szczególne wspomnienie.

Moja rodzina była uboga, a Jasia jeszcze bardziej. To nie przeszkadzało mi rano wpadać do niego i objadać go z podpiekanych na patelni ziemniaków z obiadu z dnia poprzedniego. Nic więcej nie było, a przynajmniej do wieczora, kiedy z pracy wracała jego mama. Nigdy nie odmówił podzielenia się tym „śniadaniem”. A odsmażał ziemniaki na grubej czarnej patelni po mistrzowsku, nikt nigdy potem nie potrafił zrobić tego dania tak dobrze. Ja też.

Teraz czasami próbuję odtworzyć ten smak. Udaje mi się tylko do pewnego stopnia. Zastanawiam się, czy istniała jakaś „szkoła rosyjska” smażenia ziemniaków? Sztuka polegała na tym, żeby kawałki ziemniaków nie były zbyt wielkie, raczej w kształcie kostek, a nie plasterów, a każda strona kostki powinna być opieczona do koloru złotego, w żadnym wypadku do brunatnego lub ciemnobrązowego. Przyprawa: tylko sól. Ziemniaki powinny lekko chrupać.

Odgarniam zaspy

Zima nie ma się ku końcowi.

Zaspy przyrastają, układają się w fale zmierzchów
i długich, za długich, poranków.

Odgarniam wielką łopatą nawarstwione przedmioty,
książki,

obrazy z zeszłego roku, a też te ze skraju pamięci,
przesuwam z miejsca na miejsce wielkie sterty słów.

Pod machnięciami łopaty przesypują się zmarznięte myśli,
szeleszczą, zgrzytają

fragmenty wierszy i początki nie napisanych listów.

Ręce marzną.

Kolana się uginają. Wysilek jest chwilami ponad miarę,
ale trzeba się przekopać. Trzeba się przekopywać.

Drogę trzeba oczyścić niezależnie w którą stronę potem
pójdzie spóźniony przechodzień, gość, lub może
po prostu pójdę ja z moją pochorowaną suką, wiernym
labradorem.

Warto przetrzeć szlak choćby dla tego starego psa.

Zmierzch nie chyli się do końca.

Stanął w gęstej szarości (jeśli zmierzchy mogą stawać),
rozwleka się na cały dzień
a potem jeszcze pokrywa dzień wczorajszy i zasnuwa mi
oczy.

Przestaję widzieć wyraźnie.

Chciałbym, aby nadeszła już noc,
choć bardziej jeszcze, aby ten wieczór się rozjaśnił
czerwonym kolorem zachodu nad Zatoką Gdańską
widoczną
w drganiach światła na gałęziach w moim przydomowym
ogrodzie.

Muszę uporać się z narastającymi opadami,
z szaleństwem białych mroczków w oczach, gdy podnoszę
gwałtownie schylone plecy.

Czas, Pan Czas, jest niełaskawy.

Wydłuża zaspę. Odbiera końce końcom.

Zaśnieża migoczącymi pikselami obrazy.

Idę drogą, którą sam oczyściłem przed chwilą.

Idę tą właśnie chwilą.

Chwilowo idę.

Odsnieżam okolice mojego domu.

Odkrywam,

wiersze nie mogą mieć zakończeń.

To, co się urywa jest początkiem
następnych tysięcy płatków, które jeszcze nie myślą
być hałdą śniegu.

Poczekam, niech rośnie ta moja zaspą.

Istotne jest aby trwać w wyczekiwaniu.

02. 2014

Przez 6 tygodni bolał mnie brzuch w okolicy, gdzie usuwano
mi wcześniej kawałek jelita. Dzisiaj po raz pierwszy prawie nie
czułem bólu. Jak łatwo się przyzwyczaić do tego, że nie boli.

Chciałbym rozumieć swoją córkę. Ale to już pewnie niemoż-
liwe. Ona odjeżdża ode mnie coraz bardziej. A i ja jestem coraz

bardziej dla niej odległy swoim życiem, swoimi zachowaniami, odmiennością, osobowościową, kulturą, językiem...

Widzę, że daje mi dyskretne znaki o tym, że pamięta o mnie. Robi to na facebooku od czasu do czasu dołącza jakieś specjalne zdjęcie, albo jakiś znaczący komentarz. Powinienem może ją zaczepić? Ale ona musi sobie dać radę sama z kłopotem pod nazwą „mój ojciec”.

Łatwiej teraz znosić jej milczenie, bo poznałem ją na tyle, że widzę jej stan ducha po robionych przez nią zdjęciach. Wygląda na to, że ma się nienajgorzej.

Robi fantastyczne zdjęcia. Jest świetną fotografką, zaskakująco dobrą. Choć niby, dlaczego „zaskakująco”, jest, bo aparat w jej ręku to przedłużenie jej samej, jej myśli, niepokojów i uczuć. Z jednej strony fotografia jest dla niej zasłoną, ochroną przed światem, a z drugiej właśnie sposobem na ekspresję samej siebie wobec tego świata.

Książka Andrzeja Nowakowskiego okazała się świetna.

Ma swoje słabości, oczywiście, w końcu to jego książkowy debiut (choć bardzo spóźniony). Na początku irytowała mnie pewna nieporadność konstrukcyjna, a może lepiej powiedzieć toporność w budowaniu narracji, ale po pewnym czasie nabrała jakby większej wartkości i zaczął się wyłaniać duch tego zamierzenia pisarskiego, albo może po prostu autora.

Największą wartością powieści – tak mi się wydaje – jest zafascynowanie historią. Nie wiem, z jakich źródeł korzystał Andrzej, ale źródła musiały być bardzo inspirujące. Koniec końców ze smutkiem stwierdziłem, że książka się kończy.

W rozmowie sugerowałem kiedyś Andrzejowi, aby może zajął się stworzeniem świata fikcyjnego, namawiałem do napisania powieści fantastyczno-naukowej, teraz widzę, że była to bałamutna rada. Powinien się trzymać historii, bo potrafi ją czytać, a potem opowiadać.

Andrzej był jednym z sygnatariuszy manifestu Grupy Wspólność. A poza tym razem studiowaliśmy polonistykę i razem dawaliśmy popisy złośliwego humoru, który nie wszystkim był w smak. Miał piękną i bardzo inteligentną siostrę, w której się podkochiwałem (bez sukcesu). Potem nasze drogi się rozeszły.

W latach 80. ze zdziwieniem zorientowałem się, że był pracownikiem jeszcze socjalistycznych związków zawodowych (WZZ). Ostatecznie Andrzej wyładował w nauczycielstwie, był przez wiele lat dyrektorem liceum, chwalonym zarówno przez uczniów jak i nauczycieli. Z wielką radością przywitałem go pewnego dnia u siebie w domu, poznałem też jego miłą żonę, też nauczycielkę.

Jutro niedziela.

W ogrodzie mnóstwo ptaków, zawsze tak jest, gdy je dokarmiam w mrozy. Policzyłem, jest około 15 gatunków. Pojawiły się nowe, dziwne i nieznane mi ...sikorki? Po bokach mają niebieskie piórka.

W poniedziałek powinien dotrzeć nowo wydrukowany numer „Migotań”.

Mam już bardzo dobre materiały do kolejnego, 1/2014. Gdybym się spał mógłbym go już składać, ale poczekamy do końca lutego, wtedy podsumuję materiałową korespondencję.

W tym numerze 2/2013 zdecydowałem się pochwalić, że dostałem medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Ta informacja powinna się przede wszystkim przysłużyć piśmiu, bo ja o poklask bardzo już nie zabiegam. Choć, czy aby na pewno?

13.02.

Lektura książek to nic innego jak pomnażanie ograniczonego wymiaru czasowego (i zdarzeniowego) życia. Czytając, niezależnie czy to literaturę piękną, czy faktu, czy naukową, poszerzamy siebie o duchowość, o mentalność autorów, o ich umysły, wyobraźnię, wiedzę. To niby oczywiste, choć najpewniej czytamy z powodów epikurejskich, po prostu dla radości czytania. Dla przyjemności. Zanurzenie się w inny świat daje niepowtarzalną radość, ale przede wszystkim rozszerza możliwość penetracji świata.

Uwagi te piszę na marginesie mojego innego, szczególnego doświadczenia, a mianowicie zapału, w jakim zaczytuję się

w literaturze fantastycznej, ze wskazaniem na tzw. science fiction. Uzmysłowilem sobie, że w ten sposób zadość czynię swojemu najbardziej podstawowemu pragnieniu: życia jak najdłużej. Dobrze skrojona literatura fantastyczna, wychylając się w przyszłość, daje namiastkę długiego życia. Życia w dalekiej lub jeszcze dalszej przyszłości.

Jak krótka jest perspektywa pojedynczego życia, a jak wielka, niemal nieskończona, jest perspektywa czasu przyszłego w literaturze. Dobrze napisana powieść pozwala na ułudę życia w czasie, który na pewno nie będzie moim udziałem. I to jest najbardziej fantastyczne w literaturze fantastycznej!

04. 02. 2014

Jaki jest porządek, córko?

Mówisz sposób życia odpowiada na namiętności i tworzy i oświecla drogę, którą podążamy.

Ale gdy namiętność wyczerpuje się sposobem życia, osłabia stylizowaniem, rozpędem, ciągłym biegiem do błyskotek,
do nocnych miraży zapadających się w niewyraźne wspomnienie o szarym poranku dnia

tego szarego, tego, co zawsze, który jest po wtorku, czyli w środę, czy to jest twoja pieczęć wszystkich dni ostatniego roku?

I czy to jest twoje światło, a jest przed tobą to światło?

Budowałem kiedyś dom, córko, zwykłą budowlę ze zwykłych cegieł, gasły we mnie namiętności, traciłem siły, pasję,

gasło we mnie szaleństwo, cichły pieśni, fiesty, coraz rzadziej niebo rozświeślały fajerwerki, a włosy i skóra szarzały,

ale dom się wzniosł i trwa do dzisiaj. Czy ten dom, to mój styl i namiętność dzisiaj?

Do dzisiaj, do wczoraj i jutra, do ciebie, do mnie, zgaszonego tamtym wysiłkiem?

Mówisz, że namiętność powinna być sposobem życia.
To wąska ścieżka, nie zawsze własna *własna*, powinna
mnożyć się, powtarzana w codziennym rytuale życia.
Tylko powiedz, czym jest twój, mój, ich styl bycia?
Wiem, co to jest namiętność,
wiem, co to jest zdobycz, osiągnięcia, ciągłe parcie
do przodu.
Jak uczynić, by pasja była stylem? Abyś niosła cierpliwie
to, co musi boleć, dokuczać,
co jest trudem, bo z tego w końcu wykuwa się
twoja *Roma Apia*, Trakt do Wrzeszcza.

Pasja nie jest pytaniem, nie jest kwestią wyboru, jest
drogą, wyraźnym, świetlistym szlakiem,
który nie jest sposobem życia, jest Twoim jedynym
życiem.
Czy to chciałaś mi powiedzieć pisząc: *Mold your
career around your lifestyle not your lifestyle around
your career.*

18. 02.

W Kijowie płonie Majdan.

Ofensywa Berkutu. Jest już razem 16 osób zabitych. Sceny
w telewizji straszne. Ogień. Dym. Ludzie walczą, jak średnio-
wieczni rycerze, mają długie narzędzia (miecze?). Tarcze, zbro-
je...

Ogłoszono, że Kijów to miasto zamknięte. Co to znaczy?

Bohdanie (Wrocławski), jeśli odpowiada Ci ten wiersz, to puść
go u siebie, tylko u Ciebie (w pisarze.pl) można to zrobić szybko.
A chyba trzeba coś mówić o Kijowie?

dwa ognie

Dzisiaj wstał piękny słoneczny dzień, ptaki radośnie
buszują w ogrodzie,
moja czarna suka labradorka chłepcze głośno wodę,
herbata zaparzona, obok ciasto piernikowe.
Chce się żyć, gdzieś blisko jest wiosna.

Patrzę w bok, widzę tłumy na Majdanie,
to prawie nudne, mijają już miesiące.

Kupiłem nowe domowe pantofle - jak miło w nich
chodzić po ciepłym domu.
Po podłodze rozciąga się długa smuga światła
a właściwie cienia.
Moja żona niedługo wraca z pracy,
hej ho, żoneczko!

Na Majdanie płonie ogień,
w tle osmolone pomniki chwały i twarz staruszki.

Przez barykady
grają w dwa ognie.

Z Olimpiady dochodzą dobre wieści są złote medale
i są dobre dalsze miejsca,
zwycięzamy, jesteście bohaterscy, pokonaliśmy barierę,
jest nowy rekord świata i wszyscy o tym mówią,
a cóż to będzie jutro.

Na Majdanie mrok, płonie na żółto-niebiesko, ludzie
w kaskach
podobno biją, albo się biją, albo zabijają.

Dzisiaj jest środa, jeszcze sporo dni do niedzieli, kiedy
idę na filmową premierę,
rewolucyjny film, kolejna odsłona seksu i wolności
erotycznej,
postęp, postęp, wciąż dokonujemy transgresji,
jakoś odważnie pokazał to artysta.

To jest ogień, to jest Majdan, to jest płomienisko,
za oponami widać człowieka owiniętego w koce,
jest zimno.

To jest Ukraina.

A to jest Europa. A to sikory i grubodzioby na gałęzi.

Mówią w Brukseli. Mówią w Moskwie.
Mówią. Milczą.

Ta Pani na Majdanie, która wyciągnęła chłopaka spod pałek
trzyma swoją flagę,
która nie ma już śladów koloru i je kanapkę zawiniętą
w papier.
Ogień na Majdanie ją grzeje, jest ciepłej.
Nie jest źle.

Umarło tylko 16 osób.
Cóż to jest wobec wielkiej rewolucji chińskiej.

Słucham wiadomości radiowych, chcę wiedzieć, co się
dzieje, mówią, mówią.
Kryzys ekonomiczny w Azji ustępuje. Na wschodzie
USA podrygi zimy.
Ten fantastyczny piosenkarz, jak zwykle. Wymyślono
cud diety.
Ukraińcy powinni rozważyć.

Jem pyszną kanapkę. Majdan płonie. Idę na spacer.
Majdan płonie.
Majdan płonie.
Majdan.
Płonie.

Gdańsk – nie płonie, 18. 02. 2014

11.03.2014

Wiara w Boga to przede wszystkim życzenie, aby po śmierci
nie było pustki.

Jest funkcją lęków i bezradności.

Mnie lęk przed śmiercią również dotyczy. Ale, czy to jest lęk
przed śmiercią, czy, że po, za śmiercią jest nicość. Że Śmierć to
definitywna utrata wszystkiego, do czego jest się przywiązany,
a przede wszystkim do utraty świadomości, czyli utraty samego

siebie, takiej utraty, że nawet nie można powiedzieć utraty dla siebie.

Wiara w Boga to potężne narzędzie nadziei. Wiara w Boga to unik przed dojmującym lękiem przed utratą siebie. Od czasu do czasu zastanawiam się jaka jest cena, aby nie wierząc, uwierzyć?

Czy cena rozumu jest wystarczającym powodem, aby trwać w swoim rozumnym przekonaniu o nicości, która jest przynależna każdemu życiu skazanemu na śmierć.

Dopuszczam, że się mylę. I że dla niektórych, a może dla większości ludzi, nie istnieje taki dylemat. A jednak nie dopuszczam myśli, że istnieje taki Bóg, który jest obecny w codziennym życiu, kulturze, życiu społecznym. Ten osobowy. I nie chodzi mi o to, że uwierzyłbym w jakąś bardziej wyrafinowaną formę boga. Chodzi mi o to, że żadne z intelektualnych współcześnie spekulacji o istnieniu Boga mnie nie przekonuje. Wszystko, co wiem, wszystko co czuję, wszystko czego się domyślam, każe mi wierzyć, że Boga nie ma. I wcale przez to świat nie wydaje się gorszy. Gorsza jest tylko pośmiertna nicość.

Jest tak obrzydliwa, że nie ma najmniejszego wpływu na życie. Na tę stronę. Na stronę bytu.

13.03.2014

Kto ja jestem?

Nazywam się Zbigniew Joachimiak.

Do ósmego roku życia nazywałem się Zbigniew Nowakowski. Ale wtedy pan Nowakowski umówił się z moją mamą, że przestaje być ojcem.

Ojcem stał się Zdzisław Joachimiak, który umówił się z panem Nowakowskim i moją mamą, że będzie moim ojcem. Na początku nowym, potem stał się po prostu ojcem, a ja nawet stałem się do niego podobny, jak twierdziły różne przypadkowe osoby (o! jaki synek podobny do pana...!).

Zdzisław Joachimiak stał się prawdziwym, dobrym ojcem. Kocham go do dzisiaj, choć już od piętnastu lat nie żyje, wciąż mi go brakuje i kręci mi się łza, gdy wspominam dobre chwile z nim w domu rodzinnym.

Mój dom rodzinny to przede wszystkim matka. Przez lata, gdy żyła, stanowiła mój punkt odniesienia. Gdy umarła, wszystko za-
wisło. Wszystko stało się bez początku i końca.

Nie mam początku poza sobą. Mój świat sięga nie dalej, niż do
matki. Nie mam korzeni, nie mam dalekiej przeszłości. Wszystko
trwa podczas mojego życia. Może nie było innego świata?

Podaję, że świat się zaczął tak, jak się skończy: nico-
ścią. Gdy umrę, nie będzie nawet zasypanej szczeliny. Ale, póki
żyję, lubię myśleć o różnych sprawach, które były. Pisanie o nich
jest trudne, bo nie chcą się układać linearnie, a raczej układają
się rozgwieżdżowo, i trudno mi się skupić na jednym ramieniu
rozgwieżdżdy, bo trochę mi żal innych ramion.

Dużo ramion miała w moim życiu moja mama. Nie wiem, jak
to się stało, bo nie była osobą nadzwyczajnie wykształconą, a jed-
nak zdecydowała o moich intelektualnych i artystycznych, a też
humanistycznych zainteresowaniach i pasjach. Do trzydziestego
roku życia mój dom był z nią, choć od wielu lat mieszkalem sa-
modzielnie.

Jestem zatem Zbigniew Joachimiak, syn swojej matki. To
pewne.

Ile ważą moje słowa?

Gdy bardzo mi brakuje córki,
a zdarza się to częściej niż powinno,
wychodzę wieczorem na drogę za domem.
O tej porze kurz już osiadł, słysząc cykady,
od czasu do czasu krzyczą ptaki.
Staję przy tej starej studni. Tej studni, której nie można
opróżnić,
w której zawsze jest woda, nawet w największe susze.
Która nigdy nie zawodzi.
Zaglądam w głąb. Patrzę w czern. Może wypatrzę odbicie
w wodzie.
I wtedy, córko moja, krzyczę.
W głąb tej studni.
Krzyczę aż puchnie mi gardło.

Potem odchodzę, bo kto widział krzyczeć do studni?
Ale wtedy widzę, że z tej ciemni, z jej głębi wylatują
małe, szare piórka, puch.
Czy tyle ważą moje słowa?

25.04.2014

Dawno mnie tu nie było. Ale właśnie miałem rozmowę w ogrodzie:

Stara kobieta mnie pyta

Ta stara kobieta
zawsze siedzi w ogrodzie jest jak drzewo, a może jest
drzewem,
zmienia się wraz z pogodą raz jest w zieleni, w złotych
liściach
a to znowu jej chude ramiona wystają z połatanego
swetra zimowych
gałęzi, ale zawsze trzyma w rękach włóczkę i wytarte
druty.
Pytam ją co robi?
Podnosi wzrok widzę, że ma oczy są jak zielone stawy
w których figlują słowa, litery i znaki
i odpowiada mi: słowa się zawiązuje,
wersy układa w ściegi,
supełki stawia się w akcenty,
tak wiersze zawiązuje się mozolnie.

Schyla głowę, jej ręce zatrzymują się
na chwilę albo dwie chwile, albo na dwa przystanki dłoni,
wiatr lekką bryzą zwiewa jej z włosów drobiny,
jakieś pourywane wątki i teraz spostrzegam, że jesień
przyniosła jej do ogrodu dużo pourywanych zdań,
tłustych pewnych siebie nie całkiem zrozumiałych wyrazów,
a też pięknie złożonych sentencji.
Kobieta strząsa je, stara się ich pozbyć
ale rozłazą się po całej głowie,
jak robactwo po starym spróchniałym dębie.
Pytam ją co robi?

Rzuca na mnie niechętnym wzrokiem,
w jej źrenicach widzę twarde szydła
i mówi do mnie, przecież powinienes wiedzieć
- jeśliś poetą -
słowa trzeba rozsupływać,
rozplatać długie ich nici z kunsztownie
poskręcanych sznurków.
Trzeba je rozcinać i prostować.

Złości się, widzę
stuka w ziemię obcasem, wygraża trzymanymi w rękach
drutami,
wytrzepuje kurz z włóczki, krytycznie ją ogląda i nagle
zmienia się i robi łagodna.
Uśmiecha się ciepło a robótkę odkłada na bok.

Pytam, co się stało?
Nie odpowiada, chyba próbuje mnie zlekceważyć,
w końcu jednak pomrukuje, szeleści swoim starym wargami
i słyszę, że zwraca się do mnie i pyta:
a ty zawiązujesz, czy rozwiązujesz wiersze?

25.04.2014

Dowiedziałem się, że zmarł Henryk Nowakowski. Agata dowiedziała się o tym przypadkiem.

Zastanawiałem się wielokrotnie, co będę czuł i czy w ogóle coś będę czuł, gdy umrze człowiek, który mnie spłodził. Pierwszego dnia poczułem, że coś się wydarzyło, sporo myślałem o nim, i o sobie w tym kontekście.

Ale po paru dniach opanowała mnie całkowita obojętność. Nic nie znaczył w moim życiu i nie znaczy, gdy umarł. Postać z mojej biografii, ale nie z życia i ze zmagania z życiem.

24. 4. 2014

Przedwczoraj zmarł Tadeusz Różewicz.

Dla mnie był największym polskim poetą współczesnym. Nikt tak radykalnie nie przełamał poezji po XIX wieku i czasach wcześniejszych. Od niego zaczyna się naprawdę poezja dwudzie-

stowieczna, która zresztą trwa do dzisiaj. I czuję, że jeszcze potrwa, bo nie widać na horyzoncie zmian rewolucyjnych.

To Różewicz powinien być dostać nagrodę Nobla, a potem dopiero Miłosz lub Szymborska. Być może Miłosz był bardziej wyrafinowanym myślicielem, był wszak akademikiem wykładającym na uniwersytecie.

Szymborska być może pisała bardziej efektowne wiersze, ale to Różewicz bezpowrotnie zdjął uroczysty welon z poezji i zbliżył ją na dwudziestowieczne potrzeby do powojennego, wypalonego odbiorcy. Odbiorcy, który już wie, że nie ma granic moralności, a właściwie amoralności, że nie ma granic wypalenia, nie ma granic bezradności.

Słuchałem dzisiaj audycji telewizyjnej o nim. Słuchałem, jak recytuje *Ocalonego*. Po tylu latach (pierwsze spotkanie z tym wierszem miałem prawie 50 lat temu) wciąż przechodzi po mnie dreszcz, jakaś groza dogłębna i lęk.

Wiersz ani trochę się nie zestarzał.

Uderzyło mnie kilka wyznań Różewicza. Jedno z nich podobne do wyznania Ważyka, że, jako stary poeta, za każdym razem, gdy siada do wiersza, czuje się, jakby to robił po raz pierwszy... Różewicz narzekał, że wciąż ma kłopoty z formą, że jej nie opanował.

Uderzyło mnie to, bo jest to i mój problem. Mogę, jak Różewicz, powiedzieć bez kokieterii, że nie umiem pisać wierszy, choć właśnie umiejętność ich pisania jest kluczowa dla dobrej poezji. W końcu piszę wiersze dzięki wysiłkowi, a nie umiejętności.

Znajduję jeszcze jedno podobieństwo u Różewicza i u mnie. Ja również nie znam ani jednego swojego wiersza na pamięć, choć, podobnie jak Różewicz, dużo pracuję nad wierszem i poprawkami, redakcji jest zawsze całe mnóstwo (dzisiaj to mniej widać, bo piszę od razu na komputerze).

Nie wiem, jak to było u Różewicza, wiem, jak jest u mnie: ja po prostu wcale nie próbuję zapamiętywać i, gdy czytam swój tekst, jestem nastawiony nieustannie na korektę, na usuwanie brudów i grudek językowych (*chwastów*, jak powiedziałyby Kasia Korczak) i nawet nie próbuję go pamiętać.

11.05

Zawrzało w ogrodzie. Wszystko rośnie, aż trzeszczy.

Kilka dni cieplejszych i deszczowych. Kwitną azalie, wciąż magnolie, bez, jabłonie, śliwa, a też różne jednoroczne kwiaty, które zdążyłem posadzić.

Czuję się radosny. Upaja mnie ta pora roku. Codziennie spędzam w ogrodzie najmniej godzinę, ale, bywa, więcej. A więc jestem ogrodnikiem.

Kiedyś uważałem, że to jest jakaś, nie najgorsza, metafora dla mnie. Gdy zaczynałem pisać wiersze, wiele z nich miało motyw agrarny. Potem to jakoś zanikło. Teraz chętnie sięgam po... rekwizyty ogrodnicze, ale nie piszę już w toposie ziemi, raczej dominuje topos miasta. A jednak sporo mi taka optyka wyjaśnia (i rozjaśnia).

Ilonka milczy. Agata nic nie wie. Natalia milczy. Na facebooku widać czasami zdjęcia Irka, ale nigdy Ilony. Martwię się o nią, ale nie widzę możliwości zwrócenia się do niej, bo już raz odrzuciła moją próbę porozumienia. Szkoda. Przecież odchodzimy. Odchodzimy w ogóle. I odchodzimy od siebie. Odchodzimy od swojej przeszłości. Od swoich wyobrażeń o przyszłości.

Byłem u Bogusia Żyłko.

Dumny, bo dostał miły list od Sławińskiego. Dumny, bo postawił płot przy domu. Żonka miła. Pracusia. Ma napisać mi coś do „Migotań”. Chyba będzie to mocno akademickie, sądząc po jej wypowiedziach na tematy literacko-krytyczne. Ale ucieszę się z nowej autorki, szczerze.

Bogusława Latawiec rozrabia. Rozsyła maile po ludziach, że nie wyraziła zgody na publikację rozmowy, która ukazała się w „Migotaniach”. Fakt. Nie wyraziła zgody. Ale tekst jest w porządku, może zatem i dla Latawiec, bo młoda dziennikarka mocno się przyłożyła.

13.05

Znów mnie boli brzuch. Prawie ciągle.

14.05

Gnębił mnie ten temat „moskiewski”. To, co tutaj niżej napisałem, to raczej wstęp do eseju poetyckiego, niż sam wiersz.

Pytania do Nieprzyjaciół Moskali, po zdobyciu Krymu w 2014 roku

Czy wielki naród to ten, który jest liczny i posiada wielkie ilości okrętów,
ten który jest silny i strzela z wielkich armat,
który ma długie granice będące zawsze za krótkie?

Czy ten naród jest wielkim, który zwycięża i tylko wiktorie dają mu chwałę,
który zwycięża słabych na pociechę, bo słabi są godni tylko pogardy,
który pokonuje sąsiadów, bo są i bo są wciąż niezniewoleni?

Czy wielki naród to ten, który jest groźny, który jest postrachem pokoju,
który łamie wszystko to, co jest kruche i łamliwe,
to ten naród, który twarde obcasy sprawdza na kościach nieprzyjaciół?

Czy wielkim narodem jest ten, który wokół widzi wrogów,
który ma tylko nieprzyjaciół,
to ten naród który jest otoczony przez cały świat?

Czy wielkiemu narodowi nienawistne są wszystkie języki świata,
czy przeciwko jego okrętom wieją wszystkie wiatry na wszystkich oceanach,
a rozpięte płótna nad ptakami-żaglowcami na horyzoncie są znakiem wojny i śmierci?
Czy wielki naród to ten, który maluczkich rozetrze w proch,
którego hymn jest pieśnią strachu, lęku, znakiem czarnej chmury,

która niech wisi wysoko widoczna dla wszystkich nawet
za horyzontem?

Czy wielki naród to ten, który słyszy swój wielki głos
i nie słyszy cichych i maluczkich, i tych tam, i tych
obcych,
bo oni, Inni, zawsze i wszędzie piszą spiski i plany
wielkiego narodu zagłady?

Czy wielki naród to ten, który chętnie umiera za swą
wielkość i potęgę,
który cierpi i znosi znużenie wytrwale i długo, i stale,
który, gdy umiera przykrywa się sztandarem nie smutku
lecz chwały?

Czy wielki naród to ten, który wydaje wielkich poetów
a ich nie chce słuchać,
który buduje wielkie mosty po których nikt nie chce
i nie będzie chodzić,
i stawia budowle w których pustka głucha tylko s
wego echa szuka?

14.05.2014

14.05

No, cóż, 64 lata.

Asia na moją niepewną minę powiedziała, to lepiej niż osiem-
dziesiąt, a potem dodała, to bliżej sześćdziesiątki niż siedemdzie-
siątki. I to mnie już zbiło z tropu zupełnie. Nie planowałem życia na
taką okoliczność.

Wciąż mnie zadziwia, że jestem pojedynczo, bez zanurzenia
w przeszłość, bez poczucia więzi z moimi przodkami. To, że wciąż
nie mogę się oswoić z brakiem matki, to coś zupełnie innego, to po
prostu brak tej konkretnej osoby, z jej duchowością, osobowością
i jej miłością dla mnie.

Prawda jest taka, że po jej śmierci nie ma osoby, dla której jestem
tak samo ważny.

Wisi nade mną ciężki topór świadomości, że pojawiłem się na

świecie na chwilę i że wkrótce ta chwila minie. Świat nieszczególnie to zauważy. Moim jedynym śladem pozostaną wiersze, które przecież nie są i nie będą czytane zbyt często. I też nie będą wieczne.

Zadzwoiła Krystyna Chwin-Lars i słodko szczebiotała. Również o tym, że kiedyś tam, 10 lat, albo i więcej, temu, że Zawistowski za-protestował przeciwko sposobowi przyznawania nagród literackich pod nominacją między innymi Krystyny. Mówiła, że jej do dzisiaj jest przykro z tego powodu, bo ten list doprowadził do upadku nagrody (chyba nazywała się Literacką Nagrodą Mediów). Skarżyła się mnie, osobie, przeciwko której spiskowała, kombinowała, którą wyeliminowała z redakcji pisma, które powstało po „Autografie” (nie wspominając, że sam „Autograf” padł również w jakimś stopniu dzięki niej).

Czy naprawdę zapomniała, jak to było? A może naprawdę myśli, że ja tych jej podstępów nie widziałem? Ale było - minęło. Miło, że dzwoni.

Sporo życzeń na facebooku. Od różnych osób, w tym wielu moich autorów migotaniowych. To jeszcze jeden dobry aspekt wydawania pisma, dużo dobrych, wartościowych kontaktów z interesującymi ludźmi. Prawda, że to kontakt w dziewięćdziesięciu procentach wirtualny poprzez maile i przez teksty.

Maj wciąż jeszcze

Cholera, ciężko mi się pisze na nowej klawiaturze, fuck!

„(...) w załączeniu kolejny odcinek „Wyprasowań” oraz dwa tłumaczone z rosyjskiego wiersze (mam nadzieję, że mimo wojny krymskiej możemy nadal czytać rosyjskie wiersze...).

Będę wdzięczny za sygnał o losach tych tekstów.

Serdecznie pozdrawiam
Leszek Sz. „(Szaruga)”



Leszek Szaruga

„Leszku, jestem wściekły na Rosjan i to nie tylko na władze, ale również na zwykłych ludzi za

ich pokręcony nacjonalizm, azjatycki imperializm, za tę straszną potrzebę bycia najsilniejszym (a potem ewentualnie najlepszym) narodem na świecie i w konsekwencji popieranie Putina, za akty agresji, nie tylko w Ukrainie.

Rzeczywiście miałem pokusę pytania moich rosyjskich klientów w antykwariacie, czy też są pełni entuzjazmu dla swojego wodza, ale przeszła mi ta ochota szybko. Tym bardziej nie będę sekował rosyjskiej literatury i kultury. Choć, oczywiście, gdyby ktoś mi przysłał wiersze-sztandary nacjonalizmu rosyjskiego, odrzuciłbym na pewno.

Pozdrawiam, Zbyszek

Tak, Leszku, chcę te materiały, zrobimy mały blok ukraińsko-rosyjski.

Chyba warto, bo zgodzisz się, jest w tej sprawie coś więcej niż tylko spór graniczny.

Mnie jakoś ta sprawa szczególnie przejęła. Poza tym historycznym sporem rosyjsko-ukraińskim, który tak dobrze opisujesz w swoim tekście, jest też kwestia cywilizacyjna. I pewnie to mnie najbardziej rusza.

Mam pytanie, czy rak imperializmu, rozbuchanego nacjonalizmu, to tylko „wynalazek” rosyjski, a może, gdyby przyjąć jakąś alternatywną wersję historii, w której Ruś rozwinęła się bez Moskali, to czy po tej stronie Europy rozwinąłby się z podobnym aspiracjami inny, *ruski* (nierosyjski), imperialny świat. Wiem, że to uproszczone stawianie sprawy, ale jednak ma to coś z naszymi, polskimi sprawami, bo zmierza do ustawienia granicy, gdzie i kiedy Polska i polskie sprawy, polska kultura rozeszła się z żywiołem ruskim. A może, gdyby nie było Moskali, czy Polacy by rozwinęli w sobie żywioł imperialny?

A może to byliby Ukraińcy?

Pozdrawiam, Zbyszek”

„(...) masz rację, że to kwestia cywilizacyjna. Może i byśmy mieli pokusy, ale to temperowała „droga rzymska” w całej Europie. Może zresztą byłoby u nas lepiej gdyby zakorzenił się protestantyzm, ale za cenę uczestnictwa w wojnie trzydziestoletniej. Ukraina jest z gałęzi bizantyjskiej, ale też nie do końca i bez Moskali

pewnie by się przechyliła ku Zachodowi. Można pisać alternatywne historie, ale jest jak jest i z tym trzeba próbować coś zrobić. Jak wiesz, jestem w redakcji „Nowoj Polszy” - wydaliśmy właśnie numer specjalny, potrójny, po ukraińsku. Trochę jeżdżę na Ukrainę, miałem wykłady o „Kulturze” we Lwowie. Ale, cholera, nie znam języka, to trochę przeszkadza - choć oni bardzo na ogół dobrze rozumieją polski. Porozumiewam się po rosyjsku, co dla obu stron nie jest zbyt wygodne, ale cóż...

Dzięki za dobre słowo o wierszach. Z nowości: właśnie wychodzą dwie moje powieści: *...zmowa kontrolowana* w wydawnictwie Papierowy Motyl (już są wydrukowane egzemplarze) i *Dane elementarne* w wydawnictwie Forma w Szczecinie. Promocję obu będę miał w Szczecinie 30 czerwca. Serdeczności (Leszek)”

Wciąż mnie niepokoi skąd na starość przyszła na mnie taka nerwowość w kwestii rosyjskiej i ukraińskiej.

Pewnie obudzono we mnie jakiś nie w pełni odkryty lęk. Gdybyś potrzebował wiersze do „Nowoj Polszy” w tym temacie”, to służę.

Ostatnio napisałem jeden na temat Majdanu, gdy jeszcze płonął i nie wiadomo było co z tego wyniknie, a inny wiersz pod wielce znaczącym tytułem *Do Nieprzyjaciół Moskali*. Zbyszek J.”

27.06.2014

Dwie książki mnie ostatnio zaciękały:

Pierwsza Leszka Żulińskiego,

Poezja mojego czasu, to chyba jedno z ciekawszych ujęć doświadczenia poetyckiego, napisana przez poetę i krytyka z pokolenia roczników debiutujących w latach siedemdziesiątych.

Leszek Żuliński sam określa się jako poeta nowoprywatnościowy. To ważne, bo na osi tej kategorii buduje opis poezji dwudziestowiecznej, ze szczególnym uwzględnieniem powojennej, a jeszcze bardziej szczegółowo, tej rozpościerającej się pomiędzy Nową Falą, Nową Prywatnością, a poezją najnowszą, czy postnowoprywatnościową, która w opisie Żulińskiego jest przejawem postmodernizmu.

To solidny, choć eseistyczny, opis polskiej poezji, uwzględniający bardzo wiele nazwisk. Żuliński stara się być jak najbardziej sprawiedliwy i nie zapomina nawet o słabo znanych poetach. Demonstruje postawę, że skoro nie o wszystkich może pisać, to o wszystkich może choć wymienić. Bez ironii mówiąc, to naprawdę uczciwa próba wymienienia wszystkich poetów.

Z powodów naturalnych mnie najbardziej zaciękały wątki dotyczące mojego pokolenia, mnie samego, moich kolegów po piórze, po uniwersytecie, po przyjaźni. To pierwsze ujęcie opisu procesu historycznoliterackiego, gdzie poezja nowoprywatnościowa otrzymuje dość solidny opis i rangę.

Nie ze wszystkim, co Leszek Żuliński pisze, przychodzi mi się zgodzić. Ale w kwestii Nowa Fala – Nowa Prywatność poglądy z tej książki są mi bliskie. Gorzej jest z opisem zjawisk poetyckich z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, ale za to bardzo celne są opisy i diagnozy dotyczące poezji już z nowego tysiąclecia.

Być może zresztą to Żuliński ma więcej racji niż ja, bo mało czytałem tzw. młodej poezji, która powstała po przełomach politycznych w Polsce. Zacząłem czytać więcej, gdy powstały „Migotania” i gdy na mój adres zaczęli trafiać nowi autorzy i ich teksty.

Zgadzam się z Leszkiem Żulińskim, że młodzi poeci z lat dwutysięcznych znacznie szybciej dojrzewają literacko, niż poeci w ich wieku w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Oceniam to na podstawie lektury wierszy przesyłanych na konkurs „Czerwonej Róży”, w których z AKW (Andrzejem Waśkiewiczem) wiele lat jurorowałem.

To wartościowa książka i sądzę, że wejdzie do kanonu krytyki i historii literatury, dużo tu bardzo ciekawych intuicji, mnóstwo interesujących diagnoz.

Ujęło mnie jeszcze coś, solidne i szczere rozliczenie się Leszka Żulińskiego z własnymi błędami.

Druga książka to wywiad, rozmowa rzeka, z Arturem Liskowackim, czyli *Przywracanie, wracanie*.

Powód mojego zainteresowania tą książką całkowicie odmienny, choć... może jednak są też aspekty wspólne z książką Żuliń-

skiego, a mianowicie ton rozliczenia całego swojego doświadczenia literackiego oraz wytłumaczenia się z zakrętów romansowych z władzą, choć w tym przypadku autor rozlicza nie siebie, ale ojca. To bardzo ciekawy wątek, a przynajmniej wywołujący niejednoznaczne uczucia u czytelnika, a na pewno u mnie.

Najbardziej fascynująca sprawa w książce to stosunek Liskowackiego do Szczecina, a sam Szczecin jest przedstawiony niebanalnie. Czytałem tę książkę trochę jak cichy, nieco utajony, Szczecinianin, bo miasta młodości na zawsze pozostają *naszymi* miastami. Czytałem z ciekawością, co ktoś inny napisał o tym „moim byłym mieście”.

Ten wywiad rzeka jest tak samo ciekawy, jak i irytujący. Zastanawiałem się nawet, co powodowało we mnie irytację? Najbardziej chyba niezwykle „klasycystyczne” osadzenie się autora w tej książce.

Jawi się tu Artur Liskowacki jako parnasowski literat, pisarz olimpijski, taki nieco Iwaszkiewicz ze Szczecina, a na dodatek reprezentant całej linii pisarskiej.

Czy jestem złośliwy? Trochę tak. Ale już bez złośliwości, chodzi mi o to, że odczuwam taką klasycystyczną postawę pisarską jako anachronizm. Czas wieszczów i autorytetów chyba bezpowrotnie minął. Pisarz już, być może, na zawsze został strącony z pomników. Jest coś fałszywego, gdy Liskowacki pisze o sobie, że jest skromnym pisarzem, kimś zwykłym, kto nie rości sobie prawa do wielkich ról i autorytetu, a jednocześnie wiele stron książki poświęca na nic nie znaczące w obiegu literackim osobiste zdjęcia z ogródka, z tatusem i mamusią, na rowerku, w pieluszcze i bez, z wąsami i bez, w pozie zamyślenia nad wielką wodą... Jak wielkim trzeba się czuć, aby wyciągać ze swojego osobistego życia banalne epizody i historię. Czy nie wtedy jest się wielkim, gdy wyciąga się z własnego życia epizody, które są niepowtarzalne, nie doświadczane przez innych, odkrywające o autorze to, co jest ryzykowne, podejrzane, niejednoznaczne? Wtedy jest to odwaga.

U Liskowackiego taką odwagę znajdowałem, ale też, niestety, wiele banału. Wielką sprawą jest rozliczenie z własnym ojcem. Gorzej, gdy Liskowacki rozlicza się z własną wielkością.

Trochę to gorzkie słowa, bo to naprawdę dobry prozaik.

24.07.2014

Odwiedziła mnie Misia, czyli obecnie Marta Fox.

Przy okazji poznałem jej obecnego męża, Janusza (zrobił mi interesujące portrety fotograficzne).

Spędziliśmy kilka godzin ze sobą. Ciepłe lato pozwoliło na posiedzenie w ogrodzie. Zrobiłem supę jarzynową, letnią, lekką. Było miło.



W moim antykwariacie, 2014 r.

Ale potem zrobiło się jakoś dziwnie przykro, bo pomyślałem sobie, że przecież to może było nasze ostatnie spotkanie. Czas tak szybko biegnie. Misia opowiadała jak właściwie nieustannie cierpi. Sklerodermia jej nie oszczędza, atakuje w różnych miejscach. Nie wiem, na ile to śmiertelna choroba, ale każda choroba jest przecież śmiertelna, choćby poprzez degenerowanie i osłabianie ciała. Pomyślałem też o sobie, co mi dokucza i jakie dotyczą mnie zagrożenia.

Za trzy dni przyjeżdża Agata.

Jedyny mój łącznik z moją przeszłością, z rodziną, gdyby jej zabrakło byłbym już całkowitym sierotą. I byłbym jeszcze bardziej samotny.

Moja córka jest zbyt daleko, poza moim życiem, już wiem na pewno, że pozostanie TAM, a nie przyjedzie tutaj.

Po jej ostatnich pobytach w Gdańsku, mimo różnych dramatycznych sytuacji, uspokoiłem się. Już nie drzę o nią. Jej życie toczy się własnym porządkiem i już nie mam nic do zrobienia. Mogę ją jedynie upewniać, że nie było dnia w moim życiu bez myśli o niej.

Zgasła we mnie ostatnio chęć na pisanie wierszy.

09.09.2014

Dostałem dzisiaj maila od Anny Frajlich. Dziękuje za mój „ogród wierszy”, tak określiła numer 2/2014 „Migotań”. Bardzo ładnie. I poetycko, cóż, Anna Frajlich to Poetka (i to dużą literą). Zrobiła mi ogromną przyjemność, bo w numerze moje wiersze, mój plakat poetycki z wierszem *Do Nieprzyjaciół Moskali*, a cały numer chyba ciekawy, między innym dzięki materiałom: „wschodnim”, rosyjskim i ukraińskim.

PO PRZERWIE.

05.05.2017

Budzę się zupełnie przypadkowo i pojawia się jedna myśl, ale taka, która nagle uruchamia trzęsienie pamięci. Czytam wiersz *Dzień Matki*.

Przypominam sobie ja też miałem matkę. Mamę. Byłem połączony z wielu części: miałem głowę, dom, sny, ręce matki, ciało z codziennych wzrostów i upadków. I teraz to sobie przypominam. Miałem mamę. Kochaną matkę. Kochającą matkę.

Zawsze była. Nawet po śmierci, a teraz nagle poczułem, że jej od dawna nie mam. Poczułem, że już nie mam wszystkich rąk. Oczy przepuszczają do głowy mniej światła i że wychodzi mi z ust coraz mniej słów. Nie jestem pewny, kto kogo opuścił? Czy ona mnie, umierając, czy ja, zostawiając ją po jej śmierci. Poszedłem do jakiegoś przodu, do przyszłości, która przecież jest tak wątła i która niechybnie szybko się zakończy i nawet nie stanie się przeszłością.

Poszedłem na zakupy. Wyszedłem z psem. Zacząłem sprzątać,

pielić nasturcje (ukochane przez mszyce) i sasanki w przydomowym ogrodzie. Zapomniałem, że siedzi wciąż pod tym drzewem, tą starą jabłonią, opiera się na lasce i mówi, dobrze, dobrze, synku. Załatwiał swoje sprawy.

I tak jest. Załatwiam swoje sprawy. I coraz jest mnie mniej.

Zresztą może i świata jest też mniej. Ten, który dociera do mnie jest, choć pełen kolorów, ruchu, dźwięków, to jednak jest ode mnie odległy. Coraz trudniej mi odróżnić, co jest widmem pamięci, a co jest rzeczywistością.

GDZIE CO JEST.

Z wysiłkiem wyciągam z mózgu te myśli, które zupełnie bez wysiłku krążą w nim cały czas, bez przerwy, tyle że wyciszone, bo zagadane, *zahałasowane*.

Zatem mam matkę? Czy już nieodwołalnie jej nie mam. Trzymam na biurku jej okulary. W sypialni na komodzie jej zdjęcie. I tu i tam są jeszcze inne przedmioty, które mają utrzymywać...więź?

I teraz nagle poczułem, że nie mam już jej ręki, że nie mam jej słów. Nie mam jej codziennej obecności. Że moja matka staje się wspomnieniem. I dzieje się to tak, jak długie zdanie zakończone bez kropki.

Poniedziałek, 8 maja 2017

Jest w tym jakaś sprawiedliwość. Nie mogłem być z moją córką, gdy była na początku swojego życia. Wydawało mi się, że ten czas został definitywnie stracony. I tak się stało dla Sybilki. Nikt jej nie zwróci tamtych nieistniejących chwil ze mną. Ale...

Ale dla mnie w pewnym sensie los okazał się bardziej przyjazny.

W domu pojawiła się Hania.

Dziecko córki Agnieszki, Asi. Samotnie wychowuje Hanię i mieszka na piętrze. Ale co najmniej połowę dnia Hania spędza na dole, również ze mną. Doznaję chwilami euforycznych emocji. Mamy ze sobą znakomity kontakt.



Sybilka Storie-Joachim z Lechem Wałęsą, gdy odwiedzał Cincinnati.

A więc teraz wiem, jak to jest być z taką dziewczynką na co dzień. Bardzo inspirujące. Bardzo kojące. Bardzo stabilizujące i pouczające. Pokochałem Hanię. Hania też darzy mnie szczerym dziecięcym uczuciem. Wszystko wskazuje na to, że nie zatraciłem instynktu ojca i świetnie się z Hanią porozumiewam.

Ona mi się odwzajemnia, swoją wersją miłości, do dziadka, zaufaniem, chęcią bywania ze mną w najróżniejszych sytuacjach.

Otrzymałem coś, czego nie oczekiwałem. A więc stała się jakaś sprawiedliwość. Los oddał mi to, co kiedyś tak niesprawiedliwie zabrał, bo bycie z Hanią jest jak bycie z Sybilką, tak to odczuwam.

Poniedziałek, 8 maja 2017

spotkałem dzisiaj Olka Jurewicza.

Ostatni raz widziałem go chyba 25 a może 30 lat temu. Mieszkał niedaleko mnie, na Zaspie. Spotykaliśmy się, bo akurat łączyło nas wtedy wspólne doświadczenie – on i ja byliśmy świeżymi ojcami.

Olek to barwna postać, choć kabotyn i raczej dwustuprocentowy egoista (bo egocentryk byłoby powiedzeniem komplementu). Przychodził do mnie, ale w gruncie rzeczy był zawistny, chyba nie lubił mnie i gardził mną, a bo to kiedy on pijał, ja byłem

prawie abstynentem, a bo jak wydałem książkę, on uważał, że nie powinienem, a bo to, że byłem w redakcji tego czy innego pisma. Teraz najpewniej największy żal ma, że od 15 lat wydaję porządny kawałek literackiej gazety, a przecież wiadomo, że te wszystkie moje aktywności wynikały z tego, że jestem ubekiem (to dotyczy oczywiście starych czasów, a teraz po prostu kombinuję i mam układy).

Uważał się za najwybitniejszego poetę po Wojaczku. Kreował się na Stachurę, może trochę na Milczewskiego... wzorem był dla niego Marek Nowakowski i Krzysztof Karasek. Aha, uważał się też za polskiego Rimbauda.

Pijał dużo i bez miary. Było kilku takich ostro drinkujących poetów w Gdańsku. Esden-Tempski, (który nieomal się zapił na śmierć), Jurek H. Kamrowski, który spalił się (dosłownie w pożarze!), gdy był na hajcu, niejaki Krzysztoporski i pijące towarzystwo z Hotelu Asystenta, między innymi dzisiaj profesor i niepijący alkoholik, B. Ż., a też Heniu Szabała, filozof, co za szybko nas opuścił w kwiecie wieku.

Olek uważał pijaństwo za chwalebny rys swojej osobowości. Było to nawet dość urocze, oczywiście, do czasu, albo raczej do... rozsądnej odległości. Ważne, aby nie był zbyt blisko, bo wtedy był chamowaty i ordynarny. Pewnie uważał, że jest „poetą przeklętym”, gdy na schodach w akademiku próbował pisać na maszynie wiersz, lub sikać do akademikowych kwiatów, albo wpadać do znajomych i oświadczać, że postanowił popełnić samobójstwo... Większość reagowała zachętą, bo znali ten numer: „tak, tak, Oleś, trzeba to zrobić, koniecznie”, ale były i takie osoby, które natychmiast chciały go ratować. Robił to dość systematycznie, aż dziw, że dzisiaj go spotkałem całkiem żywego.

Alkohol nie pozwolił mu skończyć nawet dwu semestrów polonistyki, na której był w czasach, gdy i ja studiowałem. Gardził wszystkimi, ale jednocześnie potrzebował dowartościowywania od tych pogardzanych osób.

Tak zostało do dzisiaj, a ma teraz pewnie 62-63 lata. Jakiś czas temu wysłałem mu pdf-a z kolejnym numerem „Migotań”, w odpowiedzi napisał, że nie życzy sobie korespondencji ode mnie.

Teraz, gdy go spotkałem, nie był taki stanowczy, ale, charakterystyczne, że nie patrzył mi w oczy, gdy rozmawialiśmy o niczym na parkingu sklepu wielkopowierzchniowego ETC trochę o jego chorej żonie, trochę o tym, że sporo czasu upłynęło...

Powiedział, że się zestarzałem, to ja mu na to, że jemu strasznie urósł nochal. Rozmowa prawie jak u Czechowa, albo Mrożka.

Olek chyba rzeczywiście był niezłym poetą. Jego pierwsze tomy były ostre, nawet ożywcze w stylu. Intelktualnie opierały się na buncie i proteście i chyba głównie na tym, bo w całej jego twórczości widać braki regularnego wykształcenia.

Dużo czytał i na bazie tych lektur zdobył wiedzę i umiejętności pożyteczne w pisarstwie. To swoisty poeta naturszczyk. Samouk. Być może głębsze wykształcenie zabiłoby jego talent i urodę...

Od lat pracuje w bibliotece wojewódzkiej. Zajął się też prozą. Napisał dość cienkie (pod względem objętości) mini-powieści.

Dlaczego o tym piszę? Może dlatego, że jednak miałem nadzieję, że obaj już wyrośliśmy z zawiści i możemy życzliwe popatrzeć na siebie. Raczej myliłem się.



Krystyna Chwin, która mnie odwiedziła w antykwariacie. Krystyna to cała historia życia literackiego i środowiskowego w Gdańsku.

Środa, 10 maja 2017

Teraz widzę, że tamte czasy, były naprawdę inne, dziwne z dzisiejszego punktu widzenia, bo chociaż Andrzej miał telefon, a ja nie, to mogłem wpaść na ulicę Amundsena niezapowiedziany. Bez uprzedzenia. Był to ostatni adres, gdzie można było sobie pozwolić na taką śmiałość.

Potem przyszły czasy, że wizytę należało umówić, uprzedzić

telefonem, a potem, potem ustalić mailowo. Do Andrzeja (a też i Ani Sobeckiej, jego żony) można było wpaść bez tych ceregieli, a zdarzało mi się to wieczorem, najczęściej około 21. Ani razu nie odczułem, że jestem nie w porę, że przeszkadzam, a przecież wiem, że musiały być wieczory, gdy moja wizyta była wizytą intruza.

Andrzej dużo pracował, właśnie wieczorami, a właściwie nocami. Anna dużo pracowała w Radio Gdańsk i niekiedy wracała dopiero wieczorem. Andrzej wydawał mi się wtedy (i tak go do dzisiaj pamiętam) osobą z innego wymiaru czasowego, z innej epoki. Można było go zdefiniować jako osobę, która albo czegoś nie robiła jak wszyscy, albo robiła inaczej niż wszyscy.

To była jego osobność. Żył inaczej. W innym rytmie. W innych standardach. Właśnie, można było go odwiedzić bez uprzedzenia, a nawet bez flaszki wódki, choć bywało, że spotykając się nie żalowaliśmy sobie kulturalnej ilości tego napitku. Podkreślam, że kulturalnej ilości, bo z powodu jego przynależności pokoleniowej nie byłoby zaskoczeniem, że nadużywa alkoholu. Poeci Orientacji znani byli z tego, że dużo pili, często, niekoniecznie kulturalnie, że wspomnę tylko Żernickiego, Jerzynę, Śliwonika, czy Gąsiorowskiego. Andrzej pił mało, ale chętnie. Przez lata znajomości nie widziałem go w stanie, o którym można by powiedzieć: przesadził.

Był zawsze skupiony. Mówił cicho. Słuchał uważnie. Bardzo często nie zgadzał się z poglądami innych, ale nigdy się nie kłócił.

AKW. Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza poznałem w roku 1975, jako młody poeta, przy okazji „Debiutów Poetyc-



Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, po prawej.

kich”, które wydawał wraz z Jurkiem Leszinem, czyli Jerzym Koperskim.

Stanowili dobraną parę. Leszin - rozbiegany, bałaganiarski i do bólu skuteczny wydawca w ruchu artystycznym studentów. Andrzej - twarda skała, o którą niekiedy rozbijał się Leszin, gdy przesadzał z reakcjami. Leszin - intuicyjny redaktor, na podstawie jednego wiersza bardzo celnie potrafił określić wartość poety, Andrzej - analityczny, definiujący i porządkujący. Nie od razu można było się zorientować, że merytorycznie to jednak on, słynny pośród młodych poetów „AKW”, był szyją decydującą, w którą stronę skreśli głowa Leszina. Budził w tamtych czasach, w połowie lat siedemdziesiątych, szacunek.

O przyjaźni mowy nie było. Sporo musiało czasu upłynąć nim nasze spotkania nabrały bardziej partnerskiego, koleżeńskiego charakteru. Sporo czasu, sporo wydarzeń, gdy pomyśleć choćby tylko o historycznych trzęsieniach... zawalił się stary świat, a nowy rodził w bólach.

Nie pamiętam, czy mieliśmy kontakt w trakcie Sierpnia '80. Ale do tego czasu spotykaliśmy się często na różnych sympozjach, zjazdach literackich... Redagowaliśmy kolejne pisma, serie poetyckie, jurorowaliśmy w różnych poetyckich konkursach.

W trakcie jurorowania Andrzej był zawsze w jakiejś mniejszości lub opozycji. Nigdy nie był ofensywny. Swoje zdanie ujawniał dopiero w połowie obrad, a potem z uporem przekonywał do swojego zdania, często skutecznie.

Nie zastanawiałem się nad jego obiektywnością, może i był stronniczy, bo kto nie jest, ale nigdy nie ujawniał tego inaczej, niż poprzez konsekwentne przekonywanie do swojej racji.

Andrzej nie był efektowny, ale był efektywny.

Był jednocześnie wyciszony i zdecydowany. Przyjaźnił się z wieloma poetami. Co naturalne, najbliżej ze swojego pokolenia.

Leszin był jakby z innego podwórka, choć też poeta. Najbliżej emocjonalnie był chyba ze Zbyszkciem Jerzyną, ale intelektualnie z Krzysztofem Gąsiorowskim. Bliskość z tym drugim nie oznaczała zgodności poglądów i poetyk w praktyce wierszowania. Obaj byli najsilniejszymi ideologami, a też teoretykami pokolenia Orientacji.

Obaj wydali po wiele książek krytycznych. Jednakże „Gąsior” (bo tak nazywało się Gąsiorowskiego i pośród jego pokoleniowych towarzyszy, jak i później w całym świecie literackim, nawet o dwa pokolenia młodszych poetów), zasadniczo zajmował się głównie propagowaniem własnej wizji literatury i miejsca Orientacji w szerokim planie historycznym, począwszy od Norwida po poetów Nowej Fali (do młodszych pisarzy raczej nie sięgał w swoich krytycznych refleksjach). Całe spektrum egzystencjalne poruszał w wierszach, ale nie w krytyce. Nawiasem, choć twórczość Gąsiora była rozdwojona na poezję i krytykę, to była zaskakująco komplementarna. Wiersze bywały rozprawkami krytycznym, a eseje bywały bardzo poetyckie. Zasadniczo jednak zajmował się swoim światem, swoimi wizjami, swoim pokoleniem poetyckim.

AKW, choć tak bliski Gąsiorowskiemu, miał zgoła inną postawę. Był autorem teoretycznego konceptu-programu poetyckiego, który nazwał formulizmem. Obejmować miał poezję Orientacji, a też ewentualnie następców.

Andrzej jako poeta był niedoceniany przez swoich rówieśników. Być może duża sprawność analityczna, krytyczna, zepchnęła go na pozycję krytyka Grupy, a nie lidera poetyckiego.

Dzisiaj, gdy kurz opadł po chwilach zgiełku, myślę, że była w tym pewna sprawiedliwość. Wiersze Andrzeja, te wczesne, nie przejdą w jego biografii jako te najlepsze. Nieco się dusiły w programie formalistycznym (formulistycznym). Wielki POETA zrodził się później, w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, gdy już mieszkał w Gdańsku. Wiersze z tego okresu są uwolnione od pęt formalnych i lśnią oryginalnością intelektualną i poetycką. Te powściągliwe i minimalistyczne nieco wiersze najbardziej oddają prawdę o osobowości Waśkiewicza. O jego osobowości poetyckiej i intelektualnej. Są mądre. Tak je oceniam. Nigdy nie poczułem się bardziej doceniony, niż wtedy, gdy przeczytał jakiś mój wiersz, który poszedł w „Autografie”, a ja zapytałem, co o nim sądzi, i on powiedział: jest mądry. Ale tego rodzaju określenia używał w wielu innych wypadkach, choć w różnych wariantach. Na przykład o Szymborskiej, że „mądra baba”, o późnym Różewiczu „poeta mędrzec”. W dojrzałym

okresie swojej osobowości Andrzej zdecydowanie „odformalnił się”, stał się człowiekiem bardziej bezpośrednio patrzącym na świat i bardzo życzliwie. To wpłynęło na jego poezjowanie. Stał się poetą nieporównywalnym z nikim innym.

Jest jeszcze jeden aspekt jego działalności krytycznej i esejistycznej, który różnił go od Gąsiorowskiego, ale też od Jerzyny czy Żernickiego.

Andrzej bardzo chętnie oddawał swój czas i umysł innym. Jego zaangażowanie w debiuty poetyckie, w działalność okołoleszcinową, w kontakty z młodszymi poetami były bezprecedensowe i zaświadczały o jego nieustannej ciekawości i życzliwości dla nowych zjawisk literackich.

Jego książki to nie tylko sprawa jego wizji i poglądów, tak jak to było w przypadku innych kolegów rówieśników krytyków. Jego prace krytyczne stworzyły niesamowity dokument krytyczny tego, co się działo po Orientacji, i też po Nowej Fali.

Ta działalność była wyjątkowa, bezinteresowna, bo w książkach tych, jeśli już coś załatwiał, to nie swoje sprawy, ale innych, reprezentantów nowych pokoleń poetyckich. Trzeba się zgodzić, że to kolejny poważny komplement dotyczący jego twórczości i działalności, nawet, jeśli z niektórymi diagnozami trudno się zgodzić było wtedy, kiedy je ogłaszał, ale też i dzisiaj. Bo nie rzecz w trafności, lub poziome trafności, na przykład wykreowaniu - moim zdaniem - niecelnego określenia „nowe roczniki”, a w intencji. Andrzej wybudował dla kilku następujących po jego pokoleniu generacji poetyckich ich mitologię, ich legendę, ich fundament pokoleniowy. Jeśli nawet się nie można było z nim zgodzić, to był to mocny, mądry i uczciwy grunt do sprzeciwu i polemiki.

To doceniano w Andrzeju zawsze. Dlatego wokół niego było zawsze mnóstwo młodych autorów, którzy wiernie przy nim stali, a nawet się starzeli. Na przykład Eugeniusz Kurzawa z Zielonej Góry, z Ziemi Lubuskiej, która przez wiele lat była ojczyzną Waśkiewicza. Na przykład ja. Tyle że, gdy ja traciłem kontakt z młodszymi poetami, Andrzej w dalszym ciągu interesował się kolejnymi nowymi pokoleniami literackimi, a te pokolenia odwzajemniały mu się szacunkiem.

Zazdrościłem mu tego trochę, bo redaguję od piętnastu lat „Migotania”, pismo bądź co bądź literackie, i kontakt z młodymi pisarzami jest wręcz koniecznością, a jednak nie wychodzi mi to tak dobrze i naturalnie, jak jemu.

Miał dobry stosunek do nie tylko młodych.

Współpracowałem z nim przez lata w różnych redakcjach. W „Integracjach”, przelotnie w „Punkcie”, potem – dość długo, bo przez cały okres trwania – w „Autografie” (tym pierwszym), gdzie był redaktorem naczelnym. W każdym piśmie ujawniał empatię-sympatię wobec autorów, którym los nie był szczególnie przyjazny. Znakomicie orientował się w poezji i pisarzach współczesnej emigracji, co wcale nie było takie proste, gdy pamiętać, w jakich czasach ujawniał te zainteresowania. Potrafił przyczynić się do wydania ich dzieł w postaci książkowej. Mam na myśli serię *Generacje*, wydawanej we wczesnych latach siedemdziesiątych. Wierność poetom emigracyjnym okazywał potem w redagowanych pismach, gdzie animował teksty eseistyczne na ten temat.

Zainteresowanie emigracyjną twórczością było dobrym gruntem dla jeszcze innej przyjaźni – z Januszem Kryszakim. Super gość, niezły poeta i nawet po wybuchu skandalu teczkowego nie chcę zmieniać o nim zdania.

Wspominam Kryszaka, bo fascynujące są przyjaźnie Andrzeja Waśkiewicza, różne są do nich klucze. Zainteresowanie poezją emigracyjną mogłoby być dobrym powodem dla odwzajemnionej sympatii do Kryszaka, może właśnie z Januszem mógł porozma-



Portret AKW autorstwa Zbigniewa Kresowatego

wiać na gruncie nieomal naukowym, co trudno sobie wyobrazić z kolegami z Orientacji.

Nie wiem zbyt wiele o tym aspekcie umysłowości Andrzeja, ale był w nim nie tylko poeta, krytyk, działacz, ale też profesor. Stosował metody naukowe do dziedzin bieżącej krytyki, co wcale nie było takie oczywiste. Gdy poznałem Andrzeja niewiele mówił o swoich aspiracjach naukowych, gasły chyba w nim powoli, ale czy odstąpił od nich kiedykolwiek całkowicie?

5 stycznia 2018

Gapa, czarna nasza suka miała zapaść. Jest chora.

Ma mnóstwo porozsiewanych zmian. Jak na labradora żyje długo, bo już w tym roku mija 16 lat. Chodzi ledwie... ale wciąż jest pełna emocji. Zapaść była chyba natury neurologicznej. Zapadło się jej jedno oko i miała nadwrażliwość po lewej stronie głowy, nie dawała się pogłaskać. Ale wyszła z tego po raz kolejny.

Siedzimy razem w nocy w moim gabinecie. Jest moją stałą towarzyszką właśnie nocą, w ciągu dnia raczej kręci się po pokoju stołowym, kuchni i zimowym ogrodzie.

Wiem, że wkrótce umrze. I bardzo mnie to przejmuję. Jest przecież częścią mojej przestrzeni. duchowej również... Zwierzęta pokazują nam, jak szybko mija czas. Nawet jeśli dłużej żyjemy, niż one, to ich *przełot* przez nasze życie uświadamia, jak tylko przez chwilę jesteśmy w życiu swoim.

Jesteśmy na chwilę.

To zadziwiające, że tak wiele ludzie potrafią osiągnąć w tych kawałkach, chwilkach swojego życia. Ledwie wyłoniłem się z niebycia, a już zbliża się kraniec tego bytu. Nie wiem, kiedy uciekło mi poczucie „nieśmiertelności”. Takie poczucie jest cholernie potrzebne, aby być nadal ciekawym świata, aby podejmować wyzwania, aby widzieć sens w aktywności umysłowej, która nie będzie miała rychłego zakończenia, albo w ogóle go nie będzie miała. Teraz zmuszam się do zainteresowania się całkowicie nowymi sprawami, tematami.

Może nie jest jednak tak bardzo źle. Bo odkryłem w sobie ciekawość historyka, fotografika i pedagoga. To ostatnie to w związku z obecnością w domu Hani.

Kraniec życia lepiej znosić, gdy ma się misję do uniesienia. Na przykład dbanie o pamięć.

Wyszła książka Anny Sobeckiej Dedykacje dla Andrzeja K. Waśkiewicza.

Jest dość potężna i poświęcona pamięci jej męża, Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza. Zawiera różnego rodzaju wspomnienia o Andrzeju (ja zresztą też napisałem swoje). To ciekawy dokument o konkretnym człowieku. Udało się w książce zawrzeć niepowtarzalność Waśkiewicza, nawet jeśli większość wspomnień to dość lukrowe wspominki. Dla Ani Waśkiewicz-Sobeckiej, były to ważne dni, kiedy powstawała książka. Jakoś przedłużyła obecność Andrzeja.

Ale co teraz? Ten listek, ten krótko istniejący na łące listek, brązowieje, robi się szary, bury. Co jeszcze możemy zrobić dla człowieka, którego kochaliśmy, a który od nas odszedł? Zatrzymać go we wspomnieniach. Tak. A potem? Jest odpowiedź prosta. Pójdziemy tym śladem sami. Bo też jesteśmy listkiem, źdźbłem trawy, które ginie na zielonej, rozległej łące.

To być może paradoksalnie zabrzmi, ale literatura historyczna ma ogromnie dużo wspólnego z literaturą fantastyczną, albo odwrotnie, fantastyka jest pochodną literatury historycznej. W obu przypadkach tworzy się *dzieje*, w obu przypadkach jest wiele fikcji i wyobrażeń. W jednej i drugiej wszystko zbudowane jest na hipotezach, na interpretacjach i na uogólnieniach.

Ja przechodzę z literatury historycznej do science - fiction bez najmniejszego oporu i nie czuję, że wchodzę w obce sobie obszary twórczości. Oczywiście, jest znacząca różnica pomiędzy historią, a fantastyką, ta pierwsza odnosi się bardziej, lub mniej, do faktów (lub tego, co uznajemy za fakty), ta druga jest domeną wyobraźni i fikcji.

Czy jednak istnieje coś takiego, jak czysta historia, lub czysta fantastyka? A nawet w formie podręczników historia ma głębokie związki z wyobraźnią, fantastyką.

20 stycznia 2018

Katalog tematów które powinien podjąć współczesny poeta.

Powiedzmy, że powinien, jeśli jest zdecydowany na uprawianie poezji kontaktującej się z rzeczywistością społeczną i etyczną. Wyobrażam sobie, że można nie zachowywać takiego kontaktu i pisać całkowicie poezję osobistą lub artystyczną, warsztatową, lub autotematyczną. Ale, jeśli ma się emocje pozostania w dialogu ze światem, w którym żyjemy, warto podejmować takie między innymi tematy:

- wojna aktualna lub wojny historyczne, ich trwanie i ciągła obecność, bunty, powstania
- losy ludzi porzuconych (uciekierzy, bezdomni, bezrobotni, samotni)
- religia i życie religijne
- Żydzi, holocaust, polskie oraz Polaków doświadczenia
- horrory miast: Aleppo, Warszawa, Stalingrad, Drezno...
- jaka jest przyroda
- jaki jest kosmos
- jakie jest społeczeństwo
- jak kochamy
- jak cierpimy
- jak umieramy
- jakie są nasze dzieci

21. 01.2018

Sztuka, każda sztuka, musi mieć grunt obsesyjny. Musi powstawać w uporze powtarzania i przybliżania. W maniackim transie. Tylko obsesją wzmacniany intelekt przekracza siebie i wkracza na teren sztuki. A najciekawsze jest to, że ta współegzystencja nie degraduje ani intelektu ani sztuki.

Jama

Porowata jama

Gryzie mnie w stopy i ciągnie za ręce

Jak można tak ukształtować kamienie

Tak twardym uczynić grunt

Pod tą pustką

Snu który może miałem

Gdańsk, 30.10.2012

X X X

Moje dziecko się starzeje.

Ta dziewczynka z zadziornym spojrzeniem
która właśnie opuściła primary school.

Idziemy, trzymamy się za ręce
patrzę na jej dziewczęcą dłoń na której błyska obrączka

Pytam ją, to się zaręczyłaś, a kiedy?
przecież mówiłaś, że nigdy nie wyjdiesz za mąż,
bo po co skoro chłopaki i tak
do mnie lgną a poza tym
mam ciebie, tato, wciąż możemy się ślizgać
razem, zimą, po lśniącem lodzie

Nie, nie mów tak, przecież dziecko
jest na zawsze dzieckiem a ja jestem twoją córeczką
nawet gdy udało mi się rzucić palenie i już nie obgryzam
paznokci.

Nie, nie mów że się starzeję...
to świat tylko przepływa obok nas mijając
pory roku, pory szkoły, pory wyrastania z sukienek,
mam na to w ręce dowody, patrz tato,
patrz na tę jabłoń, wciąż jest spóźniona w kwitnieniu
znowu jabłka późno a jednak
będą tak samo słodkie

jak wtedy gdy mnie podnosiłeś
- wydawało się bardzo wysoko -
i kiedy udawało mi się je zerwać

Gdańsk, 18.09.2012

27.07.2018

Brian Greene, Piękno wszechświata, o superstrunach, ukrytych wymiarach i teorii ostatecznej.

Książka żmudnie przedstawia świat teoretyczny. Świat maksymalnie odrealniony i *uteoriowany*. Czysty świat logiki, matematyki i fizyki.



Moja córka, Sybilka, w naszym ogrodzie na Dubois

W sposób bezwzględny wyprowadza czytelnika ze świata zmysłowego. Zimny. Okrutny. Lecz, paradoksalnie, przybliża do niewyobrażalnie cudownego świata, gdzie niemożliwe jest całkowicie możliwe.

Autor w utalentowany sposób tłumaczy *niezrozumiałe*, a jedynie możliwe z matematycznego punktu widzenia. Opisuje teorie świata nie do pojęcia, które sam - co przyznaje - nie zawsze pojmuję. Jeśli jednak jest coś w tym do zrozumienia, to autor bardzo w tym pomaga.

Struny Świata zaczynają „grać”. Ukryte wymiary się rozwijać.

Jednak kończę lekturę w obawie, paskudnym podejrzeniu: a co będzie, jeśli teorie się nie sprawdzą? A perspektywa czasowa do sprawdzenia tych spekulacji matematyczno-logicznych jest bardzo odległa, daleka. Autor mówi, że może to zabrać kilkadziesiąt lat, a może setki. Gdyby nie magiczny wymiar tej matematyki,

może i nie warto by było czytać książki, ale fizyka tego teoretycznego świata prowadzi do nieskończonych wszechświatów, czasów, bytów... I to w niej uwodzi.

Czytam książkę: Dedykacje dla Andrzeja K. Waśkiewicza

Praca wspomnieniowa wielu autorów, zredagowana przez Anię Sobecką, żonę Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza. Sam umieściłem w niej spory tekst o AKW. Niektóre wspomnienia są ciekawe. Myślałem, że będzie to nudna lektura, ale tak nie jest. Cóż, niekiedy człowiek musi umrzeć, aby go inni mogli lepiej poznać.

W kolejce do czytania leży książka z korespondencją pomiędzy Andrzejem Waśkiewiczem i Jurkiem Koperskim – Leszinem.

Parę stron wystarczyło, by przypomniał mi się ten rozdygotany, rozpędzony nieustannie Leszin. Na początku lat siedemdziesiątych, gdy byłem z nim w częstych kontaktach, zalewał mnie (i nie tylko mnie) listami, kartkami, telegramami napomnieniami, czasem skargami.

To, co wydawało mi się kiedyś kolorystyką Leszina, w tej książce wyraźnie pokazuje się jako potężne pęknięcie osobowości.

To, co Andrzej i Jurek zrobili dla młodej poezji (*młodej* od początku ich działalności do końca ich życia, od pokolenia Orientacji do poetów lat dziewięćdziesiątych już nowego wieku), to ciekawe i ważne. Ale książka jest fascynująca właśnie dlatego, że pokazuje, obnaża skomplikowaną, *szaloną* osobowość Leszina (piszę Leszina, a nie „Koperskiego”, bo w mojej pamięci zawsze Jurek będzie Leszinem, nawet jeśli przez ostatnie 20 lat wypierał się tego pseudonimu).

Leszina poznałem w sposób dość niezwykły, bowiem znajomość wyprzedził mój wiersz na jego imprezie. W roku 1974 albo 1975 Miłka Bukowska zawiozła wiersz do Warszawy na jakieś seminarium literackie, gdzie odbywał się również konkurs poetycki. Wiersz otrzymał pierwsza nagrodę. Nie wiem, kto był w jury, być może Jurek. I to był start do naszych kontaktów. Nie pamiętam też, jaki to był wiersz? Może *Atletem polskim*, a może, biorąc pod uwagę gust Miłki Bukowskiej, jakiś tekst z serii *Wieczne Amazonki*.



Od lewej: Janusz Krzyżak, Marta Fox, X, Zbigniew Jachimczyk, Czesław Sobhuwicz, X, X. Fot. Archiwum

Potem były wieloletnie korespondencje z Jurkiem, wyjazdy na różnego rodzaju imprezy literackie, publikacje w „Młodej Sztuce”. W tym czasie poznałem też – chyba najpierw korespondencyjnie – Andrzeja Waśkiewicza, który przysłał mi prośbę o dane do Antologii „Debiuty 74”.

Moi umarli, którzy siedzą mi w głowie z oczywistych, ale też niekiedy z jakichś nie bardzo mi znanych powodów.

Oczywiście, nie dotyczy to mojej matki ani ojca, bo oni nie są umarli, a tylko ich nie ma, są tylko w jednym kierunku: ode mnie do nich. Nie wierzę w komunikację z duchami lub duszami, więc nie oczekuję, że się odezwą.

Ostatecznie mama też jest moją umarłą, ale inaczej, bo jest nieustannie umarła, czasami codziennie, czasami co kilka dni lub tygodni, ale jest na stałe. Nie dziwi mnie, że tak jest.

Moja ciocia z Zielonki.

Zazdroszczę mojej ciotce, która zawsze mówiła, że jej zmarły mąż ciągle do niej mówi, doradza i pociesza. Mojej ciotce zazdroszczę zresztą znacznie więcej, na przykład niezachwianej wiary w Pana Boga i Marię Świętą z Lichenia.

Ta wiara była potężną bazą jej życia i optymizmu. Zaraziła nią moją mamę i ojca. Choć, bo ja wiem? Czasami miałem wrażenie, że oni po prostu świetnie się bawili odnalezioną na starość wiarą w Boga.

Ojciec może bardziej był w tym względzie spontaniczny i naiwny. Dla mojej mamy to raczej była pewna organizacja życia: raz

w tygodniu do kościoła, modlitwy z ojcem wieczorem, słuchanie mszy przez radio w niedzielę, a potem oglądanie mszy w telewizji, gdy już nie mieli sił chodzić do kościoła. Ciekawe, zupełnie byli niepodatni na sprawy ideologiczne, promowane w kościele. W jakiś sposób realizowali swoje potrzeby metafizyczne, jednak nie sądzę, żeby mama naprawdę wierzyła, że po swojej śmierci będzie mnie odwiedzać. Myślę że bardziej była przekonana, że potem raczej jest NIC.

Nie wiem, czy to historia zabawna, czy wręcz przeciwnie: Moi rodzice powrócili na łono kościoła po 30 chyba latach. Gdy miałem 8 lat mama się rozwiódła i związała ponownie z moim późniejszym ojcem (pisałem już wcześniej o tym), a jako rozwodnicy nie byli akceptowani w polskim kościele katolickim. No, jeśli nie, to nie, powiedzieli sobie i przez całe moje dzieciństwo i wiek młodości nie było w moim domu księży. Żadnych bożonarodzeniowych wizyt.

Wiele lat później, jako starsi już ludzie, spotkali księdza, który im wyjaśnił, że jeśli nie współżyją już seksualnie, to mogą być członkami kościoła i uczestniczyć we wszystkich sakramentach, bo są ... tylko bratem i siostrą (dziwne zresztą to było rodzeństwo, bo mieli dziecko, moją siostrę Ilonę).

- No, to skoro możemy chodzić do kościoła, spowiadać się i przyjmować komunię, to czemu nie? I stali się ponownie wiernymi.

Śmieszne, smutne?

A jeśli chodzi o ciocię Jasię z Zielonki, przeżyła mojego ojca i mamę. Zmarła kilka lat temu. Teraz widzę, że wraz jej śmiercią skończył się świat tamtego pokolenia. Ona była ostatnia. Wraz z odejściem, jej dzieci, ja, moje siostry, kuzyni i kuzynki, staliśmy się nieodwołalnie *starzy*.

Losy rodziny mojej mamy były pewnie typowe dla czasów, w których żyli... Mąż cioci był w AK, jego brat w AL, moja mama była w milicji tuż po wyzwoleniu w Gdańsku. W czasie wojny byli wysiedleni z okolic Wąbrzeźna na Lubelszczyznę.

Moja mama, idąc do szkoły, przechodziła obok obozu w Majdanku. Groza. Znajdowała listy rzucane do rowów z prośbą, aby je przesłać do rodzin.

Ciotka pracowała w szpitalu. Była w strukturach oporu. Wujek Janek, brat mojej mamy, ujawnił się jako akowiec dopiero w latach pięćdziesiątych, dobrze już po Stalinie. Broń trzymał przez lata. Nie wiem, kiedy wreszcie ją usunął zza pieca na ulicy Jagiellońskiej w Bydgoszczy, gdzie mieszkali do lat sześćdziesiątych, może tego nie zrobił nigdy? Nie zdziwiłbym się.

Na przykład Milczewski-Bruno. Poeta.

Pijak. Rozrabiaka. Z fascynującym podejściem do języka.

Jego emocje i myśli nie dawały mu się zamknąć w zwykłych zapisach. A więc, być może dlatego przeszedł na poezję. Zwykły język nie pozwalał mu się dobrze wypowiedzieć, dlatego stworzył swoją ekspresyjną stylistykę, poetykę wybuchową, napiętą, deformującą język literacki, ale za to bliski jego słyszenia i rozumienia świata.

Chyba nie polubiłem go, gdy któregoś razu w połowie lat siedemdziesiątych zjawił się na wieczorze poetyckim w siedzibie ZLP przy ulicy Mariackiej. Był oczywiście pijany i agresywny, głośny. Wiersze miał naprawdę dobre, ale że miał kłopoty z uzębieniem, to seplenił. Ale show zrobił znakomity.

Drugi, i zarazem ostatni raz, spotkałem go na seminarium literackim, które zorganizował gdzieś w okolicach Torunia i Grudziądza Jurek Leszin. Nie pamiętam nazwy... nad pięknym jeziorem.

Było to najkrótsze seminarium, na jakim byłem. Niewiele pamiętam, choć to, co było tam najważniejsze, pamiętam dobrze. Dojechaliśmy na miejsce autokarem, w którym Bruno zachowywał się skandalicznie. Obrażał mnie, wyzywał od Żydów, był ordynarny. Drugi raz pomyślałem, że go nie lubię.

Dzień był upalny i gorący (to chyba był czerwiec albo maj), a zatem wszyscy po przyjeździe udaliśmy się nad jezioro, które było kilkadziesiąt metrów od ośrodka. Parę osób natychmiast wyskoczyło z odzieży i weszło do jeziora. Między nimi był Bruno. Pływał blisko, 20-30 metrów od niewielkiej plaży i pomostu. Pamiętam, że w pewnym momencie skrył się pod wodą, a następnie pokiwał znad tafli ręką.

Nie wiem, czy to ja pierwszy zaniepokoiłem się, czy może

ktoś inny, ale na pewno ja też zwróciłem uwagę, że Milczewski długo nie wychodzi z wody. Kilka osób wskoczyło do wody by szukać Bruna. Niestety, nie znaleźli go. Po kilku godzinach został wyciągnięty bosakiem.

Seminarium się rozwiązało. Wszyscy wyjechali. Został organizator, czyli Jerzy Leszin i Żernicki? I nie wiem dlaczego, ja. Przyjechał jakiś pogrzebowy transport, chyba kryta nyska lub żuk, i odwieźliśmy ciało topielca do jego domu.

Pamiętam tę noc. W krytym samochodzie transportowym zakładu pogrzebowego. Ciemno. Niewiele rozmawialiśmy. Nigdy wcześniej nie dotykałem umarłego. Nie widziałem z bliska. Do dzisiaj uznaję to za ironię losu, że oddałem ostatnią usługę człowiekowi, który parę godzin wcześniej mnie brutalnie obrażał.

Nadal go nie lubię.

Mój kuzyn, Janusz, syn siostry mojej mamy.

Siostry, która też za wcześnie zmarła. Janusz przez chwilę mieszkał w naszym domu w Krępie. Nie miał jeszcze dwudziestu lat. Znerwicowany, wcześnie osierocony chłopak. Zmarł na zawał serca. Wtedy poczułem bardzo mocno, że życie nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością. Wszystko w życiu Janusza było niesprawiedliwością. Jego pozamałżeńskie pochodzenie. Ojciec krętać. Siostra, którą kochał w sanatorium. Wcześnie zmarła matka. Peregrynacje po różnych domach. Bez sukcesów w szkole. Był pełen miłości do ludzi. Pełen energii. Miał plany zdobycia prawa jazdy, ale i to mu los odebrał.

Parę dni później, po wpisie powyżej, przyjechała do mnie Agata. Okazało się, że pamięć ludzka to grunt naprawdę niepewny. Agata opowiedziała mi, że Janusz wcale nie zmarł tak młodo, że osierocił troje dzieci, czyli był w poważnym związku małżeńskim. A żywot dokończył gdzieś na Śląsku, faktycznie na zawał serca. Prawie cała ta sentymentalna historia, która wyrosła w mojej głowie, to fikcja.

Jerzy Henry Kamrowski, poeta.

Jurek był pięknym mężczyzną. Brunet o pociągłej twarzy z dużą brodą. Mieszkał na poddaszu w kamiennicy Głównego Miasta na

rogu Grobli i św. Ducha. Gdy go poznałem, miałem 23 lub 24 lata, a on był chyba moim rówieśnikiem. Na początku znajomości coś nawet zaiskrzyło między nami, może pokrewieństwo dusz. Podpisał się pod manifestem Grupy Poetyckiej Wspólność. Mieliliśmy razem kilka wieczorów autorskich, w Gdańsku na pewno, ale też w Toruniu i Szczecinie, a potem jeszcze w Wieżycy.

Pisał świetne wiersze. Był wielkim talentem i wielce obiecującym poetą. Spotykaliśmy się literacko na wspólnych stronach różnych wydawnictw i jednodniówek.

Jurek, jako jeden z nielicznych, posiadał swoją *chatę*, czyli własne mieszkanie w dobrym miejscu Gdańska, tak więc kręciło się koło niego wiele różnych, często barwnych i dziwnych osób. Pamiętam Błażeja (nigdy nie doszedłem, czym się zajmował), poetę robotnika, Henryka Kominka, który bardzo wcześniej zmarł, a szkoda, bo pisał ciekawe wiersze; a też Pawła (Piotra) Kawieckiego, wtedy młodego poetę studenta, a potem też nauczyciela akademickiego. Był filozofem. Większość jednak to nierozpoznawalne towarzystwo, które jak muchy do kolorowej marchewki ciągnęło do Kamrowskiego, *Jerzego Henryka* Kamrowskiego. W Gdańsku był inny, również podpisujący się dwoma imionami Jerzy Henryk Kamrowski, wtedy jeszcze nieznany plastyk i poeta. Obaj do końca swych dni podpisywali się dwoma imionami.

Jurek (ten mój) przyjaźnił się nie tylko z młodymi hipisami, w przyjaźni był też z Mietkiem Czychowskim.

Mietek Czychowski był malarzem i poetą Orientacji (Orientacja nie zawsze przyznawała się do niego, może słusznie, bo był w stylu swoisty, inny). Trudno powiedzieć, czy był bardziej ceniony jako malarz, czy jako poeta? Ale niezwykle go lubili i szanowali młodzi poeci, był stałym bywalcem kawiarni „Literacka”, gdzie popijał z młodymi.

Bunio Tusk

Jurek Kamrowski też przyjaźnił się Bronisławem Tuskiem (wujem późniejszego premiera, Donalda Tuska). Donalda poznałem przy okazji moich towarzyskich kontaktów w Domu Asystenta na Macierzy Szkolnej, tam też poznałem jego późniejszą żonę, uśmiechaliśmy się do siebie miło, była drobną, bardzo

sympatyczna i rezolutną, dziewczyną, którą widywałem jeszcze potem na Zaspie, gdy odwiedzała żonę mojego przyjaciela, Jurka Wojtkowiaka, mojego przewodnika po fizyce.

Bronek był fantastycznym człowiekiem, rzeźbiarzem, przyjacielem wszystkich młodych poetów, artystów lub kandydatów na artystów. Miał pracownię przy ulicy Kaletniczej w Gdańsku i chętnie gościł poetów. Bronek, czule nazywany Bunio, być może z przyjaźni do poetów, podpisał się pod manifestem Wspólności, a było to ważne dla Grupy, bo poszerzało spektrum artystów - w ten sposób faktycznie Wspólność stawiała się interdyscyplinarna.

Poeci w tamtych czasach dużo, i z reguły wszyscy, pili wódkę, albo czerwone wino (szczególnie cenione było Egri Bikaver), bardziej zdeterminowani nie odmawiali wina marki Wino, czyli patykiem pisane (nazwa pochodzi od charakterystycznego pisma na etykietach, jakby patykiem), które leciało siarką, ale w głowę dawało ostro, a jednocześnie było najtańszym alkoholem.

Jurek Kamrowski też pił. Ale to nie alkohol stał się jego nie-
szczęściem. Jurek był moim pierwszym znajomym narkomanem.

Nie rozumiałem grozy tego uzależnienia. Była pierwsza połowa lat siedemdziesiątych, narkotyki to był dość jeszcze egzotyczny problem. Nie mieliśmy zbyt dobrych relacji, Jurka raził mój ówczesny akademizm (studiowałem, pisałem referaty, redagowałem pismo). On intensywnie uprawiał etos zatracenia. Zdążył się ożenić, ale żona go nie uratowała.

Chyba było to w 1977 roku, opowiedziałem Jurkowi o Krępie, że taka piękna, taka odosobniona, że moi rodzice zawsze pozytywnie traktują moich znajomych.

Zbliżał się lipiec, pojechałem, jak co roku do domu w Krępie Krajeńskiej. Wsiadamy z Jolą na stację i... nie wierzę własnym oczom, bo na trawie czeka na mnie Jurek Kamrowski i jeszcze parę osób. Okazało się, że już tam są od pewnego czasu, że nawet byli u moich rodziców, którzy ich przenocowali na sianie w stodole.

Wycięli mamie w ogrodzie wszystkie wielkie, czerwone maki, bo to był ich główny powód przyjazdu. Opowiadając im o Krępie

nieopacznie wspomniałem, że w naszym ogrodzie rok w rok mamy piękne maki, czyli wiadomo, niezwykle ceniony surowiec dla narkomanów.

Nie zagrzali długo miejsca w Krępe, tyle tylko, ile potrzeba było na zużycie wszystkich maków. Potem pojechali, tylko ojciec biadolił: „oj, ci twoi znajomi to pochorowani chłopcy”, bo znalazł w całym obejściu wiele fiolek po lekarstwach, efedrynie, psychedrynie, kodeinie....

Parę lat później Jurek, będąc na haju, spalił się żywcem. Wtedy już prawie nie pisał.

Jan Krzysztof Adamkiewicz,

poeta poznański. Poznałem go na imprezach literackich u Leszina w latach siedemdziesiątych i chyba spotykałem go jeszcze na seminariach literackich na Śląsku. Wydał jedną książkę poetycką mocno zakotwiczoną w nurcie „lingwizmu poznańskiego”. Zmarł zbyt szybko. Na samym początku swojej kariery poetyckiej.

Pracował jako listonosz.

Dlaczego go wciąż pamiętam? Gdyby żył, najpewniej byłibyśmy dobrymi znajomymi, bo było w nim wiele ciepła i miał ciekawą osobowość. Ostatni raz widziałem go w Poznaniu, gdy byliśmy tam na grupowych występach literackich w składzie: Staszek Rosiek, Adzik Zawistowski, Anka Czekanowicz, Krystyna i Stefan Chwinowie, a też chyba Ludwika Topp (zwana pieszczotliwie Ludwiczką, która słynęła z analitycznego umysłu i polemicznego charakteru). Gościła nas w klubie studenckim Małgorzata Bratek (dziewczyna Staszka).

29 sierpnia 2018 fragmenty korespondencji

„Drogi Panie Zbyszku!

Zgodnie z życzeniem przesyłam kolejne „Dedykacje”. Coraz częściej nawiedza mnie zwątpienie: czy pisząc o poetach, których blisko znałem nie mówię do głuchych? Przecież nawet czterdziestolatkuwie uprawiający literaturę nic nie wiedzą o tamtych ludziach.

Dziękuję za list. Rozumiem Pana, choć pisma będzie mi żal - nie ma drugiego na takim poziomie. To nie komplement, to fakt:

proszę porównać z „Twórczością”. A rozumienie wynika z faktu, że jestem w podobnym nastroju. W maju przyszłego roku po 16 latach nieodwołalnie rezygnuję z prezesowania ZLP. Nie masz, nie masz nadziei! Ta władza kontynuuje politykę poprzednich, ale niezwykle skutecznie: stare związki i stowarzyszenia twórcze skazuje na śmierć głodową. A na miejsce SPP i ZLP powołać mają nową organizację i na jej czele postawić Jana Pietrzaka, Marcina Wolskiego albo niejakiego Wencła (nie pamiętam jak on się pisze, ale wiem, że jest wielki). Mam dość - podobnie jak Pan - orki na kamienistym ugorze pod górę, jestem zmęczony. Dogorywamy.

Apel powiesiłem na stronie. Postaram się w sierpniu przesłać kilkaset złotych. Może pomoże? Mam nadzieję, choć jest ona wątpliwa.

Dziękuję, pozdrawiam MW”

„Panie Marku,

właśnie z powodów, które Pan przedstawił, powinien Pan kontynuować wspomnienia. Właściwie, to jest nawet obowiązkiem pisarskim przedłużanie obecności pisarzy poprzez literacką pamięć. Trzeba dbać o wszystkie kanały pamięci. Pisarz musi dbać o *kanal* pisarski. To prawda, że wspomnienia wzbudzają melancholię, ale taki jest los starszych, takich jak my, pisarzy, aby smuć się konsekwentnie i łagodnie.

Do melancholii jest więcej okazji. Również sprawa „Migotań”. Pismo umrze niechybnie, bo czasy nie są dobre dla takich pism. Uświadomiłem sobie to ostatnio bardzo jasno: być może mój kwartalnik to ostatni Mohikanin pism literackich zeszłego wieku. Ja też jestem z tamtych czasów. Muszę o tym pamiętać. Pietrzaki, Wolscy lub Wenzle, pieszczochy pisowskie, też sytuacji nie zmieniają. Oni też padną, nawet, jeśli przez chwilę, dzięki układom partyjno-politycznym, dostaną na chwilę jakąś możliwość bycia ważnymi osobistościami kultury.

Choć, oczywiście, można by sobie wyobrazić nasze państwo, które ma wrażliwe i mądre ministerstwo kultury, które uprawia twórczą politykę kulturalną. Ale z Glińskim na czele? To groteskowy pomysł, to chory facet, właśnie groteskowy, choć groźny, jak cała jego formacja polityczna. Zawsze mnie urząkał pomysł Swedenborga, że świat już się skończył i że żyjemy tylko w ja-

kimś cieniu umarłego świata. W jakimś poczasie, w tej chwili kosmicznej pomiędzy być i niebyć.

Serdecznie pozdrawiam, Zbyszek Joachimiak”

31 lipca

Agata dzisiaj przyjechała ze swoim wnukiem, Miłoszem. Wygląda dobrze. Ucieszyłem się szczerze tym przyjazdem, bo często mnie dopada myśl, że z roku na rok mamy mniej szans na spotkanie. Nie potrafię obiektywnie ocenić swojego zdrowia, ale dokucza mi wiele rzeczy. Przede wszystkim nie mogę swobodnie i długo chodzić, bolą mnie stawy biodrowe, nam ogólną miażdżycę i pewnie wieńcówkę. Muszę brać regularnie lek stosowany przy obturacyjnej chorobie płuc. Od czasu do czasu boli mnie brzuch w rejonie, gdzie usuwano mi fragment jelita. Dobre jest to, że uregulowały i wyciszyły się moje kłopoty ciśnieniowe, arytmiczne. To tyle na temat przyjazdu Agaty? Nie, nie oczywiście jest więcej:

Cieszy mnie jej przyjazd również dlatego, że moja starsza siostra to jedyny kontakt rodzinny. Ilona milczy i nawet nie wiem, gdzie przebywa. Przyjazd Agaty zmniejsza moje poczucie osierocenia.

Agata jest inteligentna, odczytana, dobrze się z nią rozmawia. Jedynie musimy sobie wyłączyć tematy polityczne, bo nie wiem jak, ale stała się (...), konserwatywna, (...). Dla mnie fatalna kombinacja światopoglądowa, ale czy z moją siostrą muszę rozmawiać o polityce... Nasze spotkania są pogodne i chyba obustronnie miłe.

Agata Foltyn była znakomitym radiowcem.

Dziennikarką kulturalną i społeczną.

Była ceniona za swoje autorskie programy nocne i reportaże. Radio przez lata dawało jej wycisk i przymus ciągłego intelektualnego rozwoju. To się dzisiaj czuje.

Muszę ją podpytać, co robi, gdy nic nie robi? Jest jednak emerytką. Jak ja. A ja wciąż pracuję w antykwariacie, nie wspominając o różnych próbach pisarskich, a też ciągłej redakcji „Migotań”.

Agata jest też moim kawałkiem Szczecina, bo jednak czuję związek z tamtym miastem, mimo że mieszkam w Gdańsku już ponad 40 lat.

12 sierpnia 2018

Andrzej, wspomnienia. Krok ku monografii.

To ważny tytuł, bo gromadzi dużo informacji i uświadamia konteksty jego twórczości i życia. Przybliża ważną postać polskiej kultury i literatury.

Zasadniczo konstrukcja książki to przepis na nudę i cegłę, którą stawiamy obok innych cegieł na naszych książkowych półkach z intencją, że raczej nie przeczytamy, a jeśli, to tylko pod warunkiem, że będzie ku temu jakaś wyjątkowa okazja. Tak się dzieje, gdy redaktorem jest bliska osoba bohatera, a wspomnienia pochodzą od osób życzliwych, które niejako z obowiązku nie piszą o dyskusyjnych elementach twórczości i kontrowersyjnych faktach biograficznych. A jednak w tym wypadku reguła nudy się nie sprawdziła.

Tom składa się z czterech podstawowych części zatytułowanych: „Świat literatury”, „W kręgu przyjaciół i znajomych”, „Prywatnie” oraz „Dedykacje”. Autorami tekstów we wszystkich tych działach są w różny sposób interesujący ludzie, niekiedy wybitni krytycy, pisarze, poeci, osoby publiczne oraz rodzina, wraz z przyjaciółmi. Można odpowiedzialnie założyć, że ten skład autorskich wspomnień spowoduje, że nawet jeśli książkę będzie czytał ktoś, kto nigdy nie słyszał o AKW, to i tak zostanie wciągnięty w fabułę tych wspomnień.

Układ działów, jaki zaproponowała Anna Sobecka, daje też szczególny i ważny rodzaj harmonii, która jest pożądana w każdej dobrej książce wspomnieniowej. Otóż utrzymany został właściwy stosunek pomiędzy emocjonalnością wspomnień, a ich merytorycznością. I nie tylko dlatego, że krytycy waśkiewiczowskiej twórczości dali naprawdę bardzo interesujące wykładnie jego poezji i eseistyki. Szkice Leszka Żulińskiego oraz Mariana Kisiele są najwyższej próby analizami i podsumowaniami pisarstwa Waśkiewicza. Wymieniłem tylko te dwa nazwiska, bowiem ich szkice mogą być kanwą dla innej, prawdziwie monograficznej już

pracy o Andrzeju Waśkiewiczu, bo właśnie w sposób oczywisty ukazują, że taka monografia powinna powstać.

Inni autorzy szkiców w rozdziale „Świat literatury” też dali bardzo ciekawe poznawczo interpretacje fenomenu pisarskiego AKW. Można by sądzić, że ta część książki, przez to, że jest najbardziej merytoryczna, jest pozbawiona emocjonalności. Nic bardziej mylnego. Z każdego tekstu przebijają uczucia, barwiąc i pogłębiając rozważania. A jak się dobrze wczytać, to są tu często emocje - nieoczywiste lub nieco, a często głęboko - skryte. Andrzej jest dla tych autorów współgraczem na planszy żywej gry literatury, na której oni też grali. Ich analizy, interpretacje i konkluzje, to nie tylko rozliczenie się z twórczością Andrzeja, to również ich własne rozliczenia z literaturą i życiem literackim. I to może powodować rodzaj pobudzającego, intelektualnego rozedrgania u czytelników. A u mnie spowodowało na pewno.

Drugi rozdział, napisany przez przyjaciół i znajomych, jest nie mniej ważny i decydujący o wartości całej książki. Dla wielu, być może, będzie najciekawszy, bo nic bardziej nie pobudza czytelnika, jak plotkarstwo. A wspomnienia miewają taki charakter, niezależnie, czy jest to eleganckie określenie. W tej części nie mamy porządku, harmonii, jest chaos i pomieszanie. Nie chcę przez to obniżyć rangi tych wspomnień. Ale właśnie liczne (61 autorów) optyki ten chaos muszą powodować. Sam dobór wspominający autorów już powoduje zawrót głowy. Na liście znajdujemy towarzyszy z wczesnych czasów literackich, od Orientacji po młodzię literacką XXI wieku.

Są pisarze i profesorowie literatury, młodzi i już nieco starsi, by wspomnieć tylko profesora Józefa Bachórza i profesora Mariana Kisiela. Są współuczestnicy bojów literackich z lat sześćdziesiątych, po partnerów aktywności społeczno-kulturalnej już z okresu gdańskiego. A gdy pośród żywych zabrakło pisarza ważnego dla Waśkiewicza, to wspomnienie napisała, niejako w zastępstwie, żona (Anna Gostkowska).

To bardzo ciekawy rozdział bycia z Waśkiewiczem, gdy on już odszedł. Wielu autorów zachowuje wstrzemięźliwą serdeczność, inni rozplývają się w ciepłych przypomnieniach. Wielu podkreśla wagę obecności Andrzeja i jego twórczości w ich życiu. To jest niejako regułą.

Ale są też takie wspomnienia, które nie są takie jednoznaczne i oczywiste. Czytając je, nie byłem pewny, czy służyć mają pamięci AKW, czy raczej promocji wspominającego. Właśnie te teksty są najbardziej zaskakujące, bowiem, pośród nich, można



AKW i Leszin - zawsze razem

doczytać się krytyki działalności twórczości Waśkiewicza. To subtelne znaki, na pomijanie wagi poetyckiej twórczości Waśkiewicza, lub podkreślanie jego aktywności przy Jurku Leszinie.

Tak, paradoksalnie te teksty z podwójnym dnem powodują, że czyta się fragmenty tej książki jak dobry kryminał, gdzie stajemy się

Szerlokami Holmsami w odkrywaniu całej (a i tej skrzywionej) prawdy o życiu i twórczości AKW. Wiem o czym mówię, sam napisałem tekst wspomnieniowy o Andrzeju w tym rozdziale. I przyznaję, że też w jakimś stopniu poprowadziłem podwójną grę. Ale, aby była jasność: nie przeciwko Andrzejowi Krzysztofowi Waśkiewiczowi.

Bardzo wzruszające są wspomnienia rodzinne. Ta część książki jest najbardziej jednoznaczna i prawdziwie serdeczna. Wspominają synowie, córka, teściowa. Wspominają przyjaciele spoza kręgu literackiego. Bliscy. Ważne osoby...

Uświadomiłem sobie w tej chwili, gdy piszę te słowa, że jest w książce wielki, wielki brak. Wielka nieobecność. I nie wytłumaczy jej tekst Anny Sobeckiej w słowie „Od redaktora”. Anno, spotykamy się niekiedy, a zatem ja mam szansę, abyśmy mogli powspominać wspólnie, a Ty opowiedzieć coś, co tylko Ty wiesz o Andrzeju. Czytelnicy, szczególnie już po lekturze całej książki, mogą być zawiedzeni tym brakiem.

Książka jest wzbogacona o dwa jeszcze inne elementy: zdjęcia oraz teksty dedykowane Waśkiewiczowi. Zdjęcia faktycznie obrazują to, co ważne było w jego życiu i działalności. Pokazują

otoczenie, ludzi, są zdjęcia z wybitnymi poetami, między innymi Adamem Ważykiem, Julianem Przybosiem, kompanami z Orientacji i z kolejnych pokoleń, a z drugiej strony ujęcia z dziećmi, z ulubionymi psami, a też samego Andrzeja w młodości. To dynamizuje ten obszerny tom. Podobnie, jak ostatni rozdział, zawierający wiersze dedykowane Waśkiewiczowi, trzeba przyznać na wysokim poziomie artystycznym, a nie zawsze zdarza się to tekstom panegirycznym.

Wracając do akapitów wcześniejszych.

Wzruszające i serdeczne wspomnienia nie muszą być interesujące, bo w tym przypadku, chciałoby się strawestować Anne Sexton: ważne jest aby i sztuka i aktorzy byli interesujący. Jeśli dramatem, sztuką było życie i twórczość Waśkiewicza, a aktorami autorzy wspomnieniowych tekstów, to oba elementy nie zawiodły i publiczność, czyli czytelnicy, dostali dobre przedstawienie.

Wydawało mi się, że dużo wiem o życiu Andrzeja, ale te wspomnienia przekonały mnie, że wiele nie wiedziałem. W pewien sposób te opowieści domknęły moją pamięć o nim. Może nie wyjaśniły wszystkiego, ale znacząco doświectliły zachowania Andrzeja i jego osobiste wątki w twórczości.

Jesteśmy mężni

Świat staje się coraz bardziej mężny,

jesteśmy jak nigdy silni.

Codziennie pokazują nam rozpadające się światy,

umierające dzieci,

tonące matki.

Lecz my dzielnie trwamy i stawiamy odpór obcym,

nie dajemy im wejść do naszych domów, odlatujemy na marsa

nie dajemy się zwieść

najeźdźcom.

Dzielnie bronimy nasz kraj,

nasze granice, nasze drogi.

I nasz kosmos chronimy.
Nie oszukają nas
islamskie dzieci, bo my wiemy.
Bo my lepiej wiemy, wiemy najlepiej

co takie dziecko ma za pazuchą,
co niesie w głowie, co chowa w torbie
jakie zamiary przynosi.
Obronimy nasze niebo.

Nie damy się zwieść. Nasz jest potężny świat.
Obronimy go mężnie.
Postawimy strażę by ocalić wszechświat.

28 stycznia 2018

- - -

Córki

Siedzi w moim pokoju na wzorzystej kanapie
córka córek, ojców pożegnanie.
Włosy spadają na jej jasne czoło, ciało ma wygięte,
złamane,
jest elastyczna, blisko i daleko,
jest jeszcze a już nie ma
jej

Dochodzi płacz ojców całego świata, choć wiedzą
że tak te młode dziewczyny muszą odejść.
Jeszcze blisko, choć w biegu,
w gabinecie twoim pełnym książek i zdjęć,
w długich starannie splecionych warkoczach myśli

są

w zielonych sukniach, w koronach kwitnących, całe
w płatkach
są we wszystkich zakątkach globu,
czekają na mnie, na ciebie, na swojego ojca,
który zasnął na tej długiej kanapie

w tej trumnie nieuniknionego
losu

Siedzi w moim pokoju, ma zamknięte oczy
bo to nie one dają jej widzenie, w pięknej sukience,
włosy upięte, nad nimi falująca aureola,
ręce trzyma na książce i
jest
wierszem z tej książki,
jest okiem, które samo siebie widzi,
odchodzi od odchodzących
bez słowa, bez gestu pożegnania

i nawet bez listu

30 października 2012

- - -

Wiosłując ścieżką do domu w Krępie Krajeńskiej

Skuta mrozem

zamknięta w ścianie brzóz,
w tunelu dźwięku oddalającego się pociągu
prowadziła od jasności w mrok i znowu do jasności

Trzeba wyteńczyć krok, aby nie zamarznąć
w powietrzu jest lód,
przed twarzą tuman pary, zabiela
w drzewach i pomiędzy

Wydłużyć trzeba krok, jeden za drugim w ciemność,
nie ma znaczenia, czy droga jest kręta czy prosta
- droga zawsze jest długa, za długa.
Słyszę swoje pośpieszne kroki,
idę równo - raz dwa, raz dwa,
od czasu do czasu płacze mi się rytm.

Do przodu, do przełamania panującej tu pustki,
która - wierzę - uparcie tam dalej się skończy
na końcu migotliwej śnieżnej drogi płaczącej

mi szlak, zatykającej oddech.
Pochylam w przód głowę, wbijam się
w skrzący tuman.

I w końcu jest
pierwsza fala nadziei, pierwsze śpiące domy,
pierwsze szczekania psów, w nozdrza wdziera się dym
a oczy atakują pobłyski

Zimno mi, jeszcze zimniej ale jestem blisko
kryształy śniegu poluźniają uchwyt, jestem tuż,
mam go już mam mój dom.
Ścieżka się otwiera na wielką polanę
na ślady stóp i ruchome cienie tuż przy
zasypanej śniegiem furcie,
z tyłu ściana brzóz się cicho zamyka
a ścieżka zasypia

15 sierpnia 2018

Muszę wreszcie napisać o tym, że nie dostałem pieniędzy od Ministerstwa na dalsze wydawanie „Migotań”. Być może ten rok to ostatni rok, gdy gazeta się ukazuje. Niewielką kwotę dostałem od Urzędu Marszałkowskiego, ale to nie pokrywa nawet kosztów 2 numerów i oczywiście na ma mowy, aby cokolwiek zapłacić autorom.

16 sierpnia 2018

Gapa umiera, ma 16 lat, jak na labradora to jakieś ludzkie 100 lat. Codziennie waham się, czy powinienem jej pomóc w tym jej umieraniu? Wydaje mi się, że bardzo nie cierpi (choć cierpi na pewno), chce się jej jeść, wciąż się objada, cieszy się na każdy kontakt z nami i pokazuje to energicznie machając ogonem, choć nie podbiega, bo ledwie chodzi.

Zachowuje się jak stary bardzo człowiek z wciąż dobrym kontaktem mentalnym i uczuciowym. Miała sączenie krwi z nosa i myślałem, że to już koniec, ale ona pozbiierała się ponownie i znowu odgoniła ogonem los. Przypomniat mi się mój wiersz z 1996 roku, oczywiście nie był o Gapie, ale, czy na pewno?

Los robi krok do tyłu

Los ma oczy zasłonięte opaską,
stoi pomiędzy nami
a my zawiązujemy z uporem
z tyłu węzeł za węzłem,
aby nie spadła z oczu losu chusta.

Nie dowiemy się jaki kolor oczu ma los,
jaki jest jego wzrok,
jak patrzy, jak mówi i co.

Gryziesz zielone jabłko,
wypluwasz czarne pestki,
obrana skórka robi się szara.
A on, los, robi krok wstecz.

Bursztyn

Myślę słowem
aby wzmocnić myśl aż
do wybuchu dźwiękiem.
Z ust wytacza mi się
porowaty bursztyn.

Bierzesz go do ręki
i mówisz:
jaki to lekki kamień.

- - -

Sen

Śniło mi się dzisiaj,
że ptak usiadł na mej otwartej dłoni.
Zamknąć jej nie mogłem
a trzymanie otwartej i w bezruchu bolało.
- Ramiona od wysiłku puchną,
bark cierpnie,
bo każde nawet najmniejsze piórko ptaka waży.
Umysł stara się pocieszać jak umie,

próbuję mdlejącej ręce pomóc.
Rytm serca jeszcze jest mocny
ale przyspiesza.
Ptak wybiera z kłosci dłoni
ziarna co lepsze, co większe.
- Jak wiele jest ziaren w otwartej ręce?
Na skórze widać coraz wyraźniejsze
ślady kolców – szponów.
Trwam jednak w nadziei,
że łatwo ze snu ptak mnie nie wybudzi
i gościem dłoni pozostanie
na dłużej.

07.09.2018

Od Agaty:

(...) „chodzę z tym dwa dni...cholera, nie wiem co z tym zrobić?... Bo nie wiem kim Ty jesteś? Liberałem?- chyba nie. Lewakiem, wojującym ateistą?... Nie wiem! Patrząc na nasze wspólne zdjęcie z dzieciństwa i wciąż się wzruszam. Długą przebyliśmy drogę od tamtego czasu. Z pasją walczyliśmy o swoje miejsce na ziemi zdobywając doświadczenie, kształtując pogląd na świat. Nie odważyłabym się publicznie oceniać Ciebie i Twój światopogląd... za mało danych, łatwo o pomyłkę. Nie wiem kim jesteś... wystarczy, że moim Bratem i chyba dobrym człowiekiem. Ja mam świadectwo chrztu, byłam u pierwszej komunii, i wierzę, że śmierć nie jest końcem życia. Czy to oznacza klerykalizm? – Lubię swój kraj, może dlatego, że innego nie znam. Lubię swój język, ludzi, którzy tu mieszkają/ choć czasem są wredni/ lubię naszą historię i obyczaje, a kiedy grają hymn jestem poruszona. Czy to jest (...) prawicowość. Przyprawileś mi gębę.

Kocham Cię, Zbyszku, mój Bracie...mimo że bardzo mnie zraniłeś. Ale raniliśmy się przecież nie raz. ŚCISKAM. AGATA”

„**Agatko**, jeśli to Ciebie tak dotknęło, to nie opublikuję tej części dziennika, w której opisuję Twoją postawę światopoglądową.

Jasne, że jest to moja osobista diagnoza, opis, ocena, a fakt, że jest fragmentem dziennika, doskonale pokazuje moje intencje, że jest to wyraz osobistych poglądów. Z oceną Twoich preferen-

cji światopoglądowych raczej chyba się nie wychyliłem zbyt, po prostu opisałem krótkimi słowami Twoje usytuowanie duchowe. (...). Nie było moją intencją Cię obrazić. Każdy jest, jaki jest. Ja jestem ateistą (stwierdzam fakt), a Ty praktykującą katoliczką, niestety chorego, politycznego, prawicowego kościoła polskiego (stwierdzam fakt), a wspieranie takiego kościoła to objaw klerykalizmu (stwierdzam fakt, nie oceniam). Oczywiście klerykalizm ma różne oblicza. Nasza babcia też była klerykałką, choć nie popierała PIS-u, bo wtedy nie było tej partii, ale jestem pewny, że gdyby teraz żyła, słuchałaby Radia Maryja i wybierała PIS do władzy, bo była bez wątpienia prawicowym członkiem społeczeństwa. Środowiska „Gazety Polskiej”, do którego Ci blisko, to też skrajna prawica (stwierdzam fakt, nie oceniam). Popieranie środowisk piłowskich, to też wyraz prawicowo-socjalistyczny.

Piszesz, że nie wiesz, kim jestem. Dziwne, bo znasz moje teksty. Tak, jestem, nawet nie agnostykiem, ale ateistą. Nie jestem walczącym ateistą, bo nic nie robię aktywnie na rzecz takiej postawy.

Lewakiem też nie jestem, bo lewak to zaangażowana i twórcza, aktywna postawa na rzecz idei lewicowego społeczeństwa. Bywam lewicowy, ale co najwyżej od czasu do czasu pogadam o tym u siebie w pokoju.

Mam poglądy liberalno - społeczne (albo liberalno - lewicowe) z pokreśleniem ważności **wolności** w życiu ludzkim w najróżniejszych aspektach, od wolności osobistej po społeczną i polityczną, ale też światopoglądową i intelektualną. Akurat mnie to nie obraża. Jestem, kim jestem.

Byłem ochrzczony, ale to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Ja się nie chrzcilem. To zdarzenie nie stało się w żadnej części istotą mojej osobowości i woli. Szukałem afirmacji w poglądach chrześcijańskich i katolickich przez jakieś 20 lat, do moich lat czterdziestych, ale instytucje kościelne bardzo mnie do tego zniechęciły tępota, prymitywizmem, instrumentalizmem i anty - religijnością. Ludzie Kościoła, którzy wzbudzają we mnie zaciekanie intelektualne i duchowe, na przykład ksiądz Tischner, ksiądz Boniecki, czy nieżyjący już ksiądz Pasierb, nigdy nie byli w kręgach polskiego klerykalizmu, są raczej na uboczu polskiego kościoła.

W naszym kraju katolicyzm jest dyktowany przez Rydzyka, a obecny papież jest zwalczany jako właśnie „lewak”, bo chce wyjść (nieco!) poza opłotki XIX wiecznego klerykalizmu.

Czy ja lubię swój kraj?

Różnie to bywa.

Są rzeczy, które mnie bardzo odrażają. Pewne tzw. cechy narodowe, nieumiejętność kompromisu, kłótniowość, łatwość wpadania w złe emocje, nadmiernie wysokie samooceny, niechęć do obcych, lekceważenie kultur, które były zawsze w Polsce. etc. etc.

Język polski jest ok, ale wydaje mi się, że np. język angielski jest znacznie lepszy dla potrzeb poetyckich, a niemiecki dla filozofii.

Polskie obyczaje niektóre lubię, ale dopiero od niedawna nieco mniej chlamy i przejadamy się.

Polska kultura jest ciekawa, ale współcześnie nie dorasta kulturom angielskojęzycznym, frankońskim i germańskim. 500 lat temu byliśmy na dobrym szlaku, parliśmy do przodu, bywaliśmy awangardą Europy, ale to się dawno skończyło

(nie oceniam, tylko stwierdzam fakt).

Patriotyzm jest ok, czy to ogólnonarodowy, czy lokalny, czy kulturowy, ale nacjonalizm NIE, doprowadził (i być może ponownie jest na tej drodze) do wojen, pożogi, powszechnej nienawiści.

Tyle słów wyjaśnień. To, że jesteś, kim jesteś, nie przeszkadza mi Cię kochać i mieć radość z naszych rzadkich spotkań. Przeszkadza rozmawiać na pewne wąskie tematy, które nie są istotne dla relacji rodzinnych. Choć, jeśli kiedykolwiek zechcesz podyskutować, podzielić się poglądami bez gwałtownych emocji, to ja zawsze jestem gotowy.

Bez tej dyskusji też jestem z Tobą.

Całuję, Zbyszek”

09.09.2018

Niejako na marginesie tego dziennika uświadomiłem sobie, jaki jest jeden z wielu powodów tworzenia powieści, tekstów literackich.

Jeśli jedną z przesłanek do pisarstwa jest autorefleksja, potrzeba podzielenia się nią, lub opisanie swoich myśli i losów, to dla każdego, kto tego próbował, staje się jasne, że nie da się opisać/

opisywać swojego, nawet wyłącznie swojego, życia. Życie jest tak szybkie, że nie można za nim pisarsko nadążyć. Nie da się rzetelnie opisać swojego życia, myśli, emocji, wydarzeń i mini wydarzeń. Wszystkie próby muszą być obarczone skrótowością, wybiórczością, niepełnością. Receptą, aby temu jednak sprostać, jest właśnie literatura, która w każdym przypadku jest syntezą, uogólnieniem. Zawsze każda powieść, nawet najbardziej realistyczna, jest swoją metaforą życia oryginalnego lub fikcyjnego. Dobry pisarz, to dobry...syntezator można powiedzieć, choć, oczywiście, jest w tej całej myśli spore uproszczenie.

Uwaga do tekstów dziennika: Stosuję swoją własną interpunkcję.

Wynika to moich doświadczeń poetyckich, które prowokowały mnie, aby nie dać się zakleszczyć w regułach interpunkcyjnych. W poezji daje to dobre wyniki, poszerza semantykę, wprowadza wieloznaczność, wprowadza różne, czasami tylko *domyślane* sensy.

W tekście dyskursywnym luźna interpunkcja to wiele zagrożeń, brak wyraźnych reguł wprowadza pewien chaos, może poczucie, że autor nie panuje nad tym, co mówi. I to jest prawda.

A jednak wolę tę luźną interpunkcję, pisanie tak, jak słyszę w głowie, a reguły często zmuszałyby mnie do wpisania przecinka, gdzie ja go nie stawiam, albo pisania dużą literą po dwukropku, gdy jest to sprzeczne z sensem zdania. Zasadniczo jednak chętnie używam interpunkcji, gdy pomaga mi w wydobyciu sensu wypowiedzianej frazy i uważam, że jest bardzo porządnym i użytecznym narzędziem w swej uregulowanej formie.

21.10.2018

Gapa zmarła.

To był koszmar umierania. Już nie chodziła, miała kompletnie niedowładne tylne łapy. Z lewego oka nieustannie coś się sączyło (od chwili, gdy zszedł ogromny guz z jej czoła). Straciła apetyt. Robiła pod siebie, choć do przedostatniego dnia starała się zwlec, by nie brudzić legowiska. Zero radości! Postanowiliśmy z Agnieszką ją uśpić. Dostała łącznie 15 tabletek luminalu, 100 miligramów relanium i 15 mg beta blokera zwalniającego rytm

serca. Po 24 godzinach suka się nie poddała. Dołożyliśmy jej jeszcze potężną porcję luminalu i relanium. Uspokoiła się, głęboko spała, chrapała, rozluźniona, szczęśliwa.

Nie chciałem, aby wróciła do swoich cierpień. Przyłożyłem jej rękę do nosa by uniemożliwić oddychanie. Nie protestowała. Po 12 ruchach przepony ciało przestało domagać się powietrza. Płaczę. Płaczę.

Gapa jest w ogrodzie na głębokości półtora metra, zawinięta w białe prześcieradło i na swoim ulubionym, miękkim legowisku.

Wiedziałem, że musi odejść, a jednak trudno pohamować uczucie smutku. Była najlepszym przyjacielem w moim życiu. Agnieszka słusznie zauważyła, że ten pies nigdy się zezłościł. Zawsze była łagodna, pozytywna.

04.11.2018

Do Przyjaciela: Liczę, że uda się nam spotkać w jakimś sensownym czasie. Dużo pracuję w domu (poza zajęciami antykwarecznymi) i już jestem pewny, że wiele rzeczy nie zdążę zrobić. Coraz lepiej wiem, że najważniejsze są te nieliczne, prawdziwe relacje z bliskimi ludźmi. Piszę nieliczne, bo - to też widać dopiero z pewnego dystansu życiowego - nie mogą być liczne, jeśli mają być prawdziwe.

Chciałbym pociągnąć Cię za język i dowiedzieć się czegoś o Twoich dzieciach, co robią, czy są szczęśliwe. Jak żyje się Tobie w nowym miejscu? Co czytasz? O czym myślisz? W pewnym sensie jesteśmy dla siebie archeologicznymi obiektami i możemy wzajemnie patrzeć na siebie jak na zachowane zabytki i widzieć czas, który odszedł.

Jest XXI wiek (co mnie nieustannie zaskakuje), ale nasze życie, ważna jego część, jest z XX wieku, mamy pamięć o rzeczach, o których nowym pokoleniom mało wiadomo.

I o tyle mamy lepszą optykę na przyszłość, hmm.

05.11.2018

Wydaję teraz w Fundacji Światło Literatury ciekawą autorkę, córkę Grażyny Bacewicz, matkę poetki Agnieszki Sendłak, malarzkę i poetkę, Alinę Biernacką. Specjalnie tak pokrętnie to napi-

sałem, bo chciałem podkreślić, pokazać, jak losy artystów bywają uwikłane rodzinnie.

Biernacka to bardzo dobra poetka.

Czyta się jej wiersze jak balsam dla zmęczonej duszy. Pisze o sprawach ostatecznych w sposób czysty, klarowny, spokojny i mądry, tak po ludzku mądry.

Jej wrażliwość ma dobre źródło, bo jej mama była wybitnym muzykiem i gdyby nie była kobietą, najpewniej wymieniano by ją równie często jak Pendereckiego lub Lutosławskiego.

Niestety los kobiet muzyczek nigdy nie był łatwy, by tylko wspomnieć Klarę Schumann. Choć ta miała jako takie życie, dzięki sławie brata. Szukałem niedawno płyty z nagraniami polsko-francuskiej muzyczki, Krzyżanowskiej (żyła już w XX wieku), jej świetną kompozycję słyszałem w radiu, ale płyty nie znalazłem, wielka szkoda. Słucham często nocą audycji o historii polskiej muzyki. Szokujące, jak wiele jest dobrej, a zupełnie nieznannej, twórczości. Ale nie o tym chcę pisać teraz.

Tom Biernackiej będzie godny zapamiętania, dlatego też przyłożyłem się, aby książka była piękna i dopracowana.

W takich sytuacjach zwykle zwracałem się do Jurka Suchanka, który - jak to poeta, pisarz, redaktor, krytyk i animator - robił mi świetnie składy książek.

Seria poetycka, którą wydaję, wychodzi od lat i pierwsze projekty pochodziły od Tomasza Bogusławskiego (grafika) oraz Darka Szmida, ale, z czasem, projekt się wyemancypował i nabrał swoistego, niepowtarzalnego charakteru.

Teraz, gdy zabrakło Jurka (zmarł miesiąc temu) poprosiłem o złożenie książki nowego człowieka. Niestety, daleko mu do Jurka, choćby dlatego, że nie czyta tekstów, dlatego nie wymienię teraz jego nazwiska. Widzę jednak, że jest przed nim przyszłość i gdy dojrzeje na pewno pochwalę go z nazwiska.

05.11.2018

Moi umarli.

Brakuje mi Jurka Suchanka. To była trudna znajomość i...

chwilami przyjaźń. Na początku przede wszystkim łączyły nas przygody z życia młodoliterackiego. Spotykaliśmy się na różnych zjazdach, seminariach i sympozjach. Napisałem mu wstęp do pierwszej jego profesjonalnej książki poetyckiej, to było gdzieś na początku lat osiemdziesiątych. On się odwzajemnił i napisał recenzję mojego tomu wierszy (*Mam do powiedzenia*, Wydawnictwo Morskie). A potem jakoś się toczyła to znajomość, czasami w korespondencji, czasami na spotkaniach literackich, w dyskusjach, przy wódce i z dziewczynami (też).

Przerwał tę idyllę stan wojenny. Przyhamowały się wtedy wszelkie aktywności społeczne, artystyczne, literackie i towarzyskie (ja straciłem pracę w kwartalniku literackim „Punkt”). Nie wiem, jak wyglądały jego losy w tym trudnym czasie. Ja po roku stanu wojennego musiałem wyemigrować do Stanów Zjednoczonych. Gdy wróciłem do Polski po trzech latach, na nowo zacząłem się układać...

A jednak „Punktu” nie udało się aktywować. Władze były skłonne przywrócić tytuł do życia, ale, między innymi, Staszek Rosiek postanowił być „kombatantem” i mocno się temu sprzeciwiał. Nie mam na to dowodów, ale czynił jakieś obstrukcje. W nowym „Punkcie” naczelnym miał być Stulek Hebanowski, który jednak niespodziewanie zmarł na dworcu gdyńskim, w drodze do teatru w Szczecinie, ta przykra okoliczność ostatecznie skończyła dyskusję o reaktywacji kwartalnika.

Wracając do Suchanka: Po pewnym czasie powstał „Autograf”, w którym publikowałem wiersze Suchanka. Powoli wracaliśmy do zwykłego literackiego życia. I znowu jeździłem na Śląsk (miałem zresztą dodatkową motywację - Myszkę, Misię Fręś, vel Martę Fox w ostateczności).

Po pewnym czasie zacząłem pracować dla wydawnictwa Holiday Working Press u Edwina Myszka (obecnie Mischke). Pracowała u niego wcześniej Anka Czekanowicz w Grafie (inna spółka Myszka), to zresztą mnie zachęciło do współpracy z Edwinem) i gdzie wydawała sporo dobrych tytułów literackich. A zaczęło się od przypadkowego spotkania u Aldony Mrozowskiej, która

poznała mnie z Wojtkiem Rozpierskim (mężem jej przyjaciółki, Danki). Wojtek, jeden z prezesów w Holiday Working Press, zaproponował mi szybką (i też szybko płatną) pracę, napisanie biografii księdza Jerzego Popiełuszki. Może bym się nie skusił na tę propozycję, ale okazało się, że będę miał sporo materiału o Kapłanie. Porozumiałem się z Agatą i wspólnie napisaliśmy w 3 tygodnie niewielką książeczkę, zresztą anonimowo. Potem pojawiały się kolejne propozycje, głównie tłumaczenia. Pamiętam, tłumaczyłem między innymi Przewodnik po alkoholach. Edwin Myszk dobrze i szybko płacił, potwierdzała to zresztą Anka Czekanowicz, która była szefową redakcji w Grafie. Firma wpadła jednak w finansowe kłopoty (bo rynek wydawniczo-książkowy nie był łatwy) i wtedy zaproponowałem moje usługi związane z materiałami telewizyjnymi.

Miałem w tym czasie własną firmę translatorską (FilmTranslator), współpracowałem z amerykańskimi i brytyjskimi agencjami, a w Polsce przede wszystkim z Telewizją Szczecińską, ale nie tylko, bo również z naszą lokalną Telewizją Orunia, i Agencją AmberFilm. Kupowałem różne filmy a w mojej firmie je tłumaczyłem, a potem Holiday Working Press nimi obracał. Wkrótce zostałem zatrudniony na stałe. Dostałem pierwszy w życiu służbowy samochód (do dyspozycji). Dopiero po jakimś czasie zaczęły do mnie docierać informacje o podejrzanej przeszłości Myszka. Lekceważyłem to, bo sam miałem złe doświadczenia w pomawianiu mnie o różne złe rzeczy, zatem traktowałem te informacje jako plotki. Ostatecznie pracowałem dla Edwina z 10 lat w firmie Tele Tower International a też potem w wydawnictwie Tower Press, którego byłem prezesem. To była dobra praca. Nawet gdy już obrót filmami stał się mniej dochodowy, wciąż wydawałem wiele kapitalnych książek. Wspomnę tylko kilku z wielu z całej góry autorów: Ernesta Brylla, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Jerzego Limona, Marię Kurecką, Jerzego Niesiobęckiego, Andrzej Żurowskiego (jego prace o Szekspirze), Jana Nowickiego, czy też Annę Czekanowicz (tom poetycki wyszedł jeszcze w Grafie). Potem, po latach, informacje o Myszkku się potwierdziły, ale Edwin w tamtym czasie był bardzo rzetelnym, lojalnym i uczciwym pracodawcą. Postanowiłem być też wobec niego lojalny i nasza kooperacja trwała z korzyścią dla obu stron.

Gdy byłem prezesem wydawnictwa Tower Press pojawiło się sporo okazji do współpracy literackiej.

Też z Suchankiem. Ale z Jurkiem nie pracowało się łatwo. Zawalał terminy. Milczał. Bywał nieuchwytny pomimo ważnych spraw (również dla siebie). Po kilku latach zorientowałem się, że prawdopodobnie był ofiarą dwubiegunowej psychozy, a w okresie depresji najzwyczajniej stawał się nieprzewidywalny.

A jednak przez kilka dobrych lat udawało mi się współpracować z nim przy tworzeniu „Migotań”.

Pisałem już, że był świetnym składaczem komputerowym. I rzeczywiście, przy jego pomocy udało nam się rozwinąć layout gazety. Jurek był wszechstronny. Gdy składał „Migotania”, czytał je. I redagował. Gdy robiłem z nim pismo miałem poczucie bezpieczeństwa, że nie wkradną się jakieś paskudne *babole*. Jurek czuwał.

Ostatnie dwa lata przed jego śmiercią niestety, musieliśmy przerwać współpracę, choć nadal sporadycznie składał mi książki. Lubiłem się z nim sprzeczać, a nawet kłócić. Bywał uparty, ale miał do tego prawo, bo był to upór merytoryczny.

Tuż przed śmiercią złożył mi jeszcze trudną (do składu) książkę Marii Jentys „Z wyroku cara”.

Planowałem następne...

Jurek Suchanek zmarł 25 września.

Rozmawiałem z Mirą (żoną), miał raka płuc, a potem pędem przerzuty do kości i mózgu. Zmarł na niewydolność krążeniową, bezboleśnie. I bez świadomości.

10.11.2018

Pierwszy wieczór, gdy czuję się bardziej odprężony i spokojny.

Przełom października i listopada to - oczywiście - Dzień zmarłych i z całą mocą przypominają mi się rodzice. Ojciec odszedł już 19 lat temu, od śmierci mamy minęło 13 lat. Mam ich oboje w domu zawsze pod okiem - portret akwarelowy Zbigniewa Szczepanka z ojcem, i kilka zdjęć w różnych miejscach matki. Ale i bez tych wizerunków Są cały czas.

Długo też dochodziłem do siebie po śmierci Gapy.

Zmarła mi pod ręką i te ostatnie jej oddechy wciąż są w mojej pamięci. Brakuje mi jej na moim dywanie w gabinecie. Leniwego merdania ogonem na powitanie, ale też codziennych ceremonii karmienia (Gapa dostawała zawsze rano pokarm suchy od Agnieszki, ode mnie kawałek kaszanki lub kiełbasy, a potem, wieczorem, około 22.00 była puszka dla Gapy i puszka oraz suche do miski dla Pelci (naszej, jak Gapa czarnej, kocicy). Gdy zbliżała się 22.00 oba zwierzaki mi to przypominały (mają zegarki?) kręcąc się pod nogami, stękając i miaucząc. Teraz zostaje tylko kicia. Dzielnie stara się być za dwoje.



Jurek Suchanek też dołożył się do mojego depresyjnego samopoczucia. Tym bardziej, że miałem projekty, które być może zrealizowalibyśmy razem.

Dokopała mi również Agnieszka. Miała mieć rutynowe badanie koronarografii.

Pojechała rano. Umówiliśmy się, że po badaniach od razu zadzwoni. Ale długo się nie odzywała. Coraz bardziej niecierpliwie czekałem do 15.00..

Potem próbowałem zadzwonić, ale nie odbierała telefonu. Zacząłem zatem jej szukać w pracy, po oddziałach w szpitalu (akademickim), ale bezskutecznie. Zadzwoniłem więc na oddział intensywnej opieki. Jakiś facet powiedział, że nie może udzielić mi żadnej informacji, nawet o tym, czy dana osoba jest na oddziale. Zabrzmiało to bardzo groźnie...

Wpadłem w dygot, ale postanowiłem jeszcze - przed wyjazdem do szpitala - sprawdzić i zadzwoniłem do tego zakładu, gdzie wykonuje się koronarografię.

Okazało się, że trwał jeszcze zabieg wstawiania stentów. Poczuję ulgę i popłakałem się. Przez cały dzień i noc czułem się jakbym przerzucił kilka ton węgla.

Teraz dochodzę do siebie. I nawet obejrzałem cały film w telewizji.

16.11.2018

Myśliwski na marginesie swojej najnowszej powieści powiedział, że czasu teraźniejszego właściwie nie ma i że go interesuje tylko czas przeszły.

To efektowne postawienie sprawy, ale raczej na efektywności się wyczerpuje, bo to, że każda chwila obecna przechodzi, wraz z jej urzeczywistnieniem, w przeszłość i w ten sposób nie dochodzi do czasu teraźniejszego, to logicznie i oczywiste.

Filozoficznie jednak cienkie. Choćby dlatego, że strasznie zawęża pojęcie teraźniejszości, redukując ją, teraźniejszość, do temporalności. A teraźniejszość to nie tylko ta chwila, *chwila* w tym tylko dokładnie momencie. Może być rokiem, epoką, stanem po jakimś zamkniętym wydarzeniu, okresie. Pisarz, taki jak Myśliwski, wie dobrze, że jest możliwe np. zdanie: „Teraz, gdy już odeszła ode mnie jędrza-żona, po trzech miesiącach poczułem się odmłodzony...” itp.” A więc, o co mu chodzi, pisarzowi Myśliwskiemu, a nie jakiemuś tam Myśliwskiemu?

Może po prostu wypowiadał tę kwestię w związku z intencją pisarską. Być może, pisząc powieść, konstruując światy fikcyjne, musimy czerpać z realności, z pamięci świata rzeczywiście istniejącego?

Tworząc światy fikcyjne w rzeczy samej musimy rozpoznawać świat już zaistniały (przeszłość). Każda powieść jest oparta na przeszłości (nawet futurystyczna, czy nawet pure science - fiction), jest procesem poznawczym, bardziej epistemologicznym, niż ontologicznym. Proza, powieść Myśliwskiego, sięga do przeszłości, bo dla Myśliwskiego pisanie jest właśnie procesem poznawczym.

W przeciwieństwie do twórczości prozatorskiej poezja i jej wektor poznawczy ma charakter ontologiczny.

Poezję mało interesują wydarzenia, przebiegi fabuł, historia następstw i skutków (mało, to nie znaczy, że zupełnie nie interesuje). Poezja koncentruje się na tym, **jak** się jest, jaka jest rzeczy istota, a nie, jak rzecz była (uwaga: czas przeszły jest ważny, nawet gdyby dotyczył... teraźniejszości).

Tak więc, gdy Myśliwski mówi, że nie ma terażniejszości, to mówi o tym, jak tworzy swoje światy powieściowe, a nie po to, aby zabłysnąć paradoksem.

W najnowszej powieści następuje zjednoczenie bohatera, jednej osoby z przeszłości i terażniejszości.

W tym zabiegu jest wielka poetyckość, bo w ten sposób Myśliwski odpowiada na pytanie: **jak** jest człowiek? Właśnie człowiek. Bo tylko człowiek ma tak skomplikowaną i rozwiniętą pamięć. Odpowiedź jest prosta (a przynajmniej u Myśliwskiego, bo ten Prozaik jest też wielkim Poetą), człowiek jest zanurzony we wszystkich czasach, lecz królem jest czas przeszły.

Stoimy w koronie czasu przeszłego, która wbija się nam w czoło czasem terażniejszym.

Sam kiedyś użyłem takiego zabiegu literackiego w wierszu *Okladka* (ze zbioru *Sezon lotów trwa*). W tekście tym bohater wiersza spotyka się w roku 2001 z tym samym osobnikiem z 1973 roku. I nie jest to fragment fabuły science-fiction. Obaj są naprawdę tymi samymi ludźmi, choć, być może, ta jednotożsamość dotyczy bardziej osoby z 2001 roku.

18 grudnia 2018

Jednym z nielicznych wspomnień, jakie zachowałem, a dotyczące mojego biologicznego ojca, poza tym, że bardzo mnie podniecała jego teczka, w której miał smaczne rzeczy do jedzenia (a których na ogół brakowało w naszym domu), były dwie postaci: Dzikie Smalec i Lodyga. Oczywiście, Lodyga był tym lepszym, a gdy ojciec chciał mnie przywołać do porządku straszyl Dzikim Smalcem.

To wszystko, co zostało mi po nim dobrego - te dwie fikcyjne figury, które uświadamiały mi, że zewnętrzny świat jest groźny, choć bywa dobry, jak Lodyga.

Nie zdążyłem przedłużyć bytu tym postaciom w pamięci mojej córki, Sybilki. Teraz jednak dochodzi do tryumfalnego powrotu tych Super Postaci. Lodyga nieomal codziennie podrzuca jakieś drobiazgi Hani, a Dzikie Smalec chciałby je podprowadzić, ale się nie zbliża do naszego domu, bo właśnie Lodyga na to nie pozwala. Dzisiaj zapytałem Hanię, kto cię kocha najbardziej? Odpowiedziała, że mamusia, Lodyga, dziadek i babcia....

Hmm, muszę powiedzieć Lodydze, że ma tutaj swoją wielką fankę.

Za chwilę nowy rok, 2019.

Pamiętam jak czytałem książki fantastyczno-naukowe dziejące się w dalekiej przyszłości, na początku XXI wieku. A zatem teraz żyję w przyszłości fantastyczno-rzeczywistej. Ten świat jest bardzo ciekawy, trzeba przyznać.

Czyszczę stare zapiski dziennikowe. Teraz z czasu stanu wojennego.

W przyszłym roku chcę zamknąć nowy tom poetycki. Mam niewiele wierszy, ale wiem, o co mi chodzi. Część dopiszę, a część dopracuję, bo mam też sporo tekstów naszkicowanych, lub w postaci „scenariusza”.

16 stycznia 2019

Prezydent Gdańska został zamordowany.

Paweł Adamowicz na oczach tłumu celebującego Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy został zabity. Bezsensowne morderstwo. Głupie, bezdennie absurdałne.

Urszula Małgorzata Benka:

„Może mam alergię na manipulacyjki pana premiera, na te przemiany Szawła w Pawła. Jedne chwytły są grube i brutalne, inne wcale gładkie w dotyku. Mnóstwo zależy od kręgosłupa i ostrożności pani vice. Jest w Newsweeku mądry tekst Bema: że jak się wszyscy zaczną bić w pierś, to powstaje papka. Nie wierzę w żadne ocknięcie ani internauty, ani trolli wiadomo skąd.”

Moja odpowiedź:

„dziwne, ale ja też ani trochę nie wierzę w żadne przemiany.

Śmierć, morderstwo, to straszna rzecz, a właściwie to tylko morderstwo, bo śmierć to inna para kaloszy do rozważania, przeżywania i rozumienia.

Zginął człowiek tylko dlatego, że innemu pomieszało się w głowie. Nie widzę związku z sytuacją społeczną, czy polityczną, to tylko pozory związków.”

Zginął człowiek, a na pewno nie musiał, i na pewno bez sensu.

To smutne, ale nie więcej niż inne zbędne śmierci, a może lepiej powiedzieć, że inne morderstwa-śmierci są równie smutne.

Pewnie nie powiedziałbym tego publicznie, bo... itd. itp., ale niedawno umierała przez wiele dni moja labradorka i bardziej mnie to zabolalo, bo umarł piękny, naiwny byt. I „mój”.

Żał mi Adamowicza, bo facet miał pomysły, bywał niebanalny i odważny. Ale co ma to wspólnego z wariatem? To, że został przez wariata zabity, wcale nie tworzy jakiegoś szczególnego wymiaru społecznego. A wręcz przeciwnie, ujawnił się głupi, zimny, bezrozumny, egzystencjalny i jednocześnie metafizyczny horror, który czai się nieustannie za naszymi plecami, za naszą głową, która naiwnie wierzy, że jesteśmy w stanie ujarzmić świat i opanować jego zło.

A co się dzieje w tle? Politycy się przestraszyli, że ich to też może spotkać. Może? Przecież na pewno, tylko w nieco innych okolicznościach, na przykład w ich własnych łóżkach.

Nie będzie żadnych przemian, będzie tylko przez jakiś czas kłapanie jęzorami.

Urszula M. Benka:

„Pomogło mi to twoje jasne rozgraniczenie: śmierć to śmierć, a morderstwo to morderstwo. Tak patrzy zdrowy śledczy. I też to wymieszanie wszystkiego ze wszystkim, tylko przeszkadza.

Tak było po śmierci Jana Pawła II, po Smoleńsku. Znikają wszystkie inne sprawy przy okazji.

Przyznam Ci się, że też silniejsze emocje mną targały za wybiście dzików niż teraz. Nie chcę tego porównywać do Twojego Psa, ale też swoją suczkę pochowałam, córka uparła się, że nie zostawiamy u weterynarza, tylko zawieziemy na swój ogród. Ustąpiłam z ulgą jakąś.

Nie wiem, może tyle hejtowano o wyrokach na drugi sort, że coś wprowadziło to na twardego dyska w głowie?

I, jeśli mam otwarcie, uważam, że problem tkwi w szkole i mediach u nas, wszystkich, a nie w politykach. **Ostatecznie ktoś ich wybiera.** Kurcze, dobra koleżanka, nauczycielka polskiego w ząb nie rozumie, dalej uczy pod kątem testów.

Nic, pozdrawiam Ciebie, Miasto i Pismo...”

Cd, 19 stycznia

„Przejmująco pięknie pożegnaliście Prezydenta. Chyba dopiero teraz poddaję się emocjom. Najpierw wszystko się we mnie spięło w niezgodę na takie posunięcia, w totalną nieufność.

Serdecznie, Zbyszk,

U.”

Odpowiedź:

„tak, to wszystko rozbudza emocje.

Choć osobiście jestem bardzo uczulony na wszystkie manipulacje kościelno-państwowo-polityczne, na łatwe i zbyt łatwe zarządzanie tym tragicznym wydarzeniem, a więc, gdy tylko czuję, że się rozpędzam uczuciowo, zastawiam się, co to jest, co dzieje się we mnie?

Dwie rzeczy na pewno podziały na mnie: skala społecznych reakcji, trudno uciec od wspólnotowych przeżyć. Były one i są najprawdziwsze - i chyba - po sierpniu 1980 roku, nigdy do teraz nie doświadczałem podobnych. Nawet śmierci w Smoleńsku odczuwałem inaczej. Ludzie naprawdę wyszli w poczuciu, że zdarzył się dramat, tragedia.

Druga rzecz, to horror przypadkowego, zimnego wydarzenia, jakim było to absurdałne zabójstwo na oczach publiczności.

Publiczne zabójstwa zawsze były pożywką dla przeżyć tłumu (choćby nie tak dawno temu, publicznie wykonywane wyroki śmierci).

Niechęć we mnie wzbudzały różne (z różnych stron) próby wekslowania tego zabójstwa na potrzeby polityczne. Powiem szczerze, że w pewnym momencie uległem presji i zacząłem myśleć w tonie: ta ogólna i wszechobecna nienawiść w mediach, w życiu politycznym, miała wpływ... Ale jednak długo nie trwałem w takim myśleniu.

Wszystko, co mi wiadomo o mordercy, wskazuje, że jemu było absolutnie obojętne kogo zamorduje, Adamowicz był pod ręką i łatwo sobie zideologizował to zło (chore zło, immanentne,

endogenne), które w nim zawsze było. Nawet jego matka ostrzegała, że on coś zrobi.

Poczułem też rodzaj wstydu, że chcę wyróżniać tę śmierć od wielu innych, śmierci matek, dzieci, przypadkowych ofiar, umierających w cierpieniu, że inne śmierci jakby stają się mniej ważne. A to nieprawda.

Są tylko dwie prawdy w tej sprawie: było to bezsensowne morderstwo. I to morderstwo poruszyło nadzwyczajnie wielu ludzi.

A wszystkie *dlaczego* nie należą – już – do obszaru prawd i pewników.

Jak widzisz i ja nie daję sobie rady z tą sytuacją.

Pozdr., Z.”

Smalewski Jan, dwa jego wiersze:

Siewcy strachu

A może chodzi tylko o to żeby posiać strach
nie jak się sieje zboże ani świeże trawy
ale tak zwyczajnie najpierw w naszych snach
a potem w całym życiu strach błądy

Posiać go zwyczajnie najzwyczajniej w świecie
w ogródkach naszych myśli domach naszych dzieci
przy pomocy radia i zwykłej kopiarki
publikując w telewizji wymyślane bajki

O tym że Kain zabił Abła całkiem przypadkowo
albo że Motława przestała płynąć albo że na nowo
posieją nam lasy i zasadzą drzewa
tam gdzie się żółć goryczy z miodem serca zlewa

Może na nowo każą nam się bać drzeć o każde słowo
napiszą nam nową historię i religię nową
wszystko pod osłoną i ciężarem nocy
żebyśmy sami sobie nie mogli udzielić pomocy

18 stycznia 2019

- - -

Światelko do nieba

Co powiedzieć, co napisać, czym milczeć,
jak zareagować, gdy wszystkie reakcje zbędne?
Być czy nie być puzonem, trąbą czasu, bębniem
i uderzać na oślep w struny źle napięte?

Co poeta powinien, co w ogóle może,
gdy fala hejtu niczym martwe morze
po pustyni serc ludzkich nienawiścią spływa?
Na barykadę wdrzeć się, czy się nie odzywać?

Pomilczeć wraz z tymi, których żal rozdziera,
noc ludzkich namiętności usypia na chwilę,
czy stanąć wbrew wirom, czy zawołać teraz:
Zamilczmy na zawsze, słowa nasze zbędne!

Jeśli plugawić ma nam ojczyście pacierze,
jeśli nawet skłócać w katolickiej wierze,
zabijać ma nas słów zdradzieckich zmowa,
zamilczmy, aż wypali się ta świeca grobowa.

Gdańsk, 14 stycznia 2019

6 marca 2019

„Mario, przerywam czytanie, bo chcę napisać do Ciebie pociągaj, wszak wiem, że jest w Tobie niepokój po wysłaniu większego fragmentu powieści. Mimo że nie jestem krytykiem prozy, chcesz wiedzieć, co myślę. Zatem odpowiadam szczerze: to jest bardzo dobrze napisane. Czyta się samo. Wciąga, zaciękawia. Do tego stopnia, że ściągnąłem z półki monograficzne wydanie różnych cykli rysunków Artura Grottgera, aby razem z Tobą przechodzić po jego dziełkach. Póki co, postaci są dobrze zarysowane i, wraz z lekturą, ich obraz się krystalizuje i pogłębia. Są wiarygodne.

Choć, jak to dobrze wiesz (choćby z poprzedniej Twojej powieści), trudno pogodzić ich dziewiętnastowieczny wymiar z psychologią postaci dwudziestego pierwszego wieku. Tu, być może, trzeba coś dopracować, może w języku bohaterów, może

zachować tylko szczątkowo (aby tylko zaznaczyć, że taki język był) ekspresje uczuciowe, *żabki*, *dzieciny*, itp.

Może narratorsko wprowadzić mocny język współczesny w opisie relacji personalnych? Nie wiem.

Martwiłem się też przy lekturze pierwszego fragmentu, czy wystarczająco odróżniasz język mówiony bohaterów od narracji autorskiej. Nie ma tego problemu. Panujesz nad tym.

Cieszę się, że tak dobrze idzie ta praca.

Całuję Cię świątecznie, Zbyszek

PS. Zupełnie **nie**krytyczna refleksja: Dzisiaj to nie do pomyślenia, aby dojrzały mężczyzna uwodził dziewczátko siedemnastoletnie, nawet platonicznie, bo byłaby to przepaść mentalna. A i działania prokuratorskie bardzo potencjalne. Może też dlatego, że zmieniły się paradygmaty emocjonalne kobiece i męskie. Kiedyś dziewczęta szybciej stawały się kobietami (uczuciowo), a mężczyźni byli chyba dłużej ...infantylni (uczuciowo)? Co myślisz?”

15 marca 2019

„Wydałem „Migotania” nr. 4/2018.

Nawet już jest od dłuższego czasu w obrocie papierowa wersja. Chyba nienajgorsza zawartość. Bardzo dobre wiersze Aliny Biernackiej, ciekawy esej Benki i ciekawa rozmowa Kresowatego (mojego imiennika, Zbigniewa) z profesorem Deglerem. Grafiki i rysunki Joanny Gościńiewicz w numerze wyszły lepiej, niż sądziłem.

Wydrukowałem w nowej drukarni. Dużo taniej. A to jest ważne w roku 2019, bo nie wystąpiłem nawet do pismo-ministerstwa o finansowanie dla gazety.

Gdy pomyślałem, że mam umieścić informację o finansowaniu „Migotań” przez ministerstwo Glińskiego, to odechciało mi się tych ewentualnych pieniędzy. Bo być finansowanym przez obecną tzw. większościową ekipę rządzącą, to po prostu poruta! Nie chcę mieć nic wspólnego tymi ludźmi, którzy nie mają kompletnie pojęcia o kulturze, a w tym kulturze politycznej, a często też osobistej. Jakoś będę się czołgał bez ich pieniędzy, może trochę mniejszą rozmiar gazety papierowej i pozostawię tylko pełną objętość dla wydania wirtualnego, w PDF.

Mam nadzieję, że jakieś drobne na wydawanie „Migotań” da mi Urząd Marszałkowski w Gdańsku, ale nawet jeśli, to będzie to drobna kwota niepokrywająca nawet kosztów druku. Tak więc, nowa drukarnia z tańszym drukiem, spadła mi, jak z nieba.

W krótkim czasie wydam jeszcze jeden tomik poezji. To już będzie drugi raz, gdy wydaję wiersze Renacie Palidze. Paliga, jak poprzednio, bardzo wyrazista. Może nie najwybitniejsza literacko, ale jej poezja nadgania aktywnością językową i szczególnym, charakterystycznym dla niej, doświadczeniem lekarskim (bo RP jest lekarzem, choć teraz też, za moją również namową, została pracownicą naukową w Akademii Medycznej w Szczecinie).

Na dalszym horyzoncie czeka na wydanie książka, celebrująca jubileusz pracy twórczej Romka Warszawskiego. Ale to raczej dopiero jesienią.”

24 marca 2019

Osoby:

Zbigniew Żakiewicz.

Prozaik gdański, Kresowiak. Przez lata uznawany za najwybitniejszego prozaika w Gdańsku. Umarł 10 lat temu i szybko pamięć o nim się zaciera. Teraz mówi się, że Paweł Huelle oraz Stefan Chwin to najwybitniejsi prozaicy w Gdańsku.

Nie wiem, dlaczego tak szybko zapomina się o Żakiewiczu. Nie byłem wielkim miłośnikiem jego twórczości.

Sam Żakiewicz był, być może, bardziej kolorową postacią, niż jego twórczość. Ale nie czytałem go zbyt uważnie. Natomiast miałem z nim kilka mocnych spotkań.

Jako starszego pisarza szanowałem go i okazywałem mu należyty respekt. Ale on najpewniej mnie nie lubił zbytnio. Rozpoczęło się od alkoholu. W połowie lat siedemdziesiątych nie piłem. A Zbyszek, i owszem, sporo, i do końca życia. Pamiętam, że kiedyś mi powiedział w kawiarni „Literacka” na Głównym Mieście (na piętérku była też siedziba gdańskiego oddziału ZLP), że nie ufa mi, bo nie piję.

W tym względzie bardzo byli do siebie podobni - Żakiewicz i Jurewicz. Obaj ochlapusy, obaj mówili, że poeci powinni pić,

a jak nie piją to nie będzie z nich ludzi. Co prawda pod koniec siódmej dekady przeszedłem na ciemną stronę mocy i też nie żałowałem sobie mocnych trunków. Ale już nigdy nie zadzierzgnęła się między Zbyszkiem i mną wyrazista sympatia.

Byłem u niego w domu chyba raz, albo może dwa. Pczęsto-
wał mnie, po wschodniemu - herbatą z konfiturą na podstawku. U mnie bywał częściej. Zresztą, głównie na tak zwanych imprezach, bo na Dywizjonu, na Zaspie, często się one odbywały. Bywali Zawistowscy, Anka Czekanowicz, Krysia Chwin, a też Stefan, Małgorzata Czermińska, Marian Terlecki, Staszek Rosiek, Jurek i Justyna Limonowie, Jacek Kotlica, Olek Jurewicz, Aldona Mrozowska, Andrzej Żurowski, Georgia Scott, David Malcolm, i wiele, wiele innych osób, związanych bardziej, lub mniej, z literaturą. Ale bywali też i artyści innych profesji, choćby Maciej Świeszewski – malarz, Marek Radke też malarz, Janek Ledóchowski – fotografik. Bywali też dziennikarze.

Żakiewicz nie miał daleko ode mnie (mieszkał na ul. Kościuszki, tuż na granicy Zaspy) i gdy coś się działo wpadał wraz Jurewiczem, Huelle i innymi, mniej lub bardziej, znanymi mi osobami.

Dziwne to były spotkania, bo niby powinny świadczyć o jakiejś sympatii, ale ja tego raczej nie czułem.

Jak na prawdziwych ochlapusów przystało, były też incydenty, sprzeczki...

Pewnego razu, gdy odwiedził mnie Tony Harrison (poeta brytyjski), najpierw Marian Terlecki postanowił się ugotować, nalewając sobie nieomal wrzątku do wanny i próbując do niego wejść, a potem Żakiewicz i Huelle postanowili wynieść z mojego domu kilka flaszek wina.

Mariana udało nam się odwieść od wejścia do wrzątku, natomiast Żakiewicza i Huelle nie udało się powstrzymać. Niezależnie od sytuacji lubiłem ich, bo nawet po alkoholu mieli wiele ciekawego do powiedzenia.

Wspominam to wszystko, ale nie te szczegóły są ważne, istotne jest to, co napisałem na początku, jak szybko zaciera się pamięć o Żakiewiczu.

I znowu, nie piszę tego, że strasznie mi przykro (choć jest przykro), ale dlatego, że nie potrafię zrozumieć mechanizmów pamięci społecznej, a może lepiej powiedzieć niepamięci. Wystarczy umrzeć, aby natychmiast zaczął się proces wymazywania pamięci? Nieważne, co przedstawia sobą i swoją twórczością, że pisarz, artysta, intelektualista...

Żakiewicz pozostawił po sobie bogaty dorobek literacki, legendę, omówienia twórczości, odznaczenia, medale...

To wszystko zamiera, osuwa się w niepamięć. Piszę to już bez znaku zapytania.

To nie jedyny taki smutny przypadek wśród moich znajomych pisarzy.

Andrzej Żurowski zaczął umierać społecznie natychmiast po swojej śmierci.

Jeszcze miesiąc, nim wpadł w dół ostrej białaczki, obiecywano mu wydanie paru tytułów. Nic z tego. Mam jego rękopis ostatniej dużej prozy, rodzaju wspomnień, pod tytułem *Powidoki*. Po śmierci Andrzeja sponsorzy książki natychmiast się wycofali. Urząd Marszałkowski, mimo że kilkakrotnie o to pytałem i zabiegałem, nie zamierzał sfinansować jego ostatniej książki. Smutne. I niezrozumiałe.

Moje emigracje, zaczęły się nim wyjechałem do Gdańska ze Szczecina, wcześniej wyemigrowałem na studia do Studium Nauczycielskiego w Raciborzu. Ale moje pierwsze migracje były znacznie wcześniej.

Mieszkałem wtedy – nomen omen – przy ulicy Gdańskiej. Chodziłem do klasy piątej. Było to jeszcze przed moją pierwszą miłością do Gieni, przez którą chciałem popełnić samobójstwo, ale to było później, chyba w klasie siódmej. Pamiętam, że co najmniej dwukrotnie podjąłem decyzję o wyruszeniu w świat. Właśnie w klasie piątej i potem, w szóstej.

Miało to wyraźny związek z nadejściem wiosny. Czułem niepokój i niejasny imperatyw, że należy wyruszyć z domu. Naszło mnie to raptownie i zorganizowałam się w ciągu kilku dni. Musiałem znaleźć torbę podróżną. Wiedziałem, że powinna to być

specyficzna torba, rodzaj dużego chlebaka. Musiała tam zmieścić się pałatka, bo jakoś trzeba spać, kocher, sznurek, nóż harcerski i szczyryk wielofunkcyjny oraz inne bardzo ważne z punktu widzenia 12 latka przedmioty. Zdobyłem też dwie konserwy, oczywiście chleb i butelkę z kawą zbożową.

Ubrałem się też stosownie, znacznie cieplej, niż wymagała tego ciepła wiosenna pogoda, wszak ruszałem w świat i nie wiadomo jakie warunki życiowe mnie dopadną.

Przygotowywałem się do tego ze dwa dni. Rodzice wtedy pracowali, a więc bez kłopotu któregoś zwykłego dnia ruszyłem rano w stronę Odry, a właściwie Regalicy, podpierając się kosturem, czyli długim leszczynowym kijem.

Nie pamiętam szczegółów jak przebiegła ta jedna i druga wyprawa. Pamiętam tylko uczucia, które we mnie wtedy buzowały i przekonanie, że należy iść w świat. A więc ruszyłem i to dobrze przygotowany. Nie myślałem wtedy o sobie jak o chłopcu. Nie myślałem, też, że, gdy odejdę, wzbudzę niepokój w domu.

Podobnie czułem się, gdy miałem już 20 lat. Uczucie wróciło, gdy pomieszkowałem w Krępie. Tam też od czasu do czasu porywał mnie do wędrówki.

Jednak w Krępie było to znacznie lepiej zorganizowane, bo, na przykład, wcześniej przygotowałem sobie w leśnych schowkach - stacjach *zapasy wędrowca*, czyli kawę, słoiki z cukrem i słodyczami.

Podczas tych pierwszych wędrówek miałem poczucie, że *odchodzę*... Choć dokąd i dlaczego, nie wiedziałem. Lecz były to najbardziej poważne odejścia w moim życiu. Bo były całkowite, bezwarunkowe.

To, że nie odchodziłem ostatecznie od domu dalej niż parę kilometrów i na kilka tylko godzin, nie zmniejsza determinacji i ostateczności tych odejść.

Nigdy tak potem nie odchodziłem. Tak ostatecznie. Tak spontanicznie. No, może raz, w Cincinnati. Ale to zupełnie inna historia i znacznie boleśniejsza.

18 maja 2019

Przyszła pocztą nowa książka Marty Fox, (...), vel Misi, vel Myszk

Książka podsumowuje ważną i bardzo dobrą część działalności pisarskiej Marty.

Nie dlatego mnie poruszyła, że podsumowuje jej działalność krytyczną, ale dlatego, że dowodzi, jak ważne jest to pisarstwo, jak inteligentna jest Misia, jak inteligentne są jej analizy i refleksje, dla mnie niekiedy odkrywcze.

Na pewno odkrywcze, gdy przybliży w swoich tekstach pisarzy nieznanym mi dobrze, albo, wręcz przeciwnie, których dobrze znam, a jej przemyślenia niejako puentują moje odczucia. Puentują to, co miałem jakby z tyłu głowy, ale niezbyt głęboko przemyślane .

Uświadamiam sobie, że powinienem więcej czasu poświęcić Marcie Fox. Nie tylko otrzymanej książce.

Ale nie jestem pewny, czy powinienem to zrobić dzisiaj, bo źle się czuję, mam kłopoty z oddychaniem, mam obniżony nastrój. Misia zasługuje, aby napisać o niej z większym skoncentrowaniem, niż to, na które mnie dzisiaj stać.

Kiedy poznałem Martę była przede wszystkim dziennikarką i nauczycielką. To było już po moich amerykańskich wояżach, a, co ważniejsze, po klęsce małżeństwa z Lisą Storie. I, co jeszcze ważniejsze, po przetrąceniu mi psychicznego kręgosłupa po utracie kontaktu z Sybilką.

To ważna okoliczność, bo bardzo wpłynęła na przebieg, rodzaj, historię uczucia między nami. Ta determinanta zawsze była obecna w naszej historii. Byłem gotowy na wielkie uczucie, a z drugiej strony hamowany przez tęsknotę za Sybilką.

Misia była bardzo ważną kobietą w moim życiu. Była jak maszyna miłości - zdecydowana, zdeterminowana, namiętna, odważna i szczerza. Ja zaś byłem – teraz to widzę dokładniej - żalonym facetem, który nie potrafił pozbierać się ze swoich klęsk.

Mieszkalem parę miesięcy z nią w Katowicach.

Potem ona przyjechała, wraz córkami, do Gdańska, do mojego mieszkania na Zaspie.

Mogę powiedzieć uczciwie, że bardzo poważnie podszedłem do tego wyzwania, aby zmieścić w swoim małym 2 pokojowym mieszkaniu i w swoim małym życiu trzy wspaniałe dziewczyny. Niestety, nie wyszło. Skończyło się dramatycznie, banalnie... rozstaliśmy się.

Marta nigdy nie przestała walczyć, przeć do przodu, nigdy nie godziła się na sytuacyjne, ale i też fatalistyczne, okoliczności. I nigdy nie odpuszczała. Wychowała obie córki. Rzuciła w końcu nauczycielstwo i oddała się pisarstwu. Z sukcesem, bo jest bardzo cenioną pisarką literatury młodzieżowej.

Nigdy też nie zaprzestała, a przeciwnie, rozwinęła, swoje pisarstwo krytyczne. A co - jak sądzę - dla niej najważniejsze, ujawniła i rozwijała swój talent poetycki. Całkowicie niesprawiedliwie nie doceniałem wystarczająco tego jej talentu. Nie zaskoczyła mnie, bo w pewnym sensie nie było to w jej życiu jakąś nowością.

Przy jej postmodernistycznej osobowości, była mentalnie bardzo zwarta, konsekwentna, całkowicie niezakłamaną wewnątrz. Nie znałem jej jako nauczycielki, nie wiem, jak widzieli ją jej uczniowie, ale sądzę, że nawet w klasie była tą samą osobą. Rzetelną, szczerą i odkrywczą.

W tym właśnie sensie nie zaskoczyły mnie jej wiersze, wciąż widziałem w nich tę migotliwą, błyskotliwą, super inteligentną, czytaną osobę, która jest otwarta na świat, na innych ludzi, a kiedyś też na mnie, gdy chyba nie byłem tego wart.

Jej wiersze są konsekwentną kontynuacją jej ciągłej ekspresji, ciągłej próby rozumienia świata i otaczających ją ludzi. Gdy dzisiaj czytam jej książkę *Wariatka, która czyta*, wszystko to widzę wyraźnie.

W pewnym sensie Misia była od lat skończoną osobowością, całkowicie rozwiniętą..., cokolwiek by to miało znaczyć, ale przede wszystkim jej osobowość była ponad jej intelektem i umysłowym rozwojem, (choć nigdy w tym aspekcie nie stanęła w miejscu). Myślę, że jej talenty pisarskie, krytyczne i poetyckie, opierały się przede wszystkim właśnie na jej osobowości, na jej charakterze, mentalności.

Może dlatego też to, co nie zawsze było najbardziej udane w jej pisarstwie (bo nie ma chyba pisarza całkowicie doskonałego), nie było zbyt ważne, bo zawsze liczyła się przede wszystkim jej niepowtarzalna i czysta osobowość. W każdej linijce jej tekstów najważniejsza była Ona – Marta Fox.

Taką moją Martę Fox, vel Misię, vel Myszkę (z Zaspy) znalazłem w jej nowej książce *Wariatka, która czyta*.

26 maja 2019

Wpisałem datę powyżej i mnie замуrowało.

Czy ja mam Alzheimera? Czy uwiad starczy i mózg mi się lasuje? Bo co to, 2019 rok? To data z jakiejś przyszłości, z czasu, który ma się dopiero stać.

Nie mogę sobie też dzisiaj dać rady z innym problemem.

Właśnie odbyły się wybory do Parlamentu Europejskiego i wygrało w Polsce Prawo i Sprawiedliwość. Ponad 45 procent Polaków chce, aby naszą europejską przyszłość kształtowała ta partia.

Jak to jest możliwe? Kto jest wyborcą? Czego oczekuje? Czego pragnie, jak widzi ten świat?

Wczoraj oglądałem film o Hitlerze. W kilka lat zaciemniły się mózgi Niemców i stanęli po stronie zła, obsesyjnego rasisty i nacjonalisty. Jak to się stało? Jak naród o takim dorobku mógł w tak krótkim czasie zdegenerować się do faszyzmu, obozów koncentracyjnych, ludobójstwa, nacjonalizmu, do podjęcia wojny nieomal przeciwko całemu światu?

W filmie cytują słowa młodego Johna Kennedy, który nie mógł się nadziwić, jak ludzie w latach trzydziestych w Niemczech łatwo zapomnieli o wolnościach, jak zaakceptowali łatwo pełną kontrolę nad ich życiem osobistym? I jak łatwo wypierali w codziennych rozmowach wiedzę o istnieniu obozów pracy i koncentracyjnych, jak łatwo zaakceptowali nazizm z morderczym podejściem do innych narodów?

Jak łatwo... Jak łatwo dzisiaj te czterdzieści procent polskich wyborców jest obojętne wobec ograniczania demokracji w Polsce, jak obojętne jest wobec poszerzania kompetencji państwa i pomniejszania praw obywatelskich, jak obojętne jest wobec za-

właszczania mediów przez rządzącą partię.

W filmie padły słowa o tym, że wtedy, w latach trzydziestych, nadchodziły pospiesznie ciemne czasy. Uświadomiłem sobie, że od kilku lat już te ciemne czasy nadeszły, teraz, we współczesnej Polsce dwudziestego pierwszego wieku.

Ja sam ich doświadczam, choć w skromnym wymiarze, np. nie otrzymując wsparcia państwowego dla gazety, którą redaguję od 17 lat. Że wystarczy, aby władza marszałkowska w Gdańsku zmieniła barwy na pisowskie, a pismo będzie musiało umrzeć, bo choćby bez drobnej pomocy finansowej nie przetrwa.

I nie mogę sobie dać rady w tym kontekście. Jak to możliwe, że wyborcy tak tłumnie opowiadają się po stronie tej nowej władzy, dla której środowiskiem ideowym jest władza autorytarna socjo-nacjonalizmu. Albo po prostu populizm.

Jak łatwo Ci wyborcy zapomnieli o wszelkich wolnościowych ideach zapadając się w papkę nacyjno-patriotyzmu. Wystarczyło dać im po pięćset złotych...

Co ja mam myśleć o tych wyborcach? Co ja mam myśleć o demokracji, która daje przewagę miernocie i mentalnemu lenistwu?

Musi być w tym jakaś tajemnica. Jakiś nie pojmovany przeze mnie mechanizm. Niestety, nie wiem jaki. Czy narody muszą co jakiś czas przechodzić swoje katharsis? Jak dalece musi upaść życie społeczne i polityczne, a też kulturalne w Polsce, aby znowu chciało się odrodzić?

- - -

Jest sporo osób, z którymi, mimo że nie jesteśmy wielkim przyjaciółmi, to wciąż utrzymuję kontakt.

Na przykład Katarzyna Boruń. Widziałem ją z dwa razy, poznaliśmy się na początku naszych dróg literackich, bo Kasia była



Katarzyna Boruń, 2020

członkiem Grupy „Moloch”. Od czasu do czasu dostaję od niej wiersze. Zwykle bardzo interesujące.

15 września 2019, korespondencje

„Kochany Zbysku,

jesteś, jak zawsze, serdeczny i wspaniałomyślny dla mnie - niechże Cię uścisknę! Posyłam - skoro tego chcesz - mały materiał dla kolejnych „Migotań” (jeszcze jedno przypomnienie). Marzy mi się przy okazji przywołanie - zapomnianych z kretesem - wielkich poetów naszej młodości, np. TADEUSZA NOWAKA czy JULIANA PRZYBOSIA. Po jednym wierszu bym dała, aby ich wskrzesić! Mam swoje ukochane, np. psalm Nowaka *Wody są czyste...* lub *W głąb las* 2 Przybosia - cudo! Co TY na to, mój Drogi?!

Powieść pisze się bardzo wolno (ból pleców nie pozwala mi długo siedzieć przy komputerze, ale piszę. Mam już 112 stron (znormalizowanych). Bardzo jestem ciekawa, co mi wychodzi spod pióra! Maria”

„Droga Mario,

Zatrzymuję wiersze Sekulskiego do nr. 4/2019. Dobrze, że od razu zrobiłaś notę biograficzną.

Jeśli chodzi o przypomnienie Nowaka i Przybosia, to jestem za. Zresztą już przypominałem Wielkich i Klasyków, bo to obowiązek każdego porządnego pisma literackiego, by dbać o pamięć tych, co już są w historii literatury (i są zapominani).

Mam taki pomysł: do numeru przygotuj cztery wiersze, jeden niewielki, damy go na pierwszą stronę, pozostałe trzy do środka na całą stronę. Nie będziemy robić not biograficznych, chyba, że pojawiłyby się jakiś esej krytyczny.

Możemy dać też zdjęcia. Możemy to kontynuować przez kilka numerów, też z innymi autorami, sięgając nawet do głębokiej do historii.

A może dałabyś jakiś kawałek swojej nowej powieści? To mobilizuje do dalszej pracy. W ostatnim numerze jest fragment świetnej powieści Sikorskiego (polecam), też go przekonałem, aby dał przed ukończeniem całości jeszcze więcej.

Całuję Cię serdecznie, Zbyszek”

Ale to nie koniec miłych spotkań.

Wczoraj, gdy byłem w Auchan, gdy robiłem zakupy na weekend,

zadzwoiła do mnie z Nowego Jorku Anna Frajlich,

Zamurowało mnie, aż przysiadłem na skrzynce Muskata. To nie pierwszy raz dostaję miły telefon w takich okolicznościach. Parę lat temu złapał mnie na zakupach spożywczych minister kultury, Bogdan Zdrojewski, gdy powiadomił mnie, że jednak znajdują się pieniądze dla „Migotań”.

Tym razem okoliczności są zgoła inne.

Przez dobrych kilka lat trwała moja przyjaźń internetowo - redakcyjna z Anną. Docierało do mnie, że Anna przeszła na emeryturę i zaczęła sporo jeździć po świecie, biorąc udziału w spotkaniach autorskich. Trochę żałowałem, że nie dotarła nigdy do Gdańska, bo wtedy bym i ja ją wreszcie spotkał osobiście. Jej milczenie potraktowałem jako zajęcie się swoimi sprawami. Nawet zastanawiałem, się, czy może powinienem wobec jej milczenia zdjąć ją ze stopki redakcyjnej, bo może nie życzy sobie tam obecności.

Teraz zadzwoniła i dowiedziałem się, że i ją dopadły pytania, dlaczego milczymy. W międzyczasie zdarzyło się jej zetrzeć z Henrykiem Grynbergiem, który, za jej namową, opublikował duży esej w „Migotaniach”. Pretensje Grynberga przeniosły się na Annę i skończyło się wielką obrazą. Anna założyła, że moje milczenie wynikało z tej niby-awantury i postanowiła sprawdzić, zadzwonić do mnie i zapytać.

To, że Frajlich jest świetną poetką, świetną krytyczką, wiedziałem.

Teraz wiem, że jest też świetnym człowiekiem, który nie odpuszcza łatwo przyjaźni.

Mogę tylko posłać jej wielkie podziękowania, bo było mi bardzo żal, gdy straciłem ją z oczu i z mojego pisma.

Przy okazji pomyślałem, ile osób w ten sposób się gubi? Ile osób zapomina o sobie wzajemnie, chociaż nie ma prawdziwej ku temu przyczyny.

I od razu pomyślałem też fatalistycznie, pesymistycznie, tak

najpewniej musi być, tak właśnie odchodzimy ze świata innych, tracimy przyjaźnie, sympatie, dobre koleżeństwa - przypadkiem, małymi krokami, małymi zapominaniami.

2 grudnia 2019

Robię porządki na biurku,

jak zwykle stosy papierów przyrastają z nieustającą regularnością.

Tym razem pchnęła mnie do porządkowania myśli o zbliżających się Świętach.

Właściwie nie rozumiem, dlaczego to mnie zmobilizowało. Od lat święta nie są moimi rodzinnymi świętami. Tu, w domu na Dubois, to są święta rodziny mojej żony. Nie moje. Jej rodzina ani trochę nie stała się moją rodziną. Poza Hanią, córką Asi (córka Agnieszki).

A moi bliscy? Rodziców nie ma. Ilonka milczy. Sybilka daleko i żyje swoim życiem, zresztą tradycja bożonarodzeniowa u Amerykanów jest zróżnicowana i na pewno nie jest aż tak rodzinna, jak w Polsce.

Mnie wciąż jakoś porusza ten czas. Poruszają mnie wspomnienia? A może potrzeba pewnych doznań: bliskości, ciepła, serdeczności? A może po prostu jest to jakiś automatyzm, potrzeba ceremonii, obrzędowości, powtarzalności, rytmiczności? Potrzeba wypełniania zakodowanych w podświadomości (i świadomości po części) zachowań.

Nie ma we mnie ani krzty religijności w tych odruchach. Chyba, że ta odruchowość to już religijność?

Dostałem esej od Jasia S. o jego - a jednak! - rozterkach religijnych i duchowych, o tym, dlaczego i po co pisze? Pisał ten esej w łóżku, bo jest chory od lat. Pisał o pisaniu.

Jan czuje się samotny w tym swoim księżowskim życiu. Nie pomaga mu zaklinanie religijne. Wiara w Boga. Wiara w Jezusa. Leży osłabiony w łóżku sam. Myślę, że bez Jezusa (on by nigdy tego nie powiedział!). Choć wierzę, że z uporczywymi myślami o Nim.

Pada deszcz. Jest szaro. Ten deszcz to niby za śnieg? Mżawka

grudniowa za mroźną zimową aurę? A sprzątanie biurka to niby moja świąteczna krzątania? Hmm. Coś mi się wydaje, że ten dzisiejszy wpis nie jest specjalnie stosowny na okoliczność zbliżających się: Wesołych Świąt.

11 grudnia 2019

Jeszcze mam do redakcji kilkanaście stron dziennika z okresu stanu wojennego. Większość opracowałem, a nawet sporą część opublikowałem, w „Migotaniach” pod tytułem „Aneks do kalendarza”.

To tak smutna lektura, że nie chce mi się nad nią pracować. Zrobię sporo skrótów. Cały ten Dziennik wojenny jest ponury. Całkowicie nieheroiczny. Zastanawiam się, czego jest świadectwem? Na pewno nie siły, brawury, odwagi. Ale może uporcu?

Mam też do opracowania partie ze znacznie wcześniejszego okresu. To raczej krótkie wspomnienia, niż dziennik. Zginęło mi sporo fragmentów. Nie mogę odnaleźć jednego zeszytu.

Andrzej Żurowski. To jeden z „Moich umarłych”.

Zalega mi w pamięci postanowienie napisania kilku zdań o nim, o kimś kto odszedł zbyt szybko. Niespodziewanie. Gwałtownie.

Chorował w ostatnich latach swojego życia na białaczkę, ale nic nie wskazywało na to, że choroba szybko go pokona. Planował przeszczep. Rozmawiał o tym ze mną kilka razy, nieco się wahał, bo łączyło się to się z dość dużym ryzykiem.

Mówił mi, że nie życzy sobie odwiedzin na cmentarzu, a już całkowicie nie chciał pogrzebu kościelnego, ale było to utrzymane w duchu „odpukaj zło”. Zadeklarował, żebym ja też nie liczył, na jego wizyty przy grobie po mojej śmierci.

Pierwszemu życzeniu zadośćuczyniłem. Na drugie nie miałem wpływu. Magda urządziła mu ceremonię z księdzem.

Trzeba dodać, że też dotrzymał słowa w kwestii trzeciej; że nie będzie mnie odwiedzał po śmierci. Andrzej mnie nie odwiedza, chociaż być może moja pamięć o nim jest jakąś formą odwiedzin. Może to ja go nawiedzam?

Spotkałem się z nim kilka dni przed gwałtownym zaostreniem

choroby i śmiercią w szpitalu. Ucieszyło mnie, że był u niego Jurek Limon, w pewnym sensie konkurent w działalności teatrologicznej, wiem że były pomiędzy nimi spory. Jurek okazał się bardzo dobrym kolegą, może przyjacielem (nie wiem tego), co jednak mnie nie zaskoczyło, bo znałem Jurka właśnie jako serdecznego, przyjacielskiego, choć powściągliwego, człowieka. Parę dni potem Andrzeja już nie było.

I jest go coraz mniej. O pamięć o nim walczy wciąż rodzina. Wiem, że też Alina Kietrys uczestniczy w tych działaniach.

Andrzej Żurowski, pod względem dorobku intelektualnego – naukowego, artystycznego, pisarskiego i dziennikarskiego, to postać, której trudno dorównać w jego małej, nowej ojczyźnie, w Gdańsku.

Urodził się na Kresach. Ale większość życia spędził tutaj. Był bardzo, bardzo barwną postacią, budził skrajne uczucia. Podziwiano go i nienawidzono. Ci zresztą, którzy go nienawidzili, często go bardziej, lub mniej świadomie, podziwiali. W dobrym i złym sensie był skomplikowaną osobowością.

Jego największą pasją życiową był chyba teatr, Szekspir, a pod koniec życia Modrzejewska, pracował nad jej dorobkiem do ostatnich chwil. Napisałem *chyba*, bo równie dobrze można powiedzieć, że najbardziej go zajmowało pisarstwo.

Pozostało po nim wiele książek. I chyba ten dorobek się marnuje, bo rodzina nie jest w stanie wprowadzić jego ostatnich prac do obiegu społecznego. Zresztą ja też. Niejako za moją namową napisał ostatnią swoją książkę *Powidoki*. Są to wspomnienia z jego podróżniczego życia, choć rzecz dzieje się przede wszystkim w Nowym Jorku. Książkę w całości opublikowałem w odcinkach w „Migotaniach”. Tuż przed kryzysem zdrowotnym udało mu się znaleźć sponsora na wydanie książki. Miał obiecane konkretne pieniądze na koszty druku. Niestety, po śmierci wielmożny sponsor się wycofał, zapomniał o zobowiązaniu.

Mam ostateczną wersję książki u siebie na komputerowym dysku. Czeka. Andrzej, czeka!

Poznałem go w trakcie studiów na filologii polskiej Uniwersytetu Gdańskiego, chodziłem do niego na zajęcia z kulturoznaw-

stwa. Niewiele pamiętam z tych zajęć poza tym, że panowała na nich luźna atmosfera i można było palić papierosy (tak! W tamtych czasach to było legalne). Świeży wtedy Pan Doktor Nauk Humanistycznych był przyjacielski i chętnie dawał się naciągać na różne tematy, między innym na wspomnienia ze swoich południowoamerykańskich wędrówek (był też podróżnikiem).

Największą jednak popularność zyskał dzięki swoim bardzo błyskotliwym występom telewizyjnym przed poniedziałkowymi premierami Teatru Telewizji.

Był krytykiem teatralnym w wymiarze międzynarodowym, przez lata szefował Międzynarodowemu Stowarzyszeniu Krytyków Teatralnych. Powstawały wtedy jego najważniejsze prace o Szekspirze. Jedną z książek redagowałem.

22 grudnia 2019

A., B. i G. - Trzy Gracje,

bo były to prawdziwe boginie, które najlepiej czuły się w swoim towarzystwie.

Każda z nich inna. W każdej się podkochałem. Z niektórymi miałem romans. Są do dzisiaj w moim sercu i pamięci.

Śpiewały. Lubiły śpiewać. Uwielbiały śpiewać. Może moje słonowe ucho, a może po prostu ich wdzięk powodował, że słuchałem z zapartym tchem tego śpiewania.

Kto dzisiaj tak śpiewa? Ale i wtedy, w późnych latach siedemdziesiątych, raczej rzadko zdarzało się, by śpiewać pełnym głosem, razem, bez powodu, po prostu dla radości śpiewania. Nie mówię o pijackich śpiewach, o alkoholowych wrzaskach, ale o wspólnym śpiewaniu z zachowaniem subtelności melodyki i wierności nutom. One tak właśnie śpiewały.

Bo była okazja, bo są razem. Zresztą śpiewały też w pojedynkę.

Nie wiem czy wszystkie, ale jedna z nich na pewno tak, ta z którą byłem blisko... Było coś zachwycającego w śpiewie tej młodej kobiety przytulonej do mnie. Jej dźwięk wchodził we mnie całym jej nagim ciałem w moje nagie ciało.

Lecz ich bachiczność to nie tylko śpiew. Spotykaliśmy się najczęściej, nie planując tego. Tak się jakoś układało. Czasami u mnie. Czasami u tej, która miała własne już mieszkanie. Wypadaliśmy też na miasto. Do nieistniejącej już restauracji „Pod

Kominkiem” we Wrzeszczu, z tandetnym danciem i tandetną muzyką tandetnej orkiestry. Ale było to doskonałe miejsce, aby spędzić tam pół lub całą godzinę i wytańczyć się na parkiecie do zaparcia tchu. Potem szliśmy do mnie, albo do... Różnie bywało.

Za każdym razem te Trzy Gracje wypełniały mnie szaloną, ale nie szaleńczą radością.

Teraz widzę, co pociągało mnie w tych spotkaniach, mianowicie to że One spotykały się ze sobą, a mnie tylko dopuszczały do swoich wypadów i szaleństw. Pozwalały mi patrzeć na siebie, ale w rzeczywistości były zajęte tylko sobą. Gdy siedziały razem we trzy i wszystkie trzy robiły na drutach i szydełkach te swoje swetry, szaliki, karczki, a jednocześnie dawały wszystko ze swoich gardeł w piosenkach, najczęściej mi nieznanych, czułem że zostałem dopuszczony do niedostępnych rejonów zwykłej egzystencji, tam, gdzie łączy się pierwiastek kobiecy i boski, obcy glinianym ludzikom mojej miary.

Kochałem je wszystkie trzy. Każdą inaczej. Każdą mocno. Każdą nieśmiało. Nie ma ich dzisiaj. Jedna umarła. I właśnie jej definitywna nieobecność pobudza moją pamięć.

Wracaliśmy w środku nocy, one śpiewały nieopamiętanie, śpiew się niósł na cały Wrzeszcz.

One śpiewały.

Szliśmy przez Oliwę, Przymorze, a może tylko płynęliśmy na nutach ich pieśni.

One śpiewały.

Już nie szliśmy, tylko płynęliśmy na drganiach ich głosów, porywach ich szerokiej i nieopanowanej pieśni. Płynęliśmy osobno, ale jakoś razem, a jednocześnie zgodnie z każdym osobnym losem.

One mnie unosiły ze sobą, by w końcu porzucić i odejść za nią swojego przeznaczenia.

Nigdy nie nauczyłem się śpiewać, choć wiem, że kiedyś, kiedyś, bardzo dawno temu, umiałem to robić.

Czasami, gdy widzę małe dzieci śpiewające kolędy lub piosenki przedszkolne, martwię się, że i one utracą tę radość śpiewa-

nia. Radość wydawania własnego dźwięku bez powodu, bez celu i nie dla jakiegoś konkretnego sensu.

Gdy myślę o *Mojej Umarłej Barbarze R.* to wiem, że odeszła i zabrała mi już na zawsze moje nieśmiałe, ciche, bezgłośnie śpiewanie, którego nigdy nie ośmieliłem się im, Trzem Gracjom, ofiarować.

23 grudnia 2019

Maria J(entys), przysłała mi do przeczytania fragment nowej powieści historycznej. Pracuje nad nią od dłuższego czasu, ale wciąż ma wiele wątpliwości. Niestety, dostałem zbyt mały kawałek, aby zorientować się, co z tego będzie, a tym bardziej coś podpowiedzieć, jakoś sensownie skomentować. Ale jednak pozwala mi on na pewną uwagę - refleksję.

Wiek XIX odchodzi w zapomnienie i rzadko już jest inspiracją do twórczości literackiej, a przynajmniej coraz rzadziej. A szkoda, bo ten wiek polskich powstań, rozpaczliwego trwania w swojej tożsamości kulturowej Polaków, może być bardzo przydatnym tłem dla współcześnie pisanych powieści.

Maria, jako jedna z nielicznych, odnajduje historyczne wątki, które stanowią rusztowanie dla jej osobistych powieści.

W poprzedniej książce opisała losy swojej antenatki i jej romansu z Ludwikiem Waryńskim. Teraz sięga po inną historyczną postać, Artura Grottgera.

Wiem ponieważ, że Grottger był skomplikowaną, niezwykłą pod każdym względem, postacią. Tak więc, gdy pojawia się w nowej powieści Marii, to zapowiada się ciekawy wątek, a jednocześnie potwierdza, że autorka ma dobrą intuicję pisarską. Trzymam kciuki.

Jutro Wigilia Bożego Narodzenia, za kilka dni nowy rok 2020.

Kończy się osiemnasty rok wydawania „Migotań”.

Tym razem fragment „*Aneksu...*” ma zaplanowane miejsce i czas swojej publikacji, znajdzie się w numerze 4/2019 „Migotań”.

W komputerze czeka roboczy skład, będą nad nim pracował w dni świąteczne, do końca roku pojawić się powinien PDF gotowego pisma w internecie na stronie gazety (www.migotania.pl).

Przeszedłem chyba definitywnie na inny format. Pa, pa, rozpuście powierzchniowej. W miejsce wielkiego folio A-3 wprowadzam też duży, ale jednak mniejszy format pisma – 32 na 22 cm. Pozwala to wciąż na atrakcyjny skład z udziałem grafiki, choć już bez szaleństw. Plakat też będzie mniejszy. Pocięcha dla czytelników – od teraz też pismo dostaje kartonową okładkę i szycie bloku.

Muszę jednak przyznać uczciwie, że te przemiany to nie efekt mojej niezależnej i przemyślanej zmiany koncepcji pisma. Zmusiła mnie do tego kroku zwykła kalkulacja finansowa. Po prostu mniejszy format to mniejsze koszty druku. A przecież już trzeci rok będę płynął tą łodzią bez wsparcia finansowego z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Jestem wdzięczny, że Urząd Marszałkowski wciąż mnie nie opuszcza, choć jego wsparcie jest skromne. Przetrwałem mijający rok tylko dlatego, że nałożyły się finanse od Marszałka oraz prywatne datki od moich Czytelników. Gdyby nie ta pomoc, pisma już dzisiaj nie byłoby na polskim rynku piśmienniczym.

Są osoby, które regularnie przesyłają pieniądze na konto pisma.

Nie wiem, jak mam podziękować tym wszystkim osobom? Wszystkie słowa będą niewystarczające. Żaden gest nie wyrazi wdzięczności wiernym sprzymierzeńcom „Migotań”.

Jest wigilia Wigilii 2019 roku, co przyniesie przyszły, 2020 rok?

29 grudnia 2019, z korespondencji

Serdeczny mail od Marii. Ale nie tylko serdeczny, też rzeczowy. Nie wiem, czy Maria byłaby zadowolona, że wklejam jej korespondencje do dziennika. Trudno, zaryzykuję.

„Dobry wieczór, Zbyszku!

Przejrzałam „Migotania” 4/ 2019 (wersję do druku). Niektóre materiały przeczytałam dokładnie, inne pobieżnie - nie dało się inaczej, dużo tego jak na jedno popołudnie. *Psalm o wodach czystych* na stronie tytułowej zabrzmiał pięknie - od nowa się

nim zachwyciłam. „Cudna” Góralska prezentuje się wspaniale, a i Henio Sekulski ze swoim smutkiem i melancholią chwyta za serce. (Nawiasem mówiąc, wiersze te, z wielkimi, pięknymi kobiecymi oczami w tle, są jeszcze bardziej wymowne!) W ogóle dobrej, a niekiedy znakomitej poezji, jak zawsze, dużo, powiedziałabym nad podziw dużo. Bo przecież wybitne wiersze nie rodzą się na kamieniu! Szczególnie mnie poruszyli: Stefan Rusin, Charles Reznikoff (niesamowite zjawisko poetyckie!), Szymon Florczyk... Proza (fragment powieści) Cezarego Sikorskiego wydaje mi się bardzo, ale to bardzo obiecująca, będę czytała dokładniej. Oczywiście „mój” i „Twój” Pilot genialny! On jest naprawdę świetnym prozaikiem. Ta matka z ognia to pomysł fenomenalny. Dużo krytyki literackiej - ciekawej, mądrej, oryginalnej, bardzo fachowej: poza znakomitym Janem Stanisławem Smalewskim, którego już wcześniej miałam satysfakcję poznać, Andrzej Walter (bardzo ciekawy tekst o *Znikopisie* Urszuli Kozioł, nie tylko ten zresztą!), Mateusz Wabik... Wreszcie interesujące - także przez szczególną, bardzo prywatną formę - zapiski Pani Anny Frajlich... No i Twój dziennik, Zbyszeku... A ściślej *Aneks do dziennika*, bo kompozycja z wpisów z różnych lat. Czytałam go z uwagą i ciekawością, ale też z bólem, ni mniej, ni więcej, bo zabrzmiał mi jak rozrachunek z przeszłością, trochę też jak rachunek „sumienia” („sumienie” w cudzysłowie, bo mieszczą się tu także sprawy serca), bardzo mocno naznaczony melancholią...(. . .).

Błędów grubszych nie znalazłam, drobne są, owszem, ale nie ma co się nimi przejmować.

Tyle na razie. Dobrej nocy, mój Drogi, niech Ci się przyśnią Trzy Gracje - Śpiewaczki albo po prostu ich natchniony śpiew.
- Maria.”

31 grudnia 2019

Dostałem ciekawy tekst od Eugeniusza Kurzawy, pójdzie już w numerze w 2020 roku.

Poza własnymi, niewielkimi tekstami literackimi, przysłał też obszernie omówienie książki Bartosza Żurawieckiego, *Festiwałe wyklęte*, Wydawnictwa Krytyki Politycznej, Warszawa 2019.

Chwała obu autorom, zarówno omawiającemu tytuł, jak i samej książki, bo obaj świetnie reprezentują rzadkie i niełatwe postawy nonkonformistyczne, z trzeźwym oglądem przeszłości i terażniejszości. Obaj są świadomi, że łatwo ulegać bieżącym - jak to się mówi teraz - narracjom historycznym i propagandowym. Obu ich irytują. Mnie też, dlatego z dużym entuzjazmem opublikuję tekst Kurzawy.

Książka jest o festiwalach muzycznych, które umarły już z kretesem. O zielonogórskim Festiwalu Piosenki Radzieckiej oraz o Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu, ale tak naprawdę jest to książka o czymś znacznie ważniejszym.

Szukam trafnego określenia... jest to analiza zachowań konformistycznych na przykładzie powstania, życia i śmierci wybranych zjawisk z obszaru kultury popularnej, a konkretnie festiwali muzyki popularnej.

Analiza, jak kultura popularna poddawała się aktualnościom politycznym i propagandzie. A obejmuje dzieła muzyczne i wykonawców, organizatorów, popularyzatorów i krytyków. Pokazuje też pewien schemat, jak tego rodzaju zjawiska powstają i gasną niezależnie od aktualnych preferencji.

Tak, więc nie dziwi, że obok festiwalu kołobrzeskiego autor zestawia Festiwal Piosenki Prawdziwej (z innej już epoki), ukazując, że oba zjawiska są podobnymi kulturowo.

Wbrew pozorom nie łatwo zobaczyć te podobieństwa, wszak siła rażenia propagandy (aktualnych narracji) jest porażająca i trzeba wiele trzeźwości umysłowej by popatrzeć z góry na odległe pozornie od siebie zjawiska. Taką trzeźwością wykazuje się i Żurawiecki i recenzent jego książki, Eugeniusz Kurzawa.

Przy okazji: w monografii tej dość bezceremonialnie autor rozprawia się z piosenkarzami, którzy pozapominali, że kiedyś chętnie tam zdobywali laury, a teraz głównie - gdy mówią o przeszłości - koncentrują się na swojej bohaterskości w tych „ponurych” latach pięćdziesiątych, siedemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, gdy to ich siłą zwożono na te *obrzydliwe* festiwale i *siłą im wręczano* nagrody oraz wyróżnienia.

Dzięki, Eugeniuszu, przydała mi się ta chwila refleksji, bo i ja łapię się na tym, że często ulegam bieżącym narracjom, co mnie złości.

2 stycznia 2020

Wczoraj czytałem *Biegunów*, Olgi Tokarczuk.

Bardzo dobrze się to czyta. Gładko napisane. Język nie stawia oporu. „Historie” ciekawe. Może nieco nuży powtarzalność niektórych motywów, np. niechęci do muzeów, a zachwyty nad panoptikami. Ale to nie obniża wartości książki.

A jednak jest coś dziwnego w tej książce, a może we mnie? Miałem sporo czasu dzisiaj i mogłem sięgnąć ponownie do lektury, a jednak czułem jakiś opór, niechęć, zatrzymanie. Jest coś w tej książce, co mnie odpycha, choć jest to bardzo nieadekwatne i zbyt mocne określenie. Coś, co mnie wstrzymuje, coś, co, pomimo że planowałem czytać, to zrobiłem wszystko, aby tego nie uczynić. Czułem to tak mocno, że aż przerodziło się w uświadomienie tej niechęci.

Być może jest w tej prozie pewien rodzaj bolesności, która wymaga zaciekawienia i chęci przyswojenia, a ja na to nie mam ochoty. Bo nie każdy rodzaj bolesności chcemy sobie uświadamiać, percypować.

Najbardziej kłopotliwe dla mnie jest to, że podskórnie czuję, iż Tokarczuk ujawnia bolesności, które są również moim udziałem, choćby, a może nawet przede wszystkim, w sensie intelektualnym. Może książka musi poczekać aż dostroję się do niej. To dobra książka, nie chcę jej utracić.

8 stycznia 2020

Dostaję pochwalne wiadomości dotyczące najnowszego numeru „Migotań”, 4/2019.

Właściwie mnie to nie dziwi, bo numer obszerny, bardzo obszerny, a w nim mnóstwo dobrych tekstów, wspomnę tylko takich autorów jak: Cezary Sikorski, Anna Frajlich, Romek Warszawski. Świetne wiersze, między innymi Nowaka, a też Sobkowiaka. Z przypomnień: Sekulski i Nowobielska. A też piętnastoletni debiutant - jak to określiła Maria J. - ze *świeżymi* wierszami. Są też znakomite teksty Reznikoffa, w tłumaczeniu Kazia Brakonieczkiego. Głębokie eseje Jasia Sochonia i Czesława Karkowskiego. I wiele, wiele innych rodzynek.

Niestety, dostałem też przykrą korespondencję od Jasia Sochonia. Oto ona:

„Zbyszk, uczyniłeś mi niebywałą przykrość i zadałeś ból swoim zapisem w ostatnim numerze „Migotań”. Zapewne z Twojej areligijnej i naturalistycznej perspektywy moje doświadczenie religijne mogłoby tak przebiegać. Ale zapewniam Cię, jest zupełnie inaczej. Ani nie czuję się osamotniony w swoim kapłaństwie, ani nie jestem na tyle chory, by pisywać swoje teksty w łóżku, ani nie odczuwam, że Jezus mnie opuścił. Skąd zresztą miałbyś wiedzieć, co dzieje się w moim sercu. Żał tylko, że po tylu latach dobrej przyjaźni i bliskości, w tak krzywym lustrze widzisz mnie i mój kapłański styl życia, którego, jak się domyślam, w ogóle nie cenisz. Nie będę Ci niczego tłumaczył, bo i tak pisałbym w próżnię. Z tej racji kończę współpracę z Twoim pismem. Proszę o wykreślenie mojego imienia i nazwiska z listy stałych współpracowników „Migotań”, a Tobie życzę w nowym, 2010 roku (zapis wg oryginału) większej niż dotychczas jasności umysłu.

Zachowuję Twój dobry wizerunek i Twoją dotychczasową twórczość w mojej pamięci. Pax Tecum.

J.

Warszawa-Bielany, styczeń 2020 r.”

I może Jaś ma rację? W tym sensie, że nie powinienem był upubliczniać tych myśli o nim. W samej rzeczy te kilka zdań były wyrazem mojej troski o niego.

Odpisałem mu:

„Janku, nie chciałem Cię urazić. Może nie powinienem publikować tego fragmentu dziennika? Ale, jak wiesz, jestem szczery do bólu w swoim pisaniu i nie oszczędzam również siebie. Może powinienem uważać z innymi „bohaterami” dziennika. Lecz pamiętaj, że to są tylko słowa. Tylko myśli. I w tym sensie masz rację, nie wiem jak wygląda **naprawdę** Twoje życie. Wiem tylko tyle, ile o nim piszesz. Tylko słowa. Tylko myśli.

Może pomyśl - dlaczego takiego Cię zobaczyłem? Nie mogę Cię przeprosić za znaczenie słów, bo tak naprawdę myślałem, ale przepraszam, że nieostrożnie je wypowiedziałem

Mimo gorzkiego listu ściskam Ciebie serdecznie.

Zbyszek”

Do książki *Bieguni*, Tokarczuk wróciłem.

Z wielkim zapalem. Minęła mi ta dziwna niechęć. Od rana czekam na dalszy ciąg lektury. Ale jednocześnie nie chcę czytać zbyt pośpiesznie, bo szkoda mi, że nieuchronnie się zakończy.

To, co mi w książce odpowiada, to jej quasi dziennikowy charakter. To jest bardzo nowoczesna literatura. Jej postmodernizm mnie nie zniechęca, jest wręcz odwrotnie.

Czytam kilka książek naraz. Konkurentami Tokarczuk są Gibbon (*Upadek Cesarstwa Rzymskiego na Zachodzie*) i książka z modnego, nowego gatunku, powieści *po upadku świata*. W *Gdy ucichną miasta* Jurkowska napisała bardzo sprawny kawałek science fiction. Obok leży też *Dzikowska. Pierwsza biografia legendarnej podróżniczki* Warszewskiego. Zaglądam również do *Wariatki, która czyta*, Marty Fox.

To, co w Aneksie, Myszek, w tym opublikowanym fragmencie, to tylko trochę z moich myśli o Tobie. A reszta jest już raczej niewypowiedziana.

Dawno pogodziłem się, że jakby się nie starać, to i tak nie dotrze się myślami do słów, lub słowami do myśli. Ale staram się.

Teraz trafiłem na moje miłosne zapiski związane z Twoją osobą, ale to nie ukaże się w żadnym moim dzienniku. Dzienniki są ważne, dlatego, że je piszemy, a nie dlatego, że je publikujemy.

Ale, oczywiście, warto je ogłaszać, trzeba jednak pamiętać, że nawet nasze najszczerze próby zwierzeń, w chwili ogłoszenia stają się literaturą. I to w pewnym sensie jest moja odpowiedź na Twoje zapytanie, co masz zrobić ze swoimi dziennikami. Przygotuj je do publikacji, a staną się literackie.

Innym słowy: nie lękaj się, gdy chcesz coś przetworzyć, skreślić, dopisać... Ale ani w nowej wersji (tej do publikacji), ani w starej (tej z zeszytów), nie jesteśmy w stanie dotrzeć w pełni do czytelnika. W pierwszym przypadku dlatego, że pomiędzy zdaniem w zeszycie są wielkie rozdziały przemilczane i niewypowiedziane, a tylko pomyślane. W drugim, bo chcąc uzyskać maksimum szczerości i jasności zwierzenia, trzeba używać środków literackich, konstrukcji literackich, metafor, uproszczeń, zaokrągleń... Czyli trochę pokłamać.

Po prostu popracuj nad dziennikami, a zabłyśną, bo – uwierz mi – zawsze masz coś do powiedzenia. Coś ważnego.

18 stycznia 2020

Ogrodnicy północ. Poetów portret potrójny. Przejrzałem rozmowy Marty Fox z tej książki, między innymi z Adzikiem Zawistowskim, Marianem Kisielem, i ze mną.

Mam wrażenie, że o coś nam chodziło w tamtych czasach. Dzisiejsi młodzi poeci, to nawet piękne gwiazdy, ale ich zbiory nie układają się w wyraźne konstelacje.

Czasami mocno świecą, ale czy coś oświecają? Oczywiście, nie chodzi o to, że są młodzi, że są nowymi pokoleniami.

Postępujący postmodernizm spowodował, że nie tworzą ideowych więzi, żyją monadycznie, a po nowoprywatnościowych poetach powstawały ideowe grupy twórcze (niekoniecznie mi bliskie, na przykład brulionowcy). Ale co ja tam wiem? Bo nie ma mediów, które mogłyby sensownie pokazać dzisiejsze zjawiska.

Jestem otwarty na młodszych od mnie twórców w „Migotaniach”, ale z tego migotaniowego tłumku nie wyłania się jakaś wiedza o najnowszej poezji, jako nowym zjawisku.

Gdy jednak popatrzeć na nowe pokolenia nie od strony literatury, ale właśnie od strony idei i ideologii, to zaskakuje jest zaangażowanie nowego pokolenia w życie społeczno-polityczne.

Niestety, najbardziej zaangażowane grupy to przede wszystkim te po stronie idei prawicowych, często faszyzujących. Gdy ich obserwuję, to łapie mnie strach za gardło, bo ich brak instynktu historycznego, brak wiedzy historycznej, szczególnie dotyczącej mechanizmów, które doprowadzały do największych dramatów w historii ludzkości, musi budzić lęk. A oni właśnie chcą iść TĄ drogą.

Świat skręcił na manowce. Na manowce destrukcji. Zbyt długo panuje pokój i bezpieczeństwo w Europie i świecie? Społeczeństwa zaczynają się samo napędzać jakąś niszczycielską adrenaliną i ślepnie.

Hania potrafi spędzić ze mną po kilka godzin dziennie. Z tego co wiem, nie jest to rzadkość, że dziadkowie mają doskonałe relacje z wnuczkami. Ja pod tym względem - nawet jako przyszywany dziadek - trzymam standard. Relacja z Hanią uświadomiła mi ważną sprawę. Od wyjazdu z Cincinnati uwa-

żałem, że nie podołam ewentualnemu nowemu ojcostwu i to za-
ważyło na moich późniejszych związkach. Teraz wiem, że się
bardzo myliłem.

Nawet jako siedemdziesięcioletni stary dziad wciąż dysponu-
ję energią emocjonalną, ale też zwykłą, konieczną do pełnienia
codziennych obowiązków, która doskonale pozwala mi na speł-
nianie potrzeb małego, młodego człowieka. Nie chcę przez to
powiedzieć, że teraz takie obowiązki wypełniam... jestem tylko
dziadkiem. Teraz wiem, że mogłem spokojnie nie bać się ojcostwa
dwadzieścia i trzydzieści lat temu.

Pomijam kwestię szczęścia, które nieomal automatycznie po-
jawia się wraz pojawieniem się nowego człowieka w naszym ży-
ciu.

Dzisiaj zacząłem stosować nowy lek na moje kłopoty z oddy-
chaniem. Spiriva bardzo poprawił mi moją wydolność oddecho-
wą, a czeka jeszcze inny specyfik, Zafiro, który zacznę próbować
jutro.

28 stycznia 2020-01-28,

cd. rozmowy z M.F.

„Mysko,

nie najlepiej się ostatnio czuję, brakuje mi energii, długo myślę
nim podejmę się jakiegoś wysiłku. To powoduje, że nie spieszę się
też z rozmowami, nawet tymi mailowymi. Odkładam je na później
zapewniając siebie, że to tylko, dlatego, że chcę to zrobić porząd-
nie. Oczywiście, najczęściej to tylko wybieg, unik, opóźnienie.

W pewnym sensie ten zapis w dzienniku o Tobie zrobiłem
wbrew swojej woli, bo może zauważyłaś, że zastrzegałem się, że
powinienem więcej poświęcić Tobie czasu, a nie tak od ręki, tak
na chwilę, tylko zapiskowo.

W końcu jednak napisałem te kilka zdań i nie jestem z tego
zadowolony i jestem z tego zadowolony. I to nie jest sprzeczne
wewnętrznie zdanie. Bo jestem zadowolony, że jednak coś napi-
sałem, bo to już jest *coś* na pewno (pamiętasz, że pisanie zawsze
sprawiało mi trudność a niekiedy ból?). A nie jestem zadowolony,
bo zupełnie inaczej i więcej chciałbym (powinienem być?)
napisać.

Byłaś niezwykle ważną kobietą w moim życiu. Kochałem Ciebie. Bardzo. Ale jednocześnie nie zrobiłem wszystkiego, co powinienem był uczynić dla tej miłości.

I znowu muszę napisać sprzeczne wewnętrznie zdanie: Wiedziałem o tym i nie wiedziałem. Ale to *niewiedzenie* okazało się silniejsze. *Wiedzenie* zostało na zawsze głęboko w moim sercu, w mojej głowie, w pamięci. I trwa do dzisiaj. Dzisiaj już nic zrobić nie można. Pozostały tylko słowa, nasze myśli, nasze myśli nie nasze, bo każdego z osobna.

Teraz Ty jesteś skłonna podzielić się swoimi myślami z tamtych lat. Nie wiem, czy to będzie dobre dla... mnie. Ostatecznie nigdy nie udało mi się rozliczyć tamtego czasu z Tobą. Ale jakoś poukładałem to sobie. Ale jakoś sobie **nie** poukładałem tego w sobie. Powinienem to przeczytać? Na pewno nie będę mógł potraktować Twoich zapisków jako literatury.

Przyślij mi, proszę, niech popatrzę na tę Myszkę w jej słowach. Pewnie popatrzę też na siebie Twoimi oczami. Spróbuję zachować chłód i spokój. Spróbuję.

Twój Z.”

08 luty 2020,

cd. rozmowy z M.F.

„Myszek Droga,

przeczytałem Twój Dziennik natychmiast. Ale, tak jak się spodziewałem, nie była to obojętna dla mnie lektura.

Wspominałem już wcześniej, że nie jestem pewny, czy to będzie dla mnie dobre doświadczenie i rzeczywiście nie było...

Bardzo sugestywnie robiłaś te zapiski. I wróciły do mnie tamte dni z ogromną siłą. Z emocjami. Z rozterkami. Nie bardzo wiedziałem w trakcie lektury, co robić z tym facetem, tym mną z tamtych czasów.

Cóż, mimo Twojej miłości i czasami zapatrzenia we mnie, pojawia się tam jako dość żalosna, niesympatyczna, a na pewno **nie** wbijająca mnie w dumę, osoba. To żadne odkrycie. Po latach potrafiłem i bez Twoich dzienników zobaczyć siebie krytycznie.

To, jaki ja tam się pojawiaam, to mniej ważne. Bardziej przejęło, dotarło do mnie bijące z dziennika napięcie. I Twoje i moje.

Pod pewnymi względami byliśmy heroiczni w tamtej naszej miłości. Staraliśmy się. Walczyliśmy o siebie. Dziennikiem swoim dotarłaś głęboko do przeżyć przeszłych, a przecież wciąż drzemiących we mnie. Nigdy nie przestałem Ciebie kochać. Choć teraz oboje wiemy, że miłość, związek kobiety i mężczyzny, to znacznie bardziej skomplikowana sprawa niż literacki romans, lub bardziej, lub mniej młodzieńcze wyobrażenia.

W sumie smutne, że trzeba aż dożyć siedemdziesiątki, aby zrozumieć wiele dość podstawowych prawd o życiu i miłości.

Czytałem Twój dziennik i czułem jak zdiera mi skórę narosłą przez lata. Zobaczyłem Ciebie od nowa, ale nie nową, taką jaką jesteś i jaką Cię pamiętam.

Dziennik Twój uzmysłowił mi też, że wiele spraw nigdy przede mną nie zostało dobrze przemyślanych, przepracowanych umysłowo i mentalnie. Nadal nie wiem, co powodowało, że byłem taki właśnie, dlaczego, pomimo że tak tego pragnąłem, nie zawalczyłem, zgodziłem się na rozpad i bezwład.

Czytałem Twój dziennik z pewnym wstrętem do siebie, jednocześnie rozumiałem, że to była dobra miłość i że w pewnych warunkach mogła przerodzić się w trwałe i dobre wspólne życie.

Jeśli ten nasz dawny epizod miłosny już masz całkowicie przemyślany i ułożony i przepracowany intelektualnie i mentalnie, to przy Twoich umiejętnościach literackich masz już zupełnie dobrze naszkicowany zarys powieści. I to jest moja odpowiedź na pytanie, czy Twoje Dzienniki są literaturą.

Paradoks całej tej literackiej sytuacji jest taki, że nadanie rangi literackiej dziennikowi wiąże się z dodawaniem, „zakłamywaniem” dziennikowych treści, które, być może, zaowocowałyby głębszym i prawdziwszym dotarciem do sensów, których nie udało się zawrzeć w zapisie dziennikowym. Nie wiem, czy nie poplątałem tej myśli, ale wierzę, że rozumiesz lub czujesz, co chcę powiedzieć.

Nie wiem, co Ci poradzić, gdy sobie pomyślę o innych Twoich zeszytach z zapiskami. Czy inne tomy też stanowią tak zamknięte i dobrze „skomponowane całościowe historie”?

Czy całe Twoje życie da się zamknąć w historię, w powieść, w literaturę? A przynajmniej to zapisane, zamknięte, złapane w dziennikach.

Całuję Z.”

Z Urszulą Benką:

„A ja widzę, że jednak te mniej napięte emocjonalnie kontakty z wnukami są dla nich, ważniejsze, w sensie jakichś wzorców, mądrości, od czegokolwiek później. Bardzo mi pomaga, że z wnukiem nie czuję się oceniana, osobiście odpowiedzialna-winna, cieszę się nim takim, jakim jest.

Oprócz córki mam jeszcze troje przyrodnich, ale tylko z Mayą - jest malarką, mieszka w Bostonie - jest porozumienie. Jej brat bliźniak strzeże sekwoi w północnej Kalifornii przed wycinką. A najstarszy Andrzeja syn, nie, im bardziej się starałam, tym do kitu efekty.

Nic, dziękuję za wyjaśnienie, wielki uśmiech (dla Hani też).”

Dnia 8 lutego 2020 22:52

„Tak, esej Twój pójdzie z wierszami Roberta G..

Moją córkę kochałem do szaleństwa. I kocham ją tak nadal. Sybilka była obecna w całym moim życiu, również literackim. A właściwie powinienem to ująć tak: Sybilka była obecna-nieobecna w całym moim życiu. A Hania? to jakby nowa miłość, trochę w zastępstwie, trochę z nie w pełni spełnionej miłości do Sybilki. Ale kocham ją też dla niej samej, to pewne. Tylko nieco dręczy mnie melancholijna myśl, że ona też dorośnie i odejdzie.”

urszula.m.benka@

To: joa@migotania.pl

„Jeszcze dopowiedz: komentarz z wierszami Roberta? A z wnukiem jest tak jakoś, między nami, że łatwiej kochać takiego niż własne dziecko... Jakoś mi łatwiej. :)) U.”

8 lutego 2020 22:01, joa@migotania.pl napisał(a):

„Tak, Droga Urszulo, w tece do następnego numeru (1/2020) mam dwa Twoje eseje: Orfeusz i Eurydyka a też Twój komentarz do wierszy Gawłowskiego. Numer tekstowo zamykać będę w kwietniu.

Gratuluję szczerze złożenia nowego tomiku. To ważne. To bardzo ważne. Czekam z niecierpliwością.

A Twoją cierpliwość dla małego Kazika doskonale rozumiem, bo bywa że też kilka godzin dziennie spędzam z cztero i pół letnią Hanią. Z wielką korzyścią dla mojej duszy

Gazetę będę robił dalej, bo lubię tę część mojej działalności. Zastępuje mi doskonale aktywności towarzyskie, które są męczące i najczęściej nudne.

Ściskam Cię serdecznie, Z.”

From: urszula.m.benka@

Sent: Saturday, February 08, 2020 9:26 PM

To: joa @

„Zbyszkule Drogi, mam nadzieję, że dotarły do Ciebie i wiersze Roberta Gawłowskiego i mój komentarz. Wszystko w porządku? Kiedy możemy się spodziewać?

U mnie zmiana fundamentalna, bo po latach przerwy wydaję wkrótce tomik, jeden tylko poemat, *Pasja*, pisany od czasów jeszcze Paryża (lata 80-te) do wcale niedawna... Ukaże się w wysmakowanej szacie graficznej i z posłowiem Piotra Lamprechta. Mam już kilka zaproszeń na wieczory autorskie. A osobno, „Twórczość” też zamówiła u mnie esej. Co nie zmienia w niczym tego, że bawię mojego kochanego wnuczka Kazika i narkotycznie siedzę w esejach i lekturach dziwnych.

Może odruch ślimaka?

Podziwiam, że wytrzymujesz to wszystko, z autorami też bywają nerwówki, przy najlepszych chęciach.

Serdecznie, Zbyszku.”

06 marca 2020

Patrzę na zdjęcie Krępy Krajeńskiej, na budynek z czerwonej pruskiej cegły. Na starą, nieczynną, umarłą stację.

Jest lato, wszystko oświetlone miękkim, popołudniowym światłem słonecznym. Puste zabudowania, dziurawe okna bez okiennic w rozpaczliwym zapytaniu. Białe napis nazwy stacji przetrwał.

Na kolorowym zdjęciu ledwie widoczne porzewiałe czerwone szyny przerośnięte pożółkłą trawą, ale niezbyt wyraźne. Wydaje się, że słyszeć jakiś stukot, może nadjeżdżającego, ale raczej

odjeżdżającego pociągu. Z kominów się nie dymi. Wszystko jest zatopione w jakiejś nierzeczywistości mojej pamięci pomieszaney z tym konkretnym widokiem.

Poruszyło mnie to zdjęcie do głębi. Ale zaraz odzywa się we mnie krytykant, co to powiada, że to tandetne wzruszenie, że jeśli coś warte, to trzeba by się najpierw natrudzić, wdrożyć w słowa, zdania, sensy. Ale przecież nie te sensy mnie poruszyły.

Poruszyła mnie wewnętrzna fala, która poprzez ten obrazek wzbudziła się w moim umyśle i pamięci. Nie napiszę dzisiaj więcej o tym zdjęciu, bo jest zbyt wiele warte, abym je zniekształcił swoją nieporadnością literacko- językową i stylistyczną pisaniną.

Na stacyjce dawno umarły moje wspomnienia. Tam ich już nie ma. Wypadły poprzez dziurawe i całkowicie zamarte okna. Zaradzewiały na rudych szynach. Nawet trawa, która jest w wietrznym pokłonie, nie chce się poruszyć, jest tylko schylona do przodu, do mojego przodu przyszłości. Wskazuje kierunek, ale już nie czas.

Bo tam, na tym zdjęciu, czas się definitywnie zatrzymał. A nieopisywalnie delikatna, pastelowa w odcieniach trawa, zarastająca stare już wtedy - gdy zdjęcie było robione – tory, jest po prostu małym osobistym darem tamtego miejsca dla mnie dzisiaj, gdy siedzę przy komputerze i wpatruję się w obrazek, czekając na ruch, drgnienie, poruszenie.

9 marca 2020

Wstaję ostatnio zmęczony, a przede wszystkim przez to, że tuż przed obudzeniem śnią mi się koszmary.

Dzisiaj obudziłem się niechętnie, ponieważ ostatnie momenty snu były całkiem miłe. Może nie miłe, ale zaskakująco intrygujące.

Był to sen typu science-fiction, ze światem fantastyki, techniki i nierzeczywistej akcji. Miłe było to, że w pomieszczeniu (nawiasem mówiąc księgarnianym, gdzie się chowałem) było bardzo ciepło i bezpiecznie.

Oczywiście, niespecjalnie wierzę w prorocze sny, uważam, że są niczym więcej, niż niesamowitym, chaotycznym wytworem uwolnionego z rygorów racjonalności umysłu, ale mają wpływ na nastrój dnia. Dzisiaj klimat z mojego snu zaciążył na całym dniu.

Jest mi miło. Jest mi pogodnie. Chętnie wróciłbym do niego.

Nadal czytam *Księgi Jakubowe*. I robię wszystko, aby nie kończyć czytania szybko. Zwalniam lekturę do granic przyzwoitości, czytając po kilka stron dziennie, wolno, zdanie po zdaniu. Okazało się, że ta erudycyjność, kompetentna erudycyjność Tokarczuk w przedstawianiu siedemnastowiecznego świata, zakątka dawnej Polski, działa na mnie bardzo kojąco.

Z niepokojem myślę, co będzie, gdy książka się skończy.

Nie przeszkadza mi to jednak, by nie zauważać pewnych dziwności, lub, jak kto woli, słabości powieści. Na przykład, jak na tak wielką książkę i trwale obecnych bohaterów, zarysy psychologiczne postaci są dość schematyczne, niegłębokie. A wszystko, co głębokie w tych postaciach, to wynik kontekstów, domysłów i wyobrażeń moich, czyli czytelnika.

Tokarczuk nieustannie rysuje swoich bohaterów, a jednak, gdy już coś ma się mocniej uwyraźnić w ich psychologii, rozpoczyna się inny wątek lub rozdział. Chętnie bym zapytał Tokarczuk, czy taki był jej zamiar.

Oczywiście nie narzekam. Lubię wielu jej bohaterów, np. księdza Chmielowskiego, a to już na pewno zasługa Tokarczuk w umiętnym tworzeniu postaci.

9 marca 2020

Nie ma zmiłuj, do końca roku muszę zakończyć nowy tom wierszy.

Bo... dostałem stypendium Urzędu Marszałkowskiego. Całe 5 tysięcy złotych, uchu-chu! Co ja zrobię z tą górą forsy? Zobowiązuje mnie to jednak do wywiązania się z deklaracji, że napiszę ten tom do końca 2020 roku.

I pewnie tak się stanie. Bo chcę. Tak czy owak. Chcę. Roboczo nazywa się *Córka*. Dość nieporadny tytuł, ale pragnę zamknąć książkę to moje całozyciowe pisanie o Sybilce, o mojej córce, której zawsze miałem zbyt mało.

Wpadła mi w ręce notatka o Nagrodzie Literackiej Miasta

Gdańska Europejski Poeta Wolności, która od lat jest forsowana przez władze Gdańska.

Nic z tego konkursu nie wynika, oprócz miłych chwil dla wyróżnionych autorów.

Jeśli miała to być promocja miasta, to jest to kompletna porażka. Nie sądzę, żeby wydanie ciekawego tomiku wierszy, na przykład islandzkiego poety, podniosło jakiegokolwiek aktywa miastu.

Warto by zrobić badanie, kto i gdzie słyszał o tym konkursie, obawiam się, że byłaby to porażająca ocena przedsięwzięcia. Wśród moich znajomych, jeden na dwudziestu wiedzieli, że coś takiego istnieje, a przecież to ludzie w osiemdziesięciu procentach związani z literaturą i życiem kulturalnym.

Efekt naprawdę sporych pieniędzy przekłada się na raz w roku parę medialnych komunikatów, o tym, kto jest laureatem, druk nagrodzonej książki oraz na spotkania z autorami i jury. Ale nic więcej.

No, może jest to promocja miejsc pochodzenia autorów? Ale czy na pewno? Bez konkursu wiemy i tak, że np. w Estonii, Hondurasie, Albanii i Niemczech ludzie piszą wiersze i wydają książki. Wreszcie, czy rzeczywiście konkurs promuje idee wolności? Może tak, ale z praktyki redaktorskiej wiem, że tej idei akurat pośród poetów nie trzeba promować, bo sami z siebie i bez zachęty podejmują takie wątki.

Na szczęście w regionie mamy Nagrodę Literacką Gdynia.

Ten konkurs jest wzorcowo organizowany i promowany. I jest prawdziwie ogólnopolskim konkursem, nie lokalnym.

Na nieszczęście Poeta Wolności kompletnie już utopił kultowy Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Laur Czerwonej Róży”, którego nie trzeba było promować, a po prostu kultywować, choćby w formacie dostosowanym do XXI wieku.

Cóż. Władze Miasta brzydziły się prawdopodobnie tym, że był popularny w PRL-u i nagradzał takich „komuchów”, jak Marian Grześczak (w 1960 r.), Ernest Bryll (w 1961 r.), Edward Balcerzan (w 1963 r.), Roman Śliwonik (w 1964 r.), Mieczysław

Czychowski (w 1965 r.), Krzysztof Karasek (w 1966 r.), Andrzej K. Waśkiewicz (w 1967 r.), Adam Zagajewski (w 1968 r.), Ryszard Milczewski-Bruno (w 1970 r.), Stanisław Stabro (w 1971 r.), Aleksander Jurewicz (w 1973r) ... Zaraz, zaraz, nie można pominąć takich pieszczochów PRLu, jak Antoni Pawlak i Leszek Szaruga (w 1976), Marek Bieńkowski, Anna Czekanowicz, Grzegorz Musiał, Krystyna Lars, a również piszący te słowa, którzy otrzymywali swoje wyróżnienia w drugiej dekadzie lat siedemdziesiątych.

Sami nieistotni poeci dla Gdańska, w przeciwieństwie do laureatów Nagrody Literackiej Miasta Gdańska Europejski Poeta Wolności.

I bum.

14 marca 2020

Córeczko Droga, Sybilko, piszę ten kawałek dziennika do Ciebie,

choć przecież teraz tekstu tego nie przeczytasz.

Świat szaleje. Wciąż trwają wojny. Wielkie migracje biednych i skrzywdzonych ludzi do ludzi, którym jest nieco, lub dużo lepiej.

Losy się mieszają, a jednoczenie się oddzielają.

Niech nigdy do Ciebie ani do mnie nie dotrze strach, zagubienie, wyziębienie dzieci z barek, przepływających z dalekich krajów do Europy. Nigdy nie dotrze do nas determinacja, uczucie rozpacz matek tych dzieci.

A teraz jeszcze zaczyna się chaos i powszechny lęk, związany z pandemią koronawirusa.

Mnie też ten niepokój dosięga. Tym bardziej, że od dłuższego czasu coraz trudniej mi się oddycha. Moje POCHP rozkwita i nie chce się cofać. Wiem, bez względu na te okoliczności, że mam siedemdziesiąt lat. Że moje życie w najważniejszej części już minęło. Że już na pewno nie zbliżysz się do mnie bardziej, niż to zdarzyło nam się wcześniej.

Moja miłość, Cóрко, miłość do Ciebie, nie była dla Ciebie specjalnie budująca, ale była konsekwentna, wierna, zawsze drążąca moje życie, decyzje, twórczość, praktyczne aspekty życia. Tak, jesteś i dzisiaj we mnie.

Jesteś najważniejszą osobą w moim życiu. Napisałem dzisiaj po długim okresie milczenia wiersz dla Ciebie.

Dużo ich w moim życiu było. Dużo w nich zawarłem swoich rozpaczy, wątpliwości, miłości, pytań...

Wiersze są dobrym gatunkiem literackim, bo pozwalają głęboko mówić o najważniejszych sensach, o relacja ludzkich, o najbardziej przepastnych uczuciach. Tak więc, nie powinno Cię dziwić, że tyle wierszy stworzyłem z myślą o Tobie.

A dzisiaj napisałem trochę w duchu tego, co powyżej:

Mój osobisty kompas

Tysiące słońc weszło i zaszło,
tysiące księżyców bezustannie pulsowało,
miliony ptaków odleciało
zawsze w tym samym kierunku.
Już podrdzewiała wskazówka kompasu,
ale wciąż drga
i pilnuje kierunku.

Do tej istoty, do tego rozedrganego i przepłoszonego
serca, pogryzionych paznokci,
do tej tancerki samotnie tańczącej na kruchym lodzie.
Gasną gwiazdy,
przekwitają tulipany, niezapominajki wschodzą,
przebiśniegi więdną
i wkluwają mi się wiosną, każdą wiosną,
w moje pomarszczone
dłonie zawsze wyciągnięte w tym samym kierunku, tam,
gdzie ta coraz bardziej krucha wskazówka
zawieszona w kompasie,
w sercu w małym pudełku pełnym pereł
i twardych diamentów,
i rdzy.

I prochu, i piasku, pokruszonych drobin lodu,
drobnych patyków, zeschniętych płatków
róży,
resztek całego świata.

Pudełko ledwie trzyma ten dorobek świata
i utrzymuje kruchą wskazówkę
uparcie wskazującą
gdzie jest wolna przestrzeń.

Pozwala mi wciąż odróżniać
od nicości kierunek.

Pomimo zalewającego mnie mroku.

14 marca 2020

Żniwa zimowe

Długi marsz w zimowym tempie,
czyli szybko, bo można zamarznąć jak
te krople w iglastych koszykach gałęzi.
Trzymam krok, coraz bardziej cięży mi chlebak
i metalowy drzewny skalpel.
Będziemy, moja droga, zbierać owoce.
Zimowe owoce.
Śpiące owoce.
Bo tylko zimą, w głębokim mrozie
możemy dowiedzieć się jaka będzie
wiosna, lato, i jesień
(wtedy już zapomnimy ten dzisiejszy marsz).
Raźnie idź. Jesteś młoda.
Masz siły, musisz jeszcze zebrać wiedzę
o swoje przyszłości.

Słyszysz? Ten huk to armaty pękających drzew.
A ten jęk to płacz ściśniętego mrozem jeziora.
Ruszamy żwawo.

Widzisz ten gruby świerk? Oskalpujemy go.
Wejdziemy mu za skórę.
Musimy dotrzeć do jego środka, bo jak inaczej
dowiemy się,
co go naprawdę gryzie,
albo, co go będzie gryźć, albo, co ostatecznie go zje?

Śnieg spadł na twoją głowę. Śmiesznie wyglądasz. Masz
czapę jak
te młode choinki, a może ty też jesteś drzewem z tego
lasu,
to, że masz dwie szybkie nogi jak sarna
wcale nie znaczy, że jesteś lepsza.
Tutaj najlepsze są drzewa. Tutaj najważniejsze są drzewa.
Tutaj rządzą drzewa.
Jesteśmy na miejscu. Na miejscu tego świerka,
jesteśmy we właściwym miejscu.
Czas stanął. Słyszę, że drzewo chce coś powiedzieć.
Ale nie słuchaj go.
Rób swoje.

Tnij głęboko ciemną korę. Jednym pociągłym ruchem.
Powtórz to jeszcze raz.
Teraz zrób dwa cięcia w poprzek. I jeszcze raz.
Odslania się cienka jasna lina.
Chwyć po bokach tę naciętą skórę drzewa.
Otwórz je.

Na białym nieskalanym ciele widzisz perły.
Niektóre są czarne. Są też czerwone rubiny.
Są żółte grudki złota. Jest cała symfonia życia.
Przyszłego życia.
To jest nasza wróżba. Teraz możemy przepowiedzieć
jaki żywot czeka drzewo.

Zbieramy kilka grudek do sakwy, schowaj ją głęboko.
To nasz skarb, nasza wiedza na
nadchodzącą wiosnę i lato,
na czas który nadejdzie.

Wracamy.
Masz czerwony zmarznięty nos. Oczy ci się świecą.
Coś mruyczysz. Czy swoją przepowiednię,
Erynio Leśna, służko tej głuszy?

Gdańsk, 14 marca 2020

18 marca 2020

Tak, więc mogę rozwijać swój wątek o nadejściu czasów z fantastyczno - naukowych fantazji.

Wciąż jestem zanurzony w XX wieku, a właściwie jeszcze stopami deptę po XIX wiecznym bruku (często w sensie dosłownym) i bardziej realne są czasy, gdy w niedzielę, w całkiem sporym mieście wojewódzkim, po nawet głównych ulicach, samochody przejeżdżały raz może na 5 minut, a niezdarne tramwaje raz na pół godziny wiozły nielicznych pasażerów.

Wciąż nowoczesną literaturą są dla mnie powieści Faulknera, Prousta, a głównym skandalistą jest Gombrowicz i Gide'a.

A tu nagle, co się dzieje?

Prezydentem mojego kraju może lada chwila zostać homoseksualista, przecież nie powiem gej, bo to wyrażenie z XXI wieku.

Chińczycy wybijają się na liderów światowych i to nie w stylu witkacowskim, ponurym i dziwacznym, ale po prostu nowoczesnym i postępowym, w technologiach i gospodarce.

Nawet fakt, że nowy car Rosji, Putin, rządzi chyba już 30 lat (a jak mniej, to najpewniej będzie tak długo przy władzy), nie zmniejsza mojego zaskoczenia, że świat fantastyczny staje się realnością.

Clark, Brin, a w Polsce na przykład Szmidt, najwybitniejsi wizjonerzy, futuro – fantaści, łącznie z Lemem i Strugackimi, byliby absolutnie zgodni, że to, co się dzieje w roku 2020, jest czymś, co powinno i **miało się** zdarzyć.

To nieco gorzka konstatacja, gdy pomyśl o aktualnie przerabianej fantastyczno-naukowej epidemii koronawirusa. I o wszelkich okolicznościach z tym związanych, między innymi upadku gospodarek światowych, zawieszonych w działalności szkołach, o zamykanych sklepach, histeriach zakupowych.

Oto rzeczywistość *science-fiction*: każdy może być zarażony lub zagrożony, na każdego czeka złośliwy wirus, każdy może się udusić na zapalenie płuc. Ludzie tracą pracę, podstawę codziennego życia... szara, czarnawa, niewyraźna zasłona przyszłości - co to będzie, jak to będzie? Czy to jest już naprawdę?

W moim domu przeżyliśmy krótką próbę grozy.

Agnieszkę powiadomiono, że miała kontakt z osobą, która najprawdopodobniej jest zarażona wirusem. Oboje wyładowaliśmy na kwarantannie. Do czasu zbadania, wykonania testu na jednej osobie, wszyscy w domu zostaliśmy poproszeni o kwarantannę, o poczekanie, aż sprawa się wyjaśni. Wyjaśniła się, *osoba* nie okazała się nosicielem.

Zrobiono nam wymazy i jesteśmy czyści.

A zatem ja dzisiaj mogłem wyjść z domu i obejrzeć ten świat w nowym wymiarze. I jest to rzeczywiście inny świat. W sklepach - o dziwo - mało ludzi. Wszyscy trzymają się z dala od siebie. Mnóstwo sklepów pozamykanych. Do aptek wpuszcza się po jednej osobie, do innych publicznych miejsc limituje się liczbę osób. A ludzie zaskakująco są dla siebie grzeczni, choć ostrożni na odległość dwóch, trzech metrów.

Niektórzy nerwowo podśmiewują się z tej nowej sytuacji, inni z przejęciem dzielą się plotkami, ale zasadniczo panuje klimat powściągliwości.

Gdyby ktoś czytał te słowa w powieści z 1979 roku, informuję, że opisywane miejsce i czas akcji to świat z marca 2020 roku.

20 marca 2020

Odwiedził mnie Romek Warszawski.

Roman bardzo zyskuje, gdy jest się z nim twarzą w twarz. Schodzi z niego wtedy jego nieufność. A może nawet podejrzliwość.

Ktoś, kto go zna mało, może uznać, że jest trudnym człowiekiem w kontaktach. Ja - po wielu latach - tak nie uważam. Jest otwarty i serdeczny. Jest też wielkim erudytą w różnych dla mnie niedostępnych dziedzinach.

Jako podróżnik jest przede wszystkim znawcą kultury andyjskiej i peruwiańskiej, ale wie także bardzo wiele o sąsiednich cywilizacjach – w tym meksykańskiej, Majów... wiele też wie o starych kulturach Azji i Afryki. Może zaimponować.

Rozmawialiśmy o różnych sprawach. Trochę plotkowaliśmy o wspólnych znajomych, często ważnych osobach w naszym życiu, ale najciekawsze były jego słowa o pisarstwie. O jego pisarstwie.

Zaimponował mi ostatnią grubą, piękną księgą biograficzną o Dzikowskiej. Teraz siedzi nad innym, dużym projektem – pisze dzieje rodu Fidlerów. Wypytywałem go, czy łatwo mu się pisze (o dla mnie pisarstwo to męka). Powiedział, że uwielbia proces pisarski i że nie sprawia mu on trudności. Że pisanie to najlepsze chwile w jego życiu.

Tak, to rzeczywiście Romek może być profesjonalnym pisarzem. Dzikowską pisał dziewięć miesięcy. Bez trudu dziennie może pisać 4-5 stron i poświęcać temu sześć godzin (ja wytrzymuję 2 godziny dziennie pisania, choć mogę pracować znacznie więcej bez przerwy, ale stosując tzw. przekładaniec, czyli wykonując różne zadania), tak, aby się nie specjalnie przemęczać.

To było udane spotkanie. Sensowne. Interesujące. A pointa? Zazdrościć mogę Romkowi talentu i łatwości pisarskiej.

Rozmawialiśmy też o pandemii. Obaj podobnie myślimy: rzecz jest bardzo niebezpieczna, ale reakcje są przesadzone, i że przynoszą, być może, globalnie więcej strat, niż sam wirus. Czas pokaże.

22 marca 2020

Zapytała mnie dzisiaj Maria, czy nie uważam, że mój dziennik jest zbyt osobisty, czy nie piszę zbyt otwarcie o swoich najbardziej osobistych sprawach, wydarzeniach i przemyśleniach?

Otóż tak nie uważam.

Po pierwsze nie piszę (i nie napiszę) o wielu osobistych sprawach, bo nie jestem w stanie, nie posiadam takich umiejętności pisarskich, aby opisać swoje życie w wielu szczegółach.

Po drugie nie mam takiego planu.

Po trzecie, jest wiele spraw, które ukrywam i po które nie sięgnę w swoich zapiskach. Piszę szczerze, choć lepiej powiedzieć, że staram się tak pisać, ale wiele wydarzeń zaciera mi się w pamięci, o wielu nie chcę pamiętać.

Jednak, tak, chcę pisać jak najbardziej osobiście ten dziennik. Tak też piszę wiersze.

W tym sensie jestem prawdziwym „nowoprywatnościowym” poetą i pisarzem.

Od zawsze tak było. Nawet znacznie wcześniej, niż nastąpiła

ta „nowoprywatnościowa” refleksja, nim ukuto ten termin.

Był to wybór, a nie takie mimowolne osobiste pisanie. Zacząłem swoje poezjowanie od bardzo skonwencjonalizowanych formalnie form. Dużo metafor, stylizacji, wszelkich zabiegów artystycznych, z ukrytym autorem i wysoce zorganizowanym podmiotem literackim. *Wieczne Amazonki* są tego dowodem.

Jednak stopniowo dorastałem do poglądu, że mam jedno życie, jedną osobowość, a pisarstwo jest i powinno być tego dowodem.

Nie kwestionuję literatury jako królestwa fikcji i jest w tej fikcjonalnej literaturze głęboki sens kulturowy, społeczny, a też filozoficzny. Ale prywatnościowe realizacje literatury mają też swoje sensory. Dla mnie trzy czwarte mojego skromnego ilościowo pisarstwa to osobiste przeżywanie rzeczywistości. Dlatego tak piszę, dlatego tak osobiście, tak *bezwstydnie*.

Droga M., ale jednak jest to tylko trzy czwarte prawdy. Reszta jest ... nieprawdą, fikcją, wymysłem, czystą kreacją. Dziennik nie umyka tej proporcji. Też jest w intencji bardzo, bardzo osobisty, ale jest w nim wiele czystej literatury (czytaj wymysłu intelektualnego i wyobraźniowego).

28 marca 2020

Pomimo że jak dotychczas udało mi się nie wpadać w histerię związaną z epidemią, to jednak pojawia mi się w duszy specyficzny nastrój refleksji, smutku, zagrożenia.

Wokół mnie nie ma ludzi zarażonych, a jednak są blisko, coraz bliżej.

Po pierwsze, za każdym razem, gdy Agnieszka wraca ze szpitala i przynosi specyficzny, lekarski solidny styl mycia rąk, wycieranie zegarka, odkażania telefonu, to moje serce drży.

Zresztą nie tylko ona pobudza we mnie niepokój. Sybilka jest na kwarantannie od tygodnia. Śledzę uważnie jej stronę na FB i wygląda, że - na szczęście - nie jest chora.

W kwarantannie domowej jest też mój Pan Leszek od książek z Londynu.

Obserwujemy się coraz dokładniej. Mierzymy gorączkę, nosi-

my rękawiczki, gdy udajemy się do sklepu lub w innych sprawach poza dom. Groza narasta. Ale jeszcze mnie nie dopadła. Zachowuję spokój i dystans. Ale inni nie koniecznie. MF pisze, że bardzo jej dokucza ta pandemia. Co prawda nie używa słowa *zaraza*, ale dużo bardziej ekspresyjnie opisuje swój stan, bo powiada, że czuje się przez epidemię *okradana*. To dobre określenie.

Cały ten zgiełk i faktyczne dramaty okradają nas z życia. Z życia takiego, jakie sobie ułożyliśmy, na które, bardziej lub mniej, zasłużyliśmy. A to choróbsko zabiera nasze życie, zmienia je, nie pyta, nie obiecuje, kiedy przestanie straszyć i paraliżować.

Sklepy są jak nigdy puste. Ale co tam sklepy, ulice są puste. Teatry i kina nie działają. Ale ludzie, co ciekawe, są serdeczniejsi. Cieplesji. Grzeczniejsi.

Ten zewnętrzny uliczny nastrój przypomina i rymuje mi się z okresem stanu wojennego. Ale tym razem nie ma czołgów. Złych milicjantów, albo żołdaków.

Jest cichy, mały zbój.

Daliśmy jej na imię Sybil,

a na drugie Janina. Gdyby był syn, miał mieć po jednym dziadku Andrew, a po drugim Witold. To były poważne i przemyślane decyzje. Tak więc, córka moja, Sybilka,

jeszcze w brzuchu matki przygotowywała się do poważnych decyzji, aby się szczęśliwie urodzić, a potem, przez długi czas, dawać nam szczęście, najlepiej niezmacone szczęścia. Nawet jej się to przez jakiś czas udawało, mimo że gdy się urodziła

okazało się, że na najbliższym świecie ogłosili stan wojenny. Pan Reagan się pogniewał i zabrakło mleka i pieluch i rodzice musieli wyjechać z miejsca, gdzie się urodziła ich córka, ale, i tak

nieustannie była wielkim magazynem radości, nawet, gdy miała problemy z robieniem kupki i trzeba było jej pomagać delikatnym masażem i herbatkami z włoskiego kopru.

Potem lubiła wsiadać do szuflady i odjeżdżać. Gdy już mówiła, bawiliśmy się w zmyślanie. Lubię zmyślać do dzisiaj.

Kochała nas. Choć na początku nawet o tym nie wiedziała.

Problemy zaczęły się potem. Gdy ani ojciec, ani matka nie potrafili znaleźć drogi do siebie. Wciąż nas goniła. A my nawet nie wiedzieliśmy, że uciekamy. Gdy się zorientowaliśmy, było już za późno.

Sybilka – Janina zmieniła już język. Już nie mówiła moim narzeczem. Chodziła do publicznych szkół i wszystkiego się dowiedziała. Zrozumiałem, że odchodzi, gdy przy śniadaniu zapytałem ją, czy chce mleka, a ona przez chwilę milczała, a potem odpowiedziała: no mleka, *milk*.

Musiała się uczyć od początku.

Ja wróciłem do naszego starego miejsca. I latami zawodziłem. Kołysałem się z boku na bok. Tańczyłem jak kaczką. Śpiewałem jak stary jeź, a właściwie prychałem. Pisałem komiczne poematy. Pisałem tragiczne wiersze, ale myślałem, że to dobre piosenki dla córki.

Problem w tym, że gołębie, które miały donosić moją poezję, ginęły nad Atlantykiem.

Powiedziała mi któregoś dnia, gdy dorosła, że czekała na mnie przez lata. Ale przecież minęło tylko kilka dni... To, że mam siwe włosy o niczym nie świadczy. Są pewne pozory, to prawda, na przykład rzeczywistość dookoła przypomina niektóre powieści fantastyczno-naukowe. Ale przecież to fikcja, scenografia, zmyślenie.

Od czasu do czasu przysyła mi robione przez siebie zdjęcia. Jej świat jest inny. Jest daleki.

Napisała mi, że jest już dorosłą kobietą. Oczywiście, jest wciąż małą dziewczynką o niebiesko-szarych oczach.

Tak, tak, zabawa w zmyślanie była naszą najlepszą zabawą. Gdy siedzieliśmy przy stole i jedliśmy kisiel malinowy, kazała mi zmyślać prawdziwie. A nie mówić o prawdziwych wydarzeniach. Zawsze wyłapywała, co naprawdę zdarzyło się w mojej opowieści, i się gniewała, że nie dotrzymuję reguł gry. Nigdy jej nie powiedziałem, że naprawdę trudno wymyślać nieprawdę, znacznie łatwiej zmyśla się prawdę.

Teraz pisze do mnie, że jest na kwarantannie. Że nie wolno jej

wychodzić z domu. Że w jej mieście ludzie umierają na koronowany wirus. I że wkrótce ma być wydany zakaz oddychania.

Pyta też, dlaczego ukradziono jej piękne, wiosenne dni. Że chciałaby zrobić zdjęcie słońca, ale zasadniczo wolno tylko pokazywać się księżycowi.

Zastanawiam się, dlaczego właśnie teraz znowu chce się ze mną bawić w wymyślanie.

Gdańsk 23 marca 2020

Pisząc dziennik, nakładają mi się nieustannie dwie perspektywy.

Niekoniecznie są zgodne. Czasami wręcz sobie przeciwne.

Raz piszę z poczuciem, że zwracam się do jakiegoś mojego wirtualnego czytelnika (do kogoś po drugiej stronie słów), innym razem słowa pisane są próbą uporządkowania wewnętrznego dialogu, gawędy z samym sobą, paplaniny myśli, której nie sposób przerwać, a która toczy się raz głębiej, a raz po wierzchu mojej świadomości.

Sam dziennik, jako gatunek pisarski, jest dobry, bo dopuszcza wszelkie formy gadulstwa, grafomańskiego pisarstwa, cichej i głośniejskiej skargi, poezjowania, poezjomanii i wierszoklecania, buczenia, retorycznych popisów, trzymania się za głowę, wygrażania, rymowania...

Tak, dziennik to dobry wytrych pisarski.

Do wszystkiego, do wszystkich i do nikogo (warto podkreślić, do NIKOGO).

Zacząłem pisać go bardziej systematycznie od dopiero kilku lat, choć początki sięgają do roku siedemdziesiątego. Wiele rzeczy zacząłem robić... zbyt późno.

Gdy poznałem Lisę i zacząłem poznawać kulturę amerykańską, zaskoczyły mnie niektóre formy młodzieńczych aktywności. Pierwsza to *scrapbook*. Zupełnie unikatowa forma dziennika w Polsce, trochę infantylna, jak mi się zdawało wtedy, ale dzisiaj już tak nie sędzę. To zeszyty wypełnione krótkimi zdaniami, rysunkami, wyklejone zdjęciami, tytułami gazet, dziwnymi elementami, takimi, jak na przykład kawałek wstążki, wypełnionymi

wierszami, sentencjami, własnymi przemyśleniami. A to wszystko w chaotycznym sposobie, bez planu i porządku.

Swoisty scrapbook tworzyła Helena Modrzejewska i wiem, że Andrzej Żurowski chciał go opracować krytycznie. Nie zdążył.

Innym moim odkryciem było, że młodzi ludzie w Ameryce piszą dzienniki bo są do tego dziennikopisarstwa przysposabiani od wczesnych lat, w domu i w szkole, a też przez obyczaj i kulturę. Lisa też codziennie skrobała po kilka, kilkanaście, a czasami więcej linijek. Pisała je gęsto w zeszytach w kratkę. Byłem dyskretny i nigdy nie zajrzałem ani przez ramię ani wprost do jej dziennika, choć z jakichś powodów kilka razy widziałem fragment dziennika. Nic porywającego. Po prostu żmudne codzienne podsumowania, spisy wydarzeń, jakieś krótkie refleksje.

Bardzo wtedy mi zaimponowała tym codziennym zapisywaniem czasu. Oczywiście, nie znaczy to, że w polskiej kulturze taki dziennik nie jest uprawiany. Jest, wiem, że Olek Jurewicz przez lata pisywał dziennik (i pewnie nadal to czyni). Ale Olek to pisarz, a nawet PISARZ, a Lisa i wielu podobnych młodych Amerykanów, dziennik pisze jako codzienne retoryczne i umysłowe ćwiczenie. Nic nadzwyczajnego. Taki zwyczaj.

Niestety, wtedy, w latach osiemdziesiątych, nie zaraziłem się zbyt dziennikowym paniem. Od czasu do czasu robiłem tego rodzaju notatki, ale nie systematycznie. Teraz żałuję. Dziennik systematycznie pisze też Marta Fox, Misia. Muszę ją spytać, czy dzisiaj, po latach, te dzienniki są dla niej ważne. Bo są zasobnikiem pamięci na pewno. Ale czy mają jakąś inną wartość. Na pewno mają, ale jaką dla niej?

Co mnie motywuje do pisania obecnie dziennika?

Jest to niezły sposób, by się z różnych spraw wytłumaczyć, lub je wytłumaczyć, by ocalić od zapomnienia niektóre zdarzenia (a i myśli). Czasami wytłumaczyć się przed innymi. A czasami powiedzieć innym coś, co nigdy nie udało się wcześniej. Druga perspektywa - teraz, w tej chwili - sądzę, że dużo mocniejsza i mocniej mnie dopingująca do zapisków - to pewna rzewność, codzienna emocjonalność, a może nawet litowanie się nad wła-

snym losem, smutek dzienny i nostalgii, które dopadają mnie, a z którymi coś zrobić trzeba.

Dziennik to forma, która pozwala na pewną niechłujność zapisków, a jednocześnie na wielką ich ostrość, na rzetelność i - co warto podkreślić - zakłamanie, mimowolne, ale jednak (wynikające np. z nieobiektywności emocji).

Zapewniam jednak (tę myśl kieruje do Marii J.), że wszystko, co w nich jest, w tych zapiskach, to nawet nie czubek góry lodowej, to może ledwie wędrowny ptak na czubku tej góry - jest, nie jest, jest, bo siedzi, nie ma, bo już odleciał.

A teraz trochę płaczu. Boli mnie wszystko. Moje POCHP coraz bardziej dokuczliwe. Bez leków ani rusz. Forma mi schodzi jak powietrze ze starej piłki. Nie jest dobrze. Dokuczają mi stawy biodrowe. Krążenie siada. Czasami, gdy nieco szybciej przebiegnę dom, muszę dłużej odpoczywać.

Róża naszego ogrodu

Ta róża z mojego ogrodu płonie nieustannie
- ogniem jasnym i gęstym wznosi się nad wzgórze
i doliny wokół i rozdaje swój cień
za darmo można powiedzieć, choć przecież nie za każdy
grosz.
Pytają dlaczego?

Jest moja i nie moja, i nie jest twoja i jest twoja ta róża
z ogrodu w którym królowe mają zawsze dostęp do
szerokiego i dalekiego światła.
Są studniami na odwrót. Są naszym cichymi marzeniami,
gorącymi słowami
przelewającymi się nam pomiędzy palcami, dłońmi
trzymanymi w modlitwie o życie i przetrwanie.
I może ocalenia w łasce czasu corocznych kwitnień.

Jest naszym, jest moim, jest ich, całego tego ludu
ogrodowego
punktem odniesienia i wiemy dlaczego, i nie wiemy

dlaczego, bo nie jest do poznania
cóрка karminowego płaszcza, ten wyrastający ponad nas
pęd,
ta wieża, którą widzę zawsze, wszędzie i zawsze z przodu.

- Rózo, czy wiesz? Rózo, czy nie wiesz?
Jesteś kwiatem w tysiącach błysnięć.
I w jednym ogniu, we wszystkich tęsknotach i w tym
pojedynczym.
Czy wiesz, że całe życie muszę cię doganiać, doglądać,
zaglądać w ciebie?
I my wszyscy w pochyleniu w ruchu mozołu ogrodnicy.

Rózo, już nie wiem, czy jesteś moją córką, czy córko
jesteś moją Różą?
Pytam innych ojców, patrzą z sympatią, ale nie dokładają
słów zrozumienia do stosiku.
Zatem sam je układam na rabacie.
Jak zawsze nadchodzi wiosna, jak zawsze odchodzi cień.
Właśnie, gdzie odchodzi cień, gdy słońce zamknęło się
za zachodem?
Widzę codziennie jak z mroku wychylasz swoje usta
płatków,
jak rozwijasz swoje
kwietne ramiona, jak stajesz prosta odwrócona
ode mnie.

Jak to robisz córko moja, Rózo, skąd przyszedłeś, przecież
widzę codziennie wschód jest zamknięty,
a jednak wciąż płoniesz pięknie nad ranem.

01.04.2020 Gdańsk

Dotykaj

Dobrze wiedzieć, że są sprawy które trzeba
prędkiej lub później uporządkować.
Na przykład liście na podjeździe przed domem,
lub podobne do nich listy na biurku.
Liście można włożyć pomiędzy karty ulubionej książki

- gdy poleżą w ich zacisznym cieple stron,
nabiorą polotu dobrej powieści,
staną się miłe i delikatne w dotyku.

Z dotykiem przychodzi dużo miłych rzeczy,
łatwo o tym zapomnieć, gdy jest nadmiar
i gdy nie doświadczamy jego braku.
Gdy byłem młodym jeszcze pisarzem wierszy
lubiłem dotykać cudzych rąk, twarzy,
przybliżać innych do siebie uściskiem, lub innym
gestem zdecydowanym i czułym.

Potem zacząłem się wstydzić tego mojego pociągu
do mówienia dłońmi, ramionami lub opuszkami palców.
Moje ciało jednak było uparte i wciąż
dotykało czule liście, koty domowe,
rękawiczki mojej mamy pozostawione na stole,
ale już stawałem na krok dalej od przyjaciół,
kolegów z ławki,
a nawet dziewczyny w której się podkochałem.

Wciąż jednak lubiłem witać się ze starą jabłonią
dotykając jej kory.

Myślałem wtedy,
że dużo ważniejsze są *ważniejsze* sprawy,
takie jak niedotykalne idee i myśli,
długie poematy, metafory strzeliste,
nawet praca wydawała mi się ważniejsza.

- - -

Dzisiaj poczułem twoją nieobecność
i wszystkie te dotyki dziecka, potem dziewczynki,
a jeszcze później dorosłej kobiety, która głaskała korę
starej jabłoni w domowym ogrodzie,
gdy stałaś w długiej fiołkowej sukni,
sięgając po niedojrzałe jeszcze jabłko.

To wtedy zrozumiałem i zapamiętałem,
to jest dobre, to jest właściwe i to trzeba
uporządkować.

To jest dobre, gdy depcze cię twoja mała córeczka,
gdy wskrabuje się na ciebie,
który jesteś górą bezradności,
gdy rozpląszcza się na tobie,
liże ci twarz, maluje dżemem usta i ręce,
wyrywa ci w gwałtownym uścisku włosy.

Wytrzymaj to wszystko. Nie spiesz się.
Nie szukaj w dziecku starej kobiety,
sam wróć do czasu, gdy krople deszczu były ogromne
jak dojrzałe śliwki mirabelki
a niebo było pełne wiśniowej marmolady.

Bądź jak te liście w starej książce
na jeszcze starszym biurku.
Ciesz się dotykiem ciasnych stron,
ciasnych dotykiem wypisanych na nich opowieści.
Im tam jest dobrze, lubią być w uściskach księgi.
Jest im przytulnie, mięciutko.
Ciemność stron, ich bliskość gasi płomienie niepokoju,
z kart uciekają strach i samotność.

W dotyku twoich dłoni, w ich bliskości,
w bezwstydzie bliskości twojego ciała
jest więcej zdarzeń niż w całej, wielkiej bibliotece.

Gdy się dobrze przyjrzeć na półkach zobaczysz nie książki,
ale przytulone do siebie liście. Jak te,
które znalazłem na biurku,
pod książką od ciebie na pożegnanie.
Dotykaj, Moja Miła, dotykaj,
To jest właściwe,
nie bój się.

5 kwietnia 2020

Mija pierwsza sobota kwietnia i wielkimi krokami zbliża się wiosna.

W ogrodzie kwitną hiacynty, żonkile, wychylają się tulipany. Ledwie co przekwitła morela. Ale to jedyna jasna strona tych czasów.

Nadal szaleje pandemia. Wciąż przyrasta liczba zarażonych i chorych. Jeszcze w żadnym miejscu, poza Chinami, nie obniża się liczba ofiar.

Nie przeżyłem czasu wojny, za to przeżywam czas, jak to powiadają, zarazy.

Po ulicy można chodzić zasadniczo pojedynczo, do sklepu wpuszczają po parę osób. Wciąż jednak zachowuję spokój i optymizm. Bo właściwie, jak się inaczej zachowywać w obliczu wydarzeń losowych? Można wpadać, albo w histerię, albo zachować spokój ducha i czekać cierpliwie, aż epidemia minie. Bo minie.

Bo nie po raz pierwszy ludzkość przechodzi przez katastrofę. Oczywiście, liczę, że będę miał szczęście, ale gdy myślę, że może nie, to też nie budzi to we mnie dramatycznego niepokoju. Będzie, jak będzie.

Większość moich znajomych znajduje ten czas jako przymusowy okres wypoczynku. Marek Wawrzekiewicz pisał, że nadrabia lektury. Podobnie Romek Warszawski korzysta z okazji, że pracuje w domu. Ale urzędy, niestety, też odpoczywają. Taką dostałem informację o ministerstwie kultury, które ponoć nie działa. Jest jednak dobra wiadomość, z ministerstwa kultury odpowiedzieli pozytywnie na odwołanie „Migotań” i przyznali skromne finansowanie, 20 000 zł na ten rok. Będę mógł redagować pismo bez niepokoju organizacyjnego.

Ze smutkiem i z zażenowaniem muszę przyznać się, że otrzymałem to wsparcie dzięki poplecznictwu. Jeden z moich antykwarycznych klientów wstawił się za pismem w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego i okazał się na tyle wpływowy, że spowodował przyznanie mi grantu. To rodzaj korupcji?

Tak nie powinno być. „Migotania”, po 18 latach ukazywania się, zasługują na wsparcie publiczne i bez łaski urzędniczej.

18 kwietnia 2020

Doszedł dzisiaj do mnie esej Urszuli Benki, to rodzaj omówienia książki profesora Krzysztofa Dołowego, *Wbrew bogom, czyli od magii i religii do metody naukowej... i z powrotem*.

Bardzo mnie ten tekst zaintrygował, bo jest o tym, co mnie interesuje od lat, „wielki skręt do tyłu” czyli zwrot w kulturze, a w konsekwencji i cywilizacji europejskiej.

Od kilkuset lat wydawało się, że kultura wielkim susami, zakosami i cofnięciami, ale jedna, idzie do przodu

- od ciemności do światła. Od niewiedzy i lęku do coraz większej pewności, wynikającej z poszerzającej się WIEDZY. Budzącej niepokój, ale nie strach.

Od ciemności w jaskini, od wprowadzających nas w dygot strasznych kapłanów, do - czasami, gdy pomimo wielości niepoznania - jednak poczucia, że strzygi, koszmary i potwory z ciemności już nas tak łatwo nie doganiają.

Wydawało mi się, że mój świat to świat arytmetyki, algebry, fizyki i przyrodoznawstwa, psychologii, filozofii, coraz jaśniejszego kosmosu i coraz głębszego świata cząstek, a też głębszej (nie obrazkowej) religii oraz metafizyki, która stawia na zrozumienie i pogodzenie najgłębszych intuicji ze światem nauki. Ale tak nie jest.

Od co najmniej trzydziestu lat, a może i dłużej, świat przystanął.

Książki powstają zasadniczo dla tych, którzy je piszą lub chętnie by je pisali..., chcę przez to powiedzieć, że systematyczne, metodyczne i konsekwentne myślenie stało się paradoksalnie bardziej elitarne, niż można by sądzić po łatwości dostępu do wytworów myśli i kultury.

Dominuje zwrot. Skręt. Do tyłu.

Do zapomnienia o tym, co już wiemy, powrót do przesądnego rozumienia świata. Kierujemy się nie tyle wiedzą, doświadcze-

niem, nawet nie przekonaniem, ale przeświadczeniem. A przeświadczenie to taki stan wiedzy: wiem, bo wiem.

Zauważa to i Benka i bohater jej książki Krzysztof Dołowy.

I nie Bóg tam jest ważny, lecz wystrój.

Nie chodzi tylko o zwrot do religijności, chodzi o zwrot do tępej religijności, która nic nam nie wyjaśnia, a tylko straszy, lub przeciwnie, daje wygodne uspokojenie.

Ale też nie tylko o ten zwrot chodzi. Przestaje być walutą myślenie, mądrość, etyka, osobowość, inteligencja....

Benka ten skręt kapitalnie puentuje. W jednym zdaniu, że sakralność wolno rozpatrywać jako cykliczne uwalnianie się od norm, od rozumowania w kategoriach socjo-centricznych, a w drugim, że to sinusoida po pewnym czasie ocierania się o nikczemność, o obłąd. Oby to był nowy paradygmat rozumienia także dla istnień, człowiekowi (nagiej małpie) niepotrzebnych, a nawet dokuczliwych.

UMB to mądra poetka. Mądra eseistka.

Napisałem do niej, że podoba mi się esej. Oto jej odpowiedź, korespondencja:

Od Urszuli B., z korespondencji

„Jesteś ujmująco miły.
Ale w tremie wysłałam
Ci wersję sprzed ostatniej
poprawki.

Jutro to naprawię, bo
przerasta mnie postawa
ministra zdrowia. My-
ślałam, że to postać tra-
giczna. A Ty masz jakieś
nadzieje? W dodatku te
maski na twarzy aż do
szczepionki.

Będę Ci bardzo, Zbyszku, wdzięczna, gdyby ktoś na Twoich
łamach omówił *Pasję*. Na pewno lepiej się orientujesz, ja się od



wielu lat zajmowałam pisaniem, mam 4 książki eseistyczne, powieść o Magdalenie i 2 albo 3 zbiory wierszy, ale w bałaganie. Właśnie wydawca *Pasji* chce je wydawać... Miłe, a znowu konsternacja lekka, bo miałam trochę inne plany. Prawda, że wracanie do dawnych wierszy to jak randka z kimś sprzed wieeeelu lat?

Serdecznie Cię pozdrawiam. Napisz mi o nadziei, dobrze?"

„Urszulko, spuść do klozetu emocji sprawę tego łachmyty ministra zdrowia. Nabraliśmy się na niego wszyscy, że to lekarz, że to mądry człowiek, że ma trudną sytuację, że koniec końców on nie zawali prymatu rozumu nad siłą, pogardą i bezdusnością. Szkoda na niego Twojej złości. To jeszcze jeden Błaszczak, Sasin i kogo by tam wymienić. Ludzie bez twarzy, choć z ludzkimi pysiami.

Myśl i broń się przed wirusem. Ten to jest dopiero prawdziwy Kaczyński – podstępny i konsekwentny!

Przetrwamy też pandemię. A jeśli nie, to i cóż? Zdałem sobie niedawno sprawę, że świat już wkrótce się skończy. Że już policzone są jego dni. Że po prostu przestanie istnieć wkrótce, bo nie sądzę, że długo pożyję.

A po - jakby to nie zaklinać - świata dla mnie nie będzie. I w ten sposób to będzie koniec świata. Hmm...

Zatem się cieszę Twoim esejem, Twoim myśleniem, a też dzisiaj słonecznym niebem. Ale to nie oznacza w żadnym wypadku tępego optymizmu.

Niestety, maskę będę musiał nosić, pomimo że cholernie mnie to męczy, bo mam CHOP (poprawnie POCHP, przewlekła, obturacyjna choroba płuc), co wcale nie jest takie hop, hop!.

Przyślij mi swoje książki, które chcesz, aby były omówione, spróbuję coś zrobić. I pisz.

Jeszcze słowo na marginesie powyższego eseju:

Warto zobaczyć rozwój cywilizacji zachodniej w opcji: „co by było, gdyby nie doszło do tak spektakularnego upadku Imperium Rzymskiego wraz z jego kulturą”.

Tysiąc lat później intelektualna Europa ledwie zaczęła doga-

niać myślicieli starożytności. Wiele lat religijnego barbarzyństwa, prymitywizmu, niszczenia ksiąg i całych bibliotek, religijnych przymusów i chaotycznych koncepcji państwowości przycisnęło cywilizację nieomal do dna.

Nie chce się wierzyć, że na nic był dorobek Greków i Rzymian. Gdy czyta się dzisiaj Senekę, Cyserona można zapytać, jak to możliwe, że ich światłe umysły na wieki zostały wygaszone?

Można zapytać, jaki byłby świat, gdyby nie doszło do upadku Imperium Rzymskiego i jak rozwinęłaby się cywilizacja niewstrząsana katastrofami barbarzyństwa, gdyby rozwijała się w pokoju i ciągłym progresie?

Oczywiście, w tysiąc lat później, powstały pisma nowych Cyseronów i Arystotelesów i świat cywilizacji europejskiej intelektualnie rozwinął się znacznie przewyższając dorobek Rzymian, ale może gnębić pytanie, gdzie bylibyśmy, gdyby tych dobrych kilku ciemnych wieków nam zaoszczędzono?

21 kwietnia 2020

Wieloramienny ojciec

Musisz wiedzieć, choć może musisz to nadmierny imperatyw,

bo to wylewająca się poza czas intencja.

Powinnaś wiedzieć, że on jest jakby zmniejszony.

Że twój ojciec jest jakby kaleki, jakby niepełny.

Był znacznie więcej, może to niegramatycznie, ale naprawdę więcej był.

Znacznie mocniej i znacznie szerzej.

Gdy ruszał do lasu rozstępowały się przed nim drzewa,
ptaki przestraszone uciekały na najwyższe gałęzie,
aby zaraz

potem odśpiewać mu hymny pochwalne.

Był wysoki jak *stąd do aż najwyższej* - jak powiada 4,5
letnia Hania, dla której, ten teraz zgarbiony starzec, jest
wciąż wyższy od okolicznych strachów i potworów.

Ten facet miał trzy ręce, a może nawet więcej, ale na pewno trzy.

Miał dwie wielkie głowy.
Lawinę włosów blond falujących nad okolicznymi
wzgórzami.
Nogi miał tak silne, że musiał chodzić boso, bo nie było
butów,
które zniosłyby jego
potężny krok, jego wędrówki po górach i chmurach.

Ale potem córko może jednego dnia, może w jeden tydzień,
albo może nawet w kilka miesięcy, ale na pewno było to
bardzo szybko i stanowczo,
gdy ojciec twój, twój jedyny tata, został okaleczony.
Odebrano mu trzecie ramię, a miał tam najważniejszą
dłoń, bo była przeznaczona do głaskania wszystkich
córek na świecie.
Odebrano parę uszu i zostały mu tylko dwa, te najmniejsze,
te najmniej słyszące.
Potem nadleciały samoloty, dywizjony śmierci i szwadrony
przyjaciół w myśliwcach
ze znakami, których nigdy nikomu nie udało się odczytać.
Dokonały rajdu na pola blond włosów i odtąd wzgórza
stały się ciche.
Ptaki już tam latały niechętnie i nawet słońce jakby nie za
bardzo tam zaglądało, a ptaki już w ogóle nie zakładały
tam gniazd.

Po tym nieszczęściu załamały mu się potężne nogi i od
tego czasu
nie był w stanie wyruszać w dalekie podróże, na dalekie
wędrówki, na odkrywcze peregrynacje, gdzie kiedyś
z tobą zbierał bursztyny, rubiny, diamenty, topazy, te
tak ważne dla ciebie drogocenne ciężkie kamienie, bo
skąd wzięłabyś sznury koralu, dzięki którym nie unosiłaś
się zbyt lekko, zbyt szybko, a tego się właśnie bardzo bałaś.
Pamiętasz? Mówiłaś, że nie chcesz być piórkiem, nie
chcesz odlecieć.
Przecież - wiem - unoszenie było dla ciebie i przekleństwem
i upojeniem,

rozumieniem i zagubieniem.
Potem stało się najboleśniejsze.
Odpadła mu głowa, z czaszki wytoczyły się zdziwione
oczy, zalały się łzami
i naokoło zaczęły powstawać wzbierające gwałtownie
strumienie.
Wody było coraz więcej.
Dławił się nią i w końcu zalała mu usta, gardło, całego
osłabionego,
pozostawionego hiobowym pieśniami i rozrostłym
w zbyt ciasnej głowie marzeniom, planom i w końcu
miłości.
I w końcu miłości, tak, ta była najcięższa
i najstraszniejsza.

Zalewała go woda bez przerwy aż do skutku,
aż wdarła się w gardło i już nawet nie mógł zapytać
dlaczego tak się dzieje i poprosić abyś podała mu rękę.

Dławił się. Ostatecznie zamilkł i zasnął.

Wpadł w sen, w otchłań niebieską, w przestwór cudzej
miłości i nie cudzej.
Powoli w pozostałych członkach powracała moc i czucie.
Uszy dosłyszały jakąś odległą piosenkę w obcym języku
a jednak rozumiał
te rozmywające się po chorym ciele słowa.
Ręce zdziwione złapały się jedna za drugą i zapaliło się
Światło.
Zapaliło się światło, zapaliło się.
Czy widziałś kiedyś płonące światło, pożar?
Do osłabionych oczu wpadł obraz dziecka nie dziecka
jego nie jego,
córkę, bliskiej obcej najdalszej najbliższej.
To ciebie zobaczył.

I zdrętwiał.
Bo miałś troje rąk, trzy głowy, rozpędzone rydwany

blond włosów, długie nogi
- jak powiada moja 4,5 letnia Hania
– *stąd aż do najdalej*,
aż za tamtą ulicę, za biedną osamotnioną głowę,
za ścierpiałą rozpacz.
Miałaś tysiące oczu - patrzyły z nieba, z chmur,
z ciemnych zachodnich chmur.

I jeszcze zobaczył, że masz długie ręce,
sięgają znad rzeki Ohio aż do strumienia nad którym
mieszka.

23 kwietnia 2020, z korespondencji

„Urszulo,
powiem Ci szczerze, że od lat nie pisałem w oczekiwaniu na
jakieś referaty krytyczne, jakieś rozpasane recenzje lub eseistyczne
omówienia (gdy byłem młodym poetą, oczywiście, miałem
różne nadzieje na taki, czy inny sukces literacki). Pisanie jest
moją bardzo osobistą funkcją życiową, choć paradoksalnie piszę
w trudzie, znoju, a czasami bólu. Całe życie piszę (od trzynastego
roku), a więc jestem w jakimś sensie grafomanem. No, trudno,
tak jest.

Pytanie, co uważam w poezji za najważniejsze,
jest jak ołowiany ciężarek dla myśli i wszelkie odpowiedzi
ciągną zaraz na manowce. Pewnie mógłbym o tym napisać książkę,
a i tak byłoby to przede wszystkim błędzenie i poszukiwanie
odpowiedzi. Ale parę rzeczy jest oczywistych. Broń Boże, jednak
nie traktuj tego jak wyczerpującą odpowiedź.

A więc to, co już napisałem, poezja, musi być niezależnie od
literackości, jej sztuczności, zawsze funkcją życiową poety. To
gwarantuje cały segment wartości: prawdę, oryginalność, szczer-
ość, uczciwość... W moim osobistym przypadku, wiem to na
pewno, bardzo ważną jest sfunkcjonalizowana estetycznie pry-
watność. Mogę powiedzieć, że nie ma nic ważniejszego niż moje
życie i moje przeżycia i emocje. Nie bez powodu przeżywają
mnie poetą nowoprywatnościowym, (choć to nowo - jest całko-
wicie zbędne). Ale Ty, jako prawdziwa poetka i pisarka, dobrze

wiesz, że nawet najbardziej prywatnym zwierzeniom autora nie powinniśmy dać się nadmiernie zwodzić, zawsze jest w nich literackość i kreacja, choćby dlatego, że tą drogą właśnie chce autor dotrzeć do swoich osobistych spraw.

W poezji, dobrej poezji, zawsze jest dobrze zacumowany wirtualny adresat.

Ja najczęściej piszę jakoś do swojej córki, może lepiej powiedzieć z myślą o niej, ale, oczywiście, nie wyłącznie.

Ostatnie, co chciałbym Tobie (ale właśnie Tobie tylko) napisać, to pewne wyznanie: poezja musi boleć, trudzić, zamęczać, wycieńczać... Oczywiście autora, nie czytelnika. Czytelnika w efekcie powinna zauroczać, zadziwiać, zaskakiwać, budzić cały wachlarz emocji, a też inspirować.

Warto pamiętać, że poezja jest efektem kreacji, jest sztuką, jest całkowicie ze świata estetycznego. Prywatna i osobista poezja zawsze musi być poddana estetycznej organizacji. Nie ma co żałować jej (poezji) metafor, porównań i wszelkich możliwych środków estetycznych.

Poezja to nie dziennik, to nie gazeta, a nawet to nie jest esystryka filozoficzna, zawsze jest czymś więcej: tym jedynym sposobem na wypowiedzenie tego, co omal nie jest wypowiedalne. Poezja musi wnikać głębiej, niż każdy inny tekst, nawet osobiste zwierzenie.

Pozdrawiam, z.”

29 kwietnia 2020

Jesteśmy na kwarantannie.

Agnieszka miała kontakt z *osobnikiem pozytywnym*. Policja sprawdza nas dwa razy dziennie, czy jesteśmy w domu. Trochę dziecinada. Mam wrażenie, że tak zwane państwo zabawia się tym dramatycznym epizodem współczesnych dziejów. Z jednej strony polokowało chyba z 80% gospodarki i ludzi, a z drugiej strony koniecznie chcą się wybierać i wymyślają jakieś skomplikowane wybory pocztowe. Absurdalne. Tak absurdalne, że nie chce mi się nawet ich opisywać. Ja w tym cyrku brać udziału nie będę.

Jest już wreszcie prawdziwa wiosna. W ogrodzie zakwitły po kolei: brzoskwinia, wiśnia japońska, magnolie, czereśnie, a teraz jabłonie. Śliwka czeka jeszcze. Chodzę z trudem po ogrodzie i staram się coś w nim zrobić. Bolą mnie nogi. A też stawy biodrowe. Nie wspomnę o zaostrozonym POCHP. Bardzo się posunąłem w kondycji w ostatnich miesiącach. Jest niedobrze. I nie wiem, co mogę zrobić? Pewnie nic, tylko dzielnie znieść siedemdziesiąte urodziny za dwa tygodnie,

Odzywa się Sybilka. Jak dobrze!

Moje serce znowu się roztkliwia.

Ona też przechodziła kwarantannę. W USA jest nawet gorzej, niż w Europie i Polsce. Na szczęście nie w Cincinnati.

Powoli kształtuje mi się książka *Córka*.

Dobrze by było ją przetłumaczyć na angielski, choćby dla Sybilki, dla mojej tytułowej córki.

Cieszę się z nowej korespondencyjnej przyjaźni z Urszulą Benką. Szkoda, że nie spotykam jej na żywo. Krążyliśmy pokoleniowo wokół siebie od blisko czterdziestu lat.

Urszula była zawsze na moich listach, w moich osobistych rankingach na najlepszych poetów i poetki tworzących od lat siedemdziesiątych zeszłego wieku i zawsze chętnie o tym pisałem i mówiłem.

Mam wrażenie, że ja byłem jej dość obojętny i dopiero teraz zauważyła moją obecność. I dobrze.

Urszula jest moją najlepszą eseistką w „Migotaniach”. Jej eseje są i erudycyjne i rozbuchane językowo, mają rozmach poetycki i jednocześnie bardzo wielopiętrowe konstrukcje intelektualne. Jej wyobraźnia jest równa jej rozumności. Dobrze, że teraz będzie wydawać nową książkę. Jestem bardzo jej ciekaw.

Urszulę spotykałem osobiście w latach siedemdziesiątych, chyba na jakichś seminariach u Leszina i prawie na pewno na imprezach literackich na Śląsku. Nieduża, dość zamknięta osoba. Nieco znerwicowana, ale pewna siebie. Nie zaiskrzyło między nami, ale od początku miałem jak najlepsze zdanie o jej poezji.

(do Małgorzaty Dorna-Wendrychowskiej)

„Małgosiu, tak, niektóre z osób, które od nas odchodzą, są nie do zastąpienia i brak ich czuje się długo i przejmująco.

Jaś Ciechowicz był kimś bardzo wyraźnym i jedynym. Nie miałem z nim bliskich (w sensie przyjacielskich) kontaktów, ale wszystkie te, do których doszło, wspominam dobrze. Zawsze był życzliwy i uśmiechnięty. I entuzjastyczny do innych twórczości. Bywał na moich premierach książek i na spotkaniach z „Migotaniami”.

Pamiętam go też jako oddanego teatrowi człowieka. Przez krótki czas współpracował z „Migotaniami”. Zawsze można było go spotkać na premierach teatralnych.

Umarł. Ale to zbyt mało powiedziane.

Umarł strasznie, a wcześniej przeżywał piekło. W ostatnich chwilach swego życia okazał heroizm.”

Moi umarli

Jan Ciechowicz, profesor Uniwersytetu Gdańskiego. Teatrológ. W Gdańsku, po profesorze Stefanie Kaszyńskim od lat siedemdziesiątych było trzech wybitnych znawców teatru, a przynajmniej bardzo znanych: Jan Ciechowicz, Andrzej Żurowski i Jerzy Limon (choć ten w węższym zakresie teatru angielskiego, ale za to twórca, założyciel sceny szekspirowskiej w Gdańsku).

Byli i inni i nadal są, na przykład twórca dramatyczny, Władysław Zawistowski i, przedwcześnie zmarła, Miłostawa Bukowska.

Jaś Ciechowicz miał swoją niepowtarzalną osobowość.

Poznałem go, będąc studentem teatrologicznej specjalizacji na polonistyce w Uniwersytecie Gdańskim. Miał z nami ćwiczenia z zakresu teatru współczesnego. Asystent profesora Kaszyńskiego (z Łodzi), starszy niewiele od nas, bo ledwie na początku w procesie doktoryzacji, starał się wzbudzić w nas respekt. Nie szło mu to najlepiej, bo trafił na grupę studentów indywidualistów, wspomnę tylko właśnie Zawistowskiego, Ankę Czekanowicz (uwodzili się wzajemnie z Ciechowiczem, nie przekraczając dopuszczalnych granic), Majchrowskiego, Mrozowską, Arka Kajzera (zginął mi z oczu, robiąc karierę hotelarza w Kanadzie), Małgosię Białkowską (cudnej urody), a i ja nie byłem łatwym studentem.

Ale ostatecznie udawało nam się porozumiewać, a może nawet lubić. Przyczyniły się do tego grupowe wyjazdy do najlepszych teatrów polskich, na wybitne spektakle. Te przeżycia nas zbliżały. Intrygował nas swoim manifestacyjnym katolicyzmem, a my wtedy raczej byliśmy nie tyle niereligijni, co areligijni, a może nawet ateistyczni, a na pewno nie manifestowaliśmy swoich religijnych wyborów.

Po studiach każdy poszedł swoją drogą... Jaś Ciechowicz zawsze był blisko.

Szczuplak o szybkim chodzie, zawsze uśmiechnięty, niekiedy z lekkim grymasem ironii, był prawie zawsze obecny na artystycznych wydarzeniach i premierach swoich dawnych studentów.

Kształtował skutecznie opinię o teatrach gdańskich.

Pasjonat teatru, bo powiedzieć znawca, to zdecydowanie za mało.

27 lipca 2020

(z korespondencji z MJB)

(...)”Pamiętasz, dwa lata temu umierała w moim domu moja teściowa. Umierała długo i boleśnie i były to dla nas ciężkie chwile.

Moja mama zmarła podczas mojej nieobecności, w szpitalu po operacji w strasznych mękach. I do dzisiaj nie mogę się z tego podnieść.”

- - -

„Jestem lekko zestresowany, bo zbliża się czas redagowania nowego numeru, a ja nie mam kompletu eseistyki i tekstów krytycznych. Wakacje nie sprzyjają widać intelektualnemu pisarstwu. Mam nadzieję jednak, że jeszcze coś spłynie, w tym też od Ciebie. Czy pamiętasz o mojej propozycji, abyś pisała felietony z aktualnych lektur? Przypomnij się też naszym (Twoim) autorem, że czas, aby coś dla nas napisali, albo wybrali z szuflad.

Kasy z ministerstwa jeszcze nie dostałem, ale chyba coś z tego będzie, bo już podpisałem z nimi umowę. Pod tym względem mam lżejszy rok. Ale, jak myślę o tych „zatrutych” piso-pieniądzach, nie czuję się dobrze.

Poczułem dość mocno, że jestem już po siedemdziesiątce.

Przeszkadza mi to w planach pisarskich, bo łatwo się męczę i zbyt szybko ucieka ze mnie energia.

Ale nie będę Ci narzekał, masz swoje holtery i zmartwienia. Trzymaj się, proszę.”

Raduje mnie lato, ale od razu i martwi, że przemija,

że już koniec lipca. Najbardziej cieszy mnie zawsze majowy czas, bo wtedy wydaje się, że przede mną nieskończenie długie lato i piękna pogoda.

Przez pomyłkę losu znalazłem się w tak zimnym miejscu jak Gdańsk i Polska, albo może miejsce, gdzie jestem, przez pomyłkę jest tak chłodne?

Czasami tęsknię do Cincinnati, bo tam większość roku jest ciepła, gorąca, z piękną słoneczną pogodą, a gdy przychodzi krótka zima, to nawet człowieka cieszy, bo wiadomo, że za chwilę będzie jej koniec. A najbardziej mi brakuje tamtejszych ciepłych nocy i dźwięków cykad.

U nas czasami słychać świerszcze, ale aby hałasowały muszą mieć ciepłą noc, a takie są bardzo rzadko.

Wracam na chwilę do wątku z Martą Fox. Masz może rację, że chciałem się wytłumaczyć, ale nie komuś, ale sobie.

Myślę ciepło o chwilach z Misią, (bo tak ją nazywałem). To były intensywne chwile. Ale życie potoczyło się dla nas w odmiennych kierunkach. I chyba dobrze.



Agata Foltyn w Gdańsku

Mówiąc *wytłumaczyć* myślę przede wszystkim *zrozumieć* i przypomnieć sobie tamte chwile.

W ogóle spostrzegam, że bardzo lubię tych ludzi, których spotykałem, kobiety, które kochałem i żał mi, że nie mogę ich mieć wszystkich bliżej siebie teraz.

03 września 2020

Czuje się zmęczony. W ogóle źle się czuję. Wszystko mi sioda. Boli mnie... chyba wątroba. Mam kłopoty z chodzeniem. Łapią mnie skurcze w całym ciele. Głowa gorzej pracuje. Mam kłopoty z koncentracją. Wolniej czytam. Wolniej piszę. Ale gdy tak narzekam, uświadamiam sobie, że nie mam kłopotów z sercem i ciśnieniem, że nie boli mnie żołądek, że w ogóle, gdy wstaję rano, mam sporo energii, nawet, gdy ona się kończy po paru godzinach. Mam śmieszne bóle łokcia, stawów biodrowych, ale nie boli mnie głowa. Hmm, to jakie jest moje samopoczucie? Właśnie, jakie?

Skończyłem numer 3/2020 „Migotań” i jest już w składzie.

Dużo różnego materiału. Kilka żwawych mentalnie i intelektualnie esejów, między innymi Andrzeja Leszczyńskiego, nowy Urszuli Małgorzaty Benki (znowu poruszał mi w głowie), świetne wiersze Mietka Machnickiego i mojego „pupila”, Bujarskiego (to jest prawdziwy poetycki wariat w najlepszym tego słowa sensie). Ciekawe szkice historyczne Szarugi i Karkowskiego. Jeden pisze o międzymorzu w XIX wieku, drugi o narodzinach komedii. Numer jest napakowany też tematami literackimi, recenzjami, omówieniami.

Gdy mi się tak dobrze układa numer za numerem, zaczynam się martwić, jak długo okoliczności pozwolą mi robić pismo? Wszak wystarczy zmiana władzy w Gdańsku i po pieniądzach na „Migotania”.

W tym roku mam nadmiar szczęścia, bo przyszły pieniądze z dwóch miejsc, z Miasta i Ministerstwa.

Miałem dobry dzień, bo dostałem dobrą wiadomość od Marty (Myszki), a mianowicie, że mam tłumaczkę na mój tomik *Córka*. To motywacja, aby pożyć jeszcze trochę... aby złożyć tom, pewnie ostatni, poetycki, poświęcony Sybilce, i go wydać.

Smutno mi, że nie zobaczyłem się w tym roku z Agatą.

Przyszło sporo książek. Między innymi *Tamara*, Grzegorza Musiała. Gruba, potężna powieść. Bardzo gęsto napisana.

Nie pomyślałbym, że w 2020 roku można nawiązywać bezpośrednio do awangardy XX wieku, a konkretnie do ruchu dada. A jednak. Dostałem książkę Jerzego Jankowskiego i choć nieufnie ją otworzyłem, to mnie wciągnęła *Ra(pa)port s-końca Świata*. To zbiór tekstów nawiązujących do dadaizmu, tyle, że znacznie bardziej dopracowanych i przemyślanych, niż wiersze sprzed stu laty. Gratulacje, Panie Jerzy, tom ryzykowny i udany.

Janiny Barbary Sokołowskiej trzy tomy wierszy lirycznych, bardzo porządnie napisanych, takie tomy muszą się ukazywać, bo bez liryki, prostej zwykłej liryki, nie ma poezji.

Robotnikiem krytyki na pewno jest Piotr Dmochowski. Drugi tom, tematycznie związany ze Zdzisławem Beksińskim, jest nie mniej solidny, jak poprzedni. *Zapiski z przedednia Apokalipsy* na pewno wejdą do kanonu krytyki Beksińskiego. Ale nie jest to zwykła, nudna krytyka, to książka zanurzona w życiu Beksińskiego.

Ość wieloryba, Lesława Nowary, to jeden z ciekawszych zbiorów poezji, jakie mi ostatnio wpadły w ręce, a poezji współczesnej czytam dużo z racji swojego „hobby”, czyli redagowania „Migotań”.

Miłośnikom literatury amerykańskiej koniecznie polecam *Szkice o literaturze amerykańskiej*, Czesława Karkowskiego.

Coraz rzadziej pisze się eseistykę w dobrym, akademickim, stylu, bez intelektualnych wygłupów. Mam na myśli, że mniej tu jest konceptualizmu, a więcej porządnej, dogłębnej lektury. Przyszła też inna książka Karkowskiego, *Iliada współczesna*, to powrót do starożytnego dzieła ze świadomością, co o niej pisano i jak ją czytano.

Z tej samej geografii, czyli okolic Nowego Jorku, przyszedł tom poetycki Anny Frajlich. Anna cierpliwie dobija się do coraz szerszej świadomości społecznej i z coraz większym skutkiem.

W zbiorze *W pośpiechu rzeka płynie*, wiersze są precyzyjnie odmierzone. Ani jednego zbędnego słowa, ani jednego zbędnego ciapania pędzlem metafor. Zazdroszczę Annie jej spokoju, wyważenia, spostrzegania rzeczy ważnych.

Polecić z ostatniej poczty mogę jeszcze jedną książkę Czesława Karkowskiego, *Narodziny Estetyki*. Refleksje o poezji Alexandra Baumgardtena. Smuci mnie, że nie znalazłem dla niej recenzenta, bo na pewno na to zasługuje.

Doszła też, polecana przez Urszulę Benke, książeczka Roberta Gawłowskiego, *Pył*. Wielki powrót Gawłowskiego do klasyki.

Słucham ostatnio niezbyt przeze mnie wyróżnianego Beethovena i jego utworów pomniejszych, takich jak sonaty. Jego wielkie kompozycje, symfonie i koncerty fortepianowe za bardzo mnie wypełniają.

Na półce do odtworzenia leży stara płytką z koncertem skrzypcowym Brucha i skrzypcowy koncert Brahmsa, na skrzypcach, w 1989 roku, nagrała go Takako Nishizaki.

25 września 2020

Gdy byłem młodym człowiekiem, gdy miałem dwadzieścia lat, intrygowali mnie starzy ludzie.

Starość. Ale bardziej jednak starzy ludzie, którzy, takie miałem wrażenie, niosą ze sobą jakieś sekrety. Ich zachowania były dla mnie tajemnicze. Byli jacyś tacy skierowani do siebie. Niby kontaktowi, mili, rozmowni, a jednak bardziej nakierowani do jakiegoś ich tajemniczego wnętrza.

Teraz sam jestem takim starym, nakierowanym do środka, człowiekiem?

Niektóre z tych tajemnic odkryłem. Były nawet zabawne.

Na przykład ciekawiło mnie, dlaczego ciocia Leszka z ulicy Parkowej w Szczecinie, oglądała telewizję odwrócona tyłem do ekranu. Myślałem, że po prostu woli słuchać, niż patrzeć. Sekret był prosty i dość prozaiczny - z fotela, gdzie siedziała, łatwiej jej było patrzeć na odbicie telewizora w szkłe serwantki, która tam stała. Po latach sam niekiedy, siedząc w salonie, oglądałem telewizję w odbiciu szyby bibliotecznej. Może Hania też zastanawia się dlaczego tak dziwnie oglądałem wiadomości telewizyjne.

Były jeszcze inne tajemnicze dla mnie rzeczy w zachowaniach starych ludzi. Na przykład muzyka w domu.

Mój ojciec nie lubił za bardzo słuchać muzyki. Podobnie

mama. Niekiedy łapałem ją na tym, że siedzi sama w pokoju i... nic nie robi. Nie słucha radia, ani telewizora, a tym bardziej jakiejś konkretnej muzyki z płyty lub kasety. Dziwiło mnie to. Miała wtedy ponad siedemdziesiąt lat. Teraz ja mam ponad siedemdziesiąt lat, też jestem takim skupionym na wewnętrzne dźwięki człowiekiem? Chociaż, ja jednak słucham dużo muzyki.

Ale też teraz jednak polubiłem ciszę. Dobrze mi czasem, gdy nie dochodzą do mnie żadne aktywne dźwięki (aktywnym dźwiękiem jest muzyka).

Słyszę wtedy siebie. Tego cichego, ale werbalnego. Tak, myślę słowami (jakkolwiek, to nie jedyny sposób myślenia, są też inne sposoby, dużo bardziej chaotyczne i nieuchwytny). W moim otoczeniu zawsze była muzyka. Kiedyś bardzo głośna (rockowa), z czasem mogła być bardziej cicha. Muzyka nadawała rytm moim myślom. Nadawała rytm moim wierszom. Była niemal tak ważna, jak powietrze. Słuchałem jej w domu, w samochodzie, u znajomych... Była w tle i tak, jak słucha się jej w filharmonii - z przodu źródła dźwięku.

Teraz nie muszę słuchać muzyki. Choć słucham jej dużo, nie jest już dla mnie jak powietrze. Raczej jak zapachy. Wyszukuję te, które lubię i jakimi się otaczam. Mogę jednak siedzieć bez ruchu i bez muzyki. Tak, jak stary człowiek. Takim jestem.

Ale muzyka jest wciąż ważna. To zresztą jeden z niewielu *hałasów*, które lubię i wywołuję.

Lubię też inne hałasy, na przykład dźwięki ogrodowe. Albo stukot kolejki trójmiejskiej, który dociera do mojego ogrodu nocą. Jest tych dźwięków więcej. Muszę je kiedyś skatalogować.

Póki co, jako stary człowiek, nie szukam nowej muzyki, zbieram tę, która jest od kilkuset lat.

Moja żona nie podziela moich gustów. Ona jest zagorzałą miłośniczką Chopina, a też muzyki pianistycznej (na przykład koncertów fortepianowych Beethovena i Mozarta).

A ja, jako stary człowiek, mam swoje dziwne upodobania i konieć. Nie jestem miłośnikiem symfonii, ani właśnie koncertów fortepianowych. Chyba lubię najbardziej to, co nazywa się ogólnie muzyką kameralną.

W kameralistycie szukam tego, co umyka w wielkich formach: uczucia, przemyślenia codziennych, drobnych radości i drobnych smutków.

Ze zdziwieniem spostrzegam, że pośród kompozytorów preferowanych przeze mnie jest mniej tych największych, a więcej tych z *drugiego rzędu* popularności.

1 stycznia 2021

Właśnie trwa Sylwester 2021 roku. Mimo zakazów balangowania na ulicach, na niebie nie było mniej fajerwerków niż zwykle. Dotrwałem do przejścia starego w nowy rok z Hanią.

POCHP bardzo mnie ogranicza, ale nie pamiętam o tym, dopóki nie chodzę i nie podejmuję wysiłku fizycznego. Gdy siedzę przy biurku, przy komputerze, lub siedzę w fotelu i czytam, nie pamiętam o tej przykrej dolegliwości.

Jestem zasadniczo cały czas zajęty. Choć nie bardzo wiem czym.

Zakończyłem prace przy tomiku *Córka*. Jest już w rękach Anny Byrcyn,

która podjęła się przetłumaczenia go na język angielski.

Wszystko wskazuje, że uda się go wydać w tym roku (muszę się tego nauczyć: 2021).

Pracowałem przy tym zbiorze pół roku, oczywiście same wiersze pisałem znacznie dłużej. Ostatecznie jest ich 50, ale dołożę jeszcze dwa (z tomu *Sezon lotów trwa*), *Powrót do Kentucky* (bardzo lubię ten wiersz) i *Pyta mnie Sybilka o Boga*.

Moje złe samopoczucie powodowało, że bardzo chciałem zakończyć ten projekt, że wręcz przyspieszałem pisanie i komponowanie zbioru. Teraz się uspokoiłem. Może się zdarzyć wszystko, ale plan literacki - dla najważniejszej mojej kobiety, Sybilki - wykonałem.

Wiersze spodobały się pani Annie Byrcyn, więc mogę liczyć na dobre tłumaczenie, od serca. Widziałem, na razie, tylko jeden przetłumaczony tekst. Zaskoczyła mnie wierność, bliskość oryginałowi, nie sądziłem, że tak się da... To jednak może wyjaśniać, dlaczego tłumaczka napisała, że ciężko jej idzie ta praca. Nie dziwię się.

Teraz uzmysławiam sobie, jak głęboko moje wiersze zależne są od języka polskiego.

Pomimo powściągliwości ze strony pani Anny Byrcyn, a i też mojej, czuję, że zawiązuje się między nami pewna sympatia.

Ucieszyła mnie informacja, że jej mama wróciła ze szpitala. Tak to teraz już jest, od kiedy nie mam swojej mamy, wszystkie mamy są moimi, wszystkie ogarniam ciepłym uczuciem.

Umiera jeden z moich autorów, Janusz Szeluga. Jest w hospicjum. Miał wydać u mnie jeszcze jedną książkę.

Zmarł Zbigniew Szczepanek, którego dwie wielkie akwarele wiszą u mnie, w tym niesamowity, uduchowiony portret mojego ojca. O Szczepanku zamieszczam wspomnienie (napisane przez Romana Warszawskiego) w numerze 4/2020. Będzie też sporo reprodukcji jego obrazów, głównie zamków.

4 stycznia 2021

Dzwonił dzisiaj Cezary Sikorski. Znamy się tylko z kontaktów przy okazji spraw migotaniowych. Publikowałem wiele jego bardzo kompetentnych tekstów filozoficznych, a właściwie z zakresu krytyki filozofii.

Lecz naprawdę fascynujące były fragmenty jego powieści, opublikowałem dwie części.

A dzisiaj miał ciekawą propozycję dla Gazety. Wiosną zamierza wydać wszystkie wiersze Emily Dickinson, w tłumaczeniu nieznanego mi tłumacza o nazwisku Solarz (teraz już je znam). Mogę ufać - z powodu kompetencji Sikorskiego - że będą to dobre tłumaczenia. Prosił, abym w wiosennym numerze „Migotań”, zrobił obszerną prezentację przedsięwzięcia. Oczywiście, z radością się zgodziłem. Czekam na materiały.

8 stycznia 2021

Wystąpiłem z wnioskami o finansowanie do Gdańskiego Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego, do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz do Instytutu

Książki. Cóż, na pewno mi coś przyznają, a to *na pewno* dotyczy raczej tylko Urzędu Marszałkowskiego, który nie poddał się polityzacji i ideologizacji i przyznaje granty i stypendia, kierując się obiektywnymi przesłankami. Jeśli chodzi o Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, to raczej jest odwrotnie i nie powinienem nadmiernie pozwalać sobie na optymizm.

Chcę nadal wydawać pismo, bo mam świetne teksty i ciekawych autorów.

Zmiana formatu wyszła kwartalnikowi na dobre, pismo się odświeżyło, jest nadal bogate w grafikę i poręczniejsze w czytaniu.

Na stałe od kilku numerów w „Migotaniach” zagościł dział „Jeszcze więcej”. Dzięki temu pierwsze sześćdziesiąt stron funkcjonuje według działów i ustalonego porządku, a wszystkie pozostałe strony są swoistym koszem różnorodnych tekstów, które nie zmieściłyby się w zwykłym numerze.

Nie mogę się zebrać, aby popracować nad dziennikiem. Jest dużo do redakcji, ale też do dopisania, uzupełnienia i korekt rzeczowych. Czuję też, że powinienem napisać o kilku ważnych w moim życiu osobach. Powinienem napisać, na przykład, o Adziku Zawistowskim, ale wciąż umyka mi koncept, jak go definiować.

Czytałem jego tekst o mnie w „Migotania, Przejaśnienia”, czyli w wyborze moich wierszy wydanych w 2002 roku. Tekst jest, poza tym, że miły dla mnie, to bardzo literacki, emocjonalny i rzeczowy, również z dobrym pomysłem kompozycyjnym. Adzik to pisarz, utalentowany pisarz. Jego wieloletnie treningi pisarskie jako dramatopisarza, poety, krytyka, a też autora (chyba trzech) powieści kryminalnych, dały znakomity efekt. Nasze kontakty są teraz rzadkie, a więc moje sądy o nim i jego życiu są pewnie mało kompetentne, ale niech tam...

Uważam, że skrócenie w *urzędzie*, przyniosło mu więcej strat, niż korzyści. To świetny poeta człowiek bez rysu szaleństwa, co powoduje, że jest bardzo odpowiedzialny i dzielnie stara się sprostać potrzebom swoich bliskich. Trzeba to mocno docenić w próbie oceny jego życia i twórczości.

Wiem, że nadal pisze, tworzy dla radia, ale ma sześćdziesiąt pięć lat i to jest ostatni dzwonek na dzieło życia.

Ja przepałem swoją szansę, mimo... *błysku szaleństwa*.

Adzik, czyli Władysław Zawistowski od dawna nie pisze poezji (tak przynajmniej twierdzi), a był jednym z bardziej błyskotliwych poetów lat siedemdziesiątych. A najlepszy i rzeczywiście wybitny tom napisał później. „Sztandar z ortalionu” - to naprawdę coś!

Może Anna Janko ma rację, że w dzisiejszych czasach pisanie poezji to strata czasu, energii i talentu. Ale nawet ona, która to tak wyraźnie przyjęła za pewnik, nie zdołała zabłysnąć tak jasnym światłem, wydając inne, prozatorskie, książki, jak to się działo, gdy wydawała kolejne tomiki poetyckie.

Po chwili zastanowienia: Nie, nie, nie. Poezja nigdy nie jest stratą czasu, Ta dobra, jest najwyższym skondensowaniem duchowości. A taką uprawiał Adzik .

Mam już całą półkę z moją wybraną muzyką. Straszny galimatias.

W domu jest źle. Stosunki pomiędzy Agnieszką i mną są zimne. I pełne złości. To smutne, bo jesteśmy na skraju naszego życia, a tyle negatywnych uczuć zapanowało.

Od czasu, gdy Agnieszka zaczęła zarabiać spore pieniądze, bardzo się zmieniła. Nawet jedzenia nie dzielimy. Dom już nie jest miejscem, które lubimy. Stał się miejscem, które dzielimy. I to w sensie dosłownym, każdy ma swoje strefy. Czasami chce mi się płakać, bo nie powinno tak być, to boli, to wisi nade mną jak zła smuga ciemności.

Gdyby nie obecność przez kilka godzin w moim pokoju Hani, to pewnie bym się już dawno załamała (cokolwiek to oznacza). To pięcioipółletnie dziecko jest moim codziennym wybawieniem od otaczającego mnie smutku.

Nie warto o tym pisać, bo to nędzny aspekt mojego życia, ale robię ten wpis dla zasady dziennikowej.

15 stycznia 2021
Instytut Literacki.

Kosztem utrzymania Instytutu Literatury, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego nie finansuje już zwykłych stypendiów i różnych innych form działalności kulturalnej.

Instytut Literatury dostał lwią część finansów, które Ministerstwo miało dla wszystkich działań literackich. Z tych pieniędzy finansuje swoje pismo o budżecie kilku lub kilkunastu milionów złotych i rozmaite książki. Dzięki temu może rozsyłać za darmo pismo do bibliotek szkolnych i różnych innych instytucji kulturalnych. Choćby nawet szkoły nie były tym zainteresowane.

Po prostu państwowe pieniądze przerzucono do agendy pisowskiej o formule fundacji. Upadło wiele fajnych inicjatyw piśmienniczych w całym kraju, a też odebrano finanse, na przykład Zeszytom Literackim.

Instytut Literacki to typowy twór na wzór przybudówek partyjnych w PRLu, sami swoi! A listkiem figowym są autorzy, którzy są - oczywiście - niczemu winni, ale muszą być akceptowani przez partyjną pisowską gildię literacką.

W PRL-u też było podobnie, w państwowych wydawnictwach nie wydawano wielu dobrych autorów, bo nie podobali się władzy. Całkowitym *przypadkiem* byli pośród nich: Gombrowicz, Miłosz, Mroźek, Konwicki, Barańczak... Zasadniczo nic nie znaczący autorzy!

Kosztem finansowania Instytutu Literatury upadło wiele lokalnych, regionalnych i tematycznych inicjatyw piśmienniczych i wydawniczych w całym kraju. To bardzo trudna sprawa... bo autorzy **muszą** wydawać swoje dzieła, a ich fundusze są ograniczone.

Ja też wydawałem w PRL-u i ani myślałem o ... bojkocie. To były inne czasy. Jednak uważam, że autorzy publikujący w Instytucie, muszą mieć świadomość, że są pupilami Głińskiego i jego ludzi.

Powinienem się zastanowić, czy chcę recenzję z Sendłak? A właściwie, to wiem, tak, ale ani słowa o wydawcy, nawet w stopce.

19 luty 2021

Tomik podobno się tłumaczy w lasach pod Chicago.

Nie piszę, choć jestem cały czas zajęty. Może zresztą piszę, ale głównie w myślach i jakoś mi niespiesznie bić się ze słowem pisanym.

Nie wiem nic o decyzji finansowania go, ale jestem jakoś spokojny, że

Urząd Marszałkowski raczej mnie nie zawiedzie. Z perspektywy kilku ostatnich lat muszę przyznać, że Departament Kultury pod kierownictwem W. Zawistowskiego spełnia skutecznie swoje zadania związane z mecenatem kultury, a przynajmniej literatury, bo sam tego doświadczam.

Jestem jeszcze spokojniejszy o „Migotania”, bo są na liście ministerialnej i to na trzy lata! Mój klient antykwaryczny zadziałał bardzo skutecznie.

Mało we mnie radości, choć codziennie jestem obdarowywany promiennymi uczuciami młodej Hani.

Czuję się z nią szczęśliwy, choć chyba niespełniony. Moje skromne i niewidoczne życie jest dużo bardziej skomplikowane, niż bym chciał. Jestem bez energii i mam ograniczoną ruchliwość.

Hania mnie ostatnio zapytała, czy *będziesz jeszcze żył na moje urodzinki?* Odpowiedziałem, że tak, ale potem zadała jeszcze pytania, czy będę jeszcze żył, gdy pójdzie do pierwszej klasy, wtedy zawahałem się i odpowiedziałem, że będę się starał.

Ale jak się starać? Nie ma ucieczki przed losem, wiedziałem o tym, gdy jej nieco kłamałem, kiedy pytała o kolejne etapy jej życia i czy będę w nich obecny. Niespodziewanie sama mi pomogła wybrnąć z sytuacji i powiedziała: „No, to wtedy pójdę tam, gdzie jest prababcia, i przyniosę ci nowy rysunek.”

Widzisz, Mario, że wcale nie mam łatwych relacji z Hanią! Pomyślałem jeszcze, o upss, kłopot, bo planowałem spalenie moich doczesności i raczej unikania grobu, trumny... ale może dla Hani trzeba będzie to zmienić.

W ten sposób wreszcie dotarł do mnie jedyny przemawiający sens grobów: są dla żyjących.

3 marca 2021, Moi umarli

Zmarł Jerzy Limon, w szpitalu, zakażony covidem.

Wiedziałem, że jest w szpitalu, ale miałem nadzieję, że wyjdzie z tego, bo młody i silny człowiek, bo pod opieką brata, wybitnego lekarza i profesora gdańskiej akademii medycznej. Jeszcze miał tyle do napisania i zrobienia.

Jurek był młodszy ode mnie o dziesięć dni, urodziliśmy się w 1950 roku w maju, on 24. a ja 14. Poznałem go w latach jeszcze osiemdziesiątych zeszłego wieku. Mieszkał wtedy, jako młody pracownik naukowy, w budynku akademika na Władysława Hibnera. Mieli z Justyną dwa pokoje z kuchnią.



Piękna Justyna Limon, 2018 rok

Jak i kiedy po raz pierwszy go spotkałem, nie pamiętam. Ale połączyły nas na początku skłonności ludyczne i towarzyskie.

Oczywiście mieliśmy wobec siebie dużo szacunku za swoje literackie pasje i zainteresowania. Powiem szczerze, że w mniejszym stopniu mnie interesowały jego naukowe pasje, ale to tylko dlatego, że jego obsza-

ry zainteresowań były mi mało znane (wtedy zajmował się maskami i teatrem elżbietańskim).

Spotykaliśmy się często, albo u mnie na Dywizjonu, albo u niego na Hibnera, albo też na przyjęciach u innych osób. Jurek lubił czerwone wino, ja też. Korzystaliśmy z tego upodobania bez szczególnych ograniczeń. Było spotkanie, była flaszką czerwonego wina, albo i gorzalka (wtedy piło się żołądkową gorzką, ewentualnie żytnią).

W tamtym okresie mojego życia, a też Jurka, dużo balowaliśmy. Nie miał wtedy jeszcze swojego mieszkania ani domu.

Mieszkał w Domu Akademickim razem ze swoją drugą żoną, cudowną Justyną. W dwóch pokojach, które zajmowali, bywało po kilkadziesiąt osób. Były swawole, tańce i bardzo poważne rozmowy, i plotki, i różne wspólne plany. I nieustannie przybywało nowych, interesujących osób.

Jurek nie lubił tańczyć, ale pamiętam go też pływającego. Szaloną tancerką była natomiast jego piękna żona. Justyna. Cie-
pła. Towarzyska. Cierpliwa. Byli bardzo kochającym się małżeństwem. Niemal wzorowym. Jeśli spierali się, to rzadko kto o tym wiedział i widział. Zresztą, co to były za spory zakochanych gorąco w sobie osób!



Jerzy Limon

Pomimo tych hulaszczych skłonności Jurek był tytanicznie pracowity. Nie zaniedbywał swoich naukowych obowiązków i pasji. Całe życie pisał książki, a w końcu oddał się chyba największej swojej namiętności: budowie teatru szekspirowskiego w Gdańsku.

Pomimo tych hulaszczych skłonności Jurek był tytanicznie pracowity. Nie zaniedbywał swoich naukowych obowiązków i pasji. Całe życie pisał książki, a w końcu oddał się chyba największej swojej namiętności: budowie teatru szekspirowskiego w Gdańsku.

I osiągnął cel - dzisiaj ten teatr to jedna z bardziej atrakcyjnych budowli w Gdańsku, a artystyczna, dramatyczna i kulturotwórcza działalność teatru jest imponująca.

W dniu jego śmierci, gdy ogarnął mnie smutek, myślę też, czy bez niego Teatr będzie ten sam, z tym samym duchem, energią i wizjonerstwem?

Na pewno nie.

Jurek był dobrym przyjacielem. Doświadczyłem tego na wiele sposobów. Na przykład, gdy - to było jeszcze w stanie wojennym - Jurek był w Stanach Zjednoczonych i wiedział, że cienko przędę, a tu nagle dostaję paczkę z owocami i z... czerwonym winem, oraz z kopertę z zielonym wkładem, chyba to było 100 dolarów. Majątek na codzienne życie w tamtych czasach.

Pamiętam też i bardzo mnie to wzruszyło, że gdy umierał

Andrzej Żurowski, niezależnie od sporów, jakie toczyli (a toczyli), Jurek nie zawahał się odwiedzać Andrzeja w szpitalu.

Lubiłem bardzo Jurka, a też ich oboje razem z Justyną. Dzisiaj nie jestem pewny, czym zasłużyłem na ich sympatię i ciepło.

Po kilku latach, nasze spotkania były coraz rzadsze, a w końcu nawet całkowicie ustały, głównie z mojego powodu - w latach dziewięćdziesiątych i później stawałem się coraz bardziej samotnikiem i rezygnowałem ze spotkań publicznych i towarzyskich.

11 marca 2021

Do Marka Wawrzekwicz.

„Panie Marku,

teraz to ja będę miał poczucie winy, że sprawiłem Panu kłopot.

Mam świadomość jak działa obecna władza, a Jego Nadworna Wysokość Gliński szczególnie, bo obserwuję jego wyrafinowane decyzje i działania.

Wydaję już dwiętnaście lat pismo „Migotania”, ale prawie nigdy nie dostałem dofinansowania z Ministerstwa w zwykłym trybie. Zwykle, jeśli otrzymywałem coś, to zawsze po odwołaniach, akcjach publicznych, wstawianiach się i listach protestacyjnych.

Nie ukrywam, że były miłe momenty, na przykład gdy po moim rozpaczliwym liście zadzwonił do mnie minister Zdrojewski, właściwie z przeprosinami za to, że dostałem odmowę. Po tym telefonie otrzymałem wsparcie ministerialne w trybie specjalnym. Raz tylko spotkałem się z normalnością, gdy już na odejściu Małgorzata Omilanowska przyznała mi finansowanie na trzy lata! Czy ma Pan do niej maila? Byłbym wdzięczny, gdyby mi Pan go udostępnił. Bo chciałbym jej podziękować za te trzy lata spokoju w wydawaniu pisma.

Pis-minister nie był miły.

Panie Marku, o ministrach kultury zazwyczaj nie mówi się najlepiej (to niewdzięczna funkcja), ale o niektórych lepiej, o niektórych gorzej. Gliński przejdzie do historii nawet nie jako zdecydowanie zły minister, bo to oczywiste, ale jako pierwszy po zmianie ustroju urzędas o pełnych cechach politruka, sługusa partyjnego i władzy, a przy tym osoba niezwykle niemiła, aro-

gancka, a właściwie chamowata (mam na myśli jego skłonność do wykorzystywania swojej władzy do odgryzania się osobistym przeciwnikom).

Wspomniał Pan, że odmowę wsparcia dostał Bohdan Wrocławski. To ironia losu, bo Bohdan - pamiętam – bardzo wspierał PIS i przejście przez nich władzy. Myślę, że musi być mu podwójnie przykro.

Cieszę się, że jest już Pan po szczepieniu, ja, niestety, dopiero dostanę pierwszą dawkę dwudziestego czwartego marca. W moim domu jestem jedyną czarną owcą – żona dostała szczepionkę, bo jest lekarzem, jej córka, bo jest nauczycielką, a jej dzieci są ozdowieńcami.

Czekam na to szczepienie jak na zbawienie, bo jestem już zmęczony baniem się. A mam powody do lęku, jestem obciążony zdrowotnie, a więc gdyby mnie trafiło, to po mnie.

Proszę pilnować się, Panie Marku.”

„Drogi Panie Zbyszku!

Zdarzają się takie przypadki: ktoś może być inteligentny, a jednocześnie zwykłym chamem. Moi koledzy profesorowie twierdzą, że Gliński ma poważny dorobek naukowy, a jednocześnie cechuje się mentalnością ekonoma z małego folwarku.

Co za traf - proszę sobie wyobrazić, że Zdrojewski też kiedyś do mnie zadzwonił, osobiście, bez użycia sekretarki! Kiedy zmienia się minister kultury oddycham z ulgą: - gorzej być nie może. A nam się udaje!

Od lat przyjaźnię się z Józkiem Tejchmą. Jest już bardzo starym człowiekiem, a jeszcze rok temu przychodził na imprezy do mnie, do Domu Literatury, do Klubu Księgarza, łąził po wystawach, na koncerty, do teatrów - dziwowisko, były minister kultury, który kulturą się interesuje!

Ryba psuje się od głowy - pogłowie ministerialne z nowego rozdania to ludzie nieżyczliwi, podejrzewający wszystkich o szwindle i próby okradania państwa - a to jest zastrzeżone tylko dla ludzi władzy.

Jestem po drugim szczepieniu i obyło się bez żadnych następstw. Czego i Panu serdecznie życzę. MW”

22 marca 2021. Znowu śmierć.

Adam Zagajewski zawsze mnie irytował, zawsze wynosił się ponad innych. Gdy był redaktorem działu poezji w „Studencie” (chyba w 1975 r.) odmówił druku mojego wiersza (dobrego wiersza, *Okazja do pytania*, nagrodił go Zbigniew Herbert), a przecież dwutygodnik „Student” był dla studentów, a nie autorów choćby „Twórczości”. Krytykował młodszych kolegów, pamiętam, że między innymi Antka Pawlaka, że niby *epigon*, gdy wiersze Antka wtedy były lepsze od tekstów Zagajewskiego.

Szybko doszedł do wniosku, że jest najważniejszym kandydatem do Nagrody Nobla w Dziedzinie Literatury, a jeszcze żył Różewicz.

To, co ważne i odżywcze w jego, bez wątpienia, znaczącym wkładzie do współczesnej poezji, a też myśli o niej, powstało na początku jego twórczej drogi.

Nowa Fala była potrzebna, wręcz konieczna (bo aktualnie do przewodzenia duchowości polskiej w poezji akurat rwała się drętwą i odjechana od rzeczywistości Orientacja, oczywiście poza wyjątkami, na przykład Gąsiorowskim, Waśkiewiczem, czy zmarłym za wcześnie Żernickim i Stachurą). Niestety, Nowa Fala stała się szybko dogmatyczna i sam Zagajewski porzucił rychło jej szlaki, przechodząc na pozycję nudnego mędrca. I rzeczywiście, to co pisał, było na wysokim poziomie intelektualnym, sam zresztą, niejako, byłem fundatorem jednej z jego książek (była ogłoszona zbiórka na jej wydanie), ale nie znajdowałem tam tej gorącej pasji, jaka była w jego wcześniejszych esejach.

Ożywcze były wiersze o Lwowie i jego z nim związkach. Ostatni jego tekst, który czytałem z zainteresowaniem, to było wspomnienie o Julianie Kornhauserze. Było o prawdziwym życiu i prawdziwym człowieku, a to zawsze jest interesujące.

Szkoda Poety. Nie udało mi się wyczytać, jaka była przyczyna śmierci. Ale jedno jest pewne, za wcześnie! Mógł jeszcze spo-

ro napisać, a przy okazji mnie przekonać do swojego pisarstwa, a może w końcu doczekać się upragnionego Nobla.

27 maj 2021

„Marysiu Droga, to smutne, co piszesz o „Twórczości”. Lecz czy mnie to zaskakuje? Nie, bo Gliński konsekwentnie upartyjnia wszystkie, jakie tylko może, struktury i instytucje kultury, mając za nic ich tradycje, ich profile kulturowe, powiązania historyczne, etc.

To największy szkodnik kultury być może od lat pięćdziesiątych (stalinowskich), nawet Gomułka bardziej szanował utrwalone w kulturze polskiej tradycje i instytucje (bo mu imponowały?).

Gliński chce być Królem kultury polskiej i to absolutnym. Nie w pełni mu się to udaje, bo przykład „Twórczości” pokazuje, że jest pozornie skuteczny w niszczeniu trwałych i niezależnych, choć wcale nie politycznych, instytucji.

Można powiedzieć, że mamy szczęście, żyjąc w czasach internetowych i społecznościowych mediów. Nie uda mu się zamknąć ust wszystkim.

Szkoda jednak, że środowiska, na przykład literackie, dają się prowadzić Glińskiemu w jego akcjach związanych z pismem literackim (nie chcę nawet użyć jego nazwy, bo jest tak mi wstrętne) i w jego akcjach kanalizujących wydawanie książek.

Jego polityka jest demoralizująca. Czy zdajesz sobie sprawę, jak wielu autorów wydaje już książki pod auspicjami akcji Glińskiego? Wielu!

Wiesz, jak wielu autorów pisze w jego piśmie i pobiera dzięki temu honoraria? Wielu.

W sumie to stary sprawdzony mechanizm peerelowski (też jemu podlegałem) - drukuj u nas, będziesz znany i na dodatek dostaniesz kasę. To, że wtedy Barańczak, Hłasko, Gombrowicz, cała plejada pisarzy londyńskich, spod znaku kultury paryskiej, młodych poetów, takich jak Polkowski, Pawlak, nie mogli istnieć w otwartym obiegu kultury nie zniechęcał do współpracy z oficjalną kulturą PRL-u.

Pewnie tak musiało być. Bo kultura i literatura potrzebują

oddechu odbiorcy, aby się nie zadławić. Ale dzisiaj mamy inne czasy. Niepublikowanie u Glińskiego nie zamyka ust pisarzom, po prostu nie mają honorariów. Ale mogą istnieć, publikować i tworzyć niezaburzony politycznie i partyjnie porządek kultury.

Możesz mnie zapytać, dlaczego korzystam z dofinansowania „Migotań”?

Otóż, otrzymuję te pieniądze z Ministerstwa, a nie od Glińskiego i jego popleczników. To struktury państwowe przyznają mi finansowanie, a jeszcze - póki co - nie podważam legalności polskich władz i rządów.

To jest ta cienka linia, czerwona granica: korzystanie z funduszy samorządowych, państwowych jest zdrowe i właściwe, ale z upartyjnionych instytucji, nie.

Ale i tak uwierają mnie te pieniądze z Ministerstwa. Wyznaczyłem sobie granicę tolerancji: dopóki nic i nikt mi nie narzuca, co mam publikować w „Migotaniach”, a też sam nie zacznę stosować autocenzury, dopóty będę korzystał z grantów ministerialnych. Choć, jak wiesz, to bardzo kapryśne finansowanie. Już było że dwa lata nie otrzymywałem ministerialnego dofinansowania, ale wtedy otrzymywać zacząłem przekazy pieniężne od czytelników, redaktorów, ludzi dobrej woli i wolności. I gazeta przetrwała. **Mogłem wtedy już też liczyć na Urząd Marszałkowski w Gdańsku.**

Pospieszili mi z pomocą w tych krytycznych momentach, między innymi: Cezary Sikorski, Józef Bachórz, Zbigniew Kresowaty, Maria Jentys. Autorzy z Ameryki, Anna Frajlich, młodzi poeci, profesorzy uniwersyteccy i kilkadziesiąt innych osób z różnych rejonów działalności.

Dzięki ich życzliwości gazeta przetrwała.

Jestem bardzo szczęśliwy, że nie uzależniłem się od kogokolwiek. Listy do Ciebie, od Janusza Drzewuckiego unaocznily mi, jakie mam szczęście, że mogę samotnie, choć z trudami, redagować „Migotania”.

Całuję Cię serdecznie,

PS. Przechodziłem i nadal przechodzę dość ciężkie zapalenie płuc. Ale powoli wyczołguję się z niego.”

7 października 2021

dopiąłem tom wierszy: *Córka* - *Daughter*, brzmi krótko, ale to ważne dla mnie nadzwyczajnie, a na dodatek ukaże się w wersji dwujęzycznej.

Wiersze przetłumaczyła Anna Gąsienica Byrcyn. Wcale nie było łatwo zrobić ten przekład. Niektóre tłumaczenia wierszy mnie nie zachwycają, ale, być może, wynika to z mojej ignorancji - moja znajomość angielskiego, choć dość biegła, to jednak amatorska.

Jestem jednak niepomrotnie wdzięczny Annie Gąsienicy Byrcyn, to nie była łatwa praca, a przecież wykonana bez honorarium.



Długo się wahałem czy pozostawić ten roboczy tytuł, *Córka*... ale prawda o tym zbiorze jest taka, że jest to tom o córce, mojej córce, a może też o wszystkich córkach na świecie. A więc zdecydowałem nie kombinować z bardziej literackim tytułem.

Obserwuję z pewnym zaskoczeniem pobudzenie poetyckie u dawnych moich przyjaciół.

Antek Pawlak w zeszłym roku wydał nowy tom wierszy, ale bardziej jeszcze zaskakujące jest, że wydała zbiór poetycki Anka Czekanowicz (jeszcze go nie widziałem). A tak się zapierała, że już nie pisze. I że już nie będzie publikować. Cóż, może emerytura oraz oderwanie się od małej polityki (przez lata była ważną urzędniczką w władzach gdańskich) pozwoliło jej wrócić to ryt-mów poetyckich. Cieszę się.

Chwilę wcześniej wydałem Romkowi Warszawskiemu książkę *Żeby miało ręce i nogi*.

To stary, bo sprzed chyba dwudziestu lat, utwór prozatorski, pisany techniką reportażu. Bardzo udana książeczka. Romek

podkreśla jej aktualność, bo wciąż w Polsce trwa pewna mentalność rodem z Redlińskiego, ciemnota zabobon i uprzedzenia. Ja raczej doceniam jej walory literackie, bo dobrze napisana.

14 października 2021

Doszła do mnie książka Anki Czekanowicz *Szelest sukienki*.

Niestety! To nie są nowe wiersze, to jest wybór z całej jej twórczości. Przejrzałem ją dokładnie ze wzruszeniem, bo wiele tych wierszy czytałem jako pierwszy czytelnik (mam na uwadze teksty, które powstawały, kiedy pisaliśmy wspólnie *Pełni Róż Oblędu*, zresztą w tej fazie tworzenia książka miała zupełnie inny tytuł, a mianowicie: *Chwil spełnianie w dekadencji*).

Anka to bardzo dobra poetka. Jej poezjowanie przetrwało próbę czasu. Dzisiaj się czyta ją tak, jakby te wiersze napisane były wczoraj.

Muszę raz jeszcze powtórzyć: szkoda, że zawodowa praca - najpierw w Operze Bałtyckiej, a potem w Urzędzie Miejskim - spowodowała, że przestała pisać. Zresztą, bo ja wiem? Może tylko tyle wierszy było zapisane w jej losie, może niezależnie, co by robiła w życiu, i tak nie napisałaby więcej.

Znam to i wiem o wielu poetach, którzy z niewiadomych przyczyn przestali pisać. Może poetycki ogień wypala się z czasem, a poeci, tacy jak: Różewicz, Gąsiorowski, Miłosz to wyjątki od wielkiego ogółu. Z mojego kręgu nie mogę wybaczyć Adzikowi Zawistowskiemu, że przestał pisać wiersze. Bo pisał, (gdy jeszcze pisał) genialnie (do dzisiaj *Sztandar z ortalionu* robi ogromne wrażenie). Posypuję jednak i sobie głowę popiołem, też z rzadka tworzę nowe teksty.

Wracając do książki *Szelest sukienki*. Jest w białej, wiotkiej okładce. Na niby czerpanym papierze, który natychmiast zbiera brud. Po dwóch czytaniach robi się szmatowata - niby elegancja, ale na tak wielkiej oszczędności materiałowej, że aż szkoda... I żal, że to podsumowanie twórczości Anki jest na tak słabym poziomie wydawniczym. Ale do składu w środku nie ma się co cze-
piał, jest dobrze.

26 października 2021

Dzień się dobrze kończy. Miłe słowa w mailu od Aliny Biernackiej i Joanny Sendłak, a tym bardziej, że obie autorki bardzo cenię, a poezję Aliny Biernackiej szczególnie.

„Drogi Panie Zbyszku,

Obydwie jesteście poruszone Pana tomem poetyckim poświęconym córce. Wiersze są osobiste, porywające i znakomite. Przytaczam słowa mamy:

„Pragnę Panu podziękować za wspaniały tom poezji – tak głęboki, mówiący o Pana miłości do córki, opisujący pisanie. Jednym tchem przeczytałam wiersze i jestem wzruszona ich prawdą. Od czasu Herberta nie miałam do czynienia z tak celną poezją”.

Całkowicie to współbrzmi z moimi wrażeniami.

Serdecznie pozdrawiam,

Joanna (i Alina)”

27. X. 2021

Wiadomość od Agaty:

„Kochany, bardzo dziękuję za egzemplarz numer dwa Twojej nowej książki i za dedykację...Jeszcze nie przeczytałam całej a już się wzruszyłam! Książka pięknie wydana, no i dobra redakcja / sie!/. Dziś tylko tyle, za kilka dni napiszę więcej... Gratuluję i całuję serdecznie. Agata starsza siostra”.

„Agato,

to moja najpewniej ostatnia książka poetycka (będzie jeszcze mój dziennik, ale kiedy, nie wiem). Ale chyba udana, bo dostaję miłe sygnały czytelnicze.

Lecz książka w istocie powstała, aby moja córka choć trochę zorientowała się jak i o czym pisze jej ojciec. Niestety, jej ograniczenie językowe jest nawet większe niż moje, bo moje jednak pozwala mi też krytycznie popatrzeć na pracę tłumaczki.

Z tłumaczenia jestem chwilami bardzo zadowolony, ale chwilami nie. Wiele niuansów stylistycznych i językowych zginęło, ale i tak jestem szczęśliwy, że Anna Byrcyn podjęła się tego zadania, to jednak sporo roboty, a ja chyba nie piszę łatwo do przekładania na angielski.

Mam wrażenie, że Anna Byrcyn dobrze odczytała ten zbiór, że jest bardzo wrażliwa poetycko. Bardzo jestem jej wdzięczny.

Całuję, brat”

Czesław (Sobkowiak) zaskoczył mnie długą korespondencją o *Córce*.

Napisał to poeta i czuć w tej korespondencji jego szczególną, poetycką wrażliwość. Ale - co ważne dla mnie - widać, że przeczytał cały tom, chyba jednym tchem. Dziękuję, Czesławie, za tak spontaniczną lekturę.

„Zbyszk, dziękuję Ci, że przysłałeś mi ten zbiór dwujęzyczny *Córka*, tytułowa córka jest w (...) centrum książki do której uczuciowo, jako ojciec i duchowo, jako człowiek, wielokrotnie się odnosisz, tu Twoja prywatność, pocieszenie życia, odczuwanie losu zawsze będącego z przepaską, której węzły są mocno usadowione z tyłu głowy, jak piszesz, szansa wypowiedzi różnych kwestii życiowych, w taki właśnie osobisty i zupełnie niebanalny sposób, z takiej zwyczajności życia wyprowadziłeś myślenie o życiu, o jego przyszłości o tej ścieżce życia, która idzie i staje albo okazuje się bardzo szeroka, wręcz autostradą, więc rozległość drogi zależy od patrzenia i coś ją musi wytyczać, np. troska i miłość do córki, dziecka (w) każdym miejscu wszechświat(a).

Ten styl poetycki Twój wyznacza epicka narracja, to jest, każda linijka, wsparta w biograficznych sytuacjach, obserwacjach, chyba wszystko tu jest zaobserwowane, np. owi „tutejsi rewolucjoniści”, którym upał „wymiar tego kraju” „rozpuszcza mózgi”, bardzo mnie rozbawiło to sformułowanie, ale nie tylko, chodzi, tak myślę o tę fizjologię nawet oczywistą, komu cokolwiek chce się w wielkim upale zrobić, wiem też coś o tym, ale chyba nie tylko tu o to chodzi, ale o ironię, bo zmiana istnienia i kształtu świata i relacji społecznych w trybie rewolucyjnym jest dość iluzoryczna w pewnym momencie, a cena ogromna, przemoc ogromna, śmierć ludzi, w każdym razie.

Mówisz o tym, co obserwujesz w sposób mający na uwadze zwyczajność. To mi się tu podoba, zwyczajność, uczuć, myśli nie ma potrzeby manifestować patetycznymi zwrotami i Ty tego nie robisz.

Ważne są wiersze na początku zbioru, sam wiesz, a ja Ci piszę, w których w jakimś stanie kontemplacji mają miejsce przechodzenia, przekazy przechodzenia z jednoznaczności do niejednoznaczności, coś jest i coś zarazem już nie jest, przestaje być „to drgające jeszcze powietrze, to tylko twoje przywidzenie”, od siebie do rzeczy, i z powrotem, z prawej na lewą stronę, od znikomości do wielości, wszystko wydaje się uprawnione, możliwe, daje szansę poznania pełnego wymiaru, dogłębniejszego, i prawdziwszego, ja się z tym zgadzam, wiele aspektów, punktów widzenia.

Tak czytam, umiesz porcjować obraz sytuacji, jak np. w wierszu *Stara kobieta mnie pyta* i Tu pozwolę sobie na drobny cytat z tego dużego dobrego wiersza: „jej ręce zatrzymują się na chwilę albo na dwie chwile, albo na dwa przystanki dłoni” i dalej: „jesień przyniosła jej do ogrodu dużo pourywanych zdań, tłustych pewnych siebie nie całkiem zrozumiałych wyrazów, ale też pięknie złożonych sentencji”.

Właśnie o to chodzi, mogło być tylko zdawkowe narysowanie tej kobiety, a jest coś więcej, zjawisko, jej świat, otaczająca ją dziwność, coś ukrytego wychodzi na jaw, świat poetycki osiąga swój kształt – „słowa trzeba rozsupływać”, w jakiś sposób dawać im życie.

Ty to robisz, czynisz i nie gubisz zwyczajności w tym zadaniu, to jest ważne, zwyczajność, a jest w poezji dzisiaj tracona, gdy ktoś się sili i nie umie tego silenia się wyzbyć, no, właśnie poeta musi się czegoś wyzbyć, iść po ziemi, by poprzez trud do czegoś dojść.

Każdy wiersz bierzesz z autentycznego doświadczenia życia. I nie omijasz doznań trudnych, skomplikowanych, lecz rozsupłujesz je, nabywasz przez to większą o nich wiedzę, nie unikasz bólu, tęsknoty – „Gdańsk jest bliżej niż Nowy Jork”

Pokazują te wiersze, pisane na emigracji, że to były lata nie sielskie, najogólniej ujmując, ale umiałeś w tym wszystkim być również poetą, zachować w sobie tę nutę, tę strefę, w której pisanie wiersza jest nadal możliwe, a zwłaszcza rzecz w tym, że możliwe było utrzymanie równowagi myślowej i emocjonalnej.

UWAZNIE TO PONIŻEJ PRZECZYTAJ CO TYTUŁY gdzie małe, gdzie duże litery, A CO CYTATY

Ważne jest dla mnie, że nie omijałeś wydarzeń (*dwa ognie*), ten

Majdan był, pamiętam relacje i obrazy z Kijowa, śmierci i prowokacje, więc ten Majdan przyjmowaliśmy jako szansę obudzenia się narodów na Wschodzie, a teraz znowu niepokój, czy nie czeka nas jeszcze cięższa próba swojej mężności (...). Jakże słusznie zadajesz pytanie, czynię to również niejednokrotnie który strzela, kłamie itd., w imię czego? *Pytania do Nieprzyjaciół Moskali*, po zdobyciu Krymu w 2014 roku), Czy wielki naród to ten...?

Mocne to wiersze. Potrzebne. Bo nie można mieć oczu i uszu zamkniętych na ten czas. Teraz Białoruś. Prowokacje.

Dużo już w tej książce nuty nieuniknionej, niemal podsumowującej (*Odgarniam zaspę*), z tymi „zaspami” trzeba się uporać, mam to samo, co w takim czasie mówić, *Ręce marzną*, o tym wszystkim wiem, także o bólu, (*Przestaję widzieć wyraźnie*).

Rodzą się pytania o życie, o publiczność, o czerń, o córkę, o ojca, o wagę słów, tak jest, nie inaczej.

Dochodzisz mroźnymi, zimowymi krokami w stronę Krępy Krajeńskiej, to też jest potrzebne, znowu być w tym pierwszym krajobrazie, w tym pierwszym szczekaniu psów, zapachu drzew, w śniegu. Zobaczyć.

Całą Twoją książkę przejść mi przyszło, to niezła dla mnie sprawa.

Trzymaj się. Pozdrawiam
Czesław”

„Czesławie,

dziękuję za wiadomość a w niej tak obszerne podzielenie się wrażeniami z lektury mojej *Córki*.

Otworzyłem maila tuż po wstaniu, a więc mam dzisiaj dobry, bardzo dobry dzień, (choć noc miałem koszmarną), bo to naprawdę dobra chwila dla poety, gdy od innego poety otrzymuje spontaniczne i tak głęboko i szeroko ujęte przemyślenia o jego poezji.

Książka *Córka* to dla mnie bardzo ważny tom, bo w pewnym sensie jest pożegnalnym. Czuję, że już wiele wierszy nie napiszę, a z moją córką, która nie zna języka polskiego, to ostatnia okazja, aby podsumować poetycko dzieje naszych relacji.

To podsumowanie jest nieco jednostronne, (choć poprzez parafrazy i cytaty włączyłem ją w narracje tego tomu), bo żyjemy

z dala od siebie, ale przede wszystkim dlatego, że wbrew wszystkim pozorom, to jest jednak moje osobiste zwierzenie, mój własny tekst literacki, a jeśli literacki, to wykreowany bardziej w umyśle niż odbity od realnego życia, choć na nim oparte.

Uzmysłowileś mi, że już nie zmienię stylu swojej poezji, już na zawsze będzie ona tak właśnie osobista, jak opisujesz. I zawsze będzie rozdarta pomiędzy **osobistą** kreacją, a **osobistym** przeżyciem.

To, Czesławie, wcale nie łatwo pisać tak *osobiste* wiersze, tym bardziej, że wcale nie chcę rezygnować z literackości, z przesłań uniwersalnych - filozoficznych i światopoglądowych.

Twój list pociesza mnie, że w jakimś stopniu mi się to udało. Cieszę się, że zauważalne są w zbiorze wątki ogólnospołeczne i historyczne, bo to też powinno nie ginąć z pola obserwacyjnego poety.

W pewnym sensie - co mnie nieco zaskakuje - pozostałem wierny swojemu credo z wczesnego wiersza *Może sen* (chyba z 1976 roku, z tomu *Mam do powiedzenia*), w którym bardzo zdecydowanie opowiedziałem się w literaturze, poezji po stronie życia (w opozycji do literatury). Gdy pisałem poniższe słowa nie wiedziałem, że aż tak pozostanę im wierny:

jeśli umierać ma człowiek
a rodzić w jego miejsce poeta
to nie chcę pisać wierszy

Najserdeczniej pozdrawiam, Zbyszek J."

Sny. Śniło mi się dzisiaj, że umieram.

Koszmar trwał dwie godziny, budziłem się, sen wracał. To powtarzający się, choć w różnych wariacjach sen o tym, jak się duszę. Być może faktycznie się duszę, a mózg dokładał tylko co chwilę nową fabułę.

W końcu wstałem, już nie próbując wrócić do jakiegoś milszego snu. Od dwóch, albo i trzech tygodni nie daję sobie rady z moją fizycznością.

4. 10.2022

A to od Marii J. na temat *Córki*

„Drogi Zbyszk,

w ślad za esemesem, którym podziękowałam Ci kilka dni temu za „Córkę” po dość szybkiej lekturze tomiku, piszę ten list, aby powiedzieć Ci o nim więcej - po przeczytaniu całości, a raczej w trakcie wciąż trwającego czytania... Bo codziennie po trochu czytam Twoją „Córkę” - po kolei, z nawrotami, z zatrzymaniami. Nie da się inaczej.

To bardzo nietypowe wiersze, to całe poetyckie opowieści, a właściwie medytacje, liryczne medytacje, konstruowane tak, że czytający musi zatrzymywać się i pochylać nad opisywanymi faktami czy obrazami - na dłużej, z namysłem, z zadumą. To wiersze o przemijaniu, bolesne, mądre! O życiu jako drodze, którą człowiek przebywa - to cudowne! - z drugim człowiekiem, w tym przypadku ojciec z córką - ojciec idący krok w krok za córką, jak w przejmującym i przepięknym Penny line, jak w Do mojej córki chodzącej... Nie mogę przestać wracać do tego pierwszego wiersza, do Penny line: niby prosty, a pełen tajemnic, wielka metafora życia ludzkiego, losu człowieka! Nie mniej piękny jest krótki liryk Jabłko - dojrzały owoc całożyciowej mądrości, prosty, a przecież subtelnie wyrafinowany.

Bardzo poruszają mnie wiersze z lat ostatnich, poświęcone dramatycznym problemom współczesnego świata - Jesteśmy mężni, Dwa ognie (efekt zderzenia dwóch rzeczywistości piorunujący), Pytania do Nieprzyjaciół Moskali... Gdy czytam wiersz bez tytułu *** („Widziałem dzisiaj spadającą gwiazdę...”), czuję dławienie w gardle, tyle jest w nim bólu i piękna - tak, również piękna! - przemijania.

Zbyszk, nie bardzo znam się na poezji, za mało jestem czytana, lecz zdaje mi się, że czuję piękno wierszy zrodzonych z prawdziwej miłości, z bólu, z tęsknoty i cierpienia... Twoje wiersze oddziałują na mnie mocno, bo powstały z miłości do córki. Głębokiej miłości, podszytej bólem tęsknoty. Mało napisano o miłości ojcowskiej, choć pełno jest wierszy o matce i macierzyństwie. Znam jedną znakomitą powieść o ojcostwie - Nagi sad Myśliwskiego, ale wierszy na ten ważny temat nie pamiętam, choć pewnie jest ich trochę. W Twojej Córce znajduję coś dla mnie bardzo interesującego, fascynującego, odkrywczego. Cennego nie tylko artystycznie, ale i poznawczo. Dziękuję Ci za to wszystko. Bądź zdrow, mój Drogi, dbaj o siebie, bo martwię się o Ciebie.

Maria.”

7 listopada 2021

Dostałem e-list od Ani Frajlich:

„Już prawie dwa tygodnie po powrocie z Hiszpanii.
Właśnie wyjęłam pocztę ze skrzynki, a tam Twoja książka.
Zaczęłam czytać i smutno mi, smutno mi.
Piękne, przepiękne są wiersze, ale smutno mi.
Teraz muszę iść do kuchni i przygotować obiad.
Gratuluję tej pięknej książki,

Ania”

Może to mało stosowny komentarz: ciekawe, co miała Ania dzisiaj na obiad? Ale trochę się zmartwiłem, bo wcale nie chcę budzić w ludziach smutku, choć budzić do refleksji, tak.

Miałem dzisiaj gwałtowną rozmowę z Agnieszką. Przykre.
Czuję się dzisiaj lepiej. Nic mi nie dolega. Ocho-cho! Ale dzień przeleciał dwa razy za szybko.

Czytam *Średniowieczną Europę* Chris Wickhama. Dobrze mi się czyta, bo umacnia mnie w podejrzeniu, że nie były to aż takie czarne wieki, mroczne, były one bardziej humanistyczne, ludzkie, niż to potocznie przedstawia się w popularnej historiografii. Byli tam konkretni ludzie. Paskudni czasami, ale wcale nie bardziej niż w XX wieku, na przykład Hitlera nie mieli. Ale, co jeszcze ważniejsze, nie było wcale takiej wyraźnej cezury pomiędzy piękną starożytnością, a paskudnym, jakimś niewyraźnym, okresem, aż do cudownego Renesansu. A było to kilka wieków, wcale nie krótki moment europejskiej historii.

Slucham polskich kompozytorów Dobrzyńskiego, Krogulskiego, a też ulubieńca Lista – **Juliusza Zarębskiego.** Chyba nie mam wyrobionego gustu muzycznego, bo mi się ta mało znana powszechnie polska muzyka podoba.

18, 2021 2:05 AM

„Zbyszeku, tak, tak, tak !!!!! dotarła. Dziękuję Ci prześlicznie. Nie otwierałam tej przesyłki przez dwa dni, bo myślałam, że to kolejne kartki świąteczne od niepełnosprawnych, które dostaję

co roku. Ale jak otworzyłam, tak mnie to poruszyło. Wzruszyłeś mnie. Zawsze lubiłam czytać Twoje wiersze.

Jak się czujesz Byńku? Jak żyjesz? Moja Livinka jest w trakcie swojej podróży życia. Kupiła nowiutkiego Hyundaia i jedzie dookoła Ameryki. Teraz jest już w Oregon i jedzie wzdłuż wybrzeża, zatrzymując się na niesamowitych plażach. Wcześniej zwiedziła już mnóstwo parków narodowych i stanowych, spotkała po drodze fantastycznych ludzi. SAMA!!! Moja Córka.

Pozdrawiam Cię mocno i ściskam J(ola Rajz).”

„Jolu,

często ostatnio mi się śniłaś. Dobrze mi się śniłaś, a to ważne, bo mnie nawiedzają często koszmary. Potem cały dzień myślałem o Tobie. Trochę wspominam nas i nasze - jakże odmienne od dzisiejszych - czasy.

Przypomniało mi się, że szyłaś dla mnie spodnie, bo nie było mnie/nas stać na kupienie nowych. Przypomina mi się Twój uśmiech. Twoje nieustanne zainteresowanie moimi wierszami. A nietrudno mi wspominać, wszak mieszkam przy ulicy Dubois, gdzie wynajmowaliśmy pokój na poddaszu, jak para z klasycznej francuskiej XIX wiecznej powieści.

Martwię się również o Ciebie – jak sobie dajesz radę, jak Twoje zdrowie, wszak ja mam już siedemdziesiąt jeden lat, to znaczy, że i Tobie ich przybyło. Zastanawiam się, jak wygląda Twój dzień, co robisz, czym się zajmujesz, kto się Tobą opiekuje, gdy jesteś chora.

Niestety, Agata nic nie pisze o Tobie, a to było jedyne źródło informacji.

Miło mi że, przejrzałaś książkę *Córka*. Najprawdopodobniej to ostatnia moja książka. Bardzo mi zależało na jej wydaniu, bo jest z tłumaczeniem na angielski, a dzięki temu moja córka będzie miała okazję zobaczyć coś tam i jak pisuje jej tata. A też jak ją kochał, jak i co myślał przez wszystkie te lata od kiedy się pojawiła na świecie.

Uściskaj przy pierwszej okazji Livinkę, która jest niesłuchanie

dzielna i zdobywcza. Wdała się całkowicie w Ciebie, nie w ojca. Rozmawiałem z nią o tym, jak tu była i mówiłem o Jurku tylko dobrze, bo ważne, aby córka mogła być dumna ze swoich rodziców. Ileż ona ma już lat? nie chce się wierzyć, że nasze własne dzieci są już całkowicie dorosłe.

Całuję Cię, Zbyszek”

Od Urszuli Koziół:

„Przepraszam, ja już nie jestem w stanie czytać obszerniejszych tekstów.

Moja aktywność - jedynie przez parę godzin, potem są zapaści, śpiączki, beśsiła. Ale bardzo proszę o jakieś konto, na które chcę przelać pieniądze za dwa egzemplarze książeczki Romana Warszawskiego, bo listonosz nie pobrał zaliczenia pocztowego na nie.

Wiem - bo i u nas (w „Odrze”) mamy małe kwoty na autorskie honoraria, więc - pi razy oko - przekazać chcę 100 zł. na ten cel. Z najserdeczniejszym pozdrowieniem, Urszula Koziół”

„Pani Urszulo,

dziękuję za ten życzliwy, ale smutny mail. Bardzo Pani współczuję. Jednak jednocześnie podziwiam za upór w domaganiu się numeru konta wydawcy.

Dowolną kwotę proszę wpłacić na konto: Fundacja Światło Literatury, z dopiskiem „na cele statutowe Fundacji”.

Mam siedemdziesiąt jeden lat i też odczuwam, że dopada mnie czas. Gdy byłem młodym poetą fascynowała mnie starość. Teraz widzę, że są zalety tego okresu, ale jego tajemnice są raczej nieprzyjemne. Cieszę się, że mogę wciąż wydawać gazetę „Migotania”, książki, a też pisać i publikować swoje wiersze.

Życzę, aby okresy aktywności trwały u Pani jak najczęściej i najdłużej, liczę też, że napisze Pani jeszcze wiele wspaniałych wierszy.

Czuję się zaszczycony, że mogłem kiedyś w „Migotaniach” drukować Pani poezję, a teraz również pisać tę krótką wiadomość.

Zasylałam najserdeczniejsze życzenia wielu dobrych chwil i pogody ducha.

Zbigniew Joachimiak”

24 listopada 2021

Do Romana Warszawskiego:

„Nie ma czym się emocjonować i nadmiernie pracować nad wnioskiem. Jesteś znanym pisarzem, reportażyście o mocnej renomie i cenionym na dodatek. To Sponsor powinien zabiegać o Ciebie, a nie odwrotnie. Dostaniesz to stypendium na sto procent.

Tekstowo „Migotania” już zamknąłem, mam dość materiału do 4/2021, już nawet wypełniam folder z tekstami na 1/2022.

Tak, mam tekst od Joanny Sendłak. Mam sporo różnej prozy, w tym ciekawe dzienniki.

Pisała do mnie raz jeszcze Urszula Koziół i mnie zasmuciła, bo pisała, że ma coraz mniej sił ma na jakąkolwiek aktywność i żyje w jakimś półśnie, już nie jest w stanie dużo czytać. Niestety, nie wiem, jaki jest tego powód, jest wiekowa, ale chyba to nie o wiek chodzi.

Profesor Łukasiak dzwonił do mnie, rozmawialiśmy o książce. Dwa dni temu przysłał poprawioną wersję swojej biografii, nie wiem czy i Tobie posłał? Trzeba tego pilnować, bo Ty się na-pracujesz nad jego zwierzeniami a okaże się, że to nie ten tekst.

28. XI. 2021

„Dobry wieczór!

Muszę przyznać, że tomem, który mną wstrząsnął, czy, żeby złagodzić emocje, zachwycił mnie bardziej niż wszelkie inne jest Pana tom *Córka*.

Czytam, ba, zaczytuję się w tę i z powrotem.

Nie znałem dotąd Pana twórczości. Zaniedbanie ogromne.

To jest, jak rozumiem, wybór na rynek amerykański?

Proszę wybaczyć to pytanie, ale chciałem zrozumieć... coś (z innej, perspektywy, zza kulis Autora:)

Włóczyłem się ostatnio po tych różnych festiwalach i często rozmawiałem z Markiem Wawrzekiewiczem. On też uważa Pana tom... za znakomity. Gratuluję Panu tej poezji, nieco zazdroszcząc, lecz życzliwie.

Pozdrawiam, dłoń ściskam i poprawię się jeśli chodzi o porządkę we własnej pisaninie.

Andrzej Walter”

29 listopada 2021

„Droga M(ałgorzto). Jestem wzruszony Twoim tekstem. Aż mnie przytknęło.

To bardzo piękna recenzja mojej książki. Wyszła z Ciebie malarka. Jesteś pierwsza, która tak wyraźnie spostrzegła wagę obrazu w moich wierszach (pamiętasz Miłosławę Bukowską, miała z nami poetykę, ona też na to zwracała uwagę, tyle, że u zarania mojej poetyckiej drogi), choć przecież od zawsze był we mnie taki sposób pisanie. W polonistycznym i popolonistycznym okresie mojego życia poszedłem nieco w słowo i intelektualne rozważania, ale zawsze wracam do korzeni chętnie. Lubię eksplikować poetyckie przemyślenia i poetycką energię poprzez obraz. BARDZO CI DZIĘKUJĘ .”

30. XI, 2021 (do Małgorzaty Dorna-Wendrychowskiej)

„Małgorzato, pod jakim numerem mieszkał Twój Tata?

Ja mieszkam na Dubois, a więc na równoległej uliczce do Zbyszka z Bogdańca. Może mieszkał z drugiej strony mojego ogrodu? Ja mieszkam tutaj od 2001 roku.

Dziwnie mieszają się przestrzenie, ale też płaczą nas, wciągają. Wędrowałem trochę po świecie, od Ameryki Północnej do Ameryki Środkowej (Karaiby), od Szczecina, poprzez Kraków i Gdańsk, ale w Gdańsku nigdy nie udało mi się wyrwać poza Wrzeszcz. Ale nie narzekam.

Cieszę się, że malujesz. Czuję, że to jest dla Ciebie ważne, a może najważniejsze, tak z pewnością, najważniejsze.

Może kiedyś dostanę od Ciebie mały obrazek do moich wierszy? Kolory w tych, które mi podesłałaś na zdjęciach, to moje kolory. A może raczej ich tonacje.

Serdecznie pozdrawiam, Z.

PS. Z Miłką Bukowską przyjaźniłem się długo, lubiłem ją za

wrażliwość i delikatność, choć żyła i działała wcale w niedelikatnej rzeczywistości. Ale potem szybko, nagle się zawinęła i zmarła. Zostawiła syna. I dobrą pamięć o niej.

Tak, masz rację, Coraz więcej przyjaciół mamy w „lunatycznych ogrodach”. Tak musi być. Tak jest dobrze. Nawet, gdy z naszej „perspektywy mrówki” odczuwamy to jako katastrofy. Podobnie jak większość ludzi nie boję się śmierci, choć boję się umierania. I swojego i cudzego. A może nawet cudzego bardziej. Teraz martwię się, bo dotarła do mnie wiadomość, że Józef Bachórz (mój idol uniwersytecki) jest w niedobrym zdrowotnie stanie.”

9 listopada 2021

Smutek.

„Dobry wieczór, dziękuję za moc dobrych słów w imieniu Taty i swoim. Odczytałam Mu list od Pana, ucieszył Go bardzo.

Mimo, iż się nie znamy osobiście, to był Pan obecny w naszym domu w Taty opowieściach. Tyle, że dla mnie nie ma Pan wieku ...No może najwyżej około 30 lat;) ”

Stan ogólny Taty zmienia się dość szybko i choć nie poddaje się to niestety słabnie właściwie z tygodnia na tydzień.

Dziękuję raz jeszcze za całą życzliwość i wszystkie dobre myśli - jestem przekonana o ich mocy (aż strach pomyśleć jakby to było bez nich).

Życzę Panu wiele zdrowia, przekazuję pozdrowienia od Taty, serdeczności od siebie. Asia Wilkirska (córka Józefa Bachorza)”.

OSOBY

Profesor Józef Bachórz,

dla mnie, w pamięci automatycznej, *doktor* Bachórz, bo poznałem go, gdy był jeszcze doktorem.

Jest legendą studentów polonistyki mojego pokolenia. Ale, aby pojąć jego wielkość, trzeba było go spotkać osobiście, bo wtedy w pełni doceniało się jego charyzmę.

Naukowo i literacko działał w odległych dla mnie duchowo regionach polskiej literatury, bo w pozytywizmie, mimo to chciałem pisać u niego pracę magisterską (o Dziekońskiego *Sędziwoju*). Nie udało mi się, bo już miałem wtedy całkowicie *niepozytywistyczne* idee w głowie, pierwsze publikacje, arkusze poetyckie,



Józef Bachórz, Sopot 2002 na promocji „Migotań” oraz mojego wyboru wierszy pod tym samym tytułem, mikrofon trzyma Anna Sobecka-Waśkiewicz

działalność w grupie poetyckiej... ale Józef Bachórz jest i zawsze będzie w mojej pamięci jako najlepszy promotor.

To dzięki niemu zostałem w Gdańsku, gdy w 1973 roku nie przyjęto mnie na Uniwersytet (nie zdałem wystarczająco dobrze egzaminu z historii, zadano mi trudne wtedy pytanie o układ Ribbentrop - Mołotow). Józef Bachórz przyjął mnie do Wyższej Szkoły Nauczycielskiej w Oliwie. Potem stamtąd uciekłem na Uniwersytet i znowu Go spotkałem, tym razem na wykładach z historii literatury i ćwiczeniach z literatury późnoromantycznej.

Jego stosunek do studentów był niezwykle. Doceniał każdą próbę myślenia (pamiętam, że jakiś mój kolega zaczął bredzić o problemie ochrony środowiska w jakimś romantycznym wierszu... zamarliśmy wszyscy z wrażenia... a Józef Bachórz wysłuchał z wielkim szacunkiem do końca tej wypowiedzi, a potem próbował doszukać się ziarna intelektualnej racji w wywodzie studenta.

To, że spotkałem go na mojej drodze, być może spowodowało, że zostałem w Gdańsku na stałe, choć potem wszystko szło drogą mojej działalności literackiej, intelektualnej, moich działań grupowych.

Alternatywą wobec niedostania się na studia, był powrót do Krępy Krajeńskiej, gdzie mogłem rozwijać się jako agent sklepu wiejskiego, co poważnie rozważałem (miałem wtedy naturalistyczne ciągoty, zaczytywałem się w Rousseau, bliskości lasu, przyrody plus lektury, to był ewentualny życiowy plan).

Na szczęście Józef Bachórz ocalił mnie od tej „*idylli*”. Pamiętam też incydent, zderzenia jego subtelного intelektu z moim „wybitnym” poezjowaniem. Napisałem wiersz *Świece w deszczu*, według mnie to raczej bełkot literacki, raczej grafomania, a na pewno bardzo, bardzo chaotyczny tekst i zadedykowałem go (w swoje głupocie) Bachórzowi. Przyjął to poważnie. Nigdy nie wytknął grafomanii, a przecież zna się znakomicie na literaturze.

Może wtedy wiedział, że zacznę pisać lepsze teksty... I znowu pomógł mi przejść kataraktę.

Wierzę, że otrzymany kredyt spłaciłem i kolejne moje zbiory wierszy były lepsze, a niektóre bardzo dobre. To też dzięki temu, że profesor Józef Bachórz otworzył serce młodemu wtedy studentowi.

Teraz, jak pisze córka, gaśnie. Bezbrzeżnie mnie to smuci. Bo nic nie mogę zrobić.

18 stycznia 2022

Córka Józefa Bachórza pisała do mnie, że jej ojciec czuje się nieco lepiej i zacytowała jego określenie: „czuję się bardzo dobrze, ale nie beznadziejnie”. Pobrzmiewa w tym jego charakterystyczne poczucie humoru.

Chcę wydać własnym sumptem wiersze Adama Bujarskiego. Jeśli ja go nie wydám, nikt go nie wyda, bo jego wiersze są tak odległe od dzisiejszej praktyki poetyckiej (łącznie z moją), jak stąd do drugiej galaktyki.

Jego operacje na języku są niezwykle. Na granicy zrozumienia czytelniczego, czasami ją przekraczają.

To świat precyzyjny i obcy. Obcy, jak rzeczywistość Bujarskiego.

Pisze, że mieszka w jakiejś małej miejscowości na południu Polski, w całkowicie wyobcowanym od literatury świecie.

Żyje nie wiadomo, za co, chyba ma jakąś rentę. Pochorowany.

A wciąż z ogniem, gdy zaczyna operacje na języku. Te wiersze trzeba by czytać z jakimiś przypisami, ale to nie zarzut. Cantos, Ezry Pounda, też nie sposób absorbować bez przypisów, w tym przypadku kulturowych, literackich i historycznych (czyni to niezwykle przenikliwie Czesław Karkowski).

Przypisy do wierszy Bujarskiego musiałyby być psychologiczne i językowe, może językoznawcze, a także biograficzne. Tak czy owak, to wiersze silnie drgające znaczeniowo, tak, że właściwie chwilami budzą lęk, a na pewno niepokój. Nikt tak nie pisze jak Bujarski.

5 stycznia 2022

Zostałem zaproszony do Polskiego PEN Clubu.

Zaproszenie przyszło od Prezesa Adama Pomorskiego. Chyba mnie to ucieszyło.

To chyba najbardziej prestiżowe pisarskie stowarzyszenie istniejące od czasów Żeromskiego, apolityczne, będące przez to często cierniem dla władzy politycznej, najbardziej zasadnicze w swoich postulatach i zasadach członkowskich, skupiające się na moralności pisarza, a nie postawie politycznej. Chyba mi to odpowiada. Ustosunkuję się pozytywnie na zaproszenie do wstąpienie do Clubu.

Ciekawy jestem, kto mnie zarekomendował, wszak żyję bardzo na uboczu środowisk literackich. Muszę jednak przed samym sobą przyznać, że poza miłym połaskotaniem ambicji własnej, obecność w PEN Clubie jest mi na tyle przydatna jak obecność w SPP, czyli nie jest mi potrzebna nic a nic. A tym bardziej (to zdanie kieruję do władz PEN Clubu), że aktywność PEN koncentruje się tylko na Warszawie.

Jestem taką osobą, jaką jestem, ani nie chodzę do kościoła, ani nie przynależę do partii, ani do jakiegoś konkretnego towarzystwa, nawet nie spotykam się z wieloma ludźmi.

Jestem samotnym okrętem, który przepływa przez różne porty, głównie odwiedza porty Morza Sargasowego, cumuje na chwilę i płynie dalej. Najbardziej mnie trzyma cuma „Migotań” i pamięci o mojej córce.

Mam silne przeświadczenie, że jestem na chwilę. Że świat doświadcza mnie na chwilę. Niewiele pozostawię. Nawet nie pozostawię nazwiska, bo Sybilka, po pierwsze jest kobietą, po drugie raczej nie będzie miała dzieci.

Pobędę jakiś czas w pamięci niektórych i może jakiś czas w wierszach.

Jestem sierotą. Ale nie pozostawię sierot. Moja pamięć sięga do matki, ojców, nie dalej, a zatem zostałem zaprojektowany na jakieś 120 lat włącznie z pamięcią mojej rodziny. Potem ten okręt zatonię definitywnie i się rozpuści w oceanie zapomnienia, a ja - w nieistnieniu.

Chce mi się żyć,

bo dzięki temu żyje wciąż moja matka i ojciec, bo wzmacnia się obecność mojej córki i paru ludzi splątanych z moim losem.

Lubię też żyć dlatego, że w moim jestestwie żyje wiele znakomitych innych istnień, wydarzeń, objawień piękna i dobra, a też miłości. Te najlepsze zasługują na wieczność, albo przynajmniej na długowieczność. Dobrze mi się żyje w tym towarzystwie.,

5 lutego 2022

Dotarła do mnie książka Marka Wawrzkiwicza i Jerzego Fryckowskiego, *Nie do zapomnienia. Z drugiej szuflady*.

Marek Wawrzkiwicz nie zawodzi jako gawędziarz i świadek swoich czasów. Jest w nim harmonia. Wspomnienia są wiarygodne, a jednocześnie bardzo osobiste.

Historia i życie prywatne stopione w udanej literackiej narracji. Ale mnie ta biegłość literacka już nie dziwi, bo znam wiele jego tekstów, publikowałem je w „Migotaniach”. Marek Wawrzkiwicz skrętnie odnotowuje swoje pierwodruki czasopiśmiennicze i nazwa mojej gazety pada tam często. To eleganckie. Czytam dalej.

14 lutego 2022, z korespondencji

„Droga M.,

moja harmonia nie jest aż taka harmonijna, abym polubił

swoje fizyczne ułomności i niesprawności. Bardzo mnie dołują. Ale dobrze mi, gdy mam takie chwile, gdy siedzę przy komputerze, siedzę w fotelu i czytam, gdy poleguję i słucham muzyki i ponownie odkrywam znane mi już kawałki muzyczne (wczoraj i dzisiaj słucham Lista, co mnie zadziwia bardzo, bo myślałem, że go nie lubię). Dobrze mi, gdy jeszcze - po południu całymi garściami wpada słońce do ogrodu zimowego i robi mi się ciepło, choć na zewnątrz jest już chłodno, albo jeszcze, gdy wpada Hania całym pędem, by oznajmić, że idzie teraz na spacer, ale zaraz potem przyjdzie i rzeczywiście przychodzi... Albo, gdy czytam jakiś wiersz „mojego” migotaniowego autora i okazuje się, że on nie taki znowu zupełnie z *poczty*, a wręcz przeciwnie, napisany jakby specjalnie dla mnie. Albo, gdy niespodziewanie mam nad ranem erotyczny sen (ważne, aby był nad ranem, bo wtedy się go pamięta), i albo, i albo...

Jak pomyśleć, to wiele mam tych miłych chwil w ciągu dnia. A to, że dokucza oddech, biodro, albo inne cholerstwo (jest co wymieniać), no cóż, psuje humor, ale na jakiś czas, bo potem znowu coś miłego się dzieje (lub nie dzieje, jeśli chodzi o ból i przykre doznania).

Nie wiem, na czym polega Twoje cierpienie, nie mogę zatem wymądrzać się i doradzać, abyś to brała najlżej jak można. Pewnie właśnie tak robisz. Podejrzewam, że niewiele narzekasz i mało się skarżysz. Ja dotykam tam, gdzie boli najbardziej, to czasami przynosi ulgę.

Czytałem „naszą historię” nieomal w gorączce.

Dwoma skokami. A potem musiałem odreagowywać. Nie chciałem natychmiast pisać do Ciebie, bo to, co ja przeczytałem w dwa dni, Ty pisałaś całymi dniami i nocami.

Aż było mi wstyd, że tak szybko przeczytałem wszystko, co się działo, i działo, co nas trzymało w gorączce, w namiętności, w jasności i ciemności i wyprowadziło w dal, w daleką dal.

To prawda, napisałaś powieść. Ale jest to też coś więcej. I nawet to nie jest tylko wspomnieniowa powieść.

Zadałaś sobie wiele trudu, aby tej naszej historii dać gramatykę, styl, składnię, a nawet porządną fonetykę. Nie mają znaczenia

odstępstwa od historii. Tak czy owak, to jest o nas. I o mnie, choć najbardziej o Tobie.

Tak, to jest najbardziej o Tobie. Przy Tobie w tej powieści ja jestem papierową postacią, ale nie narzekam. Bardzo mnie oszczędziłaś.

Wiele wydarzeń przeżyłem raz jeszcze. Znacznie lepiej Ciebie pojąłem. Zrozumiałem.

Czy rozumiałem **nas** bardziej? Chyba nie. Bo jednak ta powieść niesie tajemnicę. Tajemnicę o nas. O Tobie.

Było parę tropów w powieści, które pozwalały mi się bliżej przyjrzeć samemu sobie (mam na myśli pojawiające się wątki o Don Juanie, postaci skazanej na samotność). Ciekawe, że już kiedyś użyto klucza Don Juana do moich wierszy (czyli też jakoś do mnie), mam na myśli esej Ludwika Topp pod tytułem *Don Juan i jego pies* (w: *W stronę wiersza, Interpretacje poezji najnowszej*, MAE 1984).

W powieści i w życiu Michał pozostał samotny.

Nie zawsze zgadzałem się z odszyfrowywaniem (lub zaszyfrowywaniem) M., bo znacznie większą rolę przyznawałem i przyznaję jej kreatywności niż uleganiu determinizmowi.

Na pewno ogromne znaczenie miały relacje bohaterki z mamą, z rodziną, z mężem, ale przydanie tym relacjom zbyt wielkiej wagi, zabierało mi Twoją wyjątkowość i niepowtarzalność. Paradoksalnie, nadanie tak dużej wagi tym relacjom dodawało wielkości i niepowtarzalności tym osobom. A ja uważam, że Twoja dusza, niezależnie od okoliczności, musiała wzlecieć, bez pomocy i wbrew pomocy. To nie oni dali Ci Twoją wyjątkowość i wrażliwość.

Zawsze Twój, Z."

„...dziękuję, że przeczytałeś tak szybko. Dla mnie to znak, że bez względu na „naszą historię”, płynnie Ci się rzecz czytało.

Obawiałam się Twojej reakcji. Ale też liczyłam na to, że bez względu, jaką historię tam zobaczysz, to „uszanujesz” moją pracę od strony choćby literackiej. Bo jeśli o tropy chodzi, z tym najtrudniej.

Zofia Chądzyńska, tłumaczka Cortazara, opowiadała mi dawno temu, jak rozeszły się jej drogi z Jeanem Reverzym, pisa-

rzem, mało znanym w Polsce, którego tłumaczyła. Zachwyciła się jego pisanem, korespondowali długo i myślę, że była w nim „rozkochana” i może też przekonana, że potrafi jakoś odjąć mu samotności. On też traktował ją poważnie jako Osobę, z którą wymienia myśli i pustka mu w głowie nie zostaje. Aż napisał kiedyś opowiadanie, w którym ona była główną bohaterką rzuconą w wymyślone fikcyjne wydarzenia. Przeraziła ją osoba, którą w tej postaci zobaczyła. Sama miała o sobie inne wyobrażenie, także to dotyczące jej urody i sposobu bycia. W rezultacie ich drogi się rozeszły, na długo przed tym, zanim Reverzy popełnił samobójstwo. Dobrze, że w końcu odważyłam się do Chądzyńskiej napisać, bo nasza krótka korespondencja, a potem już tylko rozmowy telefoniczne, wiele mi dały.

15 lutego 2022

Pokrzepiło mnie to, że widzisz w powieści „tajemnicę”, która dotyka losów M&M.

Obawiałam się, że powiem za dużo, że gdybym zaczęła sięgać głębiej do motywów ich bycia i relacji z innymi, to rozmemłam całość, zbanalizuję, a przecież tego się zawsze obawialiśmy w naszym związku. Tak więc celowo pewne wątki zostawiam ledwie zasygnalizowane i niewyjaśnione, licząc na to, że czytelnik sobie dopowie wedle własnych konkretyzacji, przynajmniej ten czytelnik, który nie goni za akcją.

Chciałam, by M. była denerwująca, niechby ją czytelnicy zniechęcili. Chciałam, by Michał był nieodkryty i by nie było jasne, czy jest tak, jak roi Małgorzata, czy jak on pisze. Czy to się udało, nie wiem.

To jest już jakby poza mną.

Czy coś rozwiązałam tą powieścią? Inaczej – w sensie głębiej zobaczyłam nasz związek? Wiem tylko, to już na pewno, że byłam wtedy dziewczyną, która nie potrafiła pojąć ani udźwignąć tego, co jej się zdarzyło, i że musiała uciec, by tego nie zniszczyć. A także by uratować w sobie te dobre uczucia, które miała dla ukochanego.

Wiem też tyle, że nie dostałam wsparcia od nikogo z mojej rodziny prócz Bożenki. I wiem tyle, że kocham Cię na zawsze i mam dla Ciebie ciągle dużo czułości, i tak już pozostanie.

(...)

Co dalej z książką, będę Ci dawać znaki. Umówiona jestem na rozmowę za tydzień z moją agentką. Od wczoraj rehabilituję kręgosłup w Goczałkowicach, w szpitalu rehabilitacyjnym. Mam 95 zabiegów. I nie wiem, jak przetrwam tych 21 dni. Wszystko po to, by zachować sprawność, bo jej brak mnie najbardziej przygnębia. Dobrze znoszę starzenie się w sensie ubytku „zewnętrzności”. Ale trudno mi się pogodzić z powolnością ruchową i z nieustającym bólem i zmęczeniem.

(...)

PS. Myszkę lubię w Twoim wykonaniu, nawet bardzo.”

9 marca 2022

Ta wojna trwa już za długo.

To niewiarygodne, jak bronią się Ukraińcy. Codziennie, gdy budzę się, pierwsze, co robię, włączam telewizję, aby dowiedzieć się czy Kijów trwa?

Czy to Rosja jest tak nieudaczna, czy Ukraińcy są tacy dzielni?

Gdy rozpoczął się atak na Ukrainę, myślałem, że to kwestia kilku dni i Kijów będzie zdobyty. A potem dzień po dniu okazywało się, że jeszcze nie dzisiaj... I tak jest codziennie od kilkunastu już dni.

Raczej pewne jest to, że niezależnie, czy Rosjanie zdobędą duże miasta, to i tak wojna będzie trwała, bo Ukraińcy będą walczyć w swojej wielkiej ojczyźnie w stylu partyzanckim.

Sybilka się odezwała, chce przyjechać do Polski, aby pojechać na granicę i robić zdjęcia. Odwodzę ją od tego, na razie skutecznie. Postanowiła zorganizować akcje pomocowe w Cincinnati. Poprosiła o adres, gdzie mogłaby wysłać ...nie wiem co? pewnie zebrane pieniądze, jakieś przedmioty, lekarstwa? Dałem jej adres Polskiej Akcji Humanitarnej.

Tymczasem zamknąłem numer 1/2022 „Migotań”. A w nim bardzo dobre wiersze „wojenne” Czesława Sobkowiaka

- Czesławie, już po składzie, sorry, ale Twoje wiersze będą na samym początku numeru.



Z Romanem Warszawskim, ale kto komu wręcza kwiaty, nie wiem.

Odpowiedź: „Wiesz, trochę radości, byłem senny już, nawet pod kołdrą , i obudziłeś mnie tą wiadomością, dziękuję ogromnie, że tak się stało, że tak wyakcentowałeś moje wiersze, na samym początku „Migotań”, jakaś mała kropla w tej sytuacji, w tej wielkiej, niewybaczalnej napaści na Ukrainę, a w domyśle na porządek Europejski, który jest, jaki jest, ale jeszcze można żyć jakoś w duchu wolności. Nie inaczej.

Trzymaj się, bo chyba też to wszystko mocno w Ciebie uderza, ja w każdym razie czasem tracę niemal oddech i każdego dnia czekam na wiadomość, która będzie inna, jakiś sygnał końca agresji, dobrej nocy życzę i weekendu. Czesław”

Dnia 12 marca 2022

„Drogi R., mam dla Ciebie ciekawostkę. Anka Czekanowicz otrzymała Pomorską Nagrodę Artystyczną za rok 2021 za wybór wierszy **sprzed** 30 lat i wcześniejszych.

Czy nie uczciwsze byłoby, gdyby ją nagrodzono za działalność na rzecz kultury, za 20 lat pracy w Urzędzie Miasta Gdańska, gdzie była szefem wydziału kultury?

To miasto ocieka układami, drętwotą i nadęciem.

Ale przyznać Pomorską Nagrodę Artystyczną autorce książki,

w której nie ma ani jednego wiersza nowego, lub choćby sprzed mniej, niż 10 lat? Nic to. Co to ma za znaczenie, założę się, że (nie)kompetentne jury nawet nie przekartkowało tego tomu. Bo po co, przecież wiadomo, że to dobra autorka, która kiedyś pisała poezję i ja też tak sędzę. Była kiedyś wielką poetką, hmm.

Anka jest już emerytką. Różewicz, dla przykładu, też dostawał nagrody za stare rzeczy. Ale Różewicz, Miłosz, czy Szymborska pisali do końca. Były dzieła zebrane, ale pisali też nowe utwory. Nikt nie wyróżnił w latach 2000 Różewicza, dajmy na to, za *Ocalonego*.

Czy ja jej zazdroszczę? Bo ja wiem? Pewnie, miło jest dostać nagrodę literacką. Jeśli chodzi o moją twórczość, to piszę dobrą poezję, nie wydaję wiele, ale w ostatnim 10-leciu wydałem dwie nowe książki. Ostatni tom, ale i poprzedni, miały bardzo dobrą recepcję. Wiem swoje, pokazałem mocną i dobrą poezję. W sumie wydałem trzynaście chyba tytułów. Anka, razem z tym nowym wyborem, cztery, czyli trzy niewielkie tomiki oryginalne.

Uważam, że jest/była bardzo dobrą poetką i należy jej się może nagroda za całokształt twórczości, ale nie za **wybór** wierszy.

Anka Pawlaka, też *człowieka miasta*, przez lata współpracownika Adamowicza, nagrodzono w zeszłym (chyba) roku przynajmniej za bardzo porządny i **nowy** tom wierszy. W jego przypadku trudno zakwestionować decyzję. To dobra książka.

Ale może Pomorską Nagrodę Artystyczną daje się „ludziom miasta”, działaczom? Potem dopiero twórcom. Tak to wygląda. Nie zazdroszczę jej (bo przecież ona wie w głębi duszy, że to niezły numer, w dobrym peerelowskim stylu), ale mam poczucie, że skrzywdzono i Ankę (to podkreślam), i innych, znacznie bardziej oczywistych na to wyróżnienie autorów, a jest ich wielu. Romku, wydajesz porządną, niekiedy fascynującą literaturę, a czy dostałeś jakiś może dyplom uznania za swoje **kilkadziesiąt** tytułów od miasta? Niech zgadnę!

Przy tej okazji zastanawiałem się, dlaczego Anka wymyśliła w Gdańsku konkurs Europejski Poety Wolności, który w gruncie rzeczy eliminował pisarzy gdańskich i trójmiejskich, a może nawet większość pisarzy polskich z gry konkursowej. Może o to właśnie

chodziło, aby nie przyznać nagrody jakiemuś *wrazemu* polskiemu - i nie daj Boże gdańskiemu pisarzowi.

Jaki to pożytek dla Gdańska, że nagrodę otrzyma nieznany poeta z Malty, lub Cejlonu lub Estonii? Żaden. I oto chodzi. Co tu jacyś lokalni, a nawet polscy poeci będą wypinać piersi do zaszczytów. Dla swoich mamy Pomorską Nagrodę Artystyczną.

Z tego, co wiem, konkurs ma duży, (nawet ogromny) budżet, nieproporcjonalny do uzyskiwanych efektów promocyjnych regionu lub miasta. Poeci nagrodzeni nie wchodzi do obiegu społecznego życia kulturalnego w Polsce. Jeśli tworzono go jako kontrpropozycję dla „Nike” lub gdyńskiego konkursu, to poniesiono całkowitą klapę.

Cóż, tak zawsze tutaj bywało. Frukt dla swoich.

Nie wiem dlaczego myślałem, że moi rówieśnicy z młodości będą inni, lepsi w swojej dorosłej działalności. A są pieszczochami władz. Anka dostała, jako świeżo upieczona absolwentka UG, a może nawet chwilę wcześniej, posadę kierownika literackiego Opery Bałtyckiej (nie znała się na operze ani trochę, nie znała się nawet na muzyce klasycznej, nie słuchała jej nawet, bo wtedy słuchaliśmy Cohena, a wiem to dobrze, bo byłem bardzo blisko z Anką), z rąk ówczesnego sekretarza partii, Andrzeja Szczepańskiego. Później pracowała dla słynnego (znamy go dobrze i Ty i Anka i ja) byłego esbeka, Edwina Myszka, dzisiaj Mischke (nawiasem, Edwin zrobił więcej dla literatury gdańskiej niż przez te wszystkie lata Anka na urzędzie). Potem poszła do nowej władzy i na lata zakotwiczyła się w Urzędzie Miasta Gdańska. I była bardzo nielubiana, wiem o tym z dobrych (i nie tajemniczych) źródeł, ale mocna. Do mojego antykwariatu przychodziło dużo artystów i opowiadali mi, jak była bezwzględna dla środowisk i jak, bez skrupułów, realizowała komercyjną politykę Urzędu Miasta (ta polityka jest nadal kontynuowana). Na przykład zabrała siedzibę rzeźbiarzom na Długim Targu, bo miasto wołało lokal wynająć lepiej płacącym podmiotom, albo po prostu go dobrze sprzedać. Służyła polityce miasta, służyła Prezydentowi Miasta, komercyjnej głównie polityce, a mniej twórcom kultury. Liczyła się kasa dla miasta, polityka i sznyt.

To w tamtych czasach zaczął się żałosny zwyczaj, że każde

większe dzieło autorów w Gdańsku było pod sztandarem Prezydenta Miasta, Marszałka... po prostu urzędnika, choć przecież żadnych swoich osobistych pieniędzy ci urzędnicy nie dawali, a tym bardziej przy tych przedsięwzięciach nie pracowali (wyjątkiem jest tu chyba tylko Donald Tusk, który faktycznie pracował przy tworzeniu książek z serii *Był sobie Gdańsk*).

Różne było pokolenie moich przyjaciół, byli pośród nich osoby bohaterskie,

pracowite niezwykle, utalentowane, wspomnę tylko Antka Pawlaka lub Jurka Limona, Marka Bieńkowskiego (stał się wybitną postacią w strukturach administracji amerykańskiej), byli porządni naukowcy, na przykład Zbyszek Majchrowski, Boguś Żyłko, Stefan Chwin. Staszek Rosiek stworzył własnym wysiłkiem i konceptem niesamowite wydawnictwo z niczego.

Ale były też osoby z gruntu egoistyczne i rządne wpływów i władzy, znane z plotkarstwa, wojen podjazdowych w środowisku literackim Gdańska. Bez wahania przechodzili bez żadnego merytorycznego przygotowania do władz TVP, by tam zająć się promocją swoją i bliskich. Cóż! I jest nowa nomenklatura. A nowa już nie cuchnie.

Byli też szczęściarze, tacy jak Adzik Z., który wziął od partii (w żadnym stopniu nie oznacza to, że jakoś tej Partii się starał przypodobać) swoje stanowisko w Teatrze Wybrzeże, co prawda pod egidą Stulka Hebanowskiego, ale, ostatecznie, po różnych perypetiach wylądował jako urzędnik marszałka Województwa Pomorskiego na stanowisku Dyrektora Departamentu Kultury. Myślę, że na tym stanowisku zachowywał się godnie i sprawiedliwie wobec środowisk artystycznego Gdańska. A był utalentowanym pisarzem, poetą, dramaturgiem... Może najbardziej utalentowanym spośród nas. Nie zawodził go kompas uczciwości zarówno w działaniach społecznych, a również - co podkreślam z mocą - artystycznych. W jego urzędzie nie było nawet najbardziej zakonspirowanej korupcji koleżeńskiej, a tym bardziej jawnych nieuczciwości. Porównywano go do Czechowicza, nie było w tym przesady. Nie potrafię ocenić wartości jego prac dramaturgicznych, ale grano go naprawdę chętnie w wielu teatrach w całej Polsce.

Adzik, co trzeba podkreślić, nigdy nikogo nie zwalczał, nie niszczył, co najwyżej nie docenił.

Moja serdeczna przyjaciółka z lat Wspólności, ze studiów, wspaniała poetka, taką powściągliwością się nie cechowała. A. Cz. była znana z pryncypialności. I uwaga: pryncypialność to niekoniecznie opowiedzenie się po stronie obiektywnych wartości, to przede wszystkim niechęć do dialogu i ewentualnej rewizji swoich poczynań. W przypadku Anki, pryncypialność polegała na tym, że, jak rzekła, to rzekła, jak postanowiła, to postanowiła.

Mam wrażenie, że moje pokolenie zamiera i fizycznie i duchowo. Nie okazaliśmy się wielcy, dzielni. Nie przejdziemy do historii dumnie, a wszystko było w naszych rękach..., a też przecież moich.

Przy okazji dowiedziałem się, że „Topos” poszedł pod bezpośrednie **stałe** (tak jak „Twórczość” i „Odra”) finansowanie Głównego i już nie musi się starać co roku o środki finansowe. Zawsze podziwiałem Kuczyńskiego za talent w uzyskiwaniu kasy. Zawsze najwięcej brał z Marszałkowskiego, brał z Miasta Sopotu, brał z ministerstwa. A teraz już nie musi się martwić. Ale, bo ja wiem, czy mu zazdroścę? Chyba jednak dobrze te pieniądze wykorzystuje. Bo pismo od lat jest dobre. Choć światopoglądowo skręca mocno w prawo, co nie jest moją bajką.

15 maja 2022

Wczoraj skończyłem siedemdziesiąt dwa lata. Dostałem od Agnieszki piękne żółte, wiosenne tulipany. Z ciętych kwiatów właśnie tulipany lubię najbardziej. Z ogrodowych róże, żółte magnolie, a też sasanki i wiosenne tłumy niezapominajek.

Jakby wywołany moją korespondencją z Romkiem, odwiedził mnie Adzik z Ludwiką. Niestety, miła wizyta skończyła się niemiłym sporem na temat trybu przyznawania Pomorskiej Nagrody Artystycznej. Nie powinienem był go rozliczać z tej sprawy, gdy był moim gościem. Przepraszam.

11 czerwca 2022

Aldonka M. jest w Polsce. Jutro ma mnie odwiedzić.

Liczę, że będę w formie, bo od kilku dni mam zaburzenia ciśnienia krwi. Bywa, że 180/110. Ale biorę dość skuteczny środek na obniżenie ciśnienia.

1 czerwca 2022

Jeże pojawiły się w ogrodzie, chyba czteroosobowa rodzinka. Wyszły po letnim, ciepłym, deszczu tuż po zmierzchu.

Przyszły wczoraj książki od Czesława Karkowskiego, jego przekłady *Poematów* Whitmana, a też zbiór esejów pod tytułem *Szkice*. Szkoda, że Whitman bez wersji angielskiej, ale i tak czytam z zapalem. Ewidentnie takich porównywalnych poetów w Polsce nie było i dlatego chce się go czytać i wcale nie dlatego, że amerykański, że z innej kultury, z innego świata, z innego sposobu myślenia. Jego poezja jest szeroka, porównywalna w Polsce tylko do Norwida.

Szkice też ciekawe, zresztą częściowo je znałem, bo były publikowane w „Migotaniach”.

Aldonka prawie się nie zmieniła. Widać tylko ślady choroby oczu, ma nieco inny krój oka i powieki. Rozmawialiśmy prawie pięć godzin. Mam wrażenie, że nie zadałem jej wielu pytań, a może ona mnie też. Mówię o tych pytaniach, które **powinno** się postawić. Być może na to trzeba kilku dni? Gdy uświadomiłem to sobie, zacząłem szybko opowiadać różne rzeczy, ale zbyt chaotycznie i może trochę ją zagłuszyłem?

21 czerwca 2022

(do Czesława Karkowskiego)

„Dzień dobry,

bardzo mnie ucieszył Pański esej, na pewno pójdzie w numerze 3/2022 i najpewniej w dobrym eksponowanym miejscu.

Zadał Pan sporo ważnych pytań, a jeszcze więcej sprowokował u czytelnika. Obszar problemowy, który poruszył Pan jest ogromny, bo po prawdzie – tak czytam tekst – wcale nie Heidegger jest w eseju najważniejszy (choć ogromnie identyfikuję się z Pana interpretacją jego filozofii), ale cały szereg niezłatwio-

nych filozoficznych kwestii dotyczących najnowszej współczesności. Kwestie rozumności i tłumy, popularności i głębokości rozumowania, demokracji wiedzy i jej koniecznej elitarności, demokracji i prawdy, to ledwie kilka kierunków myślenia, w które poprowadził mnie Pan swoim esejem. Większość zadanych i niezadanych przez Pana pytań nie jest z tych, na które doczekamy się dobrej odpowiedzi. Ale trzeba je stawiać. Nieustannie - idąc za Pana cytatem z Pounda – od nowa, na nowo.

Serdecznie pozdrawiam, Zbyszek Joachimiak

PS. Książki dotarły, leżą na moim stoliku z czytаныmi aktualnie tytułami. Zaproponowałem omówienie *Szkiców* jednemu z moich migotaniowych autorów, ale nie mam jeszcze odpowiedzi. Zobaczę, co mogę zrobić z Poematami Whitmana.

22 czerwca 2022

Odezwał się znowu Adam Bujarski, to niezwykle poeta, niezwykle są jego wiersze i teksty niby -prozatorskie, niezwykle języki i wyobrażenia. Opublikuję mu kolejne teksty, ale on powinien wydać tom! Tom swoich tekstów. Poradziłem, aby zwrócił się do swojego Urzędu Marszałkowskiego, do Departamentu Kultury, aby dali mu grant, stypendium na wydanie książki, ja dam mu promesę wydawniczą z Fundacji. Ale może to ja obojście powinienem zwrócić się w jego sprawie do jego Urzędu Marszałkowskiego, bo sądzę, że on niekoniecznie da sobie radę z biurokratycznymi wymogami. Zobaczę, co odpowie. Jeśli to nie wyjdzie, wrócę do pomysłu wydania jego wierszy w mojej FŚL.

Moi umarli: Leszek Żuliński

Przez lata współpracował z „Migotaniami”, był w stopce redakcyjnej najmniej od piętnastu lat. Niepokoili mnie jego mniejsza aktywność ostatnimi czasy, ale wiedziałem, że ma kłopoty ze zdrowiem, a więc nie robiłem mu wyrzutów. Zresztą, gdy pilnie coś potrzebowałem, pisał, nie narzekając, że brakuje mu sił. Znałem go jeszcze z lat siedemdziesiątych, z czasów, gdy ledwie wchodziliśmy w obieg literacki. Doceniłem go znacznie później, już po przełomie politycznym w Polsce, gdy życie literackie się rozproszyło, a wartościowa krytyka stała się towarem mało dostępnym. A dobry krytyk, recenzent, a jednocześnie świetny

poeta, który podejmował się trudnych omówień książkowych, panoramicznych esejów, to już dla pisma literackiego był skarb nad skarby.

Przyjaźniliśmy się, choć była to przyjaźń bardzo charakterystyczna dla nowego, XXI już wieku, spełniająca się poprzez korespondencję mailową i lekturę własnych tekstów.

24 czerwca 2022 korespondencja o Leszku Żulińskim

„Drogi Panie Zbyszku!

Wróciłem wczoraj z mojej ulubionej Suwalszczyzny - tym razem zimnej i deszczowej - otworzyłem pocztę i zobaczyłem, że bardzo mnie Pan dopieścił „Migotaniem” - i wiersze i arkusze i *Okruchy*. Bardzo dziękuję. Ale jeszcze bardziej jestem Panu wdzięczny za słowa o Leszku Żulińskim - reakcja jak na kwartalnik błyskawiczna.

Pożegnałem Leszka - kiedy musiałem przemawiać nad mogiłą - czternastego maja na cmentarzu w Ursusie. Ostatni raz spotkałem się z nim dziewiętnastego lutego na moim jubileuszu. Przez cały czas ganiał za mną i pytał, gdzie jest jego parasol. Miał już galopującą demencję, podobną do demencji Tadeusza Śliwiaka. Ale mimo to uporządkował swoje sprawy, zakończył je, pożegnał się. Jestem umówiony z synem Leszka, Michałem - będziemy się zastanawiać co zrobić z jego księgozbiorem; ot, nieszczęście.

Za kilka dni wyślę Panu *Okruchy*, chyba już piąte. Nie spo-

Zmarł Leszek Żuliński

Nasz przyjaciel i kolega. Członek Związku Literatów Polskich.

Urodzony w 1949 roku poeta, krytyk literacki, publicysta. Debiutował w 1971 r. Wydał 17 tomików poetyckich oraz 19 książek krytycznoliterackich lub związanych tematycznie z kulturą. Prowadził działy literackie w tygodnikach „Tu i teraz”, „Kultura” i „Wiadomości Kulturalne”; był sekretarzem redakcji miesięcznika „Literatura”. Od 1985 do 2009 roku zasiadał w kapitule Warszawskiej Premiiery Literackiej.



Pozostajemy w smutku. Żegnaj!

dziewałem się, że tyle tego napiszę. Mam na ten temat pochlebne opinie, czego się nie spodziewałem. Ale, piszę w tych kawałkach dużo o Rosji i teraz, czytając to, mam poczucie niestosowności. Tym bardziej, że moje filo zdecydowanie przeszło w fobię. Toteż, jeśli Pan pozwoli, zamiast zwykłego felietonu, wyślę tekst pt. „I co ja mam z tym zrobić?” O moim Bablu, Bułhakowie, Czechowie, Mandelsztamie, Chlebnikowie, o Czajkowskim i Rachmaninowie. O zmarłych przyjaciółach - Moskalach i o Miszy Kurajewie, który entuzjastycznie poparł Putina. I o ministrze Glińskim z jego wypowiedzią, że nie ma u nas miejsca dla Gogola i Puszkina.

Serdeczności proszę przyjąć - Marek Wawrzekiewicz”

„**Panie Marku**, choć czasu wiele do następnego numeru, to już nie mogę doczekać się obiecanego tekstu z Rosją w tle. Dla Polaków Rosja, Rosjanie, pisarze rosyjscy - kultura rosyjska to znacznie więcej niż inna i znaczy co innego. To nasz kompleks, to nasz historyczny problem. Jestem bardzo ciekaw, co Pan napisze?

O Glińskim szkoda gadać, bo to profesor głąb, cham i dupek polityczny.

Nie wiedziałem, że Leszek miał taki dramatyczny koniec życia. Musiał zdawać sobie sprawę z tego, co go czeka, skoro uporządkował swoje sprawy. Jedno jest pocieszające, że jeśli umierał w demencji, to niekoniecznie w lęku. Późna demencja bywa miła dla chorego. Tak twierdzi moja żona, psychiatra.

Leszek był naprawdę utalentowanym krytykiem, super czytelnikiem poezji i sam bardzo ciekawym poetą. Od kiedy zaczęła się rozwijać jego choroba? Chciałbym, aby wiedział Pan, że jeśli trzeba by zrobić blok jego poezji, to ja jestem bardzo otwarty.

Serdecznie pozdrawiam, Zbyszek Joachimiak”

07.07 2022

Gdy dzisiaj czytam teksty krytyczne z mojej epoki, inicjacyjne (l. 70.), to albo mnie nudzą, albo szczerze rozśmieszają, bo są albo niezrozumiałe, albo groteskowo napuszone. Wyciągnąłem z wysokiej półki tom *Licytacji*, wydany przez PIW w 1981 roku. Nudy na pudy. Choć ciekawe psychologicznie, bo - jak to zawsze

było i jest - krytyka załatwiała różne inne problemy, ale nie omawianej literatury. Napuszenie intelektualne w tekście Stanisława Rośka służy prostej sprawie, którą można było wyrazić prostymi słowami: „chłopaki nie podoba mi się to, że nie chcecie być heroiczni jak Nowa Fala albo KOR. Staszek zawsze był niespełnionym rewolucjonistą. Najbardziej podobała mi się w tym tomie krytyka w wykonaniu Jana Sochonia, bo najpierw czytał teksty, a potem wyciągał wnioski, a nie odwrotnie, jak u Rośka. Casus Rośka jest bardzo powszechny i dzisiaj. Ilu krytyków rozumie wiersze, dzieła literackie, które omawia? Albo lepiej zapytać: ilu z nich **chce** coś wyczytać z książek swoich kolegów poetów?

Dobre szkoły krytyczne wymierają. Czy jest pośród nowych krytyków ktoś klasy Błońskiego, Barańczaka, a niech, tam, nawet Stanisława Rośka? Zmarł Leszek Żuliński, a on właśnie należał do tych nielicznych, których teksty krytyczne chciało się czytać. Jest wprawdzie bardzo interesujący krytyk, który dużo pisze w „Migotaniach”, Andrzej Walter. Bardzo lubię w jego tekstach osobiste tony, ale jednak musi zapanować nad emocjami, bo ich nadmiar niszczy bardzo ciekawą i niekiedy odkrywczą narrację. A przyszedł mi on teraz do głowy (i w ogóle ten cały powyższy wątek), bo dzisiaj zwrócił się do mnie właśnie Andrzej Walter z propozycją opublikowania wywiadu w pisarze.pl. Napisaliśmy go techniką mailową. Wyszło około dziesięć stron, a ledwie musnąłem tematy, które mi zadano.

Z pewnym zaskoczeniem spostrzegam, że nie mam pretensji do historii, do czasów, które już przeszły, a czasy obecne zasadniczo mi się podobają. Zdaje się, że rozczarowałem Waltera tym moim optymizmem.

Wielka krzywdę uczynili Tadeuszowi Różewiczowi Ci, którzy doprowadzili do tego, że Nagrodę Nobla otrzymali Czesław Miłosz i Wisława Szymborska. Prawdziwym gigantem poezji był, jest i pozostanie właśnie Tadeusz Różewicz i może jest on jedynym w takiej skali w Polsce.

Od niego zaczęła się tak szeroka, powszechna i głęboka penetracja duchowości w kulturze polskiej powojennej (po katastrofie). Uproszczenie języka, formy poetyckiej, to nie znaczy uproszczenie duchowe. Do dzisiaj włosy mi się na rękach jeżą,

gdy zaczynam cytować *Ocalonego*. Nawet, gdyby było prawdą, że Różewicz otworzył zbyt szeroko drzwi wszystkim, którzy poczuli niepokój poetycki, także grafomanom, to co? Co w tym złego?

Poezja przed II wojną była świetna, oczywiście, ale czy była w stanie odpowiedzieć na drugą połowę XX wieku, na totalną wojnę światową i egzystencjalne mroki powojennej komunistycznej Polski? Czy była w stanie tak się odświeżyć lirycznie, jak to uczynił Różewicz w tomie poświęconym matce? Polska poezja, dzięki Różewiczowi, odzyskała głos, który bez niego pozostałby w dużej mierze stłamszony i anachroniczny, czy wręcz archaiczny. Czy bez Różewicza możliwy byłby Herbert, poeci nowofalowi, ale również nowoprywatnościowi? A może nawet ci ostatni szczególnie? Aby pisać/czytać jak Miłosz, jak Szymborska, trzeba najpierw poczytać Różewicza. On przeprowadził nas przez poetycki czyściec. Dzisiaj możemy pisać wolni i oczyszczeni z piekła XX wieku.

Pytanie: czy i kiedy urodzi się nam Różewicz XXI wieku? Bo poezja polska, choć w niezłym stanie, jest zasadniczo nudna i mało dramatyczna, choć może to zbyt radykalne określenia. Gdy czytałem Różewicza w młodości, płakałem. Gdy czytałem Eliota, drżałem. Gdy czytam Szymborską jest mi miło i zabawnie. Gdy czytam moich poetów w „Migotaniach”, widzę, że mają opanowany warsztat.

10 lipca 2022

A to niespodzianka. Zadzwoił do mnie Bohdan Wrocławski z propozycją ocenzenia wywiadu, bo, jak powiedział, nie chce mieć politycznych wystąpień w pisarze.pl. Zszokował mnie, bo jakąż w tym wywiadzie polityka? Raczej sentymentalne wspomnienia, a nie ataki na cokolwiek i kogokolwiek. Ustaliłem, o co mu konkretnie chodzi. Oto ten straszny polityczny fragment: „Nawet nasz najwybitniejszy od czasów PRL minister kultury choć szkodzi kulturze, to nie jest w stanie jej zawrócić, bo ona jest silniejsza od wszelkich administracyjnych i politycznych manipulacji. Zresztą, to nie jest największy problem kultury XXI

wieku jako takiej, czy też nawet nie konkretnie polskiej.”

Nie spodziewałem się, że Bohdan jest takim obrońcą ministra Głińskiego i miłościwie panującej władzy pisowskiej. Nie pamiętam, jaki był jego stosunek do PO i ministra Zdrojewskiego, ale chyba był krytyczny. Dziwne. Odpowiedziałem mu, że nie ulegałem sugestiom cenzury w PRL-u, to i teraz nie poddam się działaniom cenzorskim, choćby w jej sympatycznym wydaniu.



Bohdan Wrocławski. Poeta jednak chyba Orientacji, choć czy ta kategoryzacja ma jakiś sens? Piszę cały czas. Jego wiersze są zaskakująco świeże i dobre. To jeden z tych, co na starość nie rezygnują z pisarstwa poetyckiego.

11 lipca 2022

Czytam fascynującą *Kronikę* Thietmara.

Fascynująca jest przez ogromną ilość informacji historycznych, które podaje autor, to oczywiste. Lecz jeszcze bardziej interesująca jest warstwa (nieco skryta) prywatnych, wręcz osobistych wyznań autora, ukazujących jego zaangażowanie, lub obojętność na omawiane sprawy, emocje, tajemnice osobistego życia. Nowoczesny język tłumaczenia, którego autorem jest Zygmunt Jedlicki, świetnie pomaga w czytaniu tej kroniki i wcale nie odbiera jej specyficzności starego tekstu, jej ducha. Uderza podporządkowanie warstwy moralnej **estetyce** i etyce religijnej. Format pisarski nie jest porywający, ale może właśnie rodzaj średniactwa mentalnego jest wartością *Kroniki*. Wartościowanie również jest podporządkowane tej etyce religijno-kościelnej. Gdyby Thietmar był kronikarzem współczesnych czasów, również byłby fascynującym pisarzem, choć może nie natchnionym na dzisiejszy sposób, a najpewniej świat wartości uległby kompletnej odmianie, a na pewno w sferze estetycznej.

Muszę wrócić do mniej znanej, ale w Polsce bardziej cenionej *Kroniki Słowian*, Helmolda (była tłumaczona na polski chyba przez Lelewela?).

Przyszły w poczcie książki: Marty Fox, Katowice nie wierzą



Z Martą Fox w 2022 roku

łzom (koszmarny tytuł, ale zaskakująco ciekawe teksty o różnych miejscach w Katowicach, ciekawe nawet dla osoby, która nie ma żadnych związków z tym miastem) oraz dwa tomy poezji Janiny Barbary Sokołowskiej, *Nike* (z posłowiem Leszka Żulińskiego) i dwujęzyczny *O tym wszawym życiu - On This Lousy Life*. Sokołowska to moja migotaniowa autorka.

Jest też na moim biurku nowy wybór Strzępów, Andrzeja Szuby.

**Doszedł też od Bogusia Żylko zbiór jego szkiców,
Od Bachtina do Łotmana.**

To nie są nowe eseje, ale wciąż bardzo ważne.

Znakiem czasów jest, że teraz każdy autor, zajmujący się kulturą lub literaturą rosyjską, uważa za konieczne tłumaczyć się z tego. Bez sensu, to, co dobre w literaturze i myśli rosyjskiej (lub rosyjskojęzycznej) pozostanie dobre, nawet gdyby wojna rosyjsko-ukraińska się rozlała na całą Europę.

Co ma Bachtin, Łotman do rosyjskiego hitlerka Putina?

Wielu ludziom otworzyły się oczy na wielkoruski i imperialistyczny charakter kultury rosyjskiej, ale niecała jest ona taka.

Z wielkoruskimi abberacjami trzeba polemizować, ale na całą rosyjską literaturę nie da się zamykać oczu.



Boguś Żylko, w ogrodzie na swojej posesji w Oliwie

Jest poważny problem ze społeczeństwem rosyjskim, które bardzo się pobudziło nacjonalistycznie i imperialnie. To fakt. Trzeba to uświadamiać sobie i pisać o tym, bo ten filtr jest pożyteczny w czytaniu literatury pięknej rosyjskiej. Ale nie należy się bać poezji Achmatowej, Cwietajewej...

Wywiad w pisarze.pl poszedł w całości, nieocenzurowany. Dobra decyzja, Bohdanie.

18 lipca 2022

Po dwudziestu latach miauczenia i kapryszenia zmarła moja kotka, Pela. Zawsze była półdzikim kotem, bo została wzięta z ulicy. Nigdy nie nauczyła się wchodzić i siedzieć na kolanach.

Ostatni rok nie wychodziła do nas, żyła w swojej ciepłej i przytulnej piwnicy. Była moja, nikt w domu nie chciał się nią opiekować. Smutek.

25 lipca 2022

Piękny gorący dzień. Odwiedzili mnie dzisiaj w ogrodzie Adzik Zawistowski i Romek Warszawski.

Romek miał dwa powody. Po pierwsze odbierał wraz ze mną nagrodę Marszałka Województwa Pomorskiego z okazji 20-lecia „Migotań”,

Po drugie, wydaję Romkowi nową książkę (*Podróż przez spaloną ziemię, czyli terytorium Apaczów*) i mieliśmy kilka spraw do ustalenia.

Adzik, na moją prośbę, przyjechał na Dubois wręczyć nam dyplomy, a też nagrody finansowe.

Niestety, czuję się tak podle, że nie mogłem pojechać odebrać wyróżnienia w siedzibie marszałkowstwa.

Adzik był miły, ale unikałmy drażliwych tematów. Skupiliśmy się trochę na plotkach, trochę na narzekaniu na zdrowie, trochę ogólnym narzekaniu na współczesne czasy. Razem obśmialiśmy

wydawnictwa „Nowego Zapisu”, co nie było trudne, biorąc pod uwagę zawartość kwartalnika z mało zaskakującymi nazwiskami w rodzaju (Wencla, Polkowskiego i Kuczkowskiego). Po pół godzinie Adzik nas zostawił. Ja z Romkiem skończyliśmy ustalać szczegóły wydawnicze jego książki.



Władysław (Adzik) Zawistowski

Adzik przywiózł kilka płyt CD, które zostały wydane z finansowaniem Marszałka. Między innymi Nowowiejskiego, Haendla na organy, kompozycje wokół Bacha, Zbigniewa Kruczka, ale szczególnie mnie ucieszyła płyta z piosenkami Waldka Chylińskiego.

Waldek Chyliński był przez jakiś czas moim dobrym znajomym, kolegą, a może chwilami uznawaliśmy się za przyjaciół. Łączył nas również stosunek tzw. szwagrów. Mieliśmy wspólnie erotyczne ekscesy, głównie u mnie na Dywizjonu, bo nie było wtedy lepszej garsoniery w mieście.

Ale liczyły się jednak przede wszystkim koleżeńskie relacje.

Przez lata wpadałem do nich do ich super małego mieszkania na Przymorzu. Lubiliśmy wypić, pogadać, spędzić życzliwie czas.

Waldek i Aśka (jego żona) bywali też w latach dziewięćdziesiątych na przyjęciach, które często organizowałem na Dywizjonu.

Fajnie było mieć takich życzliwych przyjaciół. Szczególnie tak blisko, dziesięć minut spacerem. Lubiłem jego piosenki, z których nigdy nie wyrósł, na zawsze został piosenkarzem *studentkim*. Miał talent tekściarski, napisał kilka naprawdę dobrych piosenek w stylu poetyckim.

Niedawno o nim myślałem, a tu proszę dostałem jego płytę. Nasza przyjaźń się zakończyła z banalnego powodu, Waldziu potrafił plotkować ponad miarę i gadać naokoło rzeczy, których nie powinien.

Pewnie naszemu rozstaniu pomogła też ich wyprowadzka z Przymorza do Gdyni, gdzie wybudowali dom.

2 sierpnia 2022

Napisał do mnie Grzegorz Musiał, czym mnie bardzo ucieszył.

„Drogi Zbyszku, dziękuję Ci bardzo za maila. Zapewniam Ciebie, że nic szczególnego za moim milczeniem się nie kryje, po prostu zrobił się mały zamęt, który Ci wcześniej sygnalizowałem, spowodowany nagłym przyspieszeniem, przez wydawnictwo Zysk, w produkcji drugiego tomu mojego *Dziennika Włoskiego. Apulia. Abruzja. Rzym*. Książka ukazała się w końcu czerwca br. i po prostu materiał do publikacji mi się w ten sposób skończył. Ale właśnie przystąpiłem do pracy nad tomem trzecim *Toskania*, który ukaże się najwcześniej wiosną przyszłego roku, więc jest czas, by to i owo opublikować. Wyślę Ci zaraz kawałek, gdy tylko zrobię czystopis pierwszych stron z brulionów.

Przy okazji informuję Cię, że w październiku br. ukaże się też potężny drugi tom mojej powieści biograficznej o Tamarze Łempickiej *Ja, Tamara*. Tom pierwszy powinien mieć ode mnie, bo został Ci wysłany. W tomie drugim, a zarazem ostatnim zawarte są na końcu moje liczne podziękowania, w tej liczbie – Tobie, który pierwszy opublikowałeś niegdyś w Migota-

niach fragmenty tej książki. Pozdrawiam Cię najserdeczniej.”

Minęło już wiele lat od kiedy obserwuję pisarstwo Grzegorza.

Rozpoczęło się tomikiem u Leszina, (*Rewia*), a potem w Wydawnictwie Morskim obszernym już tomem.

Grzegorz był czynnym uczestnikiem naszych grupowych (Wspólność) działań. Ale przecież najważniejszym motorem naszych kontaktów była po prostu przyjaźń. Jakoś dotrwała do dzisiaj.

Poznałem Grzegorza u Ani Czekanowicz, dojeżdżał do nas z Bydgoszczy, gdzie do dzisiaj mieszka (byłem u niego kiedyś w pięknym mieszkaniu w samym centrum miasta).

17 sierpnia 2022

„Panie Marku,

dziękuję za przesłane teksty, a szczególnie za przejmujące wyznania dotyczące Rosji.

Wiele ludzi dzisiaj robi takie rozliczenia, ale niewielu tak panoramicznie to ujmuje. Wszystkie teksty moich autorów- tłumaczy zwykle są teraz opatrzone jakimś komentarzem odnoszącym się do nowej (czy nowej?) sytuacji na Wschodzie. Moim zdaniem jest to właściwe.

Ta szczególna cywilizacja rosyjska przekroczyła jakiś rubikon, jakąś granicę i teraz nie można już udawać, że jest to tylko wojna Putina, jak twierdzi kanclerz niemiecki Scholz, gdy sprzeciwia się ograniczeniom wolnego przepływu turystów rosyjskich do Europy. Nie rozumie, że jest to problem niewolnych ludzi, którzy chcą przybyć do wolnego świata nie zdejmując swoich kajdan i nadal chcą głosić nacjonalistyczną chwałę swoich **wojen**.

Właśnie *wojen*, podkreślam, bo historia Rosji współczesnej (i dawnej też) to historia grabieży, napaści, gwałtów, najazdów. To nie jest tylko wojna Putina, tak jak II wojna nie była wojną tylko Hitlera, a całego narodu, społeczeństwa niemieckiego.

My, miłośnicy kultury rosyjskiej, musimy ją zrewidować, nie mam na myśli zaprzeczyć jej humanistycznym osiągnięciom.

W tej kulturze, (a może nawet cywilizacji), jest wiele zła i to trzeba odkryć. Oddzielić ziarno od plewy. Nie zamierzam

w „Migotaniach” wprowadzić sankcji przeciwko rosyjskim autorom, bo oni są, bo ich dzieła funkcjonują, ale będę szczęśliwy, jeśli moi migotaniowi autorzy będą spostrzegać paradoksy rosyjskiej kultury, o których, zresztą, Pan wspomina, na przykład wielki humanizm, a jednocześnie wielkoruski nacjonalizm wielu rosyjskich autorów (Puszkina, Dostojewski, Solżenicyn).

Trzeba też obserwować, co piszą współcześni autorzy.

Moim zadaniem tam, w Rosji, musi się zacząć proces rewizji, choć może nie tak szybko. Klęska Rosji już się rozpoczęła, ale to jest trochę jak czas u Swedenborga - Rosjanie jeszcze nie zauważyli zapaści, bo sekunda historyczna w świadomości człowieka trwa czasami długie lata.

Niemcy potrzebowali wielkiej przegranej, wielkiego przetrzebienia, zniszczeń, wielkiego potępienia, aby się przedefiniować po chorobie nazizmu. U nich choroba trwała relatywnie krótko, niestety, u Rosjan, jest od zawsze i to napawa pesymizmem.

18 sierpnia 2022

Adzik Zawistowski powiedział mi, że w złym stanie zdrowotnym jest Jan Niżnikiewicz.

Jaś to ciekawa postać. Lekarz neurolog, z aspiracjami literackimi. Napisał kilka interesujących książek. Koncentrował się na tematach mitologicznych, fantastycznych i z pogranicza nauki. Nie potrafiłem się z nim bliżej zaprzyjaźnić, mimo że Jan starał się o to. Nawet zaprosił nas na obiad, a jest prawie naszym sąsiadem, bo mieszka na Przymorzu. Agnieszka



Jan Niżnikiewicz. Niestety zmarł.

współpracuje z nim i podsyłali sobie wzajemnie pacjentów, ale wiem, że teraz od dłuższego czasu nie ma z nim kontaktu.

19 sierpnia 2022

(do R. Warszawskiego)

„...tekst o Ferenc and spółka jest ok.

Ale też jest straszny! A właściwie straszny jest obraz rodziny, jaki się wyłania z tekstu. Kilka fragmentów mnie przejęło mocno, na przykład Jankowski drący wiersze córki... Albo matka, zamykająca się w pokoju, i zabraniająca przeszkadzania jej, gdy pisze, lub jak to jest określone **pracuje**. Nie dziwię się, że obie córki spieprzały z domu jak tylko mogły.

Powiem Ci tak: ich życie to był mały koncentracyjny obóz poetycki.

Nie wspomnę o takich kwestijkach jak: „Akurat w Kołobrzegu potrzebowali kierownika Wydziału Kultury. Oferowali pracę z mieszkaniem! Pojechali tam i zakotwiczili na kilka lat” (bardzo poszukiwana i rzadka specjalizacja!), a potem cudowne możliwości ZLP, który załatwił czteropokojowe mieszkanie w Sopocie. Wiesz sam jak to brzmi.

Ale to dobrze, że wybrzmiewają *dziwności* ich życia w tym tekście. Bo też taki był świat PRL-u.”

4 września 2022

Wdałem się dość przypadkowo w dyskusję z Anną Frajlich, ale sprowokowała mnie swoim złym nastrojem i narzekaniem, że w naszych czasach rządzą kretyńscy, jak się wyraziła. Zasekundowałem jej i napisałem:

„Oczywiście, że światem rządzą kretyńscy. Tak było i jest i będzie (najpewniej). Czy doszłoby do I wojny światowej, gdyby nie kretyńscy braciszkowie królewscy i w Londynie i w Moskwie i w Berlinie. Miła rodzinka. Wszak świat był w rozwoju, w doskonałej kondycji ekonomicznej, rozwijała się nauka i sztuka... A jednak.

A pamiętasz tego kretyna, który przywiózł pokój w 1938 roku dla Europy, niejakiego Chamberlaina?

Nie dziwi mnie nadmiernie, że teraz pojawiają się Trumpowie, Orbanowie, Kaczyńscy, choć boli i niepokoi. Chorzy z nienawiści zawsze się rodzą, te hitlerki, putinki, karadzidze i nieustannie świat musi sobie dawać z nimi radę. I ostatecznie daje sobie radę. W tym pociecha, choć koszty wydają się wiele razy zbyt duże.

Staram się utrzymywać duży dystans do dziejów, bo wtedy widać, że jednak świat posuwa się we właściwą stronę pomimo

zapaści i klęsk. Muszę tak patrzeć, bo inaczej można by zwariować ze smutku, bo masz rację - w naszej krótkiej perspektywie życiowej zbyt wielu rządzi światem nie wiedząc, co czynią.

Staram się zauważać i pamiętać, jak zmieniło się moje życie w przeciągu pięćdziesięciu lat (na przykład), ilu mniej jest głodujących ludzi blisko mnie, jak poprawił się średni poziom cywilizacyjny, jak liczne są organizacje pomocowe w świecie, jak poprawiła się opieka zdrowotna i wydłużyło ludzkie życie, i że jednak solidarność wobec Ukrainy jest faktem.

Mam świadomość, że świat jest nieustannie na granicy samounicestwiania się, a jednak przeczługuje się przez kryzysy i znowu podnosi. W tym jest nadzieja. ”

Dostałem zaskakującą odpowiedź:

„Obawiam się, że wyciągasz wnioski na podstawie jednej przesłanki. Zresztą, widzę też takie zjawisko, że jak ktoś się nazwie tzw. „demokratą”, to może kłamać, kraść, zabić, ale wyjdzie cało, bo to „demokrata”.

Zaangażowanie Bidena w Ukrainę ma długą historię, jego syn dostawał od Ukrainy miliony dolarów, za które wciąż niektórzy chcą go sądzić. Ale jak powiedziałam demokratów się nie sądzi.

Bardzo cieszę się, że Biden zajął się wspomaganie Ukrainy. My też staramy się wspomagać Ukrainę, ale, oczywiście, nie mamy dużych możliwości.

Natomiast to, co ten Biden zrobił w Afganistanie, to straszna tragedia. Tyle ludzi zginęło w okrutny sposób przez jego głupotę.

A także to, co ten idiota zrobił na południowych granicach Stanów, to zbrodnia. Tylko po to, aby pokazać tyłek Trumpowi spowodował katastrofę. To, co się w tej chwili dzieje w Stanach, zbrodnie na każdym kroku, masowe śmierci od narkotyków, sprzedawanie ludzi, głównie dzieci, kartelom.

Tego się nie odrobi latami. Nie wiem, co będzie.

Ale do Was docierają tylko fakty przepuszczone przez dwie cenzury, amerykańską i polską.”

Co mam o tym myśleć? Nie potrafię tego sensownie skomentować - jest w tym jakaś charakterystyczna dla prawicowych poglądów furia.

Zdaje mi się, że trafiłem na rzeczniczkę trumpizmu? Cóż, wy-

bitna poetka ma prawo do poglądów politycznych, nawet mnie zaskakujących.

24 września 2022

Ze sporym opóźnieniem przeczytałem wystąpienie Stefana Chwina „Zwodnicze piękno”, Kraków, Muzeum Narodowe, 2016 r..

Wracam do tego tekstu z kilku powodów. Najmniej mnie porwały dość akademickie rozważania wokół wiersza Różewicza, *Potęga smaku*.

Wbrew wstępowi autorstwa Michała P. Markowskiego, Chwin wcale nie opowiada się za *smakiem*, a może nawet sytuuje się przeciwko roli piękna, jako kategorii etycznej. Potwierdzają to najwyraźniej te części tekstu, gdzie wyraźnie słychać zafascynowanie Stefana ekspresjonizmem, który jest (przynajmniej w tym eseju) wrogiem piękna.

Sam nie wiem dobrze, jak się w tym sporze opowiedzieć, ale może w ogóle nie ma tu miejsca na sprzeczki, może piękno, brzydota, wrażliwość na ciemną stronę świata lub ślepotą nie są w stanie sporu, a są po prostu obliczami jednej rzeczywistości.

Tak czy owak te rozważania poprowadziły Stefana do naprawdę ciekawych wyznań i one mnie zafascynowały. To bardzo osobisty tekst, powiedziałbym bardzo *prywatnościowa* eseistyka.

Wychodząc od ważenia piękna w ludzkim działaniu doprowadził się Chwin do wyznań na temat Boga, swojego stosunku do sztuki, do swoich relacji z innymi ludźmi, do tłumaczenia swoich zachowań społecznych, do historii - i tej powszechnej, jak i osobistej. Gość, który mieszkał na niewielkiej ulicy w Oliwie, w pobliżu ówczesnej Wyższej Szkoły Nauczycielskiej, doprowadził swe myśli do kosmicznej wręcz perspektywy.

To wszystko napisał bardzo osobiście, nie jako autor eseju, ale jako Ja, Stefan Chwin. Taka narracja powoduje, że czujemy tu jakąś wartość dodaną, nie tylko intelektualną dyscyplinę, nie tylko popisy erudycyjne i stylistyczne.

Stefan pojawiał się w moich wspomnieniach, a też na stronach tego dziennika, wielokrotnie. W latach siedemdziesiątych lubiliśmy się, pokazują to nawet zachowane zdjęcia. Ale w roku 1980, po sierpniu nasze drogi się rozeszły. Z wielu powodów, ale

również z tego jednego, specyficznego dla naszego pokolenia, gdy nie zaufał mi (a też Markowi Bieńkowskiemu) i nie stanął z nami w jednym szeregu, popierając Wydarzenia Sierpniowe (przyszlśmy jako młodzi pisarze do Stoczni siedemnastego sierpnia).

Stracił wtedy u mnie wiele na szacunku i autorytecie, a taki miał, będąc moim nauczycielem akademickim na UG, a potem jako rozmówca na wielu spotkaniach na forum „Litterariów”. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć jego postawy.

Dzisiaj w jego tekście jest wiele kwestii, które tłumaczą tamtejsze zachowanie (zachowania). Wyznaje w swoim esej, że zawsze miał nieprosty stosunek do wszelkiego rodzaju zgromadzeń ludzkich. Że zawsze stanowiły dla niego problem. Budziły lęk. Nie chcę tu omawiać szczegółów jego zwierzenia, ale to właśnie te fragmenty tekstu sprawiły, że przeczytałem je z uwagą, zainteresowaniem i... uwierzyłem mu.

Stefan zawsze był skryty. Manifestowało się to nawet na jego zajęciach akademickich, a jeszcze bardziej w naszych koleżeńskich relacjach. Po tylu latach wytłumaczył się nam z tych swoich skrytości, tajemniczych min, z niejasnego milczenia. Jest w jego tekście wątek o pisarstwie, twierdzi, że pisarz w jakimś sensie musi być i jest skazany na samotność, na stanie obok, na stanie poza grupą, tłumem. Ma rację. Ma rację.

Jest jedna pewna cichutka wątpliwość... Stefan bardzo chętnie występuje w mediach jako autorytet moralny, społeczny, literacki, akademicki... Jest z zasady bardzo pryncypialny. Czy jednak nie powinien być bardziej koncyliacyjny, mając w zanadru swoje doświadczenia lęku i wycofania? W dzienniku mogę nazwać to po prostu: tchórzostwem. Mocne słowo, wiem, ale może nie tak mocne, gdy pomyśleć, że go zrozumiałem.

16 listopada 2022

We wczesnej młodości, jak pamiętam od czternastego, piętnastego roku życia, dokonywałem licznych prób samobójczych, ale, na szczęście, w myślach i wyobraźni. Choć nie całkiem niewinnie. Na przykład, mając szesnaście lat, ukradłem z domu koleganki arsenik, bo chciałem go mieć na wszelki wypadek, gdybym potrzebował do sprawnego się otrucia.

Myśl o śmierci towarzyszyła mi nawet jeszcze wcześniej

i przetrwała znacznie dłużej (bo do dzisiaj), ale pomysły samobójcze zakończyły się ostatecznie i definitywnie, gdy podciąłem sobie, mając lat siedemnaście, żyły w obu rękach (ślady, blizny do dzisiaj mi pozostały).

Przetrwałem. Od tego czasu nie tylko zdecydowanie wiedziałem, że nie chcę powtórzyć tego „manewru”, ale myśl o samobójstwie przestała być dla mnie kusząca. Od tamtych wydarzeń trwałe i ciągle osuwam myśli o śmierci, a właściwie śmierć samą. Moją śmierć.

Przeszedłem wielokrotnie przez podejrzenia o śmiertelne schorzenia. Nieustannie odczuwałem lęk przed byciem chorym... Odczuwam je do dzisiaj, ale w mniejszym stopniu są już lękami, psychicznymi wydarzeniami, stanami, a bliżej odczuwaniem dyskomfortu fizycznego. Choroby. Dekompozycji fizycznej.

mózg

otworzyłem szeroko oczy i spojrzałem do tyłu
przede mną stała otchłań morza a może nawet oceanu
długie fale rozkładały szeroko dłonie
na przywitanie, albo po prostu wykonywały swoje
wcześniej zaplanowane zamiary objęcia wszystkiego co
się da

stałem na skraju powiek, rzęsy lekko drgały
pod wpływem oddechu morza i mojego westchnienia,
bo widok był naprawdę zapierający:
nieskończoność, nieskończoność,
a na każdej fali
grupy znajomych, grupy nieznajomych,
które wcześniej wpadły mi w żrenicę

dalej na widnokręgu widać było wiele łodzi
niektóre były parowcami a niektóre miały skrzydła,
były też korabie z czerwonymi żaglami
i ileż tam było ludzi, ileż, ileż!

z kąta oka wypłynęła mi łza myślałem na początku, że to
ze smutku,

ale to była wiadomość z dna oceanu,
dodawałem mnogości do mnogości, ale nie było więcej,
otwierałem powieki szerzej i szerzej, ale nie widziałem więcej

i nagle zrozumiałem - nieopatrznie zacząłem spoglądać
do przodu,
do przodu, którego ocean nie ma, nie miał i nie będzie miał,
bo ocean jest mózgiem, kępą galaretowatej substancji
trzęsącej się ze strachu, że wypadnie
z tej małej ograniczonej głowy wszechmocy

- - -

patrz do środka mózgu mój

nie patrz w dal
nie patrz na zewnątrz
cały kosmos jest w tobie
policz jeśliś taki cwany wszystkie swoje
fale, wszystkie swoje komórki, wszystkie swoje
synapsy do tam

tam na zewnątrz, to nawet mniej niż miraż platoński, głupcze,
chcesz zrozumieć?

szukaj w swoim oceanie w swoich rozlewiskach,
w swoich lagunach,
tam widać gwiazdy, tam są oni, twoi bliscy i najbliżsi,
tam są burza, deszczem i wiatrem nienawiści i miłości
słyszysz jak tyka czas, tik-tak tik tak, tik - tak
to za zasłoną powiek mruczy nicość, nic ,
które nie chce się dać wypowiedzieć,
nic, które nie zostało wypowiedziane
i wypowiedziane nie będzie

to po tej stronie jest słońce, tu jest blask
i przyjaźnie i machający rękoma nieprzyjaciele,
tu po tej stronie wszyscy są bliscy
i widzę - jest! moją nieżyjącą już od kilku lat sukę
labradorkę,

choć ona akurat macha ogonem

22 listopada 2022, Gdańsk

- - -

kosiarz na kucu pędzi ze stepu

z ust wypadają mi dość pokrętne i kościste słowa
skąd się one biorą skąd biorą swą kościstość,
są potrzebne - wiem, są konieczne, to też wiem,
bo trzeba jakoś powiedzieć nie, powiedzieć tak,
zakręcić karabinem maszynowym długich zdań
o tej wrednej wojnie na Ukrainie,
o tym jeźdźcu śmierci z mongolskiego stepu
trzymającym stalową kosę nad głowami świata,
carze carów świata
celującego kosą w dzieci pochowane w piwnicach,
które nawet nie wiedzą
że są zagrożeniem dla największej armii świata.
Trzeba te słowa wypuścić
nawet gdy stają w gardle -
są kościste wredne, są jak sznurki z rozkręcającego się
młota
czerni i niewidzenia,
z głowy są,
płyną porywicie czasami - szlag by trafił -
zalewając usta aż zatykają się, aż pojękują

nie dziw, bo zabierają się do spraw
którym święta Rita nie pomoże,
do tych potoków codziennych kłamstw,
od politycznych tańców po głód w Afryce,
po tonące pontony udające się do raju

Nie tylko pomimo, że słowa głuche
to jeszcze o kulach i w kulach
są jeszcze bezgłośnie.
Skąd się one biorą w tej mojej głowie,
w tym hałaśliwym morzu

moich nocnych udręk,
z nocnych przemilczeń?

-.-.-

ulice

piękne ulice Gdańska piękne ulice
wrzeszczą, są w paradnych stogach, olejają się
na całej długości miasta
lampy paradnie pobłyskują i strzegą w ciemnościach
najbardziej obficie.
Kolibią się spacerowiczami, motławią w starym mieście,
które nie jest aż tak stare

Blask pełźnie po oknach ze spuszczoneymi zasłonami
pelargonii (tam to muszą dziać się rzeczy, och rzeczy, że
aż ho).,
Jak pięknie, jak pięknie jest pod ulicą Dubois, bo pod nią
jest ta inna - jak ona się nazywała 60 lat temu?
Jak się nazywała 80 lat temu?
Tu był Langfuuuuuuhr...
teraz Wrzeeeszcz,

Pod nimi słyszę szelest, szurania tupoty
nóg, butów, trzewików, końskich podków.
Turla się wóz koński
na przeciwko Jaśkowej Doliny stoi stojący zegar
(na starych widokówkach nieustannie zmienia miejsca,
czy to znaczy, że wciąż chodzi?),
do Dubois pod numerem 28 pięć kroków,
Pani Ewa pierze starą koszulę swojego ojca - zaginął
w pięknej nadmorskiej wsi w Stutthofie, teraz Pani mówi
w *Sztutowie*,
jego Arbeitsbuch fur Auslander Herr Edward Z.
nr. A4453

Od tego czasu zeszczuplała Pani Ewa,
ogród od tyłu się zapuścił, bo nie ma Klary

z którą wspólnie w Danzigu hodowała króliki,
pozostały ścięte trawniki,
szelesty, kroki, tupot żołnierskich kamaszy.

Pod ulicą coś wciąż się porusza
na wierzchu widać tylko dwa wielkie dogi,
patrzają mi w oczy wnikliwie,
pytają się, dziwią, co tam co tam...

Czy to te psy, co zginęły w szaleństwie wojny,
czy to myśli które się nie dokończyły i wciąż
szuuuuumią i zapętlają urwany czas?
- coraz ładniejsze są te ulice
coraz bardziej lśnią.

Nocami widać monochromatyczne postaci
przewiewają się z końca na drugi koniec ulicy,
jeśli się stanie nieruchomo (choć kto by miał taki pomysł,
aby stawać na środku ulicy) w ciemnościach,
jak ten stojący zegar z Jaśkowej,
można z nimi się dogadać, dopowiedzieć, domysleć.

Czas rozgrzewa synapsy,
uliczki się łączą, porozumiewają -
słyszać to,
słyszać jak kanałami i ukrytymi ścieżkami
a nawet krecimi tunelami przydomowych ogródków
przepływają tajemne hasła
zaszyfrowane wiadomości.

Kto przejmie hasło otrzymuje pełen dostęp.
Moja karta wstępu to numer 59.

20 grudnia 2022

17 stycznia 2023

To sympatyczne ze strony Grzegorza Musiała, że w książce *Tamara, siostra wulkanu*, poświęconej Tamarze Łempickiej, umieścił

podziękowanie dla mnie. Moja rola w powstanie tej książki jest nadzwyczaj skromna, a właściwie żadna, sprowadziła się jedynie do wydrukowania w „Migotaniach” pierwszych fragmentów wówczas, w 2012 roku, powstającej książki.

Ale chyba trochę rozumiem Grzegorza, bo wiem jak starał się odnowić pamięć o Łempickiej w Polsce, niestety, bez większego echa po stronie państwowych i innych animatorów życia kulturalnego w naszym kraju.

W podziękowaniu brzmi echo tego rozczarowania, bo napisał, że w tamtych czasach mało kto wiedział o Łempickiej. W tym się myli, jest zbyt pesymistyczny, wiem, że miała swoich miłośników dziesięć lat temu. Wielu.

W ciekawej autobiografii mamy Romka Warszawskiego, pani Mirosławy Gąsiorowskiej, również znajduję ślady mojej obecności i literackiej i osobistej. Pani Mirosława wspomina o moich kontaktach z Romkiem, jak pisze, ważnych dla niego. Wystawia mi też bardzo wysoką ocenę jako poecie, wymieniając Zagajewskiego ocenia, że jestem lepszym od niego poetą. Miłe, ale chciałbym wiedzieć, na czym ta moja *lepszość* polega.

Przy tej okazji warto mieć świadomość, że jakkolwiek pośród uprawiających poezję wielu jest grafomanów, to jednak, gdy się przekroczy pewien (wysoki) próg sztuki, to wszelkie porównania ocenne poetów nie mają większego sensu. Każdy z nich egzystuje w swoim uniwersum i znajduje swoich czytelników (miłośników).

1 luty 2023

W historii stosunków polsko-rosyjskich od zawsze pojawiają się wzajemnie wrogie, nieprzyjazne wypowiedzi, które świadczą o stosunku obu sąsiadów do siebie. Zła krew polityków jest jakby zrozumiała (choć niekoniecznie akceptowalna).

Teraz, po agresji Rosji na Ukrainę, pojawiło się obustronnie (mam na myśli Polskę i Rosję) szczególnie wiele bardzo wrogich wypowiedzi. Są to najczęściej elementy propagandy, walki ideologicznej, czy po prostu zakłamywania historii i rzeczywistości. Zastanawiam się, czy jest to symetryczne działanie. W jednym aspekcie chyba nie.

Nie znam wielu historycznych wrogich tekstów literackich skie-

rowanych do narodu rosyjskiego, potępiających jego kulturę.

Najbardziej krytyczne teksty powstawały w okresie Romantyzmu, w XIX wieku. Ale, pomimo że Polacy, pisarze polscy, mieli niezwykle mocne powody do krytyki, niechęci czy wrogości, to jednak dość konsekwentnie oddzielali społeczeństwo, kulturę od rosyjskiej polityki i władców Rosji, a nawet najwyraźniej szukano obszarów solidarności i wspólnoty wartości (wolność). I raczej nie obdarzano rosyjskich pisarzy szczególną niechęcią, a wręcz przeciwnie, wielką atencją. Doceniano okupioną krwią i zesłaniami walkę Rosjan o wolność osobistą, wolność społeczną, o nowe, bardziej demokratyczne, państwo.

Tak było do końca XX wieku. Teraz to się nieco zmieniło. Coraz bardziej dociera do polskich pisarzy i działaczy kultury, że elementem imperializmu politycznego w Rosji jest również jej kultura i literatura.

Politycy rosyjscy chętnie sięgają do utworów literackich, w których przywołują poglądy rosyjskich pisarzy, głoszących prawo i uzasadnienie Rosji do aneksji sąsiednich krajów, do wojny z nimi, podporządkowywaniu ich potędze Rosji z użyciem wszelkich środków.

Dzisiaj czytałem, że niejaki Miedwiediew przywołał fragmenty tekstu Tiutczewa, który z wielkim przekonaniem głosił prawo Rosji do wojen i podporządkowywania sobie świata.

Niestety, to nie jest pojedynczy rosyjski autor, który głosi wrogie, na przykład Polsce i Polakom, poglądy. Najsmutniejsze jest to, że te poglądy głoszą naprawdę wybitni pisarze, by wymienić tylko Dostojewskiego, Babla, Sołżenicyna, a też Puszkina, choć nie w takiej jawnej imperialnej retoryce.

Teraz publikować będę w „Migotaniach” wspomnienia współczesnego rosyjskiego aktora, teatrologa, działacza teatralnego, Aleksieja Batałowa,



Maria Jentys-Borełowska

który nie wahał się poprzeć agresję na Krym i na Ukrainę. Drukuję go, bo jest we mnie silnie utrwalony imperatyw oddzielania sztuki od polityki i ideologii. Lecz wcale nie czuję się z tym dobrze, bo uświadamiam sobie, że ci wybitni uczestnicy kultury i sztuki są współuczestnikami, często zbrodniczych, działań politycznych, bo dają alibi ideologiczne swoim imperialnym władcom *Wielkiej Rosji*.

22 kwietnia 2023

Dziękuję, Miła Mario, za serdeczny mail.

„(...)To przykre, że odchorowałaś swoją wizytę u rodziny, ale dobrze, że ją masz i że mile jesteś tam widziana. Moje losy rodzinne się tak potoczyły, że pozostały mi dwie siostry.

Starsza w Szczecinie i ona mnie dość regularnie w raz w roku odwiedza. Młodsza siostra mieszka w Hiszpanii i jest na mnie obrażona, tak że nie widuję się z nią wcale.

Moja córka jest w Cincinnati i odległość powoduje, że jej relacje wobec mnie są dość formalne, chłodniejsze, niż bym sobie wymarzył. Może dlatego tak doceniam, że mam te moje *przyszwane* wnuczki tutaj, pod wspólnym dachem.

Hania ma siedem lat, jesienią skończy osiem. Na zdjęciu wygląda dojrzałej, ale gdy się przyjrzeć uważnie dzieciom, każdemu dziecku, to ich buzie, twarze wszystkie mają za zasłoną dziecięcości widoczną przyszłą dorosłość, która tylko niekiedy da się podejrzeć. To mignięcie dorosłości jakoś ujawnia przyszłe losy, a przynajmniej zarys ich przyszłej psychiki. Tak udało się na tym zdjęciu z plakatu i dlatego je opublikowałem. A Hania nie będzie łatwą osobą. I jej też nie będzie łatwo.

Numer 1/2023 rzeczywiście nie jest zły. Jest sporo dobrych tekstów i celnie je wymieniałś. W numerze 2/2023 też będzie kilka niebanalnych esejów i wierszy. Numer mi się już składa. Zamknąć chcę go w końcu maja. Droga Współredaktorko! Liczę na Twój tekst (lub teksty).

Nie wiem, czy zauważyłaś, że rekomenduję Twoje piarstwo również na stronie www.migotania.pl, gdzie rutynowo umieszczam niewielkie wstępniaki. Wierzę w Twoje piarstwo literackie i kry-

tyczne.

To fakt. Odpowiadają mi Twoje decyzje intelektualne, to znaczy preferencje autorów, zainteresowania historyczne, a też decyzje pisarskie. Przecież to wiesz!

Szczecin to ważna część mojego życia. Mieszkalem tam dwadzieścia lat!

To trochę czasu, a na dodatek tego ważnego czasu młodości. Jestem coraz bardziej świadomy, że swoista sierocość miasta, którą odczuwało się w lata pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, stała się moją do dzisiaj częścią osobowości.

W Szczecinie byliśmy zawieszeni w bańce fałszywej historii, w domach i przedmiotach, które manifestacyjnie nie były nasze. W bańce, która nie wiadomo dokąd się potoczy, czy pofrunie.

W Szczecinie nauczyłem się nie ufać rzeczywistości. Nie dawać wiary propagandzie, polityce, trendom historycznym, autorytetom.

Tych ostatnich, zresztą, było niezwykle mało, a gdy się pojawiały ciekawe osobowości, to na chwilę, wspomnę choćby Marię Kurecką, Witolda Wirpszę, a potem Leszka Szarugę albo Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, który, jak kometa, pojawił się i zniknął.

Pojawiały się ciekawe poetki, interesujący poeci, ale oni nie byli widoczni z perspektywy licealisty.

Poza Heleną Raszką i może Ryszardem Liskowackim, oczywiście mówię o ojcu Artura Liskowackiego (syn okazał się bardzo zdolny) nikt nie przedarł się do ogólnej świadomości do dzisiaj.

Chociaż dzisiaj mówi się też o Annie Frajlich. Ta świetna liryczna poetka niejako powraca do swojego miasta w chwale i serdecznie witana, ale przecież najpierw musiała przeżyć gorycz Marca 1968, a potem długie i nieproste drogi emigracji, na której wciąż przebywa (w Nowym Jorku).

W Szczecinie do późnych lat sześćdziesiątych przetrwały żywe dowody wojny na poranionych kulami murach, zarośniętych trawą i drzewkami ruinach... I mogłoby się wydawać, że podobnie było Warszawie (choć tam znacznie szybciej uporano się z resztkami wojennymi), ale... ALE! duże ale. W Warszawie

ruiny były nasze, polskie, a kule w ścianach powstaniowe. Były te ruiny paradoksalną dumą miasta.

W Szczecinie ruiny były niemieckie, kule ruskie lub niemieckie.

Tu nawet wojna była jakby inna, obca, nie nasza.

Każdy, kto miał trochę wyczucia historycznego lub chociaż intuicji, czuł wręcz ironiczność nazw miejskich Placu Hołdu Pruskiego, Orła Białego, w których otoczeniu stały wręcz pomniki kultury i architektury pruskiej.

W ogrodzie coraz radośniej. Otwierają się pierwsze kwiaty magnolii, morela już prawie przekwitła, ale zaraz po niej okwieciły się czereśnie. Ruch w interesie ogrodowym wielki, listki drzew tryskają, gdzie tylko się da. Róże już całkowicie obudzone. Czekamy tylko na wyższe temperatury, bo jest tu wciąż bardzo chłodno, ale za to nie brakuje słońca, a ile się znam na roślinach, to one bardziej potrzebują światła i słońca niż cieplejszych dni.

Mamy teraz chyba najlepszą, najbardziej optymistyczną i radosną porę roku.

Książki niemieckie. Wincenty Różański:

„W dzieciństwie mieszkałem w domu, który miał strych. Na tym strychu było pełno książek po niemieckim nauczycielu. Tam było wiele pięknej, niemieckiej literatury, wszyscy klasycy. Ja, mimo nieznamości języka niemieckiego, po otwarciu tych książek czułem jakąś magiczną siłę płynącą z zadrukowanych stron.” (w rozmowie z Krzysztofem Szymoniakiem z 1994 roku)

20 czerwca 2023

Do Ani Sobockiej:

„Aniu Droga,

książka zrobiła na mnie bardzo mocne wrażenie. Podobał mi się już sam pomysł, ale w realizacji wyszło znacznie lepiej. Pomi-am fakt, że przygotowałaś to wszystko po prostu **perfekcyjnie**, a zawartość jest niezwykle inspirująca do wielu przemyśleń, czy wręcz badań.

Z materiału wychyla się duży fragment literatury polskiej po roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. Wylania się też historia związków osobistych, relacji pomiędzy autorami. Pasjonujące jest śledzić jak zawiązywały się, zacieśniały, kontakty Andrzeja z różnymi pisarzami. Pasjonujące jest też, jak zmieniała się pozycja Andrzeja na polu literackim.

Z tych niewielkich notacji można wiele wyczytać, dlatego - wbrew moim wcześniejszym obawom - to nie tylko książka pamiętkowa, ale też kapitalny materiał badawczy dla historyków literatury.

Jest to okazja do zobaczenia, jak znane mi osoby pokazywały, przedstawiały się Andrzejowi. Myślę, że wiele osób będzie czytać książkę poprzez indeks.

Ja tak też zrobiłem przy kolejnym rzucie lektury.

Oczywiście dedykacje Leszina mnie nie zaskoczyły, ale już na przykład Barańczaka tak, a też (wymieniam losowo) Jankowskiego. W tych dłuższych notach pobrzmiewają różne echa tamtejszych dyskusji literackich. Słysząc też echa osobistych stosunków, osobistych przygód i rozmów Andrzeja z Andrzejem. Ujawniają aspekt również prywatny życia literackiego.

Wiem, że Adzik poważnie traktuje napisanie tekstu, bo nawet się tym chwalił Marcie Fox, która była w Sopocie, mówił to zresztą w obecności Krystyny Chwin.

Gratuluję Ci, Aniu, tak wspaniałej roboty.”

27 czerwca 2023

„Mario Droga,

martwią mnie wieści o Twojej chorobie. Nie lekceważ jej, bo różne paskudztwa potrafią głęboko osadzić się w naszym organizmie i je pustoszyć. Moje POCHP zostało wywołane właśnie jakąś nie spostrzeżoną bakterią lub wirusem. Choroba mnie powaliła gwałtownie i natychmiast mnie przykuła do łóżka z gorączką ponad czterdzieści stopni. Trzymała mnie przez około sześć tygodni, a potem długo dochodziłem do sił. Do tego stopnia osłabiła, że nie byłem w stanie prowadzić samochodu.

Gazeta jest niezła. Sporo dobrej poezji. Najlepsze wiersze jakie napisał Marian Kisiel - późno, ale poetycko naprawdę dojrzał. Psalmy Talara też dla mnie świetne. Polecam poetki ukraińskie i - z zupełnie innego świata - wiersze Adama Bujarskiego.

Ucieszyłem się bardzo, gdy dostałem tekst o Świrszczyńskiej. To, że Świrszczyńska była wielką poetką, to jasne, ale ważniejsze jest, że tekst o niej napisano z miłością.

Intelektualnie ciekawy jest esej Jampolskiego, w tłumaczeniu Bogusława Żyłko.

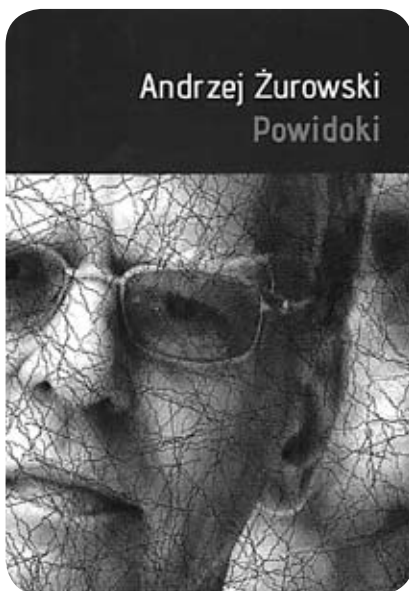
Dziękuję za życzliwe słowa o moim wierszu. Gdybym nie myślał, że jest dobry, nie publikowałbym go. Jestem praktycznym człowiekiem, umiem trzymać się rzeczywistości, może dlatego wciąż piszę wiersze, które dają mi głębszy oddech i pozwalają mi się oderwać z liny wiążącej mnie z codziennym zabieganiem.

Nigdy mnie nie opuszcza wrażenie/podejrzenie, że sięgam ledwie, ledwie do istoty życia, naszego trwania i trwania wszechświata. Wiersze pozwalają zajrzeć dalej.”

Jestem szczęśliwy, że po latach udało mi się wydać ostatnią książkę Andrzeja. Napisał ją w ostatnim roku swego życia na moje zamówienie, dlatego pierwodruk tekstu był w „Migotaniach”. **Książkę sfinansował nasz Pomorski Urząd Marszałkowski!**

Numer 3/2023 zamykać będę w końcu września. Udaje mi się od kilku lat wydawać gazetę bez poważnych opóźnień, teraz też tak będzie - w trzecim kwartale, trzeci numer.

Papierowa dwójka może jest już nawet w drodze do mnie. Oczywiście, pospiesznie Ci wyślę - jak zwykle - kilka egzemplarzy.”



Okladka książki Andrzeja Żurowskiego, Powidoki.

1 lipca 2023

Moi umarli - Ireneusz Krzysztof Szmidt

Irka znałem jeszcze ze Szczecina, gdzie w końcu lat sześćdziesiątych prowadził niesamowity teatr – kabaret, popularnie nazywany Teatrem na Wielkiej.

Nie udało mi się wciągnąć go na listę autorów „Migotań”, choć wiele razy do tego się przymierzaliśmy. Miał też zrobić szerszą prezentację lubuskiego środowiska literackiego.

Irek był urodzonym działaczem społecznym, czystej krwi animatorem, zawsze garnął się do pracy z młodszymi od siebie autorami i ... aktorami. Za mało go znałem, ale sądzę, że był niespełnionym aktorem. Był spełnionym człowiekiem teatru, tego szczególnego rodzaju, który działał w obszarze sztuki amatorskiej, młodzieżowej, najbardziej spontanicznej. Dobrze się czuł w formach kabaretowych, ale przecież też i klasycznych dramatycznych, szczególnie komediowych.

Przez całe życie był poetą, lirykiem. Reprezentował taki boczny i spóźniony odłam Współczesności. No cóż, Szczecin, gdzie bardzo długo żył, nie był inspirującą stolicą literatury i z dużym opóźnieniem docierały tu nowe nurty literackie, a gdy Irka poznałem ledwie do głosu dochodziła Orientacja, a Nowa Fala była w powijkach.

Fizycznie spotkałem go po raz ostatni w Trzciance na jakimś zjeździe młodych artystów w 1976 roku. Ze zdziwieniem odnotowałem, że znał moje wiersze i je doceniał. Tam nie było warunków na jakąś szczerą i dyskretną rozmowę, a szkoda, bo nie zapytałem go, jak zakończyły się losy Teatru na Wielkiej, czy wydarzenia grudniowe miały może wpływ na to, że przestał istnieć. Spotkałem go raz jeszcze na FAMIE (Festiwalu Artystycznym Młodzieży Akademickiej) w latach siedemdziesiątych, w Świnoujściu, dawno, ale nie przeszkadzało nam to być nieustannie życzliwymi wobec siebie i regularnie wymieniać korespondencję, szczególnie, gdy ukazywał się nowy numer „Pegaza Lubuskiego”, albo „Migotań”. Oba pisma sobie dosyłałyśmy.

Tacy ludzie nieczęsto się rodzą, ale od czasu do czasu się pojawiają i zarażają swoją pasją. Pokolenie później był inny

poeta, który swój profil życiowy miał bardzo podobny, mówię o Jurku Suchanku – też wybitny poeta, wydawca, animator teatralny, działał na obszarze śląskim.

Do Marii J., 19 lipca, 2023

„Droga,

dziękuję za dobre słowo o moim wierszu *Mózg*. Gdybym nie miał pewności, że to dobry tekst, nie pchałbym się z nim w „Migotaniach” i na dodatek zaraz na początku.

Uważam, że mało jest uniwersalistycznej poezji na polskim „rynku”. Zawsze cierpiałem z tego powodu, bo są tematy i sprawy, którymi może się zajmować wyłącznie poezja, no, ewentualnie filozofia.

Mało w naszym życiu i kontaktach międzyludzkich metafizyki, tajemnicy, głębi. Zapanował partykularyzm. Poezja, poza erotyką, stała się miejscem do załatwiania różnych spraw, zgoda, czasami ważnych, ale załatwiania. Zawsze z tego powodu cierpiałem.

Jeszcze jako młody poeta dusiła mnie filozofia poezji nowofalowej, praktyczna, interwencyjna, pełna przemów... Czasami myślałem, że poddałem się wtedy swoim czasom i odszedłem od moich najbardziej spontanicznych poetyckich intuicji. Ale było, minęło.

Niewiele wiem o Jolancie Fraszewskiej. Pojawiła się w poczcie „Migotań” i też bardzo mnie ucieszyła swoim tekstem, co, jak widzisz, zaskutkowało dobrym umiejscowieniem jej eseju, na samym początku. Dalej będę z nią współpracował. W numerze najbliższym pojawi się ponownie.

Rozmowa z Sołtysikiem też mnie nieco znudziła. Czy to wina Sołtysika? Ale autor, tak czy owak, godny przypomnienia.

październik 2023

w numerze 3/2023 publikuję wiersze starej znajomej z czasów naszej *burzy i naporu* z lat siedemdziesiątych. Cieszę się, że Katarzyna Boruń wciąż pisze, a tym bardziej, że kontynuuje swój lekko satyryczny styl. Operuje ironią i uśmiechem. Wywodzi się z literackiej rodziny, jej tata pisywała powieści fantastyczne.

Październik 2023

„Adziku,

wysyłam Ci (...) Część I, *Aneksu do kalendarza*.

Wyszło blisko 200 stron. To dość nudne, bo jest w sporej części w tonacji wspomnieniowej, ale aby się całość kupytrzymała, ta pierwsza część musi być taka. Myślę, że ma swoją wartość, bo przywołuje wiele wydarzeń z lat siedemdziesiątych, które czas wyciera z pamięci społecznej i osobistej, wiele być może bezpowrotnie ginie w czeluściach niepamięci. A to, co napisane, trochę dłużej **jest**, pocieszam się.

II część będzie znacznie ciekawsza i bardziej dziennikowa, ale nad nią dopiero popracuję w przyszłym roku, choć ta część cały czas się tworzy, bo wciąż ją kontynuuję.

(...).

Będę gotowy z całością w przyszłym roku o mniej więcej tej samej porze, co dzisiaj.

Cały dziennik będzie miał minimum czterysta pięćdziesiąt stron, czyli książka będzie dość gruba.

Jak to z dziennikami, *Aneks* wywoła sporo niezadowolenia u wielu osób.

Pierwsza część raczej nie jest kontrowersyjna, ale w drugiej części, jest mnóstwo moich osobistych komentarzy (a zatem subiektywnych i szczerych) i te nie ucieszą wielu koleżanek i kolegów.

Minęło sporo czasu, a niektóre fakty i wydarzenia wiszą w naszych biografiach często jak worki niemiłych kamieni.

Piszę o różnych osobach, na przykład o Stefanie Chwinie i jego tchórzostwie w 1980 roku, piszę dużo o Staszku Rośku i jego dwuznacznej roli w naznaczaniu swoich kolegów i przyjaciół niemiłą charakterystyką pokoleniową.

Komentuję książki. Piszę o wzajemnych stosunkach pomiędzy pisarzami i znajomymi. Piszę o codziennych wydarzeniach małych i wielkich.

Mam oczywiście mnóstwo wątpliwości, gdy przywołuję niektóre fakty i oceny, zdarzenia i łączę je z konkretnymi osobami.

Długo o tym myślałem i uważam, że dawanie świadectwa jest obowiązkiem pisarskim i byłoby idiotyzmem, gdybym trzymał dziennik na czas po mojej śmierci (która i tak może mnie zaskoczyć w każdej chwili), albo pozwolił na jego przepadnięcie.

Póki żyję mogę jakoś wpływać na jego publikację, gdy umrę - nie wiadomo, co będzie, ale sądząc po realiach, szybko gumkuje się zmarłych pisarzy, ich dorobek i ich pamięć.



Ludwiczka, czyli Ludwika Topp-Zawistowska, w Strzepczu.

Od mniej więcej dwudziestu lat uświadamiam sobie, że dziennik, to jeszcze jedna (poza wierszami) forma osobistej, szczerej i subiektywnej (bez zahamowań) **interpretacji** otaczającego świata.

Podkreślałam subiektywnej. Już w trakcie redakcji *Aneksu* byłem zaskoczony, jak subiektywne są moje zapisy, jak w pewnym sensie są zakłamanie moją zawężoną osobistą lub emocjonalną perspektywą. Nie wiem, czy słusznie, ale staram się *post factum* nie korygować tych zapisów, tak jak nie poprawiam wierszy, które napisałem dwadzieścia lat temu.

Pisałem jak myślałem, a czy zawsze tak było jak opisuję? I czy w swoich sądach byłem sprawiedliwy?

Przy okazji jeszcze raz dziękuję Wam za miłe chwile w Strzepczu.

Patrz! I już za chwilę przyjdzie bezwzględna jesień, by przygotować świat i przyrodę do zimy i długiego snu... Brrr, nie lubię zimy.

Ściskam serdecznie, Zbyszek J.”

10 października 2023

Nie wiedziałem, że jeszcze potrafi mnie coś zadziwić w dziedzinie okrucieństwa, jakie człowiek człowiekowi może uczynić.

Napad i morderstwa, jakich Palestyńczycy (Hesbollah) na młodych Izraelczykach bawiących się na pokojowej imprezie w pobliżu Strefy Gazy... jest to straszne, niewytłumaczalne i nieprzebaczalne. A jeszcze straszniejsze były morderstwa na dzieciach mieszkających w pobliżu.

Mogę i chcę współczuć narodowi palestyńskiemu, który nie może doczekać się wolnego, niepodległego własnego państwa, ale nie mogę i nie chcę sympatyzować z tym ich pragnieniem opartym na okrucieństwie i nienawiści.

15 października - niedziela, wybory

Pogoda okropna, akurat jak na przegrane wybory.

Pytanie, kto jednak je wygra?

Zagłosowałem z pewnym wstrętem na Trzecią Drogę, ale przemyślałem to dokładnie. Podstawowym moim pragnieniem jest odsunięcie PIS u-od władzy. Ale, aby opozycja wygrała, muszą do Sejmu wejść trzy siły, tak wynika z sondaży: KO (czyli Platforma), Lewica oraz właśnie Trzecia Droga.

Gdyby ta ostatnie nie weszła, a musi osiągnąć minimum osiem procent (jako koalicja), to jej głos przypadłyby proporcjonalnie wybranym ugrupowaniom, a to w systemie *Donta* może oznaczać przegraną całej opozycji.

Z najmniejszym wstrętem zagłosowałbym na Nową Lewicę, potem dopiero na KO (PO), Platforma będzie miała na pewno drugie miejsce, to jej się uda bez mojego głosu, spokojnie!

Nawiasem mówiąc nie mam do wyboru partii, która wzbudza we mnie pełne zaufanie.

Tusk za bardzo założył mi za skórę, gdy był poprzednio u władzy. Ale to jedyny wielkiej miary polityk.

PiS - horror!

Konfederacja! Aberrracja, jeszcze większy horror!.

Trzecia droga, zarówno z Kamyszem, jaki i Hołownią to, według mojej oceny, typowe partie utworzone dla władzy.

Najbardziej ideowa i najmniej zmienna jest lewica, może najchętniej bym na nich zagłosował, ale względy taktyczne kazały mi narysować krzyżyk przy Trzeciej Drodze.

Przyznać jednak muszę, że zaimponował mi Tusk

swoją pracowitością w trakcie kampanii i gdybym wierzył, że dotrzyma wyborczych obietnic, to ma najlepszą ofertę dla Polski w tych czasach. Trzyma się mocno dwóch podstawowych wektorów:

- mocnych związków z Unią Europejską
- i liberalną w podstawach ekonomią (pomimo istotnych akcentów populistycznych) oraz - co ważne - liberalizmem społecznym, szeroko rozumianą polityką wolnościową.

Może należy dodać jeszcze jeden element stanowiący podstawę programową KO, a mianowicie uszanowanie dla konstytucyjnych zasad ustrojowych państwa.

To zdecydowanie odróżnia Platformę od autorytatywnego PiSu, a też Konfederacji. Takiej mocy trwania przy zasadach konstytucyjnych nie prezentuje labilny programowo PSL. Nie mam zdania na ten temat jak zachowywałyby się w tych kwestiach Hołownia i - niestety - też Lewica.

25 października

Słuchałem dzisiaj Rachmaninowa.

Pamiętałem, że kiedyś zrobił na mnie silne wrażenie. A tym razem jakby nic, żadnych uczuć, żadnego poruszenia.

Zestarzałem się. Moje uszy jak oczy, mniej wrażliwe?

Zrobiłem tak, jak w teatrze: zgasilem światło, całkowicie, żadnego blasku, kompletna ciemność i wtedy włączyłem płytę. Tak, to była właściwa decyzja. Na nowo usłyszałem tę symfonię.

I jeszcze jedna ważna rzecz: słuchałem jej głośno. Słuchanie ciche jest mordowaniem muzyki symfonicznej. Tak jakby czytanie co drugiego słowa w powieści.

26 października

Marta F. napisała, że już wyszła ze szpitala i jest z Januszem w domu.

E(u)geniusz). K(urzawa). z Zielonej Góry donosi, że jest poważnie chorym ciężkim przebiegiem.

Ania S. napisała, że właśnie wyszła z covidu.

Marian Kisiel. napisał, że po raz enty chorował na niego.
Niemilo zaczyna się ta jesień.

Dobra wiadomość jest taka, że wreszcie może pokonam trud pisania, bo w NCK ogłaszają, że będą uczyć jak twórczo pisać i tak, aby chciano nas czytać.

Natychmiast pomyślałem, że to coś dla mnie, bo pisanie jest dla mnie bólem i cierpieniem, a i skutki takie sobie.

Zaciekawiło mnie, któż to będzie mnie ewentualnie wdrażał w warsztat pisarski. Może Stefan Chwin, może Paweł Huelle, może Antek Pawlak, może Władysław Zawistowski... Wymieniam pierwszych kilku z brzegu, tych którzy pokazali, że potrafią pisać *twórczo i tak, aby chciano ich czytać*. Niestety, nie. Warsztaty ma poprowadzić mało znana i ze słabym dorobkiem pisarka, ale za to z tytułem *trenerka pisania*, niejaka Barbara Piórkowska.

To ciekawe, że tego rodzaju warsztaty prowadzą niespełnieni (sukcesem pisarskim), no, chyba trzeba tak ich określić, amatorzy pisania. Zdziwiłem się tym już kilka razy. W Krakowie podobne zajęcia prowadził mój były współpracownik, Adam Buszek, bardzo elokwentny, ale z nikłym dorobkiem poeta i krytyk. Do mojej gazety przez dobre kilka lat napisał chyba trzy króciutkie teksty.

Mam jeszcze jedną dobrą wiadomość: dobrzy, a znani mi pisarze, nigdy nie korzystali z takich warsztatów.

8 grudnia 2023

Wczoraj odbył się pogrzeb Pawła Huelle.

Zawsze mnie zaskakuje, że tak szybko się grzebie ludzi, choć niby to oczywiste i naturalne. Jak to, ledwie człowiek gadał, śpiewał, klócił się lub uśmiechał, a tu teraz tak szybko do ziemi, do urny?

Pisał mi Andrzej Leszczyński, że było wielu ludzi, że go pamiętano. Co z tego, Paweł tego nie zobaczył. A cierpiał na samotność.

Andrzej pisał też, że był na uroczystości pogrzebowej między innymi Olo Jurewicz w kiepskim stanie, po chemii.

Nie lubię i nie chcę chodzić na pogrzeby, bo tak się składa, że najczęściej są w zimnym okresie roku, a ja nienawidzę zimna, ale

też dlatego, że na tych pogrzebach - mam takie wrażenie - panuje nastrój, kto następny, kiedy ja, a ten, ta, zupełnie blisko...

Odpisałem Andrzejowi:

„Andrzeju,

znałem go od lat siedemdziesiątych, często wpadał do mnie na Dywizjonu 303 z Jurewiczem, Tempskim albo i Żakiewiczem. Nie bardzo się lubiliśmy, ale wystarczało motywacji, aby wspólnie pogadać i się napić. Wtedy był głównie poetą, chociaż sygnalizował, że pisze opowiadania. Nie spotykałem się od lat z Pawłem, ale wiem, że ostatnie lata nie były dla niego łatwe. Cierpiał na depresję, zresztą pogłębianą somatycznymi powodami, no i alkoholem. Myślę, że prawdziwym jednak wybawieniem było dla niego pisanie. Zazdroszczę mu tego trochę, bo dla mnie pisanie jest zawsze mordęgą.

Gdy dowiaduję się, że na pogrzeb przyszło wielu ludzi, dopada mnie przykra refleksja, że tego „bohater” nie wie, i nie widzi. Że nie nacieszy się pamięcią o sobie, że nie nacieszy się ludzką życzliwością. Że pogrzeby i cmentarze w gruncie rzeczy są dla żywych, a nie umarłych. Nie chodzę na pogrzeby jednak z banalnego powodu, bo odstręcza mnie chłód, a też konieczność dość długiego marszu, a stawy biodrowe mi na to nie pozwalają. Może i chodziłbym na pogrzeby, ale raczej po to, aby przypominać żywym, że trzeba dbać o wzajemną pamięć, bo istniejemy tylko przez chwilę.”

Przyjemnie jest wierzyć w Pana Boga lub w ogóle życie pozagrobowe. Wtedy pogrzeby są mniej straszne i zaskakujące. Obecność na pogrzebach dobrze tłumaczy skąd późne nawrócenia niekiedy zatwardziały materialistów, ateistów, a może lepiej powiedzieć realistów. Gdy stoi się nad tą jeszcze przez chwilę pustą dziurą w ziemi, grobem osoby, bliskiej znajomej, przyjaciela, bardzo kusi perspektywa innego świata, boskiego, nieziemskiego i wtedy to marzenie staje się bardzo ponętne.

Odzyskałem wzrok. A właściwie kolory świata.

Ostatnie półtora miesiąca naprawiałem oczy, usuwano mi zaćmę. Zasadniczo przywrócono mi nie tylko ostrość widzenia, ale równie niebieską komponentę, a to spowodowało, że

wszystkie kolory zabrzmiały pełnym głosem. Jakże piękne jest zimowe niebieskie niebo! A oczy Hanusi, ich brąz stał się bardziej świetlisty.

20 grudnia 2023

Zbyszek Majchrowski zmarł po wielu miesiącach cierpienia i walki o każdy dzień życia.

Zmarł w hospicjum.

Zmarł w kwiecie wieku, choć na dzisiejsze normy miał już swoje lata, ale kiedy myślę o kwiecie wieku, myślę o tym, że był przed swą bolesną chorobą człowiekiem w maksimum swoich osiągnięć, doceniany, dowartościowany mentalnie i intelektualnie w apogeum.

Znaliśmy się ze studiów, byliśmy na jednym roku polonistyki na teatrologii. Obaj mieliśmy do siebie zdystansowany szacunek. Chyba już kiedyś o tym pisałem, obaj wobec siebie byliśmy nieco „lękowi”, niepewni, co o sobie myślimy. Tak zostało do końca, nawet w zeszłym roku, gdy go ostatnio widziałem, zachorował niespodzianie... Ale czy kiedykolwiek przychodzi to spodziewanie. Zawsze jest nie ten czas, zawsze zaskakuje, nawet gdy się żyje w nieustannym lęku śmierci, na co chyba ja cierpię. Z tego powodu niesprawiedliwe jest, że umarł przede mną. A może też żył w lęku, że koniec jest blisko, tuż, tuż?

Był cenionym profesorem literatury i teatru. Ale o tym już wiedziałem na studiach, bo on już wtedy był *profesorem*.

Miał uporządkowane myśli, wypowiedzi. Nawet ryzykowne wypowiedzi (jak w Transgresjach) były uporządkowane i bezpieczne intelektualnie.

Nie wiem nic o jego emocjach. Szkoda.

Nigdy nie dowiemy się dlaczego zapamiętujemy jakiś szczegół z życia i dlaczego ten szczegół towarzyszy nam przez całe życie. Może dlatego, że jeśli jesteśmy zbudowani z cegiełek przeżyć, a te pojedyncze cegiełki wcale nie muszą być wielkimi nośnym ścianami, to przecież jednak na tych małych cegiełkach stoi całe życie. Powstają całe piętra naszego życia, a tam, w głębi, jest

ta cegielka, ta całośćka, na której tak wiele stoi, choć to *wiele* nie wie, jak temu *małemu* wiele zawdzięcza.

7 stycznia 2024

Do: Małgorzata Dorna (Wendrychowska):

„No, proszę, okazuje się że wiele miejsc, o których wspominasz, jest mi znajomych i niekiedy bliskich. Wspominałem, że rodzice mieszkali w Krępie Krajeńskiej i Tuczo było najbliższym miasteczkiem. Do dzisiaj pamiętam męczącą drogę ze stacji do miasta i ciężkie siaty z zakupami, bo wtedy o samochodzie nikt w moim domu nawet nie marzył. Ale wiele lat potem zjawiłem się tam jako turysta i zamieszkałem w pięknym tamtejszym zamku, w pokoju, a właściwie komnacie, gdzie zachowane były historyczne kilkusetletnie meble. Płatałem się też po puszczy drawskiej, bywałem w Dominikowie, w Wałczu, Trzciance (tam byłem na plenierze i tam spotkałem towarzystwo z Galerii EL i różnych malarских i rzeźbiarskich „wariatów”, tam bezskutecznie zakochałem się w 20 lat starszej malarce z Torunia, Marii Krupskiej), a przez Białą Zdrój przejeżdżałem bardzo często i dobrze mi się kojarzył, bo był to przystanek przed Krępą, czyli domem rodzinnym.

Okolice Piły też mnie zauroczyły. Często z rodzicami jeździliśmy do lasu.

Po prostu do lasu. By tam pobyć. Posłuchać ptaków, wiatru, usiąść na wilgotnawej murawie, razem pomilczeć, lub powspominać. Czasami urządzaliśmy sobie piknik, a niekiedy urządzaliśmy sobie obiad w nieodległej przydrożnej restauracji za Piłą, gdzie można było usiąść w bezpośredniej odległości jeziora, po którym pływało dzikie ptactwo.

Lubiłem bliskie kąpielisko w drodze do Trzcianki, jezioro, szczególnie już jesienią, gdy na przystani i moło nie było prawie ludzi. Niestety, kojarzy mi się też przykro, bo w pobliskim szpitalu zmarła moja mama.

Ten cały obszar na zachód od Piły to mało znane, a piękne okolice. Poniekąd wiem, że równie pięknie jest na północny zachód od Piły, ale tam rzadziej bywałem, choć ze wzruszeniem sobie przypominam moje wizyty u pewnego rzeźbiarza (Rembielińskiego), który porzucił miasto i zamieszkał w opuszczonej leśniczówce na bezkresnym wrzosowisku.

Piła musiała być przed wojną miłym miastem. Dotarłem kiedyś do starych widokówek. Ale dla nas pozostała rzeka, wyspa, i okolice... Reszta przepadła.

Ale wcale się dziwię, że jakoś przywiązałaś się do tego miasta. Ostatnio często zastanawiam się na fenomenem przywiązania do miejsc.

Pomimo że ponad pięćdziesiąt lat temu wyjechałem ze Szczecina, moje serce bije żywiej, gdy o nim myślę. Podobnie z Cincinnati, w którym zbyt długo nie mieszkałem, a jednak... W tym przypadku moje poruszenie wynika z tego, że tam mieszka moja córka, ale czy na pewno? Może jednak duch miasta mnie zaplatał, zamotał w emocjach? Rzeka Ohio jest ze wzgórz Cincinnati rzeką jak z poezji Whitmana. A biografie moich sąsiadów w Newport, Kentucky, to opowieści żywcem z Edgara Lee Mastersa.

Mieszkam w Gdańsku pięćdziesiąt lat, a czasami wydaje mi się, że to miasto jest dla mnie obce, a może lepiej powiedzieć, że wyobcowało się, bo pamiętam kiedyś chyba byłem nim zafascynowany i w nim zakochany. Ale jak czytam wiersze, które napisałem, to bardziej byłem zafascynowany w Oliwę, Wrzeszcz, a nawet Zaspę. Gdańsk był bardziej symboliczny, niż realny.

Związek z miejscem nie jest prostą emocją. Nie jest dla mnie oczywistym mechanizmem identyfikacji. Najczęściej się mówi o związkach z małą ojczyzną, ale to tylko ułamek wytłumaczenia naszego przywiązania, emocji. To jest bardziej skomplikowane i zanurzone głębiej w naszej podświadomości, snach, marzeniach.

Dobrze, że czujesz się w Pile u siebie. Na co dzień potrzebujemy choćby niewielkiego przywiązania do **swojego** miejsca, a nie musi być to koniecznie miasto, może być ulica, budynek, kraj, okolica. Ściskam.

1 luty 2024, Do Ani Czekanowicz

„Aniu,

rozmawiałem z Adzikim i obiecał mi napisać tekst o Zbyszk. Jednak nie znaczy to, że nie ucieszyłbym się gdybyś i Ty napisała

o Nim. „Migotania” są pismem naszego pokolenia, a zatem gdzie, jak nie tutaj, powinno się pisać o naszych przyjaciółach i autorach naszej generacji. A na dodatek Zbyszek był kimś szczególnym. Pracował nad swoimi rzeczami, ale też towarzyszył niektórym nam w naszych literackich wysiłkach wiernie i z życzliwością, by nie powiedzieć z serdecznością. Pamiętam też, że debiutował poetycko w „Litterariach”. Nie wiem, czy potem i teraz wspólnie pisał wiersze. Czy Ty coś wiesz?

Prosząc Ciebie o wspomnienie nie oczekuję monograficznego eseju, a zdecydowanie osobistego tekstu z osobistymi emocjami. Tak, jak to zrobiłaś w wierszu Jemu dedykowanemu. Zrób, jak chcesz, łamy gazety są dla Ciebie otwarte. Pamiętam, że obiecałaś mi swoje opowiadanie!

Ciesz się, że zauważyłaś mój wiersz w „Migotaniach” (4/2023). Miło szczególnie, bo jesteś wymagającą czytelniczką poezji.

Piszę, wciąż. Mało, ale piszę. Mało piszę, bo po napisaniu i wydaniu książki *Córka – Daughter* straciłem ofensywność poetycką. Gdy zamknąłem tę książkę, wydawało mi się, że już wszystko, co miałem do powiedzenia, powiedziałem. Ale to nieprawda. Świat do nas wciąż mówi, a my wciąż mu odpowiadamy, choć nie zawsze napisanym tekstem.

Czasy dla poezji nie są szczególnie łaskawe, ale kiedy były w naszym życiu? Pewnie wtedy, gdy sami sobie czytaliśmy własne wiersze. Ja wciąż lubię czytać poezję, a mam sporo ku temu okazji, bo do „Migotań” nieustannie wpływają propozycje publikacji. I powiem szczerze, że niekiedy wiersze młodych mnie zachwycają.”

zło

jakie jest zło jakie?

czy jest złe czy jest,

czy gdy spada ptak z nieba ptak czyni to zło

czy zabijając skazanego na śmierć ptaka

jest zło, bo ptak jest z dziedziny nieba, nieboskłonu

niebieskiego rozciągniętego i nieskończonego,

co spowodowało, że pojawiło się zło

czy morderca ptaka jest zły
czy zło czyni mordercę i ten zabijając cierpi
czy raduje się, a jeśli raduje się, czy zło czyni zło,
czy czyni
radość i zachwyty uczynku, dobro?
Jak śpią wodzowie, tyrani, generałowie
po wydaniu rozkazu zbombardowanie miasta,
co im się śni?

jest zło ludzkie człowiecze podstępne?
gdzie jest zło? w pędzących skrywanych drganiach
w głębi myśli
jak szerokie są przestworza ciemnego umysłu
jakie muszą tam rodzić się drzewa owoce
- gorzkie, szpetne, pomięte?
czy aromatyczne, sycące, krwiste?

gdzie jest zło w pędzącej kuli lwicy
w jej ścięgna, czy oczach, czy już w celu
który już jest nieomal, tuż, w celu którym jest drobna
nakrapiana złotem antylopa
jak widzi ścigającą kocię - czy złą, czy szybką?
Czy rozżarzona gorącym i równina jest piękna?

gdzie jest zło
gdzie jest sama jego błyskawica, jej jeszcze nie ujawniony
grzmot, cicha potęga
gdy ja jeszcze śpię, gdy jeszcze przez usta przenika mi
słodycz ananasa
Czy rankiem będę się zastanawiał
nad koszmarem, który właśnie opuściłem?

gdzie ono jest
gdy jeszcze o nim nawet nie pomyślałem
czy zło musi być tam, gdzie matka rozpaczliwie próbuje
wyciągnąć z tonącej łodzi swoje dziecko,
czy jest zło tam
i czy jest już zło w tym dziecięciu, które nie przetrwa

morskiej wyprawy,
czy zło jest na tym brzegu do którego nie dotrze?

jest, czy naprawdę jest?
w tych usmarowanych błotem dłoniach żołnierza, który
już wie, że zabije
tego drugiego
tego drugiego żołnierza a obaj wiedzą, że nie mają nic
wspólnego
z tą wojna na której są bez wyboru jeśli nawet dobrowolnie
i w tej niezwyklej chwili, gdy nachyla się jeden z nich nad
postrzelonym i słyszy
to nie moja osobista sprawa, nie mam nic osobiście
przeciwko tobie
- czy tu jest zło?

gdzie ono jest to zło gdy już jesteśmy
umarli, całkiem martwi i całkiem niemi
i całkiem nieruchomi i gdy
nic nie robimy i nie zbliżamy się ani oddalamy
a wokół jest ono
to zło?
czyli ja jestem gdzie?

Gdańsk 26 lutego 2024, do W. Zawistowskiego
Adziku,

Przesyłam najnowszy numer „Migotań” w odpowiedzi na smutne wiadomości jakie dzisiaj otrzymałem z Twojego Urzędu. Tym smutniejsze, że dotyczą odmowy wobec obu projektów, zarówno wobec mojego *Dziennika*, jak i *Wierszy zebranych* AKW. To smutne, że w tak wielkiej aglomeracji miejskiej nie ma pieniędzy na wsparcie tak oczywistych – tak uważam- projektów – literackich. Sprawdzałem w Urzędzie Miasta, tam nie ma programów na wydanie takich projektów w ogóle, za to są wielkie pieniądze na tzw. projekt Gdańsk Miasto Literatury i podobnie dęte sprawy (z Festiwałem Literatury oraz nagrodą Europejski Poeta Wolności łącznie).

Nawiasem: To bardzo ciekawe, gdy dopytuję o projekt

Gdańsk Miasto Literatury znanych mi w Gdańsku pisarzy, np. Krystynę Chwin (które pewnie w tym względzie reprezentować też może Stefana), albo dziennikarzy, np. Annę Sobecką i Katarzynę Korczak, albo Prezesa SPP Oddziału Gdańskiego (przecież najważniejszej organizacji pisarskiej w Polsce), to nikt mi nie konkretnego powiedzieć o tym nie potrafi. Ja też jestem jakby nie było pisarzem, ale jeszcze nigdy (NIGDY) nie otrzymałem zaproszenia lub informacji od tego... czegoś, co ma sugerować, że jest wielkim parasolem dla literatury w naszym mieście. Ale może ja żyję w innym Gdańsku?

Przypominam sobie nasze dawne czasy, gdy narzekaliśmy na decydentów. Cóż, nie czuję się rozpieszczany przez obecnych.

Właściwie i Ty nie możesz w swojej historii - zobacz, ile Twoich przedsięwzięć literackich było realizowanych w gdańskim *mainstreamie* - dwie książki w Wydawnictwie Morskim, potem raczej poza Gdańskiem, chyba że w Tower Pressie.

Nie rozumiem, jak pod Twoim kierownictwem Departament Kultury UMWP w Gdańsku nie znalazł pieniędzy na *Wiersze zebrane* AKW. Ile takich wielkich postaci było w historii naszego regionu w ostatnich trzydziestu latach? Palicho moje *Dzienniki*, choć spowodowałyby one na pewno poruszenie, mogą poczekać, aż umrę. Ale z drugiej strony, jak umrę, kto się o nie upomni? Zresztą można też poczekać aż zapomni się o AKW. Uwierz, nowe pokolenie, które idzie, nie dba o tych, co odeszli. Ale może masz inne rozwiązanie?

Pozdrawiam, Zbyszek

21 marzec 2024

Może miłość jest pokonywaniem samotności? Może staranność w obcowaniu z innymi jest też jakąś metodą? Może pamięć? Jak myślę o innych, jestem mniej samotny.

10 maja 2024

Krystyna Chwin przysłała mi nową książkę Stefana, *Dziennik życia we dwoje*. Oczywiście z ciekawością zajrzałem do niej i ją czytam. Z ciekawością z wielu powodów. Bo to

dziennik, a ja zamierzam wydać wkrótce swój i warto porównać jak piszą dzienniki inni. I to znajomi. A też, bo Stefan Chwin jest ciekawą *osobą*, o której zresztą wiele razy pisałem w moim *Dzienniku*. Bo, Krystyna też jest ciekawą, choć budzącą różne, często kontrowersyjne myśli, postacią. A w końcu, bo ciekawy jestem czy w *Dzienniku* Stefana jakoś odbijają się nasze wspólne *litterariowo-nowoprywatnościowe* czasy, kiedy stanowiliśmy pewną silną grupę artystyczną i intelektualną, która nie tylko jeździła razem po Polsce, ale lubiła się, dyskutowała, tworzyła nowe treści literackie, organizowała imprezy literackie, piła wódeczkę (tak się wtedy przymilnie o wódce mówiło) i przede wszystkim często całkowicie prywatnie spotykało w swoich domach pod najróżniejszymi pretekstami. Ileż to razy byliście u mnie na Dywizjonu? Byłem też ciekawy, czy w jego *Dzienniku* odbija się i jak, krytyczny moment w naszych biografiach społecznych, czyli wielki Sierpień roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego. Bo ten przełom polityczny był też przełomem w prywatnych, osobistych biografiach. Dla tej niewielkiej grupki spod sztandaru „Litterariów”, a też „Punktu”, i tego wszystkiego, co nazywano w Polsce *nową literaturą gdańską*, był to o tyle krytyczny moment, że wtedy dotychczas dość zwarta grupa ostatecznie się zdeintegrowała.

Każdy ma swoją własną pamięć o przeszłych wydarzeniach. Nawet ta pamięć ledwie sprzed kilku dni bywa u różnych osób bardzo odmienna.

W moim *Dzienniku*. *Aneks do kalendarza* wiele razy pisałem o Stefanie i Krystynie, nie zawsze pochlebnie. *Dziennik...* Stefana jest dla mnie okazją do zderzenia dwóch pamięci - i jego a też Krystyny i mojej. Może wreszcie poznam ich bliżej.

Dowiem się o nich, co było potem?

Nim zacząłem czytać książkę Stefana musiałem sobie odpowiedzieć na pytanie, jak traktować jego *Dziennik...* - czy bardziej jak dzieło literackie, czy raczej jako dzieło wspomnieniowe. Przypadek Stefana Chwina, wytrawnego pisarza, zdecydowanie stawia książkę po stronie literatury, a nie dokumentu. Nie wyobrażam sobie, by spod jego pióra wyszło cokolwiek nieobrobionego literacko i intelektualnie. Cokolwiek nie skontrolowanego pod każdym względem. Wiem coś na ten temat na podstawie

własnych doświadczeń, pewien poziom autoświadomości nie pozwoli autorowi wypuścić niekontrolowanego dziennika wolnych myśli. Zawsze jest kreacją, nie wiem jak by się zaklinał autor (a tak czyni Chwin w swoim *Dzienniku*...), nie wypuści wszystkich swoich demonów i Erynii, a nawet Eumenid całkowicie na wolność, co najwyżej da im dłuższą smycz.

Już pierwsze strony Dziennika... uświadomiły mi, że nie mogę w żaden sposób porównywać mojego *Dziennika*... z dziełem Stefana Chwina. Jego język jest potoczny, konstrukcje zdań jasne i logiczne, zmierzają do swojego celu bez wahania i, co ważne, w ten sposób treści bez wysiłku docierają do czytelnika. Stefan Chwin to pisarz. To wielki pisarz.

Przypomniał mi się niedawno otrzymany do „Migotań” wywiad z innym pisarzem prozaikiem, dziennikarzem i reportażyście, Romanem Warszawskim. Zacytuję fragment rozmowy z nim, gdy pytany jest, czym jest dla niego pisanie:

„– Najbardziej satysfakcjonującą czynnością, jaką wykonuję jest pisanie (...) kiedy piszę, to w moim mózgu muszą wydzielać się jakieś opiaty. Pisanie jest czymś najprzyjemniejszym i traktuję je jak relaks, a nie jak pracę. Im więcej piszę, tym się lepiej czuję.

– Nie cierpię, siadając nad białą kartką papieru, nie ogarnia mnie czarna rozpacz. Zabierając się do pisania doskonale, no może w osiemdziesięciu procentach, wiem, co chcę napisać. Mam już wszystko poukładane w głowie. Piszę z dużą przyjemnością. Godziny spędzone na pisaniu należą do najbardziej urzekających w moim życiu”.

Oczywiście, nie wiem, co czuje Stefan Chwin, gdy pisze swoje książki, ale nie zdziwiłbym się, że odczuwa przyjemność, wskazuje na to jego przyjemny język, poukładany, w sam raz, nieobrażający, taktowny, właśnie *przyjemny*. Zazdroszczę mu tego z całego serca, bo dla mnie pisanie to mordęga. I pewnie to widać w różnych moich kawałkach literackich łącznie z dziennikiem. Osobiście najchętniej zająłbym się tylko myśleniem.

Tak. Myślenie sprawia mi przyjemność z całą pewnością.

Słabo znam całą twórczość eseistyczną Chwina, a ta przemycąca zawsze wątki biograficzne i dziennikowe pisarza i, być może, gdzieś pojawiają się odwołania do brakujących mi w *Dzienniku życia we dwoje* czasów z lat siedemdziesiątych, tych „litteraryjnych” i batalii krytycznych około nowofalowych oraz związanych z życiem literackim w Gdańsku w tamtych czasach. Najwyraźniej ważna cezura rozwojowa to ta związana z spotkaniem Marii Janion i to nie dziwi, choć nieco tak, bo pierwsze sukcesy ogólnopolskie Stefan odnosił jako krytyk literacki w parze ze Stanisławem Rośkiem. I tu pewna niespodzianka - w całym tym *Dzienniku*, czyli długiej relacji z ich życia, nie pojawia się prawie w ogóle postać Staszka, a przecież to była ważna osoba w ich obu biografjach, po prostu w ich życiu. Odnotowuję to z pewnym niepokojem, bo ta nieobecność może być znakiem wielu innych nieobecności, wielu innych przemilczeń. Choć z drugiej strony przyznaję, że autor dziennika ma pełne prawo do pryncypialnego wyboru ważnych momentów swojego życia, które chce opisywać (i które chce przemilczać).

Dzienniki nie są kalendarium, a tym bardziej dzienniki literackie nie mają obowiązku zawierać pełnej faktografii obejmującej dziennikowe spektrum czasowe, a jeszcze tym bardziej tak skonstruowany dokument literacki, jakim jest *Dziennik...* Chwina. Z całą pewnością nie jest to pisany dziennik dzień po dniu, raczej autor odtwarza kalendarzową rzeczywistość ze swoich notatek, a także z esejów i innych fragmentów literackich. Zresztą te eseistyczne fragmenty, choć powtórzone, wnoszą do książki największy ferment intelektualny, są najciekawsze intelektualnie, są po prostu bardzo mądrymi tekstami, które warto poczytać dla własnej czytelniczej korzyści. I właśnie te teksty odpowiadają na moją ciekawość, jak Stefan Chwin znajduje się wobec Sierpnia ‘1980 oraz następnych, wynikających z tej daty, zdarzeń. Nie pisze o tych zdarzeniach z pozycji uczestnika, ale z pozycji filozofa... Czy na pewno filozofa? Czy raczej filozoficznej analizy własnej osobowości i własnego stosunku do zjawisk masowych, do tłumu, erupcji społecznych, a też patologii historycznych, takich jak stan wojenny na przykład? Wyprowadza z tych przemyśleń wnioski moralne. I w tym aspekcie dorównuje *najlepszej* tradycji polskiej

inteligencji, która, stojąc obok, potrafiła pouczać społeczeństwo jak powinno postępować w sytuacjach krytycznych. Lecz serio: wyczuwam w tych eksplikacjach rodzaj kompleksu, że osobowościowe cechy Chwina nie pozwalały mu stanąć w pierwszym szeregu tych, którzy zmieniali bieg historii. Myślę, że ten kompleks jest bezpodstawny. Każdy na swój sposób okazuje odwagę. Chwin w pisarstwie, a szczególnie w swojej eseistyce, a jeszcze bardziej szczególnie w tej, która dotyczy najwrażliwszych dziedzin życia społecznego i duchowego. Tam nie oszczędza nawet samego siebie. Na koniec tego wątku warto zauważyć, że ten rodzaj rozmyślań towarzyszy Chwinowi przez niemal cały czas *Dziennika*, to symptomatyczne.

1 czerwca 2024

Tak wyczekiwane lato, albo właściwie letnia wiosna, pomimo że właśnie wyczekiwana, zaskoczyła mnie. To, co się działo ostatni miesiąc w ogrodzie, to była eksplozja kwiecenia. Najpierw drzewa - wiśnia, morela, czereśnie i jabłka, potem zaczęły się szaleństwa kwiatowe. Wybuchły białe bzy i fioletowe glicynie. Wejście do ogrodu to wnikanie w prawdziwą ferię zapachów, które wdzierały się nam do domu przez ogród zimowy, przez szeroko otwarte, rozsuwane drzwi. Zaczęło się skromnie od bratków, (które też pachną intensywnie), a kończy się teraz na piwoniach białych i czerwonych. Pewien dysonans tworzą pelargonie, które swym zapachem wcale nie harmonizują ze słodkim aromatem wiosny. Nieśmiało zaczęły kwitnąć róże. Nasze małe rosarium, to jakieś czterdzieści krzaków różnych róż, które, po tym nieśmiałym początku, teraz rozszalały się kolorami, a także zapachami, bo część róż jest pachnąca. W tym roku dominuje kolor żółty i herbaciany, choć nie brakuje też delikatnych różów i głębokich czerwieni. Patrząc na ogród w zaskoczeniu, że naprawdę skończyła się pora zimowa - chłodnych i burych dni. W takich chwilach powraca do mnie myśl, że urodziłem się dla ciepłego klimatu, dla ciepłych wieczorów, słonecznych dni i upalnych popołudni.

Czytam nadal *Dziennik życia we dwoje* Stefana. Teraz już z mniejszym uprzedzeniem. Od jakieś połowy książka mnie

wciągnęła. Zastanawiam się, co mnie uwiodło? Chyba możliwość spojrzenia w cudze życie, w ich osobiste, prywatne istnienie. Ludzie powinni opowiadać o sobie, wtedy stają się bliżsi i mniej nas niepokoją.

Ucieszyła mnie informacja, że w pobliżu mojej ulicy, przy Kościuszki, odsłonią tablicę pamięci Zbigniewa Żakiewicza.

Tak, myślę sobie, że tym, którzy tam mieszkają obecnie, też będzie przyjemnie wiedzieć, że mieszkał, koło nich, ktoś ważny, ktoś niezwykle - pisarz, choć dzisiaj ranga społeczna pisarza jest raczej nikła.

To dziwnie, gdy przejeżdżam ulicą Jacka Kaczmarskiego to przypominam sobie spotkania z nim w Tower Pressie przy ulicy Leszczyńskich. Nagle ulica staje się jakby bardziej żywa, przyjazna. To dobrze, że miasta upamiętniają swoich *żołnierzy* kultury, takich jak Jurek Limon, Paweł Huelle, by wymieć tych, z którymi się znałem, czy nawet przyjaźniłem. Ale też wzbudza to we mnie inne, niekoniecznie tak miłe, refleksje, że czas nieodwracalnie płynie, że zdarzyły się rzeczy i osoby, które bezpowrotnie przynależą do przeszłości i że ja też chyba tam bardziej już pasuję.

20 września 2024

Zmarł Józef Bachórz.

W dziewięćdziesiątą rocznicę swoich urodzin.

Elegancki facet, nawet w chwili śmierci. Zrobił to ... oczekiwanie, po dłuższej chorobie. Postawił wyraźną kropkę. Wyłączał się stopniowo z otaczającego świata, nawet wiadomości ze świata nie przyjmował zbyt chętnie. Niewiele wiem o tych jego ostatnich miesiącach, a nawet latach, ale właśnie dlatego, że tak chciał. Ostatnie wieści o nim docierały do mnie od jego córki, a też Małgorzaty Czerwińskiej, która go odwiedziła przy okazji urodzin, czyli rok temu.

Pozostawił po sobie wielu ciepło myślących o nim ludzi. Po wiem więcej, ogromną grupę osób, którzy bardzo **osobiście** cenili

sobie znajomość z Józefem Bachórzem. Miał niezwykłą charyzmę. Niezwykłe ciepło, zrozumienie dla innych. Miał tę rzadką umiejętność traktowania każdego, jak osobę wyjątkową i ważną, gdy w rzeczywistości to on był wyjątkowy. Nie znam nikogo, dla kogo spotkanie z Bachórzem było obojętnym incydentem w życiu. Zawsze hasło Bachórz wywołuje poszerzenie żrenic i natychmiastową dobrą reakcję emocjonalną.

Od dłuższego czasu, z lękiem, wpisywałem na google nazwisko Józefa Bachorza, bo wiedziałem, że jest chory i że musi przyjść moment śmierci. Teraz już ten lęk mi został odebrany, ale dodany mi został stały smutek. Dołożył się do mojego rosnącego stosu nostalgii.

30 grudnia 2024 - Ćwierć wieku

**Muszę zanotować tę datę, bo za chwilę rok 2025,
a to już ćwierć wieku, XXI wieku.**

Od kilku dni uświadamiam sobie, że przez te ćwierć wieku stało się bardzo wiele. Świat się zmienił. Jest inny. Niby ciągle się zmienia, ale tym razem odczuwam to jako skok w przyszłość, w której znalazłem się, niespodziewanie.

Zmienił się! Naprawdę zmienił, bo ćwierć wieku temu, czyli dwadzieścia pięć lat wstecz, w czasie, kiedy mój sąsiad miał dwadzieścia pięć lat, świat, który jest blisko mnie, wszedł w stan wojny. I to nie w sensie jakiegokolwiek metafory, to prawdziwa wojna, jest za granicą, tam w Ukrainie, wraz z krwią, ruinami, zamordowanymi dziećmi, opuszczonymi ziemiami, z bombami, nalotami, ogniem, bólem i rozpaczą i bezdennym smutkiem. Przeszliśmy w tym ćwierć wieku do ćwierć wieku lęku, niepewności, nagłych osamotnień i coraz słabszej nadziei na pokój dla naszych następców, dzieci...

Umierają wielcy przeszłości. Przedwczoraj zmarł były prezydent Jimmy Carter.

Żył sto lat i nie marnował czasu. Facet, który całe życie szukał pokoju, który walczył o ten pokój. Ale czy mojemu dwudziestopięcioletniemu sąsiadowi mówi coś to nazwisko? Pewnie nie, a przecież dzięki takim osobom, tu, w Polsce, mieliśmy lepsze czasy,

świat szedł do przodu z optymizmem, z nadzieją. Ale on zmarł. I wracają czasy strachu. Grozy. Bohaterem tego ćwierć wieku nie jest już Carter, ale Putin, Asad, Trump... I abym nie powiedział w profetycznym widzie, że też - Boże broń - Elon Musk.

31 grudnia, cd. Ćwierć wieku

W poprzednim wpisie wymieniłem Elona Muska w jednym ciągu *złych* ludzi XXI wieku. Muszę wyjaśnić, że Elon Musk jeszcze (z podkreśleniem *jeszcze*) nie dorobił się własnego Aleppa lub Buczy, ale postrzegam go jako niebezpieczeństwo, bo to wyjątkowa postać. Nie tylko dlatego, że buduje rakiety kosmiczne i automatyczne samochody, ale dlatego, że wyróżnia się czymś, co może być groźne dla całego świata - bo używa swojego gigantycznego majątku do celów politycznych, nie mając żadnych do tego uprawnień. Wydaje się, że nie stając do żadnych wyborów, wchodzi w skórę kogoś, kto chce decydować o losach świata. Kupił Twittera i zrobił z niego X-a, ale od tego czasu ta platforma przoduje w zakłamywaniu rzeczywistości i produkcji fałszywych informacji. Musk swoimi wypowiedziami chce wpływać na politykę Niemiec, Wielkiej Brytanii, Ukrainy, Rosji. Nic nie wiemy o ukrytych działaniach, choć są one na pewno. Nie wspomnę o niezwyklej sytuacji, że podłączając się do Trumpa, zachowuje się jak jego wiceprezydent i tak się wypowiada. To człowiek o rysie maniakałnym, po którym można spodziewać się wszystkiego najgorszego, a przede wszystkim chęci wpływania na cały świat, a robi to przy użyciu niekontrolowanych przez nikogo wielkich środków finansowych. Chce zmieniać świat, bo go na to stać i ma na to chęć. Nie ma wyborców, nie ma zaplecza społecznego ani politycznego, nie ma zaplecza intelektualnego, nie działa w imię wartości.

Ćwierć wieku:

Państwo Islamskie i dzikie morderstwa innowierców. Niejedne zresztą ludobójstwo, bo też w Mariupolu i Buczy, zniszczenie Aleppa według najlepszego hitlerowskiego wzorca, tak jak zniszczono Warszawę podczas II Wojny Światowej.

Szaleństwa islamskie łącznie z upadlaniem kobiet, dzieci, a też innowierców.

Ćwierć wieku:

Walka polityczna to coś zwykłego i normalnego. Może być ostra. Przeciwnicy mogą być nawet wrogami, ale zawsze wrogami czegoś, a nie sami w sobie. Co się zasiedliło w naszym społecznym świecie, co nie miało wcześniej takiego wymiaru? To nienawiść.

Do naszego polskiego życia Jarosław Kaczyński wniósł właśnie nienawiść.

Czystą nienawiść. Kto nie ze mną ten wróg i należy go nienawidzić? Wcale nie chodzi mu o władzę, ale ustanowienie, kogo trzeba nienawidzić.

Nikt w dziejach XX i XXI wieku w ten sposób nie podzielił Polaków. Rozdzielił społeczeństwo granicą nie do przebycia, bo głęboko emocjonalną. Może kiedyś ta granica się zatrze, ale to trwać będzie w czasie. Trzeba wymierania, aby emocje się uspokoiły. Trzeba będzie wymiany pokoleń.

27 stycznia 2025

Odreagowuję szare zimowe dni muzyką.

Niepompacyjny, perlący się Satie jest doskonałą odtrutką na krótkie, byle jakie, dni styczniowe. Wcześniej słuchałem już jego nokturnów. Tym razem odsłuchuję dwupłytowy album CD Piano Music, w wykonaniu Hakona Austbo. Odkryłem też muzykę Hani Rani, Inner Symphonies. Jej muzyka jest chwilami pompacyjna, ale jest w niej optymizm i pogoda ducha.

jak ogród nocą śpi?

gdy ogród nocą śpi
ziemia zamyka kolory
kolory zamykają ziemię
gdy przyłożyć ucho do klombu
słyszać wyraźne szepty

głosy w nocnym ogrodzie
milkną na niby, bo naprawdę
są wyraźniejsze niż w słońcu
kwitnące irysy i dalie
aby to usłyszeć trzeba mocno

pochylić plecy

noce w ogrodzie są jasne
jak zapach maciejki
jak pochodnie wczesnych róz
gdy dotykać tańczących pędów
noc w ogrodzie się wyjaśnia

- - -

Zbiera mi się coraz więcej materiału do numeru 1/2025 „Migotań”. Ostatni numer z roku 2024 był bardzo obszernym, bo miał blisko sto dwadzieścia stron. Z objętością mam nieustanny problem. Planowo gazeta powinna mieć sto stron, ale prawie nigdy nie udaje mi się zachować dyscypliny, choć to nie moja wina, a raczej ciekawych tekstów, których nie można publikować później. Tym razem już mam w folderze pierwszego noworocznego numeru między innymi: Renarda, w tłumaczeniu Kazimierza Brakonieckiego, (który nieustannie podrzuca swoje translatorskie prace i właściwie staję się stałym współpracownikiem pisma), ciekawy esej Furtaka o posiadłości Francisa Scotta Fitzgeralda (o domach pisze też w swoich wierszach Katarzyna Boruń), prozę Anatolija Kryma, nowe przekłady z Bolano, Grzegorza Bazylaka, Romka Warszawskiego aż trzy teksty, kolejny esej Christiana Medarda Manteuffela. Mam też mnóstwo dobrych wierszy: również Manteuffela, Elżbiety Juszcak, Macieja Frońskiego, kilka tłumaczeń poezji serbskiej, dramatyczny wiersz Zbigniewa Kresowatego i krótkie wiersze Agnieszki Moroz.

Przeglądam się temu folderowi i widzę, że już mógłbym składać numer, bo ma czterdzieści sześć pozycji, które spokojnie wypełnią całe pismo

Ostatecznie *Wiersze zebrane*, Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza, wydam w koprodukcji z Wojewódzką i Miejską Biblioteką im. Josepha Conrada Korzeniowskiego.

I to jest to *inne* wyjście o które zapytywałem Zawistowskiego. Dziękuję.

Mam podpisaną umowę. Umowę podpisał też Marian Kisiel,

który opracował krytycznie książkę (zrobił to niezwykle fachowo i z sercem). To o tyle lepsza sytuacja, niż bym wydawał samodzielnie, bo znalazły się pieniądze na honoraria, których u mnie, w Fundacji, brakuje.

2 luty

Po prostu nie wierzę. Trump jest być może bardziej niebezpiecznym człowiekiem niż Putin.

Objął urząd i coś zarządził: Kanada ma być stanem USA, po dwadzieścia pięć procent podwyższone cła dla Meksyku i Kanady, dziesięć procent dla Chin. A Europa? Za chwilę. Aha, Grenlandia ma być własnością USA również. Dzienny urobek na wyrzucanie imigrantów po dwa tysiące, albo więcej. Zatoka Meksykańska ma się nazywać Amerykańska.

Chory, chory na wielkość człowiek. To wszystko zapowiada niebezpieczny świat, niebezpieczną przyszłość dla tego świata. Szukam nadziei, że ta horrendalna głupota i megalomania zostanie zatrzymana, patrzę z nadzieją na społeczeństwo amerykańskie, tylko oni mogą zatrzymać swojego XXI wiecznego hitlerka.

wstydlive ogrody

za zaułkiem

za murem

za niestosownymi torami kolejowymi,

za podwórkiem za wytworną kamienicą,

za wąską uliczką, za zapomnianą pordzewiałą cysterną,

za śpiącym tramwajem na ostatnim śpiącym przystanku,

za porośniętym chwastami placem zabaw za moim

i twoim domem,

za niedokończoną urywającą się nagle ulicą za tym

ostatnim czerwonym

budynkiem pomiędzy szkołą i lśniąca nowością

Biedronką, za tym niejasnym

twoim mglistym końcem miasta

za tym ostatnim odcinkiem naszych codziennych

spacerów, opowiadaniami dokąd chodziłeś, gdy ogarniał

cię smutek za wspomnieniami dziecięcych przygód,
za laskiem który widoczny jest tylko z dziesiątego piętra,
ukrytymi domostwami miastowych słowików i sikorek,
za niejasną pamięcią niejasnych miejsc pobliza i dali,
za tajemniczą furtką pomiędzy dwiema willami
za tym pobliskim ocienionym cmentarzem,
za nocnymi krzykami miejskich kotów,
za domyślnym tylko końcem świata

za
tam,
tam jesteście my miejskie ogrody,
wstydliwie zielenimy się, kwitniemy, nocą szeleścimy
za dnia barwimy się i rozsiewamy bukiety aromatów

tak, jesteście wstydliwymi ogrodami
w bezwstydnym mieście

Gdańsk 18 lutego 2025

27 luty 2025

moi umarli

Zmarł Jurek Drechsler, Jerzy, Rudolf, zwany Filipem, różne imiona używał. W Gdańsku najczęściej przedstawiał się jako Filip.

Miałem dwóch przyjaciół w Szczecinie, w czasie mojej bujnej młodości. Mirek Sz., przyjaźń jeszcze z liceum, zmarł wycieńczony alkoholizmem, przedwcześnie i byle jak.

Teraz odszedł Jurek. Zaawansowana cukrzyca bardzo mu w tym pomogła, a mógł jeszcze pożyć, choćby, dlatego, że był młodszy ode mnie. A może nie, może to był już jego czas, bo powiedziano mi, że umierał zniechęcony i już nie walczył o życie.

Był bardzo egzotyczną osobą, tak się dawał poznawać. Zawsze w eleganckim, dużym kapeluszu, z doktorem maxem w ustach (to nazwa fajki), z bardzo ekspresyjnym zachowaniem. Mówili o nim „kolorowy ptak”. Tak, to był kolorowy ptak, ale ja wiem, że nie był to szczęśliwy *kolorowy ptak*. Nie dawał sobie rady z życiem, ze studiami, z przedsięwzięciami; chyba najlepiej udawały mu się liczne erotyczne związki, a też przecież wiele z nich

było przelotnych i przedwcześnie się kończących. Miał nieustającą potrzebę kreowania swojego wizerunku. Swojej osoby. Przy pozorach otwartości, i łatwości kontaktów w istocie był osobą zamkniętą. Bardzo cierpiał z powodu swoich osobowościowych ograniczeń. Potrzeba kreacji zabijała w nim tego prawdziwego, słabego, kruchego człowieka. W czasie, gdy mocno się przyjaźniliśmy, a trwało to dobre kilkanaście lat, może raz, może dwa udało mi się posłuchać jego zwierzeń. Na początku cierpiał na swoją żydowskość, potem nadmiernie ją celebrował. Miał tysiące pomysłów. Coś nieustannie chciał budować, tworzyć, rozkręcać. Czytał chorobliwie dużo. Myślę, że to była jego ucieczka przed samym sobą. Światy książek mogły mu się wydawać lepsze, a może nawet bardziej realne. Słuchał intensywnie muzyki - jazzu, a w tamtych czasach młodzieży muzyki rockowej spod znaku Joplin, Hendrixa. Nie obca była mu muzyka klasyczna. Marzył o graniu. Zawsze w pobliżu miał gitarę, ale nie potrafił na niej grać. W pewnym sensie metaforą jego życia mógł być obrazek, gdy przez całe godziny brzdąkał strunami, próbując wygrać jakieś akordy, motywy, lecz nigdy mu to nie wychodziło. Marzył. Ale o swoich prawdziwych marzeniach nigdy nie mówił. Uciekał w muzykę, w literaturę, w romanse i kreacje, jakie tworzył dla tych licznych swoich erotycznych związków. Opowiadał niekiedy o swoich wielkich, różnych sukcesach. Ale ich nie było. Studiowaliśmy razem polonistykę w Gdańsku, chyba jej nie ukończył. Nie potrafił utrzymać siebie, ani swojej rodziny, to on był raczej na utrzymaniu swojej rodziny. Od lat nie widziałem go. Jednak wiem, co robił, bo nigdy nie straciłem go z oczu. Do końca pozostał osobowością pękniętą. Niezrealizowaną. Ale może się myłę, bo nigdy nie dowiem się, co czuł i myślał w tych chwilach wyłączenia, zamknięcia w sobie.

9 czerwca 2025

Zakończyłem prace nad tomikiem poetyckim *Miasto, miasta w mieście*, nowe i stare wiersze miejskie.

I to jest powód dla którego było mniej zapisków w Dzienniku. Po prostu pracowałem nad nowymi (i starymi) wierszami. Nazywałem je *miejskie*, bo wiele z nich o miastach, o tym co dzieje się w mieście, co łączy się mentalnie z miejskim żywiołem. Oka-

zało się, że wcale mało tych tekstów. Hmm.

Kończę też prace redakcyjne przy Aneksie do kalendarza.

Tak, definitywnie kończę tom II moich zapisków pod tytułem Aneks do kalendarza.

Pomogły mi w fazie ostatniej redagować i korygować tekst Agata Foltyn i Katarzyna Korczak. Jestem im wdzięczny za wyeliminowanie wielu błędów i niedoskonałości tekstu. Dziękuję im za włożony wysiłek, pracę i życzliwość.

SPIS TREŚCI

TOM I

Przedśłowie.....	9
Jeszcze kilka słów wyjaśnienia:.....	13
Część 1. Od Grudnia do grudnia.....	15
Część 2. Mamy STAN WOJENNY.....	177

TOM II

Dziennik 1983-2025.....	225
-------------------------	-----





NOTATKI